

MARK GREANEY


Uwielbiam Gray Mana. Lee Child

GRAY MAN

NA CELOWNIKU



COURT GENTRY

 Poradnia K

MARK GREANEY

**GRAY
MAN
NA CELOWNIKU**

Przełożyła Karolina Rybicka-Tomala



 **Poradnia K**

Tytuł oryginału: On Target

Copyright © 2010 by Mark Strode Greaney

Copyright © for the Polish translation by Karolina Rybicka-Tomala

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2022

Redaktor prowadząca: JOLANTA KUCHARSKA

Redakcja: MONIKA ABRAMOWICZ

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, MAGDALENA GERAGA

Projekt okładki: ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Zdjęcie wykorzystane na okładce: Moon /Unsplash.com

Wydanie I

ISBN 978-83-67195-09-6

DLA MOJEJ CIOTKI DOROTHY GREANEY

DZIĘKUJĘ, CIOCIU, ZA NIEZŁOMNIE
OKAZYWANĄ MIŁOŚĆ I WSPARCIE
(I PRZEPRASZAM ZA WSZYSTKIE
BRZYDKIE WYRAZY W TEJ KSIĄŻCE)

PROLOG

Ciemne chmury napuchłe wilgotnym porannym powietrzem rozpościerały się nisko nad Morzem Irlandzkim. Powoli oplatały stojącego na drewnianym fordeku rybackiej łodzi zabójcę. Jeszcze na pełnym morzu kuter otoczyło stado mew srebrzystych. Teraz, kiedy wpływał do kanału portowego, krążyło nad nim stado dwunastu ptaków rozganiające białymi skrzydłami mgłę. Mewy skrzeczały na widok łodzi, ostrzegając wszystkich wokół, że zabójca właśnie dobija do brzegów Irlandii. Ich przestrogi jednak zginęły w oparach.

Kuter zacumował tuż przed ósmą rano. Zabójca wyszedł na nabrzeże, nawet nie spoglądając na dwóch członków załogi. Odkąd trzy godziny wcześniej na wodach międzynarodowych dwunastometrowy „Lochin” odebrał pasażera z pokładu litewskiego frachtowca, nie padło żadne słowo. Mężczyzna nie opuszczał górnego pokładu, chodził wzdłuż statku, czujnie wpatrując się w fale. Czarny sztormiak z kapturem chronił go zarówno przed słońcą bryzą i ewentualnym zalaniem, jak i przed ciekawskim wzrokiem ojca i syna, którzy sterowali kutrem. Podczas całej podróży członkowie załogi nie wychodzili ze sterówki. Tak im przykazano. Mieli wziąć pasażera, trzymać się od niego z daleka, po czym wrócić z nim do portu w Howth, na północy Dublina. Po dostarczeniu tego nietypowego połowu mieli cieszyć się z sowitej zapłaty, a przede wszystkim trzymać język za zębami.

Zabójca przeszedł na drugi koniec dawnej rybackiej osady, wszedł do niewielkiego budynku dworca kolejowego i kupił bilet do stacji Connolly w centrum Dublinu. Pociąg odjeżdżał dopiero za pół godziny, więc zszedł po schodkach do piwnicy, gdzie mieścił się pub o dźwięcznej nazwie The Bloody Scream, czyli „Rozdzierający krzyk”. Serwowano tu obfite irlandzkie śniadania dla rybaków z pobliskiego portu. Długie wąskie pomieszczenie było w ponad połowie wypełnione, faceci pochłaniali smażone jajka, kiełbaski i zapiekaną fasolkę, popijając pintami czarnego

spienionego guinnessa. Mężczyzna doskonale wiedział, jak wtopić się w otoczenie. Aby ukryć obcy akcent, tylko mruknął coś pod nosem i wskazał obsłudze, że chce to, co jedzą inni. Rzucił się na posiłek i napitek, po czym wyszedł na peron.

Po półgodzinie kroczył przez centrum Dublina. Miał gęstą, brązową brodę, niebieską czapkę nasuniętą na czoło i uszy, szyję obwiązaną szalikiem. Do tego granatowy, gruby wełniany płaszcz marynarski. Mimo że miał rękawiczki, wsunął dłonie do kieszeni, aby ochronić je przed lodowatym powietrzem. Przez ramię przewiesił mały płócienny plecak, który dyndał przy każdym kroku mężczyzny. Kierował się na południe od dworca, po czym skręcił w prawo na nabrzeże rzeki Liffey. Akurat zaczęło mżyć.

Zabójca szedł dalej. Nie mógł się doczekać, aż to zadanie będzie już miał za sobą. Nie czuł się swobodnie ani na morzu, ani w porannym tłumie, który gęstniał w miarę, jak się zbliżał do O'Connell Street. Tu, w Dublinie, przebywał pewien człowiek. A ktoś, kto posiadał dużo pieniędzy i wielkie wpływy, zdecydował, że nadszedł czas, by ten mężczyzna przestał przebywać gdziekolwiek.

I Court Gentry miał właśnie do tego doprowadzić.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kupił w aptece opakowanie paracetamolu i butelkę wody. Kilka miesięcy wcześniej odniósł poważne rany: kulka przeszła mu na wylot udo, a na dokładkę oberwał nożem w brzuch. Na szczęście z każdym tygodniem ból był coraz mniejszy. Jego ciało miało niesamowitą zdolność gojenia ran. Szkoda, że umysł mu w tym nie dorównywał. Court zdążył uzależnić się od tabletek i zastrzyków: vicodinu i oxycontin, demerolu i dilaudidu. Od operacji czyszczenia i zaszycia rany brzusznej codziennie łykał pigułki, które miał dzięki pewnemu chirurgowi z Nicei. Gdy jednak wchodził na pokład frachtowca, celowo zostawił leki na łądzie. Już od tygodnia niczego nie brał. Przez ten narzucony przez siebie detoks czuł się fatalnie. Paracetamol to marny substytut ciężkich narkotyków, ale przynajmniej sam rytuał połykania tabletek przynosił mu pewną ulgę.

Trzy godziny po zejściu na ląd zameldował się w prowadzonym przez Chińczyków tanim hoteliku w wąskiej uliczce odchodzącej od Parnell Street, prawie kilometr na północ od rzeki. Jego pokój był ciemny i zatechły. Cuchnął pleśnią i smażeniną z mieszczącej się dwa piętra niżej restauracji. Deszcz padał niemal poziomo, prosto w brudne okno, ale nie był w stanie go oczyścić – tłusta powłoka pokrywała szybę od środka.

Gentry leżał na plecach na zapadającym się materacu i gapił się w sufit. Nie mógł zebrać myśli. Na morzu spędził ponad tydzień. Zdążył przyzwyczać się do ciągłego kołysania i unoszenia się w tę i w ową stronę. Dopiero po kilku godzinach udało mu się zasnąć. Tuż przy jego uchu zimny deszcz bębnił w metalowy parapet.

Późnym popołudniem siedział już w należącej do maleńkiego hotelu chińskiej knajpce, w której wsuwał kluski z wieprzowiną. Za pomocą kupionej nieopodal komórki zalogował się do sieci. Wszedł na forum internetowe na stronie firmy sprzedającej wycieczki na Ural, po czym wpisał hasło dostępu, logując się na forum dla pracowników. Po wpisaniu kolejnego kodu nawiązał kontakt tylko z jednym, poza nim, obserwatorem.

Court pisał kciukiem, sącząc ciepławy sok pomarańczowy.

Już jestem.

Po kilku sekundach okienko na ekranie telefonu się odświeżyło. Ktoś odpisał.

Ufam, że w Bangkoku? To było hasło weryfikujące tożsamość rozmówcy. Gentry potwierdził swoją w odpowiedzi.

Nie. W Singipurze. Literówka była celowa, wręcz konieczna, aby zapewnić rozmówcę, że on to on.

Pojawiła się kolejna wiadomość: Przyjemna podróż, przyjacielu?

Court przeczytał ją, wgryzając się w smażonego wontona tak samo tłustego jak okno w pokoju. Powstrzymał się, żeby nie przewrócić oczami.

Podróż bynajmniej nie była przyjemna, a Grigorij Iwanowicz Sidorenko bynajmniej nie był jego przyjacielem. Court nie miał przyjaciół. Było też wątpliwe, że Sidorenko, na Zachodzie przez tych, którzy wiedzieli o jego istnieniu, zwany Sidem, też jakichkolwiek miał. W końcu to szef rosyjskiej mafii, na co dzień mieszkający w Petersburgu. Stał na czele organizacji, która zajmowała się kontrolowaniem nielegalnego hazardu, handlem narkotykami i dziwkami, logistyką zbirów na wynajem i – w wyniku desperacji amerykańskiego zabójcy – teraz odpowiadała za działalność Courta Gentry’ego, znanego jako Gray Man.

Choć teoretycznie byli kolegami po fachu, Grigorij Sidorenko w niczym nie przypominał Donalda Fitzroya. Sir Donald był przełożonym Courta przez cztery lata, zanim Amerykanin został wyrzucony nie tylko z CIA, lecz także ze Stanów, które ogłosiły wszem wobec, że nie należy mu ufać, i nakazały strzelać do niego bez ostrzeżenia. Fitzroy wziął go pod swoje skrzydła, zapewniał dobre zlecenia na złych ludzi, sprawiedliwie go wynagradzał, a raz nawet zatrudnił, by strzegł jego rodziny. Jednak nagle ktoś zapędził Anglika w kozi róg i zmusił do zdradzenia Courta. Choć sir Donald przeproszał go solennie i nawet deklarował chęć zadośćuczynienia mu za zdradę własnym życiem, Gentry wiedział, że już nigdy mu zaufa.

Już nigdy nikomu nie zaufa.

Fakt, Sid to kanalia, ale przynajmniej to był pewnik. Court wiedział, że nie można było wierzyć w nic, co ten dwulicowy popapraniec mówił, ale był on doskonałym dojściem do najbardziej lukratywnych kontraktów w jego branży. I Sid przystał na warunek Gentry’ego, który zaznaczył, że przyjmie wyłącznie te zlecenia, które sam uzna za sprawiedliwe albo przynajmniej będące czymś ciut ponad „moralnie neutralne”.

Tak też Court znalazł się w Irlandii.

Wycieczka do Dublina to była właśnie jego pierwsza misja na zlecenie Sida. Przeczytał teczkę „celu tej operacji”, zgodził się go zabić, po czym drogą elektroniczną próbował podbić stosunkowo niską stawkę, a w końcu niechętnie przyjął to zadanie. Chodziło przecież o to, żeby nie wypaść z gry. Przerwa, odniesione rany i przyjmowane prochy sprawiały, że stawał się miękki. A on zdecydowanie nie mógł sobie pozwolić na to, by zmięknąć.

Court wykuł na pamięć najważniejsze elementy z teczki celu. Standardowe postępowanie operacyjne przed mokrą robotą. Nazwisko: Slattery, imię: Dougal, wiek: pięćdziesiąt cztery lata, narodowość: irlandzka, wzrost: potężny, waga: grubas. Za młodu był bokserem, ale nie udało mu się wybić ponad lokalnych pięściarzy. Następnie pracował jako osiłek. Najpierw jako bramkarz w nocnych klubach. Później rozszerzył działalność: trochę brudniejszej roboty dla lokalnego gangu, tarmoszenie leniwych polskich dziwek i zderzanie głowami tureckich dilerów za opieszałość. Następnie awansował do zabójstw niższego kalibru: porachunki lokalnych gangów, nic bardziej wyrafinowanego do czasu, aż wysłali go na kontynent. W Amsterdamie rozwijał karierę, zabił rywala swego przełożonego, gradem kul zmasakrował dwóch ochroniarzy. Potem wspinał się na wyższy szczebel na drabinie płatnych zabójców – trafiła mu się mokra robota w Ankarze, na Sardynii, w Kalkucie czy w Tadżykistanie. Court zwrócił uwagę, że Slattery nie pracował solo, nigdy nie był mózgiem swoich operacji, ale miał w dorobku kilka przyzwoitych, bynajmniej nie w sensie moralnym, zabójstw. Podobno miał na swoim koncie inspektora policji, uczciwego biznesmena i jakiegoś dziennikarzynę. Court jednak docenił, że te misje, choć może nie były wybitnie spektakularne, zostały przynajmniej dość kompetentnie wykonane. Według dokumentów, które miał w teczce, ostatni raz zabił aż sześć lat temu. Gentry nie mógł nie zauważyć, że później życiorys dostarczony przez Sida stał się cienusieńki. Pomijając kilka niepotwierdzonych informacji, jedyne, co było wiadomo o celu, to to, że grał na tradycyjnych bębnach w specjalizującym się w irlandzkiej muzyce ludowej zespole, który występował pięć dni w tygodniu w turystycznej dublińskiej dzielnicy Temple Bar. Za takie coś zazwyczaj nie łąduje się na celowniku płatnego zabójcy.

Gentry uznał tę operację za stosunkowo neutralną moralnie. Owszem, miał zgładzić zabójcę, ale on też był zabójcą. Court próbował

racjonalizować, przekonać samego siebie, że jednak istnieje między nimi pewna różnica: uważnie badał potencjalne ofiary, upewniał się, czy zasłużyły na egzekucję poza wymiarem sprawiedliwości. Dougal Slattery zdecydowanie nie był aż tak wybredny. Sid twierdził, że Irlandczyk pracował teraz dla prowadzonej przez Włochów międzynarodowej siatki przestępczości zorganizowanej. Jego kolejną ofiarą równie dobrze mogła być jakaś krnąbrna prostytutka i właściciel restauracji, któremu nie udało się zapłacić mafii haraczu za ochronę.

Cóż, Court stwierdził, że choć zabicie Dougala Slattery'ego nie poprawi znacząco tego świata, to przynajmniej nikomu nie zaszkodzi. To jest nikomu, kto nie nazywa się Doug Slattery.

Hej? Jesteś tam? Ostatni post Sida został opublikowany trzy minuty wcześniej. Court na chwilę odpłynął myślami od misji. W końcu zmusił się do skoncentrowania na małym ekranie.

Jestem. Wszystko gra.

Ile czasu potrzebujesz?

Nie wiem. Oszacuję dziś. Ruszę przy pierwszej możliwej okazji.

Rozumiem, przyjacielu. Ale nie ociągaj się. Mam potem więcej roboty.

Court doskonale wiedział, że zawsze było więcej „roboty”. Ale większość tej „roboty” należała do kategorii zleceń, których on by nigdy nie przyjął. To on zadecyduje po wszystkim, czy będzie miał „więcej roboty”. Jednak nie chciał teraz o to się kłócić, więc odpisał:

OK.

Czekam na dobre wieści. Do swidanijskiego przyjacielu!

Court się wylogował. Wyłączył telefon i włożył go do bocznej kieszeni płaszcza. Skończył posiłek, zapłacił i wyszedł z hotelu.

* * *

Późnym popołudniem obchodził już dzielnice sąsiadujące z Grafton Street. Przez godzinę obserwował stroje, mimikę i gestykulację mieszkańców, aby wiedzieć, jak najlepiej wtopić się w otoczenie. Dla dobrze wyszkolonego fachowca to bułka z masłem. Dublin to międzynarodowe miasto pełne Polaków, Rosjan, Turków, Chińczyków, przybyszów z Ameryki Południowej, w którym gdzieś można się nawet natknąć na... jakichś Irlandczyków. Court nie zauważył żadnego obowiązującego stylu, jeśli chodzi o wygląd, sposób chodzenia czy zachowania, który należałoby naśladować, ale i tak wstąpił do ciucholandu

przy Dawson Lane. Po chwili wyszedł z torbą ubrań. W łazience centrum handlowego przebrał się w wytarte niebieskie dzinsy, bluzę z kapturem i czarną dzinsową kurtkę. Strój ten doskonale uzupełniały jego czarne adidas i granatowa czapeczka.

O zachodzie słońca był już poruszającym się wraz z tłumem lokalsem. Przeprowadził inspekcję bezpieczeństwa, wracał kilkakrotnie w te same punkty, jeździł i przesiadał się na DART – tutejszą sieć kolejki miejskiej – aby upewnić się, że nikt go nie śledzi. Żeby nie zatracić poczucia proporcji, przypominał sobie, że jest znacznie więcej osób na ziemi, które pragną śmierci Courta Gentry’ego, niż tych, którzy uroniliby łzę na wieść o zgonie Dougala Slattery’ego. Zabicie Irlandczyka było tak naprawdę zadaniem podrzędnym. Przede wszystkim, jak zawsze, zależało mu, żeby pozostać choćby przez kolejny dzień przy życiu. Wiedział, że jego bezpieczeństwo musi być na pierwszym miejscu. Upewniwszy się, że nie ciągnie za sobą ogona, ruszył ku dzielnicy Temple Bar na południowym brzegu Liffey.

O dziesiątej wieczorem usiadł przy barze w Oliver St. John Gogarty. Choć była środa wieczór, ulubiony przez turystów pub był wypełniony po brzegi. Amerykanie, Europejczycy z kontynentu, Azjaci. Bardzo prawdopodobne, że jedynymi Irlandczykami w przybytku byli barmani, barmanki i kapela.

Ostatnimi czasy Court raczej nie bywał w tak hałaśliwych lokalach. Siedział cicho na południu Francji, gdzie zajmował malusieńki pokój na maciupieńkim stryszku maleńkiej chatynki w niedużej wiosce na wzgórzu, skąd nieczęsto wychylał nosa, a jeśli już, to po to tylko, by pójść do sklepiku na rogu po puszkę z jedzeniem i wodę. Sporadyczne wizyty u lekarza w Nicei też przebiegały bez fajerwerków. Była zima – nawet nocne kluby i kiczowate sklepiki wzdłuż Promenade des Anglais, które w sezonie turystycznym pękały w szwach, były albo prawie puste, albo wręcz zabite dechami. I to właśnie lubił. Pub, gdzie teraz siedział, był zaprzeczeniem tego, do czego zazwyczaj dążył i w pracy, i w życiu prywatnym. Ledwo usiadł, a już barmanka zapytała, jak się nazywa, a dwie siedzące obok niego Angielki usiłowały wciągnąć go do rozmowy. Ignorował zagadywania, sączył guinnessa i uważnie przyglądał się pomieszczeniu. Żałował, że nie ma choćby czterech miligramów dilaudidu. To pomogłoby mu się odprężyć, ale szybko zrugął sam siebie i zmusił do skupienia na robocie. Bo po tym świecie chodzą tylko dwa rodzaje ludzi. Tak, tylko dwa. Owce i wilki. Court był wilkiem i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Ostatnie kilka miesięcy osłabiły go nieco, ale wilk zawsze będzie wilkiem. To nigdy nie wydawało mu się tak oczywiste jak tutaj, w tym barze, kiedy otaczały go setki owiec. Nikt poza nim nie wypatrywał potencjalnego zagrożenia. Nikt nie badał starannie dróg do wyjścia, nie liczył obecnych w tłumie mięśniaków i nie upewniał się co do rodzaju szkła w witrynie od frontu lokalu. Nikt nie zwrócił uwagi, jak skąpa jest obstawa policji na ulicy przed barem, i na to, jak porozstawiane są latarnie na bocznych uliczkach. Nikt inny nie wiedział, jak się usadowić, aby nie być widziany w wiszących na ścianach lustrach. Nikt nie miał planu ucieczki na wypadek, gdyby przyszło ratować swoje życie. I nikt nie miał planu, jak w ostateczności zabić wszystkich obecnych.

Owszem, przebywał właśnie w tłumie owiec, ale był tu jeszcze jeden wilk. Sądząc z informacji od Sida, obecny na scenie bębniarz też był twardym człowiekiem. Ten zespół tradycyjnej irlandzkiej muzyki ludowej, tak zwany trad band, liczył pięciu grajków. Gentry nie znał się na tym, ale sądząc po entuzjazmie publiczności, musiał być całkiem dobry. Siwy dryblas siedział na ławce z boku sceny i grał na bodhranie, charakterystycznym, trzymanym w dłoniach bębnie obręczowym, w który uderza się dwustronną pałeczką. Widać było, że traktuje swoją rolę poważnie: siedział pochylony do przodu, trzymając głowę nisko, aby wyłapywać wszystkie subtelności wykonywanej muzyki. Court stwierdził, że wygląda on raczej jak podstarzały grajek niż zabójca w średnim wieku. Może rzeczywiście dawno nie pracował w ich wspólnym fachu. Obok niego chudy młodzieniaszek grał wprost do mikrofonu na piszczałce, gitarzyści brzdękali i śpiewali harmonijnie, a publika szalała z radości. Court nie był w stanie wyłapać wszystkich słów ludowej pieśni, ale wiedział, że było tam coś o pięknej młodej małżonce, nieudanych plonach ziemniaka i nieboszczyku mężu, który zapił się na śmierć.

Dopił stouta i ruszył do drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dougal Slattery pożegnał się z kumplami z kapeli o wpół do dwunastej, naciągnął kaszkiet z donegalskiego tweedu, przerzucił skórzany futerał z bębniem przez ramię i wyszedł z Oliver St. John Gogarty. Noc była zimna, ale bezchmurna. Taka sama jak tysiące innych, kiedy tu grywał. Teraz też swoim zwyczajem zapragnął napić się piwa przed powrotem do mieszkania. W najbliższej okolicy było wprawdzie ze czterdzieści pubów, ale on mieszkał półtora kilometra po drugiej stronie stacji Pearse Street, więc postanowił, jak zazwyczaj, wstąpić na dobranoc do swojej ulubionej meliny bliżej domu.

Slattery utykał, doskwierało mu kolano. Tak naprawdę to doskwierały mu oba kolana, ale że nie dało się kuśtykać na obie nogi, przy każdym kroku używał sprawniejszego z dwóch słabnących stawów. Jego potężne cielsko powoli przemierzało zimną noc.

Dotarcie do pubu Padraig Pearse, nazwanego tak na cześć katolickiego przywódcy powstania wielkanocnego zabitego przez Brytyjczyków w tysiąc dziewięćset szesnastym, zajęło mu aż pół godziny. To był prawdziwie katolicki pub. Ściany i okna niewielkiego przybytku obwieszane były relikwiami z okresu rebelii.

Dougal wkuśtykał do środka, powiesił kurtkę i bodhran w rogu, po czym podszedł do baru po pintę guinnessa, którą barman od razu zaczął nalewać.

* * *

Court Gentry znalazł ciemną bramę i usiadł w niej. Dawno nie chodził tyle co dziś. Zaskoczył go ból mięśni ud i łydek. Poczuł też ukłucie w miejscu, gdzie kilka miesięcy temu, dokładnie w grudniu, oberwał kulkę. Zamarzył o vicodinie, ale wiedział, że nie może być naćpany na misji. Siedział więc i wpatrywał się w drzwi wejściowe pubu po drugiej stronie ulicy. Dzisiaj w planach miał tylko rekonesans. Zamierzał śledzić cel aż do

jego domu, a następnie oszacować, gdzie i kiedy najlepiej będzie wykonać misję.

Ta knajpa nazywała się Padraig Pearse. Z zewnątrz wyglądała na lichą melinę. To zapewne stała miejscówka Slattery'ego, zważywszy że po drodze minął, nie wchodząc do nich, liczne inne przybytki. W Dublinie przypadało więcej barów na mieszkańca niż w jakimkolwiek innym mieście. Irlandczycy uwielbiali puby, tak więc Court spodziewał się, że podczas tej misji przyjdzie mu spędzić kilka godzin na wpatrywaniu się w drzwi lokalu i oczekiwaniu, aż cel skończy swoją dobową porcję piwa.

Gentry wstał z trudem. Chciał rozruszać mięśnie. Był zmarznięty i obolały, a do tego pilnie potrzebował skorzystać z toalety albo przynajmniej znaleźć jakąś wąską ciemną uliczkę. Wiedział, że najsensowniejszym miejscem, by oddać mocz, byłoby dla młodego miejscowego, za którego chciał uchodzić, wąskie przejście tuż obok Padraiga, tak więc przeszedł przez pustą ulicę prosto w ciemność. Na miejscu wywachał drogę do ściany obok śmietników, rozpiął pasek, po czym pospiesznie zapiął go z powrotem. Jego uwagę zwrócił odgłos w dalszej części uliczki: przez drzwi na zapleczu budynku wyszło dwóch mężczyzn. Jakieś piętnaście metrów od niego rozbłysnął słaby snop światła. Dobiegły go dźwięki rozmowy ze środka budynku. Faceci podeszli do tylnej ściany, obszczali ją, a po chwili wrócili tam, skąd wyszli. Nawet nie zauważyli stojącego w ciemności nieznajomego.

Niewątpliwie było to drugie wejście do Padraiga Pearse'a. A więc pub był znacznie większy, niż Court przypuszczał. Załatwił się na ceglana ścianę, a następnie podszedł do tylnych drzwi. Usłyszał stukot zderzających się kul bilardowych i charkot męskich głosów – donośny, a mimo to niezrozumiały. Rozejrzał się i stwierdził, że przejście prowadzi do kolejnej bocznej uliczki. Pomyślał, że Slattery mógł wymknąć się tą drogą. Może nawet domyślił się, że jest śledzony, choć Court na razie nie miał podstaw, by przypuszczać, że go zauważył podczas półgodzinnej wędrówki z Temple Bar.

Gentry wiedział, że ma dwa wyjścia: albo odpuścić sobie dzisiejszy rekonesans i zacząć następnego dnia, albo wejść do knajpy i sprawdzić, czy Slattery wciąż tam jest. W tak dużym lokalu istniało małe prawdopodobieństwo zdekspirowania – odgłosy sugerowały, że wewnątrz jest co najmniej ze trzydzieści osób, a Gray Man doskonale wiedział, jak wtopić się w otoczenie zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz

budynków. Skierował się do głównego wejścia, wsunął szyję głęboko w dzinsowy kołnierz, aby wydawać się ciut niższy, po czym pchnął drzwi do Padraiga Pearse'a. Wszedł do pubu i już wiedział, że popełnił poważny błąd. Lokal był wręcz mikroskopijny. Okazało się, że zasłyszane wcześniej odgłosy bilardu dochodziły z pomieszczenia, które było zamknięte i opatrzone napisem „Tylko dla członków klubu”, do którego dało się wejść jedynie od zaplecza. Court natomiast znajdował się w małej sali, w której mieściły się zaledwie niewielki bar, trzy stoliki, a przy ścianie kilka osłoniętych ustronnych siedzisk we wnękach. Podszedł do baru i usiadł na stołku. Nie rozglądał się po przybytku, tylko wyciągnął portfel i spojrzał na butelki na półkach za ladą. Wyczuł na sobie wzrok dziesięciu czy kilkunastu stałych gości, ale nie był pewien, czy Slattery znajdował się wśród nich.

Było coś hardego w atmosferze tego lokalu i jego klienteli. Court wyczuł to od razu. Zapanowała złowroga atmosfera. To miejsce nie było przyjazne obcym. Rzucił okiem na lustro za barem. Wszyscy faceci, łącznie z Dougalem Slatterym i dwoma młodszymi koleżkami, jak jeden mąż wpatrywali się w jego odbicie w lustrze.

„Twarda publika” – pomyślał Gentry.

Spojrzał na kartkę przyklejoną taśmą do lustra: „Zakaz śpiewania”.

Twarda melina.

Kurwa mać.

Barman łypał na niego znad gazety. W końcu ją odłożył i uniósł lekko rudą brew.

– Pintę guinnessa, poproszę – odezwał się Court.

* * *

Slattery sączył piwo, słuchając, jak dwóch młodzików z jego wnęki narzeka na sędziego w meczu rugby, który odbył się poprzedniego wieczoru pomiędzy drużynami Clontarf a Thomond. Dougal był kibicem Wanderersów, więc głównie go obchodziło, że ten pieprzony Clontarf został podobno pieruńsko wyruchany przez tego pierdolonego sędziego, ale i tak dobrze się bawił w towarzystwie dwóch młodych znajomek. Usłyszał, jak otwierają się drzwi, i się rozejrzał. Było już zbyt późno, by ktoś przyszedł się napić, ale nie byłby to pierwszy raz. Przechylił głowę. Jego wzrok śledził nieznajomego aż do baru.

Dougal szybko odwrócił uwagę od rozmowy współtowarzyszy. W głowie rosnącego Irlandczyka zadźwięczał sygnał ostrzegawczy, wyraźny niczym dzwony z odległej o półtora kilometra na zachód od Katedry Kościoła Chrystusowego. Nowy gość w tym pubie zdarzał się rzadko, ale tego koleś Dougal już wcześniej widział w tłumie w Oliverze. Facet był młody i dobrze zbudowany, a do tego ciut zbyt nonszalancki jak na jego gust.

Tutejszy to on nie był. Owszem, nieźle się przebrał, ale Slattery i tak zdołał go przejrzeć. Przybysz usadawiał się właśnie na stołku przy barze. Irlandczyk wypatrywał czegoś, co wskazywałoby, że ma przy sobie broń: czy to zarysu pistoletu, czy to jakiegoś charakterystycznego dodatkowego ruchu właściwego tym, którzy mają żelastwo przypięte do pasa. Niczego nie wypatrzył, ale nie widział go z prawej strony. Usłyszał, jak tamten zamawia „Pintę guinnessa proszę”. Nie było w tej odzywce nic obcego czy dziwnego. Nawet brzmiał deczko irlandzko, choć mówił cicho i łagodnie.

Policjant? Może Interpol? Dougal wiedział, że gliny z co najmniej sześciu krajów chciałyby go przydybać i wywieźć z tej cudownej wyspy. Ale ten facet nie wyglądał na glinę, był zbyt wyluzowany jak na kogoś w psim fachu. W każdym razie wiedział, jak zabrać się za guinnessa. To już coś. Zazwyczaj niewtajemniczeni obcokrajowcy sięgają po szklanę za wcześnie, jak tylko barman postawi ją na ladzie. Poważny błąd! Stouta nalewa się na dwa razy: najpierw barman czeka kilka minut, aż piana trochę opadnie – wtedy też złośliwie stawia piwo blisko zamawiającego, jakby chciał sprowokować go do sięgnięcia po szklanę przed obowiązkowym dolaniem i tym samym ujawnienia swej ignorancji.

Ten nieznajomy był jednak dobrze przeszkolony.

Slattery rzucił okiem na jego odbicie w lustrze – było to krótkie, obojętne, przelotne spojrzenie. Stali bywalcy wciąż łypali groźnie na nieznajomego. Omiótł ich wzrokiem, po czym skupił się z powrotem na barmanie. Stary George też niechętnie przyjął przybycie obcego do baru, ale dał mu piwo, wziął forszę, po czym wrócił do lektury.

Dougal nachylił się przez stolik do kompanów. Przemówił do nich ściszym głosem. Starał się nadać wypowiedzi lekki, żartobliwy ton, ale na jego twarzy nie pojawił się uśmiech.

– To co, chłopcy? Co powiecie na trochę rozrywki, zanim matula położy was do łóżka?

Court już wiedział, że został nakryty. Siedział przy barze, gapił się na piwo, próbował udawać odprężenie, ale mózg pracował na dużych obrotach, przerabiał strategię działania – jak poradzić sobie z dwunastoma facetami w pomieszczeniu niewiele większym od środka szkolnego autobusu. Nie wątpił, że stali goście mają zawsze przy sobie przeróżne ostrza. Jakiś kastet też zapewne się znajdzie. Rudy barman może nawet ma obrzyn czy dwururkę za barem. Court miał przy pasie kaburę z pistoletem, ale to była marna ochrona przed tą bandą. Rosyjski makarow w połączeniu ze spoczywającym w kieszeni płaszczą tłumikiem był skuteczną bronią dla zabójcy, ale strzelał kulkami, które nie byłyby w stanie powstrzymać ataku dryblasów, do tego ośmionabojowe magazynki wydały się Courtowi cholernie niewystarczające jak na natarcie otaczających go mięśniaków, a co gorsza, zwalnicz magazynka był umieszczony w złym miejscu i na dodatek nie był wydajny. Owszem, gdyby przyszło co do czego, Court byłby w stanie zrobić parę dziur kilku Irlandczykom, ale gdyby całą zgrają na niego natarli, to wiedział, że doprawdy miałyby przerąbane.

Wziął łyk guinnessa. To była największa pinta, jaką kiedykolwiek widział. Wydawało mu się, że nie da rady dopić jej, tak żeby mógł w końcu stąd wyjść i się ulotnić. Usłyszał, że Slattery szepcze coś do towarzyszy. Court nawet nie spojrzał w lustro. Zdał sobie sprawę, że Slattery zauważył go podczas koncertu, a teraz pewnie wtajemniczał koleżków w szczegóły. Jeśli Court będzie miał odrobinę szczęścia, to Slattery się zaraz zmyje i zastawi jakąś zasadzkę na ulicy. Wyśle koleśki, żeby czyhali w ciemności. Jeśli będzie miał pecha, Dougal zrobi rozróbę tu i teraz. Wstanie i oznajmi wszem wobec, że ten, kto wyrzuci nieznanego przez szybę, zarobi sobie u niego na roczny zapas guinnessa.

„Kurwa jego mać” – pomyślał.

Podczas rekonwalescencji we Francji tak bardzo marzył mu się powrót do akcji. Ale to teraz to pewna przesada. Court zaczął się zbierać. Nie dopił jeszcze piwa, ale stwierdził, że lepiej wyjść stąd o własnych siłach, bo potem już nie będzie okazji. Musi zwiewać, dopóki Slattery nie obmyśli planu. Zanim jednak Gentry zdążył zsunąć się ze stołka, barman odłożył gazetę.

– Czyżby piwko nie smakowało?

Beczulkowaty rudy sześćdziesięciolatek musiał wyczuć złe vibracje między Slatterym a nieznanym. Court nie chciał za dużo gadać. Zmienił

tylko ułożenie tyłka, jak gdyby tylko mościł się na stołku, i podniósł kufel. Wzniósł go w stronę barmana i się napił.

– Palce lizać! – rzucił. Wydawało mu się, że zaciągnął z irlandzka, ale nie był pewien, czy przekonująco.

Po lewej dwaj faceci, którzy siedzieli z Dougalem we wnęce, wstali i wyszli drzwiami frontowymi. Wstało też dwóch przy sąsiednim stoliku. Court śledził ich trasę w lustrze. Złowrogo usiedli po jego obu stronach.

Pierwszy odezwał się ten z lewej. Czuć było od niego whiskey i tytoń.

– Skądżeś ty jest?

Court patrzył prosto przed siebie. Stwierdził, że nie ma co udawać tutejszego akcentu.

– Pracuję se w Maersku, na frachtowcu. Dziś przycumowaliśmy, odpływamy skoro świt.

– Ale skądżeś jest? – Ten po prawej powtórzył pytanie kolegi.

– Mówiłem.

– Na statkuś ty się urodził? Skądżeś jest znaczy, skąd pochodzisz?

– No, chłopaki, dajcie panu pić w spokoju – odezwał się czyjś głos. To był Dougal Slattery. Zdążył już wstać i dokuśtykać do baru. Ich wzrok spotkał się w lustrze.

– Zawsze miło zobaczyć nową twarz, zwłaszcza podróżnych. Nie przejmuj się chłopakami, przyjacielu.

Court zastanowił się, dlaczego akurat tego dnia wszyscy tak chętnie nazywają go przyjacielem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gentry opuścił Padraig Pears pięć minut później. Pierwszy wyszedł Slattery, tuż po tym, jak ocalił nieznajomemu skórę, uwalniając go od dwóch butnych tutejszych, którzy bez słowa wrócili do swojego stolika. Przez cały czas barman nie podniósł wzroku znad gazety.

Court skierował się na wschód, na Pearse Street. Zręcznie trzymał się cienia, idąc jakieś dziewięćdziesiąt metrów za kuśtykającym gościem z bębniem przewieszonym przez ramię.

Teraz wszystko się zmieniło. Decyzja Courta, żeby jednak wejść do pubu, znacznie przyspieszyła całą operację. Nie dało się już poprzestać na rekonesansie. Cel go wyczał, przestraszył się, więc albo zaraz czmychnie, albo się uzbroi. Nie trzeba być nie wiadomo jak byстрыm agentem, żeby zapobiec nadchodzącemu atakowi ze strony jednego napastnika, zwłaszcza kiedy już się wie, że będzie miał miejsce. Trzeba zwiewać albo go obejść i dać kumplom spluwy. Podstawa opisana na pierwszej stronie poradnika Jak nie zostać zabitym, a Court był pewien, że Slattery ma ją wykutą na pamięć.

Wiedział, że jeśli on, Gray Man, ma wykonać to zlecenie, musi to zrobić jeszcze tej nocy. Slattery skręcił w prawo i minął otwartą bramę obskurnego osiedla. Nie oglądał się za siebie, tylko wspinał się po stromym parkingu w stronę drzwi wejściowych. Court podążał za nim w ciemności, był coraz bliżej swojej ofiary. Owszem, pewnie się go spodziewa, ale miał nadzieję, że nie aż tak prędko. Nagle siedem metrów przed Courtem ukazał się umięśniony młody człowiek w czarnej bluzie do rugby. Gentry zwolnił, po czym stanął naprzeciwko. Opuścił ręce. To był jeden z tych, którzy siedzieli ze Slatterym w pubie. Irlandczyk wyciągnął zza siebie długi łańcuch, który zaczął dyndać niczym wahadło.

– Po co chopie, kurna, za mną łazisz? – Jego narzecze było praktycznie niezrozumiałe, ale nie miało to większego znaczenia.

Court go i tak nie słuchał. Uwagę skupiał na wszystkich delikatniejszych dźwiękach, wyczekując nieuniknionego odgłosu zbliżających się stóp. Kumpel amatora rugby musiał tu przecież gdzieś być. Pewnie będzie chciał go wziąć od tyłu za szyję albo walnie go w plecy łańcuchem czy innym kawałkiem metalu. Zazwyczaj, jako zabójca na zlecenie przyjmujący bardziej elitarne fuchy, Court miał do czynienia z przeciwnikami znacznie lepiej wyszkolonymi i uzbrojonymi. Przed laty, kiedy pracował pod przykrywką w portach czy przesiadywał w interesach w podejrzanych melinach w zapyziałych dzielnicach parszywych miast, napatrzył się jednak na bójki i potyczki pomiędzy tępymi zbirami, żeby wiedzieć, jak przebiegają. Bo w sumie to nie miało znaczenia, gdzie wybuchnie bijatyka. Łojenie dupy to pewnego rodzaju lingua franca.

Koleś w czarnej koszulce krzyknął coś, tym razem zupełnie nie do rozszyfrowania. No i proszę – cichy tupot stóp. Coraz bliżej. Coraz głośniej. Court pilnował się, by patrzeć prosto na dryblas w czerni i do ostatniej chwili udawać, że wcale nie spodziewa się ataku z tyłu.

Kroki były tuż przy nim. Court zareagował z szybkością błyskawicy. To była jego pierwsza prawdziwa bójka od ładnych kilku miesięcy. W jednej chwili kucnął, obrócił się i odskoczył na bok. Dostrzegł łysego młodzika w pomarańczowej bluzie do rugby. Nacierał na niego, mierząc zakrzywionym prętem w miejsce, które przed ułamkiem sekundy Gentry opuścił. Ciężar żelastwa oraz siła zamachu i pędu wytworzona przez Irlandczyka sprawiły, że dryblas nie zdołał się zatrzymać, i nie zmieniając kierunku, mknął dalej jeszcze przez chwilę po tym, jak jego mózg zarejestrował, że przeciwnika już tam nie ma. Gdy ten go minął, Court podniósł się błyskawicznie i wymierzył pięścią w ciemną noc, jak gdyby strzelał z pistoletu. Trafił idealnie tuż pod prawe ucho napastnika, rozwalając mu żuchwę i przekręcając głowę tak, że dryblas stracił przytomność jeszcze przed uderzeniem o asfalt. Pręt z głośnym brzdękiem wylądował na ziemi. Po chwili obok niego niczym kłoda padł Irlandczyk, następnie przeokołkował, bezwładnie machając rękami i nogami, aż zatrzymał się u stóp kompana. Nie ruszał się. W świetle kobaltowych latarni widać było krew na jego twarzy, którą zranił, gdy szorował nią po asfalcie.

Typek w czarnej koszulce z dzikim przerażeniem zaczął wywijać łańcuchem. Spojrzał na kolegę, po czym podniósł wzrok na stojącego przed nim brodacza, który dostrzegł w jego oczach tyle samo wściekłości co

przerażenia. Court podszedł do dryblasa ze spuszczoneymi rękami. Rozluźnił ramiona i spojrzał na niego spokojnie. Był w swoim żywiole. Łańcuch poszybował do przodu. Gentry zagroził napastnikowi drogę, złapał żelastwo lewą ręką, po czym uderzył go tak mocno, że ten aż stracił równowagę, i przyciągnął go do siebie.

Prawą dłonią huknął Irlandczyka w szyję, powalając go do tyłu. Dryblas poleciał na ziemię, krztusząc się i parszcząc. Miał poranioną grdykę, która w błyskawicznym tempie puchła. Gapił się na nachylającego się nad nim brodacza.

Kiedy Amerykanin się odezwał, wydawał się opanowany, jakby to on był inicjatorem tej nocnej zasadzki.

– Poproszę o numer mieszkania Slattery’ego. Dwa razy nie będę pytał.

* * *

Cztery minuty później czubek założonego na lufę tłumika uchylił niezamknięte drzwi mieszkania numer sześćdziesiąt sześć na osiedlu Queens Court. Za tłumikiem widniał rosyjski pistolet Makarow Bajkał. Za spluwą stał Gray Man. Wyostrzał wszystkie zmysły, tym bardziej że drzwi zastał uprzejmie otwarte. To było dziwne, zwłaszcza że lokator musiał przecież wiedzieć, że ktoś po niego idzie.

Gentry wszedł do jasno oświetlonego pokoju. Nie musiał długo rozglądać się za celem. Slattery siedział przy prostym drewnianym stole pośrodku pomieszczenia, przodem do drzwi. Przed nim stały butelka whiskey i trzy literatki. Court zauważył, że mężczyzna się przebrał. Nie miał już na sobie koszuli, ale opiętą na brzuchu niebiesko-czarną bluzę do rugby z rozpiętym kołnierzykiem. Czyżby to barwy jego ulubionej drużyny?

Slattery długo się na niego gapił. W końcu wziął jedną ze szklanek i postawił ją do góry dnem, czyli spodziewał się dwóch gości, pewnie tych, którzy teraz leżeli na ulicy. Dougal otrząsnął się i powoli podniósł drugą szklankę.

– Może się napijesz, młody? – zaskrzeczał. Widać było, że jest zdenerwowany.

Court szybko rozejrzał się wokół. Broń wciąż miał wycelowaną w czoło mężczyzny. W końcu odezwał się cicho i jakby bez przekonania:

– Trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Slattery posłuchał i zapytał:

– Zabiłeś ich?

– Rugbystów? Skąd, wykaraskają się – odparł i dodał: – Kiedyś.

Slattery pokiwał głową. Wzruszył ramionami.

– Poszło jak po maśle, co nie?

– Owszem, nie powiem, żebym się zmachał.

– Nie daliby rady, nawet gdyby nie byli w sztok pijani. Usiądź na początek, dobra? Mam naprawdę wyborną łychę.

Court wciąż obawiał się zasadzki, nie tracił czujności. Jego przyszła ofiara wydawała się podejrzanie pogodzona z czekającym ją losem, ale to mogła być pułapka.

– Nie chcę.

Wielkolud znów wzruszył ramionami.

– No to chociaż pozwól mi się najpierw napić.

Nie czekał na pozwolenie. Nalał szklanekę old bushmillsa, opróżnił ją jednym haustem, postawił na stole i ponownie napełnił.

Court podszedł do okna, po drodze wyłączając główne światło. Pograżony w ciemności, wyjrzał na ulicę.

– Nikt nie przyjdzie – powiedział Slattery. – Już spotkałeś tamtych dwóch. A nawet gdyby byli w stanie chodzić, i tak by tu nie zaszli, słowo honoru.

Court przeszukał sypialnię, łazienkę i kuchnię. Rzeczywiście byli sami. Irlandczyk siedział przy stole przodem do drzwi. Wziął kolejnego szota i znów sobie nalał. Czekał cierpliwie. Kiedy Gentry znów do niego przyszedł, Slattery chwycił butelkę i przechylił ją w kierunku gościa.

– Jesteś pewien, że się nie napijesz? Nawet kropelczki? Kiedy ja byłem w pracy, zawsze lubiłem golnąć co nieco na wzmocnienie.

Court pokręcił przecząco głową. Był skupiony na zadaniu. Podniósł makarowa.

Dougal Slattery zaczął pośpiesznie mówić:

– Słuchaj, stary. Ja wiem, że musisz to zrobić. Nie będę się kłócił. Znam ten fach, wiem, jak jest. Ale mam jedną sprawę. Proszę o maluteńką przysługę. Mam dzieciaka. Cóż, nie całkiem dzieciaka. Już mu, zdaje się, stuknęła trzydziecia. Mieszka w Galway.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kogo to obchodzi?

– Młody ma downa. Złoty chłopak, ale nie zajmie się sobą. Matuli też już nie ma. Stara kurwa z Belfastu jakieś dwadzieścia lat temu zaćpała się na śmierć. Dałem go do prywatnego ośrodka. Tylko ja mu zostałem.

– To mnie naprawdę nie obchodzi.

– No, ale mówię. Wysyłam mu forszę, tyle, żeby go uchronić przed zakładem publicznym.

Court odciągnął kciukiem kurek.

Dougal wciąż gadał, coraz szybciej.

– Bez tej forsy na stówę trafi do państwowego. A tam jest pierdolony bajzel, ja to wiem. Mój syn to kara za to, jak żyłem. Mnie to se możesz zabić, ale nie karaj młodego za moje grzechy.

Court zdał sobie sprawę, że trzeba było mu strzelić w łeb, jak tylko wszedł do mieszkania.

– Każdy kogoś zostawia, nie mogę ci pomóc.

– Mnie nie, ale jemu owszem. Proszę o dwadzieścia cztery godziny. Jeden, kurwa, dzień. Napadnę se na bank czy inny kantor. Po południu wóz pancerny jeździ tam i z powrotem po Dawson Street. Nie brakuje okazji na szybką piłkę. Chcę tylko strzelić tego gola. Zdobyć forszę, żeby się o niego nie martwić. Gdybym się spodziewał, że do mnie przyjdiesz, tobym się zdążył przygotować. Ale zaskoczyłeś mnie. Już dawno nikogo nie zabiłem. Myślałem, że udało mi się z tym skończyć. Uwierz mi, nie zwieję. Jutro po południu na stówę zrobię przelew do Galway, a potem tu wrócę i możesz mnie palnąć. Przysięgam na duszyczkę nieboszczki matuli. Zapłacą ci za mą łepetynę, a ja mu zapewnię opiekę na ten czas, kiedy mnie zabraknie. Patrz, jak grzecznie siedzę. Chcę ci pokazać, że ja nie uciekam. Ja nie walczę. Już nie. No patrz, daję ci siebie, w zamian proszę, żebyś ty dał mi jeden jedyny dzień, żebym mógł zapewnić godną przyszłość synkowi. – Mężczyzna prawie płakał. Był zdesperowany.

Court nie wątpił, że mówił prawdę, ale się ogarnął. Podniósł broń na wysokość oczu.

– Przykro mi, stary. Nie ma mowy.

Z oczu Slattery'ego popłynęły łzy, zanim jeszcze wychylił kolejną szklanę. Tym razem już sobie nie dolał.

– A myślałem, że mam do czynienia z kimś, kto ma duszę. Mój błąd. Czyli młody trafi do publicznego – uśmiechnął się smutno. – Ale nie wszystko przepadło. Zostało mi coś na pocieszenie. Bo wiem, że pewnego dnia Sid wyśle takiego samego gościa i po ciebie.

Court lekko opuścił broń.

– Sid?

– No bo to prawda, że jesteś nowym chłopaczkiem Sida, co nie? A ja jestem starym chłopaczkiem Sida, więc patrząc na mnie, widzisz własną

przyszłość. Wysłał cię na małą robotkę, żebyś zwolnił dla siebie miejsce w jego firmie. Wiesz chyba, że to sprawdzian dla ciebie, czy nadajesz się na mojego następcę, co nie?

Court milczał kilka sekund. Załamane oczy Irlandczyka zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

– A więc nawet ci tego nie powiedział? A to chujek z tego Ruska! Myślisz, że wypełniasz zlecenie kogoś innego? Co ty, stary! To wszystko to sprawa Sida!

Gentry opuścił niżej broń.

– Dlaczego?

Slattery nalał sobie whiskey i się napił.

– Cóż, pięć lat temu nawiedził mnie Sid. Akurat pracowałem sobie przy... w każdym razie dla innego Ruska. Sid mi mówi, że podoba mu się moja robota i chce, żebym zaczął pracować dla niego. A ja na to: „A gdzie haczyk?”. No bo wiadomo, że Sidorenko zawsze dostaje najtłustsze zlecenia. A on mi mówi, że jedyne, co muszę zrobić, to palnąć takiego jednego, co jest na moim przyszłym stanowisku. Samemu zwolnić dla siebie miejsce, czaisz? Bo tamten koleś, Izraelczyk, już mu nie odpowiadał. Nie wiem dlaczego. Sid powiedział, że jak tylko sprzątnę mu żydka, stanę się jego najlepszym człowiekiem.

– Więc go zabiłeś.

– No raczej! W końcu taka praca, co nie? No a teraz jestem już za stary, zbyt połamany i nie daję rady likwidować większych ryb. Nie przynoszę mu tyle forsy, co kiedyś, więc cię po mnie wysłał, byś zajął moje miejsce. Pewnie uznał, że na wypadek, gdybym chciał coś dać do gazet czy sypać do Interpolu, lepiej mnie sprzątnąć.

Court był zszokowany. A więc Sid kłamał, mówiąc o zleceniodawcy tej misji. Nie było żadnego klienta, chodziło wyłącznie o osobisty interes jego nowego pracodawcy, któremu po prostu zależało na zabiciu tego człowieka. Po chwili otrząsnął się i przypomniał sobie kilka najohydniejszych szczegółów z teczki Slattery'ego.

– Powiedział mi, że zdarzyło ci się popełnić kilka paskudnych zabójstw – odparł, znów mierząc z makarowa.

Slattery przechylił głowę. Teraz naprawdę był zdziwiony.

– Paskudne zabójstwa? Paskudne zabójstwa? A widziałeś ty kiedy, kurna, ładne zabójstwo?

Court po chwili dodał:

– Chodzi o to, że zabijałeś niewinnych.

– Oj, pierdu, pierdu! Nie będziesz mnie tu chyba osądzał na podstawie tego, co zasłyszałeś od Sida? Żałosny jesteś. No, kończ już. Miejmy to z głowy. Wsadźże mi kulkę w nos i poklep się po brzuszku. Paskudne zabójstwa? Dobrze sobie! Niewiniątka? Jesteś chyba najbardziej pretensjonalnym zabójcą na zlecenie, jaki srał se na tej ziemi.

Nozdrza Dougala Slattery'ego drżały. Patrzył prosto w tłumik na końcu lufy małego makarowa. Po jego oczach poznać było, że pił, ale nie było w nich ani cienia strachu.

Po dłuższej chwili Court opuścił broń. Odsunął drewniane krzesło i powoli usiadł naprzeciwko Irlandczyka.

– A wiesz, chyba się jednak napiję.

Slattery nalał im obu, ani na chwilę nie spuszczał oczu z Amerykanina.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dziesięć minut później Court schował broń. Postanowił nie zabijać siedzącego przed nim mężczyzny. Oznajmił mu to wprost. Irlandczyk ani się nie uśmiechnął, ani nie odetchnął z ulgą, wyciągnął tylko ku Gentry'emu rękę i wymienił z nim uścisk dłoni. Siedzieli w maleńkim pokoju oświetlonym delikatnym światłem latarni wpadającym przez okna prawie w zupełnej ciszy. Court starał się nie zdejmować dłoni z blatu niewielkiego drewnianego stołu, żeby nie denerwować Slattery'ego.

– Oj, Sid nie będzie zadowolony – zauważył Dougal po chwili.

– Umawialiśmy się. Powiedziałem mu, że będę wykonywał tylko te kontrakty, co do których nie mam wątpliwości. Zachowałem prawo do wycofania się z umowy, jeśli okaże się, że otrzymałem fałszywe informacje. Niech się pierdoli!

Slattery podniósł szklanę bushmillsa.

– Za to wypiję! Pieprzyć Sida!

– Wiesz, że wyśle za tobą kogoś innego?

– Ano owszem. Pewnie tak. Może powinienem mu to ułatwić i pozwolić, żebyś mnie teraz zabił, i mieć to już z głowy.

– Ej, ja nie robię przysług – odparł Court.

Gruby Irlandczyk roześmiał się na cały głos.

– A to dobre, stary. Może zanim ten drugi przyjdzie mnie sprzątnąć, moje chłopaczki zdążą już wyjść ze szpitala. Miejmy nadzieję, że ten jebany Sid tym razem wyśle kogoś, z kim sobie poradzą.

Court się zaśmiał:

– Oj, wątpię.

Dougal Slattery nalał sobie kolejną porcję old bushmillsa, po czym, jak gdyby nigdy nic, chwycił szklanę Courta i zaczął mu dolewać.

Gentry próbował go powstrzymać.

– Dzięki, już mam dość.

Slattery jednak nie przerywał.

– Przecież to dopiero trzecia, młody. Trzecia bania zrobi z ciebie mężczyznę! Słowo honoru!

Court wzruszył ramionami, potrząsnął głową, po czym sięgnął nad blatem po szklankę. Miał nadzieję, że trunek ukoji jego ciało, które domagało się kolejnej porcji leków przeciwbólowych.

– Na twoim miejscu pomyślałbym, żeby na chwilę czmychnąć z tego... – dodał.

Nagle stół poleciał wprost na Courta. Szklanka uderzyła go w usta, zanim zdążył ją złapać, drewniany kant uderzył go prosto w brodę. Głowa Gentry’ego odskoczyła, krzesło się przewróciło do tyłu, a on wraz z nim.

To wielki Irlandczyk tak go urządził. Slattery rzucił się na Courta nad stołem, chwycił go, jeszcze zanim ten uderzył plecami o podłogę. Grube łapska Dougala zacisnęły się na umięśnionej szyi Amerykanina. Court próbował krzyczeć, ale nie był w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Czuł, jak kciuki Irlandczyka wbijają mu się w gardło, prawie miażdżąc grdykę. Choć był zamroczony po uderzeniu stołem, instynktownie przekręcił głowę, aby poluzować chwyt napastnika. Próbował podnieść rękę i zepchnąć z siebie wielkie łapy Irlandczyka, ale te tylko drgnęły.

– Przestań! – zagulgotał Gentry. Naprawdę miał zamiar pozostawić Dougala Slattery’ego przy życiu. Ten jednak albo mu nie uwierzył, albo stwierdził, że Sidowi jakoś uda się ponownie namówić Courta do zabójstwa Irlandczyka, i wolał zapobiec takiej ewentualności, póki miał ku temu okazję.

Court leżał na plecach. Wielki Irlandczyk siedział na nim, wyduszając z niego resztki życia. Z tej sytuacji było tylko jedno wyjście. Court miotał się na podłodze pokrytej tanim linoleum, po czym zapał się piętami i obrócił wraz z napastnikiem w stronę prowadzących na korytarz drzwi. Oparł o nie stopy i wciąż próbując rękami uwolnić gardło od żelaznego uścisku, przesuwając je powoli w górę. Piętnaście centymetrów, sześćdziesiąt, prawie metr do góry. Wreszcie podniósł tors. Dougal przetoczył się na twarz i ramiona Amerykanina. Court z całej siły odepchnął się stopami od drzwi, przez chwilę manewrował głową, po czym przechylił się do tyłu, spadając na Irlandczyka. Sturlał się z niego, wyslizgując głowę z jego zacisku, i wylądował na kolanach na przewróconym do góry nogami stole. Natychmiast wykonał szybki uskok, spodziewając się dzikich uderzeń zadanych przez powalonego byłego boksera.

Po sekundzie obaj już stali. Court patrzył na napastnika. Gruba morda Irlandczyka była czerwona jak burak i śliska od potu. Jego oczy łypały dziką wściekłością. Krzyknął coś, pewnie po irlandzku, lecz Court niczego nie zrozumiał. Gentry chciał mu wyjaśnić, że się myli. Że chciał go zostawić w spokoju, ale nie zdążył. Slattery zrobił krok do przodu i wymierzył mu prawy prosty, trafiając częściowo w lewą kość policzkową Courta. Miejsce po uderzeniu piekło go i bolało, a oko natychmiast wypełniło się łzami. Obraz się rozmazał. Court nie docenił dzikiej siły grubasa i nie przewidział jego dosłownie oślepiającej prędkości. To był błąd i niewiele brakowało, a przypłaciłby go życiem. Wycofał się w kąt pokoju, odsuwając się od dryblasa na tyle daleko, aby sięgnąć po makarowa, ale spostrzegł, że kabura jest pusta. Spluwa musiała wypaść podczas szamotaniny, pewnie leżała gdzieś na podłodze, pod przewróconym stołem czy połamanym krzesłem.

Slattery też dostrzegł pustą kaburę. Jego twarz – koloru wiśniowej leguminy – rozjaśnił dziki, szalony wręcz uśmiech.

– Oj, już po tobie, młodzieniaszku! – krzyknął, po czym ponownie mu przyłożył.

Tym razem Gentry'emu udało się uchylić i pięść ledwo musnęła jego brodę. Następnym ciosem był lewy sierpowy. Dougal przyjął pozycję pozwalającą na wzmocnienie ciosu. Courtowi udało się go zablokować, ale pod wpływem uderzenia upadł. Choć nie oberwał pięścią w twarz, sama siła zamachu, którą musiał odeprzeć przedramieniem, sprawiła, że poleciał do tyłu. Wylądował pod ścianą na kolanach. Wstał szybko, w samą porę, żeby uniknąć kolejnego prostego. Następnie odwinął się, wbijając palec w splot słoneczny napastnika, i kopnął wielkiego Irlandczyka w krocze.

Ale Slattery wydawał się niewzruszony.

– Jezusicku! – zawołał z pogardą. – Ty się, kurwa, naporzasz niczym mała dziewczeczka!

Wtedy Gentry przypomniał sobie o słabym punkcie przeciwnika. Przecież przez pół godziny chodził za nim w nocy, gdy ten kuśtykał do pubu. Widział, z jakim trudem przenosi ciężar na lewą nogę. I Court bezlitośnie kopnął Slattery'ego w lewe kolano od tyłu. Rozległ się głośny trzask. Dougal krzyknął z bólu, ale się nie przewrócił. Nacierał dalej, choć atak Amerykanina zmusił go do zdradzenia swoich następnych ruchów. Court skulił się i przechylił na prawo, robiąc unik przed pięścią Irlandczyka, która musnęła powietrze tuż obok jego lewego ucha. Wtedy skoczył na

przeciwnika, uderzając go z całej siły, odbił się od podłogi, po czym chwycił dryblasę za prawe ramię. Od tego momentu idealnie wykonał krok po kroku dobrze znany mu manewr: prawą rękę wyciągnął aż do podbródka napastnika, po czym zgiął łokieć przy brodzie Irlandczyka, dotykając dłonią z tyłu jego szyi. Następnie chwycił kołnierz bluzy Dougala, podciągnął go mocno w górę i okręcił wokół jego szyi, chwytając materiał z przodu drugą ręką.

– A walczże jak mężczyzna, ty pieruński... – Słowa Dougala urwały się, ustępując miejsca niezrozumiałemu gulgotowi.

Gentry zacisnął kołnierz na szyi przeciwnika niczym garotę, dusząc go jego własną bluzą. Cały czas trzymając rękę wokół szyi dryblasę, tak jakby ścisnął go namiętnie, zarzucił obie nogi na plecy eksboksera, po czym przytrzymał go z całej siły, lewą ręką ciągnąc za bluzę i zaciskając mu ją coraz mocniej na grdyce. Slattery, spanikowany brakiem tlenu, miotał się, utykając na chorej nodze. Udało mu się jednak chwycić Amerykanina i pchnąć go na szybę, a potem gipsową ścianę tak mocno, że pękła, a wisząca na niej tania podróbka litografii przedstawiającej wąsatych bokserów bez rękawic spadła na podłogę. Na koniec rzucił nim w ciężkie drewniane drzwi.

W tej samej chwili pośród trzasków, dyszenia i krzyków rozległo się pukanie do drzwi. Jakaś kobieta krzyczała, dopytując się, czy z panem Slatterym wszystko w porządku i czy ma wzywać pomoc. Dougal nie był w stanie nic powiedzieć. Próbował sięgnąć do zamka ręką, ale pozbawiony tlenu, tracił siły. Gdy tylko położył palec na ryglu, Court sięgnął do tyłu prawą ręką, zatrzasnął zamek, po czym nogami odepchnął się od drzwi.

Obaj padli z impetem pośrodku pokoju.

Slattery wciąż nie był w stanie oddychać, ale miał w sobie jeszcze dużo zapału do walki. Udało mu się przetoczyć na Courta. Ten jednak nie dawał za wygraną. Wykorzystał siłę pędu napastnika i wkrótce znalazł się nad nim. Przez trzydzieści sekund charczeli i kopali się nawzajem wśród połamanych mebli i sprzętów małego mieszkania. Gentry'emu udało się usiąść na ręce Slattery'ego, a ten walił go gorączkowo pięścią w plecy i w tył głowy. Potężny Irlandczyk próbował uderzyć Gentry'ego czołem w jego czoło, ale ich głowy i tak się już stykały, więc nie miał możliwości jej odchylić. Nagle walka spowolniła, a potem ustała. Court wciąż przyciskał gardło ofiary, ale przesunął się nieco, by popatrzeć Irlandczykowi w twarz. Dougal miał wytrzeszczone oczy. Czerwoną twarz pokrywała warstwa potu

cuchnącego whiskey, octem i ludzkim smrodem. Court był nad nim. Krew z jego pokaleczonych szklanką ust ściekała na czoło Irlandczyka. Czerwone krople mieszały się z potem i spływały czerwonymi strużkami do oczu leżącego. Wybałuszone oczy boksera zamrugwały słabo. Court poluzował nieco bluzę napastnika. Dougal wziął głęboki wdech, zakrztusił się i zaświstał.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów. Gentry mówił pomiędzy ciężkimi oddechami, wyczerpany dziką walką.

– Ten dzieciak. Twój syn... z downem? To prawda?

Slattery miał spuchnięty język i gardło. Wykaszłał krwawą plwocinę, po czym wydusił:

– Jak Bożę kocham.

Court pokiwał głową. Otarł pot z czoła. Wciąż cedził słowa, nie mogąc złapać tchu.

– Dobra... dobra... O to się... nie martw... Zajmę się nim... Będzie okej.

Irlandczyk spojrzał na niego wytrzeszczonymi oczami. Mrugnął. Po jego twarzy spłynęły łzy przemieszane z krwią. Łkał. Śluz skapywał mu z nosa. Pokiwał głową.

– Cudownie, młody. Zwracam ci honor. Masz jednak duszę. Dobry z ciebie człowiek – wychrypiał przez zaciśnięte gardło.

– Aha – odparł Court, dotykając czubkiem palców czoła Irlandczyka. – Nie inaczej – mruknął, delikatnie odgarniając mu z czoła mokre siwe włosy.

Pokiwał głową.

– Zaraz mi, kurwa, postawią kapliczkę.

Zwinnym ruchem Court Gentry podniósł leżącego obok na podłodze makarowa, wcisnął tłumik głęboko pomiędzy fałdy szyi Dougala Slattery'ego i strzelił. Nabój przebił się przez szyję, język, podniebienie, zatoki prosto do mózgu. A potem pocisk kaliber .380 zatańczył w czaszce pięćdziesięcioczerolatka i zatrzymał się za jego lewym uchem. Oczy Slattery'ego się zeszkliły. Nawet po śmierci pozostały szeroko otwarte.

Court zsunął się z klatki piersiowej Slattery'ego, po czym położył się na plecach obok nieboszczyka. Był wyczerpany, wykończony, wyzbyty resztek energii i jakichkolwiek uczuć. Twarz bolała go po uderzeniach Irlandczyka. Bolały go też brzuch i udo, w które został ranny poprzedniej zimy.

Gentry i Slattery leżeli na poboju, jakie zostało z małego mieszkania. Obaj gapili się beznamiętnie w niski sufit.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przypływająca łódka rozproszyła mgłę na odległość prawie kilometra od brzegu. Za nią zniknął w oparach płynący na zachód litewski frachtowiec, który był środkiem transportu Courta w obie strony jego podróży na Zieloną Wyspę. Statek włączył wszystkie silniki na pełne obroty i ruszył w drogę powrotną. Court stał przy dziobie niewielkiej łódki. Mrużąc oczy, próbował dostrzec doki gdańskiej stoczni. Był jedynym pasażerem na pokładzie. Wciąż rozmawiał przez telefon satelitarny.

– Słuchaj, Paulus. Podkreślam: każdy cent z tej forsy, nie licząc twojego wynagrodzenia, ma trafić na pokrycie kosztów pacjenta. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, po prostu to załatw.

– Nie ma problemu. Możemy ustanowić zarząd powierniczy. Regularne automatyczne wypłaty dla ośrodka. Wybadałem wszystko, tak jak pan prosił. To najlepsza placówka w Irlandii zajmująca się pacjentami w takim położeniu.

– Doskonale.

Jego rozmówca zamilkł. Court poznał po głosie z drugiej strony słuchawki, że jego rozmówca czuje się niezręcznie.

– Rozumie pan... Ja będę musiał o tym powiadomić sir Donalda.

– A powiadamiał go sobie. Ale skoro i tak z nim będziesz gadał, to przekaż mu, że ta forsa do niego nie należy. Ani do mnie. Tylko do dzieciaka. Jeśli cokolwiek tknie... To ja mu na to...

– Ależ, Herr Lewis... Bardzo proszę nie grozić sir Donaldowi. To mój pracodawca. Mam obowiązek przekazać mu wszystko, co pan powie...

– I na to liczę. Przekaż mu wszystko słowo w słowo. Jak tylko coś tknie, jakkolwiek zacznie w tym grzebać, to złożę mu wizytę.

– Ależ, Herr Lewis, naprawdę...

– Przekaż wiadomość, Paulus.

– Jestem pewien, że sir Donald wykona pana polecenie. I, jak ustaliliśmy, to ja będę zarządzał kontem. Standardowe warunki prowizji.

– Danke.

– Bitte schon. Szanowny panie, sir Donald bardzo jest do pana przywiązany. Nie wiem, dlaczego rozeszły się wasze drogi, ale mam nadzieję, że może kiedyś uda się wam usiąść i...

– Żegnam.

Nastąpiła pełna frustracji pauza, po której usłyszał uprzejme słowa pożegnania.

– Auf Wiedersehen, Herr Lewis.

Gentry schował telefon do płóciennej torby. Całą uwagę skupił na kolejnym wyłaniającym się niebezpieczeństwie. Właśnie to zauważył. Jakieś trzysta metrów przed nim. Przy dokach stało wielkie czarne auto. Z dwustu metrów zobaczył, że opiera się o nie kilku popielato odzianych osiłków. Ze stu czterdziestu metrów naliczył ich czterech, wydawało się też, że są znacznej postury. Z czterdziestu pięciu metrów poznał, że to Słowianie w garniakach, a ich auto to jakaś limuzyna.

To musiały być chłopaczki Sida. Przyjechały go odebrać i wziąć na przejażdżkę. Wkurzył się. Zamierzał przybić tu, do Gdańska, i na kilka dni zadekować się na malowniczym polskim wybrzeżu, a w swoim czasie skontaktować się z Sidem przez forum z wycieczkami na Ural. Jego były przełożony sir Donald nigdy nie wysyłał go na drugą misję z rzędu. Wiedział jednak, że te zbiry zostały na niego nasłane przez jego już wkrótce również byłego pracodawcę, aby go niańczyć i przypilnować, żeby Gentry posłusznie stawiał się i uklęknął u stóp swego nowego pana.

– A pieprzyć to wszystko – powiedział na głos Court, stojąc dwadzieścia metrów od brzegu.

Chłopaki odsunęły się od maski, rzuciły pety na ziemię i je przydeptały. Na ich szyjach błyszczały złote łańcuchy. Ruska mafia. No bo kto? Wszyscy jak jeden mąż podeszli aż do krawędzi przystani, żeby zapobiec ewentualnej ucieczce Courta tuż po przybiciu do portu.

No jasne.

Court zmierzył dok wzrokiem, badając, czy ma ewentualną drogę ucieczki.

Nie. Kurwa.

Gentry zszedł prosto na keję. Stał naprzeciw czterech zbirów. Milczeli. Cała, z Courtem włącznie, piątka tryskających testosteronem samców na robocie, z których żaden nie był zbyt zadowolony z obecnego położenia, komunikowała się jedynie wzrokiem. Były przywódca Courta w Sekcji

Operacji Specjalnych CIA, wulgarny eks-SEAL Zack Hightower, nazywał takie coś „ocnym ruchaniem”. Było to obleśne, ale celne określenie mężczyzn, którzy równocześnie pilnie przyglądali się sobie i pokazywali własną siłę i męstwo za pomocą chłodnych, butnych spojrzeń.

Court powoli rozchylił płaszcz, pokazując kolbę makarowa u pasa. Jeden z młodszych mężczyzn podszedł i wypchnął spluwę z jego kabury, szczerząc się do Gentry’ego drwiąco, jakby sam znalazł tę broń. Następnie dokładnie przeszukał Courta, wyciągnął z jego kieszeni nóż i włożył go do swojej. Przejrzał płócienną torbę przewieszoną przez ramię Courta, ale nie znalazł nic ciekawego. Rosjanin, zadowolony, że oto właśnie rozbroił Gray Mana, zrobił krok do tyłu i zniecierpliwionym gestem nakazał cudzoziemcowi podejść do auta.

Court zdjął torbę z ramienia, po czym rzucił ją jednemu z typów, żeby ten ją poniósł. Trafiła dryblasą w klatkę. Nie złapał jej, tylko pozwolił, by zsunęła się na ziemię, ani na chwilę nie przerywając i nie osłabiając „oczoruchania”.

Court nie mógł się powstrzymać. Uśmiechnął się, zrobił krok w kierunku torby, chichocząc, podniósł ją, a następnie podszedł do czarnej limuzyny i usiadł na tylnym siedzeniu.

Godzinę później był już w przestworzach. Na lotnisku imienia Lecha Wałęsy czekał na nich lekki odrzutowiec biznesowy Hawker 400. Nie było żadnej kontroli celnej czy sprawdzania paszportów, nikt o nic nie pytał, nie poproszono Courta o pokazanie jakichkolwiek dokumentów. Samolot wystrzelił w górę przez chmury, prosto w przejrzyste, poranne polskie niebo. Prócz Courta w siedmioosobowej kabinie siedziała czwórka, która odebrała go z doku. Mężczyźni wskazali mu, gdzie znajduje się jedzenie i alkohol, a następnie łamaną angielszczyzną oznajmili, że lot zajmie tylko dwie godziny. Nie powiedzieli mu, dokąd zmierzają, ale to nie miało znaczenia.

Court wiedział, dokąd lecą. Prosto do szefa, który mieszkał w Rosji, w Sankt Petersburgu. Rozparł się w fotelu i zrelaksował, sącząc wodę z butelki i słuchając rozmowy osiłków Sidorenki. Dwanaście lat wcześniej sprawnie władał rosyjskim, wszystko rozumiał, lecz od tego czasu jego umiejętności posługiwania się tym językiem znacznie zardzewiały. Kiedy przez ponad pół godziny z zamkniętymi oczami skupiał uwagę na pogaduszkach otaczających go zbirów, stwierdził, że rozumienie tego jakże nieprzejrzystego języka jednak wraca. Był prawie pewien, że ani Sid, ani

jego ludzie nie wiedzą, że cokolwiek rozumie po rosyjsku. Postanowił w najbliższym czasie wykorzystać ich niewiedzę na swoją korzyść.

Hawker przechylił skrzydło i rozpoczął zniżanie, lądując tuż po południu. Przypuszczenie Courta, że zmierzają do Petersburga przed oblicze pracodawcy, się potwierdziło, kiedy dojrzał przez lewe okno zarys Zatoki Fińskiej. Lotnisko też rozpoznał jeszcze z góry, czyli będą lądować na Rzewce, w porcie położonym na uboczu, dalej od centrum niż główne lotnisko międzynarodowe. Gentry był już na nim nieraz.

W starych dobrych czasach, czyli jakieś dziesięć czy kilkanaście lat temu, pracował jako działający w pojedynkę agent dla CIA. Mieszkał sam, pod przykrywką, za granicą. Teoretycznie mógł zostać wysłany w każde miejsce na ziemi, na terytorium zarówno sojusznika, jak i wroga, ale w praktyce przeważnie działał w krajach byłego Związku Radzieckiego: w Rosji, na Ukrainie, Litwie, w Gruzji czy w Tadżykistanie. CIA miało powody, żeby wysłać pracowników z Programu Agentów Samodzielnych na badlandy Wschodu, aby śledzili, a czasem nawet likwidowali handlarzy bronią czy tajemnicami nuklearnymi. Przez jakiś czas zdawało się, że jedynymi rzeczami zza żelaznej kurtyny, które warto sprzedawać, były ocalałe relikwie pozostawione po tym upadłym, diabelskim imperium. Wydawało się również, że Court Gentry i jego koledzy z programu mieli do roboty tylko to, by jechać tam, śledzić jakiś cel, zdać raport i/lub czy zamontować pluskwy w jego domu, i/lub posmarować jego przyjaciółom, i/lub podłożyć w odpowiednie miejsce inkryminujące go dowody.

I/lub go zabić.

Ale to były lata dziewięćdziesiąte. Stare dobre czasy.

Przed jedenastym września.

Po zamachu na World Trade Center był w Sankt Petersburgu już tylko raz, w styczniu dwa tysiące trzeciego. Należał wówczas do grupy specjalnej Golf Sierra, tak zwanej Bandy Zbirów, paramilitarnej jednostki od najbardziej mokrej roboty Sekcji Operacji Specjalnych CIA, która polowała na terrorystów i ich pomagierów na całym świecie. To wtedy wylądowali agencyjnym odrzutowcem na tym właśnie lotnisku. Część ekipy czekała w kryjówce na wsi, a Court i Zack Hightower zostali zakwaterowani w rozpadającym się bloku kilka przecznic od eleganckich hotelów wzdłuż Newskiego Prospektu. Potem, w trzecim tygodniu pobytu w Wenecji Północy, Banda Zbirów wsiadła do pontonu bojowego marki Zodiac i wkradła się na pokład wypływającego właśnie z miejscowego portu

frachtowca. Tam powinni znaleźć materiały nuklearne zmierzające do Iraku, przesyłkę specjalną dla Saddama Husajna. Tymczasem tym, na co trafili, była tylko zwykła, konwencjonalna broń, czyli, jak to Zack Hightower określił w komunikacie nadanym z telefonu satelitarnego do Centrali w Langley, rzeczy „które robią bam-bam-bam”, zamiast „tego, co robi jedno wielkie bum”. Polecono im zostawić to, co znaleźli, na pokładzie, wrócić na ponton i wypierdalać z Rosji. Zdziwili się, ale później, kiedy te same dobra zostały „odkryte” w Basrze w Iraku, sens rozkazu stał się dla nich jasny. Pokazywano je potem na okrągło w mediach, nie zapominając o zwróceniu uwagi telewidzów na rosyjskie oznakowanie. Sam statek wraz z towarem był śledzony i pilnowany przez satelity aż do Iraku. Marines, którzy dokonali znaleziska, doskonale wiedzieli, gdzie szukać, a jeśli chodzi o sympatię opinii publicznej, kompromitacja Rosji przechyliła szalę na stronę kierujących misją Amerykanów. Nie bardzo, ale troszeczkę.

To była polityka, a nie tym miała się zajmować Banda Zbirów. Courtowi się to bynajmniej nie podobało, ale – jak stwierdził jego ówczesny szef Zack – nie płacono im za to, żeby im się to podobało, tylko by to zrobili.

Prosto z samolotu Sidorenki przeprowadzono Courta sto metrów przez zmrożony pas startowy do długiej czarnej limuzyny. Jego eskorta zaprowadziła go na miejsce przy kierowcy.

– Usiądzie z przodu. Tył jest dla VIP-ów – powiedział jeden z dryblasów, szczerząc zęby. Miał w nich i wokół szyi tyle metalu, że na pewno był w stanie odbierać lokalne stacje AM. – A ty jest tylko „P” – dodał, śmiejąc się w głos, po czym przetłumaczył swój dowcip koleżkom, którzy też się roześmieli.

Court wzruszył ramionami i wgramolił się na miejsce koło kierowcy. Dryblaszy, marne z nich VIP-y, wtarabaniły się na wyściełaną pluszem tylną kanapę. Było to absurdalne wręcz pogwałcenie zasad bezpieczeństwa – głupotą było zostawienie Courta samego z podstarzałym kierowcą. Cóż, goryle Sidorenki nie wyglądały na najlotniejszych spośród zbirów.

Podczas jazdy do Sankt Petersburga Court starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, by w razie czego mógł sam trafić na lotnisko. Planował być tu naprawdę krótko. Trzydzieści sekund na powiedzenie Sidowi, że nie podoba mu się to, jak go ciąga przed swoje oblicze, i przypomnienie mu, że nie tak się umawiali. Kolejne trzydzieści sekund na podkreślenie, jak bardzo nie podoba mu się matactwo na temat

najświeższego zlecenia. Na koniec mniej więcej dziesięć sekund na oznajmienie rosyjskiemu pracodawcy, że właśnie rzuca tę robotę, i jeśli obwieszani złotymi łańcuchami łysi troglodcy Sida spróbują go zatrzymać, to w firmie prędko zrobi się więcej wakatów.

Sęk w tym, że koniec końców sprawy bynajmniej nie potoczyły się tak, jak to sobie wyobrażał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po godzinie zajechali przed ogromną posesję na północnym skraju Sankt Petersburga. Court nigdy wcześniej tu nie był i przyznał niechętnie, że nawet nie potrafiliby wskazać tego miejsca na mapie. Ulice były szerokie, ze szpalerami drzew po każdej stronie. Stożące przy nich ogromne rezydencje były otoczone zadbanymi ogrodami. Domy wyglądały na stare i dostojne.

Limuzyna skręciła na podjazd. Gentry od razu zwrócił uwagę na stojący na jego końcu budynek. Już z oddali jego piękno zapierało dech w piersiach. Z architektonicznego punktu widzenia była to perełka. W miarę jak zbliżali się do rezydencji, to wrażenie zaczęło tracić na sile – całość wyglądała tak, jakby zajmowała się nią, dorabiająca po godzinach jako ogrodnicy i pomoc domowa, ekipa przygłupich goryli Sida. Po prostu wykonywała zadania, do których nadawała się mniej niż nawet do świadczenia usług ochroniarskich. Na terenie posesji stały namioty. Wyglądały niczym niewielki obóz wojskowy. Płonęły ogniska, wszędzie kręcili się młodzi ludzie, którzy wydawali się nie mieć wiele do roboty. Na rozjeżdżonym trawniku po obu stronach podjazdu zaparkowało kilkanaście ubłoconych, zaniedbanych aut terenowych.

Z przedniej fasady domu łuszczyła się farba, a na okrągłym żwirowym parkingu wały się butelki, pety i inne śmieci. Gentry wyszedł z limuzyny. Przeprowadzono go przez kuchnię przypominającą pobożowisko po imprezie studenckiej, po której załamani nerwowo właściciele uciekli z lokalu: w zlewie piętrzyły się naczynia, wszędzie, gdzie tylko się dało, leżały opakowania po jedzeniu na wynos, butelki po wódce stały wzdłuż ściany niczym listwa wykończeniowa w stylu shabby-chic.

Court nie był pedantem, jednak pomyślał, że w miesiącach letnich na pewno zalęgają się w tej kuchni robale. Na szczęście przez nieszczęsne okna wpadało do pomieszczenia zimne powietrze, zapewne ograniczając możliwość pojawienia się robactwa. Zauważył też i na zewnątrz,

i wewnątrz kilka opasłych kocurów, które prawdopodobnie zajmowały się kontrolą populacji wszelkich szkodników.

Następnie przyszło mu się wspiąć dwa piętra szeroką, krętą klatką schodową. Na schodach siedzieli kolejni ochroniarze – grali na przenośnych konsolach, stukali w komórki, czytali gazety i palili szlugi. Każdy trzymał na kolanach pistolet maszynowy albo miał u pasa kaburę z pistoletem automatycznym. Niektórzy nosili garnitury będące niegdyś obowiązkowym strojem rosyjskiej mafii, większość jednak była odziana w moro lub wojskową zieleń, choć z całą pewnością nie było to jednolite umundurowanie, raczej strój amatorów survivalu czy myśliwych. Za to każdy był skinem. Większość łypała złowieszczo na Gentry’ego. Podejrzał, że to przez jego długie włosy i bujną brodę świadczące o tym, że należy do zupełnie innej niż oni subkultury. Mogli też wziąć go za przedstawiciela jakiejś mniejszości etnicznej, zapewne tej, którą akurat obwiniali za problemy swego zasranego żywota.

„Sram im na ryj” – pomyślał Court. Wiedział, że jest w stanie złoić dupę pięciu takim naraz, nawet się przy tym nie pocąc. Zorientował się jednak, że jak przystało na pewnego siebie macho, prawie przeoczył jeden szkopuł: mianowicie to, że na całej posesji było co najmniej dziesięć razy tyle dryblasów co tu. Widać ochrona Sidorenki stawiała znacznie większy nacisk na ilość niż na jakość.

Court przeszedł przez potężne podwójne połączane drzwi do biura mieszczącego się w pokoju przejściowym. Za biurkiem siedział sekretarz. On akurat był elegancko ubrany i od razu wydał się bardziej kompetentny niż pięćdziesiątka pajaców szwendających się po tej królewskiej melinie, których minął po drodze. Mężczyzna wstał i wyszedł zza pulpitu przywitać Courta.

– Czy szanowny pan raczy oddać mi płaszcz? – zapytał po angielsku.

– Dziękuję, nie zabawię tu długo.

Sekretarz wydał się zmieszany, ale szybko opanował emocje.

– Jak pan sobie życzy. Zapraszam, proszę tędy, za tamtymi oto drzwiami.

– To mówiąc, wskazał wejście z uprzejmym uśmiechem na ustach. Po sekundzie wycedził do czwórki goryli: – Nie odstępujcie go na krok.

Powiedział to po rosyjsku, ale Gentry go zrozumiał.

Te drzwi też były połączane. Po ich drugiej stronie znajdowała się obszerna ciemna komnata. Jedyńm źródłem światła był pałący się kominek na prawo od potężnego biurka na końcu wyłożonego parkietem

pomieszczenia. Poza tym w pokoju właściwie nie było mebli. Panowało tu zimno jak w psiarni, mimo że w kominku trzaskał ogień. Każdy odgłos rozchodził się echem jak w świątyni. Gentry kroczył przez ciemność w stronę siedzącego za biurkiem mężczyzny.

– Jak miło wreszcie poznać pana osobiście, panie Gray. – Gentry rozpoznał głos Grigorija Iwanowicza Sidorenki. Był wysoki, nosowy i jakimś cudem pasował do jego twarzy. Mężczyzna był drobny, miał maleńkie oczka, filigranową budowę ciała, a jego okulary wydawały się równie delikatne jak cała reszta. Był jednak młodszy, niż przypuszczał Gentry. Miał ze czterdzieści cztery, może czterdzieści sześć lat, ale nie wyglądał na kogoś w pełni zdrowia. Wychudła twarz sprawiała wrażenie zagłodzonej. Zapadłe policzki ziały pustką, co było widać nawet w ciemnym pokoju. Sid wyciągnął do Courta rękę, ale on to zignorował. Doskonale wiedział, że wszystko, co go spotkało od przybycia do Gdańska – dryblasy, samolot, limuzyny, spluwy, wrogość – miało tylko jeden cel: pokazać, że Sid ma nad nim władzę i kontrolę. Tak to już bywa, małe panoczki dzierżące wielką władzę często używają jej w sposób nieproporcjonalny, aby zrekompensować sobie to, co uznają za swoje niedociągnięcia. Gentry nie pierwszy raz miał z tym styczność. Wiedział jednak, że ogień trzeba zwalczać ogniem i samemu zaznaczać swoją dominację.

– Umawialiśmy się. Mieliśmy nie spotykać się osobiście. Złamał pan umowę. Nie jestem jednym z pańskich chłopaczków. Trzeciorzędna ekipa obwieszona łańcuchami, dzierżąca kiepsko naoliwione giwery mi nie zaimponuje. Zgodziłem się, by mnie tu przyprowadzono, tylko dlatego, że chciałem panu powiedzieć to, co przed chwilą powiedziałem. Dodam, że rzucam tę robotę.

Młodociane goryle zebrane wokół Courta nie znały angielskiego, ale po jego rozgniewanym obliczu i wrogim tonie domyśliły się, że trzeba się do niego zbliżyć, podeszły więc i zerknęły na szefa w oczekiwaniu na instrukcje. Ten uspokoił ich podniesioną dłonią, po czym zamachał paluszkami na znak, że mają się rozejść i stanąć w kącie pokoju. Posłuchały. Za Courtem rozległy się odgłosy oddalających się kroków.

Sidorenko ani na moment nie spuścił z niego oczu. Powoli wycofał się za biurko i usiadł. Sączył jakiś fioletowy napar z pozłacanej filiżanki. Z początku Court uznał, że udało mu się go nastraszyć, ale rosyjski gangster odezwał się tonem spokojnym i niewzruszonym.

– A czy widział pan kiedyś człowieka gotowanego żywcem w wannie kwasu?

– To ma być pytanie retoryczne?

– Przydarzyło się to mojemu byłemu koledze. – To mówiąc, Sid machnął ręką, jak gdyby chciał rozwiać obawy gościa. – Ale to bynajmniej nie była moja sprawka. Miało to miejsce tuż po aukcji państwowego wcześniej przedsiębiorstwa, bodajże w dziewięćdziesiątym trzecim. Pracowałem wówczas w zespole księgowych i prawników pewnego moskiewskiego gangstera. Mój pracodawca nie był żadnym oligarchą, geniuszem zresztą też nie. Ale ponad wszystko miłował pieniądze. Udało mu się wepchnąć do wielu sieci handlowych, a następnie wystraszyć bądź pozbawić życia współwłaścicieli. Mniejsza z tym. Uznał, że któryś z jego pracowników podbiera sobie co nieco z jego legalnych przedsiębiorstw, tak więc zaprosił nas wszystkich do dachy w Odessie. Tam zastaliśmy niezłych dryblasów. Chłopaki ze Specnazu dorabiające po godzinach jako goryle tegoż imbecyla. Zaprowadzili całą naszą dziewiątkę do stodoły, rozebrali wszystkich do rosołu, po czym przykuli do podkładów kolejowych. Dwa dni nas bili i polewali zimną wodą. A był to, proszę pana, październik. Najstarszy z nas, bodajże prawnik z wykształcenia, zmarł już pierwszej nocy. Drugiego wieczora nasz pryncypał nawiedził nas w stodole i rzekł, że jeśli jeden się przyzna, ocali tym samym żywot pozostałych. Nikt nie pisnął słówka. Bili nas przez kolejne pół doby.

Kiedy Sidorenko mówił, Court rozejrzał się po pokoju.

– Trzeciego dnia skonał następny. Już nie pamiętam nawet, jak wyglądał. Bodajże jakiś specjalista od takich czy owakich regulacji. Wtedy pryncypał wrócił i powtórzył ofertę. Znow nikt się nie przyznał. Byłem pewien, że wszystkich nas powyrzyna, ale na nasze szczęście oligarcha in spe był, jakby to ująć, niezwykle podejrzliwy wobec narodu żydowskiego. Leżeliśmy nagusieńcy w błocie i krwi. Spostrzegł, że jeden z nas jest obrzezany. Natan Bulichow. Wziął go za żyda, stwierdził, że to on musi być tym niecnotą, i nakazał przynieść stojące na zewnątrz wielkie drewniane koryto wypełnione rozpuszczalnikiem. Używano go do ściągania farby ołowiowej. Pieruńsko mocne świństwo. Rzucono Natana na ziemię, tuż przy korycie. Prawie godzinę te katy ze Specnazu chlapały łopatami kwasu biednego Natanka, który wił się w męczarniach na słomie. Pokraśniał cały, a na jego ciele zaczęły się pojawiać bąble, które pękały, pokrywając go paskudnymi ranami. A my byliśmy zmuszeni to oglądać. W końcu ci

z łopatomy się zmęczyli, chwycili haki na bele słomy, przykuli do nich biedaka rękami i nogami i wrzucili go prosto w kwaśną kąpiel. Cała nasza reszta, przyjaciele i współpracownicy nieszczęśnika, mieliśmy nadzieję, że dla swojego i naszego dobra pospieszy się z tym umieraniem. Nigdy nie zapomnę tego krzyku... W końcu jednak roztopiona twarz zanurzyła się i już nie wypłynęła. To było przeżycie doprawdy przerażające.

Court widział, że opowiadanie tej historii sprawia Sidowi niekłamaną przyjemność. Nie wiedział, co powiedzieć, więc rzucił:

– W takim razie nie powinien go okradać.

Sid wzruszył ramionami, sięgnął po herbatkę, po czym odparł, jak gdyby to było oczywiste:

– Ależ nieborak był niewinny. To ja zdefraudowałem pieniądze pryncypała. Zresztą dzięki tym właśnie funduszom otworzyłem ten oto interes. W każdym razie puścił pozostałych wolno. Sam zresztą zginął w dziewięćdziesiątym czwartym. Oberwał kulką w plecy w Moskwie, akurat podczas przymiarki garnituru u krawca.

Court westchnął.

– Czy ta historia ma do czegoś zmierzać? Bo tak po prawdzie to nie widzę morału. Czy miała mnie przerazić? Jeśli tak, to się nie udało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Zmierzam do tego, aby zrozumiał pan, z kim ma do czynienia. Mogę być pańskim przyjacielem. Doprawdy bardzo chcę nim być. Ale jeśli przychodzi pan do mojego domu i mówi do mnie takim tonem, jakiego właśnie pan użył, nie okazując ani krzty należnego mi szacunku, równie dobrze mogę stać się pańskim wrogiem. Niech pana nie zwiedzie moje przychylne nastawienie i proszę nie obrażać mnie w moim domu. I mnie trochę czasu zajęło zostanie człowiekiem, którym jestem teraz. Nie takie były moje początki. By osiągnąć sukces w Rosji, trzeba mieć w równym stopniu rozum i brutalność. Ten gangster, o którym przed chwilą opowiadałem, z niego był prosty brutal. Zabijanie w taki, jak on to robił, sposób, jest, owszem, całkiem skuteczne, ale żeby później pójść sobie obstalować garnitur i dać się zastrzelić... No cóż, nie miał na tyle oleju w głowie, żeby przewidzieć konsekwencje swojej brutalności. Inni, choćby księgowi jak ja, zajęli się działalnością kryminalną właśnie dlatego, że posiadali odpowiednie zdolności mentalne, aby osiągnąć sukces. I co z tego, skoro w tym bezlitośnym środowisku pełnym konkurencji, instytucjonalnej korupcji i krwiożerczej pogoni za pieniądzem... No cóż, księgowi kryminaliści zostali strąceni z planszy szybciej nawet niż agresywne półgłówki. – Po chwili zamyślenia kontynuował: – Zdałem sobie wówczas sprawę, że brakuje kogoś, kto miałby dość rozumu, by rozsądnie prowadzić interesy, a do tego posiadał wystarczająco silne nerwy, by wytrzymać nieuniknione w tym zawodzie okrucieństwo. Że tylko taka osoba ma szansę przetrwać i osiągnąć sukces w tej nowej Rosji. To, że mam co nieco za uszami... To wiedziałem. Ale panowanie nad nerwami i żołądkiem? Nad tym musiałem pracować latami.

– Czy teraz i pan kąpie pracowników w kwasie?

– Ależ nie. Ja traktuję moich ludzi bardzo, bardzo dobrze. Pewnie domyślił się pan, że to narodowi socjaliści. Dla rozrywki łożą skórę imigrantom. Nie przepadają za panem, gdyż po cerze i włosach założyli, że

przybył pan z Kaukazu. Ale bynajmniej im nie grożę. Pozwalam młodzieniaszkom żyć tak, jak chcą, biegać sobie swobodnie po mych włościach, a do tego hojnie ich wynagradzam.

– W złotych łańcuchach?

Sid zaśmiał się, szczerze ubawiony.

– Cha, cha! Nie, nie w złotych łańcuchach. W euro. Kiedyś w dolarach, ale cóż... czasy się zmieniają. Może pan do mnie przychodzić rozsierdzony i oznajmiać z wyższością, że nie chce pan już dla mnie pracować, ale gwarantuję, że jestem najlepszym pośrednikiem do tego, czego pan potrzebuje.

Na ścianie, po lewej Gentry’ego i po prawej Sida, wisiał olbrzymi portret w potężnej pozłacanej ramie. W przyćmionym świetle komnaty Court dostrzegł kwadratową twarz i przeszywający wzrok Józefa Stalina.

– Uroczy obraz – zauważył, siadając na niewygodnym drewnianym krześle naprzeciw biurka.

Sidorenko odwrócił się do portretu, jak gdyby właśnie go zauważył.

– Ach tak. Szanuję powagę, jaką reprezentuje.

– Nie podejrzewałbym pana o przynależność do starej hałasty.

– Cóż chce pan przez to powiedzieć?

– O bycie komuchem. Myślałem, że wy wszyscy, gangsterzy miliarderzy, jesteście, jak reszta cywilizowanego świata, kapitalistycznymi świniami.

Sidorenko zaśmiał się w głos, a z jego otwartych ust wydobył się wręcz niepokojący gulgot.

– A i owszem, jestem świnia, ale nie w kwestiach ideologicznych. – To mówiąc, wpatrywał się w portret. – To prawda, to portret człowieka paskudnego i przerażającego. Nie zmienia to jednak faktu, że szanowny Koba wypowiedział bodaj najmądrzejsze słowa, jakie kiedykolwiek padły z ust człowieka. Powiedział: „Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy...”.

– „... nie ma człowieka, nie ma problemu” – dokończył Court.

Sidorenko uśmiechnął się z aprobatą.

– Ależ oczywiście, że pan to zna. Jest to wręcz pana motto życiowe, czyż nie?

– Nie.

Sid wzruszył ramionami.

– To może credo operacyjne? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Stalin, Romanowowie, wielka wojna ojczyźniana, obecny fenomen skinów nacjonalistów. Widzi pan, mam słabość do paskudnych, naprawdę

paskudnych rzeczy. Jestem amatorem mocy okrucieństwa. Ten, kto potrafi zadać śmierć i nieszczęście pobratymcom, jest potężniejszy niż ci, którzy są bogaci, sławni czy dobrzy.

– A to jest pańskie credo operacyjne?

– W sumie to nie. To nic tylko sposób spędzania wolnego czasu. Większość moich interesów to sprawy mało szkodliwe: prostytutki, pranie pieniędzy, kradzione auta, karty kredytowe, narkotyki... Owszem, da się na tym zarobić, ale nie pałam nadmierną miłością do pieniędzy. No bo widzi pan, nie ma nic tak satysfakcjonującego jak bycie graczem w przemyśle, w którym pan operuje. Chodzi mi o biznes śmierci. Jestem Rosjaninem. Nasza historia to mrok i zniszczenie. Cierpi wielu, a tych, co zadają cierpienie, jest w sumie niewielu. Ja postanowiłem należeć do tej drugiej grupy. Wiem, że to okropne, ale o ileż lepsze niż do tej pierwszej, czyż nie?

Court milczał. Przywykł do pracy dla tych przy boku, wokół i po drugiej stronie totalnych popaprańców. Ten rosyjski świrus nie był wyjątkiem, był nieodłączną częścią gry, w którą Gentry grał od lat.

Sid ciągnął:

– A pan jest moim instrumentem. Narzędziem moich działań.

– Jeśli zechcę.

– Owszem, jeśli pan zechce. Dlatego właśnie tu pana dziś sprowadziłem.

– Sidorenko się uśmiechnął.

– Myślałem, że chodziło o to, by mi pogrozić.

– Czuję pan grozę?

– Bynajmniej.

Sid uśmiechnął się ponownie.

– No cóż, dobrze, że mam jeszcze drugi powód. Jest robota. – Pociągnął wielki łyk fioletowej herbaty, po czym nachylił się nad biurkiem na znak, że chce przejść do interesów. – Gdyby mógł pan zabić jedną, dowolną osobę na tym świecie... kto by to był?

– Grisza Sidorenko.

Sid zaśmiał się w głos. Court nie. Rozbawienie Grigorija zniknęło i przeszło w lekki uśmieszek.

– A więc najlepszy zabójca na świecie chce mnie usunąć. Powinienem się bać. A wcale się nie boję, gdyż jak tylko usłyszysz pan, kim jest cel, podziękuję mi pan i staniemy się serdecznymi przyjaciółmi.

Court wstał i obrócił się na pięcie. W mgnieniu oka dryblasy czekające przy drzwiach odepchnęły się od ściany i go otoczyły.

– Wychodzę – powiedział Court. – Jeśli ci tutaj będą próbowali mnie powstrzymać, zostaną zranieni, i to mocno. Coś mi mówi, że kręciłoby pana oglądanie tego, ale proszę pamiętać, że musiałyby pan wtedy poszukać nowych oprychów.

– Prezydent Bakri Abboud! – wykrzyknął Sid. Imię i nazwisko rozeszło się echem po pomieszczeniu.

Gray Man zamarł. Odwrócił się dopiero po chwili.

– Nie mam nic przeciwko trudnym zleceniom – odparł – nalegam jednak, aby były możliwe do wykonania. A ten człowiek to cel nieosiągalny – stwierdził, po czym ruszył w kierunku drzwi.

– W normalnych warunkach, owszem. Nie zaprzeczę. Ale ja mam do niego dojście. Mam jego kalendarz. Mam do niego dostęp i mam opracowaną drogę ucieczki.

Court zachichotał kpiąco.

– No to niech go pan sam zabije.

– Nie twierdzę, że to będzie bułka z masłem. Jednak pan... akurat pan jest w stanie tego dokonać. Proszę posłuchać mojego planu. Jeśli się panu nie spodoba, może pan odmówić i wyjść, jednak jestem pewien, że przypadnie panu do gustu.

Court odwrócił się i przeszedł kilka kroków w stronę biurka.

– Przecież prezydent Sudanu wie, że jest poszukiwany. Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał nakaz aresztowania go za ludobójstwo w Darfurze. To człowiek ścigany, otoczony przez ochronę, który ma pod sobą siły policyjne, agencję wywiadu, armię, siły powietrzne, marynarkę... A do tego jest przywódcą całego pierdolonego państwa... To nie jest robota dla jednej osoby.

Sid znów sączył herbatę.

– Za dziewięć dni z Białorusi wyleci rosyjski transportowiec mający na pokładzie sprzęt wojskowy dla armii prezydenta Abbouda. Polecą do Chartumu, stolicy Sudanu. Ten lot to tajemnica. Żadnego wykazu ładunku, zero odprawy celnej, zero problemów. Cztery dni później, dziesiątego kwietnia, szanowny władca obchodzi urodziny. Jak co roku spędzi je w swojej rodzinnej miejscowości, czyli w Sawakinie. To stare miasto portowe, które nie ma ani zaplecza wojskowego, ani ważniejszych instytucji rządowych. Przyjedzie tam z małym oddziałem osobistej ochrony. Będzie z dwudziestu pięciu chłopów, tylko tyle. Owszem, jego rezydencja będzie doskonale strzeżona, ale podczas pobytu prezydent

zamierza codziennie, nawet trzy razy dziennie, udawać się do pobliskiego meczetu. Rano, skoro świt, ma osobiście wołać na modlitwę z minaretu. Sawakin jest otoczony przez niszczące stare wieże i budynki pamiętające czasy rzymskie. W takich warunkach wprawny strzelec z doskonałym karabinem snajperskim z pewnością będzie w stanie znaleźć niejedno odpowiednie miejsce do oddania strzału, czyż nie?

– No nie wiem – odparł Court, starając się wyglądać na zirytowanego. Tak naprawdę jednak był zaintrygowany.

– Panie Gray... Już jutro jestem w stanie przelać na pana konto dwa miliony dolarów. Za dziewięć dni mogę umieścić pana na pokładzie transportowca do Sudanu, a także zagwarantować, że wymknie się pan z lotniska niezauważony. Mam już człowieka, który zawiezie pana do Sawakinu. Tydzień później, założywszy że misja się powiedzie, mogę bez żadnych problemów ze strony miejscowych doprowadzić do przewiezienia pana na lotnisko, gdzie wejdzie pan na pokład rosyjskiego samolotu i wróci do Rosji. Po powrocie znajdzie pan na swoim koncie dodatkowe dwa miliony dolarów.

– Cztery miliony. Plus tyle, ile pan sobie sam zatrzymuje. Zleceniodawcy musi naprawdę bardzo zależeć na zlikwidowaniu prezydenta Abbouda.

– W rzeczy samej.

– Kim jest zleceniodawca? – Court usiadł z powrotem na niewygodnym krześle.

Sidorenko przechylił głowę, ale nie wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Dano mi do zrozumienia, że zazwyczaj nie obchodzi pana, kto opłaca misję. Że interesuje pana tylko to, czy cel sobie zasłużył na to, za co płacą.

– Cóż, po ostatnim zleceniu nie bardzo mam ochotę na ufanie, ot tak.

Teraz Sid wydawał się szczerze zdziwiony.

– Chodzi o Slattery’ego? Był dokładnie tym, jakim go przedstawiłem.

– Ale kto inny okazał się zleceniodawcą – odparł Court.

Rosjanin zastanowił się nad tym, co usłyszał. Jego świecące oczka prawie wyskoczyły z oczodołów, tak intensywnie myślał. W źrenicach odbijało się światło płonącego kominka. W pierwszej chwili Gentry uznał, że zacznie się kłócić, udawać zakłopotanie, zaprzeczać. A tymczasem Rosjanin podniósł ręce, wzruszył ramionami i rzekł:

– Tak, to prawda. Oszukałem pana. Przepraszam. A teraz odpowiem na pańskie pytanie: to sam rząd Federacji Rosyjskiej chce, by Abboud zginął.

To on płaci. To on zleca. Przez pośredników, ma się rozumieć.

– Znowu pan łże. Przecież Rosja i Chiny to praktycznie ostatnie dwa kraje, które mają dobre układy z Abboudem. Czemu Rosja miałaby...

– Bo relacje Rosji z Sudanem nie są tak dobre jak relacje Sudanu z Chinami. Trzy lata temu Chiny otrzymały pozwolenie na poszukiwanie surowców na pustyni w Darfurze, konkretnie w wielkim sektorze znanym jako Trakt 12A. Kiedy to się stało, Moskwy to nie obchodziło. W końcu mowa o pustynniejącej ciernistej sawannie przy granicy z Czadem.

– Ale Chińczycy coś znaleźli – domyślił się Court.

– I to nie byle co. Znaleźli najpotężniejsze „coś” ze wszystkich potężnych „cosiów”.

– Ropę.

– A i owszem. I to ogromne jej ilości. W tej właśnie chwili Chińczycy harczą po całym sektorze. Sprowadzają sprzęt i specjalistów. Lada dzień rozpoczną wiercenia. A Abboud im na to pozwolił. Ale potężni członkowie rady parlamentarnej Sudanu, w dodatku partyjni koledzy pana prezydenta, dali Moskwie bardzo wyraźnie do zrozumienia, że gdyby jakimś cudem udało się głowę państwa uciąć, to jego następcy wyrzucą Chińczyków na zbity ryj i oddadzą prawa do eksploatacji Traktu 12A Rosji, oczywiście po podpisaniu umowy korzystnej dla obu stron.

– Ale Sudańczycy mają już umowę z Chinami. W jaki sposób nowy prezydent miałby to zignorować?

Z miny Sidorenki można było wyczytać nagłe rozczarowanie Courtem. Odpowiedział mu tak, jakby zadane pytanie było niewybaczalnie naiwne:

– Przecież to Afryka!

Court pokiwał głową.

– A co ten nowy człowiek zrobi z kwestią ludobójstwa w Darfurze?

– Musi pan wiedzieć, że na sto procent nie da się tego przewidzieć. Jednak logiczne się wydaje, iż bez prezydenta Abbouda sytuacja musi się poprawić. Abboud cieszy się prawdziwym kultem jednostki, ma licznych wiernych pomagierów. Żaden jego potencjalny następcą nie może liczyć na podobne wsparcie. A do tego region ten stał się nagle przydatny do czegoś innego niż tylko do mordowania złamanego i bezbronno ludu. Równie dobrze jego następcą może skończyć z ludobójstwem, żeby skłonić ONZ do poszukania innego miejsca na marnowanie pieniędzy Zachodu.

– To powiedziawszy, Sid uśmiechnął się szeroko. – I wtedy do akcji wkroczą moi rodacy.

Gentry milczał. Spojrzał na lewo, wprost na trzaskający ogień w kominku pod portretem Stalina.

Sid kontynuował:

– Tak więc ma pan okazję usunąć z powierzchni ziemi bardzo potężnego i bardzo, ale to bardzo złego człowieka. Jest prawdopodobne, że przyczyni się to do zakończenia ludobójstwa, które trwa tam od ponad dekady.

– Tak pan twierdzi – mruknął Court, wciąż gapiąc się w ogień. Doskonale wiedział, że Sid ma gdzieś ludobójstwo czy usuwanie z tej planety paskudnych ludzi. Chciał tylko zainteresować tą operacją jego, zabójcę, którego niewątpliwie uważał za świętoszka.

Rosjanin uśmiechnął się zza biurka.

– Byłoby miło, gdyby zechciał mi pan zaufać. Ale zdaję sobie sprawę, że znamy się zbyt krótko. Zaufanie przyjdzie z czasem, co do tego nie mam wątpliwości. A na razie proszę się zastanowić, zbadać sprawę. Moi ludzie zawiozą pana do naprawdę przyjemnego hotelu. Tam pan przejrzy materiały, które specjalnie przygotowałem, zapozna się z dramatis personae, powiązaniami, przestudiuje mapy. Jutro rano może pan wrócić i dać mi odpowiedź. Jestem pewien, że podejmie pan właściwą decyzję i od razu będziemy mogli zacząć przygotowywać operację, tak aby odpowiadała pańskim potrzebom i oczekiwaniom.

Court powoli pokiwał głową, po czym upewnił się:

– Pana ludzie... Rozumiem, że mają przykazane nie odstępować mnie ani na krok?

Grigorij Sidorenko uśmiechnął się, ale jego oczy były śmiertelnie poważne.

– Dobrze pan rozumie, nie zaprzeczę. Petersburg to nie jest bezpieczne miejsce dla niewtajemniczonych. Będą nad panem czuwać. – Uniósł brwi, a na jego twarzy wykwitł wredny uśmieszek. – Wiem, że ma pan dziś wieczór dużo roboty, ale mogę zapewnić panu jakieś towarzystwo. Wiem, jak ciężko pan pracuje. Nie zaszkodzi trochę, że tak powiem... rozrywki przed kolejną misją.

– Ma pan na myśli prostytutkę?

– Towarzyszkę.

Court zgarbił się zirytowany. Kolejne zawracanie głowy.

– Proszę mi nie przysyłać żadnej dziwki.

– Jak pan chce. Ja tylko chciałem poprawić panu nastrój i samopoczucie.

– Następnie powiedział coś po rosyjsku do ochrony. Gdy skończył, cała

piątka Rosjan zarechotała głośno. Gentry nic z tego nie zrozumiał. Sid pomachał dłonią na pożegnanie: – No to do jutra, panie Gray!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gentry jadł samotnie w rosyjskiej restauracji, w której był jedynym klientem. Siedział w głębi sali, a jego ochroniarze usadowili się od frontu, płosząc innych potencjalnych gości tego przybytku. Obsługa zajęła miejsce przy swoim stoliku, paląc ponuro papierosy, ale nie wydawała się niezadowolona. Gdy Gentry skończył posiłek, przewieziono go do hotelu Nevski Palace przy Newskim Prospekcie. Limuzyna zaparkowała na miejscu dla furgonetek dostawczych, następnie piątka osiłeków Sida wprowadziła Amerykanina do środka wejściem dla pracowników. Winda dla obsługi zawiozła całą grupę na dwunaste piętro. Mężczyźni poprowadzili Courta długim, jasnym korytarzem do narożnego pokoju. Wprowadzili go do apartamentu typu junior. Osiłki oznajmiły Courtowi, że całą noc będą czuwać pod drzwiami i w sąsiednim pokoju. O siódmej pobudka, potem śniadanie, a po nim zostanie zawieszony z powrotem przed oblicze Sida, któremu przekaze, jaką podjął decyzję.

Młody łysy mężczyzna zamknął za sobą drzwi.

Jak na „apartament typu junior”, pokój był bogato wyposażony, do tego w sposób zdecydowanie pozbawiony gustu. Niewątpliwie jego wystrój został uprzednio zmodyfikowany przez dryblasów Sidorenki. Obszerny salon wychodził na wąski balkon. Court zwrócił uwagę na brak telefonu. Niewielki korytarz prowadził do dużej sypialni, w której również nie było telefonu, a z niej przechodziło się do przestronnej nowoczesnej łazienki. Tam, pod lustrem, znajdowały się kosmetyki. Cała drużyna piłki nożnej byłaby w stanie się tym upiększyć i okadzić na wystrzałową noc w mieście. Na łóżku leżał komplet odzieży: jedwabny, różnokolorowy, z przewagą czerni, dres z szerokim fioletowym pasem i ściągaczami, a na domiar złego wielkim złotym „V” pod welurowym kołnierzykiem. Wszędzie, poza krajami po tej stronie żelaznej kurtyny, byłby uznany za kiczowaty i pretensjonalny.

Wrócił do salonu, gdzie zastał wielki stos papierów, książek i ulotek, odpowiednio pootwieranych, z zaznaczonymi fragmentami. Zapewne Sid kazał to wszystko tu przynieść, żeby Gentry mógł sprawdzić to, co gangster mówił mu o Sudanie, Rosji, Chińczykach, Trakcie 12A i darfurskiej pustyni.

Court zignorował zadanie domowe. Wyszedł na balkon i zaczął przyglądać się zakorkowanej ulicy poniżej. Przez minutę patrzył na okoliczne budynki, mrużąc oczy, by dojrzeć to, co ukrywało się za rozżarzoną światłem latarni. Potem wrócił do łazienki. Wziął aerozol z pianką do golenia i ręcznik i wsunął je do kieszeni płaszcza. Ponownie wyszedł na balkon. Zręcznie przełożył jedną, a potem drugą nogę przez balustradę. Zsunął się po zdobionej rynnie wzdłuż ściany na balkon poniżej, zamachnął się dwukrotnie, po czym zeskoczył na piętro pod jego pokojem.

Wylądowawszy na balkonie jedenastej kondygnacji, spostrzegł, że pokój był przez kogoś zamieszkały. Światła były włączone, wszędzie leżały porozrzucane niedbale ubrania, ale wydawało się, że teraz jest pusty. Pomyślał, że być może mieszkańcy wyszli na kolację. Drzwi balkonowe były zamknięte. Gentry pospiesznie potrząsnął opakowaniem kremu do golenia, a następnie wcisnął guziczek aerozolu, psikając białą pianą na szklane przesuwane drzwi, tuż koło klamki. Opróżnił cały pojemnik, tworząc na szkle grubą warstwę kremu wielkości talerza. Następnie obwiązał prawą dłoń ręcznikiem i nie zwlekając, uderzył nią w pokrytą pianą szybę, robiąc dziurę wielkości pięści. Rozległ się trzask, ale udało mu się uniknąć głośnego brzdęku rozbijanego szkła – pianka nie tylko stłumiła samo uderzenie, ale także zamortyzowała odłamki szkła spadające na kafelki. Rzucił ręcznik na podłogę po drugiej stronie, po czym sięgnął do klamki i otworzył drzwi.

Wszedł do pokoju, przejrzał ubrania w walizce i na podłodze. Niestety nie znalazł nic, co by na niego pasowało. Był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Nic w jego życiu nie było proste, łatwe i przyjemne. Bardzo rzadko udawało mu się dokonać czegokolwiek bez konieczności zmagania się z jakimiś przeciwnościami. Wyszedł więc na korytarz i skierował się na klatkę schodową. Zszedł cztery piętra, wszedł w kolejny korytarz, z którego dotarł na drugą klatkę schodową. Doszedł nią do hotelowego lobby. Tam znalazł przejście dla personelu, którym przedostał się do pralni. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Pół godziny po tym, jak przełożył nogi przez balustradę na dwunastym piętrze, Gentry był już ubrany w świeże, pachnące ubranie i wchodził właśnie do małego pensjonatu mniej więcej pół kilometra od ekskluzywnego hotelu, z którego uciekł. Pamiętał to miejsce z poprzedniego pobytu w mieście. Właśnie w tym niczym niewyróżniającym się hoteliku mieszkał w dwa tysiące trzecim z Zackiem Hightowerem, przywódcą Bandy Zbirów, kiedy czekali, żeby przejąć transportowiec pełen broni Saddama. I wtedy, i teraz był to marny przybytek, ale przynajmniej było tu cicho. Do tego znajdował się na uboczu, na samym końcu zaułka, i oferował doskonały widok na wszystkich, którzy kręcili się po okolicy.

Zapłacił starowince w recepcji w euro za jedną noc. Poprosiła o paszport. Wzruszył ramionami i zamachał jej przed nosem dwoma kolejnymi dwudziestkami. Wtedy i ona wzruszyła ramionami i wzięła forszę. Poprosił o pokój na piętrze, od ulicy. Kobieta zaprowadziła go ciasną klatką schodową. Minęli wspólną toaletę, po czym poszli wąskim na szerokość ramion korytarzem. Podłoga skrzypiała przy każdym kroku. Starowinka otworzyła drzwi kluczem, obróciła się na pięcie i nawet na niego nie zerkając, potuptała z powrotem na klatkę schodową.

Court zdecydowanie wolał spędzić noc w tej klitce niż w kiczowatej celi w hotelu pod dozorem łysych oprychów. Chciał odpocząć, poleżeć w łóżku i zastanowić się nad możliwymi opcjami, przemyśleć, czy chce wziąć nogi za pas, czy z ludźmi Sidorenki dostać się do Sudanu. Rozwagał, czy nie wrócić do apartamentu na tyle wcześnie, żeby zdążyć przekartkować część pozostawionych mu dokumentów mających przekonać go, by wziął tę robotę.

Wszedł do ciemnego pokoju i wcisnął włącznik światła. Bez skutku. Co za zaszra dziura... Odetchnął, sfrustrowany, po czym po omacku ruszył w głąb pomieszczenia. Jedyne źródło światła były słabe pobłyski z okolicznych latarni, przenikające przez dziury winylowych zasłon. Obszedł małymi krokami małe, wąskie łóżko, po czym rozsunał kotary, by przyjrzeć się wnętrzu.

W półmroku dostrzegł stojących naprzeciw niego pięciu mężczyzn. Nieruchomi niczym pomniki trwali wzdłuż ścian. Wszyscy w odległości kilku kroków od niego. Reakcja „walcz albo uciekaj” Courta była natychmiastowa. Zaatakował. Skulił się, po czym natarł na gościa najdalej po prawej. Rzucił się na niego z impetem. Wielkie łapska mężczyzny

walnęły go mocno w głowę. Razem wpadli na ścianę. Gentry podniósł lewą nogę, żeby kopnąć w krocze atakującego go z tyłu. Trafił w wewnętrzną stronę uda. Nie był to niestety obezwładniający kopniak. Kiedy podniósł prawą rękę, by zadać haka otwartą dłońią trzymającemu go osiłkowi, poczuł uderzenie lecącego na niego ciała z prawej. W tym samym momencie, kiedy trafił dłońią w twarz pierwszego, Court osunął się i upadł do tyłu na łóżko. Poczuł, że dwóch kolejnych typów chwytła go, przyciskając mocno, za nogi.

Wolną ręką zadał solidny cios w splot słoneczny zmierzającego ku niemu mężczyzny. Wyczuł, że pod ciemną bluzą napastnik ma na sobie kevlarową kamizelkę. Wiedział, że uderzenie nie przyniosło efektu. Wił się i miotał, czując, że jego napastnicy wiedzieli, co robią. Ba! Byli wręcz cholernie dobrzy w te klocki. Szybcy, silni i doskonale wyszkoleni. Do tego działali zgodnie razem, nie krzyczeli, nie warczeli, nie odbijało im podczas akcji. Udało mu się uderzyć łokciem w bok głowy drobniejszego z nacierających, wysyłając go w zagłówek łóżka, od którego odbił się i ześlizgnął na drewnianą podłogę. Jednak pozostali w mgnieniu oka wypełnili lukę po odepchniętym koledze. Nacierali ciężarem swoich ciał na jego kończyny, przytwierdzając szamoczącego się gorączkowo Courta do łóżka. Spojrzawszy w lewo, zobaczył, że jeden z mężczyzn sięgnął po coś w ciemność i teraz zbliżał się do niego czujny, ale pewny. Court dostrzegł ostry błysk cienkiego metalu i podłużny kawałek przezroczystego plastiku. Nawet w tak marnym świetle rozpoznał, że to strzykawka. Igła była coraz bliżej. To musiał być jakiś szkodliwy specyfik. Jeśli nie uda mu się powstrzymać napastników, lada moment zawartość strzykawki znajdzie się w jego krwiobiegu.

W jednej chwili dotarło do niego, że ma do czynienia z paramilitarnym oddziałem operacyjnym Sekcji Operacji Specjalnych CIA. Z całym oddziałem. Zdał sobie sprawę, że tym razem mocno wdepnął w gówno, że w nim wręcz tonie. Wiedział, że wydano rozkaz, by go zabić. Kilka lat udawało mu się im wymknąć, ale teraz go znaleźli.

Cóż, to było nieuniknione.

Court na chwilę rozluźnił ramię, dając przytrzymującemu go agentowi chwilę wytchnienia. Zwód zadziałał – Gentry wyciągnął rękę, wyswobodził się z uścisku i przełożył ją na bok. Była wolna, udało mu się dosięgnąć nią gościa ze strzykawką. Jego głowa odgięła się do tyłu, puścił to, co trzymał, upadł i chwycił się za nos. Jednak drugi agent przytrzymał lewą nogę

Courta, złapał leżącą na ziemi strzykawkę, wbił igłę prosto w udo pojmanego i wcisnął tłok. Gentry bezskutecznie próbował się oswobodzić.

– No kurwa twoja mać! – wrzasnął Court. Nie wiedział, co mu wstrzyknięto, ale zdawał sobie sprawę, że nieważne, co to było: właśnie przegrał tę bitwę.

Znieruchomiał. Nie było sensu się stawiać. Przecież praktycznie już nie żył.

Nagle do pokoju wszedł ktoś nowy. Wkroczył powoli, ale z charakterystyczną buńczucznością. Court starał się skupić na nim wzrok, ale już czuł, że wstrzyknięte paskudztwo zaczyna przejmować kontrolę nad jego ośrodkowym układem nerwowym. Cokolwiek to było, było mocne. Miał wystarczająco często do czynienia z wszelkiej maści truciznami i obezwładniającymi specyfikami, aby wiedzieć, że dostał dawkę mocnego i skutecznego środka uspokajającego. Jego mięśnie się rozluźniły. Wydawało mu się, że jego ciało wtapia się w materac.

Nowo przybyły nachylił się nad nim, gdy pozostali przestali się nim zajmować. Z całej piątki dwóch leżało, a pozostała trójka opatrywała rany kolegów. Obcy z nieukrywaną ciekawością wpatrywał się w Courta. Gentry próbował skupić na nim uwagę, walczyć z rosnącym ponarkotykowym otumanieniem. Przez chwilę twarz mężczyzny wydała mu się znajoma, lecz nadsiadająca fala zawrotów głowy wyrzuciła ten obraz z jego pamięci.

Mężczyzna odezwał się:

– Serwus, Court.

Pomimo zamroczenia Gentry skojarzył, że zna skądś ten głos. Przybysz chwycił go za policzki i ścisnął je tak, że udało mu się otworzyć usta. Ślina skapnęła z wyciągniętego języka Courta i spłynęła po brodzie.

– Dwadzieścia sekund i straci przytomność – oznajmił mężczyzna. Następnie ponownie zwrócił się do Gentry'ego: – To było do przewidzenia. Wiedziałem, że wymkniesz się z hotelu i tu się przywleciesz. Naprawdę przez osiem lat nie obczaiłeś żadnych nowych miejscówek? – uśmiechnął się. – Na twoje nieszczęście i ja nie zapominałem o tej zasranej dziurze. – To powiedziawszy, odwrócił się do kolegów. – Mówiłem, że Sierra Sześć zawsze miał pierdolonego pecha. Zwykliśmy mówić, że nawet gdyby z nieba lały się cipcie, Court Gentry z pewnością oberwałby po głowie kutasem.

Sierra Sześć?

Court czuł, jak spada w czarną otchłań. Zdołał jednak poruszyć zdętwiałymi ustami i zanim całkiem zapadł się w mrok, szepnął:
– Zack?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– A jednak mnie nie zapomniałeś, co nie, Gentry?

W tym momencie Gentry nie pamiętał, że nazywa się Gentry. Ocknął się z szeroko otwartymi oczami. Zastanawiał się, czy był już od jakiegoś czasu przytomny. Jednego był pewien: żył, co do reszty nie miał pewności. Nawet nie wiedział, gdzie się znajdował. Poczł zimno. Zauważył, że ma na sobie tylko majtki. Wokół cztery ściany jakiegoś pomieszczenia. Ręce spięte za plecami. Nad nim stała czwórka facetów. Czuł ich niechęć do siebie, ale jeszcze nie był w stanie skupić wzroku na ich twarzach. Działanie wstrzykniętego paskudztwa nie ustało do końca. Podczas szkolenia tajnego programu rozwoju agentów samodzielnych CIA w Harvey Point w Karolinie Północnej wpompowano w niego, kazano połknąć lub nawdychać się około dwudziestu pięciu różnych substancji psychoaktywnych po to, by przetestować i wzmocnić jego zręczność, gibkość i zdolności poznawcze po zażyciu tychże specyfików. Kiedyś nawet udało mu się wspiąć po wysokiej na trzy kondygnacje drabince sznurkowej i otworzyć wytrychem zamknięty zamek, a wszystko to pod wpływem dormicum, ale już po dwudziestu minutach niczego nie pamiętał. Uczono go o opiatkach i innych anestetykach, jednak teraz jedyne, co mógł powiedzieć o sytuacji, w której się znalazł, to to, że była nie do pozazdroszczenia. W mgnieniu oka zorientował się, że od trzech tygodni nie łykał żadnych mocniejszych prochów i chyba udało mu się właśnie pozbyć nałogu, który męczył go przez wiele miesięcy rekonwalescencji na południu Francji. Ciekawe, czy to, że mu teraz wstrzyknęli to ohydztwo, zaprzepaści cały wysiłek samodzielnego detoksu. Zaraz jednak uświadomił sobie, że chyba martwi się na zapas, ponieważ pewnie lada moment któryś z tu obecnych zrobi to, co do niego należy, czyli umieści kulkę w jego głowie.

Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy.

Trzech z czterech zgromadzonych wycofało się przez niewielkie drzwi, zostawiając z nim tylko tego, który przed chwilą do niego się odezwał.

– Daj mi chwilę – powiedział stojący mężczyzna. – Kilka minut temu odłączyliśmy kroplówkę. Zaraz do siebie dojdiesz. Daj mi znać, że słyszysz mnie głośno i wyraźnie, dobra, stary?

Court poznał ten głos, zanim jeszcze skojarzył twarz. Walczył z działaniem wstrzykniętego specyfiku, kręcił głową, jak gdyby chciał rozerwać osiadłe w umyśle pajęczyny. Mrugnął raz i drugi. W końcu miał pewność. Zmrużył oczy. Uniósł głowę:

– Czy ja cię przypadkiem kiedyś nie zabiłem?

– Bynajmniej, Court. Dlaczego miałbyś mnie zabijać? Przecież wtedy, sto lat temu, to było drobnutkie nieporozumienie, nic wielkiego.

– Hightower. Zack Hightower. – Court wypowiedział imię i nazwisko tak, jakby mężczyzna ich nie znał. Słowa nie wydostały się z jego ust tak sprawnie, jak tego pragnął.

– Poturbowany? – zapytał stojący.

– Nnn... nie.

– No to zaraz to naprawimy. A teraz skup się, stary. Cztery lata czekałem na tę chwilę. Nie chciałem, żeby cokolwiek ci umknęło. – Pstryknął mu palcami przed nosem. – Ej, jesteś tu? Doskonale. A teraz... To za Paula Lyncha. – To mówiąc, Hightower przyłożył Gentry'emu w żuchwę.

Court spadł z krzesła na podłogę. Przed oczami zawirowały mu gwiazdy.

– Kurwa! – krzyknął.

– Kurwa! – odkrzyknął Zack. Court spojrzał do góry i zobaczył, że były przywódca trzyma się za pięść. Nawet nie kryje bólu. Gentry polizał wargę i splunął krwią. Zack wciągnął go z powrotem na krzesło. Leki wciąż spowalniały jego ruchy, ale otrzymany cios wyostrzył mu zmysły.

– A to, Court, za Dino Redusa. – Hightower znów mu przywalił. Gentry padł na podłogę, poczuł, jak skóra pod okiem mu puchnie. Hightower znów zaklął z bólu.

Po chwili Court zawołał:

– Ale Redus próbował mnie zabić! Wszyscy próbowaliście mnie zabić!

– Stul ruchaczkę, Gentry! Jeszcze z tobą nie skończyłem!

Court podniósł się na kolana. Po chwili udało mu się złapać równowagę, po czym już bez pomocy Zacka wrócił na krzesło. Lewe oko miał właściwie zamknięte. Łzy dodatkowo zaburzały widzenie. – Rebus, Lynch, Morgan,

no i ty... Wszyscy się na mnie rzuciliście! Co niby, do kurwy nędzy, miałem robić? Pozwolić wam mnie zamordować?

– To by było niezwykle miłe z twojej strony – odparł Hightower. – Na pewno żona Keitha Morgana byłaby ci wdzięczna. – To mówiąc, uderzył lewą ręką w głowę Courta. Tym razem jednak już nie tak mocno, jak wcześniej, choć i tak pomachał nią z bólu.

Court zadrżał, ale udało mu się nie spaść z krzesła. Plunął na podłogę krwią i odparł:

– Szkoda że masz więcej martwych kumpli niż zasranych rąk.

– Ale to byli też twoi kumple, Court! Zanim ich zabiłeś! – Hightower zwinął lewą pięść i zamachnął się do ciosu.

– No miejże litość! – krzyknął Court. – Wiem o rozkazie! Macie strzelać bez ostrzeżenia. Jak tak sobie będziesz tylko machał, to do rana stąd nie wyjdziemy! Chwyć wreszcie za broń i zrób, kurna, co do ciebie należy!

Zack trzymał zaciśniętą pięść tuż przed nosem Gentry'ego. Po chwili jednak powoli ją odsunął. Zaciśnął szczękę. Pokiwał głową. Sięgnął do tyłu i wyciągnął niklowany krótkolufowy rewolwer. Obrócił go w palcach, po czym płynnym ruchem przystawił lufę do czoła Gray Mana. Ten zamrugał, skrzywił się, po czym spojrzał wzdłuż lufy na Zacka. Zapytał cicho:

– Teraz to mi przynajmniej powiedz, dlaczego. Co ci szkodzi?

Zack zignorował pytanie. Trzymał spluwę niewzruszenie przez pięć, dziesięć, dwadzieścia sekund. Po chwili rzekł:

– Tak, żebyś wiedział, Szóstka... I nie zapomnij tego do końca życia. Od tej chwili wszystko... wszystko zawdzięczasz mnie. – To powiedziawszy, z okrutnym błyskiem w oku opuścił broń i wsunął ją na miejsce.

Court mrugnął. Kropelka potu wpadła mu do prawego oka.

Zack podparł biodra rękami, wciąż nie spuszczać wzroku z więźnia. Dyszał ciężko, po części dlatego, że był zmęczony biciem, po części też przez to, że był spięty.

– Stęskniłeś się za mną, Court? – zapytał.

Court raz jeszcze zamrugął, po czym ostrożnie odparł:

– Jak za dziurą w głowie.

– To się da załatwić. – Zack uśmiechnął się gorzko.

Hightower nie odezwał się więcej, wyszedł z pomieszczenia, dając Courtowi możliwość uspokojenia rozedrganych nerwów i zorientowania się w sytuacji. Po tym, że niewielkie pomieszczenie, w którym się znajdował, pokryte było grubą warstwą białej farby i po jego skąnym wystroju

domyślił się, że są na statku. Buczenie zza ściany wskazywało, że całkiem blisko maszynowni. Nie wyczuwał kołysania, ale wiedział, że to bez znaczenia, w końcu jego zmysł równowagi był teraz wyłączony.

Po chwili Hightower wrócił, niosąc przezroczystą plastikową torbę z lodem i niewielki nożyk. Stał za krzesłem Courta i doskonale wyćwiczonym ruchem przeciął trytytki spinające nadgarstki więźnia. Następnie przyniósł z korytarza drugie krzesło, przeciągnął je z nieznośnym wręcz piskiem po podłodze, po czym usiadł naprzeciw Gentry'ego i rzucił mu worek z lodem. Ranny natychmiast przyłożył go do oka i warg, chcąc zdusić nasilający się ból.

Rzucił okiem na Zacka. Ostatni raz pracowali razem cztery lata wcześniej, w oddziale paramilitarnym CIA Golf Sierra. Ci, którzy w ogóle wiedzieli o istnieniu tej jednostki, nazywali ją Bandą Zbirów. Hightower to był Sierra Jeden, dowódca, Gentry – Sierra Sześć. Był najmłodszy i najniższy rangą, ale zawsze pierwszy w natarciu. Teraz jego były przywódca musiał mieć ze czterdzieści pięć lat, ale jego oczy były wciąż lśniące i błękitne, jak u chłopczyka z kiczowatej ilustracji. Był szczupły i miał kwadratową twarz, krótkie podgolone włosy – klasyczna żołnierska fryzura. Był wyblakłym blondynem, choć gdzieniegdzie dało się dostrzec srebrne kosmyki. Miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Ani grama nadmiarowego tłuszczu. Ruszał się z nieugiętą pewnością siebie, zawsze z wyprężoną dumnie klatką piersiową. Teksańczyk z krwi i kości. Studia skończył ze stypendium baseballowym, po czym od razu wstąpił do marynarki. Ponad dekadę walczył w legendarnym szóstym oddziale SEALs, po czym dołączył do Sekcji Operacji Specjalnych CIA jako oficer operacji paramilitarnych. Zack był inteligentny, wytrzymały i pewny siebie, do tego szarmancki wobec dam i lubiany przez kolegów.

Typowy SEAL.

– No to jak ci tam, w cywilu? – zapytał Hightower, oglądając własne rany. Miał spuchniętą dłoń aż po knykcie.

Court przez chwilę rozważał, czy nie zeskoczyć z krzesła i chwycić byłego dowódcę za gardło, ale wiedział, że ma zbyt spowolnione dragami ruchy na taką akcję. Zack natomiast nie wydawał się przerażony możliwością, że Court go zaatakuje. Stwierdził więc, że były dowódca doskonale wie, co mu wstrzyknęli, i że to jeszcze działa.

– A raz lepiej, raz gorzej.

– Krążą słuchy, że nieźle sobie radzisz. Od czterech lat odwalasz trzy do pięciu misji rocznie. I to po całym, że się tak wyrażę, globusie. Że powodzi ci się nieźle. W Langley podejrzewają, że to ty rąbnąłeś obu Abubakerów, jednego w Syrii, a drugiego kilka tygodni później w Madrycie. Wywiad zabojadów twierdzi, że w grudniu ktoś odpowiadający twojemu opisowi nieźle narozrabiał we frankofońskiej części Europy. Nawet Ukraińcy przebakują, że to ty odpierdoliłeś tę manianę w Kijowie. To twoja sprawka, co nie?

– Nie wierz we wszystko, co ci się obije o uszy. Jak mnie znaleźliście?

Zack wzruszył ramionami.

– Echelon wyłąpał trochę połączeń komórkowych od zbirów Sidorenki. Mają chyba na ciebie jakiś lepszy kryptonim, ale jakiś debil nazwał cię sieryj czelawiek na otwartej linii.

– Gray Man... – Court westchnął sfrustrowany. – Cudownie.

– No jebane geniusze z tych Ruskich... – odparł sarkastycznie Zack. – Dziś ponoć miałeś wpaść z wizytą do ich szefa. Tak więc NSA dało cynk do Langley, a oni dali cynk mnie.

Court pokiwał głową.

– Wiem, że rozkazano wam strzelać do mnie bez ostrzeżenia, Zack. Czy naćpałeś mnie tylko po to, żeby mnie tu najpierw przywlec i przetrzepać?

– A wiesz, że nie? Tak się składa, że rozkaz, żeby do ciebie strzelać, jest chwilowo oficjalnie zawieszony, przynajmniej na czas naszej pogadanki. Łojenie dupy to była sprawa czysto osobista.

– To miało być złożenie dupy?

– A kto powiedział, że skończyłem?

Court zmarszczył brązowe brwi.

– Wtedy, w Wirginii, strzeliłem ci w klatkę. Kaliber czterdzieści cztery. Widziałem, jak wylatujesz przez okno. Dwa piętra.

Zack zaśmiał się jak hiena: wyszczerzył zęby, ale nie wyglądał na zadowolonego.

– Nawet mi o tym nie przypominaj. Nabój wpadł w kamizelkę, ale nieźle przydupczyłem w klimatyzator. W dwóch miejscach w miednicy coś pękło. A na dokładkę pogruchotałem obojczyk i kilka żeber. – Skrzywił się, jakby właśnie znów przeżywał tę przygodę. Nagle coś sobie przypomniał. – Nie wiedziałem, że nosisz przy sobie derringera – dodał.

– Nie było okazji się pochwalić. W sumie dobrze, że nie.

– To akurat zależy od punktu siedzenia. Ja osobiście wolałbym być uprzedzony – mruknął Zack.

– No to czemu do mnie wpadliście? Co ja takiego zrobiłem?

Zack wzruszył ramionami, jak gdyby chodziło o oczywistość.

– Dostaliśmy rozkaz z góry. Wiesz, jak jest.

– A nie, tak się składa, że nie wiem. Co ja takiego, kurwa, zrobiłem, Zack? – spytał Court wręcz płaczliwym tonem.

Hightower znów wzruszył ramionami.

– No nie wiem. Jestem prostym trutniem. Dostałem rozkaz usunięcia cię, no i poszedłem do pracy. Dzień jak co dzień.

– A gównu prawda! Musieli podać ci jakiś powód!

– Słuchaj, młody... Czy ja kiedyś potrzebowałem uzasadnienia, żeby wykonać rozkaz? Nie jestem takim zapatrzonym w siebie miłośnikiem kontemplacji. Ja wykonuję tę gównianą robotę z pieśnią na ustach.

Court nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego dawny dowódca kłamał. Nikt w CIA nie kazałby przywódcy oddziału od operacji specjalnych usunąć własnego człowieka bez wyjaśnienia. Postanowił jednak tego nie drażnić.

– A te chłopaki, które mnie dziś capnęły... To twoja nowa banda zbirów? – zapytał.

– Mniej więcej tak. Tym razem nie Golf Sierra, tylko Whiskey Sierra, więc wciąż jestem Sierra Jeden. Tyle że z biurokratycznego punktu widzenia mamy już deczko inną strukturę. W dzisiejszych czasach zasady prowadzenia misji i podejmowania działań z użyciem siły są bardziej restrykcyjne. Ale tak, to w gruncie rzeczy jeden pies. Moja nowa ekipa to kilku byłych ludzi z SEALs, jeden gość z Delty i dwóch ziomków z „zielonych beretów”, którzy lata temu przeszli do CIA. Niezła banda, ale nie mam nikogo twojego kalibru. Zawsze będziesz moim najlepszym zbirem – uśmiechnął się. – Nieźle przyfanzoliłeś Toddowi. Ma rozwalony nos i przetrąconą zuchwę.

– Przykro mi – odparł Court, choć wcale mu nie było.

– No cóż, zdarza się – mruknął Zack z fałszywą pobłażliwością.

– No to co ja tu robię?

Zack Hightower sięgnął po worek z lodem, który Gentry trzymał przy twarzy, i owinał nim sobie napuchniętą pięść.

– Chodzi o Abbouda. Prezydenta Bakriego Ali Abbouda.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Co z nim?

– Niedługo rąbniesz go na zlecenie Sida.

Court stwierdził, że nie ma co grać głupa. Skoro CIA wiedziało aż tyle, to pewnie na tym etapie znało więcej szczegółów jego nadchodzącej misji niż on sam.

– Na nic się jeszcze nie zgodziłem.

– No cóż, zgodzisz się. Zależy nam, żebyś to przyjął.

– A czemu sądzisz, że zawracam sobie dupę tym, co wy chcecie?

– Słuchaj, młody. Masz do wyboru: ta opka albo rozkaz, żeby cię sprzątnąć. Co ci szkodzi posłuchać?

Court znów miał worek z lodem, przesunął go niżej, odsłaniając śliwę pod okiem, ale kojąc narastający ból wargi.

– No to słucham – wymamrotał przez okład na ustach.

Hightower się nachylił.

– No to, młody, oto nasz raport sytuacyjny. – Gentry miał trzydzieści sześć lat, ale Zack nazywał go tak, odkąd się poznali przed ośmiu laty. – Przyjmiesz zlecenie od Sida. Z pomocą Ruskich dostaniesz się do Sudanu. Ich plan, żeby cię tam dostarczyć, jest naprawdę pierwsza klasa, sto razy lepszy niż cokolwiek, co my byśmy byli w stanie sklecić bez użycia kontaktów operacyjnych, transportu i logistyki agencyjnej, bo tego nam nie wolno.

– A potem?

– A potem sprawisz wrażenie, że chcesz kropnąć Abbouda, ale w ostatniej chwili go capniesz.

– Znaczą się, porwę?

– Tak jest.

– A potem?

– Potem przekażesz go mnie i moim chłopakom. Będziemy w pobliżu. Niewidoczni, ale blisko. Oddasz go nam i zabierzesz się z nami hen, za

wodę.

– Po co Stanom Abboud? Przecież Waszyngtonowi też bardzo zależy, żeby rozwiązać kwestię Darfuru, a przecież Abboud jest jednostką najbardziej za nią odpowiedzialną.

– No właśnie. Ale prezydent i jego otoczenie chcą go postawić przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Serio, chcą dać im Abbouda z kokardką pod brodą. Od trzech lat jest międzynarodowy nakaz aresztowania z Hagi.

– To akurat wiem. Ale przecież zabicie go jest i szybsze, i czystsze, nie odbije się na CIA. Możecie po prostu nie przeszkadzać mi w wykonaniu zlecenia Rosjan.

– Wiem, Court, że twoja recepta na całe zło to podwójna dawka ołowiu w łeb. Ale teraz w stolicy panują nowe obyczaje, młody. Biały Dom chce się podlizzać Europie, wspierać instytucje międzynarodowe i inne gównu. I chce, żeby wszyscy uważali, że to ich zasługa – zachichotał Zack.

Court nie wierzył w to, co słyszy.

– Żartujesz? Czyli że Biały Dom naprawdę chce teraz uratować życie Abboudowi tylko po to, żeby zbierać laury za przekazanie go Euraskom?

– Sprawa jest bardziej zawiła. Chodzi o jakieś wet za wet, quid pro quo i cały szereg górnołotnych sentencji... Cóż, nie płacą mi za to, żebym je rozumiał... No... Ale... W gruncie rzeczy, tak, właśnie o to chodzi – odparł Zack.

Court pokręcił głową z dezaprobatą.

– Czyli już nie jak za dawnych dobrych czasów, co nie?

– Co nie? Pięć lat temu mogliśmy sobie usuwać, kogo nam się żywnie podobało. Mogliśmy mieć w dupie Międzynarodowy Trybunał Karny. Tak między nami to się z tobą zgadzam. Rzeczywiście może się wydawać, że to za dużo zachodu i to tylko po to, żeby przekazać ziomka jebanemu ONZ-etowi czy komu tam, ale ktoś z Langley przekonał kogoś w Białym Domu, kto z kolei przekonał prezydenta, że to pewniak. Że to najlepszy sposób, by mieć Abbouda w garści i dostarczyć go do Hagi, i to bez negatywnych skutków na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– A tym sposobem jestem ja – uzupełnił Court.

– Nie inaczej. Każda licząca się agencja wywiadowcza doskonale wie, że CIA chce zabić Gray Mana. Tak więc nic łatwiejszego do wyparcia się! Jeśli coś pójdzie nie tak, nikt nie wywęszy, że CIA maczało w tym palce.

– To naprawdę pomysł Langley?

– Na mur beton. Sekcja Operacji Specjalnych ma ostatnio zbyt mało do roboty jak na nasz gust. Owszem, drony CIA i armii bzykają sobie trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią, usuwając złoli na prawo i lewo hellfire’ami, ale zespoły operacyjne, takie jak mój Whiskey Sierra, nie mają nic do roboty. Biały Dom ogranicza nam działanie na każdym poziomie. Nawet treningi ucierpiały. Nie wolno nam zabijać terrorystów, nie wolno nam kierować akcjami na terytorium państw sprzymierzonych... Kurde, nawet dupę możemy podcierać tylko najdelikatniejszą srajtaśmą... Cała sekcja liczy na powodzenie tej akcji. Chcemy pokazać prezydentowi, że nasze chłopaki mają rację bytu nawet w miłszym, łagodniejszym CIA. Ty będziesz naszym pośrednikiem. Ty podejmiesz ryzyko, ty przekażesz nam Abbouda, a my go dostarczymy Departamentowi Sprawiedliwości, który z kolei wręczy go wdzięcznemu Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu. A wtedy pan prezydent i jego cykory dadzą nam więcej do roboty, bo zobaczą, że możemy sprawić, że ich łózkowi kumple z Europy rozłożą przed nimi nóżki z wdzięczności za podarek w postaci Abbouda. No bo dron jeszcze nigdy nikogo nie porwał. Przynajmniej na razie.

– A co z Sidorenką?

– Jak nam się uda, to Sid pomyśli, że to my cię rąbnęliśmy przy porywaniu Abbouda. I wierz mi, naprawdę nie chcesz już pracować dla tego wsysającego kilogramami kawior psychopaty. Sidorenko i jego banda nazioli są naprawdę mega popierdoleni, nawet jak na ruską mafię.

– Ale skoro będziecie w teatrze działań podczas przejmowania więźnia, to jaką macie gwarancję, że nie będzie skutków ubocznych dla CIA? – zapytał Court podejrzliwie.

Zack machnął lekceważąco ręką.

– To szczegóły. Nie będziemy się nikomu rzucać w oczy. Większość czasu spędzimy na wodach międzynarodowych, nosa wychylimy tylko na samą opkę. Ty odwalisz najgorsze, my cię będziemy wspierać. Rezydentura w Sudanie ma informatora w Sawakinie, który zna kalendarz Abbouda na cały pobyt w rodzinnym mieście. To gość zaangażowany w planowanie awaryjne, zna też rozkazy goryli prezydenta i stosowane przez nich strategie.

– A jak mnie ma to pomóc?

– A tak, że wiemy, że ochrona ma ustaloną strategię na wypadek ewentualnego ataku na prezydenta podczas jego porannego spaceru do meczetu. Jeśli zagrożenie pojawi się, kiedy będą na placu przed meczetem,

zabierają Abbouda do pobliskiego banku i zamykają się w sejfie w oczekiwaniu na posiłki – uśmiechnął się Zack.

– Zgaduję, że wiecie, jak sprawić, by myśleli, że grozi mu niebezpieczeństwo?

– Rezydentura w Sudanie wie. A do tego stu rebeliantów z Ruchu Wyzwolenia Sudanu, którzy w niedzielę dziesiątego kwietnia, dokładnie o szóstej trzydzieści pięć rano, rozpoczną natarcie na Sawakin. Czyli w momencie, kiedy Abboud i jego zbiry znajdą się na placu, prezydent z ochroną wejdą do banku, który rzecz jasna będzie zupełnie pusty.

– Czyli nie będzie pusty?

– Czyli czaisz bazę. – Zack pokiwał entuzjastycznie głową. – Będiesz tam ty, zwarty i gotowy, by rozprawić się ze strażą przyboczną i porwać Abbouda, a potem wyprowadzić go z miasta. W tym czasie ci z RWS sobie poskaczą i zrobią kilka wybuchów, odwracając uwagę miejscowych i reszty ekipy prezydenta. A my spotkamy się w miejscu, w którym przekażesz nam więźnia. – Widać było, że Hightower jest podekscytowany całą operacją. Odkąd zaczął wchodzić w szczegóły, nieustannie podskakiwał i gestykułował.

Court siedział przez chwilę w milczeniu, po czym zapytał:

– Oczekujesz aplauzu?

– Słuchaj, Szóstka... to świetny plan. Oficjalnie: operacja Szafir Nocy.

– Aż dreszcz po plecach mi przechodzi – mruknął sarkastycznie Court, wciąż niewzruszony entuzjazmem Hightowera.

– Ale najlepszy w tym wszystkim jest układ, który oficjalnie mogę ci właśnie zaproponować.

Court przez dłuższy czas przyglądał się byłemu dowódcy. W końcu się odezwał:

– CIA od czterech lat próbuje mnie umieścić w kostnicy. Co ty mi możesz zaproponować, żeby mi się to podobało?

– Przede wszystkim uniknięcie kostnicy. Odszczekanie nagonki. Nie tylko ze strony CIA, ale i Interpolu.

– Interpolu się nie boję.

– To akurat wiem. Niełatwo cię przestraszyć. Zawsze tak było. Wiem jednak, czego się boi Gray Man.

– No, czego się boję?

– Nas. Nie chciałbyś się wreszcie od nas uwolnić? Od nakazu strzelania bez ostrzeżenia? Słuchaj, młody... Ja wiem, jak teraz wygląda twoje życie.

Ludzie pierdolą o Gray Manie, jakbyś był jakimś Jamesem Bondem czy innym Seanem Connerym zwiedzającym świat, imprezującym w najlepszych klubach, sączącym martini z pięknymi ludźmi na Lazurowym Wybrzeżu. Ale ja wiem, jak to wygląda naprawdę: żyjesz w ciągłym biegu, bujasz się od jednej zasranej dziury do drugiej, nikt cię nie kocha, nikt cię nie lubi, nikt cię, kurwa, nie zna. Z każdego cienia może na ciebie wyskoczyć taki sukinsyn jak ja. Zamiast siedzieć w smokingu w knajpie w Four Seasons i żreć piątego homara, musisz wcinać fasolę prosto z puszki na klatce schodowej jakiejś zakaraluszzonej rudery.

To, co mówił Zack, było prawdą, ale Court nie zamierzał dać mu satysfakcji i przyznać mu racji.

– Bardzo lubię fasolę – mruknął.

– Gówno prawda. Tylko robota ci się w tym wszystkim podoba. Robota to całe twoje życie. Cała reszta to chwilowa niedogodność. Wiem, jak jest, Sierra Sześć. Bycie Gray Manem jest do dupy.

– Niech zgadnę: jesteś moim rycerzem na białym koniu i przyjechałeś z pantofelkiem?

– Nie inaczej. Nawet lepiej, nie będziesz musiał rzucać roboty, ale już nie będziesz ścigany. Przynajmniej nie przez nas.

– Rzucać roboty? Czyli dla kogo pracować?

– Ależ dla CIA, rzecz jasna. – To mówiąc, Zack wyciągnął rękę, chwycił Courta za brodę i obejrzał go jak konia. – Przecież właśnie to ustaliliśmy. Czyżbym cię rąbnął zbyt mocno? – zapytał, po czym zabrał Gentry'emu worek z lodem i przyłożył go do swojej ręki.

– Czyli że mam zrobić dla was tę robotę w Sudanie, a potem zaproponujecie mi pracę na etat? Jak gdyby te cztery lata to było nic? I wszystko ma wrócić do tego, co było za dawnych dobrych czasów?

– Nie do końca. Proponuję pracę na umowę o dzieło. To pozwoli Langley nie brudzić sobie łapek i umówmy się, stawki są o niebo lepsze niż w budżetówce – uśmiechnął się i dodał: – Chcemy cię z powrotem. – Następnie poprawił się: – Cóż, może inaczej, nie ma mowy o biurku i własnym miejscu parkingowym w Langley. Tacy jak ty nie mają co na to liczyć. CIA nie przyzna się, że korzysta z usług Gray Mana. Ale raz na jakiś czas znajdujemy się w sytuacji, że ludzie otwarcie mówią: „Jaka szkoda, że nie ma już z nami Sierry Sześć. Że biega po zadupiu, strzelając zlecenia dla alfonsów i dilerów”. Przysięgam, naprawdę czasem nam ciebie brakuje. – Zamyślił się, po czym dodał: – Byłeś najlepszy. Chcemy utrzymać cię przy

życiu, Court. Żebyś wykonywał dla nas mokrą robotę pod fałszywą banderą.

– A skąd mam mieć pewność, że mnie po prostu nie zabijecie po akcji w Sudanie?

– Bo jesteś nam potrzebny. Nie proponujemy ci, żebyś uprawiał żonkile w stanie Iowa w ramach Programu Ochrony Świadców. Chcemy, żebyś robił to, co robisz, nie schodził z tak zwanego śmiertelnego zimna, a my będziemy udawać, że wciąż na ciebie polujemy. Przecież wiesz, że masz to gówno we krwi, a agencja dalej chętnie skorzysta z twoich usług, mimo że spieprzyłeś sprawę w dwa tysiące szóstym. W dzisiejszych czasach Waszyngton nie pozwala Sekcji Operacji Specjalnej brudzić sobie łapek. Ale jeśli będziemy sprytni, uda nam się robić tak, żebyś to ty sobie brudził rączki, a my będziemy na zapleczu. Przecież to, kurwa, miód malina. Jak koks z dupy dziwki. Wiesz, co mam na myśli?

Court powoli pokręcił głową.

– Tak szczerze, to nie.

– Słuchaj, wiem, że chcesz pokazać, jakim to jesteś cynikiem, ale ja cię znam. Wiem, że jesteś patriotą, młody. Nawet szczasz w barwach narodowych. Biały Dom ma potrzeby, ja mam potrzeby, ty masz potrzeby. Możemy sobie nawzajem pomóc. – Wyszczrzył się. – I wszystkim to wyjdzie na dobre.

Przez kilka minut rozmawiali o szczegółach planowanej operacji. Zack miał gotową odpowiedź na każde zadane przez Courta pytanie. Kiedy już nie zostało nic do omówienia, Gentry wziął od Hightowera worek z lodem i przyłożył go do opuchlizny na twarzy. Zack przez chwilę z zazdrością patrzył na zimny okład, ale po niego nie sięgnął.

– Muszę to usłyszeć od kogoś na wyższym stanowisku – odezwał się Court z worka z lodem.

– Na przykład od kogo? – Hightower nie wydawał się zdziwiony prośbą.

– Może być od Matthew Hanleya. Podejrzewam, że nasz były przełożony stoi teraz na czele całego departamentu, jeśli nie wyżej.

– Matt już nie pracuje w Sekcji Operacji Specjalnych. Z tego, co wiem, siedzi za biurkiem gdzieś w Ameryce Południowej, bodajże w Paragwaju.

Court nie krył zadziwienia.

– Przecież to było cudowne dziecko operacji specjalnych! Co się stało?

– Ty się stałeś, pacanie! To, że jednemu z jego ludzi odpiardoliło i wystrzelał prawie cały oddział, nie sprzyjało awansom.

- Czyli to też ma być moja wina?
 - Cóż, historię piszą zwycięzcy. Może i udało ci się jakoś w miarę przeżyć, ale to CIA pisze oficjalną wersję tego, co i dlaczego zrobiłeś.
- Court zamyślił się, po czym powtórzył:
- Muszę usłyszeć ofertę od kogoś nad tobą.
- Hightower pokiwał głową.
- Jasne, spoko. Siedź spokojnie, zaraz wracam.
- Court dostał z powrotem ubranie. Włożył je i czekał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po ponad godzinie dwóch ludzi Zacka wróciło do pomieszczenia, w którym przetrzymywano Courta. Cały ten czas spędził, masując obolałą twarz lodem. Zastanawiał się, jak wytłumaczy sińce i opuchliznę swoim ruskim kolegom strażnikom. Tymczasem podwładni Hightowera – jeden wielki i czarny, drugi starszy i biały – poprowadzili go wąskim i niskim korytarzem, minęli rury z wodą i parą, wspięli się ciasną klatką schodową do pomieszczenia na górnym pokładzie. Niewątpliwie nie byli pozytywnie nastawieni do Courta, czego nie ukrywali. Patrząc spode łba, rzucali mu pogardliwe spojrzenia, a za każdym razem, kiedy mieli skrócić, wykorzystywali okazję, aby pchnąć go muskularnymi barami. Cóż, Gentry miał świadomość, że przywalenie ich koleśowi w twarz tak, że stracił przytomność, na pewno nie nastroiło tych hardych chłopaków zbyt przychylnie do niego.

Ale miał to gdzieś. Nie szukał kumpli, nawet jeśli rzeczywiście mieliby razem wykonywać zbliżającą się misję. Wiedział, że te chłopaki to – jak on – profesjonaliści, i dobro operacji będzie dla nich zawsze stało na pierwszym miejscu. Nie potrzebowali być w doskonałej komitywie, żeby dobrze wykonać swoją robotę. Kiedy Gentry był już na miejscu i usiadł, zauważył, że na biurku przed nim stoi błękitny monitor. Po chwili przyszedł Zack, wsuwając telefon satelitarny do etui przy pasie.

– No dobra. Teraz sobie z kimś pogadasz. Zna szczegóły operacji, wie, kim jesteś, ale na potrzeby sytuacji nie jesteś ani agentem bez immunitetu, ani pracownikiem CIA, ani byłym pracownikiem CIA, ani nawet obywatelem Stanów Zjednoczonych. Jesteś cudzoziemcem, agentem obcej agencji państwowej i będziemy cię traktować jak na takiego przystało. Twój kryptonim to będzie twoja stara ksywa z Bandy Zbirów, czyli Sierra Sześć.

Court pokiwał głową.

– A kryptonim prezydenta Abbouda to Oryks.

– Co to oryks?

– Sam zadałem to pytanie. Zdaje się, że rodzaj jakiejś afrykańskiej antylopy czy innej kozy.

Court wzruszył ramionami. Używanie tego typu kryptonimów to jego codzienność od wielu lat. Kiedy był w Bandzie Zbirów, nazywał się Sierra Sześć, choć na różnych misjach figurował pod kilkudziesięcioma innymi pseudonimami. Zanim zaczął pracować u Zacka, jeszcze w ramach programu agentów samodzielnych, jego kryptonim brzmiał Profanator. Oficjalnie kryptonimy generował losowo komputer, ale Profanator niepokojąco dobrze do niego pasował. CIA wyciągnęło Gentry'ego z więzienia na południu Florydy, gdzie odsiadywał karę dożywotniego pozbawienia wolności za potrójne morderstwo trzeciego stopnia. Wiedzieli, że kibluje za zabójstwo trzech kolumbijskich przemytników narkotyków, i złożyli mu propozycję pracy nie do odrzucenia.

Ani przez chwilę nie wierzył, że to komputer nazwał go Profanatorem.

Ekran przed nim błysnął i ożył. Ukazała się na nim postać mężczyzny w szarym garniturze i prążkowanym krawacie marki Brooks Brothers zawiązanym w pełen węzeł windsorski. Był trochę po sześćdziesiątce. Na czubku jego nosa sterczały cienkie okulary. Miał twarz i wygląd żołnierza. Po chwili Gentry go rozpoznał.

Zdziwił się. Był wręcz zszokowany.

– Poznajesz mnie, Sierra Sześć? – mówił szybko, w miarę uprzejmym tonem. Na jego twarzy nie było śladu uśmiechu, w ogóle żadnych emocji.

Gentry pośpiesznie odpowiedział:

– Tak jest. – Następnie popatrzył na Zacka.

Hightower uśmiechnął się i uniósł brwi, niewątpliwie dumny z tego, że jest na tyle ważny, że udało mu się załatwić rozmowę z taką szycią.

Mężczyzna na ekranie monitora to był Denny Carmichael, obecny szef Narodowego Dyrektoriatu Operacji Stanów Zjednoczonych, do niedawna stojący na czele Działu Operacji Specjalnych. To prawdziwa legenda CIA, specjalista do spraw Dalekiego Wschodu i wieloletni szef rezydentury w Hongkongu.

Krótko mówiąc, Denny Carmichael to była gruba ryba operacji specjalnych CIA. Court wiedział już, że ta misja to coś wielkiego, ale tego typu brudna robota zazwyczaj odbywała się bez pozostawiania odcisków palców najwyższych rangą oficjeli amerykańskiego świata wywiadowczego.

– Rozumiem, że Sierra Jeden przedstawił naszą propozycję dotyczącą wydania w trybie nadzwyczajnym Oryksa. Jestem przygotowany, żeby potwierdzić szczegóły operacji Szafir Nocy.

– Tak jest! – powtórzył Court. Tylko to przyszło mu do głowy. Nigdy nie rozmawiał z tak wysoko postawionym oficjelem. Czuł się niemal porażony blaskiem sławy rozmówcy. Było to dziwaczne uczucie, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że Carmichael na pewno był jednym z sygnatariuszy rozkazu strzelania do niego bez ostrzeżenia, który obowiązywał od roku dwa tysiące szóstego.

Carmichael wyłożył przed nim ten sam ogólny plan działania, który wcześniej przedstawił mu Zack, choć posługiwał się znacznie elegantszymi słowami. Court dowiedział się tym razem, że ma „przy użyciu siły pozbawić Abbouda wolności”, a nie, jak to ujął Hightower, go „capnąć”. Do tego jego zadaniem miało być „zneutralizowanie wszelkich zagrożeń ze strony ochrony osobistej celu”, co Zack wcześniej określił jako „pyknięcie kilku kulek w ryło każdego goryla”.

Odmienne słownictwo, jakim posługiwali się pracownicy i zarząd w tym fachu, przypominające czasem używanie wręcz innych języków, było dość powszechne w ich branży. Court jednak bardziej przywykł do sposobu wyrażania się Zacka niż do eufemizmów stosowanych przez ludzi pokroju Carmichaela. Wiedział, że wyszukane wyrażenia stosowane ze względu na ich polityczną poprawność nie zmieniają znaczenia słów. Chodziło o jedną i tę samą operację, nieważne, czy omawiano ją eleganckimi, czy wulgarnymi słowami.

Tak czy inaczej zginą ludzie.

Hightower w tym czasie stał oparty o ścianę, raz na jakiś czas wykonując gest imitujący kłapanie dziobem, wyśmiewając rozwlekłość i gadulstwo oficjela. Poza tym Sierra Jeden się nie wygłupiał. Kiedy Carmichael skończył omawiać szczegóły operacji, przeszedł do części umowy, która była dla Courta najistotniejsza.

– Zrobisz to dla nas, Sierra Sześć, i nasza operacja mająca na celu wyeliminowanie ciebie po prostu zniknie. To znaczy, że wszelkie rozkazy czy rozporządzenia wymierzone w ciebie przez agencję stracą aktualność. To samo dotyczy nakazu ścigania przez Interpol i poleceń wobec agencji wywiadowczych państw trzecich. Kwerenda ciągną CIA o zapis informacji z Echelonu i innych źródeł pozyskiwania danych przez NSA ulegnie przedawnieniu. Zajmiemy się też zamknięciem i uporządkowaniem

pozostałych kwestii w FBI, JSOC-u, w służbach imigracyjnych i celnych, w Departamencie Handlu... już nie będziesz osobą poszukiwaną przez żaden departament federalny ani agencję Stanów Zjednoczonych.

Court nie miał nawet pojęcia, że JSOC, czyli Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych, było zamieszane w polowanie na niego. W skład dowództwa wchodziła Delta Force, Jednostka przez wielkie „J”, a w niej były twarde ziomki. Po plecach przeszedł mu dreszcz. Z kolei Departament Handlu bynajmniej nie napełnił go przerażeniem.

– Rozumiem – odpowiedział Gentry.

– Dobrze. Czyli umowa stoi?

– A czy może mi pan wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

Carmichael wydawał się lekko zirytowany. Być może dlatego, że nie podobało mu się proponowanie układów wyjętym spod prawa. Pokiwał jednak głową i zaczął:

– Prezydent Abboud jest poszukiwany listem gończym Międzynarodowego...

– Proszę wybaczyć... Chodziło mi... Czy mógłby mi pan wyjaśnić, o co chodzi z tym nakazem strzelania bez ostrzeżenia? Dlaczego w ogóle zaczęliście mnie ścigać?

Nastąpiła długa cisza. Denny Carmichael spojrzął za kamerę na kogoś, kto był z nim w pokoju, być może licząc, że ta osoba pomoże mu znaleźć wyjście z sytuacji. W końcu jednak odparł grobowym głosem:

– Synu, jeśli naprawdę nie wiesz, co takiego uczyniłeś, to zapewne będzie lepiej dla nas wszystkich, że ci nie powiem.

– Nie rozumiem.

– Patrzmy w przyszłość. Zapomnij o tym nakazie. My jesteśmy gotowi o nim zapomnieć. Czy w kwestii prezydenta Abbouda doszliśmy do porozumienia?

Court łypnął na Zacka, który zrobił komiczną minę.

– Tak jest, proszę pana. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby jak najlepiej wypełnić warunki naszej umowy. Liczę, że pan i Sierra Jeden dotrzymacie tego, co mi obiecaliście – powiedział w końcu Gentry.

Carmichael pokiwał głową, ale się nie uśmiechnął.

– Bardzo dobrze. Nie będziemy już więcej rozmawiać w cztery oczy, Szóstko. Sierra Jeden będzie dowódcą oddziału i dowódcą na miejscu operacji Szafir Nocy, która ma na celu przekazanie prezydenta Bakriego Ali Abbouda z Sudanu przed Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze.

Założywszy, że wszystko w Afryce pójdzie zgodnie z planem, w odpowiednim czasie nastąpią kolejne działania w celu uzyskania pańskich usług, w których będzie pośredniczyć przypisany panu oficer prowadzący z ramienia Grupy Misji Specjalnej Sekcji Operacji Specjalnych.

– Rozumiem. Dziękuję.

Mężczyzna na ekranie uprzejmie schylił głowę. Ekran zgasł.

Zack natychmiast odetchnął z ulgą.

– Naprawdę myślałem, że Denny nigdy się nie zamknie.

Court wstał i spojrział na zegarek.

– To co, Szóstka? Między nami wszystko gra? – zapytał Zack.

Court Gentry milczał zrezygnowany. Zrobi to, choć nie będzie to łatwe.

– Lepiej dostarczcie mnie z powrotem do hotelu. Nie możemy pozwolić, żeby oprychy Sida zauważyły, że mnie nie ma.

Zack uśmiechnął się szeroko.

– Jasne. Kilku moich chłopaczków cię odwiezie i ulula. Nie przejmuj się, jeśli z początku nie będą zbyt koleżeńscy. Niezbyt im się to podoba. Jakimś cudem odnieśli wrażenie, że to ty jesteś tym kutasem, który pozabijał kolegów z oddziału, a następnie prysnął w poszukiwaniu sławy i mamony w sektorze prywatnym.

– No proszę, jak mogli na to wpaść?

Sierra Jeden podniósł rękę.

– Przyznaję, że odpowiedzialność za ich podejrzliwość wobec ciebie leży po części po mojej stronie. Plus trzasnąłeś Todda tak, że długo jeszcze będzie mocno niedysponowany. – To mówiąc, uśmiechnął się i odrobinę zbyt mocno klepnął Courta po plecach. – Słuchaj, strasznie się cieszę, że znowu będziemy razem pracować. A! Ostatnia rzecz, pogadajmy o sprzęcie.

– Co z nim?

– W Sudanie będę mieć oczywiście wszystko, co potrzebne do operacji Szafir Nocy. Na noc przed akcją spotkamy się i ci to przekażę. Ale daj znać, czego potrzebujesz ze sprzętu osobistego, a ja zobaczę, co będziemy w stanie przez tydzień przygotować.

– Na pewno przyda się telefon satelitarny, żebym miał z tobą kontakt. Coś, co sprawnie działa w Afryce Północnej. Model Thuraya marki Hughes będzie spoko. No i dużo baterii. To powinno wystarczyć.

– Chcesz rozpierdolić słuchawkę na łbach złoli? Chodziło mi o spluwy – odparł Hightower.

– Dostanę co trzeba od Sida. Jego pukawki są lepsze od waszych.

– Oj, to zabolalo. Ale przynajmniej oszczedzisz podatnikom kilka dolcow, wiec sie nie czepiam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Court dostał się do apartamentu o czwartej czterdzieści pięć rano. Po telekonferencji z Langley jeszcze przez godzinę omawiali z Hightowerem szczegóły operacji, po czym dwóch chłopaków z oddziału Zacka wyprowadziło go z jachtu do bączka. Cała trójka pokonywała zimne fale Zatoki Fińskiej w milczeniu, do brzegu dobili tuż przed czwartą. W doku czekało auto, Court został do niego wsadzony, a następnie odwieziony i dostarczony do pokoju. Hightower pomyślał o wszystkim, wynajął nawet analogiczny apartament typu junior tuż nad apartamentem Gentry'ego. Stamtąd agenci wyszli na balkon, przerzucili linę przez barierkę, po czym wręczyli Courtowi mały notes z informacjami kontaktowymi.

– Hej, stary – odezwał się czarnoskóry agent. Nazywał się podobno Spencer. Ten drugi, młodzik z akcentem, który Court przypisał Chorwacji, przedstawił się jako Milo. – No bo ten tego... Chodzą słuchy. Plotki i inne gówno. Zwykle mnie to nie obchodzi, ale... Czy to ty odwaliłeś tamto w Kijowie? Wystarczy tak lub nie...

Gentry wziął notes, wsunął go do tylnej kieszeni, po czym wypowiedział swoje pierwsze i ostatnie zdanie w ciągu tej godziny:

– Pierdol się. – Następnie, nie zważając na linę, przerzucił nogi przez barierkę, po czym bez najmniejszej pomocy bezszelestnie zsunął się na balkon piętro niżej.

Spencer wychylił się przez poręcz i krzyknął:

– Ty też się pierdol, Szóstka! Widzimy się za dwa tygodnie w ciemnej dupie!

* * *

Gentry wziął prysznic. W zaparowanym lustrze przyjrzał się swojej posiniaczonej twarzy, po czym zerknął na wbudowany nad lustrem zegar. Piąta rano. Za dwie godziny przyjdzie mu się tłumaczyć z tego, jak dorobił

się śliwki pod okiem i spuchniętej wargi podczas samotnego przeglądania papierów w łóżku hotelowym. Nagusieńki i czyściutki już miał wrócić do sypialni, ale zatrzymał się i obrócił na pięcie. Coś go tknęło. Z głupia frant otworzył szafkę za lustrem.

Zajrzał do niej. Serce zabiło mocniej. Równocześnie załamał rękę. Oprychy Sida załadowały szafkę lekami na receptę: znalazł środki na zatłakany nos, antybiotyki oraz specyfiki zapewniające chwilową ulgę w dolegliwościach związanych z zaburzeniami erekcji. Nic z tego nie było mu potrzebne. Ale od razu wypatrzył środki przeciwbólowe. Dilaudid, tabletki czteromiligramowe. Poczł ekscytację na samo wyobrażenie sobie ulgi, jaką przyniesie jedna taka pigułeczka. Jednocześnie ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wiedział, że tak naprawdę nic go nie boli, że nie potrzebuje żadnego silnego leku. Mimo to doskonale zdawał sobie sprawę, że za jakieś pięć sekund zaprzepaści trzy tygodnie, podczas których był czysty po wymuszonym przez siebie detoksie.

Court połknął dwie tabletki, popił wodą z kranu. Zaraz potem – w chwili wściekłości i wstydu – wysypał resztę opakowania do fikuśnej umywalki. Następnie włożył zajebiście paskudny dres i położył się w łóżku. Lada moment jego mózg już do niczego nie będzie się nadawał. Musiał wiele sobie przemyśleć, zanim leki zaczną działać.

Pomyślał o prezydencie Abboudzie. Jeśli operacja Szafir Nocy się powiedzie, ten morderczy watażka pozostanie przy życiu. A to bardzo nie podobało się Gentry'emu. Być może to było zbyt uproszczenie, ale musiał przyznać, że w przytoczonych przez Sida słowach Stalina było coś, z czym się zgadzał, choć nigdy nie przyznałby, że coś go łączy z Wujaszkiem Joe. „Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy. Nie ma człowieka, nie ma problemu”. Nie, Court nie do końca tak uważał. Wiedział, że zamach na znaczącego polityka rozwiązuje stosunkowo niewiele większych problemów. Ale owszem, na krótką metę to jest jakieś wyjście. I nie da się zaprzeczyć, że zabicie zła przerywa proces wyrządzania przez niego zła.

Zabicie Abbouda przynajmniej znaczyłoby zabicie Abbouda. Wszystko inne Court Gentry miał gdzieś.

Nagle dilaudid zaczął działać. Mózg Courta ogarnęła fala zadowolenia, jakby ktoś rozbił mu surowe jajko na czole i jego zawartość powoli spływała mu na twarz. Przez chwilę po prostu leżał. Gapił się na baldachim nad łóżkiem, rozkoszował uroczymi wzorami na brokatowym materiale.

– Cholera jasna – mruknął, wyrażając równocześnie radość z uzyskanej przez prochy błogości i wściekłość, że poddał się farmaceutycznej pokusie. Pokonał kolejną falę nadmiernego odprężenia i wrócił do rozmyślania o sytuacji, w której się znalazł. To prawda, że nie uśmiechało mu się poprzestanie na porwaniu najbardziej zniechęconego człowieka na ziemi. Pod tym względem operacja Sida byłaby dla niego zdecydowanie bardziej satysfakcjonująca niż misja Hightowera, z tym że ta ostatnia miała znacznie bardziej kuszącą nagrodę. Choć odwołanie rozkazu strzelania do niego bez ostrzeżenia nie rozwiązywało jego wszystkich problemów, Court przyznał, że było znacznie lepsze niż cztery miliony dolarów na koncie. Jeśli nie będzie w stanie ich wydać, ta forsa mu się na nic nie przyda – przez te cztery lata, od kiedy ścigało go CIA, nie miał ani chwili, by zwolnić, odpocząć od uciekania po całym świecie i napawać się zarobkami. Owszem, cudownie byłoby wrócić do łask CIA. Czymkolwiek zasłużył sobie na nakaz strzelania bez ostrzeżenia, być może uda mu się naprawić to, przekazując Abbouda Zackowi i oddziałowi Whiskey Sierra.

Rozległo się pukanie do drzwi. Court zerknął na stojący na stoliku nocnym zegar i spostrzegł, że już siódma. Nie miał pojęcia, czy w ogóle spał, czy to prochy i troska tak pochłoneły go przez te dwie godziny. Usłyszał, jak otwierają się drzwi do salonu. Po chwili do sypialni weszło trzech mężczyzn. Ta sama zgraja oprychów, co go tu zostawiła wieczorem. Mieli pomięte garnitury. Może spali w nich na korytarzu czy w pokoju obok, a może po prostu balangowali całą noc. Wstał, powoli przetaił oczy. Czuł, że zażyte leki spowolniły jego ruchy i zaburzyły równowagę. Zobaczył, że przybyli podziwiali fioletowy dres z nieskrywaną aprobatą. Dopiero po chwili spojrzeli na jego twarz. Mimo że miał brodę, musieli zauważyć siniec na wardze, nie mówiąc już o śliwie pod okiem.

– A tobie co się stało? – zapytał pierwszy z nich po rosyjsku.

Court zrozumiał, już miał odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Kurza dupa. Dilaudid mu się rzucił na mózg. Działał z opóźnieniem. Wzruszył więc ramionami, być może zbyt teatralnie, po czym poczekał, aż mężczyzna się kapnie i powtórzy pytanie po angielsku. Gdy tak się stało, Court odparł:

– Spadłem z łóżka. Strasznie śliskie te jedwabne prześcieradła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tuż po śniadaniu Court został zawieszony przed oblicze Sidorenki. Tym razem gangster siedział na dziedzińcu swojej rezydencji. Ani chłód i szaruga poranka, ani łagodny, lecz wciąż padający śnieg z deszczem nie powstrzymały go od wypicia porannej herbaty w ogołoconym ogrodzie, do tego tylko w szlafroku. Siedział jak basza przy niewielkim metalowym stoliku pod czerwonym baldachimem. Założył nogę na nogę i trudno było poznać, gdzie kończą się złociste spodnie od piżamy, a gdzie zaczynają puchate bambosze. W wyłysiałych przez długą petersburską zimę krzakach stała para uzbrojonych goryli. Ochroniarze nie spuszczała Courta z oczu. Wiedział jednak, że gdyby musieli do niego strzelić z tych małych automatycznych pukawek, to z tej odległości równie szybko przedziurawiliby przy okazji i swojego pryncypała.

Amerikanin skrzywił się, widząc tak beznadziejną strukturę ochrony. Taka amatorszczyzna po stronie uzbrojonych mięśniaków działała na niego jak odgłos drapania ostrymi paznokciami po tablicy.

Gentry podszedł do Sida w obstawie dwóch oprychów, w których towarzystwie spędził ostatnią godzinę. Od rozmowy w apartamencie nie zamienili ani słowa. Skłonił się grzecznie pracodawcy i powiedział:

- No dobra, wchodzę w to.
- Cóż się stało z pana twarzą?
- Nic. Słyszał pan, co powiedziałem?

Sid zawahał się, pokiwał głową, a następnie klasnął w dłonie i wyciągnął do góry dwa kciuki. Coś musiało mu umknąć. Aby go zrozumieć, potrzebowałby chyba dobrego tłumacza.

- Doskonale. Mój rząd będzie niezwykle zadowolony.

Court ciągnął:

– Proszę zrozumieć, to jest moja operacja. I albo moje instrukcje zostaną wykonane co do joty, albo cała umowa na nic.

Sid wyprostował się i pokiwał głową.

– Wyjdę stąd sam. Muszę mieć trochę czasu na przygotowanie i zbadanie sytuacji, i nie chcę, żeby pańskie naziolenia mi w tym przeszkadzały. Za parę dni prześlę adres. Wtedy chłopaki mogą po mnie przyjechać. – Court wyciągnął ręcznie zapisaną kartkę i przekazał ją podekscytowanemu Sidowi. – Przywiozła mi wszystko, co jest na liście. Następnie zawiozła mnie do wybranego przez pana miejsca na wsi, gdzie będę mógł przetestować karabin i sprawdzić resztę sprzętu. Od tamtego momentu jestem na misji. Wykorzystam pańskie wskazówki dotyczące dostania się do Sudanu. Po opuszczeniu lotniska w Chartumie spotkam się z pańskim człowiekiem. Razem pojedziemy na wybrzeże. Potem aż do końca misji będę poza zasięgiem. O wykonaniu zadania poinformuję przez mój prywatny telefon satelitarny. Wtedy pogadamy o ekstrakcji.

Sid prawie podskakiwał z podekscytowania.

– Doskonale! Zrobię wszystko, o co pan prosi!

* * *

Przez następny tydzień Gentry sprawdzał i wyzerowywał broń, uporczywie ćwiczył pośród wzgórz i lasów na wschód od Sankt Petersburga. Starał się podbić formę, biegając, wspinając się na wysokie drzewa i nosząc plecak wypełniony kamieniami. Do tego codziennie chodził do solarium na Puszkynie, zamożnej dzielnicy na południu miasta. Ślęczał nad mapami, książkami i wydrukami, zapoznając się ze wszystkimi graczami na arenie regionu, od najmniejszych, najgorzej zaopatrzonych band rebeliantów, aż po strukturę, strategię i szkolenia sięjących grozę Narodowych Sił Bezpieczeństwa Sudanu. Doszkałał się w zakresie historii, prawa, infrastruktury, dróg, portów, lokalizacji oraz dyspozycyjności lotnisk i garnizonów wojskowych. Szczególną uwagę przyłożył do wybrzeża Morza Czerwonego, jako że tam przede wszystkim miał działać, najpierw jako zabójca na usługach rosyjskiej mafii, a następnie jako agent zajmujący się wydawaniem ludzi w trybie nadzwyczajnym na garnuszkach CIA.

– Cóż, to może się okazać deczko skomplikowane – westchnął. Wiedział, że to mało powiedziane.

Raz jeszcze spotkał się z Zackiem Hightowerem. Reszta oddziału Whiskey Sierra poleciała na jacht CIA o dźwięcznej nazwie „Hannah”, dostosowany do ich potrzeb i zacumowany w Erytrei, mający lada moment wyruszyć do miasta Port Sudan, prawie trzydzieści kilometrów na północ

od Sawakinu. Zack i Court spędzili razem cały dzień, omawiając dokładnie kryptonimy, mapy, sprzęt i plany operacyjne. Żaden szczegół misji nie był zbyt drobny, żeby go nie omawiać, czy zbyt trywialny, by go nie analizować. Hightower wyjaśnił, w jaki sposób RWS, czyli Ruch Wyzwolenia Sudanu – antyarabska, antyprezydencka partyzantka – stworzy w poranek planowanego porwania prezydenta Abbouda dywersję, która powinna rozproszyć uwagę większości jego straży i zmusić samą głowę państwa do ukrycia się w banku. Rezydentura CIA w Sudanie miała agenta, który był kiedyś członkiem ścisłej ochrony Abbouda i wykawił, że standardowa procedura na wypadek ataku podczas spaceru do sawakińskiego meczetu zakłada schowanie się w banku i ochronę ścisłego otoczenia prezydenta do przybycia posiłków helikopterami z Port Sudanu. Sawakin uchodził za miejsce niskiego ryzyka ataku na prezydenta. W terenie praktycznie nie było Ruchu Wyzwolenia Sudanu, a Abboud wielokrotnie odwiedzał rodzinną miejscowość i nie towarzyszyły temu żadne incydenty.

Court miał czekać w banku, żeby porwać prezydenta, a następnie wyprowadzić go z miasta. Oddział Whiskey Sierra natomiast miał przebywać na peryferiach miasta, starając się, w miarę możliwości, powstrzymać od podejmowania jakichkolwiek bezpośrednich działań. Plan zakładał odebranie ich pontonem Zodiac i przewiezienie na jacht „Hannah”, który po ich dotarciu natychmiast podniesie kotwicę i popłynie na północ. Zadaniem Hightowera było wsadzenie Abbouda do małej łodzi podwodnej przyczepionej do jachtu, na której potem Sierra Jeden z Oryksem dopłyną do agencyjnego trawlera rybackiego na wodach międzynarodowych. Wtedy, nawet jeśli sudańska straż przybrzeżna weszła na pokład „Hannah”, nie byłoby żadnych dowodów na udział załogi jachtu w porwaniu. Następnie jacht przepłynie przez Morze Czerwone i w końcu zadokuje w Aleksandrii. W tym czasie Abboud będzie się już znajdował w więzieniu Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

Cały plan był odważny, wręcz brawurowy. Court jednak nie stwierdził, żeby jakaś jego część wydawała się absolutnie niewykonalna czy też nieprzemysłana. Mimo to wciąż niejedno mogło pójść nie tak. Operacja mogła w każdej chwili paść w wyniku ludzkiego błędu czy słabości albo nieprawdziwych danych wywiadowczych. A do tego na wszystkim ciążyło widmo prawa Murphy’ego głoszące, że w gruncie rzeczy „szambo zawsze może wybić”. Przede wszystkim jednak, choć istniało wysokie

prawdopodobieństwo, że plan się powiedzie, oczywiste było, że został opracowany przez zdesperowaną jednostkę pragnącą za wszelką cenę udowodnić, że ma rację bytu nawet za rządów administracji, która praktycznie zrezygnowała z przeprowadzania tajnych operacji paramilitarnych.

Trzeciej samotnej nocy Court zadzwonił pod numer otrzymany od osiłków Sidorenki. Odebrał sekretarz Sida. Gentry poinformował go, że podczas treningu przed misją doznał drobnej kontuzji i będzie potrzebował fiołki lekkich środków przeciwbólowych, które ułatwią mu rekonwalescencję. Następnie udał się do metra pod Dworcem Witebskim, gdzie w ciemnym korytarzu spotkał jednego z młodych skinów Sida. Bez słowa odebrał papierową torbę. Jeszcze czekając na pociąg na peronie, Court połknął dwie tabletki darvocetu. Nie mógł wytrzymać, aż wróci do hotelu przy Zagorodnym Prospekcie. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że ból jest nie do zniesienia. To prawda, że otrzymana cztery miesiące wcześniej rana podbrzusza rzeczywiście wydawała się nieco nadwężona przez ćwiczenia, jakie wykonywał – naciągnął boleśnie mięśnie wokół blizny. Tak naprawdę jednak z łatwością wytrzymałby dokuczające mu dolegliwości, gdyby nie to, że pokochał narkotyki.

Court doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Stwierdził, że to ironia losu, że choć wiele groźnych ludzi oddałoby dużo, by zobaczyć go martwym, to ostatecznie nie oni doprowadzili go do upadku, a zwykły człowiek, sympatyczny starszy lekarz z Nicei, który pewnego dnia załatwił mu trochę morfiny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rosyjski transportowiec Iljuszyn Ił-76 to ogromna maszyna, od dziobu po ogon mająca prawie pięćdziesiąt metrów długości i mniej więcej tyle samo rozpiętości skrzydeł. Tuż przed świtem Court stał przed samolotem i dokonywał inspekcji przy bladym świetle budzącego niepokój księżyca. Towarzyszył mu Grigorij Sidorenko. Gangster przyleciał z Gentrym z Sankt Petersburga do Grodna na Białorusi prywatnym hawkerem. Wylądowali na głównym lotnisku jakieś pół godziny wcześniej. Z punktu widzenia strategii operacyjnej nie było najmniejszego powodu, żeby Sid tu był. Ba! Wydawało się to wręcz sprzeczne z jakimikolwiek zasadami i procedurami, do których Court przywykł przez ostatnie szesnaście lat pracy. Prawda była jednak taka, że jego rosyjski szef po prostu chciał się z nim zabrać. Mimo że na pasie startowym rzeczywiście temperatura spadła poniżej zera, Sid i tak wyglądał idiotycznie, opatulony licznymi warstwami wełny, bawełny, skóry i futra, niczym jakiś kuriozalny pakunek. Jego cienki nos i szpiczasta broda ledwo wystawały spod zwojów tkanin, futer i skór zwierząt.

Court był wstrząśnięty dziwaczną ekscytacją swojego przełożonego. Zachowanie Rosjanina było kompletnym przeciwieństwem chłodnego dystansu jego poprzednika, angielskiego byłego superszpiega sir Donalda Fitzroya. Ten prędkiej by sam wykonał misję, niż towarzyszył na lotnisku swojemu człowiekowi. Sid natomiast był amatorem – Court stwierdził, że wręcz psychofanem takich akcji.

Ciszę przerwały słowa z rosyjskim akcentem Sidorenki.

– Wszystko gotowe. Wylot o dziesiątej.

– Wiem.

– Do Chartumu siedem godzin piętnaście minut.

Court tylko pokiwał głową.

– Podobno ten pilot to pierwsza klasa.

Court milczał.

– Wystartujecie na południe. Tam za nami jest Polska, tak więc pewnie będzie leciał prosto na południe aż do granicy z...

– Naprawdę nie obchodzi mnie, którą lecimy.

Rosjanin zamilkł na chwilę. Po chwili dodał zdziwiony:

– Nie rozumiem, jak pan może zachować taki spokój. Ileż przeróżnych myśli i emocji musi kłębić się teraz w pańskiej głowie! Wszystko to, co przyjdzie panu w najbliższym czasie zrobić. Niebezpieczeństwa! Intrygi! Zagrożenie życia i zdrowia! A pan tu stoi znudzony, jak gdyby czekał na pociąg do biura.

Gentry nie spuszczał wzroku z samolotu. Sid oczywiście znał tylko połowę planu. Tę część operacji, która była relatywnie prosta – z naciskiem na relatywnie – jeśli porównać ją z tym, co Court naprawdę miał do zrobienia. Zastrzelenie faceta z odległości pięciuset metrów, a potem ukrywanie się gdzieś w górach przez jakiś tydzień, aż będzie bezpiecznie, by potem wylecieć, jak gdyby nigdy nic, z jakiegoś lotniska to małe piwo w porównaniu z koniecznością udawania, że szykuje się zamach, choć tak naprawdę przygotowuje się błyskawiczne porwanie i niebezpieczne przedarcie przez terytorium wroga z eskortowanym więźniem.

Court naprawdę wolałby zastrzelić tego krwiożerczego tyrana i mieć to z głowy.

– Jak pan utrzymuje taki spokój? – zapytał Sid.

Gray Man pierwszy raz tego ranka spojrział w oczy przełożonemu.

– Taka praca – rzucił.

Wąskie usta Grigorija Sidorenki rozciągnęły się w niespodziewanym uśmiechu. Jego białe zęby błysnęły w słabym świetle przedświt.

– Doskonale.

Samolot był kolosem, którego projektanci zapewne przykładali większą wagę do funkcjonalności niż do wyglądu. Siły NATO dały mu przydomek „Candid”. Gdy stał, jego ogromne skrzydła miały tendencję do lekkiego opadania. W półmroku wyglądał jak wielki, tłusty, drzemiący stwór. Courta kusił, żeby podejść i obudzić go kopniakiem. Wiedział jednak, że rosyjska załoga nie zawiedzie i kolos bez problemu przetransportuje go wraz z tajemniczymi wojennymi skarbami do Chartumu. To nie był lot wojskowy sensu stricto. I samolot, i jego załoga należały do firmy Rosoboronexport, państwowego rosyjskiego koncernu zajmującego się eksportem wojskowym. Ich transportowce latały po całym świecie, rozwożąc różne towary do Sudanu, Wenezueli, Libii, Indii. W sumie

zajmował się wywożeniem broni produkcji rosyjskiej do mniej więcej sześćdziesięciu krajów, dolewając oliwy do ognia i podtrzymując płomień w miejscach konfliktów na całej kuli ziemskiej.

– Co to za cargo? – spytał Gentry z czystej ciekawości.

– Poza panem? Kilka skrzynek maszynowych Kordów, amunicja, dodatkowy sprzęt.

– I ONZ na to pozwala? A co z sankcjami?

Sid parsknął, aż mu buchnęła para z nosa.

– Sankcje są durne. Rosji wolno sprzedawać sprzęt wojskowy do Sudanu pod warunkiem, że nie zostanie użyty w Darfurze.

– Skoro Rosja wysyła karabiny maszynowe do Sudanu, to przecież, cholera, wiadomo, że zostaną użyte w Darfurze. Przecież to tam jest wojna!

– No właśnie, przyjacielu. – Sid uśmiechnął się, nie załapując obrzydzenia Courta. – Moskwa wierzy w gorące zapewnienia prezydenta Abbouda. Widać ONZ-etowi to wystarcza.

– Niesamowite – mruknął Court właściwie do siebie.

Sidorenko klepnął go w plecy.

– Prawda, że cudownie? – To powiedziawszy, Rosjanin odwrócił się i poszedł do ogrzewanego terminalu.

* * *

Court leżał na plecach na czterech czerwonych plastikowych siedzeniach. Koło niego, na niewielkiej przestrzeni pomiędzy jego legowiskiem wzdłuż ściany kadłuba a stojącymi pośrodku samolotu ogromnymi kontenerami z cargo, znajdował się plecak typu MultiCam. Gentry był mistrzem oszczędnego pakowania. Jego bagaż ważył dokładnie dwadzieścia trzy kilogramy. W środku mieścił się rozkręcony blaser R93, niemiecki karabin snajperski i dwadzieścia opakowań naboju kaliber .300 Winchester Magnum. Do tego lornetka, dwa granaty ręczne, dwa granaty dymne, mały zapas suszonego prowiantu, woda i zapas saszetek z elektrolitami. Do tego apteczka z zestawem na poważniejsze zranienia, ale nie zabrał nic na skaleczenia i siniaki. Na sobie miał bojówki, a przy pasie pistolet Glock kaliber 9 milimetrów, nóż bojowy, multitool i latarkę.

Wszystko to zakrywał długi biały thawb, tradycyjna szata noszona w Sudanie.

Załoga zostawiła go w spokoju. Od wyżej postawionych szych z Rosoboronexportu dostali przykaz przewiezienia tego człowieka do

Chartumu, ale nic więcej nie wiedzieli o misji.

Przed wylotem Gentry oznajmił po rosyjsku szefowi załogi, że mają mu nie zawracać głowy, chyba że w nagłych i poważnych wypadkach. Dlatego kiedy członek pięcioosobowej załogi pojawił się nad nim, przekrzykując huk silnika, wiedział, że albo przyjdzie mu się wkurzyć, albo zmartwić. Został wezwany do kokpitu. Gentry poszedł za mężczyzną wąskim przejściem pomiędzy stojącymi wzdłuż całej kabiny szarymi drewnianymi skrzyniami na cargo, przyczepionymi na szynach do sufitu. Nie było tu okien, tylko obicie i siatka wzdłuż kadłuba, do której przymocowany był towar. Amerykanin przypomniał sobie inny samolot transportowy, ten, którym dane mu było lecieć cztery miesiące wcześniej nad północnym Irakiem. Ten lot nie był zbyt fortunny. Na samo wspomnienie poczuł ból w udzie, tam gdzie został postrzelony, a przecież on i tak skończył najlepiej ze wszystkich podróżnych – jako jedyny uszedł z życiem.

Kokpit iljuszyna był okazały. W pomieszczeniu dla załogi mieściło się czterech mężczyzn. Nawigator siedział niżej, w dziobie, pośród konsoli, guzików i monitorów. Pilot, rudy, czterdziestokilkuletni Rosjanin imieniem Giennadij, zawołał go, żeby podszedł bliżej. Miał na sobie zdecydowanie za duże pilotki. Był aż niepokojąco wychudły. Młody, przysadzisty inżynier lotu podał Amerykaninowi słuchawki, by mogli się wygodnie porozumiewać.

– O co chodzi? – zapytał Court po rosyjsku.

– Porozumiała się z nami sudańska kontrola ruchu. Mamy problem.

– Słucham.

– Zmienili nam trasę. Już nie lecimy do Chartumu.

– Tylko gdzie?

– Do Al-Fasziru.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale pewnie armia sudańska bardzo szybko potrzebuje karabinów.

Court sięgnął po leżącą na stoliku inżyniera laminowaną mapę. Przysadzisty młodzian spojrzał na niego, ale nie zaprotestował.

– Gdzie, do cholery, jest ten Al-Faszir? – spytał Gentry, rozwijając mapę.

Pilot obrócił się przez ramię i odpowiedział zdawkowo grobowym tonem:

– Darfur. – Następnie pokazał palcem w rękawiczce na skraj mapy, na miejsce po drugiej stronie kraju od punktu, w którym zaplanowano

operację Courta.

– Kurwa. – Court spojrział znad mapy.

– Nie podoba się, da?

– Moja robota jest daleko od Darfuru.

Giennadij odparł:

– Nic na to nie poradzę. Muszę zboczyć ze starej trasy. Nie mam uprawnień, żeby lądować w Chartumie.

– Kurwa mać! – krzyknął Genry. Rzucił słuchawki na konsolę i odwrócił się do wyjścia, biorąc ze sobą mapę.

Pięć minut później rozmawiał przez telefon satelitarny Hughes Thuraya z Sidorenką. Czas oczekiwania na połączenie spędził, lustrując mapę.

– To nie do przyjęcia! – krzyczał. – Jak mam się wydostać z lotniska w Al-Faszirze, przemierzyć dwieście kilometrów rojącej się od bandziorów pustyni, a do tego jeszcze czterysta osiemdziesiąt kilometrów? Teraz od celu dzieli mnie nawet pierdolony Nil!

– Rozumiem, panie Gray. Wiem, że to problem. Muszę pomyśleć.

– Nie mam czasu czekać na pańskie myślenie! Niech pan zawróci ten kurs na dawną trasę!

– Ależ to niemożliwe. Owszem, mam wpływy w Moskwie, ale nie w Chartumie. Będziecie musieli lądować tam, gdzie każą Sudańczycy.

– Rozumie pan, że jeśli nie da się tego naprawić, to z całej misji nici? – Court oczywiście nie wspomniał, że najbardziej obawia się nie o kontrakt Sida, a o Szafir Nocy, operację Zacka.

– Zrobię co w mojej mocy – powiedział Sid i się rozłączył. Court wciąż nerwowo chodził w wąskim przejściu pomiędzy ścianą a skrzyniami karabinów.

To pierdolnięcie sytuacji należało właśnie do kategorii „szambo zawsze może wybić”. To nie była niczyja wina, ale Court z doświadczenia wiedział, że nie trzeba było winnych, żeby operacja skończyła się żalosną porażką. Musiał jednak przyznać, że Sidorenko oddzwonił znacznie szybciej, niż Gentry się tego spodziewał.

– Panie Gray, mamy rozwiązanie. Musi pan niestety wylecieć z powrotem tym samym samolotem, gdy wyładują cargo w Al-Faszir. Wrócić do bazy na Białorusi. Za trzy dni odbędzie się kolejny lot do Chartumu. Tym razem z transportem sprzętu do naprawy helikopterów, a więc raczej nie przekierują go do Darfuru. Wszystko będzie w porządku – oznajmił Sid, który wydawał się zadowolony z tego, co udało się załatwić.

– Za trzy dni?

– Tak jest.

– Czyli jeden dzień przed wyjazdem Abbouda do Sawakinu? To za mało czasu, żeby tam się dostać i przygotować! – Court wiedział, że gdyby chodziło o samą operację Sidorenki, nie byłoby problemu. Jednak stwierdził, że to zdecydowanie za mało czasu na odpowiedni rekonesans, aby zwiększyć szanse powodzenia operacji Zacka. Cóż, nie mógł niestety wytłumaczyć tego swojemu rozmówcy.

Po drugiej stronie rozległ się krzyk Sida, który nie był w stanie wytrzymać napięcia.

– Nic na to nie poradzę! Jak miałem to przewidzieć? Rząd rosyjski tego nie przewidział! Niech pan zostanie z załogą i wraca. Za trzy dni spróbujemy jeszcze raz.

Court się rozłączył. Wciąż chodził nerwowo wzdłuż skrzyni z bronią.

– Kurwa jego mać...

Następnie zadzwonił do Zacka. Hightower odebrał po pierwszym sygnale. Telefon od Gentry'ego go zaskoczył.

– Hej, Szóstka. Wiesz, że dzwonicz jakieś dwadzieścia cztery godziny przed czasem?

– Niestety zaraz będę miał dużą obsuwę... – Court wyjaśnił Jedyńce sytuację. Gdy skończył, zapytał: – Wiesz coś o tym lotnisku? Czy w jakikolwiek sposób dam radę dostać się stamtąd do Sawakinu?

– Równie dobrze możesz próbować się dostać na ciemną stronę księżyca. Tam wokół jest strefa wojny. Jedyni cudzoziemcy to Czerwony Krzyż, jakieś organizacje pozarządowe, wojska Unii Afrykańskiej walczące dla UNAMID-u, misja Narodów Zjednoczonych w Darfurze i tyle. Może uda ci się wykupić przejażdżkę z jakimś lokalnym idiotą z jajami, co się nie boi Dżandżawidów i prorządowych oddziałów patrolujących teren, ale tak szczerze, to gorąco odradzam. Najlepiej trzymaj się planu awaryjnego Sida, wyleć z Sudanu z załogą, wróc za trzy dni. Na razie to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Po prostu trzeba będzie się pospieszyć, jak będziesz na miejscu. Dam znać Carmichaelowi co i jak.

– Rozumiem. No to z mojej...

– Czekać chwilę – przerwał Zack. – Mam jeszcze radę. Nie wiem, ile czasu będziecie mieli do wylotu w Al-Faszir, ale na miłość boską, nie wychylaj nosa z lotniska. Gdyby przypadkiem capnęły cię lokalne władze, zawiozą cię do Domu Duchów.

– Brzmi przytulnie! – krzyknął Court zagłuszany przez narastające wycie silników iljuszyna. Właśnie zwrócili się na południe. Zaczęło się powolne schodzenie.

– Prawda? A bynajmniej nie jest. Tak lokalsi nazywają tajne więzienia rządowe w całym kraju, ale to w Al-Faszirze to nie byle co. Z tego Domu Duchów już się nie wraca, a śmierć tam jest długa. Aż legendarnie paskudne miejsce.

– Rozumiem. A więc tym razem powstrzymam się od zwiedzania. Koniec odbioru.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ellen Walsh zdążyła podupaść na duchu, ale kiedy spostrzegła błysk popołudniowego słońca odbijającego się w oddali od metalu, natychmiast odzyskała nadzieję. To naprawdę był samolot: wielki i ciężki, z żelaza i stali. Właśnie szykował się do lądowania, zakręcając ostatni raz tysiąc metrów nad brązową wyżyną Darfur. A skoro lądował na lotnisku w Al-Faszirze, to znaczy, że może uda jej się w końcu wydostać z tego okropnego miejsca.

Utknęła tu, przyleciawszy transportowcem Narodów Zjednoczonych wiozącym pracowników organizacji charytatywnych. Okazało się, że coś jest nie tak z jej papierami – w przepustce UNAMID-u brakowało kluczowej pieczętki, która pozwalałaby jej wejść do obozu ONZ-etu dla osób wewnątrznie przesiedlonych w Zamzanie. Z tego powodu nie mogła nawet opuścić terenu lotniska, chyba że na pokładzie odlatującego samolotu.

Tak więc trzy dni czekała na lot, który zabrałby ją z powrotem do biura w Chartumie. W tym czasie przyleciał nawet pewien samolot ONZ-etu, ale tylko parkował na gorącym pasie startowym, czekając na zatankowanie oenzetowskim paliwem z oenzetowskiej cysterny. Widziała przyloty i odloty licznych chińskich samolotów należących do koncernów naftowych, ale one wracały do Pekinu, i dano jej wyraźnie do zrozumienia, że jej nie wezmą. Poza tym latały tu głównie sudańskie samoloty wojskowe, ale było jasne, że nie będą firmą taksówkarską dla jakiejś białej babki.

Może w końcu ten samolot tajemniczo wyłaniający się z oparów na północy, który zamierzał wylądować, okaże się jej przepustką do wydostania się z tego okropnego miejsca. To na pewno nie był samolot wojskowy. Nie był też pomalowany na biały kolor ONZ-etu, miał także zupełnie inny kształt niż widziane przez nią chińskie odrzutowce. Ellen znała się na samolotach, zazwyczaj mogła w sekundę zidentyfikować nazwę nadlatującego transportowca, ten jednak lądował w ostrym,

rażącym popołudniowym słońcu, które uniemożliwiało dokładne przyjrzenie się mu. Ale nie obchodziło jej to. Nieważne, co to był za odrzutowiec, nieważne, kto siedział za sterami, nieważne, dokąd leciał dalej. Była zdesperowana i postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby znaleźć się na jego pokładzie.

Ellen nie była próżna, nie przywiązywała też zbytnej wagi do mody. Jednak zanim potężna maszyna dotknęła kołami asfaltu, pospiesznie popędziła do terminalu i skierowała się do łazienki. Minęła parę wychodzących kobiet z miejscowych plemion, ubranych od stóp do głów w kolorowe, głównie pomarańczowe, szaty. Prowadziły trójkę małych dzieci. Kobiety miały głowy obwiązane chustami tworzącymi obszerne, szerokie turbany. Ellen zdała sobie sprawę, że to był doskonały sposób, aby ochronić włosy przed kłębami kurzu. Podeszła do lustra. Spojrzawszy na siebie, prawie krzyknęła z przerażenia. Jej rudawokasztanowe włosy wyglądały na popielate od osiadłego na nich pyłu. Kurz, piasek, brud i sól z obeschłego potu sprawiły, że twarz trzydziestopięcioletki wydawała się pomarszczona. Ellen chwyciła narzuconą na plecak białą koszulkę i zanurzyła ją w brudnej wodzie leżącej z kranu. Wytarła twarz tym prowizorycznym ręczniczkiem. W ciągu ostatnich trzech dni tyle razy używała tej koszulki do mycia, że bawełna stała się brudna, prawie szara od zebranego na skórze pyłu. Gdy skończyła, odwróciła się od kranu, pochyliła gwałtownie głowę nad niezbyt czystą podłogą, po czym przeczesiła palcami długie do ramion włosy, wzbijając przy tym tumany kurzu. Następnie wyprostowała się, zdmuchnęła grzywkę znad oczu, po czym związała włosy gumką. Kolejne spojrzenie w lustro wprawdzie nie napełniło jej ulgą, ale stwierdziła, że mimo wszystko udało się osiągnąć jakąś poprawę. Przypięła mokrą koszulkę do plecaka, zarzuciła go przez ramię, po czym wyszła z łazienki i skierowała kroki z powrotem na pas startowy.

Najpierw usłyszała ryk potężnych silników. Dopiero potem zobaczyła samolot. Kołował akurat na miejsce postoju po przeciwnej niż transportowce ONZ-etu stronie rampy, jakieś czterysta metrów od drzwi, przez które wychodziła. Patrząc z oddali przez unoszące się kłęby popołudniowego kurzu, nie była w stanie zidentyfikować czterosilnikowego odrzutowca, zauważyła jednak, że nie był oznakowany ani nazwą linii lotniczych, ani identyfikatorem kraju. Po kształcie poznała, że to transportowiec. Ruszyła w jego kierunku i natychmiast znalazła się

w tłumie. Minęło ją kilkunastu celników i pracowników obsługi naziemnej. Dwa rozklekotane pikapy wiozły też dwudziestu czterech żołnierzy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie lepiej będzie poczekać, aż się trochę uspokoi, ale stwierdziła, że to nie jest dobry pomysł. Nie wiedziała przecież, jak długo samolot pozostanie na ziemi. Pewnie mniej niż dobę. Każdy, kto tu dotychczas wylądował, o ile miał dość paliwa, uciekał z Al-Fasziru jak najprędzej. Wyładowywanie cargo może zająć kilka godzin. Ale jeśli przylecieli tylko po to, by zatankować, to ruszą za kilkanaście minut.

Nie mogła przegapić tej okazji.

* * *

Ellen szła w stronę wylądowywanego w oddali samolotu. Widoczność utrudniały jej opary gorącego powietrza unoszące się nad popękany asfaltem. Późnym popołudniem nie było już tak wysokiej temperatury jak przed kilkoma godzinami, ale i tak nie zrobiło się chłodno. Nad huczącym kolosem powietrze parowało, łącząc się z oparami wydobywającymi się z turkoczącej maszyny.

Po chwili pilot wyłączył silniki. Huk czterech turboodrzutowych silników zastąpił dochodzący z oddali szum – głosy żołnierzy i nieustające cykanie owadów dobiegające z zapiaszczonych zarośli ciągnących się po obu stronach pasa.

Idąc w stronę samolotu, skupiała się na obserwacji mijanego tłumy, na żołnierzach miejscowej armii i pracownikach lotniska maszerujących wytrwale po gorącym asfalcie. Kilka razy przystanęła, zastanawiając się, czy lepiej poczekać, aż wszyscy załatwią, co do nich należy, i oddalą się od samolotu, czy jednak warto pospieszyć się, przecisnąć przez hałaśliwą gromadę czarnoskórych mężczyzn – niektórzy byli w mundurach, część w garniturach, inni w białych trzepoczących szatach – i postarać się od razu porozmawiać z kim trzeba. Żadna z tych opcji jej się specjalnie nie uśmiechała, ale szybko stwierdziła, że wybierze drugą, obawiając się, że jeśli będzie czekać, to samolot wzbije się w przestworza bez niej. Zdecydowała się więc podejść do otwierającego się tylnego luku i zaryzykować. Przesunęła wzrokiem po tłumie mężczyzn stojących czterdzieści metrów przed nią i zatrzymała się dwadzieścia metrów za nimi, na samolocie. Znow zwolniła, jej krok stał się mniej pewny. Po kilku metrach poruszała się jeszcze wolniej. W końcu zatrzymała się na gorącym asfalcie. Nie spuszczać wzroku z potężnej maszyny, zrzuciła plecak na

ziemię i pospiesznie go rozpięła. Nie przejmując się tym, że wypadło z niego kilka przepoconych T-shirtów, wyciągnęła niewielki czarny segregator. Przykucnęła nad torbą i przekartkowała materiały. Nie uklękała na asfalcie, żeby nie odparzyć sobie kolan. Rzuciła szybkie spojrzenia na transportowiec i po trzech liźnięciach w obeschłe od wiatru palce podczas wertowania segregatora znalazła poszukiwaną stronę.

Upewniła się. Porównała to, co widniała na kartce, z tym, co miała przed oczami. Tak. Następnie westchnęła na tyle głośno, że nie zagłuszyło jej cykanie szarańczy i cykad:

– O, mój Boże...

Stał przed nią Ił-76. Sądząc po ciężarze i nacisku na dziesięciokołowe podwozie, był wypełniony po brzegi towarem. Wiedziała, że to popularny transportowiec rosyjski latający w służbie wielu agencji, firm transportowych i wojsk na całej kuli ziemskiej. Tym razem, o ile jej oczy nie myliły, miała przed sobą Ił-76MF, model unowocześniony, z dłuższym kadłubem.

W końcu oderwała wzrok od kolosa i pozbierała porozrzucane na ziemi rzeczy. Następnie powoli odwróciła się i skierowała w stronę terminalu. Jej podekscytowanie rosło z każdym nonszalanckim krokiem, gdy nie zważając na upał, wracała tam, skąd przyszła. Nagły przyływ emocji trochę studziła świadomość, że nie będzie mogła zadzwonić z budynku. Nie było tam ani jednego ogólnodostępnego telefonu, a obsługa oznajmiła jej – z pewnością kłamiąc – że linia administracyjna nie działa od trzech dni. Tak czy inaczej, nie miała możliwości zadzwonić do biura.

Podekscytowanie, choć trzymane w ryzach w obliczu bezlitosnej rzeczywistości, pomogło jej myśleć szybko i napędce skonstruować plan działania. Nie dało się zaprzeczyć, że właśnie pojawiła się przed nią wyjątkowa okazja, która może być kluczowa w jej karierze. Skala tego odkrycia była niezaprzeczalnie bardzo duża, ale postanowiła okiełznać emocje i skupić się na swoim śledztwie.

W ciągu całego życia, w ciągu całej kariery Ellen Walsh, śledcza do zadań specjalnych Międzynarodowego Trybunału Karnego, nigdy nie czuła się tak zdeterminowana.

Ani tak osamotniona.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

„Z tą białą laską będą kłopoty”.

Żeby nie wyróżniać się od reszty załogi, Court przebrał się w zapasowy kombinezon. Gdy tylko wyszedł z pozostałymi przez tylną rampę, uderzyła go fala upału i zaduch płynący od suchej ziemi. Natychmiast zmrużył oczy w niskim popołudniowym słońcu i zaczął uważnie analizować otoczenie. Po lewej wypatrzył stojący w piachu samolot ONZ-etu ze złamanym ogonem i pozostałościami po pożarze: okopconymi oknami i częściowo stopionymi, pokrytymi dymem silnikami. Po prawej, w oparach wydostających się z silnika jego samolotu, falowały helikoptery ONZ-etu. Ich śmigła pochylone do przodu sprawiały wrażenie roztopiających się z gorąca. Za nimi, skrzydło przy skrzydle, stało kilkanaście samolotów. To mogły być małe transportowce ONZ-etu. Kilkaset metrów przed nim stał niewielki, wyglądający na w miarę świeżo zbudowany terminal. Po prawej od budynku rozciągało się biegnące wzdłuż połaci piasku przy drodze ogrodzenie, w pobliżu leżały i rdzewiały kolejne zdezelowane maszyny. Roiło się od robactwa, much i komarów, szarańczy nie widział, ale jej uporczywe cykanie dochodziło z zarośli porastających brzeg zakurzonego pasa.

Właśnie wtedy zobaczył ją w oddali – trudno było nie zauważyć samotnej białej kobiety na nasłonecznionej płycie lotniska w zachodnim Sudanie. Z odległości pięćdziesięciu metrów dostrzegł, że przygląda się iljuszynowi. Następnie rzuciła plecak na ziemię, wyciągnęła jakiś zeszyt i go kartkowała. Patrzył, jak nieznajoma, wyczytawszy coś, wstała i podparła się pod boki. Po chwili odwróciła się i powoli zaczęła zmierzać z powrotem do terminalu. Gentry podejrzewał, że doskonale wiedziała, że tego samolotu nie powinno tu być.

Tak, z tą białą laską będą jeszcze kłopoty.

* * *

Court nie włączał się do rozmowy. Słuchał, jak pilot rozmawia po angielsku z sudańskimi wojskowymi u stóp rampy. Ciężarówki, które miały przyjechać po towar, miały obsuwać. Na lotnisko powinny dotrzeć dopiero za godzinę. Paliwo dla iljuszyna było gotowe i zaraz miało nastąpić tankowanie, tymczasem pracownik lotniska miał zaprowadzić załogę do toalet i restauracji.

Zaparkowano ich na w miarę odosobnionym miejscu, by uniemożliwić nielicznym cywilom i zagranicznym pracownikom organizacji humanitarnych dostrzeżenie tego, co nie było przeznaczone dla ich oczu. Mimo to Sudańczycy zaprosili rosyjską załogę, żeby oczekując, aż ich samolot zostanie wyładowany i zatankowany, skorzystała z marnych udogodnień terminala.

Kiedy Sudańczycy odeszli, Gentry poprosił Giennadija o zatrzymanie swoich ludzi w samolocie. Ze względu na bezpieczeństwo Court uważał, że nie ma co ryzykować – Ruscy powinni trzymać się jak najdalej cywilów. Ale to nie on tu dowodził, tylko pilot, a ten oznajmił swoim chłopakom, że startują za trzy godziny, a za dwie mają się stawić w samolocie. Przez ten czas mogli robić, co chcą.

Po dwudziestu minutach Court i załoga iljuszyna z przytłaczającego popołudniowego gorąca weszli na klatkę schodową przy bocznym wejściu do hali terminala. Wprawdzie Court zamierzał przeczekać ten czas w samolocie, jednak uznał, że lepiej będzie nie spuszczać Rosjan z oczu. Nie miał przy sobie żadnego sprzętu. Broń zostawił w torbie na pokładzie samolotu. Nie miał pojęcia, jakie zasady bezpieczeństwa obowiązywały na tym lotnisku, ale wołał nie ryzykować, że zostanie przetrzepany przez lokalną kontrolę. Jedynym przedmiotem, który wypychał kieszenie jego oliwkowego kombinezonu, był portfel pełen euro, rubli i funtów sudańskich. Mężczyźni ruszyli prowadzącymi na piętro schodami do prawie pustej hali, mniejszej od średniej wielkości amerykańskiego supermarketu. Kręciło się w niej kilku miejscowych. Żołnierze siedzieli na podłodze lub przechadzali się z karabinami przewieszonymi lufą w dół przez plecy. Załoga samolotu wraz z ukrytym w ich szeregach cudzoziemcem znalazła toaletę, skorzystała z niej, po czym wszyscy usiedli w niewielkiej restauracji. Przywitał ich kelner, który obwieścił, że jest Egipcjaninem – jak gdyby kogokolwiek to obchodziło – po czym energicznie rozdał menu. Żaden z Rosjan nie znał arabskiego. Court natomiast spędził aż za dużo czasu w państwach arabskich i potrafił zamówić posiłek, ale wołał trzymać

język za zębami. Nie chciał wyróżniać się z tłumu, stając się ich osobistym tłumaczem.

Giennadij zamówił posiłek dla całego stolika. Nie był pierwszy raz na tym lotnisku. Gentry stwierdził, że w sumie nic w tym zaskakującego. Nikogo zresztą nie powinno dziwić ani rażące lekceważenie międzynarodowych sankcji przez rząd afrykańskiego watażki, ani to, że Rosjanie z chęcią wykorzystują je, by się wzbogacić, ani wielkie oburzenie i niedowierzanie Organizacji Narodów Zjednoczonych za każdym razem, gdy się o tym dowiadywała.

Czekając na jedzenie, Court przyglądał się otoczeniu. Jego oczy, mające kontakt z jaskrawym słońcem na zewnątrz, wciąż próbowały przyzwycząić się do przytłumionego światła w terminalu. Obejrzał się przez ramię w stronę korytarza, po czym zaklął w myślach na widok zbliżającej się kobiety.

„Kurwa. Zbliża się białaska”.

Jeszcze tylko tego mu brakowało.

* * *

– Przepraszam bardzo, czy któryś z panów nie mówi przypadkiem po angielsku? – Ellen uśmiechnęła się szeroko, kierując pytanie do siedzącego przy stole pilota, koło którego przykucnęła. Poznała po jego twarzy, postawie i gestykulacji, że to on tu dowodzi. Siedział wyprostowany u szczytu stołu w otoczeniu na oko pięciu facetów w przepoconych kombinezonach. Wszyscy w identycznych zielonych wdziankach, żaden nie miał ani identyfikatora, ani żadnych naszywek. Sądząc po fryzurach i nieumięśnionej budowie ciała, żaden nie wyglądał na wojskowego, ale Ellen wiedziała, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków na tej podstawie. Równie dobrze mogli to być wojskowi piloci pracujący dla Rosoboronexportu czy byli rosyjscy wojskowi. Tak czy siak to nie miało znaczenia.

– Ach tak, ja troszeczkę mówię. – Rudowłosy pilot uśmiechnął się, po czym powoli i niedwuznacznie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Ellen zdawała sobie sprawę, że miało to na celu przede wszystkim rozbawienie towarzyszy, jednak wiedziała też, że nie wygląda w tej chwili zbyt pociągająco. Od razu odgadła, z kim ma do czynienia: to typ lubieżnej, szowinistycznej świni, ale postanowiła to wykorzystać. Niektórzy z pozostałych też przysunęli się do niej.

– Super – odparła, okraszając wypowiedź szerokim przyjacielskim uśmiechem, który miał sprawić, by otaczający ją faceci poczuli się swobodnie, choć żaden nie wydawał się spięty. – Nazywam się Ellen Walsh, pracuję dla ONZ-etu – skłamała bez zmrużenia oka. – Jak miło was widzieć, chłopcy. Utknęłam tu trzy dni temu. Szukam transportu do Chartumu, może być też Port Sudan... Prawdę mówiąc, jestem gotowa pojechać gdziekolwiek, byle tylko wydostać się z tego terminala. Z radością zapłacę gotówką za fatygę. Nie wątpię, że mój pracodawca dogada się z waszym.

Poznała, że lubieżny pilot wszystkiego nie zrozumiał. Kilka razy pytająco przechylił głowę. Zdawała sobie sprawę, że mówi dość szybko, tempo wypowiedzi wydawało się wprost proporcjonalne do szybszego bicia serca.

– Być może uda nam się dojść do porozumienia. Zapraszam najpierw na obiad. Porozmawiamy.

– Z przyjemnością. – Ellen usiadła, uśmiechnęła się, ale wiedziała, że ten facet nie pozwoli jej wsiąść na pokład. Po prostu dawał jej nadzieję dla celów czysto osobistych.

Czuła, że podróż tym tajemniczym transportowcem raczej nie wchodzi w grę, ale postanowiła pociągnąć mężczyznę za język. Chciała wydobyć od niego trochę informacji, a nuż uda jej się zobaczyć z bliska iljuszyna czy jego cargo. Ona też była dobra w te klocki. Nachyliła się bliżej rudzielca.

Nagle, z drugiego końca stołu, odezwał się głos:

– Szto ty diełajesz?

Ellen odwróciła się do mówiącego. Zauważyła, że źle policzyła zebranych Rosjan. Przy stoliku siedziało nie pięciu, ale sześciu facetów. To ten szósty zadał pytanie pilotowi. Jak większość z nich, miał gęstą brodę i rozczochrane włosy, choć jego były nieco dłuższe. Wydawał się najlepiej z nich wszystkich zbudowany i miał najciemniejszą karnację. Kiedy pilot mu nie odpowiedział, powtórzył pytanie:

– Szto ty diełajesz?

* * *

– Co to niby ma znaczyć? Co to za pytanie, co wyprawiam? – oburzył się po rosyjsku Giennadij. – Zapraszam tę piękną panią, aby spożyła w naszym towarzystwie posiłek.

– Nie możesz pozwolić jej wejść na pokład – mruknął Court. Złożenie tego zdania po rosyjsku kosztowało go wiele wysiłku. Pilot spojrzał na

niego groźnie i odparł: – Nie do ciebie należy decyzja, kogo mogę zaprosić na pokład mojego samolotu. Nie wiem, coś ty za jeden, ale wiem, kim ja jestem. A ja jestem pilotem. I to ja tu dowodzę.

Court odwrócił wzrok. Znów patrzył na halę. Odwrócił się od tego, co mogło stać się jeszcze większym zamieszanym w niedalekiej przyszłości. Kanadyjka przedstawiła się jako Ellen i każdemu po kolei uścisnęła dłoń, uśmiechając się przy tym szeroko. Court nie patrzył jej w oczy, podał jej śledzia i mruknął tylko, że nazywa się Wiktor.

– Skąd jesteście?

– Jesteśmy Rosjanami – odparł pilot.

– Rosjanie. Czad.

Court ostrożnie odwrócił się w stronę kobiety i zaczął ukradkiem przyglądać się jej twarzy niczym student akademii sztuk pięknych badający pojedyncze ruchy pędzla na obrazie olejnym wyeksponowanym w muzeum.

– Co miłych panów sprowadza do Darfuru?

„Zachowaj luz, Giennadij” – pomyślał po rosyjsku Court.

– A co miła pani robi w ONZ-ecie? – zapytał ostrożnie pilot.

Court się skrzywił. Odpowiadanie pytaniem na pytanie to jego zdaniem słabe okazywanie „luzu”.

Kobieta uśmiechnęła się i poprosiła o powtórzenie, choć Court wyczuł, że doskonale rozumiała słowa pilota. Szkolono go, jak rozpoznawać sygnały wysyłane przez układ limbiczny, czyli część mózgu odpowiedzialną za zachowania podświadome. Potrafił zidentyfikować ruchy, wyraz twarzy i postawy sugerujące, że ktoś mówi nieprawdę. Zapytana o swój zawód, Kanadyjka zerknęła pospiesznie w prawo. To był sygnał, że jej kolejne słowa będą próbą oszukania rozmówców. To, że odwlekała udzielenie odpowiedzi, prosząc o powtórzenie pytania, było kolejnym znakiem, że przygotowuje kłamstwo, które zaraz padnie z jej ust.

– Jestem tylko pracownikiem administracyjnym od aprowizacji humanitarnej – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Logistyka i tym podobne. Nic porywającego. – To mówiąc, podrapała się prawą dłonią w lewe ramię.

„A gównem prawda” – pomyślał Court.

Giennadij natomiast wydawał się uspokojony jej nonszalancją.

– Ach tak – powiedział pilot, gdy egipski kelner przyniósł do stolika filiżanki z parującą herbatą. – My przywozimy do Darfuru sprzęt naftowy.

Courtowi nie podobała się ta odpowiedź. Lepiej by było, gdyby Giennadij odparł, że to nie jej interes. Tyle dobrze, że nie wyaplał jej, że właśnie przywiózł kilka ton zasilanych taśmowo karabinów maszynowych i amunicji. Kobieta wydała się wzburzona, a wewnętrzny „kłopotomierz” Gentry’ego zaczął migać na czerwono.

– A, rozumiem – odpowiedziała, choć mowa jej ciała wyrażała coś przeciwnego. Kolejna mina, która na chwilę tylko pojawiła się na jej twarzy, podpowiedziała Amerykaninowi, że nieznajoma nie jest zakłopotana, lecz podekscytowana. – A ja myślałam, że Chińczycy używają własnego sprzętu – stwierdziła jak gdyby nic.

– Chińczycy? Dlaczego pani mówi o Kitajcach? My, Rosjanie, jesteśmy ekspertami, jeśli chodzi o ropę. Na Syberii dużo ropy – odparł Giennadij z uśmiechem, który zapewne uważał za niezwykle pociągający.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Court dużo czytał o sytuacji naftowej w Sudanie i zdobył wiedzę, którą posiadała też ta Ellen Walsh czy jak jej tam. Że w całym Darfurze to Chińczycy sprawowali całkowitą kontrolę nad wydobywaniem ropy. Widać, że Giennadij nie miał o tym zielonego pojęcia.

– Ach, tak? – Kobieta udała zaskoczoną. Court zauważył, że wiedziała, że Rosjanin ją okłamał. Nie drażyła jednak sprawy cargo, tylko zaczęła wsypywać szarawy cukier do herbaty, jeszcze zanim kelner postawił podawaną filiżankę.

Czyżby drżały jej dłonie?

– A co pani robi w Al-Faszirze? – spytał pilot.

Zawahała się. Znowu położyła prawą dłoń na lewym ramieniu, równocześnie zasłaniając się i uspokajając. Dla wyszkolonego eksperta mowy ciała, jakim był Gray Man, były to widoczne oznaki zdenerwowania i kłamstwa.

– Przyjechałam napisać raport o obozie w Zamzanie. Niestety, moi pracownicy nie uporządkowali wszystkich koniecznych dokumentów i przepustek, więc nie pozwolono mi wyjść z lotniska. Naprawdę jestem zdesperowana. Bardzo chcę się stąd wydostać – powiedziała, patrząc na pilota.

On uniósł niedwuznacznie brwi, ale nie zaoferował jej miejsca na pokładzie. Milczał.

– Był pan już wcześniej w Darfurze? – spytała.

– Tak – odparł pilot buńczucznie. – Wiele razy.

Kobieta pokiwała głową, uśmiech nie schodził z jej ust.

– Tu jest naprawdę strasznie. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy ludzi wymordowanych w ciągu ostatnich ośmiu lat, a końca nie widać. Do tego miliony w obozach, zarówno tu, jak i za granicą, w Czadzie.

– Da – potwierdził Giennadij. – Wojna jest bardzo zła.

Court opanował nagłą potrzebę, by pochylić się nad stołem i wybić obłudę z tego parszywego ryja.

Po chwili Ellen powiedziała:

– Ten wasz samolot jest fantastyczny. To iljuszyn, prawda? Przypomina coś, co mamy na stanie. – Szybko dodała: – W pracy mam do czynienia z transportowcami, choć osobiście nigdy nie widziałam żadnego od środka.

– Tak, to iljuszyn. Doskonały rosyjski samolot – odparł dumnie Giennadij.

Kanadyjka kiwała głową jak on, udając, że jest zafascynowana jego słowami.

– O! A ja znam ciekawostkę o pilotach! – ożywiła się. – Wiedzieliście, że Amelia Earhart lądowała tu, kiedy próbowała okrążyć Ziemię?

Giennadij pochylił głowę:

– Kto?

– Amelia Earhart. Pilotka. Bardzo sławna kobieta pilot, która zaginęła, okrążając kulę ziemską w trzydziestym siódmym.

Giennadij patrzył tępo.

– Z pewnością słyszał pan...

– Nigdy nie słyszałem o niej. Ale nie dziwię się, że zniknęła. Baby to źli piloci – oznajmił, jakby to było najbardziej podstawowe prawo aeronautyki. Po komentarzu nastąpiło lekceważące machnięcie dłonią i głośne siorbnięcie herbaty. Court przyłapał kobietę na tym, jak na chwilę porzuciła maskę, ukazując zamiast podziwu to, co naprawdę czuła: obrzydzenie do Rosjanina.

Prędko jednak maska wróciła na miejsce.

– Cóż, dużo słyszałam o wybitnym rosyjskim lotnictwie. I o iljuszynie. Nasze oenzetowskie dają radę, ale są mało interesujące. Myśli pan, że mogłabym z bliska przyjrzeć się temu dostojnemu kolosowi? Niech się pan nie martwi, nie będę pilotować. Pewnie też bym zniknęła.

Jej uśmiech był szeroki, serdeczny i – jak zauważył Court – fałszywy.

Giennadij dłuższą chwilę się uśmiechał, nic nie mówiąc. Po chwili wzruszył ramionami, ale gest ten oznaczał, że wszystko jest możliwe. Następnie członkowie załogi zadali kobiecie kilka pytań łamaną

angielszczyzną. Czy miała męża? – Nie. Skąd pochodzi? – Z Vancouver. Jak długo jest w Sudanie? – Od miesiąca. W tych odpowiedziach Court nie wyczytał fałszu. Zauważył jednak, że kobieta mu się przygląda, że być może domyśla się, jak dużo poświęca jej uwagi. Pospiesznie więc odwrócił wzrok.

* * *

Wszyscy poza tym ciemniejszym kupują moją historię. On coś podejrzewa. On wie, że łąkę jak z nut. Ellen próbowała uśmiechnąć się serdecznie do mężczyzny siedzącego przy drugim końcu stołu, ale ten odwrócił się znudzony. W przeciwieństwie do reszty załogi nie gapił się na nią lubieżnie. Powiedział wcześniej tylko kilka słów do pilota, a potem w ogóle nie brał udziału w rozmowie. Widziała jednak, że się przysłuchuje. Albo rozumiał ją doskonale, albo usilnie próbował ją zrozumieć. Jednak ważniejszy niż ten milczek był ten wielki samolot po drugiej stronie pasa. Musiała do niego podejść, strzelić kilka zdjęć, dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym kursie do centrum Darfuru. Pomyślała, że może w tej właśnie chwili armia sudańska wyjmuje towar z samolotu.

– Sami wypakujecie cargo czy ktoś z rafinerii się tym zajmie?

– Sudańczycy są od tego – odpowiedział Giennadij, po czym dodał: – To potrwa co najmniej godzinę. Moi ludzie wrócą i im pomogą, a ja mogę tu zostać i napić się z panią kolejnej herbaty – uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna spojrzał na pilota, po czym powiedział coś do niego po rosyjsku. Ellen nie rozumiała ani słowa.

* * *

– Nie ufam jej. Zadaje za dużo pytań – powiedział Court po rosyjsku. Miał gdzieś, że kobieta po tonie pozna jego nieufność.

Giennadij odwrócił wzrok od Kanadyjki i spojrzał na Gentry'ego. Też odparł po rosyjsku:

– Nie muszę jej ufać. Nie żenię się z nią, tylko chcę ją przelecieć. Po kąpieli i z makijażem będzie niczego sobie.

Court westchnął:

– W dwie godziny jej nie uwiedziesz.

– Teraz nie, choć nie wątpię, że dałbym radę. Ale podczas następnej podróży do Chartumu. Teraz nakrywam stół. Kiedy następnym razem wyślą mnie do Chartumu, będę miał ucztę.

Ellen przyglądała się rozmawiającym nad stołem mężczyznom. Niczego nie rozumiała.

Court znów westchnął. Chciał nawet rzucić nazwisko Sida. To na pewno porządnie spietrałoby Giennadija i zaczęłyby go słuchać, ale się rozmyślił.

– Zjedzmy i wracajmy na pokład.

– Dobry pomysł. Nadszedł czas, żebyście mnie zostawili sam na sam z Miss Kanady. – Giennadij zaśmiał się szczerze przy wtórze pozostałych.

Court spojrział w bok. Był wściekły, ale panował nad gniewem.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że rozmawiacie o mnie? – spytała Ellen Walsh z uśmiechem.

Court wstał i bez słowa skierował się w stronę samolotu. Nawet nie czekał na jedzenie. Pożywi się suchym prowiantem z torby.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gentry wszedł do łazienki. Powoli mył twarz w nadziei, że to go uspokoi. Postanowił, że jak tylko znajdzie swój plecak, łyknie hydrokodon. Pozwoli mu to odprężyć się podczas lotu powrotnego na Białoruś, a w końcu jeszcze przez kilka dni nie będzie pracował. Przede wszystkim jednak trzeba było uważać na tę cholerną Kanadyjkę. Prywatnie nie miał nic przeciwko temu – a wręcz ucieszyłoby go to niezmiernie – żeby ktoś zwrócił uwagę na to, co tu Rosjanie wyprawiają. Ktoś powinien poinformować gazetę czy jakąś organizację międzynarodową i rozdmuchać, że jawnie łamią sankcje. Tylko oby nie teraz. Court potrzebował, żeby te szemrane interesy trwały przynajmniej tak długo, aż skończy z tą operacją. Nie mógł pozwolić, żeby jakaś laska z Zachodu pokrzyżowała plany Rosoboronexportu, tym samym utrudniając mu dostanie się do Sudanu.

Właśnie zakręcił kurek i wycierał dłonie w kombinezon, kiedy do łazienki wszedł nawigator z jego ekipy. Kiwnął na Amerykanina i rzucił:

– Giennadij idzie właśnie z tą laską pokazać jej samolot.

Court widział, że nawigator nie jest tym zachwycony, ale Rosjanin wzruszył tylko wesoło ramionami.

– Założyliśmy się z Vladym. Ja twierdzę, że on ją przeleci w kokpicie. Vlady uważa, że Giennadij dostanie w twarz. A ty, przyjacielu, co obstawiasz?

W przeciwieństwie do nawigatora Gentry nie zamierzał pozwolić na wręcz obsceniczne łamanie wszelkich zasad bezpieczeństwa, i to przez pilota. Przecisnął się obok grubego mężczyzny i poszedł do hali. Zobaczył kobietę i Giennadija idących w stronę bocznego wyjścia. Ona miała plecak zarzucony przez ramię, on trzymał w dłoni talerz z jedzeniem.

– Na litość boską – szepnął Court. Przez chwilę miał ochotę chwycić pilota za jego rude kudły, zaciągnąć go do jakiegoś kąta i oświadczyć, że zaraz zadzwoni do petersburskiej mafii, która zaaranżowała tę misję. Wystarczy jeden telefon od Courta, a Sid w pół godziny wrzuci całą rodzinę

rudzielca do furgonetki. Wystarczy wspomnieć o Sidzie, żeby Giennadij zrobił wszystko, co każe Gentry.

Nagle zauważył pracowników ochrony lotniska nudzących się za ladą. Tak, to wydawało się najlepszym wyjściem. Wystarczy dać do zrozumienia Sudańczykom, że ta naprawiaczka świata z ONZ-etu przeszkadza w tajnym locie przywożącym rosyjską broń. Nie ulegało wątpliwości, że przysporzy to kłopotów tej lasce, ale tylko dopóki Rosjanie nie znajdą się z powrotem w przestworzach. Jeśli tylko uda się utrzymać ją i jej ciekawość w ryzach do wylotu, Court już się nie będzie musiał tym przejmować i zapomni o zmarnowanym dniu.

Bezpieczeństwo jego misji pozostanie nienaruszone, a ta babka z ONZ-etu nie dowie się niczego, co przeszkodziłoby mu w odbyciu tego oraz nadciągającego za trzy dni kursu, a załoga Rosjan nie dowie się niczego niepotrzebnego na temat Gentry'ego i jego pracodawców.

* * *

– Mówicie po angielsku? – Court zapytał młodego znudzonego policjanta lotniskowego.

Afrykańczyk pokręcił przecząco głową, w czym zawtórował mu stojący obok kolega.

– Francais? – zapytał. Znow odpowiedzią mu kręcenie głów.

– Okej – odparł Court po angielsku, po czym niechętnie przeszedł na arabski. – Salam alejkum.

– Wa alejkum salam – odpowiedzieli uprzejmie, choć obaj z urzędową sztywnością.

– Muszę porozmawiać z waszym przełożonym – ciągnął Court po arabsku.

– W czym problem?

– Przyleciałem rosyjskim samolotem. Mamy drobny problem dotyczący bezpieczeństwa.

Funkcjonariusz pokiwał głową, po czym szepnął coś do krótkofalówki. Court nie rozumiał szybkiej sudańskiej odmiany arabskiego. Po chwili glina zwrócił się do niego:

– Proszę poczekać.

W mniej niż minutę pojawiło się dwóch drobnych brodaczy w czarnych marynarkach i krawatach. Jednemu chyba nawet nie stuknęła jeszcze trzydziestka, drugi był z dziesięć lat starszy. Byli identycznie ubrani.

Gentry zauważył u ich boków zarys pistoletów na marynarce. Od razu naszło go podejrzenie, że są z Narodowej Służby Bezpieczeństwa, sudańskiej tajnej policji.

„Ups” – pomyślał Court. Tylko nie te dupki. Nie chciał robić aż tyle hałasu w sprawie tej laski.

Obaj mówili po angielsku. Court wziął starszego funkcjonariusza na stronę. Mężczyzna był niewysoki i krępy, nosił okulary o grubych szklach i oprawkach zdecydowanie zbyt szerokich jak na tak drobną owalną twarz. Nie było w nim nic przerażającego czy upiornego, ale nie miał wątpliwości, że to on i jego młodszy kolega tu rządzą. Ochrona, pracownicy lotniska, lokalne gliny, nawet żołnierze zawodowi i poborowi wiedzieli, że lepiej nie wchodzić w drogę nikomu z NSB.

– Ta kobieta. Ta biała kobieta. Kto to? – zapytał Court.

Mężczyzna machnął lekceważąco ręką.

– Z Kanady. Powiedziano nam, żeby jej nie wypuszczać poza teren lotniska, ale też żeby jej nie aresztować. Pracowniczka UNAMID-u. Wszystkie jej papiery są w porządku poza tym, że nie ma pieczętki pozwalającej na wjazd do obozu w Zamzanie.

– Wydaje mi się, że chce nam narobić kłopotów.

– To nikt ważny. Tylko kawaga, która utknęła na lotnisku i czeka, żeby się zabrać do Chartumu.

– Kawaga?

– Biała. Bez urazy.

– Zadaje pytania o samolot i jego cargo.

To zdanie zwróciło uwagę mężczyzny. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, że samolotu Rosoboronexportu nie powinno być w Darfurze, i że teraz ta babka z Zachodu też dochodzi do tego wniosku. Court źle się czuł z tym, że wydaje Kanadyjkę pracownikom tajnej policji. Dobrze wiedział, że to dupki pierwsza klasa. Chciał tylko, by ochrona lotniska zwróciła na nią uwagę. Ale cóż począć? Czy mu się to podobało, czy nie, Narodowa Służba Bezpieczeństwa już się zaangażowała. Na podstawie informacji, które im podał, z pewnością przetrzymają ją przez kilka godzin. Kto wie, może nawet ją wyrzucą z kraju w obawie, że zbyt się interesuje Rosjanami. Cóż, nie będzie już podawała kocyków i butelek z wodą.

On musiał skupić się na misji. To ona była najważniejsza. Nie zamierzał się cofać przed angażowaniem tych zbirów, jeśli tylko mogą mu pomóc i przegonić tę wredną muchę znad jego zupy.

Funkcjonariusz wyjrzał przez brudne okno w stronę pasa startowego. Zmierzchało się. Nie widać było Iła-76, stał kilkaset metrów na lewo od nich.

– Kazano nam wstrzymać lądowanie samolotów organizacji pozarządowych w czasie waszego pobytu. Nikt nic nie mówił o zatrzymaniu osób, które już tu były. – Mężczyzna zdawał się lękać o własną skórę. To bynajmniej nie przeszkadzało Courtowi, było mu wręcz na rękę.

– Proponuję, żebyście ją po prostu potrafili w biurze do naszego odlotu. Nie widziała cargo, więc nic nie wie. Nawet tego, że jesteśmy z Rosoboronexportu – odparł Court. Uznał, że nie będzie wspominać o tym, że zdążyła już podejść do iljuszyna i praktycznie błagała ich, by ją wzięli na pokład. To sprowadziłoby na nią więcej kłopotów, niż było potrzeba. Wystarczyło tylko troszkę zaniepokoić tego mężczyznę, rozładować sytuację, a potem o wszystkim zapomnieć. Gentry zaczynał już być pewien, że wszystko skończy się dobrze.

Funkcjonariusz pokiwał z niejakim podziękowaniem głową.

– Tak, dobra. Dobra... Utniemy sobie z nią pogawędkę.

* * *

Dziesięć minut później dwóch oficerów NSB odeskortowało spiętą, ale posłuszną Ellen Walsh do niewielkiego biura mieszczącego się nieopodal hali głównej terminalu. Za nimi do pomieszczenia weszli rosyjski pilot i Court Gentry. Court chciał iść na pokład z załogą i jak najszybciej się stąd wydostać, ale Giennadij uparł się, żeby towarzyszyli kobiecie w rozmowie z funkcjonariuszami NSB. Nie było mowy, żeby Gentry puścił go samego. Rudzielec był wściekły, że Sudańczycy przeszkadzili mu w uwodzeniu atrakcyjnej kobiety, ale uważał, że jeśli pomoże jej w przesłuchaniu i postawi się zbirom Trzeciego Świata, to ona podczas jego następnego pobytu w Chartumie z radością wejdzie mu do łóżka.

Court widział jednak, że Rosjanin był tak naprawdę wkurzony na niego. Stojąc po obu stronach Kanadyjki, rzucali sobie nienawistne spojrzenia, jakby chcieli się wzajemnie pozagryzać. Giennadij musiał wydedukować, że to Amerykanin doniósł na Ellen ochronie. Rosjanin zapewne myślał, że Gentry blokował mu dostęp do jej krocza wyłącznie z zazdrości i zawiści, że to nie jego sobie upodobała.

„Co za totalnie popierdolony dzień!” – pomyślał Court, mierząc Giennadija złowrogim spojrzeniem.

Oby tu się nic dalej nie pogorszyło. Starszy funkcjonariusz, ten w komicznych okularach, spędził kilka minut, przeszukując dobytek Walsh. Court myślał, że to tylko na pokaz, ale kiedy policjant wyciągnął czarny notes, który Kanadyjka przeglądała wcześniej na asfalcie, zaczął się niepokoić. Miał nadzieję, że nie było w nim nic, co spowodziłoby więcej kłopotów na tę babkę. Mężczyzna przekartkował go, po czym zatrzymał wzrok na narysowanym ręcznie i opisanym schemacie iljuszyna. Spojrzał na kobietę.

– Dlaczego zadaje pani pytania na temat tego kursu transportowego? Co panią tak interesuje w tym samolocie?

– Po prostu lubię samoloty. Czy w tym kraju to nielegalne?

Mężczyzna długo się w nią wpatrywał. W kraju, gdzie niewielu kobietom wolno w ogóle pracować poza domem, kawaga pozwalająca sobie na pyskowanie była podwójną anomalią. Nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

* * *

Ellen już się nie bała. W ciągu ostatniej godziny udało się jej dużo ustalić, i choć wciąż nie miała zdjęć potwierdzających, że Rosjanie łamią nałożone sankcje, obecne działania NSB były wystarczającym dowodem, że weszła w odpowiednim miejscu. Wiedziała, że do tej pory radziła sobie świetnie. Pod przykrywką szeregowej pracowniczki ONZ-etu zdołała tak oczarować pilota, że zgodził się wziąć ją na pokład. Była już dwadzieścia kilka metrów od tylnej rampy, kiedy zjawił się po nich dżip z żołnierzami. Rosjanin uparł się, żeby jej towarzyszyć, udawać rycerza w błyszczącej zbroi, choć gołym okiem było widać, że chodziło mu tylko o zaciągnięcie jej do łóżka.

Kiedy wrócili do terminalu, dostrzegła dwóch funkcjonariuszy Narodowej Służby Bezpieczeństwa, którzy dwa dni temu z nią rozmawiali. Stał z nimi ten podejrzany śniady Wiktor. Czyli to on na nią doniósł, by odciągnąć ją od samolotu.

Ale kutas. Wiedziała, co próbował przed nią ukryć, i nie zamierzała puścić mu tego płazem.

* * *

Giennadij wtrącił się do przesłuchania.

– Słuchajcie. Ona zajmuje się logistyką dla Narodów Zjednoczonych, które mają w swojej flocie samoloty Ił-76. Musi wiedzieć, jakie są duże, jak daleko latają i ile zabiorą. Nie zrobiła nic złego, prosząc o wejście do mojego samolotu. – Przechylił się przez stół i wziął kartkę wetkniętą w otwarty zeszyt, po czym podniósł ją, by zilustrować swoją wypowiedź.

Tajny policjant przez chwilę zastanowił się nad słowami Rosjanina, po czym odparł:

– Może ma pan rację. – Następnie zwrócił się do Walsh: – Proszę przypomnieć, dla kogo pani pracuje w Chartumie?

Ellen westchnęła i przewróciła oczami. Prawą dłonią podrapała się w lewe ramię.

– Już milion razy to panu mówiłam. Jest tak, jak jest napisane na moim identyfikatorze. Pracuję w UNAMID-zie, w dziale transportu i logistyki. Przyleciałam porozmawiać z mieszkańcami obozu, wypytać o ich potrzeby...

– Jak się nazywa wasz dyrektor? – spytał tajniak. Następnie wziął przygotowany na wszelki wypadek wykaz pracowników ONZ-et.

– Charles Stevens – odpowiedziała Walsh. – Kanadyjczyk, mój rodak – dodała z uśmiechem.

Mężczyzna zerknął do wykazu, pokiwał głową z kwaśną miną, po czym odłożył listę.

Court już zaczął się odprężyć, kiedy zerknął na stojącego po drugiej stronie przesłuchiwanej Giennadija. Pilot zauważył coś na kartce z rysunkiem i informacjami o iljuszynie i wpatrywał się w nią pełen napięcia. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i zakłopotanie. Court wiedział, że to zły znak.

– Ellen... – szepnął Rosjanin. – Ten samolot to Ił-76MF.

Kobieta wzruszyła ramionami. Court stwierdził, że podejrzenie szybko i nonszalancko. Wydało mu się to sztuczne.

– Czyżby?

– Tak. A w ONZ-ecie nie latają Ił-76MF. – Rosjanin mierzył ją wzrokiem. Ona jednak nie spuszczała oczu z policjanta.

– Naprawdę nie latają?

– Nooo... Oni nie latają tym.

„O, kurwa” – pomyślał Court.

Teraz Giennadij zrobił się nieufny. Court też zaczął podejrzewać coś większego. Dlaczego jakaś oenzetowska naprawiaczka świata miałaby nosić ze sobą ręcznie narysowany schemat rosyjskiego samolotu? Modlił się w duchu, żeby kobieta była w stanie się z tego wyłgać, bo teraz to on nie miał jak jej pomóc.

– Kim jesteś i dla kogo pracujesz? – zapytał Giennadij, teraz już głośniej. Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rosyjski pilot obrócił ją do siebie. Przejrzał ją. Wiedziała, że nie uda jej się dalej grać idiotki jak przed NSB. Nadszedł czas na kontratak.

Kiedy była mała, jej tata miał ulubione powiedzenie, które ona powtarzała jak mantrę: „Idź na całość lub idź do domu”. Całe życie przesuwała granice swoich możliwości, nie zadowolając się niczym gorszym od najlepszego, i szła tylko na całość. A teraz znalazła niezaprzeczalne dowody na nielegalny transport broni pomiędzy Rosją a Sudanem, czyli tego, co od dawna podejrzewała, że miało miejsce, i to, czemu chciała zapobiec, przenosząc się do Hagi i wstępując w szeregi Międzynarodowego Trybunału Karnego.

To nie był czas na bycie nieśmiałą, skromną, uległą. To nie był moment na ucieczkę czy szukanie kryjówki. Postanowiła użyć powagi swojej pozycji, swojej organizacji, siły społeczności międzynarodowej, żeby wydostać się stąd, spośród tych zbirów, i wrócić do biura, gdzie będzie mogła wyjawic to, co tu odkryła. W Chartumie płoszyła wzrokiem sudańskich oficjeli będących o kilka stopni wyżej na drabinie rządowej niż te odziane na czarno pokraki. Nie pozwoli, żeby tacy jak oni ją przestraszyli. A ten rosyjski pilot to arogancki dupek, który powinien się wreszcie dowiedzieć, że kobiety nie chodzą po tej ziemi tylko po to, by się przed nim kłaniać.

To co: na całość czy do domu?

Ellen nie zamierzała wrócić do domu, dopóki ten mroczny sekret, tajemnica, co do której tylu miało podejrzenia, nie zostanie ogłoszony całemu światu.

Postanowiła pójść na całość.

* * *

„No powiedz coś, kobieto” – próbował wpłynąć na nią myślami Court.

Kanadyjka stała, patrząc na wysokiego Rosjanina. Court tak bardzo chciał mieć już to wszystko za sobą. Niech w końcu wsadzą tę babkę do małej lotniskowej celi do czasu, aż odleci tym durnym kursem i go tu nie będzie.

„No mów coś, cokolwiek” – nalegał w myślach. Jednak kiedy tylko otworzyła usta, pożałował, że cokolwiek powiedziała.

– Dobrze, panowie. Nazywam się Ellen Walsh. Nie jestem pracownicą UNAMID-u. Tak się składa, że jestem inspektorką Międzynarodowego Trybunału Karnego i badam naruszanie przez Sudan międzynarodowych sankcji na import broni.

„O, kurwa, kobieto! Właśnie wydałaś na siebie wyrok!” – pomyślał Court, prawie nie wierząc własnym uszom. – „Jak ona może być tak głupia?”

Pracownik Narodowej Służby Bezpieczeństwa wybałuszył oczy. Giennadij spuścił wzrok z Walsh i spojrzął na Gentry’ego. Miał minę, jakby właśnie ujrzał ducha.

– Od dłuższego czasu wiedzieliśmy o tym kursie. Wysłano mnie tu, bym się o tym przekonała na własne oczy. Zapewniam panów, że moja cała organizacja, zarówno oddział w Chartumie, jak i siedziba w Holandii, doskonale wie, że tu jestem. Jeśli nie pozwolicie mi natychmiast skontaktować się z moimi ludźmi... – przerwała.

Giennadij krzyknął:

– Łesz jak pies! Wcale nie mieliśmy lądować w Al-Faszirze! W ostatniej chwili nas tu przekierowano! Nikt tu cię nie wysłał nas szpiegować!

Tajni policjanci otrząsnęli się z szoku i wypadli zza biurka, ruszając w stronę Ellen Walsh.

– Międzynarodowy Trybunał Karny! – Giennadij krzyczał za drzwiami do czekającej w terminalu ekipy. Court nie był w stanie go powstrzymać. Obaj tajniacy natychmiast dopadli kobietę, obrócili ją i skuli, wiążąc jej ręce na plecach. Tych dwóch posiadało tylko dwa tryby – włączony i wyłączony – a ona właśnie uruchomiła ten drugi. Niewątpliwie obaj obawiali się o swoje kariery, a nawet głowy, kiedy się wyda, że pozwolili jej szwendać się po lotnisku, kiedy był tu samolot Rosoboronexportu.

– Ty pierdolona kanadyjska kurwo! – wrzasnął Giennadij, odwracając się do niej.

Olbrzymi Rosjanin uderzył ją w twarz silną dłońią. Court już zrobił krok do przodu, chcąc złamać pilotowi szczękę i odepchnąć tajniaków, ale się

pohamował. Ukrywał się pod aż dwiema przykrywkami naraz i żadna z nich nie miała mocy, by powstrzymać tajną policję przed zatrzymaniem tej kobiety. Nie mógł ujawnić Sudańczykom, że nie jest zwykłym członkiem załogi rosyjskiego transportowca, a Rosjanom, że nie jest jakimś tam cynicznym agentem ich kraju, któremu ułatwiają dostanie się do Sudanu. Mógł więc tylko stać i przyglądać się, jak tajna policja zapina kajdanki, a kobieta wywija się w stronę Giennadija wciąż wrzeszczącego na nią po rosyjsku. Wkrótce do pokoju wpadli żołnierze, zapewne zaniepokojeni wrzaskami i odgłosami przepychanki dochodzącymi z pokoju przesłuchań.

Rosyjski oprych wybiegł, a kilku innych Rosjan łypnęło przez otwarte drzwi do środka. Na ich twarzach malowało się zainteresowanie, a nawet rozbawienie.

Starszy tajniak chwycił kobietę za brodę i obrócił jej twarz do swojej.

– Jest takie miejsce, do którego zawozimy nieproszonych gości. Obiecuję pani, że po kilku minutach spędzonych w Domu Duchów gorzko pożałuje pani szpiegostwa przeciwko Republice Sudanu.

– Szpiegostwa? Nie jestem żadnym szpiegiem! Jako członkini społeczności międzynarodowej mam pełne prawo...

– Ej, nie mów już nic! – krzyknął na cały głos Court, nie siląc się nawet, by ukryć amerykański akcent ani utrzymać przykrywkę. Ta idiotka sprawiała, że jej sytuacja stawała się z każdą sekundą gorsza. – Zamknij się i rób, co ci każą. Nic nie wiesz. Zwiewaj stąd, rób, co do ciebie należy, ale nie daj im poznać, że wiesz cokol...

– Mówisz po angielsku? – Spojrzała na Gentry'ego. Miejsce furii zajęło zdziwienie.

Court wolał porozumiewać się z nią krótko i szybko, żeby pozostali go nie zrozumieli. Przeszedł więc na francuski. Miał wielką nadzieję, że jako Kanadyjka go rozumiała, a Sudańczycy nie.

– Nie jesteś z MTK! Nie mów im, że dla nich pracujesz, bo cię zabiją! Powiedz im, że kłamiesz. Że jesteś nikim, tylko biurwą z ONZ-et.

Jeden z funkcjonariuszy popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale był zbyt zajęty próbą okiełznania i posadzenia na krzesło silnej, wyrrywającej się kobiety, żeby mu przerwać.

Ellen zaczęła płakać i krzyczeć:

– Nie znam francuskiego, dupku! Mówisz po angielsku czy nie? Pomóż!

Kiedy doprowadzono ją na krzesło, wciąż w kajdankach spinających jej drobne dłonie na plecach, część żołnierzy się rozpierzchła. Jeden z tajniaków wyszedł zadzwonić. Wszyscy Rosjanie wrócili do hali. Przedstawienie skończone.

Court został w pokoju z dziewczyną. Chodził w tę i we w tę. Zatrzymał się obok niej i się pochylił. Uderzona przez Giennadija wargę krwawiła. Rdzawobura bluzka miała rozdarcie na ramieniu – prezent od szarpiącego ją funkcjonariusza. Gentry mówił do niej cicho i szybko, by pracownik tajnej policji nie był w stanie wiele wyłapać.

– Słuchaj uważnie. Nie walcz z nimi, ale bądź stanowcza. Żądaj, aby dali ci porozmawiać z kimś z UNAMID-u. Poza tym nic nie mów. Nie pracujesz dla MTS. Nic nie widziałaś. O niczym nie wiesz. – Następnie spuścił wzrok z jej oczu na podłogę i powiedział: – Wszystko będzie w porządku. – Odwrócił się i powoli zmierzał do wyjścia. – Nic ci nie będzie.

– Kim jesteś?! – zawołała za nim.

Zwolnił, ale nie odwrócił się do niej.

– Nikim.

* * *

Gentry wraz z resztą załogi iljuszyna szedł po ciemnym asfalcie w stronę ogromnego samolotu. Był wściekły i zaniepokojony. Gównianie się czuł na myśl o tym, co spotka tę Kanadyjkę. Przygarbiony, z pochyloną głową włókł się z tyłu grupy. Próbował sobie tłumaczyć, że to jej wybuch ją pograżył, że to jej wina, nie jego, że przecież i tak nie był w stanie nic zrobić. Powiedział jej, że nic się nie stanie, ale był pewien, że za wszystko, co zaobserwował i wydedukował z sytuacji, zabiją ją, bo sprawienie tu i teraz, by po prostu zniknęła, było bardzo łatwe, a pozwolenie, żeby rozpowiedziała to, czego się dowiedziała, było bardzo, bardzo niemożliwe. Court wiedział, że jeśli on sam doszedł do takiego wniosku, to nie było szans, żeby Narodowa Służba Bezpieczeństwa i sudańskie wojsko wyciągnęło inny.

Ellen Walsh była już właściwie martwa.

– I to twoja wina, Gentry – szepnął pod nosem, idąc przez noc z załogą samolotu.

Dzieliło ich od niego kilkaset metrów. Court zaczął zwalniać. Spojrzał przed siebie. Pozostali wyprzedzili go o kilka metrów. Zwolnił jeszcze

bardziej. Następnie wyprostował się i znieruchomiał. Grymas zniknął z jego twarzy. Zwrócił się do pilota:

– Giennadij, nie zostawiaj mnie.

Pilot odwrócił się do niego, ale się nie zatrzymał.

– Ale że co? Gdzie miałbym cię zostawić?

– Po prostu na mnie poczekaj. Muszę...

– Odlatujemy natychmiast. Piętnaście minut przygotowań, a potem lu. Nie wiem, co wygadujesz, ale nie poczekam. No chodźże...

Court stał w ciemności nieugięty. Z buszu dochodziło cykanie, piszczenie, bzyczenie i klikanie przeróżnych insektów. Obejrzał się przez ramię w stronę terminala. Przy wejściu dla pracowników zatrzymał się czarny czterodrzwiowy sedan.

– Cholera jasna! – krzyknął w noc.

– No, ruchy, ruchy! – wrzasnął gniewnie Giennadij.

Court spojrział sto osiemdziesiąt metrów przed siebie na samolot. Pomyślał o przywiezionych dwudziestu trzech kilogramach sprzętu. Ile by dał, żeby go teraz przy sobie mieć.

– Co z tobą? – spytał Giennadij.

Court mu przerwał. Pogroził mu palcem.

– Nie zostawiaj mnie tu. Zaraz wracam. Pod żadnym pozorem nie odlatuj beze mnie! – Wiedział, że wystarczyłoby wspomnieć o Grigoriju Sidorence, by pilot wykonał jego polecenia bez szemrania, ale na tym etapie nie zamierzał aż tak ignorować zasad bezpieczeństwa operacji. Zawołał tylko: – Proszę! – Nie czekał na odpowiedź. Obrócił się na pięcie i ruszył pędem w stronę terminala, krzycząc: – Cholera!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gray Man przebiegł prawie sto metrów w ciepłą noc. Nie miał planu poza tym, że chciał odnaleźć tę kobietę i wymyślić, jak jej pomóc. Nie zamierzał wdawać się w bójkę z całą halą tajniaków i żołnierzy, nie wiedział nawet, dokąd pędzi. Przez lata jednak nauczył się ufać swoim zdolnościom improwizacji. Przed sobą ujrzał lśniąca strugę światła padającą z otwierających się drzwi dla personelu. W poświacie pojawiło się dwóch gości z NSB, za nimi dwóch wojskowych popychało przed sobą Ellen Walsh, kierując ją na tylne siedzenie czterodrzwiowego sedana. Żołnierze usiedli po obu stronach kobiety, tajniacy zajęli miejsca z przodu. Samochód odjechał w kierunku przeciwnym do tego, w którym biegł Gentry, akurat w chwili, gdy udało mu się dotrzeć do wejścia do terminala. Wiedział, że zmierzają do wyjazdu z lotniska, porywając kobietę.

I doskonale znał ich cel.

Do więzienia Narodowej Służby Bezpieczeństwa w Al-Faszirze.

Do Domu Duchów.

– Cholera jasna! – krzyknął po raz kolejny, zatrzymując się. Z terminala przyglądało się mu dwóch strażników zaciekawionych, ale nie na tyle, żeby wystawić nos na zewnątrz.

Gentry rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pojazdu, ale nie zobaczył niczego. Obrócił się więc i skierował się w stronę samolotu. Gdy wyszedł z terenu oświetlonego słabym światłem lotniskowych latarni, znikając z pola widzenia straży, znów zaczął biec. Tym razem skręcił za budynek, minął kilkanaście kontenerów ustawionych jako przenośne biuro jakiejś organizacji pozarządowej, która musiała już dawno stąd się wynieść. Po chwili poczuł, że stąpa po innej nawierzchni: zbiegł z ciepłego asfaltu i poruszał się po pokrytym cierniami piasku i twardej ziemi. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na tyłach lotniska, widniało niewielkie wzgórze. Zobaczył też metalowe ogrodzenie. Kiedy jeszcze było jasno, Court zauważył, że biegnie ono wzdłuż w miarę ruchliwej drogi. Teraz jednak nie

widział na niej żadnych świateł przejeżdżających samochodów ani ochrony. Minał wrak wielkiego, wysokoskrzydłowego dwusmigłowego samolotu, który niewątpliwie kiedyś się tu rozbił i czekał tylko na stopniowe pogrzebanie w nawiewanym latami piachu.

Zatrzymał się tuż przy ogrodzeniu. Wznosiło się na trzy metry i było zakończone gęstym zwojem drutu kolczastego. Rozwiązał sznurówki, ale nie zdjął butów, po czym szybko i sprawnie wspiął się na ogrodzenie. Na szczycie przytrzymał się jedną ręką tuż pod drutem, a drugą ściągnął po kolei buty. Z trudem wsunął dłonie w obuwie. Ocierał palcami stóp o metalową siatkę, próbując mimo bólu utrzymać się na niej. Następnie pchnął drut kolczasty dłońmi uzbrojonymi w swoje buty, starając się go usunąć. Grubymi gumowymi podeszwami wcisnął wystające ostre kolce mocno w szczyt ogrodzenia. Potem wspiął się po ogrodzeniu, tak że już prawie stał u jego szczytu. Ustawił się niczym pływak na słupku w oczekiwaniu na sygnał do startu. Szybko przełożył cały ciężar ciała na rękę, wyrzucił do góry nogi, tak że niezdarnie stanął na rękach na szczycie ogrodzenia, a następnie pozwolił im opaść po jego drugiej stronie. Puścił drut kolczasty, buty spadły mu z rąk. Po wylądowaniu na ziemi przeturlał się w kurzu tuż za terenem lotniska. Nie był ranny, miał co najwyżej kilka siniaków na ramieniu i plecach. Mimo ciemności jednego buta znalazł od razu. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że drugi wciąż tkwi przyczepiony do drutu kolczastego, więc wspiął się, by go ściągnąć. Po kolejnych trzydziestu sekundach miał już związane sznurówki i schodził ze wzgórza w stronę drogi.

Court nie zapoznał się przed operacją z mapą miasta, nawet nie był pewien, czy przed tą misją w ogóle słyszał o tym miejscu, jednak uważał podczas rozmowy w kokpicie i wnikliwie przyglądał się terenowi, nad którym leciał samolot podczas zataczania ostatniego kręgu nad lotniskiem. Wiedział więc, że trasa, którą pojechał samochód Narodowej Służby Bezpieczeństwa, ciągnęła się z półtora kilometra na północ, a następnie łączyła się z szosą prowadzącą ze wschodu na zachód. Na skrzyżowaniu musieli skrócić w prawo, a dotarcie do centrum zajęłoby im kilkanaście minut. Court wiedział, że jeśli tylko uda mu się zdobyć jakiś pojazd, będzie w stanie wyprzedzić ich i interweniować, zanim dotrą do Domu Duchów. Nagle zobaczył na drodze zbliżające się światło, co z początku napełniło go optymizmem. Po kilku sekundach dostrzegł, że dobiega z pojedynczego reflektora, czyli to pewnie motocykl. Idealnie! Motor to wymarzony środek

transportu. Mógłby śmigać, nie zważając na korki, i z łatwością odnaleźć Ellen Walsh i jej porywaczy.

Cofnął się w ciemność, czekając, aż pojazd się zbliży.

Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie mieści się Dom Duchów, ale podejrzewał, że każdy mieszkaniec tej miejscowości będzie znał lokalizację więzienia tajnej policji. Nie łudził się, że znajdzie się chętny, który go zaprowadzi do drzwi i zapuka, ale wiedział, że wystarczy zamachać na rogu ulicy plikiem sudańskich funtów i znajdzie się ktoś, kto poda mu adres.

Court podbiegł do skraju drogi. Jego plan był brutalny do granic przyzwoitości, ale przynajmniej skuteczny. Postanowił zaczekać, aż kierowca motocykla będzie kilka metrów od niego, następnie zająć mu drogę i przewrócić motor wraz z właścicielem. Już przygotował się do manewru, kiedy zauważył, że pojazd porusza się zdecydowanie zbyt wolno jak na tak pustą drogę. Uznał, że to pewnie skuter. Wciąż niezłe rozwiązanie, idealne do jeżdżenia wąskimi uliczkami i w gęstych korkach w państwach rozwijających się, nawet jeśli nie jest w stanie jechać bardzo szybko, z otwartą przepustnicą.

Kiedy jednak, po wydawałoby się wieczności, ukazał się cały pojazd, Gentry przeklął głośno. To nie był motor. To nie był skuter. To była małeńka zmotoryzowana riksza, czyli skuter wyposażony w trzymiejscową ławeczkę za kierowcą, nędzny dwusuwowy silnik i szeroką oś niczym w trójkołowym dziecięcym rowerku.

Gentry był wkurwiony. To był zapewne drugi najwolniejszy środek transportu na ziemi, tuż po wózku ciągniętym przez osła. Uznał jednak, że lepsze to niż jogging, więc wyszedł na ciemną szosę. Nie próbował jednak zaatakować pojazdu, tylko na niego zamachał.

Riksza stanęła. Za kierownicą siedział czarny mężczyzna w turbanie.

– Taxi? – zapytał. Nie wydawał się zdziwiony widokiem brodatego mężczyzny w kombinezonie przypominającym wojskowy. Zapewne Court nie był pierwszym cudzoziemcem, który wpadł na genialny pomysł, by szwendać się po zmroku po przedmieściach tego miasta. Gentry wsiadł pospiesznie do rikszy, kierowca wcisnął gaz. Z piskiem, niczym kosiarka jadąca po gęstej mokrej trawie, maszyna ruszyła.

Court poprosił o zawiezenie go do miejscowego suku, czyli na targowisko. Każda miejscowość ma jakiś bazar, założył więc, że ta dziura również. Kierowca nie pytał, więc dobrze trafił. Siedzący obok niego

czterdziestoparoletni mężczyzna z któregoś z darfurskich plemion odwrócił się do niego i zaproponował, że może mu sprzedać coś do picia z małej torby-lodówki leżącej na tylnym siedzeniu. Court zajrzał tam, zobaczył kilka butelek letniej wody, które musiały być w obiegu już od dawna. Choć bardzo chciało mu się pić, nie zamierzał nawadniać się ze starych plastikowych butelek napełnionych tutejszą kranówką. Pod stopami znalazł mały zestaw narzędzi w parcianym worku. Nie było w nim nic interesującego poza flarą drogową i małym zardzewiałym śrubokrętem. Court schował oba przedmioty do kieszeni. W głowie zaczęły formować się zaczątki planu.

Jechali na wschód. Po najwyżej trzech minutach dotarli do głośnej, zatłoczonej drogi. Jedna czwarta pojazdów była wyposażona w osły. Teraz ocenił, że dwusuwowy silniczek nie jest taki zły. Jedna trzecia pojazdów należała do różnego rodzaju organizacji pozarządowych: ONZ-etu, UNICEF-u, CARE i Czerwonego Krzyża. Było jeszcze kilka wojskowych samochodów UNAMID-u i kilku sudańskich wojskowych na motocyklach. Dziesięć procent kierowców to miejscowi w autach i furgonetkach. Stanowili mniejszość na drogach własnego miasta.

Court wielokrotnie upominał kierowcę, by się pospieszył. Zakładał jednak, że mimo zółwiego tempa i tak musieli się znajdować przed sedanem NSB, który pojechał okrężną trasą na szosę. Zdawał sobie jednak sprawę, że wystarczy jakiś korek czy niefortunny skręt, a stracą szansę w tym wyścigu.

Dotarli do targowiska.

– To suk. Dwadzieścia funtów – oznajmił kierowca.

– A teraz chcę, żebyś mnie zawiózł do Domu Duchów – poprosił Court. Nie zaskoczyło go, że kierowca odwrócił się do niego przerażony. Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby trafić do siedziby tajnej policji. Court miał już przygotowany plik banknotów, który pokazał kierowcy. Wyglądało jednak na to, że przygotował za mało.

– Nie wiem, gdzie to jest. Tu jest suk. Chce pan pić? Dużo otwartych miejsc. Woda sodowa. Herbata. Bardzo miłe.

– Nie chcę pieprzonej wody sodowej. Chcę do siedziby NSB. Zawieź mnie w okolice, pokaż, gdzie to jest, podejść – powiedział Court, wyciągając kolejny plik pomiętych banknotów z portfela. W świetle wystawy zasilanej jęczącym i kopącym generatorem gazowym popatrzył w szeroko otwarte

oczy mężczyzny. Ten w końcu pokiwał powoli głową, najpierw w stronę pieniędzy, a potem na tego obłąkanego Amerykanina.

– Podwoję pana dwie przecznice dalej. Do stadionu.

– Stadion jest dwie przecznice od Domu Duchów?

– Tak – odparł riksarz, kiwając głową.

Court widział jego zdenerwowanie, był pewien, że kierowca mówi prawdę.

– Dobrze. Jak się pospieszysz, dostaniesz więcej!

Mężczyzna włączył się do ruchu, pochylił do przodu i jakimś cudem udało mu się wykrzesać jeszcze trochę mocy z tej marnej maszyny.

W tym momencie Gentry usłyszał charakterystyczny odgłos dochodzący z przestworzy. Wiedział, co to jest. Nie musiał patrzeć, ale i tak zerknął, i zobaczył zarys Iljuszyna Ił-76MF wzbijającego się ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Pierdolone Ruski – mruknął Court, choć na ich miejscu też by tak zrobił.

Poczuł się osamotniony, ale nie miał czasu się nad sobą uzalać. Musiał opracować plan.

Po chwili znów utknęli w wieczornych korkach. Stali bez ruchu pośrodku drogi. Klakson riksarza został zagłuszony zgodnym trąbieniem samochodów. Po prawej wózek ciągnięty przez osła wyprzedził ich nieco. Court dostrzegł wzdłuż szosy promenadę. Tam, w świetle nagiej żarówki zwisającej z okna na piętrze, na obróconym do góry dnem metalowym wiaderku siedział jakiś mężczyzna. Koło niego stał kontener wielkości kegi piwa. Z jego zakrętki wystawał plastikowy szlauch, wijąc się niczym wąż. Przed ustrojstwem widniał odręczny napis po arabsku i po angielsku: „Benzyna”. Mężczyzna jadł palcami ryż. Gentry natychmiast pochylił się stronę riksarza, po czym wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

– Zaraz wracam – rzucił i pobiegł do mężczyzny z benzyną, ale kierowca wrzasnął, że nie może zostawiać go pośrodku ruchliwej drogi.

Court pośpiesznie wyciągnął portfel i wyjął kolejny plik sudańskich banknotów, które wręczył sprzedawcy benzyny. Staruszek wziął je i wstał, pokiwał głową, a następnie przyjrzał się zdenerwowanemu klientowi z zainteresowaniem. Court przez chwilę nie wiedział, o co chodzi, więc zawołał: „Benzyna!”, wskazując na beczułkę. Za nim auta i motory zaczęły trąbić. Ci na wozach ciągniętych przez konie i muły wrzeszczeli na riksarza blokującego ruch.

– Benzyna! – Court krzyknął ponownie. Wtedy zorientował się, że sprzedawca nie wie, gdzie ma ją wlać. Court ani nie miał ze sobą pojemnika, ani nie kierował pojazdem. Wyciągnął kolejny banknot i pokazał na wiadro, które dotychczas służyło za stołek. Amerykanin podniósł je i obrócił. Uznał, że pomieści dwa galony. Staruszek popatrzył na niego jak na szajbusa, ale wlał benzynę do blaszanego naczynia.

Napełnianie wiadra zajęło półtorej minuty. Kiedy Gentry wrócił do rikszy, nie miał wątpliwości, że stał się najbardziej znieawidzonym człowiekiem w Al-Faszirze. Wszyscy na niego trąbili. Oddał kluczyki kierowcy, który uruchomił pyrkający silnik. Court postawił wiaderko pomiędzy stopami. Następnie chwycił plik banknotów i zamachał nim do markotnego rikszarza. Ten przestał narzekać i wyciągnął rękę, ale Gentry cofnął plik i poklepał kierowcę po plecach na znak, że mu zapłaci. Riksarz nacisnął pedał gaz, Court otworzył lodówkę z wodą. Nawet w słabym świetle dochodzącym z mijanych budynków i aut widział czarny osad w butelce. Wypicie tego zapewne skończyłoby się ostrą dyzenterią, ale on nie zamierzał tego pić. Odkręcił zakrętkę i polał się po twarzy, ramionach, ubraniu. Następnie sięgnął po drugą flaszkę i znów oblał się jej zawartością od stóp do głów.

Riksarz spojrział przez ramię, ale Court pokazał mu, żeby patrzył na drogę i jechał. Odkręcił jeszcze dwie butelki i polał się po włosach, twarzy i ubraniu. Riksarz wkrótce zatrzymał się przed wielkim starym stadionem piłkarskim. Pokazał na ruchliwe skrzyżowanie przed nimi, a następnie dał do zrozumienia, że Dom Duchów znajduje się po lewej stronie. Odwrócił się do niego i wyciągnął dłoń po zapłatę. Court zanurzył rękę w portfelu. Wyjął plik banknotów o innym kolorze niż ten, jakiego spodziewał się riksarz. Gdy ku niekłamanej radości zobaczył euro, pokiwał powoli głową. Spoważniał, widząc banknoty. Czteryście euro wystarczy na nowiutką riksę. Przełknął głośno ślinę. Dopiero po kilku sekundach mężczyzna w turbanie zorientował się, o co właściwie chodzi jego pasażerowi. Kierowca wziął pieniądze. Mokry kawaga, trzymając wiaderko benzyny, wyszedł z pojazdu, rozpiął kombinezon, rozebrał się do przemoczonych majtek i koszulki, a następnie podał zdjęte ubranie riksarzowi. Tym razem mężczyzna od razu zrozumiał, że jest proszony – cóż, raczej zmuszony – by zamienić się odzieżą z cudzoziemcem. Niechętnie wygramolił się z rikszy, ale szybko się rozebrał na ulicy. Przechodnie zatrzymywali się i gapili.

Kawaga włożył długą tunikę i brązowe spodnie, wsadził do kieszeni śrubokręt i flare, spiął spodnie skórzanym paskiem, po czym ściągnął turban z głowy Darfurczyka i obwiązał nim głowę i twarz. Następnie, bez słowa czy gestu, odkręcił bak rikszy i wyrzucił nakrętkę na ziemię, pospiesznie wsiadł za kierownicę i ścisnął wiadro z benzyną między kolanami. Otworzył kolejną butelkę z wodą, oblał ubranie, po czym nacisnął gaz i zardzewiała maszyna włączyła się do ruchu.

Rikszarz stał pod latarnią koło stadionu z nagim torsem i drapał się w głowę otoczony przez tłum gapiów.

* * *

Court miał nadzieję, że się nie spóźnił. Gdy Ellen Walsh trafi do Domu Duchów, próba jej wydostania będzie się równała z samobójstwem, a i jej zdecydowanie by nie pomogła. Musiał coś zrobić, zanim wiozący ją sedan dojedzie na miejsce.

Na ostatnim skrzyżowaniu zobaczył kolejny korek utworzony przez rozklekotane dryndy, zwierzęta pociągowe ciągnące drewniane czy rdzewiejące wózki i pojazdy organizacji pozarządowych. Skręcił w lewo i wjechał na niski chodnik. Mężczyźni w białych turbanach wracający do domu, idący na kolację czy wieczorny spacer odskoczyli na bok, bo choć w zderzeniu z przechodniem riksza co najwyżej przyprawiała ofierze nie więcej niż kilka siniaków, to jednak trudno wykluczyć, że mogłaby też połamać kości.

Court próbował wyobrazić sobie dalszą drogę, ale naprawdę nie wiedział, co go mogło czekać za rogiem. Widział już dużo siedzib tajnej policji w krajach postkolonialnych, więc spodziewał się niskiego budynku otoczonego wzmocnionym murem, z bramą frontową ze szlabanem czy inną barykadą i budką strażniczą. Może do tego jakiś karabin maszynowy otoczony workami z piaskiem albo nawet wóz pancerny.

„Mam nadzieję, że ta cholerna Kanadyjka to doceni” – pomyślał.

Wkrótce jednak przypomniał sobie, że gdyby nie on, kobieta nie znalazłaby się w tarapatach, z których teraz usiłował ją wyciągnąć. Znajdował się już na zakręcie w lewo, zostawiając za sobą krzyki i klaksony. Wszedł w niego zbyt ostro i dwusuwowa drynda się zatrzęsała. Tylne lewe koło na kilka sekund oderwało się od ziemi, aż w końcu walnęło w zakurzony chodnik, przez co tylne siedzenie podskoczyło z przeszywającym piskiem. Benzyna oblała Courtowi nogawkę, ale podniósł

szybko prawe kolano i ustabilizował wiadro, dzięki czemu udało mu się ocalić osiemdziesiąt procent zawartości. Wtedy właśnie zobaczył przed sobą po prawej stronie Dom Duchów. Otaczający go mur był niższy, niż się spodziewał, budynek natomiast wyższy i bardziej zdobiony, niż to sobie wyobrażał. Nieopodal znajdowała się brama wjazdowa ze strażnicą, z drugiej strony stał metalowy barak. Dostrzegł też nadjeżdżające auto NSB, które właśnie miało skręcić w prawo na skrzyżowaniu, tuż przy wjeździe do Domu Duchów.

„Kurwa, nie zdążę” – pomyślał Court.

Jechał tak szybko, jak tylko się dało. Nachylił się do przodu, modląc się w duchu, by coś spowolniło przyjazd sedana. Chyba jego modły zostały wysłuchane, gdyż przed samochód Narodowej Służby Bezpieczeństwa wyszedł osioł ciągnący wózek wypełniony po brzegi plastikowymi konewkami. Auto tajniaków musiało zwolnić. Rozległ się klakson. Od wjazdu do Domu Duchów dzieliło je maksymalnie dwadzieścia metrów. Court wiedział, że to ostatnia okazja, by udało mu się na czas dotrzeć do sedana, choć każda część jego planu wciąż nie miała wielkich szans na powodzenie. Chwycił skrzypiącą rączkę wiadra z benzyną, trzymając riksę za przepustnicę, po czym natarł na stojące auto. Gdy wózek z osłem zaczął się usuwać z drogi, a sedan ruszać, Gentry puścił kierownicę i wyskoczył z rikszy. Choć potknął się i wylał kolejną porcję benzyny, udało mu się utrzymać na nogach i pobiegł prosto na hałaśliwą drogę.

Riksza uderzyła w drzwi sedana od strony pasażera z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, wgniatając się z trzaskiem w auto, które z kolei wpadło na drewniany wózek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Klaksony trąbiły na Gentry'ego, okazując niezadowolenie i irytację z powodu wypadku, który z pewnością spowoduje duże opóźnienia. Zwierzęta porykiwały z dezaprobatą na powstały hałas. Samochód tajnej policji zatrzymał się pośrodku skrzyżowania. Światło jego reflektorów rozpraszająca para wydobywająca się spod maskownicy. Riksza odbiła się od drzwi sedana i przewróciła na bok. Z otwartego baku sączyła się benzyna.

Court pojawił się przy drzwiach sedana od strony pasażera w chwili, gdy zdezorientowany dowódca otworzył je kopniakiem. Gentry złapał okularnika za krawat, wyciągnął go z auta, po czym puścił, chwycił oburącz wiadro z benzyną i wylał zawartość na jego głowę.

Żołnierze wysiadali z tyłu auta, a kierowca powoli otwierał drzwi. W tym momencie Court wyciągnął z kieszeni flarę, odłamał zawleczkę i zapalił ją. Podniósł lewą rękę z płonąca i iskrząca pochodnią nad głowę, prawą natomiast chwycił dowódcę tajniaków za kołnierz, po czym zacisnął rękę na jego szyi. Żołnierze stojący z tyłu samochodu wycelowali z karabinów i krzyknęli do niego. Niższy rangą tajniak obszedł samochód z pistoletem w ręku, też wrzeszcząc.

Od strony Domu Duchów nadeszło trzech umundurowanych strażników z karabinami gotowymi do strzału. Oni też krzyczeli. Court stał pośrodku skrzyżowania, trzymając dowódcę za szyję.

– Jak sięgniesz po broń, to cię spalę – szepnął mu do ucha po angielsku.

Mężczyzna milczał, ale odsunął ręce na bok, daleko od przytwierdzonej do pasa pod marynarką kabury. Court przybliżył do niego iskrzącą się flarę, po czym szybko ją cofnął.

– Jeśli mnie zastrzelą, to ją upuszczę. A jak to upuszczę, ty zginiesz. Rozumiesz?

Mężczyzna niewątpliwie zrozumiał. Podniósł wysoko ręce i zaczął wrzeszczeć, usiłując zapanować nad chaosem. Court zrozumiał, że woła w sudańskiej odmianie arabskiego:

– Opuśćcie broń! No już, broń w dół! Nie strzelać!

Nikt nie opuścił broni, ale przynajmniej nikt nie strzelił. Court popychał faceta z NSB to na prawo, to na lewo, aby być w miarę ruchomym celem, żeby jakiś snajper z dachu Domu Duchów lub nadgorliwy strażnik czy glina mocno się zastanowili, zanim postanowią strzelać w jego kierunku. Równocześnie starał się trzymać zapaloną flarę na tyle blisko tajniaka, by mu zagrozić, ale na tyle daleko, aby nie wybuchł piekielny ogień. Udało mu się zerknąć na tył czarnego sedana. Ellen Walsh się nie poruszyła. Gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami w blasku samochodowej lampki.

– Wszystko w porządku? – Szybko przeszedł na drugą stronę auta, wciąż starając się uniknąć ewentualnej kuli. – Hej, jak tam? – zapytał, tym razem stojąc po lewej stronie samochodu. Pokiwała głową z takim wyrazem twarzy, że przestraszył się, że może być w szoku. – Hej! Słuchaj uważnie! Przejdź na miejsce kierowcy! Szybko! No, teraz! Weź się w garść! – krzyknął, po czym zrobił krok do przodu, a następnie do tyłu. Skulił się, prawie powalając tajniaka na chodnik, a wszystko przy nieustającym akompaniamencie klaksonów i zwierzęcego ryku.

Court wiedział, że za minutę flara zgaśnie. Mieli sześćdziesiąt sekund, aby się stąd wydostać, albo przyjdzie im sfajczyć okolicę.

Zdecydowanie wolał to pierwsze rozwiązanie.

Ellen w końcu przedostała się na przednie siedzenie. Wydawała się bardziej zdezorientowana niż przerażona, więc zaczął na nią krzyczeć. Pełna wulgaryzmów tyrada miała na celu skupienie uwagi kobiety i wymuszenie, by wróciła myślami do teraźniejszości, przekonanie jej, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i tylko jej natychmiastowe działanie może ją wybawić.

– Dobrze. – Jego ton złagodniał, gdy usiadła za kierownicą. – Świetnie ci idzie. Teraz spróbuj włączyć silnik.

Niższy rangą lotniskowy tajniak odsunął się powoli od samochodu, kierując się na lewo od Courta. Gentry bał się, że mężczyzna szykuje się do strzału, zamierzając oddać go i od razu rzucić się do ucieczki przed nieuniknioną kulą ognia. Wtedy z pewnością uśmierciłby też szefa, ale ten pajac mógł w sumie chcieć wykorzystać szansę na przyspieszenie awansu.

Na miejsce przyjechało dziesięciu funkcjonariuszy sił pokojowych Unii Afrykańskiej, którzy właśnie wyskakiwali z transportera opancerzonego. Zaczęli wymachiwać karabinami, opieszale i raczej na pokaz. Nie mieli

pojęcia, co się tu dzieje, ale nie zamierzali pozwolić, żeby ktokolwiek próbował w nich celować. Woleli pokazać, że jeśli się tak stanie, są gotowi strzelać do tłumu.

Doskonale. W tej chwili w Gentry'ego mierzono z co najmniej dwudziestu pięciu spluw. Był pewien, że większości z celujących było wszystko jedno, czy jego chuderlawy zakładnik spłonie żywcem, czy nie.

Czas się zmywać!

Ellen włączyła silnik. Court pchał zakładnika szosą i przykazał Kanadyjce, by jechała przy nim. Kobieta wycofała sedana zza osła, demolując tylnym zderzakiem i tak już pokiereszowaną riksę. Court puścił szyję tajniaka, ale wciąż machał nad nim flarą, równocześnie wyciągając pistolet z jego kabury. Udało mu się jedną ręką zwolnić zamek poprzez zaczepienie suwaka o pasek i uderzenie pistoletem. Następnie wymierzył w drugiego tajniaka, który chyba się rozmyślił i jednak postanowił nie otwierać ognia. Gentry podejrzewał, że na tym skrzyżowaniu pełnym spluw wystarczył jeden wystrzał, żeby inni odpowiedzieli z broni automatycznej. Pewnie mężczyzna doszedł do wniosku, że jeśli strzeli do białego mężczyzny, zebrani wokół funkcjonariusze sił pokojowych zabiją wszystkie żywe istoty w okolicy.

Ellen jechała obok Gray Mana, który przypominał jej, by się nie spieszyła. On szedł z tyłu, obok otwartych tylnych drzwi po stronie kierowcy, zostawiwszy dowódcę NSB na skrzyżowaniu, tuż przy wraku rikszy i zniszczonym wozie wśród pojazdów, które utknęły w korku za nimi. Court prawą ręką mierzył z pistoletu, a dogasającą flarę trzymał w lewej. Po chwili rzucił nią nad tajniakiem w stronę rikszy. Gdy ta leciała w stronę ciekącego baku skutera, przykucnął, wystrzelił dwa razy, po jednym naboju prosto w klatkę piersiową każdego tajniaka. Obrócił się i wskoczył na tylne siedzenie sedana.

– Jedź! Ruchy! Ruchy! Ruchy! – wrzasnął.

Riksza, a z nią całe zakurzone skrzyżowanie stanęło w płomieniach. Przez otwarte drzwi samochodu usłyszeli świst zapłonu.

Ellen Walsh mocno wcisnęła pedał gazu. Sedan pomknął na północ.

Nikt nie strzelił. Po czterdziestu metrach auto skręciło w lewo i zniknęło w ciemnej uliczce. Za nim, na niebie, rozzarzyła się kula ognia.

* * *

– Gdzie jedziemy?

Facet z załogi ruskiego transportowca, który niewątpliwie nie był Rosjaninem, siedział na tylnym siedzeniu za Ellen. Sedan mknął wąskimi, zakorkowanymi uliczkami, mijając rozpadające się, szare blaszane konstrukcje ze ścianami koloru błota, rozciągające się po obu stronach drogi, wydawałoby się we wszystkich kierunkach i w nieskończoność. Mijała skrzyżowanie za skrzyżowaniem, czasem udawało jej się wyciągnąć czterdzieści kilometrów na godzinę, kiedy indziej musiała zwolnić i rozpychać maskownicą inne samochody albo stada krów czy owiec.

– Gdzie mam jechać? – krzyknęła.

Siedzący z tyłu mężczyzna wydawał się nie zwracać na nią uwagi. W końcu jednak odpowiedział, tym razem ciszej i łagodniej niż na skrzyżowaniu:

– Po prostu jedź przed siebie. Świetnie ci idzie.

Tak, przyznała sama przed sobą. Rzeczywiście świetnie jej idzie.

Nigdy nie była w szoku, a teraz udało jej się na tyle zachować świadomość, na ile była jej potrzebna, by mogła zadać sobie pytanie, czy to dziwne, ogarniające ją powoli poczucie spokoju to nie jest właśnie szok.

– Ej, ale ty nikogo tam nie zabiłeś, prawda? – spytała. Jej głos drżał. Była zdezorientowana. Usiłowała zdusić nadciągające emocje.

– Oczywiście, że nie. Oddałem tylko kilka strzałów ostrzegawczych. Musiałem ich zatrzymać, żebyśmy mogli uciec.

Uwierzyła mu. Nie brzmiał i nie zachowywał się jak ktoś, kto właśnie zabił człowieka.

– Gdzie jedziemy?

– Nigdzie konkretnie. Po prostu jedź dalej tą drogą.

– Kim jesteś?

– Nie teraz – odparł krótko.

– Nie jesteś Rosjaninem – stwierdziła, przyglądając się mu w lusterku.

– Jak na to wpadłaś? Rzeczywiście jesteś śledczą do spraw specjalnych – rzucił sarkastycznie.

Ellen nie była pewna, czy to miało być żartobliwe, czy okrutne.

– Jesteś ze Stanów? – zapytała, choć po akcencie poznała, że tak.

– Nie w tej chwili – powtórzył.

Jeszcze przez pół godziny jechali na północ. Niewiele mówili. Amerykanin mruknął pod nosem, że trzeba będzie pomyśleć o przesiadce do innego pojazdu, ale polecił jej jechać dalej, jak gdyby bał się przystanąć w tej miejscowości choćby na moment, by znaleźć inny środek transportu.

Wciąż siedział na tylnym siedzeniu. Na początku sądziła, że po to, aby patrzeć przez okno, czy nikt ich nie śledzi. Później jednak odważyła się zerknąć do lusterka i zobaczyła, że siedzi w ciemności i wygląda przez okno, jak gdyby nie miał pomysłu, co dalej. Wtedy, z pistoletem i flarą, wykrzykując rozkazy i trzymając okularnika za szyję, wydawał się stanowczy i zdecydowany. Teraz jednak zaczęła się obawiać, że się zmęczył, wyczerpał czy to fizycznie, czy psychicznie, i że to ona będzie musiała podejmować kolejne decyzje.

– Potrzebuję zdobyć telefon. Zadzwoń do kogoś, kto jest w stanie pomóc – powiedziała.

– Nie ma mowy – odparł mężczyzna. – Po prostu jedź. – Jego głos był zaskakująco silny.

– Zaraz będziemy na pustyni.

– Nie na pustyni. To Sahel.

– Co proszę? – Spojrzała pytająco w lusterko.

– Sahel. Stepy, półpustynia. Pomiędzy sawanną na południu a pustynią na północy. Prawie niezamieszkałe, tak samo tu gorąco jak na pustyni, ale to nie to samo. Pustynia zaczyna się jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na północ.

– Okej, gdziekolwiek jesteśmy, czy naprawdę musimy tu wjeżdżać?

– Tak.

– Ale tu nie będzie telefonów.

– Prawda. Nie będzie. Na razie musimy zniknąć z mapy. Potem znajdziemy jakąś kryjówkę. Narodowa Służba Bezpieczeństwa będzie nas usilnie szukać. Będą podsłuchiwać wszystkie linie telefoniczne, uruchomią helikoptery, na ulicach, bazarach, alejkach i hotelach w Al-Faszirze zaroi się od informatorów. Musimy się wydostać ze strefy zagrożenia. Dzisiaj gdzieś się przyczaić, a rano dostać do jakiegoś obozu ONZ-et.

– Ale ja nie mam pozwolenia na dostanie się tam!

– Nie miałaś pozwolenia, żeby aresztować ruskich przemytników broni, a i tak próbowałaś.

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Ja też nie wiem – odrzekł nieznajomy. – Ale skręca mnie ciekawość: miałaś jakiś plan, to znaczy poza pogrożeniem im Międzynarodowym Trybunałem Karnym, a potem poproszeniem, aby ci podali słuchawkę, byś mogła na nich donieść?

– Nie, to było wszystko – przyznała Ellen, znów kręcąc głową na myśl o tym, w co się wpakowała. – Z wykształcenia jestem prawniczką. W Międzynarodowym Trybunale Karnym pracuję zaledwie kilka miesięcy. Sama załatwiłam sobie podrobienie dokumentów oenzetowskich. Znudziło mnie siedzenie w biurze i nicnierobienie. Chciałam przyjechać i zobaczyć Darfur na własne oczy. Nikt ode mnie z pracy nie wie, że tu jestem i co tu robię.

– Cóż, muszę przyznać, że jaja to ty masz! – powiedział to takim tonem, że Ellen domyśliła się, że nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jechali na północ jeszcze kolejne dziesięć minut. Cichy towarzysz podróży albo ucinął, albo ignorował wszelkie próby wciągnięcia go do rozmowy. Już za miastem udało im się nabrać prędkości. W końcu mężczyzna poinstruował ją, aby zatrzymała samochód i zjechała na lekkie obniżenie terenu na poboczu drogi. Na pytanie, czy są tu jakieś dzikie zwierzęta, przyznał, że nie wie, ale zapewnił, że nic jej się nie stanie. To nie to, że mu ufała – wciąż nie do końca wiedziała nawet, po czyjej jest stronie – ale zdawała sobie sprawę z tego, że na razie nie ma innej opcji. Postanowiła go słuchać.

Obniżenie terenu prowadziło do wąwozu, który schodził do wyschniętego kamienistego koryta rzeki. Podczas pory deszczowej, czyli za parę miesięcy, ukrywanie się w tym miejscu oznaczałoby samobójstwo. Po kilku minutach obfitej ulewy potoki wpadające do koryta ze wszystkich stron wypełniłyby je setkami tysięcy galonów wody. Teraz jednak było w miarę bezpiecznie. Po obu stronach wąwozu rozciągały się wysokie, gęste zarośla. U góry niektóre krzewy tworzyły splątany baldachim. Wznosiły się do około dwóch metrów. Court poinstruował Ellen, żeby wjechała autem w zarośla i wyłączyła silnik. Kiedy to zrobiła, rozpalona karoseria brzdęknęła i zaskwierczała.

– Zajrzyj do schowka przy siedzeniu pasażera. Jest tam jakaś woda? – zapytał.

Ellen znalazła tylko torebkę cytrynowych landrynek. Court wygramolił się z auta i przedarł przez zarośla do bagażnika, ale nic tam nie znalazł.

– Dziś damy radę. Rano zdobędziemy wodę.

– To co teraz? – Spojrzała na nieznajomego. Nie widać go było w ciemności. Usłyszała tylko, jak się rusza i kładzie nogi na wąskim siedzeniu.

– Spróbuj zasnąć.

– Jak mam się do ciebie zwracać?

– Poza tobą jestem jedynym człowiekiem w okolicy. Jak coś powiesz, to raczej domyślę się, że mówisz do mnie.

– Fakt – przyznała, choć nie lubiła takich cwaniackich mądrali. Próbowała ułożyć się w jak najwygodniejszej pozycji na siedzeniu. Odwróciła się plecami w stronę drzwi w miejscu pasażera. To tu wjechała riksza, ale w środku nie było widać wgniecenia. Manewr miał na celu znalezienie się praktycznie twarzą w twarz z nieznanym na tylnym siedzeniu, który plecami opierał się o drzwi za kierowcą.

– Jestem Ellen, jakbyś zapomniał.

– Aha.

Milczała chwilę, po czym stwierdziła:

– Nie zamierzasz ze mną rozmawiać.

– Oboje potrzebujemy odpocząć. Jutro nie wyjedziemy stąd tym autem. To zbyt niebezpieczne. Wyjdziemy pieszo na drogę i spróbujemy złapać jakiś wyglądający na bezpieczny pojazd.

– Skąd mamy wiedzieć, że jest bezpieczny, zanim go złapiemy?

Zobaczyła, a raczej domyśliła się, że jej towarzysz wzrusza ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – wyznał.

Znow wyczuła, że próbuje zakończyć rozmowę.

– Czy naprawdę jesteś członkiem załogi Rosoboronexportu?

Brak odpowiedzi.

– Najemnikiem?

Brak odpowiedzi.

– Śpij, Ellen – usłyszała po chwili.

Kobieta westchnęła zirytowana.

– Podaj mi jakieś imię. Możesz je sobie wymyślić, ale wymień jakieś imię, żebym mogła się do ciebie jakoś zwracać.

– Mów do mnie Szóstka – odpowiedział po kilkunastu sekundach.

– Dobry Boże! – westchnęła. – Czy to znaczy, że jest jeszcze pięciu takich jak ty na tym świecie?

– Śpij, Ellen – powtórzył.

Tym razem postanowiła dać mu spokój.

* * *

Już po minucie zdała sobie sprawę, że nie zaśnie. Kto dałby radę odpłynąć w objęcia Morfeusza po takich przeżyciach jak te z ostatniej godziny? Poza tym zatechłe auto było nieprzyjemnym legowiskiem.

- Ej, Szóstka, możemy uchylić okna?
- Nie ma mowy.
- Nie ma mowy? Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć „nie”?
- Nie.

Wyprostowała się na fotelu i przesunęła w stronę mężczyzny.

- Naprawdę nie możemy uchylić okien?
- Nie możemy uchylić okien.
- Dlaczego nie? Tu jest tak strasznie gorąco. Nie ma mowy, żebym zasnęła w tym ukropie.
- Skorpiony, solfugi, pytony, jadowite... – zaczął wyliczać.
- Dobra, wiem! Okna zostaną zamknięte.

Szóstka milczał.

- Czemu po mnie przyjechałeś?
- Nie wiem.
- Wiem, że wiesz. Możesz mi powiedzieć. – Dodała: – Porozmawiaj ze mną, błagam... Boję się, serce wciąż mi wali, nie ma mowy, żebym w takim stanie zasnęła. Potrzebuję tylko kilku minut rozmowy na uspokojenie. Nie musisz mi zdradzać ściśle tajnych sekretów, ale proszę, pomóż mi się uspokoić.

Mężczyzna wciąż milczał i się nie ruszał. W ciemności ledwo widziała zarys jego sylwetki. Ellen nie miała pojęcia, jaki ma wyraz twarzy, czy ma oczy zamknięte, czy otwarte. Pomyślała, że wygląda, jakby zamienił się w słup soli, ale w końcu jej odpowiedział:

- Pojechałem po ciebie, bo to przeze mnie znalazłaś się w tej sytuacji.
- To twoja wina? Jak to?
- Przyjechałem tu wykonać robotę. Ważną. Dobrą. W sumie jestem pewien, że to byś pochwaliła.

Zamilkł. Odniosła wrażenie, że zastanawia się głęboko nad każdym słowem.

- Ale? – spytała.
- Ale wtedy weszłaś mi w drogę. Próbowałem cię z niej usunąć w najłatwiejszy, jak mi się wydawało, sposób. Tyle że nie zadziałało.
- Raczej zadziałało aż za dobrze.
- No właśnie. Nie miałem pojęcia, że pracujesz dla Międzynarodowego Trybunału Karnego. Wziąłem cię za upierdliwą naprawiaczkę świata, która wtyka nos w nie swoje sprawy.

Ellen była wdzięczna, że jej to powiedział. Odniosła wrażenie, że udało jej się uchylić rąbka tajemnicy, zajrzeć pod twardą skorupę, która miała chronić tajemniczego Amerykanina.

– W sumie to całkiem niezły opis mojego stanowiska w MTK – odparła.

Zauważyła, że się poruszył, a pokryta zarostem broda drgnęła. Chyba się uśmiechnął. To było trudne do wyobrażenia.

– Tak czy siak chodziło mi tylko o to, żeby cię unieruchomili do naszego odlotu. Ale wtedy wtrąciła się Narodowa Służba Bezpieczeństwa. A oni by cię zabili.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

– Skąd wiesz?

– Bo znam takich typów. Przede wszystkim bali się o własne tyłki. Zorientowali się, że spieprzyli sprawę, pozwalając ci zbliżyć się do iljuszyna, a znają tylko jeden sposób na wyjście z trudnej sytuacji.

Po tym jak w tak opanowany sposób obwieścił jej, że ledwo uniknęła śmierci, cały ciężar wydarzeń z ostatnich trzech godzin zdawał się spaść na nią w jednej chwili. Ellen zakryła twarz dłońmi. Czuła, jak drżą jej palce. Uszło z niej powietrze. Była zmęczona i obolała. Spojrzała na pogrążonego w ciemności mężczyznę.

– Ja... Ja tylko... – zawahała się, następnie szybko się obróciła, wymacała gorączkowo klamkę sedana i znalazłszy ją, chwyciła kurczowo, a drugą ręką popchnęła pokiereszowane drzwi. Wychyliła się w ciemne, gęste zarośla i zwymiotowała. Po kilkunastu sekundach fala mdłości odeszła, ale ona kasłała i pluła na chaszczce porastające wyschnięte koryto. Nadciągnęła kolejna fala, której się poddała, i znowu zwymiotowała. Nadal się trzęsła, choć nie miała już czego się pozbyć. Splunęła, by oczyścić usta, po czym zaczęła płakać, wciąż z wystawioną na zewnątrz głową.

Siedzący za nią nieznajomy nawet się nie poruszył.

– Prze... Przepraszam... – Tylko tyle była w stanie z siebie wydusić. Poczowała zawstydzienie i zażenowanie.

– Nie przejmuj się – odezwał się niespodziewanie łagodny i czuły głos.

Wytarła usta rękawem bluzki.

– Ja też ciągle rzygam – wyznał.

Po chwili usiadła w samochodzie, zamknęła drzwi i położyła na przednim siedzeniu. Szloch ucichł. Przetarła kilka razy twarz, czując na

sobie spojrzenie małomównego nieznanego, choć nie była nawet pewna, czy ma otwarte oczy. Kiedy już się uspokoiła, pociągnęła nosem i zapytała:

– Myślisz, że wyjdziemy z tego cało?

– Jasne. Jutro o tej porze będziesz już całkiem bezpieczna.

Wydawał się tego całkowicie pewien, co podniosło ją na duchu.

– A ty? – zapytała.

On wzruszył ramionami i odparł:

– Ja żyję z dnia na dzień.

Postanowiła nie drążyć. Nie wiedziała, co dokładnie miał na myśli, ale wyczuła, że lepiej nie pytać. Otarła oczy i zapytała:

– Jesteś żonaty?

– Tak.

Powoli zdjęła dłoń z twarzy i spojrzała w jego stronę.

– Wcale nie. Właśnie mnie okłamałeś.

– Czemu tak twierdzisz?

– Nie wiem, ale jestem pewna, że nie masz żony.

Zobaczyła, że kiwa głową.

– Masz rację. Imponujące.

Wyprostowała się i nachyliła w jego stronę. Jej oczy rozbłysły, jakby grali w jakąś grę.

– Masz dzieci?

– Odmawiam odpowiedzi. – Mężczyzna odprężył się, mówił żartobliwym tonem, ale wciąż miał się na baczności.

– Nie jestem pewna, ale raczej nie masz.

Milczał.

– A mamę, tatę?

– Tatę – odpowiedział tak szybko, że nie mogła mu nie uwierzyć.

– Skąd jesteś?

– Z Michigan. Dokładnie z Detroit.

– Serio? Ja też. To znaczy tam się urodziłam i wychowywałam, zanim moja rodzina wyemigrowała do Kanady. Gdzie chodziłeś do szkoły?

Nastąpiło długie milczenie, a tuż po nim wyznanie:

– No dobra, nie jestem z Michigan.

Ellen zaśmiała się, zaskakując samą siebie głośnym chichotem, jaki rozległ się w ciasnym, gorącym aucie:

– Ha! Ha! Frajer! Ja też nie!

Zauważyła, że mężczyzna znów się uśmiechnął, po czym odparł:

– Jesteś całkiem niezła.

Wciągnęła smarki nosem, uśmiechnęła się szeroko i oznajmiła:

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Na początku kwietnia poranki na Sahelu są gorące i słoneczne. Z godziny na godzinę robi się coraz bardziej upalnie, słońce mocniej praży, a popiskiwanie ptaków i owadów aktywnych w porze suchej stają się z każdą sekundą głośniejsze. W zatechłym wnętrzu sedana zaparkowanego pośród zarośli wąwozu panował ukrop. Gentry zrzucił z nosa stonogę i próbował znowu zasnąć, ale nie mógł. Przetarł oczy i czoło. Uchylił okno. Do środka wpadło świeże powietrze. Odetchnął głęboko. Mimo wszystko udało mu się przespać kilka godzin, choć z przerwami. Jego ciało było przystosowane do nawet najkrótszej drzemki. W świetle poranka przedzierającym się przez gąszcz zarośli próbował zaplanować dzień. Nie miał przy sobie telefonu satelitarnego, więc nawet nie mógł zameldować Sierrze Jeden, co się stało. Nie żeby bardzo mu się do tej rozmowy śpieszyło. Owszem, już lądowanie w Darfurze było wpadką, ale nie była ona niczyją winą. Wynikająca z tego zwłoka była stosunkowo łatwa do nadrobienia. Jednak wszystko to, co miało miejsce potem? Zagrożenie misji od wylądowania w Al-Faszir? Court dobrze wiedział, że to jego wina. Ciąg kolejnych wpadek dosłownie wyprowadził go w krzaki, sprawiając, że operacja CIA pod kryptonimem Szafir Nocy, w której odgrywał kluczową rolę, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

„No i co teraz, Gentry?” Spojrzał na śpiącą kobietę. Bardzo dawno nie był w towarzystwie kobiet, nie licząc kilku sędziwych pielęgniarek we Francji i pewnej asystentki weterynarza z Paryża, której amatorskie zdolności chirurgiczne niewątpliwie ocaliły życie jego oraz tych, których potem, w grudniu, i jemu udało się uratować. To jednak było zupełnie co innego.

Ellen spała kilkadziesiąt centymetrów od niego. Teraz była cicha i spokojna. Miał niewielkie doświadczenie z kobietami, ale wydawała mu się zadowolona. Słyszał, jak w nocy przewracała się z boku na bok. Kilka

razy obudziły go jej przerażone krzyki, ale je ignorował. Nie miał pojęcia, jak jej pomóc. W końcu nie szkolono go, jak podnosić innych na duchu.

Była ładna. W jego wieku. Miała krótkie rudobrazowe włosy, które teraz prawie zakrywały jej twarz. Szanował to, co robiła w strefie wojny, mimo że zazwyczaj nie miał w poważaniu prawników ani organizacji międzynarodowych. Zwłaszcza Międzynarodowy Trybunał Karny wydawał się ludziom pokroju Courta dyletancką bandą osobników z wybujałymi ambicjami, mających zbyt wysokie wykształcenie i zbyt małe doświadczenie życiowe, którzy tak naprawdę nie mieli sił ani możliwości, aby wprowadzać w życie to, co obiecywali. Dla człowieka takiego jak Court, który był i sędzią, i ławą przysięgłych, i katem, MTK wydawał się instytucją niedostosowaną do prawdziwego życia. Ale wobec Ellen niezaprzeczalnie czuł szacunek. Jasne, to, jak wypięła dumnie pierś i obwieściła wszem wobec, że jest śledczą Międzynarodowego Trybunału Karnego, było bezgranicznie durne, ale musiał przyznać, że ma cojones. Była silna i zawzięta, nawet jeśli czasem nie potrafiła trzymać języka za zębami.

Skłamał, mówiąc, że nie zabił tamtych tajniaków, ale uważał, że zrobił to dla jej dobra. Gdy zadała to pytanie, wiedział, że – zwłaszcza w tamtej chwili – nie jest w stanie bez emocji przyjąć prawdy, a tymczasem kluczowe było to, by jechała przed siebie i zachowała spokój. Nie miał wątpliwości, że musiał ich zabić. Mimo że zmienił ubranie i miał twarz owiniętą turbanem, z pewnością zidentyfikowaliby go jako członka załogi iljuszyna, który mówił i po angielsku, i po francusku, i wcześniej krzyczał na tę kobietę. Łut szczęścia sprawił, że Ellen Walsh nie widziała, jak ich zastrzelił. Nie było powodu, żeby teraz obciążać ją tą wiadomością.

Zaczęła się ruszać. Polizała wargi i podrapała się po nosie. Nagle zapragnął wyciągnąć dłoń i odgarnąć włosy z jej twarzy. Uczucie to było silne. Przypominało to, co czuł w pokoju w Nicei, kiedy spoglądał na fiołkę z tabletkami przeciwbólowymi. Wiedział, że nie powinien po nie sięgać, ale pragnął to zrobić. Jednak w przeciwieństwie do sytuacji w Nicei i kilku przypadków później udało mu się powstrzymać chęć wyciągnięcia dłoni do Ellen Walsh.

Poprzedniego wieczoru był zdecydowanie zbyt gadatliwy. Nagle przypomniał sobie, ile jej wypaplał. Wkurzył się. Przecież gadali przez godzinę! Udało jej się z niego wyciągnąć więcej informacji – i to, co gorsza, prawdziwych – niż ktokolwiek to zrobił od bardzo dawna. Rozmowa

w większości dotyczyła jej: opowiadała o swojej rodzinie, przyjaciółach, wrażeniach z pracy w MTK w Holandii, ale te kilka zdań prawdy, które jej zdradził, to było zdecydowanie za dużo. Był pewien, że nie wymknął mu się żaden szczegół misji. Ale wyjawiał jej, że jego rodzice się rozwiedli, gdy był dzieckiem, i że kilka lat temu zmarł jego brat. Sam nie wiedział, czemu jej to powiedział. Stwierdził, że musiała być naprawdę dobrą śledczą. Potrafiła wyciągnąć prawdę z rozmówców, zdobyć ich zaufanie. Sprawić, by im się wydawało, że prowadzą niezobowiązującą rozmowę, gdy tymczasem ona zapewne chłonęła każde słowo, oceniała, wyłapywała to, co nie pasowało, a na podstawie reszty budowała sobie obraz rozmówców, wyobrażając sobie, kim tak naprawdę byli.

I to, co próbowali ukryć.

Ogarnęło go nieodparte i uwierające uczucie, że tej śpiącej tak blisko niego w gorącym aucie kobiecie, od której dzielił go tylko fotel, udało się jakimś cudem wejrzeć głęboko do jego wnętrza, poznać jego historię, jego przeszłość, nawet jego demony, o których myślał, że zdołał zapomnieć.

To było niewygodne, wręcz mdlące uczucie. Wrażenie odsłonięcia, osłabienia, które równocześnie sprawiło, że poczuł dziwną sympatię do tej kobiety. Bliskość, czyli to, co było dla niego zdecydowanie obce. Court długo się w nią wpatrywał. Patrzył, jak oddycha we śnie. Nagle odwrócił się od niej i usiadł.

„Do kurwy nędzy, popraw się, Court! Popraw się natychmiast!” – krzyczał do siebie w myślach. – „Jesteś po kolana w gównie, a wkoło roi się Komanczów! Wracaj, kurwa, do gry!”

W jednej chwili zapalał niechęcią do tej kobiety. Stanowiła dla niego zagrożenie. Była słabością, którą mógł przypłacić życiem. Potrafił tak nagle zmusić się do zmiany nastawienia. Owszem, sprawiało to, że był samotnikiem, ale przynajmniej utrzymywało go przy życiu. Wyszedł z samochodu, nawet nie starając się być cicho. I co z tego, że ją obudzi? Jej sen i wypoczynek to nie jego problem. Wygramolił się z buszu, w którym ukryli samochód, stanął w wąwozie, po czym rozdarł tunikę, którą zabrał riksarzowi poprzedniego wieczoru, odsłaniając brązowy podkoszulek.

Wyciągnął pistolet odebrany dowódcy Narodowej Służby Bezpieczeństwa i przyjrzał mu się uważnie w świetle poranka. To był Bul Cherokee. Stwierdził, że to zabawne, że arabskojęzyczny tajniak nosił pistolet produkcji izraelskiej, tym bardziej ironiczne wydało mu się, że zabił go pocisk z tejże broni. Ten model nie był w pierwszej dziesiątce ulubionych

spluw Courta, ale niewątpliwie przydał się na tych dwóch cholernych zbirów.

Wyszedł z wąwozu i wyjrzał na drogę ciągnącą się pół kilometra przez suche, sponiewierane wiatrem i pokryte piaskiem badyle. Nie dostrzegł żadnego auta. Na zachód droga ciągnęła się płasko, a na wschód, czyli w stronę Al-Faszir, wznosiła się lekko, po czym opadała łagodnie. Ziemia nie była tu zupełnie jałowa. Nie było tu wydm jak na Saharze, ale zdarzały się pojedyncze kępy drzew, akacji czy baobabów. Gdzieś na brązowej popękanej ziemi pojawiały się rozległe połacie traw i krzewów. Ziemia wydawała się twarda jak kamień i nawet od niego surowsza.

Usłyszał, że Ellen wyszła z samochodu. Chwilę zajęło jej zorientowanie się, gdzie jest. Stwierdziła, że Court stoi powyżej, nad wąwozem. Bez słowa pojawiła się u jego boku, bliżej niż mu to odpowiadało, i popatrzyła tam, gdzie on, na szeroką przestrzeń rozciągającą się na wschodzie.

– Coś mi mówi, że nie wypatrzyłeś żadnego starbunia.

Court pokręcił przecząco głową.

– Udało ci się trochę odpocząć?

– Trochę.

– Ja miałam koszmary z piekła rodem. Ale teraz czuję się nieźle. Dzięki, że ze mną wczoraj pogadałeś.

Court milczał.

– Coś mi mówi, że rzadko rozmawiasz. Gadałeś tylko po to, żeby pomóc mi się odprężyć.

Dalej nic.

– W każdym razie... Dzięki.

Court lustrował wzrokiem rozległą przestrzeń przed sobą, usiłując siłą woli skłonić Ellen, aby się odsunęła. Wpatrywał się w drogę w poszukiwaniu pojazdów w otulonej mgłą oddali.

– Czy ktoś przypadkiem nie wstał z ukradzionego auta lewą nogą?

Court zorientował się, że zachowywał się jak dupek. Złość na siebie za to, że był zbyt otwarty poprzedniej nocy, teraz zamienił na żalotne zachowanie niewychowanego buraka. Czuł się z tym jak szczeniak, jeszcze gorzej niż po przebudzeniu. Złagodniał, odwrócił się do niej, choć wciąż nie patrzył jej w oczy, i powiedział:

– A nie, po prostu zastanawiam się nad planem na dzisiaj.

– Gdzie dokładnie jesteśmy? Potrafisz to określić?

– Jakieś dwadzieścia pięć kilometrów za Al-Faszirem. Tylko tyle mogę ci w tej chwili powiedzieć.

– A dokąd zmierzamy?

Court spojrzął ponad ramieniem Ellen. W oddali zobaczył majaczący na zamglonym horyzoncie dymiący obiekt, kilka mil na zachód od nich. Tam, nad płatem ziemi, która w Darfurze uchodziła za drogę, wzbijał się obłok kurzu. Na jego podstawie uznał, że trasą podąża konwój ciężarówek. Nie miał pewności, ale po chwili dostrzegł białą barwę pojazdów. Nie należały do władz Sudanu, nie były to też prywatne tiry. To były ciężarówki jakiejś organizacji pozarządowej.

Wskazał palcem tuman kurzu.

– Jedziemy tam, gdzie oni.

Ellen i Court ruszyli pośpiesznie w stronę drogi. Kanadyjka zaczęła przeczesać palcami włosy. Gentry spojrzął na nią, zdziwiony.

– No co? Nigdy nie zaszkodzi postarać się trochę, żeby zrobić dobre pierwsze wrażenie – powiedziała z uśmiechem, strząsając z siebie piasek i kurz. – Poprosiłabym cię o lusterko, ale podejrzewam, że prędzej znajdzie się tu starbunio niż w twojej kieszeni lusterko.

Courta fascynowało dziwne zachowanie kobiety.

– Słuchaj... – zaczęła Ellen. Zrozumiał, że czuła się niezręcznie. – Co powiesz na to, żebyś ty się najpierw ukrył wśród tych drzew czy gdzieś, a ja ich zatrzymam. To może być nasza jedyna szansa na podwózkę i nie chcę, żeby się wystraszyli...

Court nie miał nic przeciwko temu. Był w końcu niechlujnie wyglądającym białasem ze spluwą wepchniętą za pas. Sama jego obecność tu była podejrzana. Zakładał, że konwój składał się z kontyngentów żołnierzy UNAMID-u, czyli oddziałów Unii Afrykańskiej pracujących dla ONZ-etu, którzy z pewnością zatrzymaliby się dla ładnej białej cudzoziemki stojącej przy drodze. Courta mogliby uznać za zagrożenie. Wiedział, że UNAMID wolał tu z nikim nie walczyć, więc nie chciał ryzykować i ich wystraszyć.

– Jasne, to całkiem niezły pomysł, tylko tego nie spieprz. Jeśli to będzie konieczne, możesz się położyć na ziemi, wszystko, byle się zatrzymali. Tylko nie mów im, że pracujesz dla MTK i że to ty byłaś zamieszana we wczorajsze zajście z tajniakami. Organizacje pozarządowe nie lubią się mieszać w takie rzeczy... Powiedz im...

– Może powiem im, że jestem reporterką, a ty moim fotografem? Że zgubiliśmy się w Al-Faszirze w poszukiwaniu hotelu, obrabowano nas, wywieziono i porzucono przy drodze?

Court już miał odrzucić jej pomysł i zaproponować coś innego, ale się powstrzymał. Zastanowił się i stwierdził, że w sumie jej propozycja była całkiem niezła.

– To może zadziałać. Spróbujmy – powiedział, starając się ukryć podziw.

Gentry zszedł z drogi, przeszedł za skarpę i ukrył się za krzakiem. Ellen natomiast przeszła jakieś pięćdziesiąt metrów, aby zwiększyć między nimi odległość.

* * *

Dziesięć minut później sześćdziesięcioletni Mario Bianchi szedł za Kanadyjką wzdłuż piaszczystej drogi, mijając zatrzymane ciężarówki, po jej kolebę, który, jak twierdziła kobieta, był amerykańskim fotografem. Jego twarz zaatakowały grube muszyska, wielkie jak połowa jednego euro. Zdjął kapelusz i próbował je odpędzić, ale szybko stwierdził, że nie wygra tej walki, i się poddał. Zapowiadał się wyjątkowo upalny dzień. Była dopiero dziewiąta, a termometr wskazywał już trzydzieści siedem stopni Celsjusza. Zależało mu, żeby dojechać z konwojem do Dirry jeszcze przed południem. Już przed tym niespodziewanym postojem mieli opóźnienie.

Włochowi wydawało się, że już widział wszystko, co było do zobaczenia wzdłuż drogi z Al-Fasziru do Dirry. W ciągu ostatnich ośmiu lat zdążył przemierzyć tę studwudziestopięciokilometrową trasę ponad sto razy, najpierw pracując dla organizacji humanitarnej Speranza Internazionale z siedzibą w Rzymie, a następnie przewodnicząc jej. Bianchi zajmował się przewozem personelu i transportem środków z całej Europy do prowadzonych przez tę organizację obozów tuż pod Dirrą. Zdążył przywyknąć do gorąca, smrodu, robactwa, zwierzyny i innego czyhającego przy drodze niebezpieczeństwa. Spotkał na niej pijanych bojowników, przydrożnych rabusiów, patrol sudańskiego wojska, tak zwane służby pokojowe Unii Afrykańskiej i oczywiście oddziały Dżandżawidów. Jednak podczas wszystkich podróży tą marną trasą, którą z trudem można by uznać za drogę, nigdy nie natknął się na anglojęzycznych białasów poruszających się pieszo.

To istne szaleństwo!

W środowisku służb humanitarnych Mario Bianchi cieszył się nieskazitelną reputacją, którą udało mu się utrzymać przez czterdzieści lat pracy na terenie Afryki. Włoch uchodził za człowieka, który zawsze osiągał zamierzony cel, sprawnie radził sobie zarówno na polach minowych, jak i w metaforycznie wybuchowych sytuacjach natury dyplomacji ulicznej. Nieważne, gdzie czy dla kogo pracował, jego konwoje zawsze docierały do celu, jego obozy humanitarne zawsze były budowane zgodnie z planem, jego placówki medyczne zawsze były dobrze zaopatrzone, a jego pracownicy dostawali wynagrodzenie na czas. Udawało mu się to bez widocznych problemów ze strony miejscowych watażków. Wydawało się to cudem, biorąc pod uwagę, gdzie działał i co robił. Sojusz Sił Demokratycznych Laurenta Kabili omijał go szerokim łukiem, szaleńcy ze Zjednoczonego Frontu Narodowego Sierra Leone nie przeszkadzali mu w ewakuacji cywili z ich terytorium, a nawet gang liberyjskich nastolatków z West Side Boys, który mordował kogo popadnie dla rozrywki, praktycznie pozwalał mu na wszystko na opanowanym przez nich terytorium.

W krajach wysoko rozwiniętych dostawał nagrodę za nagrodą. Nie było roku – ba, nie było pory roku – żeby Mario Bianchi ubrany w smoking nie występował w świetle reflektorów przed zachodnim establishmentem, nagradzany przez wytworne towarzystwo entuzjastycznymi brawami. Osiągnął sukces jeszcze wiele lat przed obecną sytuacją w Darfurze, a okropności dziejące się w tym regionie przyciągnęły signora Maria Bianchiego tak jak płomień przyciąga ćmę.

Tu, w Darfurze, jego reputacja zdążyła osiągnąć prawie mityczny wymiar. Kiedy nawet przedstawiciele ONZ-etu bali się przebywać tu bez obstawy, kiedy wszystkie działania prywatnych jednostek humanitarnych zatrzymywały się w Chartumie, zbyt wzburzone i przerażone nieustającą rzezią w Darfurze, żeby tam się udać, konwoje organizacji Speranza Internationale nieugięcie jeździły do tego regionu, a ich obozy dla osób przesiedlonych, kliniki, magazyny i stacje uzdatniania wody bezustannie działały. Oczywiście zdarzały się sporadyczne napady grup Dżandżawidów na lokalnych rebeliantów, ale znacznie mniej niż jakiegokolwiek innej organizacji, która odważyła się otworzyć oddział w Krainie Ludu Fur. Uważano, że osiągnięcia Włocha były wynikiem jego silnej osobowości, że udało mu się jakimś cudem zakłąć afrykańskie diabły, by wydały przyzwolenie na działanie jego organizacji. Ale tak naprawdę było inaczej. Za jakże fałszywą maską naiwnego naprawiacza świata krył się człowiek

cyniczny do szpiku kości. Któż zresztą nie stałby się cynikiem po pół wieku spędzonym na tym kontynencie? Jednak jego cynizm przyjmował formę zimnej, brutalnej Realpolitik, która zdaniem większości ludzi nie powinna mieć miejsca w świecie organizacji pomocy humanitarnej. Prawda była taka, że ogromny sukces Maria Bianchiego wynikał z jednej, często wykonywanej akcji.

Mario smarował.

Smarował obficie.

Smarował wszystkim.

Grupy West Side Boys z Liberii nie przeszkadzały mu dlatego, że płacił im haracz w wysokości dziesiątek tysięcy dolarów. Gdyby mający szlachetne intencje Amerykanie i Europejczycy, którzy wpłacali na konto jego organizacji tak szczodre, dające się odpisać od podatku datki, dowiedzieli się, że były one natychmiast zamieniane na bakszysz, za który czternastoletni liberyjscy strzelcy kupowali gandzię, naboje i pornosy, napływ środków zostałby odcięty. Gdyby też ci wszyscy szlachetni darczyńcy wiedzieli, że kiedy ich pieniędzmi opłacano dostęp do terenów okupowanych przez kongijskie oddziały śmierci, a te natychmiast zażądały haraczu od innych pracujących na ich terenie organizacji pozarządowych, a kiedy NGO-sy, mające jeszcze jakieś skrupuły, odmówiły zapłaty, wszystkie padły ofiarą rzezi, sprawiając, że Speranza Internazionale stała się jedynym graczem we wschodnim Kongo, cóż... zrozumiałe by było, że nie spodobałoby im się, że stali się mimowolnymi fundatorami rzezi.

W Darfurze było tak samo. Amerykańscy celebryci kręcili reklamy w obozach prowadzonych przez włoską firmę, pieniądze spływały, po czym wpływały do band Dżandzawidów, którzy grasowali po całym Darfurze Północnym, gwałcąc, mordując i podpalając to, co napotkali, mając do dyspozycji najlepsze wielbłądy z Czadu i najlepsze kałachy sprowadzone z Egiptu, porozumiewając się za pomocą najlepszych japońskich telefonów satelitarnych kupionych za hojnie podarowane pieniądze Amerykanów i Europejczyków.

Bianchi nie miał problemu z usprawiedliwieniem tego przed samym sobą. Był na miejscu, a to była jego praca. Robił to, co było konieczne. To on odganiał sprzed nosa muchy w czterdziestostopniowym upale na środku kiepskiej drogi w tym piekielnym kraju, a nie jakiś zarozumiały, zasiedziały w skórzanym fotelu bogacz.

Teraz też cynicznie podchodził do sytuacji. Dwójka samotnych amerykańskich dziennikarzy na Sahelu? Jeśli miał być szczery, od razu pożałował, że nie nakazał kierowcom ich zignorować i zostawić białą kobietę na skraju drogi. Samotni strzelcy bez obstawy wojska w Darfurze zawsze oznaczali kłopoty, zwłaszcza jeśli chodzi o interesy Włocha. Musiał pracować z sudańskimi władzami – choć każdy przywódca to dupek – nie przeciwko nim. Nawet podwiezienie tej laski do Dirry było ryzykowne. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jakby jakimś cudem dowiedziało się o tym wojsko, wyciągnęliby konsekwencje, które na pewno oznaczyłyby przerwanie pomocy spływającej do jego placówek. Jasne, mógłby to obejść łapówkami, ale kryzys ekonomiczny świata zachodniego sprawił, że ostatnio było mniej datków, a on przecież nie miał nieograniczonego funduszu łapówkarskiego.

Bianchi dostrzegł stojącego w oddali Amerykanina.

– Gdzie jego aparat? Mówiła pani, że to fotograf.

– To fotograf, ale wczoraj zostaliśmy obrabowani. Ukradli nam samochód, w którym było wszystko. Krążymy tu od ładnych kilku godzin w oczekiwaniu, że jacyś dobrzy ludzie będą tędy przejeżdżać.

– Jesteście dwadzieścia pięć kilometrów od Al-Fasziru.

– No co ja powiem, to nie ja prowadziłam.

Mario nie wątpił w opowieść kobiety. Pomiędzy Al-Faszirem a Dirrą rzeczywiście grasowały bandy rabusiów. W porze deszczowej, kiedy jazda przebiegała wolniej i często trzeba było objeżdżać zalane wąwozy, nawet jego konwoje starały się podróżować pod eskortą UNAMID-u, jako że nie dało się przekupić każdego rolnika czy pasterza, który miał kałacha. O tej porze roku byli jednak w stanie wyprzedzić każdą zagrażającą im bandę ludzi, pominąwszy tych z Dżandżawidu, ale im akurat płacił duży haracz za pozostawienie ich w spokoju.

Włocha od Amerykanina dzieliło już tylko kilka kroków. Nieznajomy rozmawiał właśnie z kilkoma z jego afrykańskich kierowców i robotników, którzy palili na skraju drogi. Amerykanin niczego nie miał przy sobie, nawet plecaka. Ubrany był w jakieś afrykańskie czarne portki i przepocony, brązowy, krótki podkoszulek, który przy każdym ruchu odsłaniał jego gołe plecy. Miał brodę. Był opalony. Skórę na jego twarz pokrywał kurz nawiany z Sahelu. Z miejscowymi rozmawiał po francusku, którzy znali ten język, gdyż mówiono nim tuż za granicą, w Czadzie odległym sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód. Amerykanin odwrócił się do niego

plecami. Kiedy wyciągnął rękę do jednego z jego pracowników, młodego lokalnego załadowcy, Mario zobaczył kolbę pistoletu przy jego prawym boku.

Włochowi opadła szczeka. Nie mógł uwierzyć, że ten typ miał tupet, żeby nosić pistolet. Istny kowboj! A teraz oczekiwał, że uda mu się wskoczyć na jedną z jego ciężarówek i wyjechać w bezpieczne miejsce? Z tym narzędziem szatana wepchniętym w przewiązane sznurkiem gatki nie mógł sprowadzić na nich nic dobrego.

Nie mówiąc do Amerykanina ani słowa, Mario Bianchi zaszedł go gniewnie od tyłu i wyciągnął rękę, by go rozbroić.

Prędko przekonał się, że był to fatalny pomysł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sięgnięcie z nienacka po broń przy pasie człowieka z przeszkoleniem i usposobieniem Gentry'ego być może nie było aż tak niebezpieczne jak wetknięcie łapska w zardzewiałe wnyki na niedźwiedzia, ale jeśli chodzi o zagrożenie, to różnica nie była aż tak wielka. Kiedy tylko Court poczuł dotyk Maria, jeszcze zanim palce Włocha zdołały opleść się wokół kolby jego pistoletu, nim sześćdziesięciodziesięcioletek zaczął w ogóle przymierzać się do wyciągnięcia broni ze spodni amerykańskiego zabójcy, obrócił się w stronę, z której nadciągało zagrożenie. Wykorzystując siłę pędu własnego ciała, wytworzoną podczas obrotu, z niezwykłą mocą i prędkością odepchnął się, sięgając po jego splotkę dłoń. Następnie lewa ręka Gentry'ego powędrowała przed twarz napastnika, a prawa noga za jego nogi. Uderzył mocno w podbródek Maria. Włoch poleciał do tyłu, zahaczył o ustawioną za swoimi stopami nogę Courta, po czym upadł na plecy wprost w chmurę wznieconego podczas tej akcji kurzu. Ruchem tak błyskawicznym, że prawie niezauważalnym, Gentry wyciągnął pistolet i wycelował w leżącego na ziemi Włocha, po czym zlustrował teren w poszukiwaniu kolejnych napastników.

Ellen Walsh, która przyglądała się całemu zajściu z odległości trzech metrów, pobladała z przerażenia.

* * *

Pięć minut później, choć nic nie zostało ani wybaczone, ani zapomniane, Włoch został postawiony na nogi i otrzepany z piasku, na jego głowę wrócił kapelusz. Potrzebował chwili, żeby się uspokoić, siadł więc na stopniu jednego z aut, popijając zimną fantę i paląc papierosa. Obok niego siedziała Ellen, która żarliwie przeproszała bardziej jak dyplomatka niż prawniczka, którą była, czy dziennikarka, którą miała udawać. Court stał samotnie na skraju drogi. Został odtrącony przez wszystkich i to z tak

blahego, jego zdaniem, powodu, że miał czelność wziąć pieprzoną soplę na teren ogarnięty wojną.

– Żadnej broni! Żadnej broni! – Wygrażał mu palcem jeden z afrykańskich kierowców, mężczyzna w średnim wieku, z siwymi włosami, stojący jakieś dziewięć metrów od Amerykanina.

– Mojego pistoletu nie dostaniesz – oznajmił stanowczo Court.

– Żadnej broni! Żadnej broni! – Court słuchał powtarzanych w kółko, jak się wydawało, jedynych znanych przez mężczyznę słów po angielsku. Patrzył, jak bez ustanku macha na niego palcem.

– Powtórz to jeszcze raz, dupku, a... – wkurzył się Court.

Mężczyzna zrobił to, nawet dwukrotnie. Następnie przerwał tyradę i przesunął się na bok, przepuszczając szefa i kobietę. Po ich sposobie chodzenia i zaciekłym spojrzeniu Gentry poznał, że i Ellen, i signor Bianchi wciąż są na niego wściekli.

Amerykanin spojrział na Ellen.

– Nie tyka się czyjejs broni – powiedział.

– Już to mówiłeś, Sześć – odparła wzburzona. – Słuchaj. Ja jadę z nimi do Dirry. Wyświadczą mi tę przysługę i wezmą ciebie, ale wtedy i tylko wtedy, jeśli oddasz pistolet panu Bianchi.

– A na co mu on?

Mario Bianchi postanowił sam odpowiedzieć na to pytanie. Wciąż rozmasowywał kark. Zastanawiał się głośno, czy w klinice w Dirze zostanie dziś jeszcze jakiegoś fizjoterapeutę czy kręgarza.

– Wyrzucę go na pustynię. A pan co zamierzał z nim zrobić? – zapytał gorzko.

Court przewrócił oczami.

– Znalazłbym jakieś zastosowanie.

– Nie potrzebujemy broni w naszym konwoju. Nie szukamy przygód.

Court długą chwilę wpatrywał się w starszego Włocha. W końcu odparł:

– Tylko jest jeden problem z przygodami. Czasem to one cię znajdują.

Bianchi odpowiedział mu równie złowrogim spojrzeniem, w którym było tyle samo pogardy, co w spojrzeniu Amerykanina.

– Z tym pistoletem nie wsiądziesz do mojego auta.

To było niebezpieczne marnowanie czasu i Court doskonale o tym wiedział. W ciągu dziesięciu minut od zatrzymania się konwoju Speranza Internazionale nie przejechał tędy ani jeden samochód. Wiedział, że jeśli chce się stąd wydostać, zanim natknie się na zbójów, wojsko czy tajną

policję, musi się dostosować do postawionego żądania. Z westchnieniem wyjął pistolet. Bianchi wyciągnął rękę, by go wziąć, ale Gentry odwrócił się od Włocha i poszedł w stronę wyschniętego koryta rzeki. Wyjął magazynek, wyrzucił naboje, po czym kopnął je na suche dno. Kilka wpadło w szczeliny wyschniętej ziemi, kilka pozostało na widoku. Opróżnił komorę i rozkręcił broń, wyciągnął zamek i sprężynkę, odmontował lufę. Następnie rzucił wszystko jak najdalej przed siebie.

Ellen podeszła do niego. Mówiła ciszej, widać było, że chce o wszystkim zapomnieć.

– No widzisz. Takie to było trudne?

Court spojrział na rozciągający się przed nimi horyzont i rozdrapał świeży ślad po ugryzieniu pchły piaskowej na nadgarstku.

– Powiem ci za kilka godzin.

Dziesięć minut później Court siedział już na środkowym siedzeniu trzeciego pojazdu w konwoju. Przez przednią szybę widział niewiele poza kurzem wzbijanym przez dwa jadące przed nimi samochody. Ellen jechała na czele kolumny wraz z Mariem. Court podejrzewał, że stary zgred rozdzielił ich głównie po to, żeby popodrywać zakurzoną, ale wciąż atrakcyjną Kanadyjkę. Jego towarzyszami podróży był siwy kierowca Rasid i Biszara, młody załadowca. Biszara mówił zaskakująco dobrze po angielsku, ale z geografii nie był tak dobry – zapytał go, czy pochodzi z tej samej miejscowości co David Beckham. Court odpowiedział, że nie, a potem, przez większość czasu, nie zwracał uwagi na jadących z nim mężczyzn, tylko wyglądał przez okno. Wiedział, że nie byli wolni od NSB. Według słów Maria od Dirry dzieli ich kilka godzin jazdy. Powinni dotrzeć tuż po południu. Plan był taki, że po przyjeździe zawiozą Ellen do prowadzonego przez Speranza Internazionale obozu dla przesiedleńców. Tam będzie mogła załatwić sobie wyjazd czy to helikopterem, czy łodem pod eskortą oddziałów UNAMID-u. Court natomiast zamierzał wynająć auto i kierowcę i wracać do Al-Faszir. Tam powinno mu się udać kupić na czarnym rynku komórkę, zadzwonić do Sida i przekonać go, że winę za to, że nie zdążył na wylot iljuszyna, ponosi załoga, oraz wyjaśnić, że on tylko łagodził sytuację po tym, jak pilot smażył cholewki do laski z Międzynarodowego Trybunału Karnego. Chciał skłonić Sidorenkę, by znalazł mu inny sposób na wydostanie się z miasta. Jeśli udałoby mu się to zrobić w półtora dnia, zdążyłby jeszcze do Sawakinu i zdołałby wykonać powierzona mu misję.

Może miał jeszcze szansę, ale na styk. Miał nadzieję, że nie czekało go więcej niemiłych niespodzianek.

Court sączył letnią wodę z butelki, którą dostał od Bizary. Przed otwarciem upewnił się, że jest szczelnie zamknięta i nie została ponownie napełniona kranową. Mężczyźni słuchali koszarnej muzyki ze słabo odbierającego tranzystora, który wisiał tuż nad głową Gentry'ego na uchwycie otwierającym rozsuwane drzwi do naczepy. Komunikacja radiowa pomiędzy ciężarówkami była zagłuszana wyciem jakiejś kobiety i wtórującego jej Bizary. Młodzieniec przez chwilę śpiewał sam, ale po chwili Rasid zaśmiał się i dołączył do niego. Śpiewali piosenkę za piosenką. Court żałował, że nie ma przy sobie pistoletu. Wolałby łapać samotnie stopa przy drodze, niż słuchać tego zawodzenia.

Bizara przerywał pieśń tylko wtedy, gdy próbował wypytywać Courta o różnych amerykańskich hip-hopowców. Gray Man nie był jednak skarbnicą wiedzy na ten temat, więc wciąż ignorował zagadywanie młodzieńca, a ten szybko wracał do śpiewania.

Raz na jakiś czas w pokładowej krótkofalówce odzywał się po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem głos Maria Bianchiego, który komunikował coś kierowcom w konwoju. A to żeby uważać na splątane korzenie leżącego przy drodze zeschłego baobabu, które oderwały się i zostały wywiane na drogę, a to że zbliżają się do wadi, przez który trzeba ostrożnie manewrować, a to że muszą się zatrzymać i poczekać, aż jakiś ranny wielbłąd przekuśtyka na drugą stronę drogi.

Court czułby się znacznie bezpieczniej, gdyby konwój jechał pod uzbrojoną eskortą.

– Dlaczego nie jadą z wami żołnierze UNAMID-u? – spytał Bizary.

Młodzieniec wzruszył ramionami, podrygując do podłego akompaniamentu.

– Darfur jest wielkości waszego amerykańskiego Teksasu, a w całym regionie jest tylko dziesięć tysięcy żołnierzy UNAMID-u. Większość z nich jest przy obozach. Niewielu zostaje, nie mogą chronić byle konwoju – wyjaśnił, po czym się uśmiechnął. – Poza tym nie potrzebujemy ich. Wszyscy wiedzą, że Dżandza nas nie atakuje.

Court spojrział zdziwiony na chłopaka.

– A to dlaczego?

– Bo pan Mario to ich przyjaciel.

Court spojrział przez okno na unoszący się wszechobecny pył.

– Super.

* * *

Court nawet nie zwrócił uwagi, że Bianchi przez dłuższy czas nic nie powiedział przez radio. I tak ledwo co słyszał przez to karaoke w zatęchłej kabinie. Kiedy jednak melodyjny głos Włocha w końcu się rozległ, Court natychmiast się wyprostował. Ton tej transmisji był inny niż wcześniejszych. Amerykanin od razu zwrócił uwagę na jego rytm i nagle trzymanie się krótkofalowego protokołu. Wyciągnął rękę i szybko pogłosił odbiornik.

– Hallo, obóz Dirra, tu konwój SI, auto jeden, odbiór.

Court uciszył śpiewaków, po czym wyciągnął rękę i wyłączył tranzystor.

– Słucham, auto jeden, odbiór – rozległ się kobiecy głos. Australijka.

– Margie... – Głos Bianchiego wydawał się oficjalny i poważny. Court od ponad dekady uczył się wsłuchiwać w rytm wypowiedzi. Jeszcze zanim Włoch się odezwał, wiedział, że szykują się kłopoty. – Odebraliśmy kobietę, która twierdzi, że jest śledczą Międzynarodowego Trybunału Karnego. Jest w towarzystwie kolegi. Mogłabyś skontaktować się z jej oddziałem w Chartumie i to potwierdzić? Jeśli jest tą osobą, za którą się podaje, trzeba będzie wysłać helikopter...

– Cholera jasna! – krzyknął Court. Jego towarzysze popatrzyli na niego, ale nic nie powiedzieli.

Court zdał sobie sprawę, że te komunikaty zostaną na pewno wyłapane przez Narodową Służbę Bezpieczeństwa, która choć nie należała do najbardziej wyrafinowanych agencji wywiadowczych, na pewno zorientuje się, że autostopowicze zabrani przez konwój SI to ci sami ludzie, którzy poprzedniego wieczoru zabili dwóch ich agentów i wysadzili w powietrze riksę przed Domem Duchów.

„Pieprzona papuga” – pomyślał Gentry i od razu sam siebie złajał.

Wiedział, że Ellen nie miała powodu, żeby ufać mu bardziej niż Bianchiemu. Musiała poczuć się bezpiecznie z szefem organizacji humanitarnej i podzieliła się z nim, że czuje się zagrożona. Było to zrozumiałe, co nie zmienia faktu, że być może wywoła tragedię.

Gentry zaczął głowić się gorączkowo, co dalej. Jakie było realne prawdopodobieństwo, że NSB wychwyciło tę transmisję? Czy mogli połączyć wszystkie fakty? Czy są w stanie zmobilizować siły w regionie i albo przejąć konwój po drodze, albo czekać pod obozem w Dirze?

A gdyby im się to nie udało, to jakie jest prawdopodobieństwo, że zdołają minąć straż UNAMID-u i porwać Ellen z obozu?

Court wyjrzał na rozpaloną mgłę unoszącego się pyłu. W myślach strofował siebie, mobilizując się do działania:

„Myśl! No myśl, Gentry! Co oni zrobią?”

Niełatwo przychodziło mu wczuć się w proces myślowy przywództwa sudańskiego wywiadu. Na pewno nie mogli pozwolić, żeby Ellen, ot tak, weszła do obozu, bo obawiali się, czy też raczej mieli pewność, że wyjawi informacje o nieprzestrzeganiu przez Sudan międzynarodowych sankcji. Na pewno nie będą czekać, żeby siły pokojowe dołączyły do konwoju. Obstawa UNAMID-u sprawiłaby, że NSB nie miałyby przewagi – nieważne, że strzelcom z tej pierwszej organizacji nie spieszyło się, by korzystać z broni.

„Nie” – pomyślał Court. – „Gdyby to on dowodził w NSB, starałby się uderzyć jak najszybciej, tutaj, na otwartym terenie. Wybić cały, niewielki zresztą, konwój, aby zatuszować, że właściwym celem była babka z MTK”.

Analiza wszystkich możliwości zajęła mu mniej niż minutę. Jego umysł pracował szybko, przyzwyczajony do niebezpieczeństw, walki, intryg, spisków i zagrożenia. NSB mogło sprowadzić jakiś prorządowy pluton w dość krótkim czasie, by przejąć konwój, ale było to mało prawdopodobne, gdyż znajdowali się zaledwie kilka godzin od celu podróży. Uznał, że służby bezpieczeństwa prędzej skorzystają z usług innej organizacji, z którą mają dobre układy i którą kontrolują, a ona jest chętna i gotowa, żeby wykonać brudną robotę.

„O, nie... Wszystko, tylko nie te dupki” – pomyślał.

Gentry uświadomił sobie, że widzi tylko jedno, fatalne, rozwiązanie. Pokiwał głową. Napiął zawzięcie mięśnie żuchwy, po czym spojrzał na Biszarę.

– Podaj mapę.

Biszara, śmiejąc się, pogrzebał w walających się pod stopami papierach.

– Po kie licho ci mapa? Tu jest tylko jedna droga. Nie ma jak tu się zgubić, stary! – W końcu jednak znalazł złożoną mapę, którą Gentry wziął od niego i zaczął uważnie studiować. Teren był raczej łagodny, ale po drodze do Dirry znajdowało się kilka miejsc, które ze względu na krajobraz mogły okazać się bardzo niebezpieczne – między innymi płytkie rozpadliny i wąskie doliny. Każde było idealne na zasadzkę.

– Słuchaj, młody... Zostaniemy zaatakowani. Tutaj, w drodze.

Lśniące brązowe oczy Biszary zrobiły się nagle wielkie.

– Zaatakowani? Przez kogo?

Court spojrział nad głową młodego Darfurczyka na rozciągający się w nieskończoność krajobraz. Na południu teren trochę się wznosił. W oddali, pomiędzy wyschniętymi wzgórzami, można było dostrzec grube, rozłożyste akacje wielkości ciężarówek.

– Dżandżawidzi – Court mówił głośno i stanowczo, ale jego ton zdradzał zdenerwowanie.

Młodzieniec przechylił głowę. Machnął ręką, jakby odganiał muchę:

– Eee, stary.

Gentry zwrócił się do kierowcy:

– Broń. Potrzebuję twojej broni.

Biszara odpowiedział za starszego kolebę, który nie znał angielskiego.

– Ale my nie mamy żadnej broni, stary.

– Nie gadaj! Wiem, że musicie mieć coś na wypadek napaści Dżandżów. Nie pracuję dla ONZ-etu, nie doniosę. Napadną nas, muszę mieć twojego kałacha, żeby nas obronić.

– Ale ja mówię, że nic nie mamy! A Dżandżawidzi nas nie zatrzymają. My jesteśmy Speranza Internationale!

– Dziś to naprawdę nie ma znaczenia – odparł Court. Pomyślał o możliwych opcjach. Mógłby wziąć krótkofalówkę, zadzwonić do Bianchiego i kazać mu zatrzymać konwój. Mógłby mu wyjawic, jak wielkie niebezpieczeństwo sprowadził na wszystkich, kazać mu wyłączyć radio i wracać do Al-Fasziru.

Sęk w tym, że ten plan miał za dużo zmiennych. A jeśli Bianchi go nie posłucha? Jeśli tajniacy lub wojsko, starając się ich dogonić, już pędzą w ich kierunku tą samą drogą? W tym wypadku zatrzymanie się na pogawędkę czy po to, żeby zawrócić, byłoby tym bardziej niebezpieczne. Nie, najlepszym wyjściem jest jazda dalej, trzeba jak najbardziej się zbliżyć do w miarę bezpiecznego obozu dla przesiedlonych pod Dirrą, zanim bojownicy przybędą ze wzgórz.

Była jeszcze nadzieja, ale Gray Man nie zamierzał trzymać rąk w kieszeniach i liczyć na to, że im się uda. Teraz próbował myśleć jak dowódca uzbrojonej bandy jeźdźców pustyni. Co by zrobił na jego miejscu? Naprawdę nie miał pojęcia. Owszem, Gentry był szkolony w zakresie taktyki i strategii działania małych oddziałów. Ale nie, kurwa, na koniach! To było dla niego coś zupełnie nowego i nieznanego. Próbował

przypomnieć sobie filmy z Johnem Wayne'em, które tak często oglądali z ojcem i bratem, gdy był mały, licząc, że przypomni mu się jakaś ich strategia, ale wiedział, że nic mu to nie da. The Duke nie znalazłby się na terenie pełnym Indian bez powtarzalnego, dźwigniowego winchestera, tak więc trudno było zaadaptować realia starych westernów do jego obecnych tarapatów.

Court przestał głowić się nad tym, jakiej taktyki użyją napastnicy. To nie była sytuacja Indianie kontra kawaleria. To byli Dżandżawidzi kontra NGO. Ci jeźdźcy niekoniecznie będą szukać odpowiedniego wzniesienia ani ustawiać się na najlepszych z punktu widzenia strategii wojskowej pozycjach. Zaatakują przecież bezbronny konwój. Mogą na nich wyskoczyć właściwie wszędzie i w każdej chwili.

Z tego, co słyszał o Dżandżawidach, wynikało, że z reguły nie napadają na konwoje ONZ ani na inne. Ich oddziały zazwyczaj łupiły wioski, paliły chaty, dokonywały gwałtów i rzezi okolicznych mieszkańców. No a potem szabrowały. Tak! Szaber! Nie będą chcieli rozwalać ciężarówek, będą chcieli ukraść, co tylko się da.

Court wreszcie był w stanie wyobrazić sobie czekającą go akcję. Zapewne najpierw zatrzymają ciężarówki, każą wszystkim wysiąść, dopiero potem dokonają rzezi.

Dawno temu w Harvey Point instruktorzy CIA szkolili Courta, jak walczyć w każdych okolicznościach. Nikt jednak nie uczył go, jak zapobiec masowej egzekucji, kiedy się nie ma broni. Odwrócił się w stronę wejścia do przegrody z cargo.

– Co tam wieziecie? – spytał Biszarę, który zdawał się zaniepokojony przeświadczeniem Amerykanina, że wpadną w jakąś zasadzkę.

– Nic, stary. Żadnej broni. Dlaczego twierdzisz, że Dżandża...

– Jaki towar? – spytał Court, tym razem dobitniej.

– A tylko takie tam rzeczy do obozu. Łóżka, radia, lampy, biurka, wszelakie gówno do biura i mieszkań. A! I sprzęt do budowy nowej wieży ciśnień. Dlaczego twierdzisz, że Dżandża...

– No to popatrzmy. – Court obrócił się, po czym odsunął niewielką przegrodę oddzielającą kabinę od wielkiej przestrzeni na towar. Było tylko tyle wolnego miejsca, żeby się precyzyjnie, wspiąć na bagaże, worki ze zbożem i jakąś metalową konstrukcję. Po chwili był już na stercie cargo.

– Podaj mi latarkę! – krzyknął do chłopaka, który wystawił głowę z kabiny.

– Co podać? – zapytał Biszara.

Court przeklął brytyjską odmianę angielskiego i usiłował przypomnieć sobie, jak to jest po „nieamerykańsku”. W końcu porozumiał się z Biszarą, używając słowa, którym on sam określiłby pochodnię. Po minucie Biszara i Gentry siedzieli na ładunku. Niewiele dzieliło ich od sufitu. Temperatura pewnie przekraczała tu czterdzieści pięć stopni Celsjusza. Gdyby nie latarka, nic by nie widzieli. Na każdej nierówności terenu podskakiwali. Kierowca zapewne zastanawiał się, co tam robią, ale jechał dalej jak gdyby nigdy nic.

– Dlaczego myślisz, że napadną nas Dżandża? – Młodemu Darfurczykowi w końcu udało się dokończyć pytanie.

Court grzebał w pudłach i workach, rzucając za siebie kolejne znaleziska. Biszara świecił mu latarką.

– Bo Narodowa Służba Bezpieczeństwa szuka tej białej kobiety. Chcą ją zabić. A transmisja Bianchiego dała im znać, gdzie nas znajdują. Stwierdziłem, że NSB nie ma tu w okolicy dość oddziałów i dlatego posłuży się Dżandżawidami. Może jak nas dopadną, to zabiją tylko mnie i Kanadyjkę, ale niewykluczone, że pozabijają wszystkich, żeby nie wyszło na jaw, dla kogo pracują – tłumaczył Gentry.

Biszara pokiwał głową. Doskonale rozumiał tok myślenia tego nerwowego Amerykanina.

– No to co ja mogę zrobić?

– Musimy być zgranym zespołem. Jak będziemy współpracować, to może uda się nam uratować siebie i przynajmniej część pozostałych. Rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową.

– Ten kierowca. Rasid... Ufasz mu?

Biszara wzruszył ramionami.

– Ja jestem Beri, inni na nas mówią Zaghawa. On jest z plemienia Masalit. Ale to dobry człowiek. Powiem mu, żeby robił, co każesz – zapewnił i dodał: – To co robimy?

– Najpierw módlmy się, że się mylę.

Chłopak pokręcił głową.

– My tu się zawsze modlimy. Ale Dżandża i tak najeżdżają i nas zabijają.

Court wciąż przeszukiwał towar. Udało mu się wygrzebać ze sterty kartonów zapalniczkę i budzik mechaniczny. Chwycił rolkę grubych worków na śmieci i obejrzał ją w świetle latarki. Szukał dalej. Znalazł worki z mąką i małe puszkę z olejem kuchennym. Odsunął koszyk

wypełniony odzieżą i wziął od młodego załadowcy latarkę, kierując światło na wielki drewniany kontener stojący na dole sterty. Udało mu się otworzyć pokrywę. W środku znalazł sprzęt spawalniczy, palnik acetylenowo-tlenowy, kask spawalniczy, żelazne okucia i zapalnik.

Court spojrzał na Biszarę.

– Jeśli po nas przyjdą, będziemy walczyć – powiedział.

– Panie Amerykaninie... Ja znam Dżandżawidów. Oni zniszczyli moją wioskę, zgwałcili dwie siostry. Jedną zabili, drugą oszczędzili, ale po tym wszystkim straciła rozum. Ojca też zamordowali. Zostałem tylko ja i mama, która jest teraz w obozie w Dirze. Jeśli przyjdą zabijać, to nic nie będziemy mogli zrobić. Mają broń, wielbłądy, konie... Jak się zjawia, to wszyscy zginiemy.

Court pokręcił głową.

– Damy radę. To zabójcy, ale i tchórze. Oni nie przyjeżdżają walczyć, tylko mordować. Utrudnimy im zabawę. Porozbijamy im nosy. Może nawet kilku zabijemy, a oni wezmą nogi za pas, uciekną. Uwierz mi, nie uśmiecha im się bitwa. To faceci, którzy dla zabawy zabijają kobiety i dzieci. Damy im radę.

– To nieważne, że to nie są prawdziwi żołnierze! Oni mają broń! A my nie mamy nic, czym moglibyśmy ich powstrzymać.

– A właśnie, że mamy.

– Niby co?

– Mamy mnie.

Chłopak otworzył szeroko oczy.

– Oj, stary, jesteś niezłe rąbnięty – powiedział, a jego twarz rozjaśnił uśmiech.

To, że uśmiechał się w takiej sytuacji, oznaczało, że Biszara też był trochę rąbnięty. Court od razu poznał, że z młodym będą się dogadywać.

– A co jest w innych ciężarówkach?

– Yyyy... W pierwszej głównie żarcie. Takie dla pracowników, nie tylko mąka dla samego obozu. I sprzęt do naprawy studni...

– Nieważne. A w tej tuż przed nami?

– Tam są zwoje płótna, woda, generatory, w sumie sześć małych generatorów dla obozu. I jakaś pompa czy jak to się nazywa, taka do studni.

Dominująca część mózgu Gentry'ego odpowiedzialna za myślenie taktyczne pracowała zbyt szybko, żeby reszta umysłu mogła za nią

nadażyć.

– To na nic. No dobra. A w tej za nami?

– Hmm. – Biszara pomyślał przez chwilę. – Sprzęt. Narzędzia różnego rodzaju, drewno, gwoździe, deski na nową latrynę. A, i gaz do tych generatorów.

Court skierował latarkę na chłopaka z ludu Fur.

– Gaz?

– Aha.

Gray Man przechylił głowę i zapytał:

– Ile macie tego gazu?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Bianchi zdziwił się, zobaczywszy mężczyzn blokujących przed nimi drogę. Było ich co najmniej dwunastu. Część siedziała na wielkich, siwych koniach jabłkowitych, inni na jeszcze wyższych, ogromnych jasnobrązowych lub czekoladowych wielbłądach. Mieli karabiny przewieszane na piersiach lub u boków, na głowach różnobarwne turbany, które zasłaniały im nie tylko włosy, ale także twarze. Większość była w okularach przeciwsłonecznych, niektórzy w niepasujących strojach maskujących. Kilku miało na nogach buty w wojskowym stylu, inni po prostu sandały. Niektórzy byli w zarzuconych na ciała długich trenczach, inni tylko w pełnych naboju kamizelkach.

To właśnie byli Dżandżawidzi. Żli jeźdźcy. Nazwani tak od arabskich słów „zło” i „koń”. Czarni Arabowie, jak na nich mówiono, pierwotnie wybierani spośród najlepszych jeźdźców Sudanu, czyli hodowców bydła lub wielbłądów. Teraz każdy arabskojęzyczny wieśniak dysponujący koniem, wielbłądem albo w rzadkich przypadkach pikapem mógł dołączyć do finansowanej przez rząd bojówki paramilitarnej, która od ośmiu lat siała postrach wśród niemuzułmańskiej ludności zachodniego Sudanu, zabijając setki tysięcy, wyganiając miliony, gwałcąc, okaleczając i terroryzując rzesze ludzi.

Jeśli na tym świecie istniało zło – a kto mógł temu zaprzeczyć – to Dżandżawidzi na pewno byli jego gwardią przyboczną.

Ale Mario Bianchi się ich nie bał. On ich znał.

Tak się złożyło, że to on zainwestował w to zło.

Włoch był zirytowany, że kolejny raz ktoś go zatrzymuje po drodze, ale nie czuł strachu. Wraz z przywódcami zebranych tu mężczyzn doszedł do porozumienia, na którego mocy pozwalano mu bez przeszkód przemierzać ten pustynny szlak. Z rzadka zdarzało się, że zatrzymywała go jakaś pomniejsza banda. Nie byli nawet niegrzeczni. Po prostu nakazywali mu wyjść z ciężarówki, a jego afrykańskich pracowników brutalnie wyciągali

z pojazdów. Mario jednak wiedział, że wystarczyło porozmawiać z dowódcą grupy, rzucić kilka ważniejszych nazwisk, a nawet zaoferować możliwość skorzystania z telefonu satelitarne, jeśli niższy rangą rzeźmieszek chciał zadzwonić do szefostwa i potwierdzić istnienie umowy.

Zawsze to wystarczało.

Bianchi nakazał kierowcy, aby się zatrzymał. Spojrzał na Kanadyjkę, której szeroko otwarte oczy utkwione były w stojących przed nimi mężczyzn.

– To żaden problem. Znam ich przywódcę. Nie ma się czego bać – powiedział, po czym z uśmiechem pogłaskał ją po policzku.

– Hej, Biszara? – krzyknął z tyłu ciężarówka Court. Trzymał w ręku wielofunkcyjny żeliwno-drewniany przyrząd. Właśnie jedną jego stroną wyposażoną w młotek zbijał ramę z sosnowych słupków. Z drugiej strony znajdowała się ostra siekierka, z boku sterczał hak łożu.

– Dlaczego się zatrzymujemy?

– Jacyś faceci stoją na drodze! – odkrzyknął Biszara.

Court ledwo go słyszał. Zakopał się niczym kret w stercie sprzętu i bagażu. Jego słuch i możliwość poruszania się ograniczały worki, walizki i zgrzewki butelek z wodą, a do tego wielkie zwoje plandeki. Pot spływał mu po włosach wprost do uszu i oczu. W tej klaustrofobicznej ciemnicy trudno było nawet wziąć głębszy oddech. Przez chwilę Biszara mu pomagał, ale kręcenie się tam we dwóch bardziej przeszkadzało, niż pomagało. Po tym, jak kolejny raz zaklinowali się, każdy hamując ruchy drugiego, Gentry wysłał chłopaka do przodu z instrukcjami dla kierowcy i sam próbował używać jednocześnie latarki i młotka, ale w końcu się poddał. Walenie młotkiem w całkowitej ciemności sprawiło, że uderzał się w kciuk i przedramię średnio cztery razy na pięć minut, ale to, że nie musiał trzymać latarki, przyspieszyło pracę. I tak źle, i tak niedobrze.

Po dłuższej chwili Biszara odkrzyknął:

– To Dżandżawidzi!

– Kurwa – mruknął pod nosem Gentry. Przestał uderzać młotkiem, chwycił latarkę i zaczął wdrapywać się z powrotem na stertę cargo. Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Ogarniał swój plan, ale tylko jeśli chodzi o teorię, w praktyce nigdy nie konstruował czegoś takiego. A praca w pośpiechu i do tego prawie po ciemku to był istny koszmar. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak. I to do tego stopnia, że tylko daleko idąca ostrożność mogła załagodzić albo nawet wyeliminować istotne niebezpieczeństwa, aby

jedynym poważnym zagrożeniem był już tylko projekt Courta. Nie bał się, że to może nie zadziałać. Raczej spodziewał się, że zadziała zdecydowanie zbyt dobrze.

Court obawiał się, że jego pomysł okaże się wręcz dosłownie zbyt wybuchowy.

Acetylen, czyli etyn, oraz tlen – dwa główne składniki palnika spawalniczego – w odpowiedniej mieszance i w przestrzeni zamkniętej są wyjątkowo łatwopalne. Court wystawił dwie wielkie butle i napełnił sześć czterdziestogalonowych mocnych worków tą mieszanką, zawiązał je mocno jak balony, a następnie ustawił na górze cargo tak, że wypełniały praktycznie całe pozostałe z tyłu ciężarówki miejsce. Następnie, wykorzystując budzik, zapalniczkę i zwoje taśmy klejącej, zdołał skonstruować staroświecki detonator. Przed wypełnieniem worków gazem dwukrotnie sprawdził, że młotek zegarka da radę uruchomić spłonkę, która wywoła ogień butanu.

Zależało mu przede wszystkim na spowodowaniu wielkiego bum – miał być wielki błysk, dużo hałasu, ale niewiele odłamków, bo nie chciał zabić siebie, Ellen Walsh oraz reszty konwoju Speranza Internazionale. Nie, celem manewru było stworzenie dywersji, wielkogabarytowego granatu hukowo-błyskowego. Aby osiągnąć ten efekt, umieścił wypełnione gazem worki na stercie towaru – miał nadzieję, że góra ciężarówki wystrzeli, ale reszta cargo nie zostanie wyrzucona jak fajerwerki. Nie chciał też, żeby zapalił się potężny zbiornik paliwa, bo wtedy powstałaby bomba, która z łatwością zlikwidowałaby wszystkich. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czy ta konstrukcja wstrząsowa wielkości ciężarówki zadziała zgodnie z jego planem – było wiele zmiennych – ale nie miał wyboru, trzeba było spróbować.

Zdołał też przygotować drugie stadium planowanej dywersji. Założył, że kilka sekund zaskoczenia wroga może nie wystarczyć, aby udało mu się zdobyć jakąkolwiek przewagę. Tak więc w pocie czoła wciągnął butlę z acetylenem na szczyt towaru, ułożył ją tuż przy przesuwanych drzwiach, z dyszą w stronę worków, a dnem w stronę drzwi. Następnie skierował ją lekko w dół, po czym obudował prowizoryczną drewnianą klatkę – w gruncie rzeczy były to szyny zamocowane od góry i od dołu, na których butla mogłaby się poruszać jak rakieta na wyrzutniku. Kiedy ciężarówka już się zatrzymała, uchylił lekko dyszę i zaczął wycofywać się z części bagażowej, przesuwając po drodze worki i kontenery. Na końcu części na

cargo ustawił budzik, sprawdził kilka razy, czy zapalniczka działa, a młoteczek zegara dosięgnie kółka trącego, po czym zostawił detonator przy jednej z bomb. Wszedł w końcu do kabiny ciężarówki spocony i wyczerpany w chwili, kiedy kierowca cofał pojazd i wyłączał silnik.

Do okna od strony kierowcy podjechał konno mężczyzna w turbanie i wyszczał rozkaz, po którym kierowca otworzył drzwi. Jeździec smagnął Rasida ciężkim plecionym batem, po czym ruszył do ostatniej ciężarówki, aby poznać się nad kolejnym kierowcą.

Gentry wyszedł za Rasidem i wyprowadził Biszarę z kabiny. W tej chwili obawiał się właśnie skonstruowanego ustrojstwa i otaczających go bojowników.

* * *

Bianchi wysiadł z pierwszej ciężarówki, a Dżandżawidzi powoli otaczali cały konwój. Połowa zeszła z koni i ciągnęła je za lonże, wymachując trzymanymi w wolnych rękach karabinami. Druga połowa jeźdźców, być może starszych rangą, pozostała w siodłach i okrążała cztery pojazdy na rozgrzanej drodze.

Bianchi poznał dowódcę po postawie i ciężkim naszyjniku z amuletów wiszącym ponad magazynkami do karabinu na jego piersi. Brązowe gliniane koraliki o kwadratowym kształcie mieli wprawdzie i inni, były bowiem wśród nich popularne, ale Włoch zauważył, że najwięcej amuletów ma mężczyzna dosiadający największego wielbłąda ubrany, jak się zdawało, w najnowszy strój do kamuflażu i mający najdłuższą brodę. Naszyjnik zapewne został poświęcony przez jakiegoś świętego mędrca. Miał odstraszać naboje. Bianchi zwrócił się do niego uprzejmie jak do dowódcy.

– Salam alejkum – powiedział, kładąc dłoń na pierś na znak pokoju.

– Wa alejkum salam – odpowiedział brodac, kiwając lekko głową. Siedział na olbrzymim wielbłądzie, tak że jego głowa znajdowała się trzy metry nad ziemią. Nie wykonał żadnego gestu pokoju.

Bianchi zwrócił się do niego po arabsku:

– Bracie, dlaczego nas zatrzymujecie? Dowódca Ibrahim to mój przyjaciel. Zawsze pozwala nam jechać do Dirry.

Mężczyzna spojrział na Włocha z góry. Następnie rzucił okiem na ludzi wyprowadzanych z ciężarówek na skraj drogi. Bianchi podążył za jego wzrokiem, upewniając się, że wszystko jest w porządku i nikogo nie

brakuje. Zobaczył czterech kierowców i czterech załadowców, Kanadyjkę, która wciąż miała przerażony wyraz twarzy, i Amerykanina. Jankeś był spocony. Jego włosy lepiły się do czoła. Głowę miał pochyloną jak do modlitwy. Bianchi przyglądał mu się z pogardą. Taki był z niego cwaniaczek, jak miał pistolet i kłócił się ze staruszką. Teraz, otoczony przez bojowników z krwi i kości, wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

Tuż przed tym, jak Mario Bianchi miał skierować wzrok z powrotem na dowódcę, zauważył, że Amerykanin szybko zerknął na zegarek. Włochowi wydawało się to dziwaczne, zwłaszcza w tej sytuacji. Natychmiast wrócił do tłumaczenia temu wyraźnie niedoinformowanemu człowiekowi na wielbłądzie, w jakich to jest przyjaznych relacjach z Dżandżawidami.

* * *

– Oj, nie będzie miło – mruknął Court pod nosem. Bynajmniej nie miał na myśli bandytów na koniach, tylko to, nad czym pracował przez ostatnie trzydzieści pięć minut. Życie jego i pozostałych członków konwoju znajdowało się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i to nie tylko z powodu tych narwańców na śmierdzących koniach i zapchlonych wielbłądach. Biszara podszedł do Courta i położył mu dłoń na plecach.

– Czy to zadziała? – szepnął.

Court zwrócił się do chłopaka.

– Nie wiem, czy zadziała. Ale na pewno wybuchnie. – Ton i wyraz twarzy Gentry'ego zdradzały, że są w poważnym niebezpieczeństwie.

Gray Man widział, że młody Biszara doskonale go rozumie.

– Powodzenia, stary.

– Powodzenia, młody. – Kiwnął głową Court.

Chciał porozmawiać z Ellen, ostrzec ją przed tym, co zaraz miało nastąpić, ale była daleko z resztą personelu SI, w zwartej grupie. Wiedział, że nawet jeśli udałoby mu się do niej zbliżyć, i tak nie mógłby jej nic powiedzieć. Gdyby mówił po angielsku, ktoś z tej bandy by go zrozumiał. Drugim językiem, jakiego mógł użyć, choć władał nim słabo, był arabski, ale z wiadomych względów nie wchodził w grę. Mimo to zrobił, co w jego mocy, żeby do niej podejść. Znalazła się tuż przy Bianchim, który stał przy wielbłądzie dowódcy. Court przeszedł koło Włocha. Nie było to trudne, bo i tak zbierano ich wszystkich w jedno miejsce. Znajdowali się piętnaście metrów od ciężarówki numer trzy, czyli naprędce skleconego instrumentu

dywersji. Robił wszystko, żeby odciągnąć personel SI trochę dalej, ale zbiry wciąż przywoływały ich z powrotem. Stali ciasno na piaszczystej drodze w kole. Widać było, że się boją. Wpatrywali się w siedzącego na wielbłądzie dowódcę i mężczyznę na koniu z granatnikiem przeciwpancernym przy siodle. Obaj z pomocą rozwścieczonych zwierząt zaganiali w coraz ciasniejszy krąg członków konwoju. Ellen przybliżyła się do Courta.

– Czy oni są tu dlatego, że powiedziałam Bianchiemu, kim jestem? – szepnęła przerażona. W jej oczach zbierały się łzy, jakby dobrze znała odpowiedź.

– Mówiłem, żebyś tego nie robiła – odparł Court. Teraz miał inne sprawy na głowie. Nie zamierzał skupiać się na uczuciach i obawach Kanadyjki.

– Ja... Ja myślałam, że to sprowadzi tu siły UNAMID-u.

– Mhm – mruknął Gentry, znów spoglądając na zegarek. Następnie nerwowo zerknął na Dzandżawidów. Porozstawiali się – czy to pieszo, czy w siodłach – jak gdyby na coś czekali.

Court też na coś czekał. Sęk w tym, że nie wiedział, kto się pierwszy doczeka. Albo które z dwóch nadciągających wydarzeń przyniesie więcej szkód.

„Kurwa mać”.

Pierwszy raz wsłuchał się w to, co Mario Bianchi mówi do dowódcy. Włoch nie zamykał ust od wyjścia z samochodu. Wcześniej gadał po arabsku, teraz jego monolog toczył się po francusku.

– Jak już mówiłem, może pan skorzystać z mojego telefonu, żeby zadzwonić do szanownego Ibrahima. Wyjaśni, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaźnisz się z tymi pojebami? – zapytał Court po angielsku.

Bianchi spojrział na Amerykanina, który stał tuż za nim na skraju drogi. Pokiwał głową i rzucił:

– Mam w tym rejonie układ z Dzandżawidami.

– Czyżby? I co, pomocny?

Bianchi nie zważał na Jankesa.

– To co, chce pan skorzystać z mojego telefonu? – zwrócił się do dowódcy.

– Mam własny – odparł.

Bianchi pokiwał głową.

– To proszę zadzwonić do dowódcy Ibra...

– To on do mnie zadzwonił.

Bianchi przechylił głowę.

– Naprawdę? A więc powiedział wam, że macie nas przepuścić, si?

Dowódca na wielbłądzie w odpowiedzi przytaknął raz, za to powoli, głową.

Kolejne słowa Bianchiego były cichsze i dziwnie niepewne.

– Co wam powiedział?

– Abym zrobił to – odparł dowódca, po czym rzucił coś po arabsku. Na te słowa jeździec w fioletowym turbanie na wielkim kasztanowym wałachu natychmiast okrążył zebrany personel. Court przez chwilę stracił go z oczu, kiedy mężczyzna mijał stojących nieruchomo jeźdźców, ale kiedy znów się pojawił, zauważył, że ma w ręku linę zakończoną pętlą. Zręcznym ruchem zarzucił ją prosto na szyję Maria Bianchiego, który dopiero teraz spojrzał w stronę, skąd dochodził galop. Jeździec przywiązał drugi koniec liny do rogu kulbaki, po czym kopnął piętami rumaka. Zwierzę ruszyło z kopyta, z dala od drogi, w stronę rozciągającej się na północ pustyni.

Mario Bianchi krzyknął przerażony. Napięta lina szarpnęła go i powaliła na ziemię. Koń z impetem pociągnął go za sobą. Włoch wpadł na kilku pracowników, rozbijając ich, jakby byli kręglami, a on kulą. Ellen Walsh pisnęła. Odgłos kopyt i koszmarnie obijanie ciała o wyschniętą ziemię, kamienie i twarde niczym gałęzie orzesznika wystające korzenie ustały dopiero wtedy, gdy mężczyzna znalazł się dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto metrów od nich, aż w końcu tak daleko, że widać było jedynie unoszącą się chmurę wzburzonego piasku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Court, zerknąwszy na zegarek, zaczął popychać zebraną grupkę pracowników konwoju dalej od ciężarówek, najpierw lekkimi kuksańcami, następnie mocniejszymi pchnięciami.

Tymczasem dowódca Dżandżawidów krzyknął coś do swoich, którzy zeszli z koni. Posługiwał się sudańską odmianą arabskiego, ale Court, który miał styczność głównie z arabskim z Zatoki Perskiej, i tak to zrozumiał.

– Pobijcie wszystkich na śmierć!

Ci podnieśli karabiny, po czym obrócili je i chwycili za lufy. Następnie zaczęli na oślep walić zwartą grupkę kolbami. Sześciu zbirów natarło na dziewięciu mężczyzn i kobietę. Wykonywali okrutną robotę, nie zważając na krzyki swoich ofiar i ich błaganie o litość. Równocześnie ci na koniach i wielbłądach zaczęli jeszcze bardziej ścisnąć grupę, używając potężnych cielsk swoich zwierząt, miażdżąc bezbronnych cywili.

Court obejrzał się w lewo i w tym samym momencie oberwał kolbą w prawe ramię. Poleciał w bok i wpadł na wielbłąda, na którym siedział dowódca. Mężczyzna łypnął na niego spod turbanu rozżarzonymi niczym węgle oczami. Court skrzywił się z bólu i znów zerknął na zegarek.

Ellen potknęła się o leżącego na ziemi mężczyznę i upadła na brzuch tuż pod stopami Courta. Zaczęła się podnosić, jakby chciała rzucić się do ucieczki. Ale nie miała dokąd. Zostali ciasno otoczeni przez arabskich zbirów. I tylko Court Gentry wiedział, że, leżąc z twarzą w piachu, Ellen znajduje się właśnie w najbezpieczniejszym w całej tej sytuacji położeniu.

Rzucił się na nią, osłonił ją swoim ciałem i rękami zasłonił jej uszy.

„No to jazda” – pomyślał, przęcając ciało.

Z trzeciej ciężarówki konwoju, z tej, w której jechali Court i Biszara, doszedł ich dźwięk, coś jak przytłumione pyknięcie, jak gdyby nawalił tłumik. Owszem, dało się je usłyszeć, nawet mimo krzyków i uderzeń kolbami o wychudzone ręce i nogi, ale odgłos nawet nie był w jednej dziesiątej tak głośny, jak tego się spodziewał Gray Man.

„Ale że co?” – zdziwił się i spojrział w stronę pojazdu.

Nie miał pojęcia, co mogło pójść nie tak. Akurat najmniej się obawiał tego, że wybuch będzie za mały. Bicie natychmiast ustało. Dżandżawidzi popatrzyli na ciężarówkę. Nawet członkowie personelu Speranza Internazionale, którzy leżeli wyprostowani bądź skuleni na ziemi wokół Gentry’ego i Walsh, podnieśli wzrok. Z okien kabiny oraz z tyłu, od strony bagażnika ciężarówki, wydobywał się dym. Jednak wbrew oczekiwaniom Courta nie doszło do detonacji, nie nastąpiła żadna kakofoniczna eksplozja, na pewno nie było żadnych odłamków.

Padły rozkazy po arabsku, dwóch mężczyzn zeskoczyło z siodeł, przekazało lejce kompanom i podbiegło do ciężarówki. Court doskonale wiedział, że planowali ukraść towar. Teraz musieli sprawdzić, dlaczego zawartość jednego z pojazdów dymiła.

Dowódca wydał kolejny rozkaz. I tym razem Court zrozumiał.

– Zastrzelić wszystkich!

Napastnicy ustawili się w nierównej linii naprzeciw leżących ofiar. Podnieśli kałasznikowy, słychać było klikanie bezpieczników przełączających ustawienia na tryb automatyczny. Court poderwał się na nogi. Był jeden na dwunastu. Sięgnął za plecy po coś, co ukrył pod podkoszulkiem.

I wtedy nastąpiło... to. Z nieznanego powodu pierwszy etap szczywanego planu Gentry’ego praktycznie dosłownie spalił na panewce.

Ale etap drugi?

„Cóż, etap drugi to był pierdolony majstersztyk”.

Kiedy mężczyźni biegnący do ciężarówki byli już blisko niej, rozległo się kolejne, tym razem głośnie bum, a zaraz po nim wszyscy usłyszeli demoniczny pisk wyrzutni raketowej. Butla z acetylenem wystrzeliła z tyłu ciężarówki, ciągnąc słup ognia. W mgnieniu oka wpadła przez przednią szybę do czwartej ciężarówki i ugrzęzła wśród cargo z tyłu pojazdu. Potężny czterokołowy samochód zadrżał.

Court obrócił się w stronę Walsh i kolejny raz osłonił ją. Ciężarówka wybuchła kulą ognia. Rozległ się ogłuszający grzmot, Court poczuł, jak drażni jego bębenki i rozchodzi się bolesnym echem po czaszce, niczym odłamek cegły trafiający w skroń. Na moment płomień ogarnął jego ciało i natychmiast się wypalił, wysysając tlen z powietrza wokół, aż zabrakło mu tchu w płucach. Zaczął się dusić i chrząkać, ciężko dysząc, aż w końcu udało mu się nabrać świeżego powietrza i uspokoić oddech. Próbował

opanować ból w piersi i zawroty głowy. Rozejrzał się wokół. Jeden z Dżandżawidów zginął na miejscu, trzech spadło z koni, wyglądali na oszołomionych. Kolejny, jeden z tych, który którzy wbiegli pomiędzy ciężarówkę, też nie żył. Jedynym dowodem na to, że istniał, był jego przerażony koń, który pogalopował jak najdalej od miejsca eksplozji. Dwóch kolejnych zbirów zostało poparzonych i rannych przez odłamki wyrzucone podczas wybuchu z pojazdu.

Sześć sekund po eksplozji płonące szczątki wciąż opadały wokół nich. Wystraszone konie i wielbłądy podskakiwały, galopowały, chwiejąc się na rozedrganych nogach.

Członkowie personelu Speranza Internazionale, jako że wszyscy w momencie eksplozji leżeli na ziemi, nie doznali poważniejszych obrażeń, byli tylko otumanieni lub w najgorszym wypadku przejawiali objawy wstrząśnienia mózgu. Gentry i Walsh byli w najlepszym stanie, nie ucierpiał nawet ich słuch, ponieważ Court zdołał zasłonić sobie uszy ramionami, a jej swoimi dłońmi. Jednak z trudem podniósł się na kolana. Spojrzał na zataczających się niczym pijani mężczyzn, zerknął na ciężarówkę numer cztery. Kabina była czarna i pokierszowana, ale cała. Pojazd wciąż miał koła, podwozie, bak i platformę, choć boki i góra części na cargo zniknęły, pojemniki z paliwem płonęły, a inne towary zostały wyrzucone na drogę i albo się paliły, albo fruwały w powietrzu. Court obrócił się, wciąż chwiejnie, zrobił niepewny krok w stronę przywódcy, który jakimś cudem utrzymał się w siodle. Tylko ten wielbłąd i jeszcze jeden koń spośród zwierząt nie uciekły po wybuchu. Brodacz wymierzył kałasznikowa z kolbą szkieletową w stronę Gentry'ego, jedyne go stojącego człowieka z konwoju, ale był powolny i zdezorientowany. Ledwo podniósł lufę, kiedy Court lewą ręką ją wytrącił. W prawej trzymał przedmiot ukryty wcześniej z tyłu pod koszulką. Było to znalezione w ciężarówce urządzenie, młoto-siekiera, ustawione ostrzem do góry. Gentry zamachnął się nią znad głowy, po czym z całej siły wbił ją w kolano siedzącego na wielbłądzie dowódcy Dżandżawidów. Mężczyzna nie krzyknął, ale jego kolano podskoczyło. Chwycił za nie. Ostrze utknęło w kolanie i kości udowej, a rączka wymsknęła się z uścisku Gentry'ego. Dowódca ześlizgnął się z siodła w stronę przeciwną do Gray Mana, spadł do tyłu, uderzając plecami o ziemię. Karabin poleciał wraz z nim.

Court odwrócił się, zostawiając wielbłąda bez jeźdźca, i zwrócił się do Ellen Walsh, która próbowała przedostać się na czworakach jak najdalej od

mężczyzn i ciężarówek. Usłyszał automatyczny wystrzał z kałasznikowa dobiegający z tyłu. Mimo że podczas wybuchu zdążył zakryć uszy, ten odgłos i tak wydał mu się odległy i metaliczny. Jego wzrok powędrował w stronę ostatniego pojazdu. Potężna eksplozja spowodowała pożar ciężarówki i jej otoczenia. Wiedział, że w każdej chwili może zapalić się bak. Gdyby tak się stało, wszyscy znaleźliby się w zasięgu wybuchu i zginęli. Podwozie i układ napędowy ciężarówki wypłuły tysiące supersonicznych pocisków rozżarzonego metalu.

Kolejny odgłos wystrzału z kałacha zmobilizował Gentry'ego do poszukania jakiejś broni. Wiedział, że gdzieś za wielbłądem leży karabin dowódcy Dżandżawidów. Court już po niego ruszał, gdy nagle został uderzony czymś prosto w plecy. Miał wrażenie, jakby wjechał w niego rozpedzony autobus. Zgiął się, poleciał do przodu i został przytrzaśnięty ogromnym ciężarem. Padł twarzą na ziemię z nienaturalnie wygiętymi rękami i jęknął z bólu. Coś masywnego i niewzruszonego przygwoździło go do podłoża.

Obejrzał się przez ramię. Zobaczył, że leży pod gargantuicznych rozmiarów wielbłądem, który przygniatał go od pasa w dół. W drgawkach pośmiertnych łeb obrócił się w stronę Courta: widział puste oczy z dziwacznie długimi rzęsami, wyszczerzone zęby i zwisający długi mokry ozór. Zwierzę zostało powalone strzałami z karabinu. Po kilku sekundach wbijania palców dłoni w twardą ziemię Gentry zorientował się, że nie da rady sam wydostać się spod ważającej prawie siedemset kilogramów martwej bestii. Sięgnął za siebie, usiłując wymacać siodło i wyciągnąć cokolwiek, co byłoby do niego przytwierdzone i pozwoliłoby mu wypchnąć nogi albo przynajmniej walczyć w tej niekomfortowej pozycji.

Ale nie był w stanie niczego osiągnąć.

Wokół trwała walka. Półtora metra od jego twarzy jeden z kierowców SI próbował podnieść się na kolana. Zza uszu spływała mu krew, musiał odnieść rany podczas wybuchu przygotowanej przez Courta samochodowej bomby. Za nim poruszali się inni – zarówno personel Speranza Internazionale, jak i Dżandżawidzi – w różnych kierunkach i z różną prędkością, próbując, z lepszym czy gorszym skutkiem, otrząsnąć się po działaniu fali uderzeniowej. Jeden z oprychów, też oszołomiony wybuchem, bezskutecznie próbował wdrapać się z powrotem na wielbłąda. Zwierzę nie chciało mu na to pozwolić, cofając się od mężczyzny, który w końcu dał za wygraną. Udało mu się natomiast wyswobodzić granatnik

pancerny z sakwy przy boku wielbłąda. Obrócił się. Court widział go, ale nie był w stanie nic zrobić. Mężczyzna podniósł broń. Przez dłuższą chwilę wydawało się, że nie wie, gdzie celować. Gentry zdawał sobie sprawę, że strzelając do kogokolwiek, sam najpewniej by się wysadził. Ale mężczyzna wciąż był w szoku, dezorientowany. Wycelował z RPG i pociągnął za spust, zapominając, że tuba, którą opierał o ramię, ma bezpiecznik, który trzeba odblokować. Obejrzał dokładnie wyrzutnię. Court obserwował go spod martwego wielbłąda. Widział, jak bandytę nagle olśniło, zrozumiał, o czym zapomniał. Szybko odblokował granatnik i ponownie wycelował w tłum zataczających się mężczyzn.

Seria pocisków wystrzelonych z drugiej strony wielbłąda zmusiła Courta do ukrycia się, wcisnął głowę w ramiona niczym żółw próbujący schować się w skorupie. Zobaczył jeszcze, jak bandzior z wyrzutnią pocisków poleciał do tyłu, strzelając w niebo, po czym runął na drogę, wzniecając kurz, który opadł na jego martwe ciało. Szary dym z ręcznej wyrzutni wystrzelił w błękit przestworzy, ale pocisk poleciał na południe, nie robiąc nikomu krzywdy.

Court ponownie obejrzał się przez ramię. Młody Biszara przeskoczył przytłaczającego go wielbłąda i skrył się za truchłem koło Gentry'ego. W rękach trzymał dymiącego kałacha.

Przywitał Courta szerokim uśmiechem.

– Hej, Amerykaninie! Aleś wysadził ciężarówkę, stary! – zawołał, po czym wstał i wystrzelił kilka pocisków z brązowego ciała padłego wielbłąda w cel, którego Gentry – wciąż leżąc twarzą w piachu – nie widział. W odpowiedzi przeleciało kilka niemrawie wystrzelonych kul, jednak Gentry dostrzegł wzburzony piach pomiędzy nim a ciężarówkami przy drodze. Kierowca Rasid wyciągnął kałasznikowa z kabzy przytroczonej do wielbłąda należącego do zabitego z RPG, po czym niezbyt wprawnie odpowiedział ogniem. Trzymał karabin tuż przed sobą. Z zamkniętymi oczami pociągał za spust, broń skakała na wszystkie strony i kilka kul kaliber 7,68 milimetra przeleciało tuż nad głową Gentry'ego. Biszara padł na ziemię, obrócił się w stronę starszego mężczyzny i skarcił go wrzaskiem. Court miał nadzieję, że kazał mu patrzeć, gdzie strzela.

– Zamierzasz walczyć, Amerykaninie? – Biszara zapytał Courta. Uśmiech nie schodził z jego ust. Wydawało się, że możliwość zabicia dzandżawskich morderców, którzy na rozkaz prezydenta Abbouda niszczyli jego kraj, sprawiała mu radość.

– Chętnie, ale nie mogę się ruszyć – odparł Court, wciąż próbując się wyswobodzić. Nogi nawet go nie bolały, czuł tylko mocny nacisk. Modlił się w duchu, żeby, kiedy wreszcie wydostanie się spod tego zwierza, nie okazało się, że ma połamane kości.

Biszara wystrzelił kolejną serię znad martwego wielbłąda. Długie tłuste cielsko było doskonałą barykadą, ale Court wiedział, że lada moment mogą zostać oflankowani przez jeźdźców.

Chłopak z plemienia Zaghawa przerzucił kałacha przez klatkę piersiową, chwycił Gentry'ego pod ramiona, po czym, wciąż kucając za wielbłądem, pociągnął go z całej siły. Court ani drgnął. Na pomoc przyczołgał się do nich jeden z kierowców z SI. Dopiero gdy obaj chwycili Amerykanina pod pachy, udało się go nieco przesunąć. Gentry spróbował zaprzeć się kolanami w ziemię, żeby ułatwić im zadanie i pomóc w wyciągnięciu go spod potężnego cielska. Kolejna seria z kałacha Dżandżawidy, tym razem od strony ciężarówki, sprawiła, że obaj Sudańczycy padli na ziemię koło Courta. Po chwili jednak podnieśli się, by ponowić próbę wyciągnięcia spoconego Gentry'ego spod wielbłąda. Za trzecim razem się udało. Court poczuł, że nogi i stopy ma oswobodzone. Owszem, piekły go i bolały, ale przynajmniej mógł nimi ruszać. Nic nie wskazywało na to, aby miał jakieś złamanie, więc wciąż trzymając nisko głowę, podniósł się na kolana. Gentry spojrzał na kierowcę, który go oswobodził. Mężczyzna trzymał głowę nisko przy ziemi. Biszara natomiast stał na lekko ugiętych nogach, gotując się do strzału z kałasznikowa. Oczy miał utkwione w celu po drugiej stronie zwierzęcia, a na jego twarzy malowała się determinacja.

Zza Courta rozległ się dźwięk wystrzału z broni automatycznej. W jednej chwili młody Biszara obrócił się, krzyknął zaskoczony, po czym padł martwy na ziemię. Chwilę potem Court podniósł brudnego pokrytego krwią kałacha i obrócił się na kolanach. Wychynął zza wielbłąda i zobaczył, jak sześciu Dżandżawidów ucieka na koniach. Byli już za ciężarówką i zginęli z jego pola widzenia. Udało mu się wystrzelić celną serię i trafił w plecy ostatniego jeźdźcy. Mężczyzna spadł z siodła prosto w piach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ludzie jęczeli i szlochali. Pojazdy i ich części paliły się i dymiły. W gorącym powietrzu unosił się swąd kordytu, oleju napędowego oraz płonących kawałków papieru, gumy i plastiku. Court rozejrzał się w poszukiwaniu Ellen Walsh wśród rozrzuconych ludzkich ciał. Część się poruszała, byli ranni. Inne ciała były nieruchome, ci już nie żyli. Wreszcie wypatrzył ją za wszechobecnym dymem i kłębam kurzu. Szła jakieś czterdzieści pięć metrów od niego w stronę leżącego pod szerokim baobabem trupa Maria Bianchiego. Wydawało się, że nie jest ranna. Spojrzał na Biszarę. Jego martwe ciało leżało zwinięte w kulkę, niczym sterta brudnych szmat czekających na wrzucenie do pralki. Z ciała wypływały strużki krwi, wsiąkając w suchą ziemię. Jeszcze nie minęła minuta od jego śmierci, a już zleciały się muchy, wyniuchawszy świeżą krew. Przyleciały na ucztę.

Kilka metrów dalej, twarzą do ziemi, leżał kolejny martwy pracownik SI. Pozostała szóstka przeżyła, choć kilku z nich odniosło rany po wybuchu bomby skonstruowanej przez Courta. Amerykanin przypuszczał, że do końca życia będą się borykać ze skutkami uszkodzenia słuchu, ale przynajmniej żyli. Kilku miało poranione nogi czy ręce odłamkami po wybuchu bądź atakiem na nich Dżandżawidów. Wokół kręciły się ocalałe konie i wielbłądy. Nie odbiegły dalej niż na pięćdziesiąt metrów od samochodów. Były przyzwyczajone do odgłosów strzałów, eksplozji i chaosu, które u innych nieprzywykłych do tych dźwięków zwierząt wywołałyby paniczny lęk i sprawiły, że uciekałyby dotąd, aż padłyby z wyczerpania czy odwodnienia. W niektórych miejscach wciąż tlił się ogień, a ciężarówka numer cztery stała w płomieniach. Lada moment mógł nastąpić wybuch paliwa.

„Co za pierdolony bajzel”.

Court chwycił najbliższego stojącego mężczyznę.

– Przystaw pierwsze dwie ciężarówki. Zabierz ludzi i zwierzęta z dala od drogi. Zaraz wybuchnie paliwo w ostatnim wozie. Pewnie trzeci też się zajmie – polecił.

Po minucie Court stał już za Ellen Walsh. Klęczała nad ciałem włoskiego pracownika misji humanitarnej, leżącego samotnie przy drodze. Miał podarte ubranie, a skóra na jego twarzy była pozdzierana przez twardą ziemię i jeszcze twardsze kamienie. Wokół szyi miał wciąż zawiązaną grubą linę.

Kobieta szlochała.

– Jesteś ranna? – zapytał Gentry. Nie zamierzał się z nią cackać. To, co się wydarzyło, w ogóle nie miałyby miejsca, gdyby go posłuchała i nie wyjawiała Włochowi, kim jest.

– Nie – odpowiedziała. Dopiero teraz zauważyła Amerykanina. – Ale Mario nie żyje.

– A chuj z nim – odparł Court, spoglądając na nienaturalnie wykręcone ciało. – Sam się o to prosił.

Ellen nie skomentowała jego słów, rzuciła mu tylko spojrzenie pełne pogardy.

Po kilku sekundach rozległ się rozdzierający huk. Ogień doszedł do zbiornika paliwa. Auto wybuchło z impetem. Nawet w odległości stu metrów od eksplozji Gentry poczuł falę ciepła. Ogień przepalił powietrze. Kłęby czarnego dymu wystrzeliły w przestworza, jakby startował balon. Ellen i Court spojrzeli w tamtym kierunku. Po chwili ciężarówka numer trzy stanęła w równie imponującej kuli ognia.

– Gdzie oni się wybierają? – przeraziła się Kanadyjka. Poturbowani pracownicy SI wsiedli do ocalałych aut, by wyprowadzić je poza strefę wybuchu. Pierwszy pojazd jednak pojechał dalej, pozostawiając za sobą chmurę kurzu, po czym przyspieszył. – Gdzie oni jadą? – powtórzyła kobieta.

– Pewnie do Dirry – odparł Court. W ciężarówce numer dwa również włączono silnik, ale pojazd nie ruszył. Wszyscy byli już na pokładzie. Wyglądało to tak, jakby na nich czekali, ale Gentry podejrzewał, że w kabinie właśnie ma miejsce gorąca dyskusja, czy wziąć kawaga, czy zostawić ich na pastwę losu na pustyni. Myśl, że mogliby ich zostawić, ani nie zaskoczyła, ani nie przeraziła Courta. Zaczął iść w stronę drogi. – Uspokój się, wszystko będzie dobrze – powiedział. W jego głosie było znacznie więcej pewności, niż jej miał naprawdę.

* * *

– Cholera jasna – mruknął Court, klękając przy Biszarze. Ogień po wybuchu gazu dosięgnął jego ciała i w większości spalił ubranie. Kolejne niepotrzebne rany zadane młodemu człowiekowi, który tak bardzo mu pomógł. Court miał nadzieję, że przynajmniej muchy ucztujące na szyi chłopaka spłonęły.

– Co powiedziałaś? – spytała Ellen.

– To był świetny dzieciak.

– Znałeś go tylko godzinę – odparła. Nie kłóciła się, po prostu nie rozumiała nagłego przyływu empatii dla jednego spośród tylu zabitych, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego niedawne słowa na widok ciała Bianchiego. Naliczyła osiem ciał leżących w pobliżu oprócz tego, nad którym nachylał się Szóstka.

– Uratował nas oboje. Najbardziej zajebisty skurwysyn, z jakim miałem zaszczyt ostatnio, ba, od wielu lat, pracować.

Ostatnia ciężarówka ruszyła z impetem i zatoczyła szerokie koło. Minęła stojących na drodze cudzoziemców i zawróciła. Ellen zaczęła za nią biec, gorączkowo wymachując rękami. Pojazd jednak się nie zatrzymał i pojechał z powrotem na zachód. Owca

– Nie! – krzyknęła.

Court wywnioskował, że prowadzona w ciężarówce dyskusja wcale nie dotyczyła tego, czy ich zabrać, czy nie. Wszyscy zapewne chcieli się ich pozbyć. Chodziło raczej o to, czy jechać na wschód do Dirry, czy może na zachód, z powrotem do Al-Faszir. Jak widać, padło na to ostatnie.

– Co my teraz zrobimy?! – wrzasnęła Ellen.

Court wstał, przeszedł kilka metrów, po czym uklękł przy ciele dowódcy i zaczął je przeszukiwać. Wyjął mały bukłak wody na łańcuszku i przerzucił go przez ramię. Z czarnego płóciennego etui wygrzebał magazynek do kałasznikowa. Wysunął z pochwy zdobiony nóż, obejrzał ostrze, po czym wsunął go z powrotem i rzucił koło trupa.

– No co my teraz zrobimy? – powtórzyła Ellen, płacząc. Patrzyła, jak jej towarzysz kopie ciało kierowcy, aby odwrócić je na plecy. Przyklękł przy nim i wyciągnął z kieszeni pokrwawionej koszuli okulary przeciwsłoneczne. Założył je, po czym spojrzał na kręcące się nieopodal zwierzęta.

– Jesteś w stanie jechać konno?

– Chy... Chyba tak. Ale jak długo?

Zerknął na zegarek. Miał wbudowany GPS, ale akurat nie działał. Super. Musiał sam oszacować, jak są daleko.

– Czterdzieści, może pięćdziesiąt kilometrów? – Wyciągnął z piachu drugiego kałacha. Złożył kolbę, a broń stała się znacznie krótsza. – Myślę, że damy radę tyle przejechać – stwierdził. Przewiesił karabin przez klatkę piersiową i zarzucił go na plecy, lufą do dołu. Następnie kopnął kolejnego Dżandżawida, szukając przydatnego łupu. Mężczyzna jęknął. Był ranny, ale żył. – Chyba że natkniemy się na kolejnych sukinsynów.

– Może działa radio w którymś wraku. Wtedy wezwiemy pomoc – podpowiedziała Ellen, stojąc obok przeczesującego teren Courta.

– Jasne. – Zmierzył ją wzrokiem. – Ostatnim razem to świetnie zadziałało, no to może, kurwa, spróbujemy jeszcze raz? – Następnie dodał już nieco spokojniej: – A jak myślisz, skąd Dżandżawidzi wiedzieli, że tu jesteśmy? Odpowiem ci, bo NSB podsłuchiwała krótkofalówki. To nie był przypadek. Oni wysłali tę bandę, żeby nas zabiła. Kazali im wyróżnić wszystkich w pień, by zatuszować, że to zlecenie rządu. Wierz mi, naprawdę lepiej będzie siedzieć cicho. Przy odrobinie szczęścia ci tam stwierdzą, że zginęliśmy. Kiedy ciężarówki dotrą do cywilizacji, założę się, że żaden z jadących w nich pracowników SI nie przyzna się, że celowo zostawili nas żywych. Tak więc świat będzie myślał, że nie żyjemy. Możemy to wykorzystać.

Gentry pochylił się nad kolejnym rannym jeźdźcem. Mężczyzna leżał na plecach. Dyszał cicho i płytko. Court ściągnął mu z szyi bukłak z wodą, a z pasa wypiął długi nóż. Przyjrzał się broni. Tym razem ostrze zdało egzamin, więc zdjął cały pas z pochwą i go założył.

– A co z nimi? – spytała Ellen, kiedy Court się podniósł.

– Z kim?

– Tymi dwoma. Są ranni.

– Co z nimi?

– Możemy im pomóc?

– Jesteś lekarką?

– Nie, ale...

– Ja też nie. Wybierz sobie konia. Musimy ruszać.

Kobieta przez kilka sekund przyglądała się brodatemu Amerykaninowi.

– Ale ci dwaj... A jeśli nikt tu nie dotrze do zmroku? Przecież tu są dzikie zwierzęta. To w końcu ludzie, Szóstka. Nie możesz ich tak po prostu zostawić na pewną śmierć.

– A właśnie, że mogę. Wybierz sobie jakiegoś konia. Wolałbym wielbłąda, bo nie potrzebuje tyle pić, ale jeśli napotkamy kolejną bandę Dżandżawidów, to będziemy potrzebowali szybkich koni, żeby im zwać. – To powiedziawszy, zerwał turbany z głów dwóch martwych jeźdźców, po czym wepchnął je za właśnie złupiony pas.

Ellen krzyknęła wzburzona:

– Bierzemy ich ze sobą albo nie jadę, Szóstka. To moja ostateczna decyzja!

Gentry nie zważał na nią i kontynuował swój wywód, mówiąc raczej do siebie niż do niej.

– Wielbłądy to tak naprawdę całkiem szybkie zwierzęta, ale jak się nie wie, jak z nimi się obchodzić, to łatwo jest zgu...

– Słuchaj mnie! Potrzebny im szpital! – wrzasnęła.

Court przerwał i spojrzał na rannych.

– Raczej kostnica.

– Ale oni żyją! Nie zamierzam się bez nich nigdzie ruszać!

Dopiero teraz spojrzał na nią.

– Serio? – westchnął.

– Serio. Nie możemy zostawić dwóch rannych ludzi na pustyni – powiedziała.

Jeden z rannych jęknął cicho.

Court wysunął lekko zuchwę i napiął ją, patrząc na kanadyjską prawniczkę. Pokiwał głową, chwycił za wiszący u szyi karabin, na co kobieta cofnęła się przerażona, a następnie, nie wahając się ani chwili, odwrócił się i strzelił każdemu prosto w pierś. Ich torsy podskoczyły, z ran trysnęła wysoko struga ciemnej krwi. Obaj natychmiast znieruchomieli. Kiedy echo drugiego wystrzału ucichło, Gentry puścił broń.

– I po kłopotcie. Jedziemy.

Ellen Walsh pobladła z przerażenia. Po kilku sekundach jednak zaczerwieniła się z wściekłości. Natarła na Amerykanina. Kiedy odchodził od niej w stronę jednego z koni, chwyciła za tył jego podkoszulka i szarpnęła. Nawet na nią nie spojrzał, szedł dalej wzdłuż płonącej ciężarówki.

– Ty skurwysynu! Wcale nie jesteś od nich lepszy! – wrzeszczała, biegnąc za nim i próbując go wyprzedzić.

– Oni nie żyją. Ja, jak na razie, owszem. Powiedziałbym, że jest ze mną znacznie lepiej – rzucił, nie zatrzymując się.

Ellen wybiegła przed niego i położyła dłoń na jego piersi. Jej drobne, mocno opalone palce zacisnęły się na jego przeupoconym brązowym T-shircie. Wolną ręką Gentry chwycił ją za nadgarstek, wykręcając go, i odepchnął ją od siebie. Rozgniewany podniósł drugą ręką kolbę kałacha, jakby chciał ją uderzyć w twarz.

Ellen jednak się nie bała. Była tak wściekła, że przestała obawiać się o swoje życie.

– No, proszę! Czyli kobiety też bijesz? Pierdolony zwierzu! Zabijasz rannych! Szabrujesz ciała, jak jakaś padlinożerna bestia! Wybuchasz...

– A jak, do kurwy nędzy, wyobrażałaś sobie, że ich przeciągniemy przez trzydzieści mil pustyni? I tak wykrwawiliby się na śmierć, tylko że my też byśmy zginęli, bezskutecznie próbując ratować im życie.

– Moglibyśmy ich wsadzić na konie!

– I wlec się razem z nimi? Naprawdę chcesz tu być po zachodzie słońca?

– Dość tych wymówek. Przyznaj się, chciałeś ich zabić!

Opuścił karabin i puścił jej dłoń.

– Przyznam jedno. Mam w dupie tych dwóch, mam w dupie ich wszystkich, poza Biszarą. Naprawdę nie będę nad nimi płakał.

Spojrzała na ciała zabitych, a następnie na niego.

– Co? Kim ty właściwie jesteś?

– Mogę być kimkolwiek, za kogo chcesz mnie uważać. Skurwysynem, który strzela do rannych, albo gościem, który w ciągu ostatnich osiemnastu godzin ocalił ci dupę więcej razy, niż mi się to podoba – odparł, gramoląc się na siodło wielkiej szarej klaczy. – Jestem w stanie utrzymać cię przy życiu, ale musisz mi pozwolić wykonywać moją robotę.

– Twoją robotą jest strzelanie do rannych?

– Wolałbym tego nie robić. Ale musimy się zbierać, a zabicie tych dwóch dupków... Cóż, cel uświęca środki. Mógłbym poczekać pół godziny, aż umrą, ale nie chciałem. Można było ich zostawić, ryzykując, że jeśli reszta tej bandy wróci, jeden z nich wykrzesze z siebie tyle siły, żeby im wskazać, w którą stronę pojechaliśmy, a oni nas namierzą i zabiją, ale to też mi się nie uśmiechało. Czy ty w ogóle wiesz, co te pojeby wyprawiają? Gwałcą i mordują bezbronne kobiety, palą dzieci żywcem na oczach rodziców dla rozrywki. Czteryście tysięcy zabitych. Czy to dla ciebie tylko pierdolona liczba? Możesz szlochać nad zastrzelonym Dżandżawidem, jeśli to sprawi, że poczujesz się sprawiedliwsza, ale ja nie zamierzam ronić łez z powodu zastrzelenia zabójców kobiet i dzieci.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Po wciąż rozgniewanej i pełnej nienawiści twarzy płynęły łzy, złościąc ścieżki w zaschniętym na jej policzkach kurzu. W końcu się odezwała:

– No dobra, to zabójcy kobiet i dzieci. To rozumiem. Ale w takim razie kim ty jesteś?

Court wsunął kałasznikowa do kabury przy tyle siodła, po czym zacisnął lejce potężnej klaczy. Spojrzał z góry na Ellen i kopnął w bok zwierzę. Koń już był w galopie na wschód, kiedy odpowiedział:

– Ja jestem zabójcą złych ludzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Pół godziny później Ellen Walsh i Court Gentry byli już półtora kilometra na północ od pustynnego szlaku do Dirry. Kierowali się na wschód wąskim kanionem, który ciągnął się równolegle do drogi. Kasztanka Walsh już dwa razy prawie ją strąciła, w końcu jednak zaakceptowała cięższą rękę silniej władającą uzdą. Gentry sprawnie poruszał się na koniu. Prowadził ich w milczeniu.

Czuł wściekłość ziejącą od jadącej za nim kobiety. Jej nienawistny wzrok palił jego plecy niczym ostre promienie słoneczne. Raz na jakiś czas odzywała się, wciąż go łajac.

– Wiesz, że jesteś teraz zbrodniarzem wojennym? Zdajesz sobie z tego sprawę? A to, że miałeś czelność dokonać egzekucji na dwóch rannych więźniach na oczach śledczej Międzynarodowego Trybunału Karnego, sprawia, że cała drzę, gdy pomyślę, do czego jesteś zdolny, kiedy nie ma obok nikogo, kto wyciągnąłby konsekwencje z twoich zbrodni.

Court wpatrywał się w oświetlony popołudniowym światłem krajobraz. Próbował dostrzec nieruchome bądź powoli poruszające się kłęby kurzu, znaku, że zbliżają się jakieś konie czy pojazdy. Gdzieniegdzie widział pojedyncze chmury, ale poruszały się tak szybko, że raczej były wywołane przez wiatr, a nie kopyta czy koła.

– Przyleciałam do Sudanu, aby sprowadzić przed oblicze sprawiedliwości poszukiwanego człowieka. A wiesz co? Natknęłam się na kogoś innego. Może nie jest niebezpieczny aż na tak wielką skalę jak prezydent Abboud, ale to ktoś, kto podziela jego pogardę wobec ludzkiego życia. Tym kimś jesteś ty. Dopilnuję, abyś odpowiedział przed sądem za to, co miało dziś miejsce.

Court skierował konia na północ. Ścieżka, którą jechali, prowadziła zbyt blisko tego, co tu nazywa się drogą, a zależało mu, żeby nie znaleźć się w polu widzenia jakichkolwiek nadjeżdżających pojazdów.

– Czy ty czasem choć trochę odpuszczasz? – mruknął bardziej do siebie. Rozciągająca się przed nimi trasa, prowadząca na wylot przez kanion i dalej w porośnięty krzewami Sahel, wydawała się wolna. Gentry odezwał się, tym razem głośniej: – Wiesz, co ich zabiło? Ty. Zabiło ich to, że mnie nie posłuchałaś. Tutaj, jeśli chcesz przeżyć, musisz mnie słuchać. Jeśli postawisz mnie przed sądem w Winnipeg czy na innym kanadyjskim zadupiu, to tak, wtedy cię posłucham. Ale tu, na terytorium wroga? Tu masz robić to, co mówię.

Zauważył, że jego słowa ją zaskoczyły. Zdążyła już się przyzwyczaić, że ją ignorował. Odpowiedziała dopiero po chwili, ale nawet wtedy nie brzmiała przekonująco.

– Nie jestem prokuratorką. I pochodzę z Vancouver.

Court nie odpowiedział. Obserwował okolicę w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń.

– Jak ty to robisz? Kto cię nauczył tak zabijać?

– Lata praktyki i ćwiczeń.

– Wojskowych?

Nie odpowiedział.

– Muszę wiedzieć, kim jesteś – nalegała.

Prawie słyszał, jak jej mózg pracuje. Teraz to on stał się przedmiotem jej dochodzenia.

– Naprawdę nie musisz.

– Pracujesz dla Rosjan?

– Kiedyś pracowałem, ale nie wyszło.

– Przeze mnie?

– Uhm.

– Wiem, że jesteś ze Stanów. Pracujesz dla CIA?

– Nie.

– To dla kogo?

– Chwilowo jestem bezrobotny.

– Jasne – nie uwierzyła mu. – Czyli tym razem to nie praca, a bijesz się dla przyjemności?

– Oczywiście, nie ma to jak ustawka z Dżandżawidami – mruknął Court, pociągając łyk z manierki zabranej od jednego z zabitych niedawno mężczyzn.

– Mówię serio, Szóstka. Naprawdę zamierzam napisać raport o tym, co tu się wydarzyło.

- A pisz sobie, co chcesz.
- Nie wierzysz?
- Nie obchodzi mnie to.
- Nie boisz się MTK?
- Sikam pod siebie ze strachu, ale jakoś przeżyję – zaśmiał się cynicznie.
- Jesteś niebezpiecznym osobnikiem, którego trzeba powstrzymać.

Court nie zwolnił konia, ale przechylił lejce na lewo, by spojrzeć Ellen w oczy.

– Ale nie tak niebezpiecznym, żebyś nie chciała skorzystać z mojej pomocy. I nie na tyle niebezpiecznym, żebyś bała się być sama ze mną na pustyni, kiedy jestem uzbrojony. I nie na tyle niebezpiecznym, żebyś bała się mi powiedzieć, że zrobisz co w twojej mocy, żeby mnie wpakować do ciupy. Co ci to mówi, Walsh? Powinno ci to podpowiedzieć, że widzisz we mnie bardziej wybawcę niż wcielone zło.

Ellen się zamyśliła.

– Sprawiedliwość, którą chcę ci wymierzyć, nie ma nic wspólnego z karą, jaką wymierzyłeś tamtym ludziom przy ciężarówkach. Ja szanuję literę prawa.

– Cóż, nie szanujesz jej na tyle, aby zmusić tych skurwysynów, żeby przestali zabijać, tylko usiedli w na chybicka zorganizowanej sali sądowej na pustyni i poczekali, aż ich sprawiedliwie osądzą. Możesz sobie szanować literę prawa, jak ci się to podoba, ale tutaj prawo nie ocali ci tyłka, na pewno nie tak skutecznie jak zardzewiały kałach i garść nabożów.

– Nie jestem głupia, ja...

– A właśnie, że jesteś! Wszyscy eksperci od prawa międzynarodowego to banda głupców! Stado naiwnych, lekkomyślnych owiec, któremu wydaje się, że najlepszym sposobem na to, żeby zmusić Sudan do zawieszenia działań wojennych i ludobójstwa, będzie wypisywanie sobie papierków w Holandii, wysyłanie prawniczek z dobrymi chęciami, żeby pokreśliły się po pustyni i potem pisały raporty. Może wydaje ci się, że postępujesz szlachetnie, ale nie oczekuj, że będziesz w stanie coś tu zmienić.

– Natomiast ty przyjechałeś tu zrobić coś, co to zmieni?

Court chciał trzymać język za zębami, ale nie był w stanie.

– Akurat to ci mogę zagwarantować.

– A więc szmuglujesz broń z Rosjanami i strzelasz do rannych? To jest ten twój plan naprawiania świata?

– Nie. To tylko z konieczności.

- To czego dotyczy twoja misja?
- Nie powiem ci.
- Dlaczego?
- Ponieważ stanowisz kolejną przeszkodę na mojej drodze.
- Może uda nam się współpracować?
- Chyba nie wyglądam na głupka? Myślisz, że się na to nabiorę? – zapytał Court. – W drodze do Dirry jesteśmy po tej samej stronie. Potem ty pojedziesz w swoją, a ja w swoją. I tak to zostawmy.

Ellen wyczuła ostateczność w jego tonie i dała mu spokój. Przez kolejne trzy godziny jazdy po twardej ziemi nie zamienili ani słowa.

* * *

Po piątej po południu Gentry odwrócił się w stronę Ellen. Była spalona słońcem i wyczerpana, ale wciąż trzymała się w siodle. Zatrzymał konia, zsunął się na bok i wypiął bukłak. Dał szaremu wierzchowcowi trochę ciepłej wody, którą zwierzę zachłannie żłopało. Po pół minuty powtórzył manewr z koniem Ellen. Kobieta rozejrzała się wokół, jakby właśnie się przebudziła i powoli orientowała się, gdzie jest.

Po chwili Court spojrzał na nią i zauważył, że Kanadyjka ma dziwny wyraz twarzy.

– Co to ma być? – zapytała. W jej głosie było więcej ciekawości niż niepokoju.

Gentry podążył za jej wzrokiem w stronę, skąd przybyli.

– To habub – odparł grobowym głosem. – Burza piaskowa.

Ellen zafascynowana patrzyła na to niezwykle zjawisko. Wyglądało to tak, jakby nagle z ziemi, po której dopiero co przeszli, wyłoniła się wielka góra, która rosła i nacierała w ich kierunku.

– To źle wygląda.

– No, dobrze nie jest – przyznał Court.

– Dogoni nas?

Court pośpiesznie przywiązał w trzech czwartych pusty bukłak z tyłu siodła. Następnie wsunął stopę w strzemień i wspiął się na konia.

– Zeskakuj i wdrap się do mnie. Szybko!

– Nie! – zaprotestowała. – Dlaczego? – dopytywała.

– Jeśli zostaniemy na dwóch koniach, to nas rozdzieli, a do tego nie możemy dopuścić. No już, chodź tutaj!

Ellen zawahała się, ale szybko zsunęła się z kasztanki, ściągnęła pojemnik z wodą i podeszła do Courta. Pomógł jej wsiąść na siodło za nim, a ona z całej siły chwyciła jego pas. Podał jej jeden z brązowych turbanów ściągniętych z głów martwych jeźdźców.

– Zasłoń twarz. Oczy też – polecił.

– A ty? Jak będziesz widział?

Court owinął się podobną chustą.

– Nie będę. Będę się starał zachować nas na odpowiednim kursie. Najważniejsze, żebyśmy nie spadli z konia. Nie ma tu w pobliżu nic, gdzie można by się ukryć i przeczekać. Musimy to po prostu przejść.

Court najchętniej zszedłby z konia i przeczekał burzę, ale na to na zdrowy rozum rozsądne rozwiązanie niestety nie mógł sobie pozwolić. W Iraku widział habuby, które trwały aż trzy dni, a wiedział, że każda chwila, którą spędzają na pustyni, to dodatkowa okazja dla NSB, żeby wysłać po nich więcej ludzi. Ostatnią rzeczą, z którą chciałby się teraz zmierzyć, to sytuacja, gdy jego koń wpada do jakiegoś wąwozu albo trafia wprost do obozu bandy Dżandżawidów. Musieli jednak zaryzykować i jechać dalej: było to lepsze niż pozostanie w otwartej przestrzeni z małą ilością wody i niewielkimi możliwościami obrony.

Po chwili poczuli chłodniejszy powiew. Szybko dotarł do nich piach i kurz. Nagle zdawało się, jakby nastąpiła noc. Z każdej strony otoczyła ich blokująca promienie słoneczne chmura piachu. Ellen poczuła się klaustrofobicznie, ale w tej chwili mogła jedynie mocniej obwiązać twarz turbanem i wbić ją w przepocony podkoszulek siedzącego przed nią mężczyzny. Człowieka, który utrzymał ją przy życiu, ale równocześnie uważał, że może decydować, czy inni mają żyć, czy zginąć.

Court przyłożył tarczę zegarka do oczu, wsunął go między zwoje chusty jak pod namiot. Ledwo widział, pod jego powieki wdarł się gorący pył. GPS był zepsuty, ale przynajmniej kompas działał. Kierowali się na północny wschód, czyli w stronę Dirry, ale nie miał pojęcia, jak szybko się w tej zawierusze poruszają. Zaczął się obawiać, że wszechobecny piach czy zbliżająca się noc spowodują, że ominą cel podróży. Powinny wprawdzie dochodzić stamtąd jakieś światła, nawet jeśli nie było prądu, ale miejscowość mieściła się pośród pagórków, wyschniętych koryt rzecznych i formacji skalnych, które mogły zasłonić każde źródło światła w oddali, nawet jakby burza ustała.

Court czuł osłabienie spowodowane odwodnieniem. Kręciło mu się w głowie, był zmęczony. Potrzebował szybko uzupełnić płyny. Choć nie widział dalej niż na dwa, trzy centymetry, udało mu się znaleźć przy siodle manierkę. Odkręcił ją i przyłożył do ust. Unoszący się w powietrzu piach natychmiast wpadł do gorącej cuchnącej wody, tworząc w jego ustach błoto. Mimo to pił – wiedział, jak ważne jest nawodnienie, zwłaszcza teraz, choć przelękanie palącej mazi nie było przyjemne.

Odwrócił się i włożył manierkę do ręki Ellen. Dopiero po chwili zorientowała się, co to jest i co ma z tym zrobić. Wzięła łyk i zaczęła się krztusić.

- Jest pełna piachu!
- Sama jesteś pełna piachu. Pij. Potrzebujesz wody.
- Dobrze jest – powiedziała i próbowała mu oddać butelkę.
- Pij. W takich temperaturach musisz się odpowiednio nawadniać.
- Ale to praktycznie sam piach.
- Wysrasz go – odparł Court z charakterystyczną dla siebie delikatnością.
- Fuj. Nie chcę tego wysrywać.
- Wolisz umrzeć z odwodnienia? Pij, cholera! – krzyknął.

Niechętnie i z wściekłością wypiała kilka łyków. Kaszłała od pyłu, ale udało jej się wlać w siebie trochę płynu. Kiedy bukłak był pusty, rzuciła go w piach.

* * *

Habub trwał jeszcze długo po zachodzie słońca. Courtowi na szczęście udało się utrzymać zwierzę na odpowiednim kursie. Kiedy minęła ich chmura kurzu, wraz z Ellen zsiadli z konia i szli pieszo. Gentry prowadził potężnego rumaka za lejce. Wierzchowiec okazał się bardzo pomocny, Gray Man chciał dać mu godzinę czy dwie na odpoczynek od ciężaru dwóch osób. Byli pokryci piachem. Równie dobrze mogli być Afrykanami czy Azjatami, a nawet kosmitami. Nikt by ich nie poznał spod grubej warstwy brązu. Court stwierdził, że ten niezamierzony kamuflaż można by wykorzystać na ich korzyść, gdyby przypadkiem natknęli się na kogoś, byleby tylko nikt zanadto się do nich nie zbliżał. Mylił się. Może nie widać było koloru ich skóry, ale nie dało się zamaskować, że są przybyszami z Zachodu.

Trzymali się z dala od drogi łączącej Al-Faszir z Dirrą. Kilka godzin jechali przez otwarte połacie jałowej ziemi. W miarę jak zbliżali się do

celu, zaczęli mijać małe wioski i napotykać mniej lub bardziej bite drogi. Zaczęło się robić tłoczno. Mijały ich wózki ciągnięte przez osły i niewielkie pikapy. Wieśniacy gapili się na dwójkę brudnych cudzoziemców z džandzawskim koniem. Mężczyzna miał przy sobie dwa kałachy, a kobieta nosiła turban po męsku. Taki widok nie zdarzał się często w tej dzikiej krainie.

Court obawiał się mieszkańców. Wiedział, że w takich miejscach istniało coś, co niektórzy nazywali „telegrafem buszu”. W niewyjaśniony sposób wieści rozchodziły się od wioski do wioski równie sprawnie jak za pomocą telefonu satelitarnego. Gentry zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili mogą się natknąć na bandę Dżandzawidów, NSB czy żołnierzy Armii Sudanu. Wiedział, że nie byłby w korzystnej sytuacji z uwagi na ich przewagę liczebną. Mogli też natknąć się na żołnierzy UNAMID-u z Unii Afrykańskiej, którzy prawdopodobnie by go aresztowali, kończąc tym samym jego misję. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Musiał iść dalej i odstawić tę kobietę w bezpieczne miejsce. Robił, co mógł, żeby unikać siedlisk ludzkich. Szerokim łukiem omijał ogniska podtrzymywane wielbłądzimi odchodami, grzecznie przepuszczał wszystkie pojazdy.

Ellen była już na skraju wytrzymałości. Wysoka temperatura, stres po męczącym dniu, brak jedzenia i wody, wszystko to wprowadziło ją w coś w rodzaju transu, z którego raz na jakiś czas się wybudzała i próbowała wciągnąć Courta w kolejną rozmowę.

Tak jak poprzedniego wieczoru, Gentry zorientował się, że powiedział jej więcej niż komukolwiek innemu. Mimo że teraz była przeciwko niemu i stała się jego wrogiem, kiedy zlikwidował tych dwóch zasrańców przy konwoju, wciąż z nią rozmawiał. Wkurzył się na siebie, ale nie na tyle, żeby trzymać język za zębami.

Koło dwudziestej trzeciej w końcu zrobiło się nieco chłodniej, co nieznacznie ożywiło Ellen. Court dał jej resztę wody. Napiwszy się, Kanadyjka ożyła na jego oczach, zupełnie jak podlana podeschła roślina w doniczce.

- Ile nam jeszcze zostało?
- Niedużo. Podejrzewam, że pół godziny wędrówki.
- Możemy usiąść na koniu?
- Nie. Musi być wypoczęty na wypadek, gdybyśmy natrafili na jakieś problemy i musieli uciekać.
- Jasne – odparła. – Logiczne.

Szli dalej ramię w ramię przez niską trawę. Przechodzili pod akacją tak rozłożystą, że przysłoniła gwiazdy. Ellen zerknęła na niego. Wiedział, że nad czymś rozmyśla. Starał się na to nie zważać, modląc się, by dała sobie z tym spokój, ale jego nadzieje były płonne.

– Tak sobie myślę, Szóstka, że bardzo dużo złych ludzi zaczynało jako dobrzy. A ty co o tym myślisz?

– Nie wiem.

– Uważaj, żebyś nie stał się tym, czego nienawidzisz.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– A właśnie, że masz. Wierzę ci. Wierzę, że ty wierzysz, że jesteś tu ze szlachetnych pobudek. Może w głębi duszy uważasz, że czynisz dobro. Ale tutaj trzeba ratować życie, nie odbierać go.

Court uratował ją przed wejściem po ciemku w mrowisko. Chwycił ją za ramię, oprowadził wokół kopca, po czym puścił.

– Ale ratowanie i odbieranie życia to nie są przeciwieństwa. Czasami to dwie strony tego samego medalu. To prawda, że czasem zdarza mi się zabijać, ale nie robiłbym tego, gdybym nie wiedział, że prowadzi to do uratowania innych.

– Mówisz, jakbyś szukał usprawiedliwienia przed samym sobą.

– Muszę usprawiedliwić to przed samym sobą. Ale przed tobą nie muszę się tłumaczyć. Tacy jak ty nigdy tego nie zrozumieją. Próba przekonania cię do mojej racji to strata czasu.

– Za to, co się dzisiaj wydarzyło, zostanie wystawiony akt oskarżenia o zbrodnie wojenne.

Gentry zauważył w jej głosie nową nutę, nowe brzmienie. Wydawała się zawiedziona jego postępowaniem, ale równocześnie jakby biła się z myślami.

– Już o tym chyba wspominałaś.

– Złapiemy cię.

– Jasne. Abbouda nie udaje się wam złapać już trzy lata, a znacie jego cholerny adres.

Pokiwała głową.

– Ale próbujemy. Wcześniej czy później Abboud stanie przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym.

– Nie, jeśli MTK wyśle do Darfuru Kanadyjkę bez obstawy. Żeby go złapać, będziecie potrzebować dużo pomocy.

Zauważył, że jego słowa ją zaintrygowały.

– I ty nam w tym pomożesz? Czy to jest ten twój szczywany plan?

Court wiedział, że za dużo wypaplał.

– Naprawdę myślisz, że gdybym przyjechał po Abbouda, to pojechałbym do Darfuru? Nie, pojechałbym do Chartumu, czyli tam, gdzie on jest – dodał, mając nadzieję, że Ellen to kupi.

Wzruszyła ramionami.

– Ja tu nie jestem po Abbouda – odparła. – Badam nielegalną proliferację broni. Import uzbrojenia to symptom. Abboud to choroba.

– Uważasz, że jest on bezpośrednio odpowiedzialny za tutejsze ludobójstwo?

Ellen się zamyśliła.

– Odpowiedzialny? Na pewno nie on jeden. Ale jest w stanie je powstrzymać. Naprawdę wierzę, że ma tę możliwość.

– Powinien po prostu dostać kulkę w łeb i to by go powstrzymało. – Court po raz pierwszy był naprawdę zainteresowany rozmową. Czekał na jej reakcję.

– Czyli twoją odpowiedzią na każde pytanie jest twój karabin?

– Nie mój karabin. Nie jestem w Chartumie.

– No dobra, nie twój konkretnie, ale naprawdę uważasz, że zabicie go naprawi sytuację?

– A ty?

– Ja tak nie uważam. Jego zwolennicy i jego następcy mogą potem toczyć wojnę przez ładnych parę lat, nawet dziesięcioleci. Pewne jest natomiast to, że jego śmierć zaprzepaści pracę organizacji pozarządowych, które on bądź co bądź tu wpuszcza. Ktokolwiek go zastąpi, prawdopodobnie nie będzie chciał mieć na głowie wścibskich spojrzeń organizacji międzynarodowych w Darfurze, zwłaszcza jeśli mordy nie ustaną.

– Więc Abboud jest jednym z dobrych? – podpuszczał ją, aby wyciągnąć więcej informacji na temat obecnej sytuacji politycznej w regionie.

– Oczywiście, że nie. Jest tak paskudny, jak długi jest dzień. Mówię po prostu, że jego śmierć może wywołać niezamierzone konsekwencje.

Court doskonale wiedział o pewnych zamierzonych konsekwencjach, na które ślinili się Rosjanie. Chcieli usunąć Abbouda, żeby Chińczycy stracili dostęp do Traktu 12A.

Ale jaki byłby koszt dla regionu?

Postanowił pociągnąć ją jeszcze trochę za język. O sytuacji w Sudanie wiedziała znacznie więcej niż on. Mimo wszystko szanował jej wiedzę, nawet jeśli zakładał, że wyciągane przez nią wnioski są w najlepszym wypadku naiwne, a w najgorszym po prostu głupie.

– A inni gracze w rejonie? Rosjanie, Chińczycy, Stany, Unia Afrykańska?

– Co z nimi?

– Myślisz, że zależy im, co tu się będzie działo?

Nie przystając, odwróciła się do niego. Zastanowiła się i westchnęła zamyślona. Koń za nimi parsknął.

– Cóż, Chińczycy mają prawa do złóż mineralnych i kopalin w północnym Darfurze. Na razie wiele nie znaleźli, ale jakby im się udało, to wtedy, za przeproszeniem, wolnoamerykanka. To całkowicie zmieni krajobraz polityczny w rejonie.

– Co masz na myśli?

– Chińczycy mają obecnie kruche przymierze z Abboudem. Rosjanie z kolei mają kruche przymierze z...

– Wiceprezydentem, który zastąpi Abbouda, gdy go zabraknie – wtrącił Court, usiłując dokończyć jej zdanie.

– Nie. Wiceprezydent to miękiszon, jakich mało. Chciałam powiedzieć, że Rosjanie mają kruche przymierze z władzami Czadu. Niektórzy uważają, że gdyby ktoś zabił Abbouda, to nastąpi szamotanina o władzę i wojna domowa rozleje się na cały kraj. A Czad to wykorzysta i z pomocą Rosji najedzie na Darfur. To oczywiście wywoła istną burzę i to, nie zapominajmy, pomiędzy dwiema potęgami nuklearnymi. Mnie osobiście ten spisek wydaje się trochę zbyt wielkich rozmiarów, żeby Rosji się chciało w to bawić. No, chyba że pod tym piachem rzeczywiście znajdzie się coś bardzo intratnego.

Sprawiła wrażenie, jakby znała się na rzeczy. Court zaczął się więc domyślać, ku swojej rozpaczy, że Grigorij Sidorenko znów go okłamał. Rosjanie wcale nie chcieli, żeby Abboud zginął dlatego, że dostaliby dostęp do Traktu 12A, tylko dlatego, że jego śmierć zaprowadziłaby chaos, dzięki któremu Czad mógłby najechać na Sudan i zabrać Trakt 12A dla Rosjan za pomocą krwawej wojny.

A to skurwysyny.

Wpadł na pomysł.

– Ale wy chcecie aresztować Abbouda... Czy skutek nie będzie taki sam, jak zabicie go? W obu wypadkach straciłby władzę i nie byłby w stanie

zapobiec wojnie domowej.

– Plan MTK jest taki, że jakby się udało dać Abboudowi jakiś powód, żeby zaczął wykorzystywać swoje wpływy na naszą korzyść, wtedy może by się też udało sprawić, aby jego sprzymierzeńcy i następcy nie wpadli w pułapkę. Nie stali się pionkami rozgrywek między Chinami a Rosją.

„Ciekawe”, pomyślał Court, ale prawdę powiedziawszy, nie widział, jaki powód mógłby mieć Abboud, żeby współpracować z Międzynarodowym Trybunałem Karnym.

Weszli się na łagodne wzniesienie, którego szczyt porastały palmy. Po drugiej stronie, w dolinie, ich oczom ukazał się olbrzymi obóz dla osób przemieszczonych wewnątrz, rozciągający się prawie po horyzont. Mimo ciemności dostrzegli tysiące namiotów. Wzdłuż całej długości obozu były rozmieszczone światła. Zauważyli kilka pojazdów UNAMID-u. Ogniska zasilane wielbłądzimi odchodami lśniły w oddali niczym setki świetlików, bursztynowych kamyczków porozrzucanych po szerokiej dolinie.

– Niesamowite – stwierdziła Ellen, trzymając się pod boki.

– Widzisz bramę? – spytał Court, wskazując na wejście w ogrodzeniu strzeżone z obu stron przez białe wozy pancerne.

– Tak – powiedziała, po czym spojrzała na niego. – Nie idziesz ze mną, prawda?

Court wspiął się na konia.

– Nie.

– Czy to przez to, co powiedziałam? Że zamierzam wyciągnąć konsekwencje prawne? Słuchaj, tu będziesz bezpieczniejszy niż na otwartym terenie. Obiecuję, że cię tutaj nie aresztuję. Postępuję zgodnie z prawem. Nawet nie ma na ciebie nakazu.

– Nie jadę z tobą. Mam tu jeszcze robotę, którą zamierzam wykonać.

– Więc po prostu odjedziesz wraz z zachodem słońca?

– Jest wpół do pierwszej w nocy.

Walsh pokręciła głową, odganiając sprzed oczu bzyzące owady.

– Założę się, że uważasz się za kowboja. Ale nim nie jesteś. Jesteś banitą. Jesteś...

– Słuchaj, Ellen, daj mi trzy dni. Tylko tyle potrzebuję. Za trzy dni możesz robić, co ci się podoba. Napisz raport, wyślij za mną ludzi.

– Dlaczego nie powiesz mi, co to za misja? Co się wydarzy za trzy dni? Dla kogo pracujesz? Jeśli rzeczywiście nasze cele się pokrywają, to obiecuję, że zrobię wszystko, aby ci pomóc.

– Bez obrazy, panno Walsh, ale nie potrzebuję takiej pomocy, jaką może zapewnić mi twoja organizacja.

Spojrzała na karabin wiszący mu u piersi i zrezygnowana machnęła ręką.

– Czyli znowu tylko to ci może pomóc?

– Wyobraź sobie, że nie przyjechałem tu nikogo zabijać. Przez ostatnią dobę nie wykonywałem swojej misji. Jak już wspominałem, gwarantuję, że pochwalilibyś to, co tu mam zrobić. A to zajmie mi trzy dni. Zwłoka zostanie wynagrodzona.

Ellen milczała. Court podejrzewał, że może postanowi dać mu trzy dni z czystej ciekawości. Ale też nie zdziwiłby się, gdyby pobiegła do bramy obozu i zwołała żołnierzy UNAMID-u, żeby wsiedli do dżipów i ruszyli za białym jeźdźcem przez pustynię. Ellen Walsh, jak zresztą każda kobieta, była dla Courta Gentry'ego zagadką.

– Trzy dni, proszę – powiedział, po czym mocno pociągnął za lejce, odwrócił konia i pogalopował w ciemną noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Court siedział w maleńkim pokoju hotelowym w Al-Faszirze wyposażonym w leżący na podłodze podarty, brudny materac. Po drugiej stronie otwartego okna zaczynał się już turkocący, świszczący, rozbeczany i rozkrzyczany poranek pełen ludzi, zwierząt i pojazdów.

Był brudny. Marzył o prysznicu, ale wiedział, że tutaj nie dostąpi tego luksusu. Jedynym sanitariatem była maleńka klitka na drugim końcu korytarza z dziurą w podłodze służącą za klozet. Cały wieczór rozdrapywał ślady po ugryzieniach pcheł. Nie wyspał się. Czego jednak można było oczekiwać po darmowym noclegu?

Półtora dnia i większość sudańskich funtów, jakie miał – tyle kosztowało go zdobycie auta z kierowcą, który zawiózł go z powrotem do stolicy północnego Darfuru. Za resztę gotówki kupił telefon satelitarny. Musiał dorzucić jeszcze zegarek i oba kałasznikowy. Okazało się, że kuzyn faceta, który go wiozł z Dirry, był właścicielem zapyziałego pensjonatu w Al-Faszirze dla robotników przyjeżdżających budować coś dla organizacji pozarządowych. Kierowca pogadał z krewniakiem i załatwił Courtowi darmowy nocleg. Uczynni kuzyni wzięli go nawet na zakupy i zapłacili za kupione przez niego towary z własnej kieszeni. Tego dnia, który spędził w trasie, a potem na mieście, Gentry przekonał się, że wielu Sudańczyków to życzliwi, szczodrzy ludzie, którzy gotowi są podzielić się swoim czasem i skromnym dobytkiem nawet z obcym przybyszem.

W tej chwili Court mógł się zrewanżować właściwie tylko wdzięcznością, kilkoma znanymi mu arabskimi słowami wyrażającymi podziękowanie i językiem gestów z tej kultury. Tego dnia przykładął rękę do serca i żarliwie kiwał głową, gdyż uznał, że gdyby nie kolor jego skóry, można by go uznać za miejscowego.

W całej swojej karierze odwiedził, czy to jako agent samodzielny CIA, agent jednostki paramilitarnej tejże agencji, czy jako wolny strzelec, dziesiątki, jeśli nie setki miejsc na kuli ziemskiej. Wiele z nich było do

dupy, jednak raz na jakiś czas trafiał do jakiegoś odległego – w sensie zarówno geograficznym, jak i kulturowym – miejsca, w którym czy to krajobraz, czy ludzie, czy ich sposób bycia robiły na nim wrażenie i wspominał je z rozrzewnieniem jeszcze długo po skończeniu roboty i opuszczeniu tego miejsca.

Nie inaczej było z Darfurem. A nawet nie miało go tu być. Owszem, było tu dużo do znienawidzenia: żar jak w piekle, roiło się od wszelkiego rodzaju robactwa, a kraj rządzony był przez dyktatora i mordercze bandy zbirów. Court jednak wyczuł tu coś pozytywnego w ludziach, w ich uporze i zdyscyplinowaniu niezbędnym, aby móc mierzyć się z paskudnym dniem, choć byli zdani właściwie tylko na siebie. Szanował tych ludzi, którzy wykorzystywali to, co przyniosło im życie, i był im wdzięczny za okazaną mu życzliwość i gościnność. Chciałby móc się im odwdzięczyć choćby poprzez odsunięcie od władzy człowieka, który ich mordował.

Sięgnął przez materac, podniósł telefon i zadzwonił do Sankt Petersburga.

* * *

Tej nocy Grigorij Iwanowicz Sidorenko nie mógł zasnąć. Jego człowiek zaginął w otchłani Darfuru – daleko od miejsca, gdzie miał się znaleźć. Już prawie trzecią dobę nie było z nim kontaktu. Międzynarodowe kanały informacyjne donosiły, że zaatakowano konwój humanitarny jakieś półtorej godziny jazdy od miejsca, w którym go ostatnio widziano. Szczegóły były niejasne, ale sprawa nie wyglądała dobrze.

Sid siedział przy śniadaniu w zimnym pokoju. Wbił zęby w jajko na twardo i patrzył tępo w telefon. Od trzech dni praktycznie nie spuszczał z niego oczu.

Nagle aparat zadzwonił. Grigorij podskoczył. Próbuąc chwycić słuchawkę, przewrócił kryształowy kieliszek z mimozą. Mieszanina świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy prosto z Florydy, koniaku Grand Marnier Cuveedu Centenaire oraz szampana Krug Grande Cuvee zaczęła wsiąkać w puszysty szlafrok z przetykanego złotymi nićmi polaru. Nie zważając na ten kosztowny bałagan, odebrał połączenie.

– Słuszaję was. Słucham pana.

– Tu Gray. Słyszysz mnie pan?

– Panie Gray, gdzie pan jest?

– Wróciłem do Al-Faszir. Chwilowo jestem w bezpiecznym miejscu, ale nie mogę tu długo zostać.

– Co się stało?

– Proszę się nie martwić. Musiałem się czymś zająć.

– Zaj... Szanowny panie, to niedopuszczalne! Zagroził pan całej misji! FSB jest bardzo niezadowolona.

– Nie dało się inaczej.

– Moi ludzie rozmawiali z pilotem. Opuścił pan lotnisko, aby ratować kobietę. Kobietę!

– Trzeba było mnie nie zostawiać.

– Ale że kobietę?

– To trochę bardziej skomplikowane...

– To bardzo zaburza nam plany.

– Bynajmniej.

– Jak to bynajmniej? Jak pan może w ogóle tak mówić? Nasz następny lot do Chartumu będzie dopiero po wyjeździe Abbouda nad Morze Czerwone! Jak zamierza pan...

– Jest pan w stanie wysłać samolot do Al-Faszir?

– Owszem, już nawet mam zaklepany lot. Wylatują dziś z Białorusi. Ale tym samolotem możemy tylko wydostać pana z kraju. Nie damy rady zrobić śródlądowania w Sudanie.

– Nie musi lądować.

– Nie rozumiem.

– Proszę wziąć coś do pisania. Będę potrzebował sprzętu, jeśli mam kontynuować tę operację. Niech FSB pomoże to panu skompletować. Proszę się odprężyć. Wkrótce zapomnimy o tym maleńkim potknięciu.

– Jeśli nie wylądują, to jak pan...

– Będą musieli się postarać o trasę wylotu prowadzącą nad Morzem Czerwonym. Na pewno da się załatwić. A teraz proszę notować.

Courta dobiegły odgłosy gorączkowych poszukiwań po drugiej stronie słuchawki.

– Proszę poczekać... Dobra, jestem gotowy.

Court podyktował mu listę. Sidorenko notował niczym rozedrgana, początkująca sekretarka. Kiedy skończył, westchnął głęboko.

– Naprawdę jest pan w stanie to zrobić?

– Jasne.

– A pilot, on będzie w stanie?

– Porozmawia z nim pan, kiedy już będziemy w powietrzu. Na pewno zdoła go pan zachęcić, aby wykonywał wszystkie moje polecenia.

– Da, ma się rozumieć – odpowiedział Sidorenko. Już się nie gniewał. Jego głos był piskliwy z podekscytowania. – Ależ to będzie... niezwykle niebezpieczne dla pana!

– Martwi się pan o moje zdrowie?

– Ależ oczywiście... Ja po prostu chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc.

– Ma pan dla mnie jeszcze jakieś informacje?

– Miałem załatwionego człowieka, który zawiózłby was z Chartumu do Sawakinu. A pański plan zakłada samotne przejście piechotą przez ten teren. Obawiam się, że... że może być problem, bo nie wygląda pan na Sudańczyka.

– W tym rejonie mieszka plemię Raszaida, arabski lud o jaśniejszej karnacji. Z bliska może się nie udać, ale jak sobie owinę głowę i ubiorę się jak tubylcy, to mijający mnie kierowca czy pieszy prędzej uzna mnie za jednego z Raszaidów niż za białego.

– Jest pan w stanie zaryzykować życie?

– Taka robota – odpowiedział nonszalancko zabójca.

Sidorence aż dech zaparło z podziwu.

– Jest pan niesamowity – wydusił w końcu.

Zapadło milczenie. Sid myślał, że Amerykanin jakoś odpowie na jego komentarz, ale Gray Man tylko powiedział:

– Reszta planu bez zmian. Jak już się znajdę w terenie, skontaktuję się dopiero po wszystkim.

– Da. A, jeszcze jedno. Ten człowiek, który miał was zawieźć do Sawakinu. To tamtejszy policjant. Zdarza mu się donosić do FSB. Może ma jakieś informacje, które mogą okazać się pomocne. Mogę umówić spotkanie.

Court pomyślał przez chwilę. Jeśli chodziło o misję zleconą przez Sida, nie potrzebował kontaktu w policji. Co innego misja Zacka. Operacji Szafir Nocy zdecydowanie przydałoby się kolejne źródło znające rozkład sił w terenie.

– Zgoda.

– Panie Gray, proszę pamiętać, że ja zawsze mam dla pana kobiety. Dużo pięknych kobiet! Naprawdę nie musi pan szukać sobie babeczki na pustyni.

Jak pan wróci, to już nigdy nie zazna pan niedoboru kobiecego towarzystwa! – dodał Sid.

Court westchnął głęboko.

– Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

* * *

Court oparł głowę o ściankę z dykty. Wiedział, że musi zadzwonić do Zacka, ale odkładał to. Domyślał się, że czeka go solidny opieprz, i się nie mylił. Po trzech sygnałach Zack odebrał telefon bez zbędnych uprzejmości.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?

– Miałem obsuwę.

– Obsuwę? Serio? Obsuwę? Miodzio. Cieszę się, że tylko tyle, bo przez chwilę, kurwa, się bałem, że może mi, kurwa, jebany zegarek źle chodzi!

– Obsuwa wynikała ze spotkania z NSB. I z Dżandżawidami.

– NSB i do tego Dżandżawidzi? Domyślałem się, że wyszedłeś poza lotnisko?

– Uhm.

– A czy to przypadkiem nie ma jakiegoś związku z jakąś kanadyjską lafiryndą z Międzynarodowego Trybunału Karnego?

– Czyli rozpuściła wieści?

– Ona nie, ale grzyby atomowe nad konwojami humanitarnymi owszem! Musiałeś nieźle ją oczarować, bo laska twierdzi, że w ogóle nie pamięta nawet, jak wyglądasz. Lokalsi natomiast paplają o tym, że jakiś biały kutas wysadził im dwie ciężarówki i powybił w chuj Dżandżasów. Co ty, kurwa, za manianę odprawiasz?

– Potrzebowała pomocy.

– Serio? No jaki ty jesteś, kurwa, szlachetny. Ale wiesz co? Ja też potrzebuję twojej pomocy. I tego, żebyś, kurwa, robił, co do ciebie należy! Wyobraź sobie, że uganianie się za spódniczkami po pustyni, kiedy twoim zadaniem jest dostać się na miejsce i przygotować najważniejszą operację specjalną naszego wydziału ostatniej dekady, nie sprawi, że cofną nakaz strzelania do twojej nadobnej dupencji, Sześć.

– Nie goniłem za żadnymi spódniczkami. Inaczej by ją zabili.

– Oj, to by, kurwa, była wielka szkoda. Moje łzy tak ciekną, że, kurwa, Nil mi z oczu leci! A moi chłopcy prawie już musieli se w nim popływać, żeby wyciągnąć twoją zasraną dupę z Darfuru!

Court doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie było mowy, aby CIA wysłało oddział Whiskey Sierra do Darfuru po Sierrę Sześć. To było wręcz komiczne stwierdzenie. Ale dobrze wiedział, że najlepiej pozwolić, żeby Sierra Jeden sobie popsioczył. Pamiętał, że jak się nie wtrąca w jego tyrady, to ustają same, jak pożar lasu, który wypala górę, że nie zostaje z niego ani gałązka.

– Słuchaj – zaczął w końcu Court zmęczony tą rozmową. – Wszystko gra. Sid dziś wysłała tu po mnie samolot. W Sawakinie stawię się jutro rano. Będę w grze na czas, w niedzielę o szóstej trzydzieści rano zaczynamy bez zmian. Wszystko idzie zgodnie z planem.

– Na twoim miejscu mocno bym się postarał, żeby tak było. Wracaj na kurs w trymiga, bo kurewsko dużo zależy od powodzenia tej misji.

– Rozumiem. No dobra, koniec odbioru.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Siedząc na ławce z tyłu antonowa, Court gapił się w działający tym razem GPS na nowym zegarku. Odczytywał współrzędne. Musiał trzymać rękę na pulsie, aby mieć pewność, że pilot robi dokładnie to, co mu kazano.

Samolot, którym leciał, to był AN-26, znacznie mniejszy transportowiec niż ten, którym trzy dni wcześniej dostał się do Sudanu. Nie wiedział nawet, ile osób tak naprawdę liczy załoga. Odkąd dwie godziny wcześniej wszedł na pokład, nie widział nikogo ani z nikim nie rozmawiał. Czekał na nich na końcu pasa startowego lotniska w Al-Faszirze aż cztery godziny, odganiając od siebie muchy, przeganiając kopniakami maleńkie skorpiony i solfugi wielkości talerza. Ukrył się pod złamanym skrzydłem jednego z niesprawnych samolotów, które leżały wzdłuż pasa niczym martwe ptactwo. Pierwotnie chciał zacząć się w kabinie jednego z wraków, ale okazało się, że było w niej zdecydowanie za gorąco i za duszno. Poza tym nie miał wątpliwości, że są w niej węże. Kiedy po południu przeskoczył przez ogrodzenie lotniska, została mu już tylko jedna butelka wody. Ostatni łyk przełknął godzinę przed wylądowaniem rosyjskiego samolotu, czyli – jak się okazało – prawie trzy godziny przed ponownym wylotem.

Wdrapał się przez właz, który został uchylony na jego żądanie przekazane Sidowi, który przesłał je FSB, a ono poinformowało o tym załogę Roboronexportu. Kiedy dostał się do zaciemnionej kabiny transportowca, znalazł tam wszystko, o co prosił, solidnie przytwierdzone do ławki. To był ten sam plecak, który miał ze sobą podczas poprzedniego lotu, z kilkoma nowymi dodatkami, czyli sprzętem, który okazał się kluczowy do zmiany planów wywołanej nieprzewidzianym, trzydniowym pobytem w Darfurze. Załoga antonowa nie raczyła wystawić nosa z kokpitu, aby się upewnić, że się tu dostał bez problemów. Nie miał już żadnych wątpliwości: ci Ruscy mieli w głębokim poważaniu i jego, i tę misję. Pewnie irytowała ich zmiana w rozkładzie lotów, a na pewno

konieczność wykonania dziwnego manewru. I to na niego zrzucili winę za to, że FSB zawraca im głowę i ma czelność mówić im, jak mają pracować. A jeśli chodziło o faceta, którego właśnie mieli na pokładzie, to niepilnowanie wejścia i brak jakiegokolwiek powitania świadczyły o tym, ile ich to naprawdę obchodziło. Po prostu nie chcieli go znać.

A Gray Manowi niezmiernie to odpowiadało.

Przez pierwszą godzinę lotu obsesyjnie sprawdzał sprzęt. Nie ufał tym Ruskom – ani że zadbają o jego życie i zdrowie, ani że dopilnują ekwipunku, który przez kolejne dwie doby miał utrzymać go przy życiu i doprowadzić do powodzenia misji. Kiedy w końcu przekonał się, że wszystko jest w porządku, usiadł i spróbował się odprężyć. Skupił się na tematach zgoła innych niż czekająca go misja. Marzył, żeby łyknąć coś przeciwbólowego, mimo że nic go nie bolało. Owszem, miał wysoki poziom adrenaliny – jak zawsze przed takimi akcjami – ale i tak obsesyjnie zamartwiał się i drżał bardziej niż na wcześniejszych etapach swojej kariery.

Gdy pracował dla Działu Operacji Specjalnych CIA i wcześniej, był dobrze naoliwioną maszyną. A teraz tej cholерnej Kanadyjce udało się wcisnąć do jego sumienia. Doskonale wiedział, że nie powinien być w ogóle wdawać się z nią w dyskusję, usprawiedliwiać się przed nią, ale jakimś cudem udało jej się zarówno zająć mu za skórę, jak i zasiać w nim ziarno niepewności. Czuł, że miała na niego i zły, i dobry wpływ. Nigdy nie przyznałby się, że ją szanował – zdecydowanie nie považał jej zawodu ani moralizatorskiej bezczelności – ale była jedną z nielicznych osób, które spotykał tu, po ciemnej stronie. Choć uważał ją za hipisowską, świętoszkowatą, podśpiewującą We Are the World naiwną naprawiaczką świata, to doceniał, że przynajmniej miała odwagę mierzyć się bezpośrednio z prawdziwymi niebezpieczeństwami tego świata.

Nagle samolot zaczął ostre zejście. Żołądek podskoczył Courtowi do gardła. Gray Man przygotował się do skoku i rozpiął pas bezpieczeństwa.

Faktem było, że Ellen Walsh zdołała trafić Courta w czułe miejsce. I choć najprawdopodobniej właśnie gromadziła wszystkie dokumenty do otwarcia śledztwa w jego sprawie, kierując całą swoją energią na to, aby go znaleźć, złapać i dopilnować, by go wsadzono za kraty, Court skłamałby, twierdząc, że nie chciałby jej jeszcze raz zobaczyć.

Potrząsnął z dezaprobatą głową.

„Kurwa, chłopie, otrząśnij się z tego!”

Antonow wyrównał lot, tym razem rzucając żołądkiem Courta w drugą stronę. Rozległ się metaliczny brzdęk i mechaniczny trzask – kłapa ładunkowa się otworzyła. Z oświetlonej na czerwono kabiny zobaczył chłodne nocne niebo. Aż uszy bolały od świstu powietrza, ale aerodynamika pojazdu sprawiała, że nie czuł podmuchów wiatru.

Tak, kiedyś był doskonale naoliwioną maszyną.

Court wstał, pomajstrował przy sprzęcie, który miał ze sobą, i zaczął powoli zmierzać w noc. Wmawiał sobie, że wciąż jest tą maszyną. Nawet w to uwierzył. Wiedział to. Tylko ostatnimi czasy ta maszyna potrzebowała częstszego i obfitszego oliwienia. Dla próby sprawdził sprzęt przyczepiony do klatki piersiowej, trzymany między kolanami i przymocowany na plecach, po czym przeszedł powoli po rampie i wyskoczył w ciemne przestworza.

* * *

Tu, niedaleko wybrzeża Sudanu, nocne powietrze było chłodne dzięki łagodnym bryzom znad Morza Czerwonego. Rejon Atbaj, zwany inaczej Górami Czerwonomorskimi, to topograficzna anomalia ciągnąca się na zachód od Portu Sudan i na północny zachód od Sawakinu, poprzetykana wzbijającymi się z Sahelu wzgórzami i górami, stanowiąca brązowe kamieniste zniekształcenia na płaskim poza tym terenie.

Pół godziny przed północą jedynym światłem pośród wzgórz był srebrzysty księżyc. W promieniu kilkunastu kilometrów nie błyszczały żadne elektryczne źródła światła, co jednak nie oznaczało, że nikt tu nie mieszka. Teren był zajęty przez Bedżów i Raszaidów. Na płaskowyżu zajmowali się hodowlą kóz czy drobnym rolnictwem, handlowali po sukach w Porcie Sudan czy w Sawakinie, prowadzili gospodarstwa na własne potrzeby, żyli z owoców swojej pracy na tej twardej ziemi, starając się nie wchodzić w drogę Arabom, plemionom, które sprawowały władzę w Sudanie.

Kiedyś w tych górach było złoto. Od czasów faraonów szukano i wydobywano tu ten kruszec, który następnie przewożono do Aleksandrii i Kairu. Teraz wydobywanie metali szlachetnych w tym rejonie praktycznie wygasło, wciąż pozyskiwano jeszcze gips, rudę żelaza i wapień, które wysyłano tam, gdzie potrzebne były surowce do budowy miast i domów.

Tutaj już zdecydowanie nikt ich nie potrzebował.

Kilka lat wcześniej toczyła się tu wojna. Tak jak na południu Sudanu i w Darfurze, wschodnie plemiona mniejszościowe też kiedyś próbowały uwolnić się spod opresji. Były jednak słabo zorganizowane, praktycznie nie miały funduszy, więc poddały się po czymś, co stało się ledwie przypisem do wieści o większych, bardziej złowrogich konfliktach prowadzonych na drugim końcu ogromnego państwa.

Teraz, na tym chłodnym, ciemnym i cichym wzgórzu na wschodnim skraju płaskowyżu z widokiem na ciągnącą się ponad trzydzieści kilometrów do Port Sudanu i aż do morza nizinie, nie było widać nic poza wychudłymi kozami pozostawionymi na noc przez bedżańskich pasterzy. Wiele z nich spało na stojąco, a kilka leniwie przeżuwało zielone źdźbła trawy.

Jakaś koza zameczała głośno. Powoli zaczęły do niej dołączać kolejne. Wkrótce okolica rozbrzmiewała chórem kozich głosów. Po chwili stado rozbiegło się na wszystkie strony, opróżniając trawiasty stok. W zwolnione miejsce upadł wielki brązowy plecak, odbił się i potoczył w dół, ciągnąc za sobą siedmiometrowy sznur. Po dwóch sekundach odziany na ciemno mężczyzna wylądował obiema stopami na trawie. Po lekkim potknięciu udało mu się złapać równowagę. Spadochron nad jego głową zwinął się i ponownie rozwinął, po czym ciąg powietrza biegnący od wzgórza do niziny szarpnął nim i desantowiec znów stracił równowagę. Poleciał do przodu, potknął się i przeokoziółkował, zaplątując się w płachtę. Zatrzymał się dwadzieścia metrów dalej. Spadochron opadł, mężczyzna zebrał go, a kozy wreszcie przestały beczeć i jak gdyby nigdy nic wróciły na trawę.

Gentry siedział, tuląc powiewającą płachtę, i wpatrywał się w ciemność.

– Kurwa – mruknął pod nosem, po czym pochylił się, oparł na lewym ramieniu i zwymiotował w suchą trawę.

Kiedy opanował torsje, wziął łyk wody z manierki w plecaku, przepłukał usta i splunął kwaśną cieczą. Znów spojrzął w dal. Patrzył na wschód. Na północnym wschodzie dostrzegł światła dochodzące z położonego na wybrzeżu, nieco ponad trzydzieści kilometrów od niego, miasta Port Sudan. Następnie zwrócił się na prawo, na południe. Wiedział, że gdzieś tam w ciemności, jakieś czterdzieści kilometrów stąd, znajdował się Sawakin. Musiał się tam jak najszybciej dostać.

Żałował, że nie udało mu się dotrzeć tu wcześniej. Wolałby już być na miejscu, spokojnie zając się rekonesansem, zapoznać się z terenem, a nie zdawać się, konstruując plan misji, jedynie na mapy.

Court wstał. Lewy pośladek bolał go mocno, był posiniaczony i twardy, ale on starał się tym nie przejmować. Dobrze wiedział, że ma w plecaku zapas środków przeciwbólowych. I to całkiem spory. Próbował toczyć nierówną walkę ze sobą i specjalnie schował prochy bardzo głęboko, by jak najdłużej bez nich wytrzymać. Na razie mu się udawało. Nie rozdarł plecaka w poszukiwaniu leków, tylko wstał, spędził kilka minut w stadzie wychudłych kóz, chowając parasol i inne niepotrzebne bambetle w głaskanej przez bryzę trawie i zaroślach. Przebrał się. Włożył proste ciemnoniebieskie spodnie i ciemnozieloną koszulkę z krótkimi rękawami. Obie rzeczy kupił poprzedniego dnia w Al-Faszir. Planował zabezpieczyć się podwójną przykrywką.

Członkowie jasnoskórego arabskiego ludu Raszaida zamiast popularnych w regionie długich szat i peleryn często nosili bardziej konwencjonalne z punktu widzenia przybyszów z Zachodu stroje. Wiedział zresztą, że jakby przyszło co do czego, to z bliska nikt nie wzięłby go za członka tego plemienia. Nikt mówiący na co dzień po arabsku nie kupi jego mizernej wymowy, zwłaszcza że odmiana, którą i tak ledwo władał, znacznie różniła się od tutejszej. Postanowił więc w miarę możliwości unikać bliższych kontaktów z ludźmi. Jakby takiej opcji nie było, zamierzał podawać się za muzułmanina z Bośni, który pojechał uczyć się arabskiego w Egipcie, ale potem postanowił udać się na hadż, czyli jeden z pięciu filarów islamu – obowiązkową pielgrzymkę do Mekki. Sawakin nie słyszał z wielu rzeczy, ale wśród muzułmanów ze wschodniej Afryki był znany jako port, z którego można było wsiąść na prom do Dzeddy, skąd dalej łatwo się dostać do Mekki. W tym celu nawet zaopatrzył się na targu w Darfurze w niewielki dywanik modlitewny.

To była chyba najśłabsza przykrywka, jakiej kiedykolwiek próbował użyć. Powodów, dla których był to kiepski pomysł, było tyle, że nawet przestał je zliczać. Po pierwsze, nie znał ani słowa po serbsko-chorwacku czy po bośniacku, czyli w żadnym z języków używanych w Bośni i Hercegowinie. Nie wpadł na dobrą wymówkę, dlaczego Bośniak mieszkający w Egipcie miałby się przekradać przez zieloną granicę do Sudanu, by dostać się na prom do Arabii Saudyjskiej. Ponadto nie miał przygotowanego żadnego wytłumaczenia, po co mu opasły plecak i te wszystkie znajdujące się w nim kurioza, zwłaszcza takie jak karabin snajperski, ani dlaczego ma ze sobą mnóstwo pieniędzy i w portfelu, i w

pasku. Nie był w stanie opisać dokładnie trasy, którą przybył do Sudanu, ani nawet dzielnicy, w której podobno mieszkał w Kairze.

Jakby ktoś go o cokolwiek pytał, będzie udawać totalnego tępaka – to akurat przychodziło mu z łatwością.

Wiedział, że ta legenda operacyjna może zadziałać tylko w najbardziej przelotnych kontaktach z ludźmi. Gdyby został zatrzymany przez policję, wojsko czy w sumie kogokolwiek wyższego rangą od zamiataczy wielbłądziego gówna, ta bajka na nic by się nie zdała – każdy zobaczyłby tylko jedno, czyli że to niewierny, a do tego zabójca, który dosłownie spadł im z nieba.

Tuż przed pierwszą w nocy Gray Man zarzucił płócienny plecak na plecy i zaczął zejście.

* * *

O ósmej rano Court siedział po turecku na stercie słomy na wózku ciągniętym przez osła, który był prowadzony przez dwóch chłopaczków z plemienia Bedża. Mieli na oko góra trzynaście, czternaście lat. Każdy miał na głowie imponujące afro. Byli ubrani w identyczne workowate beżowe spodnie i brązowe kamizelki. Ich skóra koloru mlecznej czekolady połyskiwała w promieniach nieustępliwego porannego słońca. Court powiedział im, że jest bośniackim pielgrzymem, a oni przyjęli to bez komentarza. Wręczył im kilka sudańskich funtów, które skwapliwie wzięli. Zmierzali aż do Sawakinu, do domu wuja, dla którego był i ten osioł, i ta słoma. Choć ten środek komunikacji bynajmniej nie był szybszy od jego chodu, Court zdecydowanie wolał siedzieć na słomie, niż maszerować.

Powiedział chłopcom, że będąc cudzoziemcem, wolał nie rzucać się w oczy władzom. Poradzili mu więc, posługując się wspólnymi w ich odmianach arabskiego słowami i pantomimą, że jak się pojawią jakieś auta czy budki strażnicze, to powinien chować się wraz z pakunkiem w słomie. Chłopców to bawiło. On odwdzieczył się, kupując im na jednym ze straganów obsługujących podróżnych wsiadających na prom do Dzeddy jedzenie i herbatę. Kupił też przekąskę dla osła, posiłek taki jak ten dla ludzi, co doprowadziło dzieciaki do ataku śmiechu.

Po południu, w miarę jak na rozmytym w gorącu horyzoncie zaczęło się pokazywać wybrzeże, Gentry zakopał się głęboko w słomie i się nie ruszał. Próbował nie zakrztusić się kurzem ani nie rozmyślać zanadto o tym, że coś włazi mu do spodni i za koszulkę. Ruch się znacząco zageścił: pojawiły się

autobusy, wózki ciągnięte przez osły i konie, piesi, a czasem nawet prywatny samochód.

Dwukrotnie minęły ich wojskowe transportowce. Sidorenko dał Gentry'emu dużo do poczytania o Sawakinie. Court większość zignorował, przejrzał tylko uważnie mapę. Stwierdził, że dokładna znajomość tego starego miasta portowego nie była mu bardzo podczas tej misji potrzebna. Przeczytał jednak jakiś krótki artykuł i zafascynowała go bogata historia tej miejscowości. Sawakiński port słynął nie tylko jako miejsce, z którego odpływał prom do Arabii Saudyjskiej, ale też z tego, że był to najdłużej funkcjonujący port niewolniczy w Afryce, który przestał obsługiwać handel niewolnikami dopiero w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym.

Sawakin było kluczowym miastem na mapie handlu niewolnikami w Afryce, nieważne czy akurat znajdował się pod władzą Egiptu, Imperium, czy Brytyjczyków. Wiele z ogromnych, pięknych budowli, które obecnie znajdowały się w fatalnym stanie, zostało zbudowanych za dochody z tego okrutnego, ale niezwykle lukratywnego biznesu.

Court wiedział, że nie należy się tu spodziewać zbyt dobrej infrastruktury, jednak prezydent Abboud posiadał nieopodal miasta gospodarstwo i lubił rano wołać na modlitwę z wieży meczetu z widokiem na Morze Czerwone.

I właśnie dlatego miasto to znalazło się w planach podróży Courta Gentry'ego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kiedy zapadła noc, Gray Man był na północ od Sawakinu. Przyglądał się wodzie w lagunie. Właściwe Morze Czerwone zaczynało się jakieś pięć kilometrów na wschód od niego. Ten wąski przesmyk chronił niewielki port i przez wiele stuleci stanowił naturalną drogę morską, niezwykle popularną aż do roku tysiąc dziewięćset siódmego, kiedy to sześćdziesiąt kilometrów na północ wybudowano Port Sudan i Sawakin stracił swoją rolę w regionie. Gentry wciąż miał na sobie sudański strój. Wyglądało to na w miarę zachodni styl, ale nie wyróżniał się wśród miejscowych. Był opalony, miał ciemną brodę i włosy, po dniu uciążliwej podróży był pokryty warstwą kurzu i brudu, a na głowie miał białą takiję – w nocy i z dalszej odległości mógł zostać wzięty za Araba, może za przedstawiciela plemienia Raszaidów, o ile nikt by mu się zbyt uważnie nie przyglądał. Miał też na podorędziu opowieść o tym, jakoby był pielgrzymem z Bośni, choć była ona równie mizerna zarówno tutaj, jak i trzydzieści kilometrów na zachód.

Plecak ze sprzętem ukrył głęboko między głazami jakieś dziewięć metrów od skraju ciepłej wody. Znalazł ciemne, podobne do jaskini wgłębienie wśród kamieni i tam urządził sobie prowizoryczną kryjówkę.

Bryza znad oceanu nie była chłodna, ale przynajmniej było czym oddychać. Na pewno było mniej skwarnie i duszno niż w Al-Faszirze czy podczas sześciogodzinnej podróży na wozie ciągniętym przez osła. W porównaniu z tym, czego doświadczył przez ostatnie cztery doby, nieprzerwany powiew powietrza znad wody w cieniu przybrzeżnych kamieni wydawał się Courtowi rześki i łagodny niczym dotyk kobiety, nie żeby miał przez ostatnie kilka lat wiele doświadczenia na tym polu. Rozłożył się i rozmyślał. Bosymi stopami majtał w morskiej wodzie, a głowę położył na butach. Miał wielką ochotę łyknąć coś przeciwbólowego, zafundować sobie ostatnią chwilę odprężenia przed czekającą go rano niebezpieczną akcją.

Nie miał jednak czasu na rozrywki. Musiał zadzwonić do Zacka, spotkać się i odebrać część ekwipunku na następny dzień. Miał też przed sobą spotkanie z Mohammedem, tutejszym gliną na garnuszku rosyjskiego wywiadu.

Wyciągnął telefon satelitarny marki Thuraya, wystukał co trzeba i czekał.

– Jesteś? – odezwał się Zack. Skupiał się obecnie na misji. Owszem, wciąż był wściekły na Courta za to, co miało miejsce w Darfurze, ale tym razem, w przeciwieństwie do tego, jak to było w ich poprzedniej rozmowie, dał sobie spokój ze złościwością macho.

– Tak jest.

– Spotkajmy się w Echo, cztery–pięć Mike.

– Zrozumiałem. Echo za czterdzieści pięć.

– Koniec odbioru.

* * *

„Echo” to był kryptonim zrujnowanego budynku pewnego starca w Starym Sawakinie, na opuszczonej wyspie pokrytej ruinami domów z kamienia i wapienia rafowego, połączonej z groblą z El-Gejf, czyli nowym Sawakinem, który ciągnął się wzdłuż wybrzeża na stałym lądzie. Court ledwo zerknął na groblę, włożył buty, spodnie i pistolet do małego plecaka, zarzucił go przez klatkę piersiową, po czym przepłynął przez lagunę w najwęższym jej miejscu, co zajęło mu nie więcej niż pięć minut. Po drugiej stronie wyspy kanał był głębszy i szerszy. Widział go w oddali, w świetle wielkiego, ale wyglądającego na bardzo stare więzienie na drugim brzegu. W okolicy grobli kołysało się kilka łódek rybackich. Dalej czarną wodę przemierzały prywatne jachty. Ich generatory oświetlały dzioby i żagle oraz zasilaly głośniki, z których dochodziła muzyka w zachodnim stylu. Prawdopodobnie też dostarczały energię elektryczną do kuchni pokładowych, bardziej nowoczesnych od jakiegokolwiek domowej kuchenki w zaciemnionym mieście.

Na opuszczonej wyspie Starego Miasta ogarnęła go ciemność. Jedynym słabym źródłem blasku było odbicie srebrzącego się półksiężyca. Ruiny dawnych budowli z wapienia koralowego, wzniesionych w dwunastym wieku, kiedy Sawakin był głównym portem Afryki Północnej, znajdowały się w stanie powolnego rozkładu. Zachowały się imponujące mury, ale po niektórych domach została tylko sterta kamieni. Gdzieniegdzie widać było

prowadzące donikąd schody, spośród zarośli wyłaniały się dostojne perystazy i pojedyncze kolumny, zamiast posadzek na ziemi leżały warstwy pyłu i pokruszonych kamieni Stróże, jedyni ludzie żyjący na wyspie, mieszkali w drewnianych chatkach na drugim końcu Starego Miasta. Poza nimi były tylko czworonogi.

Court ledwo wszedł piętnaście metrów w głąb wyspy, gdy ze wszech stron został otoczony przez koty. Szedł ścieżką na wzgórze. W obawie, by nikt go nie zauważył, trzymał się najciemniejszych zakamarków. Koty podążały za nim. Były jednak równie ciche i chytre jak on i, poza rzadkimi mruknięciami, niczym nie zdradzały przemarszu tej dziwnej brygady. Po kolejnych piętnastu metrach Gentry ostrożnie podszedł do starego skarbcza. Z krzaków dobiegł go odgłos, który musiał zostać wydany przez coś większego niż kocie łapki. Z plecaka wyciągnął Glocka 19 z tłumikiem, podszedł do przodu i zobaczył przed sobą klęczącego wielbłąda, który spojrzał na niego, spokojnie coś przeżuwał.

Court schował broń i przyjrzał się budowli zza dwóch powalonych kolumn. Bacznie nasłuchiwał wszystkich odgłosów, które nie były dochodzącą z oddali muzyką i mruzeniem kotów. Po chwili słabe światło latarki dwukrotnie mrugnęło z drugiej kondygnacji starego skarbcza. Gentry wstał i przeszedł przez wąską ścieżkę.

Z budowli zostało niewiele więcej niż dwukondygnacyjna fasada. W jednym rogu wznosiła się kręta klatka schodowa i pozostałości podłogi na piętrze. Wszystko inne – dach, boczne i tylne ściany, reszta drugiego poziomu – zdążyło ugrzęznąć w górze kamieni i zbutwiałego drewna w miejscu, które niegdyś było parterem. U stóp klatki schodowej Court dostrzegł Sierrę Dwa, czyli prawą rękę Zacka. Brad był najstarszym członkiem oddziału. Miał poprzetykaną siwizną brodę i był ubrany jak tubylcy: na głowie biały turban, w rękach kałasznikow.

Sierra Dwa kiwnął głową, bynajmniej nie przyjacielsko.

– Idź na górę – rzucił.

Kamienne stopnie były w miarę stabilne, ale Court był pewien, że reszta budynku długo nie postoi. Ostrożnie wspiął się po schodach. Znalazł Zacka Hightowera w południowo-zachodnim rogu piętra – jedynym, w którym w ogóle była jakaś podłoga. Siedział po turecku w cieniu, ubrany i uzbrojony podobnie do Brada. Odkąd się ostatni raz widzieli – czyli osiem dni wcześniej – udało mu się zapuścić krótką bródkę, ale poza tym wyglądał zupełnie tak jak w Petersburgu.

Gentry usiadł obok niego. Kilka kotów poszło za jego przykładem. Zack cofnął się głębiej w mrok. Court też, aż nie byli w stanie siebie widzieć.

– Nie wydajesz się mokry – zauważył Gentry.

– Z jachtu przyплыliśmy Zodiakiem od ciemnej strony laguny. „Hannah” jest zakotwiczona piętnaście kilometrów na północny wschód – wyjaśnił Zack.

– Na wodach Sudanu?

– A i owszem. Nawet jeden patrol do nas przyплыł i weszli na pokład. Przeszukali po łódkach. Myślą, że jesteśmy Australijczykami, którzy pływają wzdłuż wybrzeża w oczekiwaniu na część do silnika, którą ktoś ma przysłać DHL-em do Port Sudanu. Daliśmy im piwo i fajki i pozostajemy w najlepszej komitywie.

Court ściągnął czarnego kota z kolan i lekko pchnął go w stronę schodów.

– Byłeś już w mieście? – zapytał Zack, przysuwając po poharatanej podłodze tyłek bliżej Courta, żeby ściszyć głos. Ich rozmowa niosła się zadziwiająco daleko w noc.

– Jeszcze nie. A ty?

Zack pokiwał głową. Court widział, jak czubek jego brody wznosi się i opada.

– Strasznie zasrana dziura. A wierz mi, ja się znam na zasranych dziurach. Jest tu coś westernowego. Prąd mają z generatorów. Tylko jedna droga jest asfaltowa. Reszta ulic i dróg to błoto, osłe gówno, kozie gówno i wielbłądzie gówno na każdym kroku. Budynki z wapienia koralowego, jak ten tutaj. Nie ma żadnej konstrukcji, której za pomocą kilku cegieł nie dałoby się w pół godziny powalić. Trzy czwarte wszystkiego to małe chaty z wyrzuconego na brzeg drewna, blachy i zardzewiałych beczek.

– Czyli nie ma mocniejszej osłony, jak robi się gorąco. – Gentry dokończył myśl Zacka.

– No właśnie, kurwa. Jeśli jutro zrobi się gorąco, to od samych fal dźwiękowych budynki pospadają ci na głowę – mruknął Sierra Jeden. Court usłyszał w ciemności ruch, ale niczego nie widział. – Może by to nawet wyszło tutejszym na dobre. Przydałoby się przebudowa miasta – dorzucił Zack.

– A policja?

– Podczas rekonesansu stwierdziliśmy, że nie ma ich wielu. Kilku ziomków w cywilu z chińskimi kałachami. Trzy czy cztery to pikapy i jedna

kilkusetletnia armata przed posterunkiem.

– Armata?

– Dekoracja.

Court pokiwał głową.

– Wiedz, że rezydentura w Sudanie wciąż sra pod siebie a propos twoich wyczynów w północnym Darfurze. Wszyscy twierdzą, że Sierra Sześć zdradził, że odstawia własne maniany czterysta mil od celu. Naprawdę spierdoliłeś. Najpierw nie dajesz znaku życia przez trzy dni, a jak w końcu się odzywasz, to nie masz wytłumaczenia dla całej rozpierdowy na pustyni.

– Zack spojrzał na Gentry’ego, wyczekując odpowiedzi.

– Przyznaję – westchnął ciężko Court. – Zrobiło się dziwnie.

Zack wzruszył ramionami.

– Biały Dom truje dupę Denny’emu Carmichaelowi, aby wyjaśnił, co się właściwie odpiądziła. Podziela ich niepokój.

– Mówiłem, co się stało.

– Ta laska z Międzynarodowego Trybunału Karnego. Kanadyjka.

Rozpozna cię?

– Nie wie, kim jestem.

– Utrudni nam życie?

– Ewentualnie mnie, ale później. Nie na tę opkę.

– Jesteś pewien?

Court przemyślał to i odparł:

– Tak, jestem. Owszem, uważa mnie za zło wcielone... Ale przekonałem ją, że jeśli chodzi o to, co robię w Sudanie, to mamy wspólne interesy.

Zack przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu. W końcu powoli zmienił temat.

– Jutro o szóstej trzydzieści Abboud opuści miejsce pobytu. Ma dziesięć minut spacerkiem do meczetu. Pięć na plac, do tego minuta i znajdzie się tuż przed bankiem. Ruch Wyzwolenia Sudanu uderzy na plac od północy dokładnie o szóstej trzydzieści sześć.

– Mają zegarki?

– Rezydentura twierdzi, że tak.

– Whiskey Sierra nie jest w bezpośrednim kontakcie z partyzantami?

– Nie. Rezydentura ma w mieście oficera prowadzącego RWS – wyjaśnił, wzruszając ramionami, jakby zrezygnowany. – Ty masz być na miejscu w banku, gdy przyjdzie co do czego.

– Rozumiem.

– Jak już porwiesz Oryksa, weź go przecznicę na południe, a potem osiem na zachód od tyłu banku. Na parkingu cegielni znajdziesz czterodrzwiową czarną škodę octavię. Rezydentura ją tam umieściła, posmarowała jednemu z palaczy, żeby pilnował ją przez noc. Tu masz kluczyki.

Court wziął je i zapytał:

– A co ty będziesz robił w tym czasie?

– Ja, Brad, Milo i Dan spędzimy noc na jachcie. Jutro rano będziemy na miejscu.

– A Sierra Pięć?

– Spencer już jest w mieście. On i oficer prowadzący z rezydentury mieszkają w hotelu Suakin Palace. Wierz mi, do pałacu mu daleko. Za to ma niezły widok z drugiego piętra na plac. Prowadzący usuwa się dziś w nocy, ale Spencer zostaje i będzie czuwał.

– Bardzo dobrze. – Court był pozytywnie zaskoczony tym, że rano będzie na miejscu dodatkowa para oczu. Zdziwił się jednak, że Zack nie miał nic przeciwko, żeby któryś z jego chłopaków był tak blisko akcji. Wolał jednak nie drażnić tematu, żeby nie zapeszyć. Poruszył kwestię bojowników: – A Ruch Wyzwolenia Sudanu już w gotowości?

– Mam nadzieję – mruknął Zack. – Rezydentura w Sudanie wybuliła na nich czterysta tysięcy dolców. Jutro rano na nasz znak trzydziestu pięciu chłopca zaatakuje od północy.

– Jak to trzydziestu pięciu?

Zack pokiwał tylko głową.

– Co się stało z setką?

Kiedy Hightower usiłował namówić Courta do wzięcia udziału w tej misji, obiecywał mu, że uwagę ochrony prezydenta i lokalnej policji odwróci setka nacierających rebeliantów. Wyjaśniając, skąd ta różnica, Zack nie okazał cienia skruchy. Machnął ręką, jakby to był marny szczegół.

– Oj, to by było za dużo. Wystarczy kilka ciężarówek na placu, kilka przy posterunku policji, do tego kilka na drodze. Z naszych informacji wynika, że jeśli ochrona osobista Abbouda będzie wystarczająco blisko banku, to tak czy siak go tam wrzucą, nieważne, ile naprawdę będzie strzelania. A nie chcemy jeszcze zawracać sobie głowy jakąś poważniejszą bitwą. Trzydziestu pięciu wystarczy.

– Mówisz, jakby ktoś ci sprzedał tę wersję, a teraz chcesz, żebym i ja ją kupił.

Zack uśmiechnął się lekko. Pierwszy raz od czterech dni, od rozmowy w samolocie do Al-Fashir, wyraził inne uczucie niż wściekłość. Po kilku sekundach podniósł ręce na znak, że się poddaje, i przyznał mu rację.

– A i owszem. Obiecywali setkę. Teraz powiedzieli, że dostanę trzydziestu pięciu. Ich tłumaczenie już ci przedstawiłem. Zgadzam się, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłem miasto, ale przyznam, że nie lubię sytuacji, kiedy planuję operację w oparciu o jakieś założenie, a później okazuje się, że muszę wykonać ją w innych realiach.

Court tylko pokiwał głową w ciemności.

– Ale mimo wszystko chcesz kontynuować?

– No, jasne, że tak! – odparł Sierra Jeden bez wahania.

– No to spoko.

Z zachodu dobiegło ich wieczorne wołanie z minaretu. Court wiedział, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, że przed wschodem słońca będzie w okolicy tego meczetu. Spojrzał na Zacka i spytał:

– Masz dla mnie sprzęt?

Hightower wcisnął kciukiem przycisk włączający transmisję przy palcu wskazującym na rękawiczce. Mówił do maleńkiego zestawu słuchawkowego z maleńkim mikrofonem koło prawego policzka.

– Brad, przynieś plecak.

Po kilku sekundach u szczytu schodów pojawił się Sierra Dwa. Pakunek był, zgodnie z przewidywaniami Courta, mniej więcej wielkości jego drugiego plecaka, tego, który leżał w stercie kamieni jakieś trzysta metrów na północ od skarbcza.

– Kurde, będę potrzebował szpery.

– Co narzekasz? Oficjalnie prowadzisz dwie misje naraz, to chyba jasne, że potrzebujesz dwa razy tyle sprzętu.

Zack podał mu małe plastikowe pudełko. To był zestaw słuchawkowy C4OPS, taki sam, z jakiego następnego poranka miał korzystać oddział Whiskey Sierra. To była nówka technologiczna, brakowało w tym tylko lodówki i zmywarki. Radio, GPS, bezprzewodowy przycisk PTT do przyłączenia na rękawiczce czy broń, słuchawki, które zapewniają ochronę również przed hałasem podczas strzelaniny, a do tego praktycznie niewidoczny mikrofon, zwłaszcza jeśli jest noszony przez brodacza. W Petersburgu Zack przeszkolił w obsłudze tego Courta, który nigdy o takim cacku nawet nie słyszał.

– Jak z szyfrowaniem? Jest ryzyko, że przeciwnicy coś wychwycą?

– Już pokazuję. – Zack włączył urządzenie i bezprzewodowy przycisk transkrypcji. Następnie szepnął do mikrofonu: – Dobry wieczór, obdartusy i szmatogłowy... Nazywam się Zachary Paul Hightower, mój SSN to czterysta trzysta pięć, pięćset pięćdziesiąt pięć, tysiąc dwieście osiemdziesiąt siedem. Prezydent Abboud ssie wielbłądzie kutasy...

Sierra Dwa wciąż stał przy schodach. Odezwał się:

– Hej! To mój numer ubezpieczenia społecznego!

Zack uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Ojej! Czyżby? Wybacz, Brad. – Następnie zwrócił się do Courta: – Na tym możesz słuchać naszych komunikatów. Żebyś wiedział, co się u nas wyprawia. Ale masz nie blokować nam sieci. Żadnych transmisji. Jeśli będziesz chciał ze mną pogadać, to przez thurayę. Ja moją będę mieć zawsze przy sobie, podłączoną do słuchawek, nawet w czasie walki.

– Dlaczego mielibyście walczyć? Myślałem, że będziecie na uboczu aż do spotkania na bagnach.

– Wiesz, stary, że zawsze coś może pieprznąć. Jeśli mocno, to kto wie, co przyjdzie nam robić. Będziemy zvarci i gotowi, żeby w razie potrzeby przyplłynąć i zapewnić ci wsparcie. Rezydentura wysłała nam nawet furgonetkę na wypadek, gdybyśmy mieli rano stawić się w mieście. Dostaliśmy też miejscowe ciuszki. Sprzęt mamy z drugiej ręki. Na wszelki wypadek nie będziemy używać amerykańskiego ekwipunku. Mamy spluwy z Izraela, Niemiec i Rosji, buciory od Chorwatów, plecaki od Chińczyków, a opancerzenie z Australii.

Court zdziwił się, że aż tyle przygotowano na wypadek, gdyby cały oddział musiał walczyć, ale w końcu kilka lat minęło, odkąd brał udział w akcji na taką skalę. Zazwyczaj pracował sam i sam załatwiał cały sprzęt i logistykę.

Zack nachylił się, stojąc w łagodnej poświacie księżyca. Wystawił dłoń w rękawiczkę. Court potrząsnął nią w ciemności.

– Powodzenia jutro. Widzimy się po wszystkim, z Oryksem. Po eksfilcie odwalimy zarąbistą wikszę na jachcie.

– Brzmi cudownie. A moglibyście mnie najpierw podrzucić na drugą stronę laguny?

– Nie ma problemu.

Court przypatrywał się uważnie twarzy i mowie ciała Hightowera w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak kłamstwa. To, że Sierra Jeden wydawał się mieć ten sam cel co on, zdecydowanie go uspokoiło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

O dziesiątej tego wieczoru Gentry był już kilka przecznic na zachód od miejsca, dokąd został podrzucony przez sześćoosobowy ponton Zacka. Stał w ciemnym zaułku, ale tuż przed jego nosem przechodziło wielu mieszkańców. Niektórzy przyglądali się mu z zaciekawieniem, ale nie wyczuł w tym ani podejrzliwości, ani strachu. Z informacji od Sida wynikało, że pasażerom i załodze cudzoziemskich żaglówek i jachtów, które przybijały do portu, dawano przepustkę do miasta, by mogli zrobić zakupy czy coś zjeść, o ile zapłacili za ten przywilej i nie mieli w paszportach izraelskich wiz. Court podejrzewał, że białe twarze, choć może nie widywano ich tu za często, nie były egzotycznym widokiem, tak więc nawet jeśli zwracał na siebie uwagę kolorem skóry, to mało prawdopodobne, by jego obecność kogoś zaniepokoiła.

Na rogu zaparkował stary biały mercedes sedan. Nie wyłączył silnika, który wykasływał tumany spalin w noc. Kierowca na kogoś czekał. To musiał być Mohammed, miejscowy policjant na garnuszku ruskiego wywiadu. Court przez chwilę jeszcze pozostał w ukryciu, chciał się upewnić, że nikt nie śledził auta. W końcu uznał, że jedynym pojazdem siedzącym mu na ogonie mogłaby być dwustulitrowa beczka wody ciągnięta przez osła, a to wydało mu się mało prawdopodobne. Poza tym nie było w okolicy innych pojazdów.

Court zajął miejsce obok kierowcy. Samochód ruszył w ciąg brudnych, ciemnych ulic.

Twarz kierowcy była niewzruszona i zdawała się nie mieć żadnego konkretnego wyrazu. Gentry odniósł wrażenie, że nawet gdyby wnętrze samochodu rozświetlała największa, najjaśniejsza żarówka prosto ze stadionu futbolu amerykańskiego, do tego skierowana prosto w onyksową twarz mężczyzny, nie zdołałby z niej wyczytać nic ponad to, co mógł dostrzec w ciemności.

Pierwszy odezwał się po angielsku policjant. Niskim chropowatym głosem zapytał:

– Jest pan Rosjaninem?

Court stwierdził, że skoro pracuje dla Ruskich, to nie ma co komplikować sprawy.

– Tak.

– Dobrze. Powiedz pan swoim, że chcę więcej pieniędzy.

– Nie jestem pańskim agentem. Sam im pan powiedz.

Tylko usta tego człowieka się poruszały. Court widział niejednego automat do kawy, który sprawiał bardziej ludzkie wrażenie niż ten informator.

– To spotkanie to pomaganie FSB, a to stawia mnie w niebezpiecznym położeniu. Zanim powiem więcej, będę potrzebował więcej pieniędzy.

Court tego nie kupił. Z doświadczenia wiedział, że to, że informator w ostatniej chwili żądał wyższej zapłaty, było regułą, a nie wyjątkiem od reguły. Donosiciele często zarzekali się przy tym, że sprawy się w tak zwanym międzyczasie pokomplikowały. Z tego, co było mu wiadomo, to głównym zadaniem tego człowieka było przewiezienie go z Chartumu do Sawakinu. Skoro okazało się, że Court nie potrzebował tej konkretnej usługi, to miał gdzieś, czy FSB opłaciło tego gościa, czy nie. No cóż, ale umówił się z nim po to, żeby zobaczyć, czy jest w stanie od niego czegoś pożytecznego się dowiedzieć.

Ledwo wsiadł, a już wyglądało na to, że niepotrzebnie się fatygował.

– Nie mam żadnej forsy – skłamał Court. Nie uśmiechało mu się marnowanie gotówki na tego skurwysyna. – Jeśli ma pan dla mnie coś przydatnego, to wspomnę przełożonym, jaki był pan pomocny.

Człowiek z kamienną twarzą skręcił i zaparkował. Pojazd był spowity ciemnością. Reflektory oświetlały jedynie wzburzoną przez auto chmurę kurzu. Mohammed spojrzał prosto w oczy Courta, który miał nadzieję, że w ciemności wyglądał tak samo groźnie jak ten dupek.

– To nie wystarczy.

– No to koniec rozmowy. Powiem FSB, że zmienił pan zdanie. Na pewno wkrótce się odezwą – oznajmił Court, udając, że wychodzi z auta. Doskonale wiedział, co zaraz nastąpi.

– Czekał pan.

Court ponownie usiadł na popękany skórzany siedzeniu. Pistolet wbił mu się przy tym w prawe biodro.

– Nastąpiły pewne zmiany co do sytuacji w Sawakinie.

Court myślał już, że zaraz usłyszy kolejną gadkę o niebezpieczeństwie, które zasługiwało na podwyższenie stawki. Westchnął. Jednak to, co usłyszał, przykuło jego uwagę.

– Myślałem, że Abboud przyjedzie jak zwykle z niewielką obstawą. Zwykle jest ich mniej więcej dwudziestu pięciu ludzi, nie więcej. Jasne, zawsze w Port Sudanie czekają większe posiłki, które czatują przy helikopterze, ale zazwyczaj do Sawakinu towarzyszy mu tylko dwudziestu pięciu ochroniarzy.

– A teraz? Co jest inaczej?

– Tego popołudnia przyjechało NSB.

– Tajna policja? Tutaj?

– Tak jest.

– Ilu? – Court spojrział na swoje dłonie. Podłubał przy paznokciach.

– Ja widziałem pięciu – powiedział mężczyzna w mroku. Następnie dodał, jakby przy okazji: – Ale jest teraz w mieście wyjątkowo dużo wojska. Uważaj pan na nich.

– Co to znaczy: wyjątkowo dużo?

– Co najmniej jedna kompania. Piechota.

To sprawiło, że Gentry podniósł wzrok z powrotem na kierowcę.

– Wie pan, dlaczego?

– Chodzą słuchy, że na jakiejś farmie pod miastem wyniuchano partyzantów.

– Partyzantów?

– Tak. Ruch Wyzwolenia Sudanu. Dziwne. Nigdy tak daleko na wschód się nie zapuszczali.

– Wiadomo, ilu ich jest?

Policjant wykonał pierwszy tego wieczoru gest: machnął ręką.

– Niewielu. Tak z dziesięciu, dwunastu.

Dwunastka. Zack najpierw obiecywał setkę, potem spuścił do trzydziestu pięciu. Teraz najpewniejsze źródło twierdziło, że tak naprawdę był ich tuzin. Court nie miał pretensji do Sierry Jeden. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby Zack wiedział, że jego bojownicy zastępczy pojawią się w tak małej liczbie, na pewno nie pozwoliliby, żeby operacja zaszła aż tak daleko. Zresztą nie pierwszy raz widział, jak liczby ludzi maleją w oczach. Najbardziej winił tutejszą rezydenturę CIA, która obiecała dużo i nie zdołała wypełnić zobowiązania. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę to nigdy nie mogło być mowy na serio o setce wojowników w Sawakinie.

Rezydentura obstawiała – jak widać błędnie – że uda im się załatwić trzydziestu pięciu. Na dwunastu bojowników, i to wykrytych przez miejscowe władze, nikt się nie nabierze. Gdyby doszło do próby porwania prezydenta, wojsko poradzi sobie z garstką partyzantów w kilka minut.

Court oczywiście nie zrezygnował z zabicia prezydenta na zlecenie Grigorija Sidorenki, ale porywanie go bez ataku bojowników musiało wypaść z kalendarza. Gentry nie miał wątpliwości, że Zack odwoła misję.

– Tak więc chcę więcej pieniędzy, jeśli mam jutro pomóc.

Court musiał najpierw pogadać z Zackiem, by upewnić się, że w ogóle będzie miał coś jutro do roboty. Uświadomił sobie jednak, że być może będzie musiał skorzystać z usług Mohammeda w sprawie ucieczki. Jeśli operacja Szafir Nocy zostanie skreślona, CIA może stwierdzić, że najlepiej będzie, by Gray Man wykonał zlecenie Sida i uciekł zgodnie z pierwotnym planem, korzystając z kontaktów Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

– Mam dwa tysiące euro.

– Chcę dziesięć.

Court pomyślał chwilę. To nie była jego forsa, więc nie miał interesu w tym, żeby oszczędzać. Miał jednak piętnastoletnie doświadczenie w targowaniu się w państwach rozwijających się, więc wiedział, co należy robić.

Pokiwał głową.

– Trzy teraz, trzy po sprawie – odpowiedział. Sześć tysięcy euro to pewnie trzy razy więcej, niż ten parszywy kapuś zarabiał w rok. Zakładając, że Ruscy pewnie już się zgodzili zapłacić mu co najmniej tyle, więc nieźle się nachapie.

Mohammed dłuższą chwilę wpatrywał się w Gentry'ego. W końcu ruszył i wytoczył się na ulicę.

– Zgoda.

Mercedes krążył wokół Sawakinu jeszcze kilkanaście minut, podczas których kierowca i pasażer dogadywali szczegóły. Court przy okazji próbował dokonać rekonesansu. Patrzył przez brudne szyby, ale nie mógł się połapać w labiryncie ulic i ubitych dróg.

W końcu Mohammed zatrzymał się i ku zdziwieniu Courta wysadził go dokładnie w tym samym miejscu, z którego pół godziny wcześniej go odebrał.

– Jutro rano będę w umówionym miejscu w umówionym czasie. Zawiozę pana do domu w Chartumie, gdzie przeczeka pan, aż da się bezpiecznie

pojechać na lotnisko – powiedział.

Gentry wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął świeżutki rulon euro. To była forsa Sida. CIA nie dało mu złamanego grosza.

* * *

Court dotarł do kryjówki o jedenastej. Sprawdził, czy nic w jego plecakach nie zostało ruszone, po czym wypił butelkę letniej wody. Wziął telefon satelitarny i zadzwonił.

Zack odebrał po trzecim dzwonku.

– Hej, Szóstka. Drzemałem słodko. Oby to było coś ważnego – odezwał się zaspanym głosem.

– Będziesz musiał odwołać Szafir Nocy. Ruch Wyzwolenia Sudanu został zauważony.

– Kto tak mówi? – Hightower błyskawicznie wrócił do rzeczywistości.

– Informator FSB. Miejscowy glina. Mówi, że ekipa z NSB i piechota Armii Sudanu są tu, bo wyczaili, że po okolicy kręci się dwunastu koleś z RWS.

– Dwunastu?

– Tak jest.

– Dwunastu? Tuzin? Jedna dziesiątka plus dwóch partyzantów?

– Informacje tego koleśki wydają się solidne.

– Jebana rezydentura w Sudanie! – przeklął po dłuższej chwili ciszy Zack.

– Doskonale wyrażasz moje myśli. Albo miejscowy rezydent kurewsko przecenił zdolność zebrania i wysłania przez RWS ludzi do nas, albo...

– Albo partyzanci skłamacz, obiecali dużo ludzi, aby wyłudzić kapuchę od Wuja Sama. A potem jeszcze dali się, kurwa, wykryć!

– Chuje jebane.

– Potwierdzam. – W słuchawce rozległ się chichot dowódcy. – Nigdy nie myślałem, że przyjdzie mi to powiedzieć, ale chwała Bogu za Griszę Sidorenko i jego wtyki.

– Prawda? A mogło się zrobić paskudnie.

– Daj mi zaraportować Denny'emu.

– Powiedz mu, że trzeba odwołać misję.

– Zobaczmy, co on powie.

– Daj znać na cito, Jeden. Zawsze mogę zastrzelić Oryksa, w tym mi nie przeszkodzą.

– Poczekajmy, co powie Denny – powtórzył Zack.

* * *

Kryjówka wybrana przez Courta na spędzenie nocy była, przynajmniej z punktu widzenia operacyjnego, praktycznie idealna i do przechowania sprzętu, i do spędzenia w niej nocy. Zmieścił w niej oba potężne plecaki. Udało mu się odpowiednio przygotować i rozparcelować sprzęt. Znalazł ciepły gład, wystarczająco wielki i płaski, żeby się na nim położyć. Delikatne uderzenia fal o kamienisty brzeg działały kojąco, liczył, że pomogą mu się odprężyć i zregenerować.

Na telefon od Zacka przyszło mu czekać ponad godzinę. Zadzwoił tuż po północy, dokładnie w chwili, gdy Gentry zamknął oczy i zaczął pochrapywać. Zdążył podpiąć thurayę do systemu C4OPS, tak więc gdy w uchu usłyszał dzwonek, wystarczyło wcisnąć guzik w telefonie, by połączenie zostało przesłane bezprzewodowo do słuchawek.

– Tak? – Gentry odebrał od razu.

– Carmichael dał zielone światło.

– Na wykonanie zlecenia dla Sida i zabicie Abbouda, prawda?

– Nie. Szafir Nocy bez zmian. Masz aresztować Oryksa i przewieźć go przez wodę.

– Jak, do cholery, mam go porwać przy takiej sile wroga?

– Rezydentura w Sudanie nie wierzy w te informacje. Uważają, że albo twoje źródło łączy jak pies, albo ty łączy jak pies. A Carmichael stanął po ich stronie. Na razie bez zmian, ignorujemy twoje źródło. CIA twierdzi, że jest tu trzydziestu pięciu chłopów z RWS, nic im nie wiadomo o zwiększonej liczbie NSB czy wojska. RWS twierdzi, że nie ma przeszkód, żeby jutro dokładnie o szóstej trzydzieści sześć rano uderzyli na plac.

– Ja nie łączę jak pies, Zack.

– Wiem, że nie. Słuchaj, Carmichael dał mi pozwolenie, żebym jakby co w ostatniej chwili odszczekał misję. Jeśli zobaczymy jutro, że coś śmierdzi, to w każdej chwili będę mógł przerwać opkę. Pozwolił mi być na miejscu.

– Będziesz ze mną w banku?

– Nie, ale będziemy w pobliżu. Mamy też zielone światło na akcję bezpośrednią, gdyby była taka potrzeba.

Court wciągnął wilgotne powietrze.

– Serio? Chcecie się strzelać z goryłami i żołnierzami? Myślałem, że mieliście zrobić wszystko, by CIA mogło się wyprzeć tej akcji? Po co wam

ja, skoro macie zielone światło...

– Wierz mi, Court, Carmichael nie ma wyjścia. Naobiecował nie wiadomo co i teraz musi spełnić to przy użyciu wszelkiej dostępnej siły. Obiecał Białemu Domowi, że przekazemy Oryksa do Europy. To znaczy, że musimy przekazać Oryksa do Europy. Od tej operacji zależy przyszłość całego wydziału operacji specjalnych.

– Od tej operacji zależy przyszłość mojego prywatnego tyłka. Obiecywałeś, że to będzie walka pomiędzy goryłami Abbouda a mną wspartym przez setkę partyzantów. Teraz do goryli dołącza kompania Armii Sudanu, kontyngent tajnej policji nieznanych rozmiarów, a wszystko to kontra kilka pikapów z bandą niewyszkolonych kutasiarzy, którzy już dali się zdekonspirować!

– Mówię ci, że rezydentura tak nie uważa. A nawet jeśli, to Whiskey Sierra zadziała jak wysoki mnożnik siły. Damy radę.

– Wiesz, Zack, że ten plan potrzebuje lewatywy.

– Słuchaj, młody. Pamiętasz zamierzchłe czasy? Ile akcji Bandy Zbirów poszło zgodnie z planem?

Court zamyślił się, po czym odparł:

– Ani jedna mi nie przychodzi na myśl, ale...

– No właśnie. Ten plan to najlepsza opcja. Jak wszystko pójdzie w pizdu, to wymyśli się coś innego. Jak zawsze.

– Nie podoba mi się to.

– Odnotowuję twój sprzeciw i umieszczę go w teczce podpisanej „A kogo, kurwa, obchodzi, co o tym myśli Court”. – Zack zaśmiał się z własnego dowcipu. – Pamiętasz, Sześć, co ci zawsze mówiłem? Nie musi ci się to podobać...

– ...masz to po prostu wykonać – dokończył Gentry. Był zdrowo wkurzony, ale wiedział, że nie miał nic do powiedzenia. A Hightower doskonale wiedział, że robi to, co mu każe.

– Chcesz wrócić na łono Agencji? No to trzymaj się swojej części Szafiru Nocy. To coś, co sprawi, że Carmichael będzie bardzo szczęśliwym i niezmiernie wdzięcznym człowiekiem. Nie martw się. Whiskey Sierra będzie za rogiem, gotowa, żeby ci ratować dupę jakby co.

Po dłuższej chwili Gentry mruknął:

– Koniec odbioru.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Court obudził się i spojrzął na zegarek. Rozpadający się tryt na wskazówkach rozbłysnął, wskazując, że powinien wstawać. Czwarta trzydzieści. Powietrze było chłodne od porannej bryzy. Przeturlał się, usiadł i wziął głęboki wdech.

Spał najwyżej kilka godzin. Czekał go misja sprawiła, że długo nerwowo przekręcał się z boku na bok. Głowił się nad szczegółami i planami awaryjnymi. Rozważał różne scenariusze działań, ale nijak nie potrafił ich zgrać. Nieważne, jak do tego podchodził, nie był w stanie wyobrazić sobie przebiegu wydarzeń, który sprawiłby, że ten dzień nie zakończy się totalnym rozpierdołem. Czuł, jakby gnał rozpędzonym cyrkiem na kółkach prosto w drzewo, ale nie miał czasu z niego wyskoczyć.

Z plecaka od Sierry Jeden wyjął batonik Soldier Fuel o smaku masła orzechowego, czyli wzbogaconą o witaminy i białko przekąskę energetyczną opracowaną przez dietetyków Armii Stanów Zjednoczonych. Rozdarł folię, pochłoniął go łąpczywie i popił wodą z bukłaka firmy Camel Bak. Z każdą minutą miał bardziej zawzięty i skupiony wzrok.

Gentry, niczym krab, przeszedł po kamieniach nad brzeg wody. Oddając mocz prosto do laguny, rozważał, czy nie powinien się przebrać w bardziej taktyczny strój. Postanowił jednak nie ryzykować. Marzyło mu się więcej kieszeni w spodniach – każdy operator wie, że kieszenie to rzecz święta – ale jego brudne, pokryte tłustymi plamami spodnie, w których zdążył już wspinać się po górach, płynąć, spać, a nawet jechać wózkiem zaprzężonym w osła, wyglądały zbyt autentycznie, żeby je zamienić na coś czystego i tym samym rzucającego się w oczy. Następnie wrócił po sprzęt, który dostał od Sida. Przerzucił rosyjski tobołek przez ramię i wszedł w chłodne, czarne fale laguny. Ciężki plecak był wodoodporny i miał wbudowaną niezatapialną komorę. Gentry trzymał się go, przepływając na drugą stronę.

Po dwudziestu minutach jego głowa ukazała się na szczycie minaretu na wyspie. Był w Starym Sawakinie. Wspiął się na balkon wieży, do otwartej przestrzeni tuż pod zwieńczeniem minaretu. W czasach, kiedy wyspa tętniła życiem, a meczet był otwarty – co najmniej dwieście lat temu – to stąd muezin pięć razy dziennie wyśpiewywał Adhan, wezwanie do modlitwy. Teraz świątynia była opuszczona i zamieszкана przez ptaki. Nadejście Courta obudziło i przestraszyło gołębie, które poderwały się do lotu. Gentry nie przejął się tym zamieszaniem. Zapewne koty wystarczająco często dręczyły ptactwo, by kogokolwiek zdziwiło wzlatujące nad ranem przestraszone stado. Gentry przeczołgał się na drugą stronę minaretu, rozmazując kolanami i rękawiczkami świeże ptasie odchody, ciągnąc za sobą plecak. Bardziej niż to, że ktoś go zauważy, niepokoiło go, że chybotliwa wieża może w każdej chwili runąć, grzebiąc go. Jakimś cudem jednak tak się nie stało. Court rozpiął plecak, wyciągnął części do karabinu snajperskiego marki Blaser i zaczął go skręcać.

Miało to wprowadzić różne władze i osoby w błąd. Wiedział, że tego dnia nie skorzysta z karabinu, że nie będzie w ogóle używał broni snajperskiej. Chodziło o to, aby Sidorenko uwierzył, że jego najlepszy zabójca został zdekonspirowany, a następnie pojmany bądź zgładzony przez CIA. Żeby Sid, zobaczywszy w Hadze skutego w kajdanach Abbouda, zaczął się zastanawiać, co się stało z zabójcą, którego wysłał, by zgładził prezydenta Sudanu. Carmichael obiecał, że centrala z Langley puści faimę, jakoby paramilitarny oddział od operacji specjalnych w końcu dopadł człowieka, którego tak długo ścigał, i zastrzelił go nad Morzem Czerwonym, tuż przed wykonaniem kolejnego krwawego zlecenia.

Court oczywiście nie był pewny, że ten podstęp wypali. Sid mimo wszystko nie był idiotą. Stwierdził jednak, że im więcej zostawi dowodów potwierdzających, że rzeczywiście zamierzał wykonać zlecenie, tym prędzej Sidorenko i jego poplecznicy uwierzą, że przeciek na temat losów Gray Mana się zgadza, zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie znane miejsce jego pobytu.

Nie spieszył się i ustawił wszystko tak, jak gdyby rzeczywiście szykował się do strzelania. Umieścił karabin na bipodzie, odkręcił zakrętkę celownika, który ustawił idealnie do wykonania strzału z czterystu metrów przy małym wietrze. Naładował broń i położył dodatkową amunicję po prawej stronie. W końcu, zadowolony ze swojej pracy, spojrział na odchodne przez celownik. Jakże łatwo byłoby po prostu sprzątnąć

prezydenta Abbouda, a potem dostać się do przycumowanej po drugiej stronie wyspy motorówki i zasuwać przez łagodne fale Morza Czerwonego do czekającej w pogotowiu większej łajby, by czmychnąć na wody międzynarodowe. Jasne, Sudańczycy mieli kanonierki – gdyby miał pecha, mógłby się na jakąś natknąć – ale szanse na wymknięcie się sudańskiej flocie były zdecydowanie większe niż na powodzenie operacji Szafir Nocy. Court powoli pokręcił głową. W ciągu następnych kilku godzin naprawdę pierdyliard rzeczy, nad którymi nie miał najmniejszej kontroli, musiało się bardzo, bardzo, bardzo dobrze zgrać.

Gentry wypełzł na schody. Znalazłszy się z powrotem na spowitych cieniami przedświtu uliczkach Starego Sawakinu, cofnął się ostrożnie tą samą drogą, którą przyszedł, do krawędzi wody, upewniając się, że nie pozostawił po sobie żadnych śladów wskazujących na to, że tu był, a potem opuścił wyspę. Niosąc już tylko znacznie lżejszy plecak, wrócił do ciepłej wody. Morze było spokojne niczym woda w basenie, choć jego słonawy, przesiąknięty glonami odór nie przypominał w niczym zapachu chlorowanej wody.

Kiedy Court zanurzył się już po szyję, trzymając się oburącz plecaka, obrócił głowę i raz jeszcze rzucił okiem na wyspę. Wiedział, że kiedy za kilka godzin albo nawet dni pozostawione przez niego dowody zostaną znalezione, na pewno wyjdzie na jaw, że tu był. Wszyscy uwierzą, że zabójca dotarł do kryjówki, przygotował się do zamachu, a następnie czekał na ofiarę.

Wszystko będzie wyglądało tak, jakby potem rozpułynał się w powietrzu.

Na tę myśl Gray Man uśmiechnął się mrocznie. Następnie odwrócił się, odbił delikatnie nogami od dna, po czym ruszył na odległy o sto metrów drugi brzeg.

* * *

O piątej nad ranem na uliczkach Nowego Sawakinu nie było żywej duszy. Wschód słońca miał nastąpić dopiero za godzinę, do przejścia Oryksa zostało półtorej, ale Court już był w gotowości – schowany głęboko w cieniu długiego, pokrytego blaszanym dachem targu rybnego, który zajmował południowo-wschodni róg placu. Miał ze sobą plecak od CIA, a w nim dwadzieścia trzy kilogramy sprzętu. Przy pasie miał ukryty pod luźną koszulą telefon satelitarny, podłączony do przypiętego obok zestawu C4OPS. Do uszu włożył słuchawki bezprzewodowe, a cieniutki gumowo-

kablowy mikrofon niczym wężyk zsuwał się przez policzek do ust. Zestaw ukryty w gęstwinie włosów i brody był praktycznie niewidoczny. Pod koszulą, przy pasie tkwił Glock 19 z tłumikiem oraz dwa zapasowe magazynki. W sumie czterdzieści sześć dziewięćmilimetrowych pocisków. Na bitwę to za mało, ale plan zakładał, że walka będzie się toczyć wokół niego, a nie będzie skupiona na nim.

Choć zdecydowanie wolałby mieć trochę większą siłę ognia.

Court powoli zestrajał się z otoczeniem. Po ulicach wielbłądy stąpały samopas, osły stały za zagrodami bądź były przywiązane do drewnianych słupków. Miasteczko wyglądało jak z czasów biblijnych, gdyby nie stary, rozsypujący się meczet. Tego akurat na pewno nie było jeszcze w czasach Chrystusowych. Stwierdził jednak, siedząc w budce, w której zazwyczaj sprzedawano ryby, że od mniej więcej dwunastego wieku naszej ery niewiele się tu zmieniło. Myślami przeniósł się do tamtych czasów. Ciekawe, czy tu, gdzie teraz kuca, o wczesnej porze i wtedy czaił się jakiś szpieg czy zabójca, mając niecne zamiary i cel, który właśnie przebywał w meczecie czy w tym staro wyglądającym budynku po drugiej stronie placu. Dopiero wtedy zaczął dostrzegać wokół pewne anachronizmy. Pełno było ciągniętych przez osły wózków, ale te nie miały starych drewnianych kół, tylko grube gumowe opony. Większość straganów została zbudowana przede wszystkim z porzewiałych beczek po ropie albo z wielkich puszek po kawie. Z okna na pierwszym piętrze jednego z budynków zwisało na sznurku połamane niebieskie plastikowe wiaderko.

Nagle usłyszał blisko siebie głos. Aż podskoczył, chwycił pistolet i wstał, uderzając się o cuchnącą rybą drewnianą półkę. Po chwili zorientował się, że to głos Zacka, który dochodzi ze słuchawki. Ukrył się upokorzony i zły na siebie.

– Dzień dobry, Sześć, gdziekolwiek jesteś. My z chłopakami właśnie kończymy drugą kawusię, zaraz założymy rynsztunek i płyniemy na brzeg.
– Następnie słyhać było, jak Zack rozciąga się i wzdycha, zapewne dla wzmożenia dramatycznego efektu. – Cholibka... Wiesz, jak cholernie miło jest pracować na ciepłej posadce w budżetówce, zamiast gdzieś na własną rękę czaić się, szczać w ciemności ze strachu, że szczur, który właśnie wlaźł ci do nogawki, zaraz cię ugryzie w jajca, a ty nie możesz się ruszyć, bo cię zauważą...

Court spojrzał pod nogi. Nie było żadnego szczura. Był zły na siebie, że dał się podpuścić.

– Nie martw się, brachu. Lada moment wrócisz na przyjazne łono Wujka Sama. Oczywiście, dalej jako outsider, ale obiecuję, że pozwolę ci wpadać do nas na kawusię.

Gentry pokiwał głową. Fajnie byłoby znów należeć do ekipy, nawet jeśli nie było to usłane różami.

– Ale po kolei. Najpierw przetrwajmy ten piękny poranek. Koniec odbioru.

– Przyjąłem – szepnął Court pod nosem, choć zgodnie z umową nie nadawał do Hightowera. Następnie powoli i ostrożnie wstał. Udało mu się tym razem nie rąbnąć w półkę. Potem przeszedł na drugą stronę małej uliczki w stronę bocznego wejścia do banku. W mniej niż pół minuty udało mu się otworzyć zamek. Bułka z masłem. Wystarczyły dwa wąskie narzędzia, kilka ruchów kluczem dynamometrycznym i po robocie. Wewnątrz panowały prawie egipskie ciemności. W dochodzących przez oknągłe i łukowe okna smugach księżycowego światła unosił się kurz. Court wyciągnął z kieszeni małą latarkę, włączył ją i włożył do ust. Następnie przeszedł przez kolumnadę biegnącą wzdłuż wschodniej ściany dziedzińca. Widać, że budynek stał tu od setek lat, wydawało się jednak, że teraz w Sawakinie przestano przykładać tak wielką wagę do bankierskiego fachu. Większość potężnej przestrzeni była otwarta i pusta. Owszem, stało tu kilka biur, telefonów, drewnianych szafek na dokumenty, ale nic więcej. Minął zejście do piwnicy. Szedł dalej, do głównego wejścia. Wszystko zgadzało się z planami, które dostarczył mu Zack. Po obu stronach dwuskrzydłowych drzwi wejściowych znajdowały się schody prowadzące do wąskiego atrium powyżej. Obok wielkie okna, z których był widok na plac. Gentry przez kilka minut ustawiał sprzęt, kilkakrotnie biegając w tę i w tę po krętych schodach, aby wszystko co trzeba było gotowe w chwili, kiedy Oryks wraz z obstawą wparują przez drzwi przekonani, że właśnie ratują się przed zamieszkami na rynku.

Court wyjrzał przez otwarte okna, pierwszy raz spoglądając na plac. Nie przypominał zwykłego rynku, przynajmniej takiego jak te, które widywał podczas podróży po Europie, Azji i Ameryce Łacińskiej. Była to wielka przestrzeń wielkości dwóch boisk do futbolu amerykańskiego. Żadnych płyt ani innego utwardzenia czy choćby źdźbła trawy, jedynie wielki plac ubitej ziemi. Naprzeciw banku stały rozklekotane dwukondygnacyjne budynki. Były to pobielane kamienice w stylu kolonialnym. Wszystkie zapuszczone, nawet w świetle księżycy widać było brud. Po prawej stronie stały chaty –

ręcznie wykonane z drewna wyrzuconego na brzeg przez fale morskie, ze sklejki, z blachy i ze związanych lub zbitych razem śmieci. Court pomyślał, że niektóre trzymały się tylko dzięki modlitwom do Allaha i pokładanym w nim nadziejom. Chaty ciągnęły się w dół wzgórza aż do brzegu i grobli prowadzącej do Starego Sawakinu.

Po lewej Courta, czyli po zachodniej stronie placu, stały najpiękniejsze budynki w mieście. Wśród nich był hotel Suakin Palace. Rzucił okiem na okna drugiego piętra. Ciekawe, czy Sierra Pięc też patrzył na plac. Gentry stał w ciemności wewnątrz budynku, ale stwierdził, że Spencer pewnie był wyposażony w coś w rodzaju noktowizora. Ostrożnie podniósł rękę.

Po sekundzie w słuchawkach rozległ się głos:

– Sierra Pięc do Sierry Jeden.

– Odbiór – odpowiedział Zack.

– Sierra Sześć na stanowisku.

– Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłby nie być – odparł Hightower.

Court opuścił dłoń. Dziwnie było być obserwowanym, zwłaszcza w takiej sytuacji. Wciąż uważnie przyglądał się pozostałym budynkom wokół placu. Pobelane wapienie wyglądały, jakby były w wieku Matuzalema. Zastanowił się, czy biblijny staruszek przypadkiem nie pochodził z tych stron.

Wyjrzał na ulicę, z której lada moment powinny wyjechać ciężarówki Ruchu Wyzwolenia Sudanu, zakładając, że w ogóle się pojawią. Court stwierdził, że gdyby się nie pojawiły, będzie musiał porzucić sprzęt i wymknąć się bocznymi drzwiami. Owszem, Sudańczycy znaleźliby wtedy przedziwny zbiór wszelakich gadżetów w miejscu, gdzie prezydent schroniłby się w razie zamieszek, ale przynajmniej nie dałoby się bezpośrednio powiązać CIA z przygotowywaną zasadzką. Wszystko, co miał ze sobą, można było dostać poza Stanami Zjednoczonymi, zresztą i tak zostało ono kupione poza ojczyzną.

Miejscowa rezydentura CIA zapewniła jednak biorących udział w operacji, że partyzanci się pojawią. Uwierzyli, i to do tego stopnia, że lokalne źródło Courta uznano za niewiarygodne właśnie dlatego, że przedstawiło sprzeczne z tym zapewnieniem informacje.

„Kurwa” – pomyślał Court. On inaczej zarządzał samotnymi misjami. Praca prywatnego zabójcy na zlecenie była jednak znacznie prostsza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Gray Man skończył przygotowywać robotę w banku dziesięć po szóstej. Właśnie wrócił na stanowisko na piętrze, kiedy w słuchawce usłyszał głos Zacka.

– Whiskey Sierra na stanowisku. Trójka na dachu na północno-zachodnim rogu placu. Piątka w oknie na drugim piętrze hotelu na południowo-wschodnim rogu. Reszta razem, w ruchu. Trzy przecznice na północny wschód od placu. Jedziemy beżowym... Czekać... Co to właściwie za gówno? Jedziemy beżowym fordem ecoline. RWS uderzy z zachodu. Jakoś teraz powinni się ustawiać na ustalonych pozycjach. Pierwszy z was, który ich wypatrzy lub wysłucha, ma natychmiast meldować. – W odpowiedzi rozległo się staccato „przyjąłem” od mężczyzn przy placu.

Dziesięć minut później zaczęło świtać. Za placem miasto schodziło w dół w stronę morza, tak też ze swojego punktu obserwacyjnego Court zobaczył w oddali pobłyskujące w porannym świetle fale stykające się z niebem. Za kilka minut, po drugiej stronie rynku, miał się pojawić Oryks, ale wciąż nie było śladu Ruchu Wyzwolenia Sudanu. Powinni przynajmniej szykować się do ataku, a obaj członkowie oddziału Whiskey Sierra powinni ich albo usłyszeć, albo zobaczyć. Jednak bojowników nie było ani widać, ani słychać.

Gentry zrozumiał, co miał na myśli Zack, mówiąc, że Sawakin ma w sobie coś z westernu. Court, patrząc na kurz, proste budowle, kołki na osły i koryta, osły i drewniane daszki, spluwy gotowe do strzelaniny, poczuł się tak, jakby rzeczywiście znalazł się na Dzikim Zachodzie. Napił się wody, po czym czwarty raz sprawdził ekwipunek w plecaku. Z napięcia skurczył mu się żołądek.

– Tu Jedyńka do Piątki – rozległ się głos Zacka.

– Tu Piątka, odbiór – odpowiedział Spencer, czarny mięśniak, który wcześniej pracował w Służbach Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych.

– Dalej nic w twoim sektorze?

– Przy hotelu nic nie widać.

– Trójka?

– Na północny zachód też pusto, szefie.

Hightower się zawahał. Court był ciekawy, czy to znaczy, że zamierza odwołać misję.

– No dobra. Wygląda na to, że czas wdrożyć plan Bravo.

W ciemności banku Court Gentry zmarszczył brwi, aż prawie się zetknęły. „Co to, do kurwy nędzy, to Bravo?” Wyglądało na to, że chłopcy mieli opracowany plan B, sęk w tym, że jego nikt nie wtajemniczył.

– Przyjąłem, szefie – odezwał się Trójka. – Już trzymam RPG w gotowości.

„Miał w gotowości RPG?” Na skroni Courta pojawił się zimny pot.

Już miał wcisnąć guzik i dzwonić do Zacka, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, ale nie musiał.

– No dobra, Sześć. Pozwól, że cię wtajemniczę, zanim ci jakieś naczynko pierdolnie. – W głosie Zacka dało się usłyszeć coś w rodzaju skruchy. – Martwiliśmy się z Dennyem, że RWS rzeczywiście może nas wystawić do wiatru, mimo że tutejsza rezydentura zarzekała się, że nie ma takiej możliwości... Zresztą sam widziałeś, jak ich liczba topniała na naszych oczach. A twoje źródło, ten glina... Jak powiedział, że zostali zdekonspirowani, to już praktycznie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. – Zack przełknął ślinę. – Słuchaj, brachu. Nawet bez RWS wciąż kontynuujemy opkę. Nie potrzebujesz całej wielkiej bitwy, tylko zwykłej dywersji. Wystarczy mały ataczek, byleby tylko Oryksa wzięli w bezpieczne miejsce. Tak więc, proszę ja ciebie, ten maleńki ataczek zostanie spreparowany przez nas. Prawda, Trójka?

– Tak jest!

– Trójka i Piątka sobie postrzelają, ale tylko tyle, żeby Oryks z ochroną weszli do banku. Następnie zaczniemy napaść pozostałe towarzystwo z północnego wschodu, żeby przez minutkę czy dwie musieli się schować. Potem dla ciebie droga wolna.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Zack mówił już tylko do Courta.

– Tak na marginesie, to jest plan Denny’ego. Nie chciałem ci wcześniej mówić, no bo... No wiesz, kurwa, liczyłem na to, że się jednak pojawią. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt wkurzony.

Court nie był po prostu wkurzony. Kipiał kurwicą przez wszystkie szczeliny ciała. Z setki partyzantów zrobiło się ich zero, a Zack nic nie

wspominał nawet o kompanii piechoty, która podobno była w okolicy. Gdyby ochrona prezydenta była zajęta walką z partyzantami, Court miałby wystarczająco dużo czasu, aby przeprowadzić Oryksa do samochodu i zwiać. Teraz jednak mógł liczyć wyłącznie na wsparcie piątki gości na placu, z którymi i tak szybko musiał przerwać kontakt, przez co czasu na wyprowadzenie Oryksa z banku, przeprowadzenie go dziesięć przecznic dalej do auta i wyjechanie z miasta praktycznie nie było.

Zack zakazał Courtowi nadawać przez C4OPS, ale teraz Gentry miał to gdzieś. Przycisnął guzik na pasku.

– Ty skurwysynu! Nie zdążę go na czas...

– Rozłącz się, Sześć! – zawołał Zack. Jako dowódca był w stanie blokować pozostałe transmisje. – Widzę Oryksa i jego ochronę. Właśnie wchodzi na plac, od północnego wschodu. Trójka, przygotuj się, by uderzyć na tyły.

– Tu Trójka. Melduję, że widzę cel – mruknął Dan.

Court wyjrzał przez okno na jaśniejące miasto. Widział tylko ruch, nadchodzący z oddali tłum mężczyzn w czarnych garniturach, którzy wkraczali właśnie na plac. Zerknął na schody. Przyszło mu na myśl, aby zwiać, choć nie wiedział dokąd. Było już za późno, by wprowadzić w życie plan Sida. Nie było czasu, żeby zdążyć dotrzeć do snajperki i zlikwidować Abbouda. Wiedział, że jeśli nie wykona zadania, to nie ma co liczyć, żeby Sidorenko pomógł mu się stąd wydostać. A w razie opuszczenia operacji Szafir Nocy nie było też mowy, żeby pomogli mu w tym Zack i CIA.

Utknął w sytuacji bez wyjścia, a właściwie tylko z jednym wyjściem. Wiedział, że to właśnie dlatego Hightower nie poinformował go o zmianie planów na zaangażowanie się w walkę bezpośrednią.

Nie mógł już opuścić Szafiru Nocy.

– Ze dwieście metrów od banku – zameldował Piątka. – Dostaną, jak będą mijać drzwi.

– Przyjąłem.

Gentry raz jeszcze rozejrzał się wokół. Wszystko było na swoim miejscu. Uspokoił się. To była zupełnie inna para kaloszy niż większość wykonywanych przez niego misji, ale za czasów Bandy Zbirów zdarzyło mu się brać udział w tajnym aresztowaniu terrorystów, więc to nie nowość. Ale i tak to nie była bułka z masłem. To największa, najbardziej skomplikowana i najbardziej ograniczona czasem misja, w jakiej

kiedykolwiek uczestniczył. W dodatku wszystko aż cuchnęło desperacją ze strony CIA.

Maurice, mentor Courta, zawsze powtarzał: „Jeśli nie jesteś w stanie odejść od misji, to znaczy, że trzeba od niej uciekać”.

– Sto pięćdziesiąt metrów – rozległ się głos Piątki.

W tej chwili Court przypomniał sobie inne powiedzenie Maurice’a: „Każdy plan to po prostu wielka lista gówna, które się nie wydarzy”. Court przekonał się, że to był pewnik, zarówno jeśli chodziło o misję, jak i o całe jego życie. Plany były fajne. Wręcz konieczne. Sęk w tym, że większość z nich można o kant dupy rozbić.

– Tu Sierra Trzy do Jedyнки.

– Tu Jedyńka. Odbiór.

– Szefie, u mnie jedzie ciężarówka.

– RWS? – Court zwrócił uwagę na nutkę nadziei w głosie Hightowera.

– Poczekaj chwilę. – Nastąpiła krótka pauza. – Nie, to wojsko Armii Sudanu.

– Tu Piątka do Jedyńki... Ja tu też mam wojsko. Są dwie przecznice na zachód ode mnie, jadą w stronę placu.

– Krucafuks – odparł Zack.

„Kurwa” – pomyślał Court.

Czyli było tu wojsko, ale RWS się nie stawił. Czego tu szukała Armia Sudanu?

Court zmrużył oczy i spojrzał na plac. Po jego prawej słońce wznosiło się nad wodą niczym świeży czerwony bąbel na pięcie. Światło poranka nadało złowieszczą poświatę pobielanym budynkom. Świta Abbouda, licząca co najmniej dwudziestu ludzi, zbliżała się do niego.

– Tu Trójka. To co robimy, szefie? – Dużo się działo w słuchawce Courta, mimo że jemu nie wolno było się włączać do rozmowy.

W ciemności Court szepnął pod nosem zakłęcie, mając nadzieję, że uda mu się siłą woli zmienić rzeczywistość: „Odwołaj, odwołaj tę misję”. Wciąż tkwił pod oknem, ale w każdej chwili był w stanie zbiec na dół i uciec tylnym wejściem. Jeszcze miał szansę zwiać – nie do przygotowanego na tę okoliczność auta, ale do wody. W porcie pełno było małych łódek. Spokojnie wskoczy do jakiejś i ucieknie.

Przez radio rozległ się głos Hightowera. Court znał każdy jego ton, więc doskonale wiedział, że Zack jest zestresowany.

– Ilu ich jest? Odbiór.

– Tu Trójka. Wygląda na trzydziestu. Trzy, zero. Jedna długa ciężarówka. Widzę drobną broń i RPG. Wygląda, jakby mieli pekaemy, szefie. Odbiór.

Broń typu PKM to wielkie, zasilane taśmami rosyjskie karabiny maszynowe.

– Przyjąłem – odparł Zack.

– Tu Piątka. Mam ich tyle samo. Patrolują kolumnami, nie wyglądają, jakby spodziewali się jakichś kłopotów.

Zack nic nie mówił, przez kilka sekund panowała cisza, po czym znów ożywiło się na linii.

– Tu Trójka. Jestem w stanie teraz uderzyć. Jak się rozejdą, będzie trudno...

– Tu Jedyńska. Rozumiem, Trójka. Poczekaj jedną...

– Odwołaj... – szepnął pod nosem Gentry. I zaczął powtarzać, w kółko, jak mantrę, zdanie, które wcześniej mówił wielokrotnie w chwilach oczekiwania na decyzję Zacka, kiedy jego życie wisiało na włosku i zależało tylko od Sierry Jeden: – Wrzuć na luz, Zack. Wrzuć na luz...

Court doskonale wiedział, że od tego, co powie Sierra Jeden, znów wszystko zależy, w tym to, czy ma jeszcze szansę na przeżycie. Były dwa wyjścia. Albo bezpieczne, ciche wycofanie się, a potem długie dochodzenie, dlatego operacja Szafir Nocy rozpadła się w okamgnieniu.

Albo to drugie.

Czyli trzecia, kurwa, wojna światowa.

– No, wrzuć na luz, Zack.

Tu Sierra Jeden. Do wszystkich – odezwał się wreszcie.

Wrzuć na luz, Zack.

Długa pauza.

– Dajmy sobie z tym spokój. Wycofujemy się. Czekamy, aż Oryks i jego ludzie wejdą do meczetu. Potem po cichu uciekamy z okolicy...

Court chyba nigdy wcześniej nie odetchnął tak głęboko z ulgi.

Następnie po kolei każdy członek Whiskey Sierra potwierdził odebranie rozkazu. To byli wytrawni zawodowcy. Nie zdradzali żadnych emocji: ani ulgi, ani rozczarowania z powodu odwołania misji dosłownie w ostatniej chwili.

Gentry rzucił okiem na prezydenta Abbouda, który w otoczeniu swojej świty dziarskim krokiem właśnie maszerował w stronę banku. Poczł lekkie rozczarowanie – jego cel był jednocześnie tak blisko i tak nieosiągalny. Ale i on był zawodowcem. Nie pierwszy raz znalazł się

sytuacji, gdy brakowało ułamka sekundy do wypełnienia zadania, ale z różnych powodów nie mógł lub nie chciał go kontynuować. Court nie tracił czasu. Odwrócił się, zbiegł po schodach i skierował się ku tylnemu wyjściu. Już prawie dotykał klamki, kiedy nadeszła nowa wiadomość przez radio.

* * *

Zack Hightower wsunął karabin między kolana i pełen frustracji oparł się o zagłówek fotela w samochodzie. Brad, czyli Sierra Dwa, wcisnął gaz w brudnym beżowym fordzie. Z tyłu ecoline'a siedział Milo, czyli Sierra Cztery. Był skierowany twarzą do zamkniętych tylnych drzwi samochodu. Między nogami trzymał ogromny HK21. To karabin maszynowy, którego kolbę, strzelając, opiera się o ramię. Używa się do niego tak samo potężnych naboji jak do wielu broni myśliwskich i snajperskich, tyle że są one wystrzeliwane szybciej, prosto z mieszczącego aż setkę sztuk magazynka.

Milo został oddelegowany do tyłu jako tak zwana małpa w bagażniku, czyli gość od ewentualnego strzelania, gdyby trzeba było pozbyć się ogona. Teraz panował spokój – auto było zamknięte i nie było w kogo naparzać, ale gdyby operacja doszła do skutku, to najprawdopodobniej Sierra Cztery najwięcej by się nastrzelał. Czekając na rozpoczęcie misji, zaparkowali samochód w głęboko zacienionej uliczce kilka przecznic od placu, daleko od miejsca, w którym widziano sudańską kawalerię. Jako że poza kilkoma kurami i kozami na drodze nie było żadnego ruchu, po zmianie planów wyjechali z kryjówki i ruszyli na południe w stronę placu. Brad skręcił w lewo, chcąc dotrzeć bliżej portu i ominąć straż Abbouda. Uliczka jednak okazała się ślepa, w dodatku zakończona zagrodą dla wielbłądów. Była to wielka, okrągła konstrukcja zbudowana z drewna i złomu. Pośrodku niej zobaczyli kilka klęczących zwierząt. Nie dało się tego okrążyć.

Brad zaczął wycofywać. I on, i Sierra Jeden patrzyli w lusterka.

To Zack zobaczył ich pierwszy. Krzyknął do kolegów w aucie i przez radio.

– Wojsko!

Sierra Dwa wcisnął hamulec. Dwadzieścia metrów za nimi, na wjeździe do uliczki, z której właśnie chcieli się wydostać, stało sześciu żołnierzy w zielonych mundurach. Ich chińskie karabiny typu 81 były podniesione i skierowane na forda. Jeden z żołnierzy wykrzyknął komendę.

– Szefie, co robimy? – spytał Brad z za kierownicy.

Zack nie czekał. Zawołał, nadając do całego zespołu.

– Do wszystkich! Wstrzymać poprzedni rozkaz. Operacja Szafir Nocy aktualna. Powtarzam, wykonać! Do dzieła, chłopcy!

Milo otworzył kopniakiem tylne drzwi forda na oścież. Następnie podniósł karabin maszynowy i wystrzelił kilka serii w sześciu stojących w uliczce żołnierzy. Trzech zginęło na miejscu. Reszta padła na ziemię i odpowiedziała ogniem.

Za Sierrą Cztery włączył się do akcji Zack. Odpiął pas bezpieczeństwa i obrócił się na siedzeniu, podnosząc swój izraelski karabinek szturmowy TAR-21 i strzelając tuż nad lewym ramieniem Milo. Brad pchnął do przodu dźwignię zmiany biegów i z całej siły kopnął w gaz. Ford wjechał w zagrodę. Ogromne brązowe wielbłądy rozbiegły się wzdłuż drogi.

* * *

Gray Man poczuł bezradność. Końce jego palców były trzydzieści centymetrów od klamki tylnego wyjścia. Po drugiej stronie znajdowała się ciemna uliczka. Po pokonaniu kilku zakrętów znalazłby się już albo w porcie, albo w wodzie, albo nawet na łódce. Kilka minut, a byłby bezpieczny.

Ale meldunek Zacka o strzelaninie na północy zmienił wszystko.

W słuchawkach rozległ się głos Trójki:

– Tu Trójka! Zaraz będzie huk! – Po czym rozległ się wybuch z RPG niedaleko kryjówki Gentry’ego.

Spencer zameldował:

– Tu Piątka! Już mam palce na spuście! – Od strony hotelu dobiegł odgłos broni półautomatycznej.

Zrobiło się gorąco. Court wiedział, że lada moment przez drzwi za Courtem wparuje Abboud. Odwrócił się więc i sięgnął po glocka 19 z tłumikiem.

Za głównego wejścia dobiegły odgłosy wymiany ognia z ochroną Abbouda. Court wciągnął zatechłe powietrze wypełniające stary budynek, wyprostował się, zacisnął zęby i mruknął:

– No to jazda!

Wbiegł po schodach i ustawił się w pełnej gotowości.

Po kilku sekundach drzwi do banku otworzyły się z trzaskiem.

Tak rozpętali trzecią wojnę światową.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Mężczyźni krzyczeli, ale nie wpadli w panikę. To byli doskonale wyszkoleni ochroniarze. Wykrzykiwali polecenia swojemu przełożonemu, prezydentowi Republiki Sudanu. Court dobrze wiedział, jak to się dalej potoczy. Zaraz zacisną kordon wokół Oryksa i tak wparują do środka. Po wejściu zabezpieczą drzwi, a następnie przeprowadzą Abbouda w najbezpieczniejsze miejsce w tym budynku, pewnie do sejfów w piwnicy. Gentry nie wiedział, ilu strażników weszło do środka – to zależało od tego, jak byli ustawieni w momencie rozpoczęcia strzelaniny, czy którykolwiek z nich został trafiony przez Sierrę Pięc lub Trójkę, i od szeregu innych czynników. Ostatecznie jednak to, czy było z nim dwóch, czy dwudziestu goryli, w ogóle nie miało znaczenia. Court Gentry przygotował dla nich niespodziankę. Wcisnął guzik na bezprzewodowym pilocie, który leżał przygotowany na parapecie. Tym samym uruchomił elektromagnes w dwóch zamkach ryglowych, które zamontował w głównych drzwiach. Elektromagnes przesunęły trzycalowe rygle w przestrzeń pomiędzy skrzydłami, zamykając je mocno jak sejf, dzięki czemu nikt już nie mógł się przez nie przedostać. Następnie podniósł z taniego linoleum pięciokilogramowe urządzenie, chwytając je za rączkę, i umieścił kciuk na guziku. Nacisnął. Po sekundzie zrzucił przyczepione do bariery prawie dwumetrową linką urządzenie. Był to „praktycznie nieśmiercionośny”, elektryczny, optyczno-akustyczny paralizator. Kiedy zawisł na poziomie twarzy zgromadzonych na parterze mężczyzn, włączyło się odliczanie, a pikanie i migotanie sprawiło, że oczy wszystkich skierowały się na urządzenie, przez co efekt stał się jeszcze bardziej skuteczny. Court położył się na posadzce, przyjął pozycję embrionalną, zacisnął powieki i zakrył uszy, w których miał ochronne słuchawki z zestawu C4OPS.

Tajemnicze urządzenie to był zbudowany przez dział do spraw naukowych i technicznych CIA prototypowy model nowego rodzaju broni, który Zack nazywał po prostu „Wielkim Wybuchem”. Zaprojektowano go

tak, aby za pomocą ostrych świateł i odgłosów powodował psychofizyczną dezorientację. Jajogłowi z laboratorium w Langley pilnowali, żeby sklecając go, używać wyłącznie ogólnie dostępnych części, przede wszystkim z Japonii, Francji i Niemiec, żeby nie ryzykować przyklejenia do niego, choćby symbolicznie, etykiety „Made in the USA”.

Court zamknął oczy, ale i tak odbijający się od otaczających go ścian jaskrawy promień światła wydawał się palić jego powieki. Mimo że zasłonił uszy i chroniły go wygłuszające słuchawki, wysoki pisk jednosekundowej syreny lekko go ogłuszył. Zamierzony efekt optyczny miał być podobno równoznaczny z wynikiem wpatrywania się prosto w słońce przez sto dziesięć milisekund. Możliwe skutki akustyczne, o zasięgu sześćdziesięciu metrów w przestrzeni zamkniętej, to między innymi przebicie bębenków, a nawet wstrząśnienie mózgu. Court poczuł, jak dzwonią mu zęby, a ze ścian z wapnia koralowego osypuje się na niego gruz. Nie zważając na ból i spadające materiały, natychmiast poderwał się na nogi.

Nie miał czasu czekać.

Zbiegł ze schodów z bronią gotową do strzału. Nie był na sto procent pewien, co zastanie na dole. Prędko wszedł do holu, gdzie zastał sześciu mężczyzn w różnych stadiach obezwładnienia. Któryś z nich to musiał być Oryks. Jeden ze strażników klęczał, gorączkowo macając posadzkę w poszukiwaniu broni. Court strzelił mu w tył głowy. Mężczyzna runął na twarz, uderzając nią w poszukiwany przez siebie pistolet. Gentry przebiegł po dwóch nieprzytomnych ochroniarzach, żeby dosięgnąć leżącego na plecach mężczyznę. Upewnił się, że to właśnie prezydent. Oryks był nieprzytomny. Koło niego zostało jeszcze dwóch młodszych facetów, byli przytomni, ale zdezorientowani. Leżeli, drżąc, na plecach, dusząc się własnymi płwocinami. Gentry natychmiast rozdarł białą elegancką koszulę tłustego prezydenta i poluzował mu krawat. Stał przed nim, po czym przyklęknął, podniósł go pod pachy i posadził tak, że prawie opierali się o siebie. Court schylił się, przewiesił nieprzytomnego przez prawe ramię, po czym podniósł się i chwytem strażackim, przechodząc po nogach kolejnego leżącego ochroniarza, wyniósł ogromnego Sudańczyka z pomieszczenia. Przy zaryglowanym tylnym wyjściu położył go na ziemi i wyciągnął pistolet.

Pobiegł z powrotem do lobby. Słyszał wycie uruchomionych syren. Z zewnątrz dochodziły odgłosy potężnej strzelaniny. Ucieszył się, że walka

toczy się przede wszystkim na północy i na zachodzie, czyli z dala od planowanej trasy ucieczki.

Gentry podniósł pistolet i strzelił każdemu z czwórki żyjących jeszcze ochroniarzy po kulce w kostkę. Rozejrzał się, mając nadzieję, że znajdzie jakiś karabin czy pistolet automatyczny, ale zobaczył tylko kilka pistoletów lokalnej produkcji, po które nawet nie chciało mu się schylać.

Na zewnątrz ktoś dobijał się do drzwi i wołał, żeby je otworzyć. Gentry wyszedł z pomieszczenia, zostawiając rannych. Wiedział, że za mniej niż minutę dojdą do siebie, ale jeszcze przez kilka godzin, a może nawet dni będą odczuwać skutki ataku. Strzał w kostkę unieruchomił każdego na dobre. Ale, co najważniejsze, będą potrzebować natychmiastowej pomocy medycznej, a jej zapewnienie zabierze czas wielu strażnikom, policjantom, żołnierzom i innym służbom, a to spowoduje, że zostanie mniej ludzi do poszukiwań porwacza prezydenta.

Po drodze do tylnego wyjścia Gentry przeładował broń. Następnie przeturlał Oryksa na dwukołowy wózek, który dostał od Zacka. Było to niewielkie, lekkie, składane urządzenie zrobione głównie z teleskopowych rurek z PCV i twardej platformy z plastikowych heksów, wyposażone w solidne gumowe opony. Umieścił ciężkie cielsko Oryksa tak, aby nie spadło, szybko związał ręce grubasa elastyczną linką, po czym zrobił przerwę na złapanie oddechu.

Z zewnątrz wciąż dochodziły krótkie serie wystrzałów. Wydawały się chaotyczne, kierowane z różnych stron. Brzmiało to jak niezła awantura, ale z tej strony, w którą miał się skierować, wciąż było cicho.

Court otworzył rygiel tylnych drzwi. Spojrzał w lewo, w stronę placu. Droga wolna. Potem rzucił okiem w prawo. Tam, na drodze, stało dwóch cywili. Wyglądali na rybaków z plemienia Bedża. Nie mieli broni. Court skierował w nich pistolet, a oni od razu podnieśli ręce. Po arabsku zawołał, żeby uciekali, ale ci stali jak wryci. W końcu jednak, kiedy zamachał im pistoletem z lufą wydłużoną tłumikiem, chyba zrozumieli. W każdym razie po kilku sekundach już ich nie było.

Minutę później Gentry mknął cienistymi zaułkami, pchając przed sobą wózek z nieprzytomnym prezydentem. Przebiegł dwie przecznice na południe, po drodze mijając dwóch znieruchomiałych cywili, którzy nie ruszyli palcem, aby mu przeszkodzić. Trzymał się długiego niskiego murku i wpadł przez bramę do jakiejś prywatnej rezydencji. Na niewielkim, pokrytym pyłem dziedzińcu zatrzymał dwukołowy wózek i ukląkł.

Znajdował się niecałe dwieście metrów od banku. Najpierw skreślił w prawo, a następnie w lewo w ciągu krętych uliczek – był pewien, że nikt go nie zauważył i że nie zostawił śladów stóp i kół.

Od strony rynku dochodził odgłos strzelaniny.

Jakby na zawołanie głowa Oryksa się poruszyła. Obrócił ją w jedną, potem w drugą stronę. Court rozwiązał prezydenta i posadził go, po czym kilkakrotnie klepnął go w twarz. Z plecaka wyciągnął trytytkowe kajdanki i związał z przodu ręce więźnia. Następnie sięgnął do kieszeni po butelkę z wodą, otworzył ją i oblał nią szeroką gębę Abbouda. Resztkę wylał prosto na środek jego łysej głowy. Oryks się ocknął. Wciąż był dezorientowany i miał rozszerzone źrenice. Gentry zmusił go do napicia się wody, a następnie znów uderzył go po twarzy. Oryks natychmiast splunął płynem, który w większości wylądował na twarzy Courta, a następnie próbował odgonić rażące fantomowe światła.

Gentry starał się mówić głośno, tak by prezydent, mimo dzwonięcia w uszach, go usłyszał:

– Ej! Obudź się! Otwórz oczy! Spójrz na mnie! No, patrz!

Wreszcie mężczyzna na niego spojrzał. Oczy miał szeroko otwarte, ale pośrodku widać było białawy ślad po oślepiającym błysku wielkiego wybuchu. Powoli orientował się w sytuacji, łypał podejrzliwie na człowieka przed sobą. Wciąż był w szoku, ale dochodził do siebie wybudzony z czegoś, co zapewne jeszcze kilka sekund wcześniej wydawało mu się złym snem. Potrząsnął głową, wciąż starając się wyrwać z poczucia zagubienia, odepchnąć feerie tańczących światła i uwolnić od nieustępliwego dzwonięcia w uszach.

Podczas szkolenia w CIA Court wielokrotnie miał do czynienia z różnego rodzaju granatami błyskowo-hukowymi, ale urządzenie, które zastosował na Oryksa i jego ludzi, to była nówka, i to wyjątkowo paskudna w skutkach. Cieszył się, że sam nie oberwał optyczno-akustycznym narzędziem o takiej skali.

Oryks krzyknął po arabsku:

– Kim jesteś? Gdzie... Co się dzieje z...

Gentry odpowiedział po angielsku:

– Słuchaj pan, wysłano mnie, abym cię zabił. Takie miałem zadanie. Ale potem ktoś inny postanowił, żebym cię porwał. Zrozumiano?

Prezydent powoli pokiwał głową, jakby wciąż nie do końca pewien, czy to przypadkiem nie jest jakiś okrutny żart. Przez kilka sekund Court gapił

się na niego groźnie. W oczach Oryksa zobaczył narastającą panikę.

– Tak więc będę próbował cię porwać. Ale zaznaczam, jeśli sytuacja zbyt się skomplikuje, wracam do planu A. I tak więcej mi za niego zapłacą. Jeśli więc zrobi się zbyt gorąco albo będziesz mi sprawiał za dużo kłopotów, kiedy będziemy stąd zwiewać, to wprowadzam w życie plan A, czyli strzelam kulkę pomiędzy te piękne oczęta i porzucam cię na ulicy, a sam wracam do domu liczyć banknoty. Zrozumiano?

Oryks raz jeszcze pokiwał głową. Na jego twarzy wciąż widać było panikę, ale też pewną potulność. Doskonale rozumiał, jak się sprawy mają.

– Twoim zadaniem jest zrobienie wszystkiego, co w twojej mocy, żeby nie opłacało mi się wprowadzać w życie planu A. Zrozumiano? Musimy więc współpracować, żeby wszystko poszło jak po maśle. Okej?

– Amerykanin? Jesteście Amerykaninem?

– A właśnie, kurwa, tak – powiedział Court z niekłamaną dumą. Od tak dawna nie miał okazji pracować zgodnie z interesami Stanów Zjednoczonych.

– Dobrze. Jaki jest wasz stopień?

– Nie mam stopnia.

– Jak to? Ale jesteście żołnierzem, prawda?

Court zaśmiał się i popchnął wózek pod ścianę, tak aby nikt z ulicy nie mógł ich zobaczyć.

– Ze mnie tylko prosty żołdak. Do wyboru było albo to, albo obieranie ziemniaków, ale przydzielono mi bardziej parszywe zadanie.

Oryks nie zrozumiał żartu. Pokręcił głową, aby odgonić wciąż tańczące mu przed oczami po wybuchu błyski.

– Chciałbym się poddać waszemu dowódcy.

Gentry się zaśmiał.

– Wybacz, chłopie. Na razie jesteś zdany tylko na mnie.

– Trudno – powiedział rozczarowany. – Moja głowa...

Gentry wyciągnął z kieszeni dwie tabletki.

– Na razie zażyj to.

Oryks wziął je, obejrzał, ale nie włożył ich do ust.

– To łagodne środki przeciwbólowe. Obiecuję, że za kilka minut mi podziękujesz.

Abboud powoli wsunął tabletki między wargi. Popił łykiem wody. Zakrztusił się, ale udało mu się je przełknąć.

– Jesteś w stanie biec?

– Biec? Przecież ja ledwo widzę!

– A ruszać się w miarę szybko? Skoro nie, to będę musiał wrócić do planu A, bo jeśli mam cię stąd wydostać, to musimy zaraz spierdalać.

Oryks nagle stał się bardziej pomocny.

– Dam radę biec.

– Grzeczny człowiek. No dobra, pomogę ci wstać.

Oryks rozejrzał się dokoła. Dopiero teraz dotarło do niego, że w pobliżu trwa wymiana ognia.

– Kto strzela? Co to za kanonada?!

Court zorientował się, że jego więzień jeszcze nie całkiem ogarnia, co się dzieje. W sumie nic dziwnego.

– A, to tylko kilku moich kumpli. Zajmują się twoimi. Teraz wyjdziemy stąd tyłem, a dalej na południe i potem hop, do łódki. Gotowy?

Oryks pokiwał głową. Na szczęście okazał się dość pomocny we własnym porwaniu. Wciąż był trochę dezorientowany, ale rozumiał, jakie jest drugie wyjście. Z twarzy poważnego Amerykanina wyczytał, że nie miałyby on problemów z wykonaniem planu A.

– No to ruchy! – stwierdził Court. Następnie wyprowadził Oryksa i pchnął go mocno w stronę niewielkiego kamiennego domu.

* * *

Sierra Jeden, Dwa i Cztery poobijali się od ścian forda, który przywalił kołami o ziemię, wystrzelił ponownie w powietrze, a następnie zaczął wjeżdżać na niewielkie wzgórze. Tył był otwarty, ale Czwórka przypiął się szybko otwierającym się pasem taktycznym do przytwierdzonego śrubami jak w aucie wyścigowym siedziska. Nikt z nich nie wiedział, gdzie dokładnie się znajdują, mimo że przez kilka ostatnich tygodni ślęczeli nad planami miasta. Brad miał nawet satelitarne zdjęcie Sawakinu przyklejone do kierownicy. Sęk w tym, że wszystkie uliczki i zaułki wyglądały dokładnie tak samo. Nieskończone morze rozpadających się chat z drewna i jutowej tkaniny wyglądało podobnie. A drogowskazy i znaki drogowe zostały już dawno rozkradzione jako surowiec na dach bądź paliwo.

Przez ostatnie trzy minuty co chwilę natykali się na żołnierzy Sił Zbrojnych Sudanu, wdawali się w strzelaninę, po czym uciekali. Wojskowe jednostki w tym mieście wydawały się fatalnie zorganizowane. Bardzo często Brad wjeżdżał na jakąś drogę tylko po to, by znaleźć się za kolumną żołnierzy. Dwa razy stanęli naprzeciwko wojskowych ciężarówek. W obu

przypadkach nie oddano żadnego strzału, oba pojazdy wycofywały się, unikając starcia.

To była chaotyczna i nieudolna gonitwa, jeśli rzeczywiście ktoś ich w ogóle ścigał. Choć miejscowa armia nie należała do najlepiej zorganizowanych, była w stanie nadrobić braki liczbą żołnierzy.

Podczas gdy ford z częścią oddziału Whiskey Sierra na pokładzie przemykał uliczkami w niekończącym się labiryncie ruder na północy miasta, pojawiało się coraz więcej oddziałów sudańskiej armii, jakby wyłaniały się spod ziemi. Od chwili, gdy rozjechali zagrodę, Sierra Cztery zdążył wystrzelać na wroga jednostki cały magazynek. Teraz Milo pośpiesznie przeładowywał broń, przekonany, że jeszcze przyjdzie mu użyć karabinu.

Z odległości czterystu metrów od forda, pomiędzy wystrzałów broni automatycznej, rozległ się głos Sierry Pięć:

– Elo, Jedynka! Przydałoby mi się wsparcie. Wojsko wycofało się z mojej linii widzenia, a pobiegłem do okna na pierwszym piętrze, ale lada moment wrócą i rozwalą cały hotel.

– Przyjąłem, Spence – odparł Zack. – Jedziemy po ciebie na asapie. Tylko trochę pobłądziliśmy.

– Jedź za wystrzałami. Kilkunastu goryli Oryksa strzela do mnie praktycznie na oślep z placu. To was powinno naprowadzić.

– Próbujemy! – odpowiedział Zack. Sierra Dwa wykonał dwa szybkie skręty w lewo i zatrzymał się tuż przed wojskowym dżipem, za którym stał niepilnowany ruski CKM.

Brad natychmiast skreślił w prawo.

– Sierra Jeden do Trójki. Jaka sytuacja?

Dan się odezwał, nie przerywając strzelania.

– Walą we mnie z dwóch uliczek. – W słuchawkach Zacka rozległy się dwa trzaśnięcia. – Nie jest to atak zbyt skoordynowany, mam uprzywilejowaną pozycję tu, na dachu, ale jest ich w chuja dużo. Jak się dostaną pode mnie, to koniec ze mną. Jak słyszycie?

Odpowiedź Hightowera opóźniły kolejne trzaski.

– Dobrze. Jedziemy.

– Ogień od tyłu! – krzyknął Milo.

W niewielkiej puszkowatej przestrzeni forda jego karabin maszynowy brzmiał jak młot pneumatyczny wzmocniony przez głośniki zespołu

metalowego. Zack obrócił się, żeby uruchomić Tar-21, ale Brad wykonał kolejny ostry strzał i przeciwnik znalazł się poza linią ognia.

– Halo, Jeden. Tu Trójka. Widzę, że z północy leci helikopter.

– Helikopter? Cywilny czy wojskowy?

– Yyy... czekajcie. Wojskowy. Wielki, gruby skurwysyn. Na oko tak z siedem, osiem kilometrów, szybko sunie w naszą stronę. Jakby się mu spieszyło... Wygląda na Mi-17.

– Mi-17? Czyli Hip. Sudańczycy nie mają Hipów.

Hip to oznaczenie NATO tego rosyjskiego śmigłowca.

– Jestem pewny, że to Hip, szefie.

– Przyjąłem, do kurwy nędzy – mruknął Zack. – Nie mogę w tej chwili wiele wskórać na wypadek ataku z powietrza.

– Piątka do Jedyńki!

– Odbiór!

– Na zachodzie mam strzelaninę z drobnej broni. To nie ja. Czy Sierra Sześć nie jest przypadkiem kilometr na zachód od placu?

– Nie powinien być. Sześć, jeśli jesteś w stanie, daj znać, czy to ty.

– Szóstka do Jedyńki. – Usłyszeli głos Courta. Mówił pewnie i zwięźle. – Zaprzeczam. Mam Oryksa. Jesteśmy na południowy wschód od placu. Zmierzamy do portu.

Ford wykonał jeszcze jeden ostry zakręt, tym razem w lewo. Zack pomyślał przez chwilę, po czym odparł:

– W takim razie to pewnie RWS. Lepiej późno niż wcale. Przyjmę każdą pomoc. Jakoś to wygląda, Pięc?

– Słabo, szefie. Wygląda, jakby byli wyposażeni w połowę tego, co sam mam obecnie przy sobie!

– Czekaj chwilę... – przerwał zza kierownicy Sierra Dwa. – Ta uliczka prowadzi w północno-wschodni róg placu.

– Jesteś pewny? – spytał Zack. I on nie miał pojęcia, gdzie są. Wyglądała jak każda z kilkudziesięciu, którymi dziś jechali.

– Tak. Jeśli pojedziemy tędy dalej, to za trzydzieści sekund będziemy na placu?

Zack pomyślał przez chwilę, po czym odparł:

– A, w mordę. Nie chcemy się znowu zgubić, a trzeba odebrać chłopaków, zanim im się pociski skończą.

– Na placu będzie wojsko. I ochrona Abbouda – zauważył Sierra Dwa, jadąc przed siebie.

Hightower pokiwał głową i powiedział przez radio:

– Trójka, Piątka, za dwadzieścia sekund jesteśmy na placu. Przelecimy go, strzelając, skręcimy za bank i odbierzemy was wszystkich spod waszych stanowisk w uliczce jedną przecznicę na zachód od placu. Nie dajcie się trafić!

– Przyjęte! – zameldowali chórem.

Zack krzyknął do Milo:

– Trzymaj się, Czwórka, będzie rozpiardol!

– No to zaczynamy zabawę! – wrzasnęła „małpa bagażnikowa”.

* * *

Kiedy ford Whiskey Sierra przejeżdżał przez plac, Gentry znajdował się zaledwie pięć przecznic dalej. Usłyszał pisk opon, a następnie niesłabnącą wymianę ognia z karabinów i pistoletów.

Słyszał też niewielką strzelaninę bardziej na zachód, pewnie już za Sawakinem. Obie strony prały do siebie z kałachów. Stwierdził, że musiało to być nierówne starcie pomiędzy wojskami sudańskimi a tyłoma wojownikami Ruchu Wyzwolenia Sudanu, ilu CIA było w stanie zmusić, by się stawili. Można było się domyślać, że armia łoła im skórę.

Podejrzewał, że jeszcze dużo wody w Nilu upłynie, zanim rezydenturze CIA w Sudanie uda się nakłonić RWS do opowiedzenia się po ich stronie.

Tego poranka dużo się działo w tym mieście, ale z tego, co Court mógł zobaczyć, wynikało, że na jego trasie nie ma wojska. Wraz z Oryksem kłęczeli przy starym ceglany piecu w zacienionej przybudówce, która kiedyś służyła chyba jako piekarnia na świeżym powietrzu. Od łódek dzieliło ich zaledwie czterdzieści pięć metrów. Gentry już widział czerwone kadłuby drewnianych łajb unoszące się zachęcająco na spokojnej wodzie zatoki. Tak, tylko czterdzieści pięć metrów, ale to było czterdzieści pięć metrów otwartej przestrzeni. Obawiał się wojsk rozmieszczonych na północy wzdłuż plaży czy grobli prowadzącej na wyspę ze Starym Sawakinem, ale przede wszystkim lękał się, że zostaną wypatrzeni przez krążący nad ich głowami helikopter. Nawet gdyby udało im się wkraść na jakąś łódkę, podróżowanie morzem oznaczałoby, że byłiby widoczni z pokładu śmigłowca.

Zastanowił się przez kilka minut.

– Dajmy sobie spokój z łódką – powiedział na głos. Następnie zwrócił się do Oryksa: – Osiem przecznic na południowy zachód od placu mam auto.

Tam idziemy. No, ruchy! – Pchnął Oryksa w uliczkę.

Zaczęli biec. Przebiegli kilkaset metrów, kiedy Oryks skręcił nagle w lewo w jeszcze mniejszą uliczkę prowadzącą łagodnie pod górę. Court pognał za nim i wyciągnął rękę, prawie łapiąc wielkoluda za szyję, ale akurat tylnymi drzwiami niewielkiego wapiennego budynku wyszło pięciu żołnierzy. Byli mniej więcej cztery metry od prezydenta. Zaskoczeni, podnieśli broń, trochę im zajęło zorientowanie się, na kogo właściwie się natknęli. Court wykorzystał to opóźnienie. Stał pomiędzy żołnierzami a Oryksem i brutalnie pchnął prezydenta na bok, równocześnie wyciągając broń. Pierwszemu żołnierzowi władował w klatkę piersiową dwie kulki, wolną ręką chwycił swojego więźnia za krawat i odciągnął go z linii ognia, następnemu żołnierzowi strzelił w czoło. Pozostali uciekli do domu, z którego właśnie wyszli. Court puścił Oryksa i rzucił się po karabin leżący koło jednego z trupów. Nagle rozległa się długa salwa z karabinu niewidocznego napastnika. Kule spadły metr od Gentry'ego, który obrócił się, wycofał za róg, chwycił swojego więźnia i ruszył pędem, mając w jednej ręce broń, a drugą trzymając za szyję prezydenta Sudanu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Sawakin jest w dużej mierze zamieszkały przez Raszaidów i Bedżów. Kiedyś był to ważny ośrodek handlowy i wciąż jest to miasto portowe, dlatego osiedlili się tu też przybysze z całego kraju: grup Dinka, Fur, Nuba, Masalit, Nuer i innych plemion, którzy przyjechali tu głównie za chlebem. Wokół i na zachód od Nilu mieszkali też Nubijczycy, którzy nie byli Arabami i mieli bardzo ciemną skórę.

Jedna z nubijskich rodzin zajmowała zbudowaną z juty, drewna i blachy chatę na południowy zachód od głównego placu. Było to też miejsce pracy, jako że staruszek będący głową rodziny zajmował się robieniem sandałów z koziej skóry z podeszwami z opon. Sprzedawał je na ulicy przed chałupą.

Jego syn nie żył, więc szewc zajmował się wychowywaniem czwórki wnucząt: trzech dziewcząt i jednego chłopca. Dziadek objął przestraszone dziewczynki, po czym zawołał dwunastoletniego Adnana, żeby schował się w ciemnej części chaty wraz z resztą rodziny. Wnuk jednak nie miał zamiaru się ukrywać. Chłopak otworzył starą skrzynię stojącą koło jego legowiska, z której wyjął umiłowaną pamiątkę po ojcu: łuk. Dziadek wciąż krzyczał na niego, lecz młody Adnan złapał trzy strzały, po czym wyskoczył z domu i pobiegł tam, skąd dochodziły odgłosy strzelaniny.

Adnan mieszkał w chacie na wzgórzu, więc już z progu miał widok na dym i błyski dobiegające z placu. Za nim też ktoś strzelał, ale dużo dalej. Minął stojącego przed chatą, podpierającego się drewnianymi kulami starca. Kaleka krzyknął za chłopcem, żeby wracał do domu, ale Adnan go nie słuchał. Podbiegł do chybottliwych schodów prowadzących ze wzgórza. Zbiegł po nich, przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz, co nie było wyczynem dla młodego silnego chłopaka o nogach koloru węgla. Instynktownie kulił się na dźwięk wystrzałów.

Chciał ocalić swoją rodzinę i swoje miasto przed zagrożeniem.

Nubijczycy od czasów faraonów uchodzili za lud nieustraszonego i walecznego. Od tysiącleci chwyтали za łuk. Nazwa ich historycznej krainy,

Nubii, była określana mianem „krajny łuczniików”. Chętnie wynajmowano ich do walki podczas starożytnych wojen nawet w odległej Persji.

Adnan wywodził się z kilkudziesięciu pokoleń rzemieślników specjalizujących się w robieniu łuków. Teraz jednak nie dało się już z tego utrzymać. W okolicy każdy, kto miał lepszy lub gorszy powód, aby chwycić za broń, zaopatrywał się w kałasznikowa albo w jego chińską podróbkę znaną jako Typ 81. Łuk zdecydowanie przegrywa w porównaniu z AK-47, który łatwiej się obsługuje i jest zaawansowany technicznie. Z tych to powodów dziadek Adnana przebranzowił się i odtąd wykonywał sandały. Jako dziecko jednak chłopak nauczył się posługiwać olbrzymim bambusowym łukiem ze skórzanym chwytem, z kością i rogiem na czubkach i tuż pod skórzanym paskiem.

* * *

Adnan przebiegł przez rozpadającą się drewniano-metalową bramkę i wypadł na kolejną uliczkę. Odgłosy strzałów na placu odbijały się echem od ścian budynków. Wcisnął szyję pomiędzy ramiona i ruszył pędem w stronę wymiany ognia, w prawej ręce dzierząc łuk ojca, w lewej – strzały.

Na ulicach byli już inni, głównie uciekający mieszkańcy. Adnan minął ich sprintem i pomknął w stronę toczącej się walki. Skręcił w wąskie przejście, potknął się i zatrzymał. Trzydzieści metrów przed sobą, u drugiego wejścia w tę uliczkę, zobaczył wychodzącego zza rogu mężczyznę w czarnym garniturze. Zorientował się, że ktoś go popycha. Prowadzony miał ręce związane przed sobą. Miał też najbardziej błyszczące buty, jakie chłopak kiedykolwiek widział, w których ślizgał się i potykał. Młody Nubijczyk schował się za drzwi na tyłach opuszczonego sklepu mięsnego. Stał w cieniu, opierając się plecami o ścianę, po czym przykucnął. Wystawił głowę zza rogu. Zobaczył, jak mężczyznę w garniturze pcha jakiś brodaty kawaga.

Niewierny.

Biały nieznajomy w prawej ręce trzymał pistolet z długą lufą. Obaj mężczyźni pędem zbliżali się do kryjówki Adnana. Brodacz krzyczał: „Ruchy! Ruchy! Ruchy!”. Chłopiec nie rozumiał, co to znaczy, ale domyślił się, że chodziło o to, aby ten w błyszczących butach przyspieszył.

Adnan nigdy nie widział prezydenta swojego kraju, nie miał więc pojęcia, kim był ten wielki mężczyzna ze związanymi rękami. Nadarzyła

się okazja, by się wykazać. Chłopiec wiedział, że tych dwóch przebiegnie koło niego. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że uda mu się trafić stalowym grotem w plecy niewiernego. Trzeba było tylko poczekać, aż będzie go mijał.

Odgłos stóp i złowrogie pokrzykiwanie w obcym języku były coraz bliżej. Uwagę Andana przykuło coś po drugiej stronie drzwi, jakiś metr od palców jego bosych stóp. Tam, w cieniu, leżał martwy kogut. Jego opierzone ciało gniło i było zjadane przez robactwo. Chłopiec zmrużył oczy. Wpadł na pomysł. Wziął jedną ze strzał. Pozostałe położył na brudnym progu. Skierował ostry zadziór strzały w najbardziej zgniły kawałek zdechłego ptaka. Zanurzył go w nim i przekręcił niczym kluczem w zamku.

Uśmiechał się, pokrywając grot strzały bakteriami i innym paskudztwem.

Mężczyzna w garniturze minął wnękę, znów prawie się przewracając. Kilka kroków za nim biegł wrzeszczący niewierny, dzierżąc długi czarny pistolet.

Adnan wstał i wyszedł na środek uliczki tuż za celem. Umieścił strzałę, naciągnął cięciwę, podniósł łuk do oczu, po czym wycelował w biegnącego białasa, który zbliżał się do zakrętu z tyłu budynku. Niósł plecak, więc Adnan wymierzył tak, żeby trafić mężczyznę w szyję.

– Allahu Akbar! – krzyknął.

I wzorem dumnych nubijskich łuczników sprzed dwóch tysięcy lat wystrzelił.

* * *

– W lewo! Skręcaj w lewo! – krzyczał Court do Abbouda.

Mężczyzna się potknął. Możliwe, że to, że był związany, zaburzało jego równowagę, ale Amerykanin podejrzewał, że był na tyle cwany, by celowo opóźnić ucieczkę. Gentry nie zamierzał mu na to pozwolić. Podniósł prawą rękę, by uderzyć go w tył głowy i przypomnieć mu, że powinien się sprężyć. Uderzył kolbą w spocony łeb prezydenta i poczuł nagle przerażający ból w lewej łopatce, tuż nad plecakiem, mniej więcej dziesięć centymetrów od kręgosłupa. Siła uderzenia popchnęła go do przodu. Zachwiał się lekko. Prawie upadł na ziemię, potykając się i lekko wyprzedzając prezydenta. Złapał równowagę i skręcił za nim za róg.

– Ałaaa! – jęknął. Piekące ukłucie nie ustało. Zwolnił i obejrzał się przez ramię.

Z jego łopatki sterczała długa brązowa strzała.

Court zwolnił bieg i patrzył z niedowierzaniem. Przez jakiś czas miał problem ze zorientowaniem się w sytuacji. Spojrzał na klatkę piersiową, aby upewnić się, że strzała nie przeszła na wylot. Na szczęście nie. Próbował sięgnąć i wyciągnąć ją, ale nie był w stanie tego zrobić. Wrócił do truchtu, wciąż zerkając na wystający z jego pleców badył.

– No nie, kurwa, to niemożliwe – mruknął pod nosem.

* * *

Beżowy ford zahamował z piskiem opon przy bocznym wejściu do dwupiętrowego hotelu w stylu kolonialnym, który zapewne sto lat wcześniej był architektoniczną perełką. Z drewnianymi balkonami, zdobieniami okien, białymi żaluzjami i bogato dekorowanymi ażurowymi kolumnami przypominał bardziej kamienicę z Nowego Orleanu niż z arabskiej Afryki. Zack spojrzał przez szybę, wypatrując celów, ale nie mógł nie zauważyć, w jak strasznym stanie ogólnego rozkładu znajduje się budynek, zresztą nie tylko ten, ale i pobliskie. Spencer wskoczył do pojazdu, który natychmiast pognał dalej. Milo strzelił jeszcze kilka razy na ulicę, żeby żołnierze nie podnosili głów. Wyglądało jednak na to, że atak RWS od zachodu odciągnął wielu z południowo-zachodniego rogu placu.

Spencer przebywał pod przykrywką w Sawakinie od dwóch dni, dlatego też miał na sobie tutejszy strój i był uzbrojony tylko w niewielkie uzi. Szybko więc włożył czekającą na niego kamizelkę z opancerzeniem. To że ecoline podskakiwał na wybojach fatalnej jezdni, bynajmniej nie ułatwiało mu zadania.

Samochód skręcił na północ i przyspieszył na szerszej, choć wciąż bitej drodze. Zza okien, drzwi i spomiędzy bram wystawały głowy cywili, którzy trzymali się z dala od drogi – co wyszło na dobre i im, i Zackowi. Dowódca Whiskey Sierra nie łudził się, że RWS przejmie się przypadkowymi ofiarami, choć on i jego ludzie starali się robić wszystko, co w ich mocy, żeby ich nie było.

W mniej niż pół minuty po odebraniu Sierry Pięć z hotelu ford znów się zatrzymał, tym razem przy drzwiach jednopiętrowego budynku. Spencer otworzył drzwi.

Stali niecałą sekundę, kiedy Zack powiedział przez radio:

– Ej, Trójka. Nie zamierzamy całej pieprzony dzień cze...

Wtem coś ciężkiego spadło na forda. Samochód zadrżał. Donośne łupnięcia podrażniło nadwerężone bębenki pasażerów. Okazało się, że to

Dan zeskoczył z dachu budynku. Prędko zsunął się bokiem i wskoczył przez otwarte drzwi. Sierra Trzy zatrzasnął je za sobą, a Sierra Dwa natychmiast wcisnął pedał gazu.

Zack zawołał tym razem przez radio do Courta:

– Tu Sierra Jeden do Sierry Sześć. Mam moich chłopaków i spierdalamy. Od tej pory jesteś tu sam. Powodzenia, uważaj na ten pieprzony helikopter! Brak odbioru!

Przejechali ledwo z pięćdziesiąt metrów po wybetonowanej jezdni, kiedy na dach niewielkiej kuźni wyszło trzech policjantów w ciemnych mundurach. Każdy zrzucił z dachu po dwie wielkie bryły cementu. Ciężkie sześciany gruchnęły na ziemię tuż przed fordem, zmuszając Brada do ostrego machnięcia kierownicą w lewo, o mało nie zdrapując lakieru z prawego boku samochodu, mijając starego chevrolleta. Skręcił w lewo, prawie taranując dwie puste riksze stojące po drugiej stronie drogi.

Zobaczyli kolejną grupę miejscowych na dachu innego budynku. Trzymali cementowe bryły i wielkie opony gotowi, by rzucić nimi w samochód. Hightower wiedział, że przejazd był zbyt niebezpieczny.

Dowódca krzyknął do kierowcy:

– Skręcaj tu w lewo, Brad! Mocno w lewo!

Ford wjechał w uliczkę jeszcze węższą niż ta, którą opuścili. Ledwo Brad skręcił, już krzyknął do pozostałych:

– Wróg z przodu!

Przednia szyba oberwała i pękła. Nie rozpadła się całkiem, ale od prawej do lewej, od dołu do góry zdołały ją dziury po kulach. Zack poczuł ostry ból w przedramieniu oraz swędzenie twarzy i szyi. Podniósł lufę nad deskę rozdzielczą i opowiedział ogniem z automatu, opróżniając cały trzydziestonabojowy magazynek w cele na drodze, rozbijając tym samym szybę w drobny mak.

Ford przechylił się ostro w lewo. Zack wiedział, że przy takiej prędkości i w tak wąskiej uliczce nie ma miejsca na błędy. Przygotował się na uderzenie, które nadeszło. Po ostrym przechyleniu w lewo pojazd odbił się w prawo. Hightower przeczuwał, że tym razem uderzenie będzie bardzo mocne i skierowane prosto w jego stronę. Podciągnął nogi do góry akurat w chwili, gdy wielki pojazd wbił się w biały budynek po prawej, zwolnił, po czym zatrzymał się metr za rozbitą ścianą z cementowych brył. Para z chłodnicy wystrzeliła w powietrze tuż pod wybitą szybą. Stracili forda.

Zack bez wahania krzyknął:

– Ruchy! Ruchy! Ruchy!

Rozkazawszy ekipie opuścić pojazd, Hightower wytoczył się przez drzwi po prawej i padł boleśnie na ramię i biodro. Leżał głową zwróconą w stronę, skąd padły strzały. Obejrzał się przez ramię. Jeden z jego chłopaków zdążył odpalić granat dymny, żeby utrudnić widzenie strzelcom na drodze przed nimi. Znajdował się około metra od rozwalającego się, ale zamieszkanego budynku z wapienia koralowego. Tuż nad sobą zobaczył okno z parapetem na wysokości jego klatki piersiowej. Zack nie tracił czasu, poderwał się na równe nogi i skoczył, zwijając ciało prawie w kulkę. Przebił szybę w oknie i padł z łomotem na podłogę. Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu, może to było jakieś biuro albo urząd. O tej porze jednak nikogo nie było w pracy. Generatory zasilające lampy były wyłączone. Zack przeturlał się na kolana i zaczął przeładowywać broń. Nie mógł nie zwrócić uwagi na krew, która pokrywała jego ręce i rękawiczki. Była też na odłamkach rozbitego szkła i na podłodze tam, gdzie wylądował. Jego beżowy pistolet również był umazany krwią, jednak nie przerwał roboty ani na chwilę, nie sprawdził, jak duże są rany.

Na zewnątrz odgłosy strzałów nie ustawały. Jak tylko Zack wpakował świeży magazynek do komory i zaczął się podnosić, przez to samo okno co on wpadł Sierra Dwa. Ich ciała się zderzyły. Nie było to bardzo mocne uderzenie, ale Brad upadł na podłogę. Jego karabin FAMAS F1 uwolnił się z paska i przeleciał kilka metrów.

– Czwórka oberwał! – rozległ się głos w słuchawce Zacka. To był Dan. Wciąż był na ulicy pełnej latających kul.

Zack odkrzyknął do mikrofonu:

– Będę osłaniał na północ. Dwójka otworzy drzwi koło forda. Przyprowadźcie tu Milo! – Hightower wystawił lufę przez okno i wystrzelił kilka serii na uliczkę. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że Brad już pędził do tylnych drzwi, by wpuścić pozostałych do środka.

Zack robił wszystko, żeby oszczędzać amunicję, ale i tak wystrzelał wszystko. Zawołał, aby go osłaniać, ale inni z jego ekipy wciąż byli zajęci ratowaniem ранego kolegi. Hightower rzucił karabin, wyciągnął z kabury pistolet Sig Sauera i prawą ręką wystrzelił przez okno w środek ulicy. Musiał wystawić głowę i górną część torsu. Lewą ręką szukał w saszetce na klatce piersiowej granatu odłamkowego.

Kiedy blokada zamka w pistolecie się otworzyła po wystrzeleniu ostatniego naboju, Sierra Pięć przerzucił się na strzelanie z małego uzi.

Zack rzucił granat na ulicę najdalej, jak mógł, krzyząc „granat!”, a następnie wrócił do środka, aby naładować broń i ocenić sytuację. Na podłodze siedział Czwórka. Trzymał karabin maszynowy HK i osłaniał drzwi, przez które on i dwóch pozostałych weszli do środka. Prawa noga poniżej kolana była pokrwawiona. Trójka badał ją szybko. Dwójka przeszedł na drugi koniec pokoju, odsuwając po drodze biurka i krzesła. Wyglądał przez okno od strony południowej. Próbował błyskawicznie opracować jak najszybszą trasę ucieczki. Hightower zauważył, że Brad utyka.

Zack przeładował. Zostało mu sześć magazynków, czyli sto pięćdziesiąt strzałów. To nie wyglądało dobrze, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wystrzelał już dziewięćdziesiąt, i to w nieciągłej walce, która trwała mniej niż pięć minut. Idąc na drugą stronę pomieszczenia do Brada, zerknął na swoje rany. W prawym przedramieniu miał czystą, prawie że doskonale okrągłą dziurę po kuli. Ciekła z niej krew, brudząc brązowy podkoszulek i sprzęt. Ale dłoń i ramię były raczej sprawne. Tuż pod łokciem ujrzał ranę wylotową. Obie ręce i dłonie były brudne od krwi, ale poza kilkoma zadrapaniami od szkła na policzkach, tuż pod goglami, nie znalazł więcej obrażeń.

– Trójka, czy on da radę iść? – zapytał Zack przez mikrofon, docierając do Dwójki.

– Ta. Myślę, że ma złamaną strzałkę. Wykrwawia się. Potrzebuje leków na cito, ale przez kilka minut powinien móc iść.

– Czyli nieźle. Wszyscy, skupcie się. Wypierdalamy stąd. Nie dajmy się otoczyć przez te jełopy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Court odebrał wiadomość od Zacka, kiedy biegł z Oryksem. Pół minuty później, w oddali, usłyszał potężny huk. Z dalszej komunikacji przez radio wiedział, że oddziałowi udało się znaleźć schronienie, ale ich sytuacja wciąż była niewesoła.

Court też miał się czym martwić. Przed bandą żołnierzy biegnących na plac schował się, prowadząc Oryksa, w ruderze pełnej miejscowych. To było ciemne i brudne pomieszczenie, jedynym źródłem światła były dziury w ścianach przy połączeniu badyli i pordzewiałej blachy. Gentry trzymał glocka przy skroni prezydenta. Dyszał ze zmęczenia po szaleńczym biegu. Miał podniesiony poziom adrenaliny, a do tego z każdym oddechem mięśnie wokół wbitej strzały zaciskały się i przeszywał go skurcz. Krzywił się z bólu. Na podłodze pomieszczenia siedziała dziewięcioosobowa rodzina i gapiła się na niego. Wśród nich były małe czarnoskóre dzieci, których wielkie oczy nie pozostawiały wątpliwości, że nigdy nie widziały czegoś tak dziwnego. W oczach dorosłych było widać strach i coś w rodzaju zaskoczenia, ale przede wszystkim bił z nich gniew i oburzenie, że jakiś cudzoziemiec z pistoletem i więzień mieli czelność wpaść do ich domu i zagrażać bezpieczeństwu. Ci ludzie żyli w trudzie i niedostatku, wśród chorób, nieustannej harówki, cierpieli z głodu i zniewolenia. Jeszcze jedno zagrożenie, kolejną zniewagę wymierzoną w ich egzystencję, przyjęli bardziej z drwiącą wściekłością niż z przerażeniem. Nie umknęło ich uwagi, że kawaga mierzył z pistoletu tylko do mężczyzny w garniturze. Nie mieli pojęcia, że znajdują się w towarzystwie głowy państwa. Tak naprawdę niewiele znaczył w ich życiu.

Court starał się nie zważać na sterczącą mu z pleców strzałę na tyle, na ile da się ten fakt zignorować. Intensywność bólu podpowiadała mu, że tkwiła głęboko w kości łopatkowej, nadal był jednak w stanie poruszać ręką i ramieniem. Wiedział, że mimo wszystko miał szczęście, że nie oberwał mocniej. Kilka centymetrów głębiej, a grot osiągnąłby serca i już

by leżał bez życia twarzą do ziemi na ulicy. Stwierdził, że łucznik musiał strzelać do niego z dużej odległości, chyba że to była kobieta albo dziecko. Gdyby było inaczej, ostrze z pewnością przeszłoby go na wylot.

Piekło jak diabli, ale raczej to go nie zabije. Wiedział jednak, że prędzej czy później otrze się strzałą o ścianę i zepsuje sobie ten poranek jeszcze bardziej. Znów spróbował ją chwycić, ale nie był w stanie jej dosięgnąć. Przez chwilę rozważał, czy nie poprosić kogoś z miejscowych o pomoc, ale wolał jak najszybciej ulotnić się z tego miasta. Nie chciał tracić czasu na niewątpliwie długi i bolesny zabieg, i to wykonywany przez kogoś, kto niekoniecznie wiedział, jak to zrobić.

Wkrótce żołnierze się oddalili. Court kiwnął głową ku patriarsze rodu – ten gest podziękowania i przeproszenia za to, że ich niepokoił, nie spotkał się z żadnym odzewem – po czym wybiegł na zewnątrz, ciągnąc Oryksa. Dotarli do samochodu. Stał dokładnie tam, gdzie Zack to zapowiedział. Court bez problemu wsadził Abbouda do środka, po czym pobiegł na miejsce kierowcy. Nie było łatwo się usadowić, mając wciąż plecak na ramionach, a w łopatkę wbitą strzałę – musiał ostrożnie się pochylić do przodu, odsunąć oparcie, a potem przechylić się na lewo. W końcu przekręcił kluczyk i włączył silnik.

Czuł, jak przesiąknięta krwią koszulka lepi się do jego pleców. Gdy już miał ruszyć małą, dwudrzwiową škodą, tuż nad nimi, nie więcej niż trzydzieści metrów, przeleciał helikopter. Odgłos był potwornie donośny, a łomot śmigieł tak złowrogi, że Court skulił się w siedzeniu. Po chwili maszyna skierowała się w stronę odgłosów bitwy z oddziałem Whiskey Sierra, prawie kilometr na północ. Puścił sprzęgło, wcisnął gaz i ruszyli do przodu z podskokiem, który spowodował, że strzała uderzyła o oparcie siedzenia.

– Kurwa! – krzyknął. Ból, niczym błękitny płomień, przeszył jego plecy, ramię i szyję. Krzycząc, spojrział prosto w oczy przerażonemu prezydentowi. Adrenalina i gniew sprawiły, że na chwilę stracił panowanie nad sobą i wrzasnął na więźnia: – I co to, kurwa, ma być? Jak ty zarządzasz tym pojebanym, zacofanym krajem? Pierdolona strzała! Serio? Strzała? – Prawą ręką Court puścił kierownicę, zwinął dłoń w pięść i przyłożył Abboudowi w twarz, znów obijając strzałą o siedzenie. Wydał z siebie przerażający krzyk.

* * *

Oddział Zacka wydostał się z biura i wpadł na wąską ulicę od wschodu. Następnie przebiegł przez dzielnicę namiotów i szałasów, gdzie podstawowymi materiałami budowlanymi były tkanina jutowa, płótno, blacha falista i pordzewiałe części samochodów. Starając się kierować na północny zachód, ludzie Hightowera biegli zygzakiem, aby zmylić pogoń i jednocześnie zbliżyć się powoli w stronę wody. Nad ich głowami krążył helikopter, ale trzymali się blisko ścian i przemykali pod zadaszeniami. Jeśli to rzeczywiście był Hip – Zack wciąż nie miał stuprocentowej pewności – to mógł być wyposażony w pociski powietrze-ziemia. A nawet jeśli nie, to wciąż mógł mieć na pokładzie dwudziestu czterech gotowych do walki żołnierzy, czyli wystarczająco dużo, by pokrzyżować plany Whiskey Sierra.

Ich bieg przez slumsy zdecydowanie spowalniał Milo. Prawą nogę miał pokrytą krwią, a do tego stopa odmawiała mu posłuszeństwa. Z każdą chwilą utykał coraz mocniej. To była kolejna rzecz, na którą Whiskey Sierra nie mogła nic poradzić. Zack też się wykrwawiał, mimo to jego ręka nie znajdowała się w tej chwili nawet w pierwszej dziesiątce jego priorytetów. I tak niesamowite było to, że tak łatwo udało im się uciec przed wojskiem Armii Sudanu. Labiryntowy układ uliczek w dzielnicy slumsów, obfitującej w przesmyki nie szersze niż półtora metra, sprawił, że to było nie tylko doskonałe miejsce na kryjówkę, ale także świetny teren do przemierzania go chyłkiem.

Zack i jego ludzie dotarliby zapewne jeszcze dalej od miejsca ostatniego starcia, gdyby nie ścisk na uliczkach i przejściach. Cywile byli dosłownie wszędzie. Ciemnoskórzy mężczyźni, kobiety i dzieci szli ciasnymi ulicami, którymi mknęły riksze, niewiele od nich węższe. Ruch był zablokowany przez miejscowych, którzy nawet gdyby chcieli, mieliby problem, by zejść z drogi zakrwawionym, wrzeszczącym, uzbrojonym po zęby kawagami. Hightower aż dwukrotnie musiał rozpychać kolbą Tavora ściany chaty, żeby udało im się przecisnąć. Wymachiwali bronią na wszystkich i wszystko, co stało im na drodze, ale cywile nie mieli ochoty na włączanie się do walki, tak więc Sierra Jeden i jego grupa nie musieli strzelać do miejscowych.

W końcu dotarli na skraj dzielnicy szałasów i namiotów i znaleźli się na krawędzi występu skalnego. Przed nimi rozciągał się stromy stok pozbawiony roślinności, jakieś czterdzieści pięć metrów do drogi po drugiej stronie targowiska. Zobaczyli stragany pod namiotami, drewniane budki

i odsłonięte stanowiska, w których towary rozłożone były na leżącej na ziemi płachcie. Stał tam też rozległy murowany budynek mieszczący stacjonarne sklepy i różnego rodzaju magazyny.

Podczas wstępnego rozeznania nazwali ten teren CH Alfa. Po drugiej stronie hali targowej i straganów ciągnął się rząd handlowych zabudowań – ten nazwali CH Bravo. Na wschód od niego było wybrzeże.

Jedynka już miał rozkazać chłopakom zejście ze wzgórza, kiedy na tyłach rozległ się krzyk Sierry Pięc.

– Atak z przodu! – Wystrzelił serię z uzi. – Nadciągają!

Czyli wojsko ich jednak znalazło. Zack wiedział, że będą musieli biec przez wzgórze bez osłony. Jeśli mieli mieć jakąkolwiek szansę na odparcie ataku, musieli dostać się w pobliże większych budynków na dole.

Helikopter latał mniej więcej kilometr na zachód od nich, i to dość nisko. Teraz rozpoczął manewr, który pozwoli mu za pół minuty znaleźć się bezpośrednio nad Zackiem.

– No to ruchy! Trójka, pomóż Czwórcę!

Ranny Milo wyrwał się Danowi, rzucił w stronę uliczki, którą nadchodził wróg, i padł na kolana.

– Wy idźcie! Ja zostanę i ich spowolnię!

Zack Hightower chwycił młodziaka za kamizelkę i podniósł go.

– Ejże, superbohaterze! Zamknij, kurwa, jadaczkę i wykonuj rozkazy. Cholera jasna, nie jesteśmy w Hollywood!

– Tak jest!

Zack pchnął chłopaka w stronę Dana, który chwycił go w pasie, po czym ruszyli w dół. Nagle Hightower stracił grunt pod nogami. Ziemia była twarda jak kamień, przykryta pyłem. Podeszwy nie miały o co się zaczepić, więc w biegu poślizgnął się, przewrócił i potoczył w dół. Zatrzymał się u stóp wzgórza i natychmiast poderwał się na nogi. Odwrócił się. Do niego dotoczyli się Brad i Spencer. Ten ostatni od razu stanął z bronią w ręku, ale Brad musiał wyplątać karabin z kamizelki, przez co przyjęcie pozycji pionowej zajęło mu więcej czasu.

Dan i Milo wciąż zsuwali się tyłkami ze wzgórza. Broń trzymali wysoko przed sobą, zarówno dla równowagi, jak i po to, aby lufy pozostały czyste. Zack dostrzegł nad urwiskiem wojsko. Wraz ze Spencerem strzelili z pięćdziesięciu metrów, trafiając dwóch żołnierzy, reszta rzuciła się szukać osłony na szczycie.

Hightower próbował przekrzyczeć karabin Spencera, rozkazał Bradowi, by pomógł Danowi przetransportować rannego do pierwszego otwartego przybytku w CH Alfa. Dwudziestodwuletni Milo nie nadawał się do walki. Nie dał rady wstać bez wsparcia dwóch kolegów, którzy pomogli mu utrzymać zapas sprzętu i opancerzenia.

Ruszyli. Spencer wystrzelał już cały magazynek.

– Kryć się! – zawołał Sierra Pięć.

– Teraz ja będę krył! – zawołał Zack. Padł na kolana i strzelił w głowę, która wychyłała z za szczytu. Kulka poleciała nisko i trafiła w twardą ziemię, wzbijając pył i kamyki. Spencer załadował broń i wrócił do walki akurat w chwili, gdy helikopter przeleciał bezpośrednio nad nim i Hightowerem. Zack mógł już potwierdzić, że był to Mi-17 Hip, śmigłowiec produkcji rosyjskiej, którego Służby Zbrojne Sudanu oficjalnie nie miały na stanie. Nie zastanawiał się jednak długo nad tym odkryciem, jako że helikopter zaczął ostrzelać z ciężkiego działka maszynowego sterującego z jednego z jego zewnętrznych pylonów.

– Ruchy! – krzyknął Sierra Jeden do Sierry Pięć, po czym obaj ruszyli pędem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Court wyjechał škodą octavią przez otwartą bramę prywatnej rezydencji jakieś dziesięć kilometrów na północny wschód od Sawakinu. Posiadłość była otoczona przez prawie dwuipółmetrowy mur. Sądząc po budce dla ochrony, Gentry spodziewał się zastać za nim dość duży budynek, tymczasem był to niewielki parterowy dom z oknami bez szyb. Na zakurzonej podwórku panoszyło się samopas kilka żujących siano kóz.

Po drugiej stronie, w samym rogu dziedzińca, stał brudny biały mercedes Mohammeda.

Court nie słyszał już odgłosów strzelaniny z oddali, a radio było poza zasięgiem, nie miał więc pojęcia, co się działo z Zackiem i jego grupą w Sawakinie. W lusterku nie widział helikoptera, ale to akurat nic nie znaczyło – śmigłowiec latał tak nisko, że z tej odległości i tak nie byłby w stanie go zobaczyć.

Oryks był grzeczny, poniekąd dzięki dwudziestu miligramom oxycontin. Wciąż był przytomny – nawet w miarę czujny – ale wydawało się, że nie zwraca specjalnej uwagi na to, co się właściwie dzieje. Siedział cicho na miejscu pasażera, zapięty pasem, ze związanymi rękami na kolanach i przez całą drogę wyglądał przez okno, podziwiając widoki, jakby po raz pierwszy zwiedzał kraj, którym rządził. Minęli kilka zaprzężonych w osły wozów pełnych ludzi, którzy w pośpiechu opuszczali miasto, chcąc jak najszybciej uciec daleko od szaleństwa, które tego niedzielnego poranka rozpętało się na zazwyczaj spokojnych ulicach tej dotychczas sennej miejsciny. Nawet tu, w pewnej odległości od miasta, widać było zwyczajny ruch komunikacji handlowej i pasażerskiej. Na drodze było pełno ciężarówek, autobusów, wielbłądów i wózków ciągniętych przez osły. Oryks się temu przyglądał. Nie uśmiechał się, nie panikował – po prostu patrzył na mijanych ludzi i poruszające się pojazdy. Zachowywał się dokładnie tak, jak tego pragnął Gentry.

Mimo to Court był zrozpaczony. Z każdym wertepem – a tych na drodze wylotowej z Sawakinu było co niemiara – ostry ból w plecach przybierał na sile. Pot lał mu się na oczy, a do tego do auta wleciał jakiś owad wyglądający jak giez i całą drogę miotał się niczym mały ptaszek. Gentry starał się przed nim uchylać, co powodowało, że wbijał sobie tę pierdoloną strzałę głębiej w pierdolone ramię.

W końcu zaparkował i przyjrzał się więźniowi. „Nie, on się nigdzie nie ruszy” – stwierdził. Wyszedł z auta i po raz pierwszy od kwadransa się wyprostował. Wyciągnął glocka i trzymał go przy boku. Ani śladu Mohammeda. Court stwierdził, że pewnie czeka w samochodzie, ale przez przyciemnione szyby nic nie było widać. Policjant równie dobrze mógł być w samochodzie, jak i w domu. Kiedy jednak zaczął się zbliżać do mercedesa, Mohammed wyszedł zza kierownicy. Nic nie trzymał, więc Court włożył spluwę do kabury. Wysoki Bedża wydawał się mocno zdenerwowany, co nie zdziwiło Courta.

Mohammed podszedł do Courta, który zatrzymał się niedaleko škody. Policjant zdawał się nie zauważyć siedzącego w aucie pasażera ani nawet sterczącej z pleców Courta strzały. Amerykanin stwierdził z przekąsem, że rzeczywiście musiał być doskonały w swoim fachu. Cóż, widać był podenerwowany i skupiony na czymś innym.

– Co się stało? W radiu mówili, że strzelają! Że bardzo dużo strzelają!

– Prawda. Niezłe jaja na resorach.

– Do pana strzelali? Żołnierze do pana strzelali?

– Niektórzy.

– Ale zrobił pan... to? – zapytał Mohammed.

– Taaa... Zrobiłem to, po co tu przejechałem – odparł Court.

– Ale jeśli pan jest tu... To do kogo oni teraz strzelają?

Court spojrział przez ramię na strzałę, następnie na auto. Mohammed podążył za jego wzrokiem.

– A to kto?

– Autostopowicz.

Ostrożnie, ale nie wystarczająco ostrożnie, Mohammed minął Courta i schylił się, by zajrzeć przez otwarte okno od strony pasażera. Nagle znieruchomiał z przerażenia. Natychmiast się wyprostował.

– Ale przecież to jego ekscelencja! Nic nie rozumiem! Myślałem, że miał go pan...

Mohammed się odwrócił. Źrenice jego szeroko otwartych oczu skupiły się na tłumiku w odległości kilku centymetrów od jego czoła.

Nawet nie słyszał strzału, który pozbawił go życia.

* * *

– Co to za jeden? – spytał Abboud, kiedy Court pomagał mu wyjść z samochodu.

Amerykanin zdążył podnieść z ziemi kluczyki nieboszczyka i wytrzeć zakrwawioną głowę kocem. Odwrócił się od prezydenta i zaczął ciągnąć zwłoki w stronę samochodu Mohammeda.

– Miejscowy glina. Pracował dla tych, co mnie wynajęli, żeby cię zabić.

– Naprawdę? – zdziwił się Abboud. – A to parszywy zdrajca!

Amerykanin otworzył bagażnik mercedesa. Przeżył koszmar, gdy ciągnął, podnosił i wrzucał trupa do bagażnika, mając strzałę wbitą w plecy, ale się udało. Spojrzał na prezydenta:

– Jak tam serce? – spytał, wyciągając z plecaka plastikową butelkę z wodą.

– Serce? Moje? – zdziwił się prezydent, nie do końca rozumiejąc pytanie.

– Owszem, trochę mi się kręci w głowie. Ale z sercem w porządku. Dlaczego?

– A zdrowie? Ciśnienie? Jakies problemy z układem oddechowym?

Abboud podszedł bliżej. Stanął za autem, tuż przy tym zadającym dziwne pytania mężczyźnie ze strzałą w plecach, który po chwili wrzucił butelkę wody do bagażnika, obok trupa. Cóż za szaleństwo miota tym białym diabłem?

– Jestem w pełni zdrowia. Czemu mają służyć te pytania? I po co nieboszczykowi woda?

Court ściągnął krawat z szyi prezydenta, a następnie rozpiął guziki jego białej, wykrochmalonej koszuli, wyciągnął ją z czarnych spodni, odsłaniając przy tym biały podkoszulek w serek. – To nie dla niego. Wskakuj pan.

– He?

– Do bagażnika. Migiem, migiem!

– Ale z tym...

Gray Man chwycił Abbouda za potylicę i pchnął, a raczej posadził watażkę w bagażniku, a następnie wyciął nożem wewnętrzną część bagażnika. Tłusty Sudańczyk odepchnął trupa, by wykonać polecenie.

Naprawdę nie chciał narazić się temu człowiekowi. Owszem, nie uśmiechało mu się pomaganie we własnym porwaniu ani tym bardziej jazda w bagażniku sedana, w którym leżało martwe, pokrwawione cielsko zdrajcy. Jednak przede wszystkim zależało mu na tym, ażeby Amerykanin nie wdrożył planu A.

* * *

Dziesięć kilometrów na południowy wschód od pozycji Gentry'ego Zack Hightower zdołał przeprowadzić swoich ludzi do pierwszego z dwóch długich, symetrycznych dwupoziomowych budynków. Hala targowa była chłodna i obszerna niczym budynek organizacji pozarządowej. Obudowano ją drewnianymi, chybotliwymi budkami z niskimi daszkami. Wyglądała jak tani, rozpadający się pchli targ, a nie jak amerykańska galeria handlowa. Wewnątrz budynku podłoga była brudna, jakby w porze deszczowej napływała tu ziemia i błoto z pobliskiego wzgórza. Wokół rozklekotanych kiosków, w których sprzedawano towary, wałały się śmieci, najwyraźniej pomieszkiwali tu squatterzy. I nic dziwnego, skoro obie hale były zdecydowanie stabilniejsze niż większość domów mieszkalnych w okolicy. Hightower przypuszczał, że musiała tu być jakaś ochrona, ale zapewne zmyła się gdzieś, jak tylko wparowało tu pięciu dzikich i pokrwawionych mężczyzn, ubranych po żołnierskiemu i na domiar złego strzelających z karabinów do helikoptera i wojska.

Rząd budynków był zbudowany solidnie, ale nie dawał schronienia. Okna wznosiły się od wysokości bioder i nie miały szyb. Za centrum handlowym znajdowała się kolejna, identyczna hala, czyli dosłownie kilkadziesiąt otwartych okien i długi dach, z którego ktoś mógłby ostrzelać pozycję oddziału Whiskey Sierra. No i ten upierdliwy helikopter właśnie nad nimi latał.

Noga Czwórki była w złym stanie, krwawiła w wielu miejscach. Zack szacował, że musiał stracić już ponad litr krwi. Większość ludzi już by w ogóle nie była na chodzie, a tym bardziej zdalna do walki, ale Milo to były Seal – był w stanie wytrzymać więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji Stanów Zjednoczonych, tak że mógł jeszcze przez kilka minut walczyć mimo ran. Zack jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że gdy straci dwa litry, będzie po nim – albo straci przytomność, albo będzie tego bliski. Gorączkowo

szukał kryjówki dla swoich chłopaków. Chciał zająć się ranami Czwórki, zebrać amunicję i wreszcie, kurwa, odetchnąć.

Od morza dzieliły ich trzy przecznice z budynkami. Dwójka wyrąbał toporkiem dziurę w ścianie sklepienia z koszykami na tyle poczty. Było ledwo po siódmej rano, więc była zamknięta, ale zza rozbitych drzwi i okien dochodziły głosy. Ekipa wczołgała się do pomieszczenia i ukryła za ladą. Piątka podszedł do drzwi, otworzył je i prędko zamknął. Odwrócił się do Sierry Jeden, który ustawił się tak, by pilnować dziury, przez którą właśnie się wczołgali.

– Nie ma bola, Zack! Wojsko na tyłach. Na razie siedzą i dumają, ale jak tylko wychylimy nosa, to nas zobaczą.

– Przyjąłem – odparł Hightower.

Wiedział, że jego przeciwnicy muszą przynajmniej rozważyć możliwość, że ich prezydent jest zakładnikiem tych, do których strzelają. Powinni więc zastanowić się dwa razy, zanim ich zaatakują, co dawało przewagę Whiskey Sierra. Ta sytuacja była jednak chaotyczna i dezorientująca. Zack wiedział, że nie może polegać na tym, że wrogowie są wyszkoleni czy też logicznie myślą. Kiwnął głową, wskazując na kręte metalowe schodowy prowadzące do ciemnej dziury w suficie. Wyglądało to bardziej na jakiś pawlacz niż piętro.

– Trójka, biegnij tam i spróbuj znaleźć przejście na dach. Tylko uważaj na helikopter. Chcemy dalej się kierować na południowy wschód, w stronę portu.

Dan, ciemnobrody oficer paramilitarny, wykonał rozkaz. Ruszył szybko z wysoko postawionym francuskim karabinem szturmowym FAMAS F1. Kiedy zniknął, Zack spojrzał na Dwójkę, a następnie kiwnął na Czwórkę.

– Musimy zatamować to krwawienie, bo inaczej nas wyśledzą.

Zanim Zack skończył mówić, Dwójka już utykał w stronę pilnującego dziury z karabinem maszynowym Czwórki. Brad uklęknął przy nim i zaczął wyciągać opatrunki z małej kieszeni w kamizelce.

Po minucie usłyszeli, jak przeleciał nad nimi helikopter – nisko i powoli, jego załoga próbowała zajrzeć przez okna na piętrze.

– Dan – powiedział przez radio do Trójki na dachu Zack.

– Tak, szefie?

– Musisz zrobić coś z tym Mi-17.

Po krótkiej przerwie przyszła odpowiedź.

– Bardzo bym chciał, szefie. Tyle że akurat zostawiłem stingera w innych spodniach.

Brad i Milo się zaśmiali. Spencer szedł korytarzem prowadzącym do otwartego pomieszczenia, robiąc wszystko, żeby się osłonić.

Zack warknął:

– Trójka, ten helikopter musi runąć. Sram na to, jak tego dokonasz, ale ty nie schodzisz do nas, zanim nie uziemisz Hipa. Zrozumiano?

Nastąpiła chwila wahania, ale odpowiedź była twarda.

– Przyjąłem, Zack.

– Podamy ci karabin Czwórki. HK będzie lepszy niż ten twój FAMAS. – Zack spojrział na Czwórkę, który choć ledwo się trzymał się na nogach, oparty o ścianę i we krwi poniżej prawego kolana, nie był zadowolony, że musi oddać broń. Podał karabin Bradowi, który wręczył rannemu swój F1.

Brad wbiegł po schodach z wielką spluwą. Po paru sekundach pojawił się, niosąc pistolet Dana, i wrócił do bandażowania zakrwawionej nogi.

Hightower odezwał się przez radio:

– Nie ma mowy, żebyśmy z tą ptaszyną nad czerepami dali radę wydostać się z miasta. Jak tylko znajdziemy się na drodze, to nie będzie gdzie się skryć przed atakiem z powietrza. Będziemy bronić tej chawiry, dopóki nie stracimy tego helikoptera. Jeśli Danowi uda się załatwić Mi-17, wyruszymy na wschód, do wody. Wypląniemy stąd. Zrozumiano?

– Ale Czwórka nie może pływać, szefie – zauważył Dwójka.

Zack spojrział na Czwórkę, którego twarz, w miarę utraty krwi, stawała się coraz bledsza.

Czwórka odezwał się:

– Sram na to wszystko. Jak mi każesz płynąć, to popłynę.

Zack zerknął na Dwójkę. Brad pokręcił stanowczo głową. Milo już miał zacząć protestować, ale Hightower uciszył go, podnosząc dłoń.

– Rozkazuję, żebyś natychmiast skończył z tym pieprzonym machismo. Nikomu to nie imponuje – odparł, po czym powiedział przez radio do wszystkich: – No dobra, i tak zmierzamy do wody, niech nas gonią. Potem znikamy. Pobiegniemy lądem, trasą, którą już raz pokonaliśmy. Jeśli nam się pofarci, to uznają, że poszliśmy popływać. Ale musimy użyć podstęp.

W odpowiedzi wszyscy jak jeden mąż kiwnęli głowami. Doskonale rozumieli, o jaką stawkę toczy się ta gra. Wiedzieli, że nie ma co liczyć na pomoc z zewnątrz. Było jasne, że są zostawieni sami sobie i mogą liczyć tylko na siebie.

No i na Gray Mana.

Zack sięgnął po telefon satelitarny i wcisnął szóstkę na klawiaturze. Zauważył, jak bardzo krwawi mu ręka. Nie wiedział, jak długo jeszcze uda mu się funkcjonować w pełni sił, jeśli nie da rady zatamować krwawienia. Wyrzucił jednak to zmartwienie z głowy, gdy tylko Gentry odebrał.

Sierra Jeden zapytał:

– Hej, brachu! Czy u ciebie sprawy są równie popierdolone jak u nas?

– Oryks i ja jesteśmy bezpieczni. Z odgłosów można było wnioskować, żeście się niezłe prali.

– Cóż, zabawa wciąż trwa.

– Masz plan Charlie? – zapytał sarkastycznie Gentry, biorąc pod uwagę, że plan Bravo nie okazał się udany.

– Możesz być pewien, że tak.

– Jakoś wątpię.

Nastąpiła krótka pauza.

– Pracuję nad nim. Gdzie jesteś?

– Jakies piętnaście kilometrów na północny zachód. Zmieniłem pojazd. Nikt nas nie śledził.

– No, kurwa, młody. To w porównaniu z nami leżakujesz w luksusach. My jesteśmy chwilowo uwięzieni, dwóch rannych, braki amunicji. Wojsko się wycofało w nadziei, że ten latający Hip nas sfraguje i oni nie będą musieli się wychylać. Stawiam, że albo wątpię, żebyśmy mieli ich prezydenta, albo im na nim nie zależy.

– To Hip? Nie wiedziałem, że Armia Sudanu ma Mi-17!

– To na pewno Hip.

– Kto jest ranny? – spytał Court.

– Milo oberwał w nogę. Zatamowaliśmy krwawienie, ale o własnych siłach stąd nie wyjdzie.

– A drugi?

– Ja, we własnej osobie.

– Jesteś na chodzie?

– Jasne, eliminuję szmatogłowych, jakby jutra nie było. Oberwałem czymś twardym w przedramię, a w takie dni, jak ten, to raczej potrzebuję obu rąk.

– Kurwa... Z mojej strony też jeden ranny.

– Kto?

– A kto, kurwa, myślisz, Zack? Wysłałeś mnie samego, pamiętasz?

- Wiem to, kutasie. Mogłeś jeszcze mówić o Oryksie.
 - Oryks cały i zdrowy.
 - A ty zrobiłeś sobie ziazi?
 - Coś w ten deseń.
 - Gdzie oberwałeś?
 - W górną część pleców, strzałą z łuku.
 - Yyyy... Powtórz to ostatnie...
 - Dostałem pierdoloną strzałą. Z pieprzonego łuku. Jeszcze nie udało mi się jej wyciągnąć. Pracuję nad tym.
 - Więc tak sobie łazisz ze strzałą sterczącą z pleców? Serio?
 - Właśnie tak.
 - Co jest, kurwa? Przecież nikt tu nie napierdalał z łuku.
 - No nie wiem, Zack. Bo chyba, kurwa, sam się na nią nie nadziałem. Nie widziałem łuczника. Ale lepsze to niż oberwać z cekaemu tutejszej armii.
 - Strzała, ja pierdołę.
 - Słuchaj, Zack. Mogę po was wyjechać. Właśnie dojeżdżam do mojej kryjówki. Mogę przywiązać Oryksa trytytkami do jakiegoś słupa i po was wrócić. Mam glocka i dodatkowy magazynek, może uda się...
 - Nie. Na razie czekaj w gotowości i chroń przesyłkę. Nie potrzebujemy, żebyś bawił się w generała Custer a przy okazji zgubił prezydenta. Spróbujemy sami się wydostać z tego gówna.
 - Rozumiem.
 - Jak ty wyciągniesz tę strzałę?
 - Chyba poproszę o pomoc prezydenta.
- Zack aż gwizdnął.
- Coś mi mówi, że nie będzie skory do pomocy.
 - Cóż, będę go musiał jakoś przekonać.
 - No to powodzenia. Ale gdy ty tu się bawisz w kowbojów i Indian, to my, dorośli, mamy do czynienia z prawdziwą bronią. Tak więc udaj się do głównej kryjówki i się ogarnij, zanim znowu zadzwonisz.
 - Przyjąłem.
- Zack się rozłączył. Akurat gdy podniósł wzrok, północna część budynku runęła pod ostrzałem z ciężkiej broni maszynowej. Pył roztrzaskanego gipsu i betonu wleciał do pomieszczenia niczym gęsty dym. Cała trójka padła na brzuch i odpowiedziała ogniem. Zack krzyknął do mikrofonu:
- No, Dan, oczyść mi w końcu to cholerne niebo!
- Jego słowa zagłuszył niesamowity hałas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

O ósmej rano oddział Whiskey Sierra został przygwożdżony od zachodu i z góry. Spencer wrócił do grupy. Oberwał trzema pociskami z kałasznikowa w płytkę kamizelki kuloodpornej na klatce piersiową i krwawił z kilkunastu obrażeń odłamkami na szyi i twarzy.

Dan wciąż był na dachu. Udało mu się znaleźć osłonę przed helikopterem i starał się złapać okazję, żeby rozwalić maszynę. Musiałby jednak do tego się odsłonić, a Hip krążył zbyt nisko, żeby nawet spróbować. Pozostała czwórka leżała na brzuchach na parterze. Karabin maszynowy stojący na tyłach dżipa, w którego Brad o mały włos nie wjechał wcześniej, doczekał się strzelców, którzy za jego pomocą demolowali tę część hali targowej, w której ukryli się Amerykanie. Ostrzał był tak bezlitosny, że ekipa Zacka nie była w stanie nawet wychynąć i odpowiedzieć ogniem.

– Dan, dałbyś radę przedostać się na drugą stronę dachu, żeby łupnąć w ten karabin?

– Nie ma mowy, szefie. Hip lata tuż nade mną. Wystarczy, że wystawię głowę, a ją stracę. Nie mogę nawet strzelać, zanim się nie oddali. – Przez radio Trójki słychać było odgłos helikoptera.

– Zrozumiałem.

Brad próbował przekrzyczeć odgłos ostrzału:

– Zaraz nas tu dopadną!

– Wiem – przyznał Zack. To jego zadaniem, jako dowódcy, było wymyślenie wyjścia z tego, wydawałoby się, beznadziejnego położenia.

Wyrzwał na korytarz. Nie licząc okien i frontowych drzwi, był on jedynym wyjściem z tego pomieszczenia.

– Spence, myślisz, że wojsko jest już w pokoju obok?

– Nie zdziwiłoby mnie to. Łatwo się tam dostać z ulicy.

Hightower pokiwał głową.

– No dobra. Słuchajcie, mam plan. Nie jest cudowny, ale jedyny. Brad, na mój rozkaz wyrzucisz cały swój dym tak daleko, jak tylko się da, na

zachód, żeby poleciało wszystko na ulicę, pomiędzy nas a karabin maszynowy. Dan, trzymaj się nisko, ale rzuć dymnym z dachu w tym samym kierunku tak daleko, jak tylko dasz radę.

– Zrozumiano, szefie.

– Spencer, ty rzuć dymnym przez okno na wschód, czyli na targowisko pomiędzy halami. Dobrze mnie słyszysz?

– Dobrze.

– Ja rzucę moim tam, gdzie Spence. Wtedy na mój rozkaz Spencer wychodzi przez okno na wschód, strzela w Hipa i spierdziela. Będziesz próbował zmusić helikopter, żeby za tobą poleciał. Jak tylko ruszy, to...

– Ja palnę mu w dupę osiemdziesiąt pocisków z HK – dokończył Dan.

– Zuch chłopak. Wtedy Spencer biegnie do CH Bravo. Niech przeciwnik pomyśli, że się tam przenieśliśmy. Reszta pójdzie tą halą na południe, przez piętro.

– Przyjąłem – odparł Spencer. Planowany manewr to był praktycznie wyrok śmierci, ale nie okazał wahania czy strachu.

– Połączymy się tak szybko, jak to tylko możliwe – powiedział Zack.

– Brzmi cudnie – odparł Sierra Pięć. Wciąż nie dawał po sobie poznać, czy zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie zaraz zginie.

– Brad, ty się zajmujesz Milo.

– Jasne. Ale musimy wypieprzyć jego sprzęt, żebyśmy byli w stanie się ruszać.

– Zrób to! – Zack dał chwilę Bradowi, by zdjął kamizelkę bojową, plecak i pas bojowy z rannego, po czym kontynuował: – No dobra, chłopaki. Zróbmy to. Zaczynamy!

Przez okna i z dachu wypadły granaty dymne. Ci, którzy byli pod ostrzałem bezpośrednim, podnieśli się na kolana. Milo, choć był ranny i osłabiony, też ukląkł i strzelił z pożyczonej broni, po czym rzucił granatem odłamkowym na zachód.

– Granat!

Po kilku sekundach z pojemników na ulicy po obu stronach hali wystrzelił gęsty, czerwony i biały dym. Spencer odpiął sporą część sprzętu z pleców i bioder. Mając przy sobie tylko uzi, pistolet i kilka magazynków, wyskoczył przez okno i pobiegł czterdzieści metrów pomiędzy straganami na odsłoniętym terenie w stronę drugiej hali. Gęsty biało-czerwony dym dawał mu pewną osłonę, ale Hip i tak go dostrzegł, zawrócił i ruszył za nim w pogoń.

Rosły agent zwolnił i się odwrócił, aby strzelić w maszynę, już podniósł broń gotową do strzału, ale Hip go ubiegł. Działka automatyczne rozwalily drewniane budki po obu jego stronach. Spencer odwrócił się i pognął ile sił w nogach. Hip podążył za nim, oddalając się od dachu CH Alfa. Dan, czyli Sierra Trzy, wyszedł z za osłony i oparł karabin maszynowy na ramieniu.

Ustawił czerwony celownik potężnej giwery na śmigło ogonowe wielkiego metalowego ptaka. Krótkimi seriami, wyważonymi, aby panować nad odrzutem, zaczął strzelać. Nie przestał, nim nie wystrzelił wszystkich osiemdziesięciu pocisków, aż lufa zbieła z gorąca.

Po kilku sekundach pojawiła się niewielka smuga czarnego dymu. Helikopter zadrżał i poleciał na prawo, nie mogąc już ścigać uciekającego agenta. Zataczał się coraz bardziej. Dan pomyślał w pewnej chwili, że próbuje się obrócić i ruszyć za nim, ale po chwili nastąpił wybuch śmigła ogonowego, znacznie większy niż pierwotna smużka, i Mi-17 poleciał, kręcąc się równo z głównym wirnikiem wokół własnej osi. Helikopter był dwadzieścia pięć metrów nad ziemią. Pilot stracił panowanie nad maszyną. Dan zbiegł po schodach, krzycząc przez radio do Piątki:

– Uważaj, Spence, Przyjebie fest! Uciekaj z targu!

W tej samej chwili ogon Mi-17 uderzył w piętro hali, w której przebywała większość ekipy. Zack poleciał do przodu i uderzył nosem w ziemię. Choć potężna maszyna spadała tylko dziewięć metrów, to była tak rozpędzona, że wybuch i kula ognia nie mogły zostawić nikogo przy życiu.

Hightower wiedział doskonale, co się działo z Hipem. Nie widział, jak maszyna oberwała od Dana ani jak upadła na targowisko pomiędzy dwiema halami, ale słyszał odgłosy oraz komunikat nadany przez swojego człowieka na dachu, a kiedy helikopter stanął w ogniu, on i dwóch kompanów wychodzili właśnie z klatki schodowej na piętrze i mijali okno. Zobaczyli błysk i poczuli żar. Los Mi-17 i tych, którzy byli na jego pokładzie, bynajmniej nie był tajemnicą.

Mężczyźni, idąc korytarzem, spotkali schodzącego z dachu po drabinie Dana. Teraz i Brad, i Dan, podtrzymywali Milo. Zack prowadził. Chcieli jak najbardziej się oddalić od miejsca, gdzie ostatnio widzieli przeciwnika.

– Jedyńka do Piątki! – zawołał Zack, ostrożnie przemieszczając się przez długi sklep z różnorodnym towarem, który nieźle oberwał od działek. Wokół walały się szczątki papieru, koszyków i ceramiki. Nic się nie ostało.

– Jedyńka do Piątki. Słyszysz mnie, Pięć? – Cisza. – Jedyńka do Piątki. Spence?

W słuchawkach wciąż panowała cisza.

* * *

Court wszedł do krytej strzechą chaty. Mniej niż pięć sekund wystarczyło, aby upewnić się, że jest pusta. Ściany składały się przede wszystkim z tkaniny jutowej, a za drzwi służyła wyklepana na płasko pięćdziesięciopięciogalonowa beczka. Podczas budowy niektórych ścian bieżniki z opon zostały powpychane pomiędzy drewno, sklejkę i inne śmieci. Wewnątrz było ciemno i gorąco. Powietrze stało nieruchome i gęste. Brak zapachów jedzenia czy dymu spod kuchni sugerował, że chata została opuszczona już jakiś czas temu i właściciele nieprędko tu wrócą. Court rozgarnął pajęczyny, kopnął w róg śmieci, aby upewnić się, że nikt tam się nie czai i nic paskudnego stamtąd nie wypełźnie, po czym zaczął wycinać otwory w tkaninie, żeby do środka dostało się trochę światła i powietrza.

Miał szczęście, że znalazł tę kryjówkę. Po ostatniej wiadomości od Zacka Gray Man postanowił zmienić pierwotny plan i na razie nie jechać do bagien. Wolał na wszelki wypadek trzymać się trochę bliżej Sawakinu, gdyby trzeba było wydostać stamtąd chłopaków. Tak więc zjechał z głównej drogi, przez chwilę położył bez celu pustą boczną dróżką, minął kilka wozów ciągniętych przez osły i maleńką wioskę. Szukał miejsca, gdzie dałoby się zaparkować i mieć chwilę spokoju. Opuszczona chata była otoczona przez wysokie trawy. Z drogi ledwo ją było widać. Court uznał, że powinni się w niej zatrzymać, choć w trawie zapewne roiło się od wszelkiego rodzaju jadowitych węży i owadów.

Gentry włożył broń do kabury i ostrożnie wrócił po własnych śladach do mercedesa, aby wyciągnąć z bagażnika żywy towar. Oryks był przytomny i czujny. Oczy miał szeroko otwarte. Widać w nich było ulgę, odrazę i odrobinę narkotycznej satysfakcji. Opróżnił już całą butelkę i nie wiadomo jakim sposobem zdarł z siebie podkoszulek. Biała koszula lepiła się do jego ciała, cała przesiąknięta potem. Wielki łysy czerep też był mokry.

Bagażnik cuchnął śmiercią.

* * *

– A jednak wcale nie pracujecie dla rządu Stanów Zjednoczonych – obwieścił Oryks, kiedy Court prowadził go do chaty. – Poznałem po tym, jak zabiliście tego człowieka. To była egzekucja. I po tym, jak mi przywaliliście i wepchnęliście do bagażnika. To gadanie o forsie, o zleceniu zamachu na moje życie. To nie są działania amerykańskiego żołnierza.

– W rzeczy samej.

Prezydent zatrzymał się i odwrócił.

– Jesteś najemnikiem. Bogacisz się na kontraktach na zabijanie.

Gentry pchnął go do przodu:

– Kto się bogaci, ten się bogaci. Po odjęciu kosztów te kontrakty to praktycznie śmieciówki.

– Wiem, kto kazał mnie zabić.

– Czyżby?

– Toż to oczywiste. Kto ma na tyle środków, by za to wszystko zapłacić, a równocześnie nienawidzi mnie na tyle, żeby wprowadzić ten plan w życie? To muszą być ci wszyscy amerykańscy aktorzy, którym tak bardzo się nie podobam. Oni są tacy bogaci! Od lat widuję ich w telewizji, jak apelują do tego waszego kongresu, jak kręcą filmy pełne kłamstw, które śmia nazywać dokumentami. Wiedziałem, że kiedyś ci niewierni będą próbować pozbawić mnie życia.

Court nie był w nastroju do rozmów. Strzała tkwiąca w jego plecach wywoływała ostry ból i skurcz mięśni. Nawet chodzenie sprawiało mu trudność. Kiedy zbliżyli się do otwartego wejścia, odparł jednak:

– No właśnie. Po tym wszystkim zostanę prawdziwą szychą w Hollywood. Dostanę własną gwiazdę na tym cholernym deptaku.

– Wiem też, kto cię wysłał, żeby mnie porwać... – urwał, zatrzymując się na progu chatynki. – Gdzie my jesteśmy? Co to za miejsce?

– Idź dalej.

– Co zamierza...

Court przyłożył mu z całej siły kolbą w bok głowy. Wielkolud zachwiał się, odwrócił w stronę drzwi, po czym bez dalszych pytań wszedł do chaty. Stał na środku przyciemnionego pomieszczenia. Mimo mroku Gentry dostrzegł zdumienie w jego oczach.

– Pracujesz dla Beduinów?

– Stul pysk.

Abboud otrząsnął się ze zdziwienia i rozpoczął negocjacje. Bynajmniej nie zdziwiło to Courta.

– Mogę zapłacić znacznie więcej niż dostaniesz, zapewniam.

– Zamknij się.

– I nie mówię tu o pieniądzach z banków sudańskich. Oj, nie... Bo ja mam konta na całym świecie. Mam przyjaciół i na Zachodzie, i w Azji. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dużo można na tym zarobić. Mogę podwoić to, co teraz...

– A zamknij się pan i słuchaj! – Court włożył pistolet do kabury. Kiedy ściągał plecak, ostrożnie i powoli rozpinając tasiemki, na jego twarzy odmalowało się cierpienie. Następnie, jęcząc i krzywiąc się z bólu, zaczął zrywać z siebie brązową koszulę. Po kilku szarpnięciach ściągnął ją z siebie i stał z gołą klatką w zaciemnionej chacie. – Teraz pomóż mi się tego pozbyć.

– Strzały?

– Nie, kurwa, plamy po kawie na kroczu! Oczywiście, że strzały!

Prezydent uniósł krzaczastą brew:

– A jeśli się nie zgodzę?

– Wtedy cię zabiję.

Court prawie widział, jak w mózgu Abbouda poruszają się trybiki. Chytrus wiedział już, że porywacz potrzebuje jego pomocy. Teraz zastanawiał się, jak wykorzystać to na swoją korzyść.

– A co będzie, jak pomogę?

– Wtedy cię nie zabiję. Na razie.

To trochę spowolniło obroty.

– To co mam zrobić?

– Położę się na ziemi, twarzą w dół. Ty masz położyć stopę pośrodku moich pleców, chwycić za strzałę tuż nad grotem i wyciągnąć ją z kości.

Oczy prezydenta błysnęły nową nadzieją. Court Gentry doskonale wiedział, co despota wymyślił.

– Wiem, że masz ochotę przy okazji wbić mi tę strzałę w plecy czy szyję. Jeśli tak, to lepiej mierz w szyję, bo ten cios uśmierci mnie od razu. W przeciwnym razie obróć się i strzelę w ciebie szesnaście razy.

– Dlaczego akurat szesnaście?

– Bo tylko tyle kul mieści się w moim pistolecie. Pamiętaj, że w Sawakinie nieźle cię naćpałem. Jesteś powolniejszy, niż ci się wydaje, słabszy niż ci się wydaje. Plus w chwili obecnej nie jesteś nawet w połowie aż tak cwany i bystry, jak ci się wydaje. Musisz się naprawdę dobrze zastanowić, zanim spróbujesz zrobić coś głupiego, bo przysięgam, że jeśli ci

się nie uda, to odstrzelę ci jajca, a potem będę tylko patrzył, jak się miotasz aż do wykrwawienia.

Chatę wypełniła cisza, tak jak upał. Na twarzy Oryksa można było wyczytać, jak wyobraża sobie ten niemiły przebieg wydarzeń.

W końcu Court zapytał:

– Gotowy?

Prezydent Abboud milczał przez dłuższy czas.

– To będzie niezwykle bolesne – zauważył.

– A co ci to przeszkadza?

– Bo może ci się wydawać, że usiłuję cię zabić, kiedy będę próbował pomóc.

– Będę się spodziewał bólu w plecach, tam, gdzie strzała. Jeśli poczuję ból gdziekolwiek indziej, prezydent Sudanu straci jajca. Nie będziesz już mógł spłodzić żadnych nowych dyktatorków. Zrozumiano?

Abboud pokiwał głową. Court wyciągnął pistolet i powoli opuścił się na kolana, a potem położył na brzuchu. Strzała tkwiła w jego łopatce. Wiedział, że nie wyjdzie łatwo, a kiedy to nastąpi, czeka go obfite krwawienie. Miał ze sobą mały zestaw apteczny, ale nie miał dość opatrunków, żeby dokładnie zająć się raną, której ani nie widział, ani nie był w stanie dosięgnąć, a prośenie prezydenta Sudanu o pomoc w bandażowaniu wydawało mu się nieznośnie dziwaczne.

Narkotyczne otępienie Oryksa, które wywoływało ospałość i zmniejszało fizyczne i psychiczne zdolności więźnia, było pomocne dla Courta porywacza, ale zdecydowanie niekorzystne dla Courta pacjenta. Istniało prawdopodobieństwo, że potężny Bakri Abboud zwali mu się prosto na strzałę i zamiast ją wyciągnąć, przybije Courta do podłogi tej rudery niczym motylka przyszpilonego w zakurzonej kolekcji starego entomologa.

Gray Man wiedział, że będzie źle i nieprzyjemnie. Naszła go ochota, aby coś łyknąć. Sęk w tym, że właśnie był w samym środku niezwykle trudnej misji. Poczuł, że zawiódł samego siebie, już myśląc tylko o prochach. Prawą dłońią pogłaskał glocka. Przez chwilę nic nie słyszał ani nie czuł. Zastanawiał się, czy Oryks przypadkiem nie próbuje się wymknąć. W końcu z góry rozległ się tubalny głos Afrykańczyka:

– A może uwolnisz mi dłonie? To by bardzo pomogło...

– Nie ma mowy. Chwytaj i ciągnij.

Poczuł podeszwę wielkiego buciora dotykającą miejsce pomiędzy jego łopatkami, a potem bolesne chwyty strzały tkwiącej w jego mięśniach

i kościach. Następnie niesamowicie przerażające wyciągnięcie, przez które jego oczy wypełniły się łzami, a z gardła rozległ się przeszywający skowyt. Pieczenie i rozdzierający ból nie ustały. Court instynktownie przewrócił się na plecy, wymierzył z glocka do znajdującego się nad nim przeciwnika, po czym musnął kabłąk palcem i zatrzymał go na spuście. Mierzył w cel znajdujący się zaledwie kilka stóp od wylotu lufy.

Oryks stał nad nim, zasłaniając oczy spętanymi dłońmi. Krwawa strzała wyleciała z jego palców wprost na pierś Gentry'ego. Udało się, a Oryks nie próbował żadnych podstępów. Court zdał sobie sprawę, że niewiele brakowało, a by go zastrzelił.

Ból w ramieniu nie ustał, ale udało mu się wstać. Zauważył, że jednak może się łatwiej poruszać – choćby dlatego, że nie musiał już ostrożnie manewrować pomiędzy przedmiotami w obawie, że wepchnie sobie strzałę głębiej w plecy.

- Dobrze.
- Jak się nazywasz?
- Nazywaj mnie Sześć.
- Dobrze, panie Sześć. A ty możesz do mnie mówić per prezy...
- Będę cię, kurwa, nazywał tak, jak mi się spodoba. A teraz, dupku, muszę do kogoś zadzwonić, więc siadaj w kącie i bądź grzeczny. Dobra?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Zack i trójka jego chłopaków wydostali się z ostatniej strefy śmierci. Po tym, jak helikopter runął w ogień, Armia Sudanu zdawała się wycofać – zarówno ze strachu, jak i po to, aby się przegrupować. Hightower wraz z ekipą przemierzali piętro CH Alfa, przechodząc przez pralnie i sklepy z dywanami, przez piekarnie i magazyny. Poradzili sobie z dwoma żołnierzami, którzy byli zaskoczeni spotkaniem i zdecydowanie wściekli, zabijając ich po cichu sztyletami. Brad i Dan, jako że każdemu zostało już tylko po jednym magazynku, zabrali ich karabiny Typ 81. Brad przekazał Milo swojego FAMAS-a, żeby się nim podparł, dzięki czemu cały oddział mógł poruszać się sprawniej. Na końcu hali zeszli na dół, skąd śledzili wycofywanie się piechoty. Zack wydał więc rozkaz, aby opuścili kryjówkę i ruszyli przez suk w stronę wody, aż do drugiej hali nazwanej CH Bravo.

Po upadku śmigłowca na bazarze szalał pożar. Czarny dym z płonącego paliwa, tkanin, gumy i drewna osłonił uszczuploną i zmęczoną ekipę podczas ucieczki przez otwartą przestrzeń. Wycofujące się oddziały nie otworzyły do nich ognia – wyglądało na to, że nikt nie zauważył, że zmienili pozycje. Wydawało się to zbyt piękne, aby było prawdziwe, ale na razie Zack nie miał powodów, by przypuszczać, że przeciwnik zna ich obecne położenie.

Hightower tyle razy widział różne walki i potyczki, więc zdawał sobie sprawę, że dezorientacja i chaos po stronie wroga przemawiały na ich korzyść. Był przekonany, że Armia Sudanu nie ma pojęcia, że walczy z piątką napastników, która w dodatku nie używa głowy ich państwa jako żywej tarczy. Gdyby wiedzieli, że ich przeciwnik znajduje się w okolicach bazaru przy nabrzeżu, wtedy po prostu skoncentrowaliby tu wszystkie siły, rozwalili ściany obu hal targowych i pozabijali wszystko, co się rusza w okolicy. Bo piątka facetów – nieważne jak dobrze wyszkolonych – nie poradziłaby sobie z takim natarciem.

W dodatku wszystko wskazywało na to, że z tej piątki została tylko czwórka. Spencer nie dawał znaku życia, odkąd dziesięć minut wcześniej wyskoczył przez okno, aby odwrócić uwagę helikoptera. Oczywiście istniała możliwość, że po prostu zgubił nadajnik albo było coś nie tak z sygnałem, ale Sierra Jeden podejrzewał, że Piątka mógł przebiec przez suk i na jego końcu wpaść na większy oddział piechoty. Zack i jego towarzysze broni uważnie przemierzali teraz CH Bravo, próbując znaleźć zaginionego kolegę.

Nagle telefon Hightowera zawibrował. Wcisnął guzik, który skierował połączenie do jego zestawu słuchawkowego.

– Hejo, Sześć. Jak tam leżenie do góry brzuchem na plaży z mai taiem?

– Jesteśmy w bezpiecznym miejscu. A wy? – zapytał Gentry.

– Właśnie siedzimy po uszy w gęstym, zawiesistym gównie. Jesteśmy w hali targowej, jakieś pięćdziesiąt metrów od wybrzeża, trzy przecznice na północ od grobli. Sporadycznie przychodzi nam jeszcze postrzelać. Nie udało nam się na dobre wymknąć wojsku. Jak plecy? Napotkałeś na prerii jeszcze jakichś Komanczów?

– Cóż, będę żył. Przydam ci się na coś?

– A jesteś pewien, że uda ci się wsadzić Oryksa do lodu?

– Tak jest. Związę go i napakuję narkotykami. Nigdzie się nie ruszy.

– Super. No to wsiadaj na rumaka i przyjeżdżaj na asapie. Będziemy potrzebować bryki. I raportu sytuacyjnego co do koncentracji oddziałów przeciwnika na mieście. Tak sobie myślę, że może udałoby ci się wkraść z zachodu, znaleźć nam środek transportu, a potem przybliżyć się na tyle, żebyś mógł nas zaprowadzić do bryki.

– Kurwa, Zack. Zaraz poprosisz, żebym przy okazji wpadł do Maca po kilka Happy Mealów.

Zack zachichotał, przechodząc obok stoiska wypełnionego garnkami i patelniami. Na czele grupy szedł Brad z wyciągniętym zszabrowanym karabinkiem Typ 81, za nim podążali Dan z Milo.

– Gdzieżeś ty, młody, nauczył się tak pyskować? – zapytał Zack. Było to pytanie czysto retoryczne. Doskonale znał odpowiedź. – Burgery to będą z Whiskey Sierra, jeśli nie uda ci się wyciągnąć naszych nadobnych tyłeczków z grilla.

Zack usłyszał w słuchawce ciężkie westchnienie, wiedział jednak, że jego były podwładny mimo narzekania i jęczenia go posłucha.

– Przyjąłem. Już jadę. Dam znać przez radio, jak będę w zasięgu.

– Grzeczny chłopiec. Po drodze jeszcze daj cynk załodze „Hannah”. Daj im znać, gdzie ukryłeś prezydenta. Tak na wszelki wypadek, jeśli tego nie przeżyjemy, żeby go mogli sobie zabrać.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

* * *

Pół godziny zajęło Gentry’emu zabezpieczenie Oryksa, zmiana koszuli na coś mniej podartego i mniej pokrwawionego, obwiązanie głowy turbanem, zatankowanie paliwa z zaparkowanej ciężarówki do baku mercedesa i powrót do Sawakinu. Już miał wziąć ciężarówkę i zostawić mercedesa, ale stary, ociążały diesel dobrze mu służył. Nie został zidentyfikowany przez wroga, a ciężarówka wyglądała marnie nawet jak na to, co uchodziło w tym kraju za pojazd. W drodze do miasta mijał jadące w obu kierunkach samochody wojskowe i policyjne, a także tłumy przerażonych cywilów. Nad nimi para starych amerykańskich odrzutowców F-5 Sił Powietrznych Sudanu rysowała ósemkę na jasnym, błękitnym niebie.

Wojsko nie wydawało się przeprowadzać zbyt koherentnych ruchów – Gentry uznał to za dobry znak. Wyglądało na to, że Sudańczycy nie mieli pojęcia, z jak wielką – czy też raczej z jak niewielką – siłą przyszło im się zmierzyć. Gentry kierował się na południowy wschód od placu. To tam umieszczeni byli dwaj agenci. Podejrzany ford w tym czasie krążył po mieście i strzelał, gdzie popadnie, a do tego krótka wymiana ognia z RWS na zachodzie – przywódcy Armii Sudanu rzeczywiście mogli być dość zdezorientowani. Sporo strzelaniny i liczne raporty o napotkaniu siły wroga praktycznie w różnych punktach w całym mieście mogły wskazywać, że prezydent został porwany przez jakąś lokalną jednostkę liczącą stu chłopca.

Kiedy Court zwolnił, żeby manewrować w wąskim przejeździe pomiędzy dwoma rzędami ruder, z uliczki po jego prawej wyjechał z impetem i minął go wojskowy dżip kierujący się na północ. Przy asfaltowej drodze do ruchu włączyła się dwutonowa ciężarówka wioząca żołnierzy, w którą o mały włos nie wpakował się identyczny pojazd jadący na wschód.

W mieście nie słyhać już było wymiany ognia, nie widać też było helikoptera. Wyły natomiast syreny, a nad portem i laguną unosiła się nawiewana przez wiatr cienka smuga czarnego dymu. Wyglądało to tak, jakby dopiero co zakończyła się tu bitwa.

Gentry zaparkował auto przy nieogrodzonym boisku do piłki nożnej, cztery przecznice na zachód od placu. Natychmiast obkoczyli go kolesie, którzy próbowali sprzedać mu rzepę czy inne buraki, niewzruszeni tym, że mniej niż godzinę wcześniej w okolicy miała miejsce ofensywa przypominająca tę w Ardenach. Gentry nie miał pojęcia, kto o zdrowych zmysłach chciałby w takiej sytuacji zajmować się kupowaniem warzyw korzeniowych na kolację, rozpedził więc towarzystwo machnięciem ręki. Pilnował, aby jego okulary przeciwsłoneczne, broda i turban zasłaniały jak największą część jego twarzy. Przecznicę od boiska znalazł budkę z ciuchami, gdzie kupił długą, białą szatę, po czym zszedł w boczną uliczkę, aby ją włożyć.

W mieście roilo się od glin. Gentry stwierdził, że pewnie większość przyjechała ze znajdującego się ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ Port Sudanu. Jeśli rzeczywiście tak było, to musieli dopiero co przybyć tu, w samo centrum tego chaosu, a teraz pewnie próbują zorientować się w sytuacji. Zapewne zaraz dojdzie do dyskusji, kto tu właściwie rządzi: nowo przybyli, miejscowe gliny, wojsko czy tajna policja. Wiedział, że to ostatni moment, żeby tego dnia cokolwiek osiągnąć w Sawakinie i że należy się spieszyć. Wypatrzył mieszczący się nieopodal długiej konstrukcji z drewna i falowanej blachy zdezorganizowany punkt kontrolny policji osłaniający setki drewnianych klatek. W każdej siedziała kura bądź kogut. Wokół kręciło się mnóstwo miejscowych. Tylko nieliczni rzeczywiście coś robili, większość stała i zajmowała się zapewne roztrząsaniem porannych wydarzeń. Court zauważył, że gliny przetrzepują niektórych przechodniów w punkcie kontrolnym, więc postanowił poszukać innej trasy.

Widoczność na drodze była słaba z powodu unoszącej się na drodze chmury pyłu wzbijanego przez pojazdy niczym przez mały habub. Gentry widział nie dalej niż na kilkanaście metrów. Miał nadzieję, że gliny i inni ciekawscy mają ten sam problem co on, wtedy mógłby pewniej zbliżyć się do celu podróży.

Skręcił w lewo, by ominąć kontrolę policyjną. W kilka sekund już się zgubił. W tym mieście było tak mało głównych arterii, że bardzo łatwo można było się poczuć jak w nieskończonym, zawiłym labiryncie i przejść pomiędzy szafasami. Na szczęście Sawakin leży na wzniesieniu opadającym w stronę morza, a plac – nieopodal portu, wystarczyło więc kierować się w dół i z dala od ludzi, żeby w końcu tam dotrzeć.

W promieniach słońca rynek zdawał się mniejszy, jeszcze bardziej brudny i zatłoczony niż zwykle. Pełno było ludzi, zwierząt i różnego rodzaju maszyn. Wielbłądy, kozy i osły wchodziły pomiędzy wojskowe pojazdy, rządowe sedany i tak zwane technicala, czyli pikapy toyoty z przymocowanymi z tyłu karabinami maszynowymi, i tłum ludzi na naczepach. Na rynku stały dwa helikoptery transportowe, z których wyskoczyły duże grupy żołdaków wysłanych, by znaleźć porywaczy prezydenta. Z każdego rogu placu rozlegały się syreny karetek, ludzie krzyczeli do siebie. Na placu rósł stos ciał żołnierzy przynoszonych i zrzucanych tu przez towarzyszy broni. Wokół widać było rannych. Court wypatrył prowizoryczny punkt ambulatoryjny dla cywili. Był pełen potrzebujących. Nawet z odległości Court mógł dostrzec, jak poważne były niektóre obrażenia. Gentry szybko odwrócił wzrok w obawie, że zobaczy dzieci. Nie był w stanie patrzeć na ich cierpienie.

– Trzeba było zniszczyć wioskę, aby ją ocalić – mruknął pod nosem spod ciepłego turbanu, przypominając sobie cytaty o wojnie wietnamskiej.

Pod ubraniem zawibrował telefon satelitarny. Połączenie przełączył do zestawu słuchawkowego. Odebrał:

– Już prawie przy was jestem, Jeden. Pięć minut.

– No dobrze. Tyle na ciebie czekamy, że zaraz każą nam płacić czynsz za kolejny miesiąc. Jak sytuacja na mieście?

– Robi się tłoczno. Różne organizacje, będą musiały się nieźle porozumieć co do jurysdykcji. Plus pełno martwych i rannych. Trzeba wykorzystać ten rozgardiasz. Nadeszła chwila, żeby się przemieścić.

– Niestety nie możemy od razu dokonać eksfiltracji.

Court się zatrzymał.

– Dlaczego?

– Sierra Pięć zaginął w akcji. Musimy wycząć, co się z nim stało.

– Przyjąłem. Znajdę nam jakieś cztery kółka i będę w gotowości. Koniec odbioru.

* * *

Zack i trzech jego ludzi byli gotowi do wszczęcia poszukiwań kilka sekund po tym, jak Court się rozłączył. Ostatnie pół godziny spędzili na dachu CH Bravo, po jego północnej stronie, niecałe czterdzieści metrów na wschód od wraku helikoptera. Znaleźli zieloną, podartą, nadgniłą plandekę podtrzymywaną przez drewno i druty przykrywającą drewno na opał

i puste beczki po wodzie. Weszli pod nią, wpełzając pomiędzy pojemniki, by jak najlepiej się ukryć. Siedzieli tam w oczekiwaniu na sygnał, krwawiąc, pocąc się i strącając z siebie skorpiony. Jednak spod planeki nie widzieli niczego, co działo się wokół hali.

Cała czwórka opatrzyła rany. Zack zabandażował swoje przedramię, tamując krwawienie, napił się wody i elektrolitów, aby uzupełnić mikroelementy, po czym zebrał wszystkie niewystrzelane naboje do trzydziestonabojowego magazynka w swojej giwerze, plus jeszcze kilka do kolejnego w kieszeni w kamizelce taktycznej. Brad miał już całkiem naładowany Typ 81. Podczas wypadku forda poturbował plecy i kolano. Podejrzał, że mógł złamać kilka żeber po prawej stronie, ale nie zgłosił tego dowódcy. Dan też trzymał broń – złupionego chińskiego kałasznikowa. Był jedynym członkiem ekipy, który nie doznał ran.

Milo chwilowo był stabilny. Dan użył ogromnych ilości srebrnej taśmy, by przymocować F1 Brada do nogi Chorwata jako szynę i zmienił mu opatrunek na rozwalonej nodze. Sęk w tym, że Sierra Cztery wciąż był bez karabinu – miał przy sobie tylko pistolet H&K kaliber 9 milimetrów, a cały jego sprzęt i opancerzenie zostało albo porzucone, albo rozparcelowane po kolegach, aby w ogóle był w stanie się ruszać. Młody żarliwie protestował przeciwko każdej pomocy, zarzekał się, że wszystko jest cacy, ale cała ta fanfaronada tylko wkurwiała jego starszych, bardziej doświadczonych kolegów. Pozostali znacznie lepiej rozumieli jego sytuację i zajmowali się nim w pełni profesjonalnie, mimo że cały czas opieprzali go za wmawianie im, że nic mu nie jest.

Cała czwórka opuściła dach w szyku taktycznym i zeszła na dół po ciemnych metalowych schodach. Milo dwa razy potknął się na stopniach. Zack rozkazał mu trzymać pistolet w prawej ręce, a lewą oprzeć się na ramieniu Dana. To pomogło mu w utrzymaniu równowagi. Wreszcie wszyscy wyszli na uliczkę biegnącą od wschodu na zachód, prowadzącą w stronę portu. Poruszali się nią powoli i ostrożnie. Nagle usłyszeli tubalne męskie głosy dochodzące zza mijanych drewnianych drzwi. Oddział ustawił się w gotowości, ale głosy ucichły. Z oddali dochodziło wycie syren pomieszane z gardłowym rżeniem i piskiem wielbłądów. Ekipa starała się nie zważać na odgłosy, które nie były istotne z taktycznego punktu widzenia. W końcu dotarli do końca alejki, skąd ostrożnie skierowali się w stronę portu.

Pierwszy podążył Dan. Reszta szła tuż za nim.

Dan się zatrzymał.
– Wróg z przodu!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie kończyła się alejka, z której wyszedł oddział Zacka, na powierzchni zielonej wody ze Starym Sawakinem w tle kołysał się kuter patrolowy sudańskiej marynarki. Łódź miała trzydzieści metrów długości. Na burcie, za karabinem maszynowym kaliber 12,7 milimetra, stali marynarze, którzy skierowali jego lufę na pojawiających się kawaga.

Zack zatrzymał się tuż koło Dana.

– Rozproszyc się! – krzyknął.

Jego ludzie rozbiegli się na prawo i lewo. Hightower chwycił ранego Milo i pchnął go na prawo. Razem wpadli do sklepiku, gdzie produkowano i sprzedawano sieci rybackie.

Nie było już czasu na poruszanie się zwartym, skoordynowanym szykiem, na osłanianie się od ognia, przeskakiwanie cichaczem z jednego miejsca na drugie. Drużyna rzuciła się do ucieczki. Wszyscy biegli, czołgali się, przeskakiwali przez przeszkody tak szybko, jak się tylko dało, w kierunku najbliższych budynków.

Warkot karabinu maszynowego z łodzi był wręcz diabelski. Pociski dziurawiły budynek tuż nad głową Zacka. Hightower chwycił Milo za wypustkę w kamizelce taktycznej produkcji australijskiej, przeszedł z nim na zaplecze sklepu i stanął przed metalowymi drzwiami. Otworzył je, leżąc, kopniakiem prosto w zamek. Drzwi prowadziły do innego sklepu, z którego wychodził korytarz na południe. Zack przeczołgał się przez pomieszczenie, ciągnąc za sobą ранego Chorwata.

Patrol na łodzi wystrzelił kolejną serię. Pociski trafiały w drewno, metal, kamień i tkaniny nad ich głowami. Rozprysnął się stojący na półce słoje z czarną mazią, która rozlała się, pokrywając ich sprzęt i ubrania ciepłym tłuszczem.

Karabin wystrzelił po raz trzeci, po czym na chwilę zrobiło się cicho.

– Ekipa Whiskey, do raportu – szepnął Zack przez radio.

– Tu Sierra Trzy, cały i zdrowy. Jestem z Dwójką, wypadły mu słuchawki, ale poza tym w porzo.

Zack odetchnął z ulgą.

– Jedyńka i Czwórka też okej. Armia zaraz tu będzie. Musimy natychmiast wypierdalać. Sierra Sześć, odbierasz ten kanał?

– Tu Sześć. Potwierdzam! – odparł Court.

– Super. Kiedy już po nas podjedziesz, to nie jedź na wschód od CH Brawo. To, co tu się kołysze, to zdecydowanie nie jest „Statek Miłości”.

– Przyjąłem. Jakies wieści o Piątce?

– Nie. Nie wygląda na to, żeby się dostał na wybrzeże. Wtedy byśmy już usłyszeli tę taśmowo zasilaną francję. Teraz pójdziemy kilka przecznic na północ, żeby zobaczyć... co się da zobaczyć. Słuchajcie wszyscy: trzymajcie się nisko i próbujemy się połączyć.

* * *

Kolejny kwadrans Court spędził, kończąc to, co zaczął w momencie, kiedy mniej więcej czterysta metrów na wschód od niego rozległy się strzały karabinu maszynowego. Natknął się na czterech młodych żołnierzy piechoty, strzegących bitą drogę na północny zachód od placu. Dochodziła ona do jedynej asfaltowej jezdni, która prowadziła z Sawakinu na zachód i tam łączyła się z biegnącą z północy na południe autostradą do Port Sudanu i dalej w głąb kraju. Na ich skrzyżowaniu stała stacja benzynowa. Jak na ogólnie zapyziałą architekturę reszty Sawakinu, była całkiem nowoczesna. Court stwierdził, że to pewnie dlatego, że leżała przy autostradzie, a Sudan miał rozbudowaną sieć autobusową pomiędzy najważniejszymi miastami.

Wojskowy dzip należący do napotkanej czwórki stał zaparkowany na niewybetonowanym parkingu przy stacji. Pod czarną plastikową pokrywą znajdował się rosyjski lekki karabin maszynowy PKM. Wokół stacji skupiło się wielu miejscowych, którzy postanowili ukryć się tutaj po ucieczce z centrum. W takim tłumie żołnierze próbujący utrzymać porządek mieli pełne ręce roboty.

Court podszedł do dzipa. Upewnił się, że turban zasłania mu całą twarz, po czym zajrzał do szoferki. W środku nie było kluczyków. Oznaczało to, że musi znaleźć kierowcę, czyli domyślić się, który z żołnierzy nim jest.

W głowie już zaświtał mu plan. Na razie jednak musiał poczekać na Zacka.

* * *

W okolicach obu hal targowych i pobliskich straganów panował teraz wzmożony ruch. Wszędzie kręcili się żołnierze z bronią gotową do strzału. Wrzeszczeli na tamujących im drogę cywili, którzy odpowiadali im też krzykiem. Zwierzęta pociągowe blokowały uliczki. Grupa wychudłych mężczyzn podających sobie wiadra z wodą dogaszała pożar suku wokół poczerńiałego helikoptera i znajdujących się wewnątrz spalonych ciał. Żołnierze rozepchnęli gaszących, którzy natychmiast ponownie utworzyli łańcuch, podając sobie bez przerwy wodę – zależało im, żeby ratować swoje stragany będące często ich jedynymi, choć mizernymi, źródłami dochodu.

Zack, Brad, Dan i Milo się nie ruszali. Nie uciekali. Nie ostrzeliwali sobie drogi. Leżeli na brzuchach, jakieś pięćdziesiąt metrów na północ od miejsca, gdzie spadł helikopter, na piętrze dwukondygnacyjnej budowli z błota i cegły otoczonej niskim murkiem. Wszyscy wyglądali przez otwarte, zwieńczone łukiem wyjście na balkon i dalej, ponad mur, na drugą stronę ulicy, nad piaszczysty nieużytek rozciągający się na wschód aż do portu. Po jego drugiej stronie, jakieś dwieście metrów dalej, znajdował się dworzec autobusowy. Przed nim na ziemi, oparty o ścianę i otoczony wianuszkami ponad dwudziestu żołnierzy siedział muskularny czarnoskóry agent – był ranny, ale z pewnością żywy. To Sierra Pięć.

Przez czterokrotnie powiększający celownik optyczny swojego TAR-21, jedynej ostającej przy ekipie broni, Hightower widział, że Spencer jest bez koszuli, a krew kapie mu z twarzy, szyi i ramion na brązowe spodnie. Jego tors błyszczał od potu i czerwonej warstwy krwi. Ręce skuto mu za plecami. Był przytomny. Przed nim klęczał jakiś gość w cywilu, coś do niego mówił. Raz po raz obracał ku sobie twarz Amerykanina, żeby o coś go zapytać, po czym uderzał go to otwartą dłonią, to pięścią. Zack wiedział, że Spencer nie puści pary z ust, ale zdawał sobie sprawę, że jeszcze trochę, a uderzenia zmienią się w torturę.

I nie był w stanie nic zrobić, by mu pomóc.

– Sierra Jeden do Sierry Sześć.

– Tu Sierra Sześć. Odbiór.

– Jesteś gotowy na próbę eksfiltracji?

– Tak jest. Muszę tylko wiedzieć, gdzie jesteście. Jak tylko znajdziecie Piątkę, działamy. Każda sekunda zwłoki zwiększa ryzyko wykrycia.

Zack podał dokładne namiary GPS, a następnie dodał:

– Mają Piątkę. Widzimy go. Żyje, ale nie jesteśmy w stanie go wydostać. Przez chwilę na kanale panowała cisza. W końcu Court się odezwał:

– Przyjąłem. Rozumiem, że go widzisz?

W ciemnym pomieszczeniu Zack pokiwał głową. Wiatr zaszamotał paskudną białawą firanką, zasłaniając mu na chwilę jego człowieka. Doskonale wiedział, o co pytał Court. W końcu Gentry to zawodowiec. Rozumiał, co trzeba w tej sytuacji zrobić.

Hightower odblokował bezpiecznik Tavora, gotując się do strzału.

– Potwierdzam, Sześć. Mam go na linii ognia. Jest na dworcu autobusowym na północ od nas.

Krótką chwilę milczenia przerwała kolejna wiadomość od Gentry'ego:

– Ja to zrobię. Zjadę i go znajdę. Wy czekajcie, ja się tym zajmę.

Pozostała trójka, poza Zackiem, milczała. Hightower zdawał sobie sprawę, że wszyscy wiedzą, co będzie dalej, ale tylko Gentry się zaoferował, że go w tym wyreczy.

Cóż, Court Gentry to w dechę chłopak.

– Nie, młody. Jestem ci wdzięczny, ale to muszę zrobić ja. Cóż, po części za to też mi płacą.

– Jesteś pewien?

– Tak. Tylko powiedz mi, że jesteś gotowy, by nas odebrać.

– Przygotowałem dywersję. Potrzebuję trzydziestu sekund, żeby zacząć, a potem jeszcze dwóch minut, żeby do was dotrzeć.

– Przyjąłem. No to przygotuj się. My ruszamy na mój znak.

Najbliżej Zacka był Dan, pół metra na lewo od niego. Poklepał szefa po plecach, po czym przyjacielsko ucisnął go w ramię.

Hightower strącił rękę. Wszyscy wiedzieli, co zaraz nastąpi. Gra, w której brali udział, miała konkretne zasady, do których należała ta ewentualność.

– A niech to szlag... – szepnął Zack. Goście znęcający się nad Spencerem blokowali mu linię strzału. Siatka celownika była ustawiona na kość ogonową tajniaka. Hightower bardzo chciał pociągnąć za spust, ale zabicie jednego gościa z NSB nie było warte ujawnienia pozycji.

W tej chwili była tylko jedna rzecz warta ujawnienia się – zapobiegnięcie temu, aby Sierra Pięć zdradził Sudańczykom, kim jest i jaka jest jego misja. Jasne, że nie zrobiłby tego z własnej nieprzymuszonej woli, ale wcześniej czy później to wyjawি. Był tylko jeden sposób, aby go powstrzymać.

Nagle Hightower zmrużył oczy. Za tajniakiem zrobiło się jakieś zamieszanie. Żołnierze ruszyli do przodu, jeden się potknął, inny padł na

kolana. Tajny policjant blokujący widok Jedyńce został odepchnięty na bok. Zza niego ukazał się Sierra Pięć, pokrwawiony, bez koszulki, z rękami związanymi na plecach.

– Słuchaj, Sześć, za pięć sekund start – powiedział Zack.

– Przyjąłem, ruszam za pięć.

Spencer zwinnym ruchem podskoczył i wyrwał się chmarze otaczających go mężczyzn. Walnął z bałki kolejnego żołnierza i przebiegł jakieś dziesięć metrów bliżej Hightowera, tuż do brzegu piaszczystego wału.

– Próbuje uciec – powiedział Milo, który przyglądał się wszystkiemu bez celownika.

– Wcale nie – szepnął Zack. Mrugnął. – Próbuje się ustawić tak, żeby było mi łatwiej.

Z zachodu dobiegł ich odgłos strzelaniny z pistoletów i wybuch – dywersja Courta. Patrząc przez celownik, Zack zobaczył, jak Spencer pada na kolana i zakrwawionymi ustami coś krzyczy. Po chwili usłyszał:

– No strzelaj!

– No strzelam... – Sierra Jeden pociągnął za spust karabinu, wypuszczając pocisk kaliber 5,56 milimetra przez łuk, przez balkon, przez nieużytek, prosto w czoło swojego człowieka. Głowa Spencera poleciała do tyłu, a on znieruchomiał i padł na związane ręce.

Po kilku sekundach w ściany pomieszczenia zaczęły się wbijać pociski. Biała firanka zatańczyła posiekana, a z każdym uderzeniem stali w cegły wzbijały się odłamki. Grupa Whiskey Sierra pokryła się brązowym pyłem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

– Sierra Sześć w drodze! ETA cztery, pięć sekund!

Zack potwierdził odebranie nagrania Courta.

– Szóstka w drodze, przyjąłem.

Court wyjechał ze stacji benzynowej w dziapie bez dachu. Za nim, z dystrybutora paliwa, dyndał dziko we wszystkich kierunkach płonący przewód paliwowy, z którego buchnęły płomienie na wysokość dwudziestu metrów.

Dwóch żołnierzy zginęło od kuli Courta, kolejnych dwóch dostało nożem pod żebra, teraz leżeli na ulicy, ranni, twarzą do ziemi. Cywile rozpierzchli się w popłochu, jak najdalej od miotacza ognia, który niczym złowroga i dzika bestia podpalał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Busy i autokary wpadały na siebie, próbując wydostać się ze stacji benzynowej. Ludzie będący na ulicy, z dala od płomieni, uciekali przed wojskowym dziapem, który ruszył z dzikim pędem, zawrócił, po czym skierował się w dół drogi. Za jego kierownicą siedział kawaga w turbanie – szaleniec, od którego wszystko się zaczęło. Court pędził na wschód. Pokrywa przymocowanego z tyłu karabinu maszynowego odpadła. Widział w lusterku, jak broń podskakuje na wzniesieniach nierównej nawierzchni. Przed nim wyszło stado wielbłądów ze spętanymi nogami. Gentry w ostatniej chwili skrzył kierownicą w prawo, wpadając w drewnianą budkę, w której sprzedawano owoce. W powietrze poleciało kilkanaście kiści bananów, które wcześniej zwisały na sznurkach u sufitu. Przebiwszy się na drugą stronę straganu, Court znalazł się przecznicę na południe od drogi, którą mógłby dojechać do kryjówki Whiskey Sierra. W tej samej chwili na skrzyżowaniu przed nim zatrzymały się dwa wojskowe dziipy.

Cholera jasna!

Court śmignął przed nimi. Auta zawróciły i ruszyły za nim.

– Mam dwa dziipy na ogonie, Zack!

– Przyjąłem.

– Możecie się przemieścić jedną przecznicę na południe czy mam po was jechać?

– Spotkajmy się w uliczce, tej w lewo za hotelem. Jak podjedziesz, przesun się, Brad przejmie kierownicę – powiedział Hightower i dodał: – Zawsze byłeś zasranym kierowcą.

– Przyjąłem. – Court nie skomentował tej uwagi.

Na uliczkach i przejściach było tłoczno od ludzi i zwierząt, do tego pełno było maszyn i innych niewygodnych dla spieszącego się zmotoryzowanego agenta przeszkód. Gentry wcisnął klakson. Nową trasę blokowały riksza oraz osioł ciągnący wózek z ogromną beczką na wodę, więc Court skręcił w prawo i na następnym skrzyżowaniu ostro w lewo, ale tam musiał się zatrzymać, żeby nie wjechać w dzieci i niewielkie stado owiec. Wiedział, że śledzące go dżipy są w pobliżu. Szybko wcisnął hamulec bezpieczeństwa, wyskoczył zza kierownicy i przeczołgał się do tyłu. Mimo przeciwbólowego działania mocno podniesionej w jego organizmie adrenaliny ramię bolało go jak diabli.

Dwa wojskowe dżipy skręciły za nim, tak jak on zjechały na bok i się zatrzymały, zostawiając za sobą unoszącą się chmurę kurzu i pyłu. Court obrócił karabin maszynowy prosto na pojazdy, pociągnął rączkę przeładowania, żeby puścić serię. Był na tyle blisko, że widział, jak oczy kierowcy pierwszego dżipa otworzyły się szeroko z zaskoczenia. Żołnierz pchnął skrzynię biegów i gorączkowo próbował się wycofać. Court wymierzył w maskę pojazdu i pociągnął za spust potężnej rosyjskiej giwery.

Klik!

Broń była nienaładowana.

Cholera jasna!

Court wyciągnął glocka 19 i wystrzelał cały magazynek w stronę dżipów próbujących wycofać się za róg. Zielone pojazdy co chwilę wpadały na siebie w gorączkowej próbie ucieczki z linii ognia. Nie było to to samo, co karabin maszynowy napędzany taśmowo, ale pistolet strzelający nabojami kaliber 9 milimetrów był teraz zdecydowanie bardziej cenny niż pusty PKM.

Gdy tylko żołnierze zniknęli z pola widzenia, Court wrócił za kierownicę, puścił hamulec i ruszył. Gwałtownie zwolnił sprzęgło, zatrzymując dżipa. Nagle na przedniej szybie wykwitła pajęczyna pęknięć, które w mgnieniu oka zamieniły ją w szklane kamyczki. Dostała z karabinu.

– Kurwa! – krzyknął, włączając na nowo silnik i ruszając z miejsca.

Po trzydziestu sekundach dotarł do punktu zbiórki. Czterech pozostałych przy życiu członków oddziału Whiskey Sierra czekało na niego pośrodku ostrej strzelaniny. Z towarzyszącym temu hukiem wystrzałów i trzaskaniem przeładowań pakowali kolejne naboje w rząd budynków na końcu uliczki od wschodu. Granaty nieprzyjaciela eksplodowały tuż przed dotarciem do celu, kule świsnęły w obu kierunkach. Court zaparkował dżipa i wskoczył na tylne siedzenie – jego lewe ramię znów dało o sobie znać – po czym zaczął ładować puszkę amunicji do karabinu maszynowego. Sierra Dwa wspiął się za kierownicę. Brad miał w ręce już tylko pistolet, którym strzelał nad obramowaniem po posiekanej przedniej szybie. Po kilku sekundach Hightower wskoczył na miejsce przy kierowcy, przyjął pozycję do strzału, a Dwójka schylił się za kierownicą, aby przeładować pistolet, i uruchomił dżipa. Następnie zza sterty beczek przy wielkim generatorze wyszedł Sierra Trzy. Na plecach niósł Czwórkę, a w prawej ręce dzierżył sudański pistolet Marra, który znalazł po drodze. Dan zapakował ранego kolegę z tyłu obok Courta, po czym przeszedł nad nimi.

Brad wcisnął gaz i skręcił w lewo. Courtem zarzuciło do tyłu. Gdyby nie trzymał się kurczowo przytwierdzonego do platformy dżipa karabinu, pewnie by się przewrócił. Gentry znów odciągnął zamek naładowanej broni, po czym na do widzenia strzelił w stertę beczek. Znajdujące się wewnątrz paliwo zamieniło się w kulę ognia. Uliczka aż zadrżała od ogromnego wybuchu. Uciekających Amerykanów przysłoniły gęste kłęby czarnego dymu.

Błyskawicznie wjechali na drogę wylotową z miasta pokrytą asfaltem. W labiryncie uliczek pomiędzy szafasami dwukrotnie mijali oddziały piechoty, ale prędkość i zaskoczenie podczas tych szybkich spotkań sprawiły, że obyło się bez rozlewu krwi. Sierra Trzy wciąż leżał u stóp Gentry’ego, lustrując przestrzeń po prawej stronie wozu. Jego pistolet co prawda nie mógł narobić tyle szkód co karabin Gentry’ego, ale gdyby coś zauważył, mógł pokierować Gray Manem, mówiąc mu, gdzie wymierzyć ciężką giwerę. Court wiedział, że był przez niego chroniony w wybranym sektorze, Brad i Zack natomiast zajmowali się osłanianiem pozostałych.

Z tyłu leżał też Sierra Cztery nieprzytomny od utraty krwi. Court przysunął się do głowy Zacka i próbując przekrzyczeć warkot przyspieszającego silnika, zawołał:

– Hej! Jak skręcisz tu w lewo, to mogę nam załatwić nową furę!

Zack nie zastanawiał się długo.

– Zróbmy tak! – stwierdził, po czym kazał Bradowi słuchać wskazówek Courta. Na szczycie wzgórza skręcili na południe. Tam wjechali na wojskowy punkt kontrolny. Pośrodku drogi biegnącej pomiędzy glinianymi ścianami prywatnych domów stało co najmniej dwunastu żołnierzy. Court wycelował z pekaemu i strzelił w zaparkowaną terenową ciężarówkę, która wybuchła, a ciała pasażerów zostały wyrzucone na zewnątrz i rozrzucone w promieniu osiemnastu metrów. Żołnierze wciąż strzelali do Amerykanów. Brad minął ich i pędząc z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, wjechał w chmurę dymu i po chwili wynurzył się po jej drugiej stronie. Po lewej leżący na plecach ranny żołnierz podniósł się szybko na kolana, podniósł broń, po czym z odległości około czterech metrów zaczął strzelać z automatu w odsłoniętą kabinę dżipa. Court strzelał akurat w przeciwnym kierunku, więc nie od razu dostrzegł niebezpieczeństwo, jednak udało mu się obrócić PKM na napastnika i trafić go tak, że mózg nieszczęśnika rozprysł się na ścianie domu. Gentry popatrzył na siebie, spodziewając się, że też oberwał. Na szczęście tym razem kule go minęły.

– Trzymajcie się! – krzyknął Brad. Court ukląkł w dżipie, chwytając kurczowo karabin. Samochód terenowy wyleciał do góry, wybijając się na wyłomie w drodze, po czym spadł z impetem i zarył podwoziem w ziemi.

Po kilku sekundach Brad sięgnął do kieszeni w kamizelce. Kierował lewą ręką, a prawą zaczął się obmacywać.

– Cholera jasna.

– Co jest? – zapytał Zack, wciąż czujnie wypatrując niebezpieczeństwa w swoim sektorze.

– Chyba przy tym upadku złamałem sobie żebro.

– I jak? – spytał Hightower.

– Spoko, tylko że...

Brad urwał. Sierra Jeden spojrzał na kierowcę, który wciąż trzymał kierownicę lewą ręką, a prawą zasłaniał twarz.

Jego palce były pokryte gęstą, ciemną krwią.

– O skurwy...

Dłonie Sierry Dwa powoli opadły mu na kolana, a głowa przechyliła się i osunęła na kierownicę.

– Trójka, prowadź! – Zack wyciągnął Brada zza kierownicy i położył go na sobie.

Cały lewy bok Dwójki był zakrwawiony. Oberwał pociskiem, który przeszedł pod pachą i przebił kamizelkę. Dan przeczołgał się do przodu i wsunął za kierownicę, jak tylko dziup zaczął zjeżdżać w lewo. W ostatniej chwili udało mu się zapanować nad pojazdem i uniknąć zderzenia z hałdą żwiru usypaną przy drodze.

Kilka sekund później Gentry pochylił się nad Danem i zawołał:

– Hej, stary. Chyba cię trafili. Tu jest pełno świeżej krwi, a ja na sobie nic nie znalazłem.

Dan obmacał się, nie przestając kierować. Po kilku sekundach Gentry znów się nad nim nachylił.

– Rana postrzałowa, lewe ramię!

Dan zerknął na siebie. Rzeczywiście oberwał w lewe ramię, około pięciu centymetrów od żyły szyjnej. Krwawił niczym zarzynana świnia, ale jechał dalej. Wkrótce dotarli do domu, w którym Court wcześniej spotkał się z Mohammedem. Niewielka škoda wciąż stała na podwórku. Kilka minut zajęło Gentry’emu znalezienie w piasku kluczyków. W tym czasie ranny Dan wziął ostatni ocalały karabin i pilnował bramy, a Zack koło dziupa dokonywał resuscytacji Brada, usiłując przywrócić mu krążenie i oddech.

– No, dawaj, Bradley! No, nie daj się, kurwa! Wstawaj, wstawaj! – krzyczał.

Court, stojący na końcu podwórka, nie miał wątpliwości, że Dwójka nie żyje. Jednak Zack nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Gentry podejrzewał, że Sierra Jeden być może próbował równocześnie – niestety bezskutecznie – ożywić i Sierrę Dwa, i Sierrę Pięć.

Hightower nie poddawał się przez prawie pięć minut. W tym czasie Gentry zdołał przenieść rannego Milo do tyłu auta. Obok niego siedział Dan z prowizorycznie zabandażowanym ramieniem. Court pomógł Zackowi wsadzić ciało Sierry Dwa do bagażnika. Następnie zaprowadził przywódcę na miejsce pasażera. Court usiadł za kółkiem. Pojazd wyjechał przez bramę i ruszył na północ. Za przyciemnionymi szybami siedziało czterech wojowników.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Dwadzieścia minut później nad škodą przeleciały cztery helikoptery Armii Sudanu, lecące wzdłuż autostrady łączącej Port Sudan z ogarniętym wybuchami Sawakinem. Gentry przyglądał się w lusterku śmigłowcom, aż zniknęły z jego pola widzenia.

Hightower cały czas milczał. Wydawał się wyczerpany, przybity, bliski utraty przytomności. Ranny Czwórka leżał omdlały na tylnym siedzeniu, a Trójka wyglądał na wycieńczonego z powodu utraty krwi z rany na ramieniu i innych obrażeń.

Po chwili Zack z trudem podniósł się w fotelu. Kazał Courtowi pochylić się nad kierownicą, po czym ściągnął opatrunek z jego ramienia i sprawdził ranę po strzale.

– Wybitnie capią ci plecy.

– Wiem – odparł Court, wypatrując na niebie kolejnego śmigłowca. Garstka rannych i praktycznie nieuzbrojonych agentów nie była w formie, żeby z kimkolwiek walczyć. Gentry najchętniej trzymałby ich z dala od jakiegokolwiek zagrożenia poważniejszego niż katar.

– Wiem, że z sanitarnego punktu widzenia jest tu wyjątkowo paskudnie, ale mimo wszystko jak taka rana może wydawać aż tak gnijący odór po zaledwie czterech godzinach?

– Sam nie wiem. Masz jakieś antybiotyki?

– Nie. Wzięliśmy ze sobą tylko najbardziej potrzebne rzeczy. A większość z nich i tak zużyliśmy, prawda, Danny?

– Tak, szefie – odparł Sierra Trzy, który zdarł kawałek czystego bandażu z własnej rany i wręczył go Zackowi.

Hightower wziął z przybornika taśmę i położył nieco gazy z opatrunku Trójki na ranę Gentry'ego, aby zatamować krwawienie. Była to bardzo prowizoryczna robota, nieco tylko lepsza niż nic.

– Do wesela się zagoi. Naprawimy cię, jak tylko dostaniemy się na pokład „Hannah”.

– Super – odparł Court. Raną akurat się nie martwił, choć bolała jak diabli.

Nagle telefon satelitarny Hightowera zaczął wibrować. Był aż czarny od brudu, sadzy, smaru i krwi, ale przynajmniej działał. Sierra Jeden oderwał słuchawki podczas próby ożywienia Dwójki, więc teraz uruchomił zestaw głośnomówiący.

– Tu Sierra Jeden.

Dzwonił Denny Carmichael. Nie przywitał się, nie zapytał też o zdrowie.

– Właśnie odebrałem telefon z Białego Domu. Podobno ambasador USA w Sudanie dopytuje się, czy Agencja ma coś wspólnego z cytując: „incydentem w Port Sudan niepokojąco przywodzącym na myśl fabułę filmu Helikopter w ogniu”. Co mam mu odpowiedzieć?

Zack się uśmiechnął. Opierał głowę o zagłówek. Oczy miał zamknięte, a twarz czarną od kurzu i czerwoną od krwi, która pokrywała obecnie prawie całą jej powierzchnię, poza chronionymi przez gogle okolicami oczu.

– Cóż, na pana miejscu odparłbym, że informacje źródeł amby są do dupy, zupełnie tak samo jak wieści od rezydentury w Sudanie. Jesteśmy ponad sześćdziesiąt kilometrów na południe od Port Sudanu.

– Nie w tym sęk, prawda? Chcę wiedzieć, czy mamy lub czy mieliśmy akcję a la Helikopter w ogniu.

– Zdecydowanie nie! W końcu nie zostaliśmy wyposażeni w ani jeden black hawk, który mógłby stanąć w ogniu.

– Radzę ci, Jeden, żebyś nie był taki opryskliwy. Udało wam się zabezpieczyć Oryksa?

– Jest bezpieczny.

– Dostarczyliście go na „Hannah”?

– Nie, ale to następny punkt programu.

– Sierra Sześć go ma?

– Yyy... Nie. Szóstka jest z nami, to jest z tymi, którzy pozostali. Straciłem dwóch ludzi. Dzięki, przy okazji, że się pan o nas tak troszczy.

Court spojrział na Hightowera. Nawet zważywszy na wszystkie wydarzenia ostatnich kilku godzin, wydawało mu się niewiarygodne, że Zack mógł w taki sposób zwrócić się do przełożonego.

Odpowiedź Denny’ego nie pozostawiała wątpliwości, że interesował się wyłącznie operacją Szafir Nocy, a nie zdrowiem ekipy Whiskey Sierra.

– Kto jest teraz z Oryksem?

Court Gentry odezwał się znad kierownicy.

– Oryks jest w bezpiecznym miejscu. Nigdzie się nie ruszy.
– Dlaczego, do cholery, nie jesteś z nim?
– Whiskey Sierra było w niebezpieczeństwie, psze pana. Pojechałem z koniecznym wsparciem. W żaden sposób nie naraziłem misji.

– A gdybyś zginął?

– Na wszelki wypadek wysłałem współrzędne Oryksa na „Hannah”.

W głosie Denny’ego słyhać było wściekłość i frustrację.

– Wydostanie Oryksa z Sudanu to nie jest zadanie ekipy z „Hannah”. Nie ma wśród nich operatorów twojego domniemanego kalibru, Sześć, choć nie jestem w stanie znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić moje rozczarowanie twoimi umiejętnościami podejmowania decyzji, jakie zaprezentowałaś w ostatnim tygodniu! Trzeba było najpierw wydostać Oryksa z kraju, a dopiero później wracać po resztę.

Court już miał odpowiedzieć, ale Zack chwycił słuchawkę i przysunął ją do ust.

– Mam sto procent rannych! Dwóch zginęło w akcji! Przez prawie cztery godziny walczyliśmy z siłą piechoty ponad stu żołnierzy, do tego ze wsparciem z powietrza. Tej piechoty i tych śmigłowców miało tu nie być! A pomoc dla nas od miejscowych, ta, którą nam obiecano, do kurwy nędzy, się nie pokazała!

– Stacja Sudan podaje, że się stawili, choć rzeczywiście z kilkuminutowym opóźnieniem.

– Stacja Sudan wybuliła czterysta tysięcy dolców na wózek z osłem pełen lebieg, z których każda pierdnęła magazynek w uliczkę i spierdoliła, gdzie pieprz rośnie, a poza tym nie mieliśmy żadnego wsparcia.

Nastąpiła chwila pełnego napięcia milczenia. Court spodziewał się choć trochę skruchy w głosie Denny’ego, jednak się przeliczył.

– Tak czy inaczej nie trzeba było się ujawniać. A Szóstka nie powinien schodzić z misji, żeby was ratować z waszego gówna. Znaliście ryzyko. – Na linii dało się słyszeć zirytowane westchnięcie. – A teraz... Bierzcie dupy w troki i kontynuujcie misję. Zrobię, co w mojej mocy, żeby załagodzić konsekwencje polityczne. Tyle. – Rozłączył się.

Zack rzucił telefon na kolana. Aparat potoczył się na podłogę. Hightower był zbyt zmęczony, żeby go podnieść i przyczepić do kamizelki.

– Kurde, Zack. Twój szef jest strasznie zbolałym kutasem.

– No co ty nie powiesz? – westchnął Jedynek.

Po godzinie Court Gentry zaparkował škodę przy chacie ukrytej w zaroślach. Wszedł z auta, wyciągnął pistolet i wszedł do środka rudery z bronią gotową do strzału. Odkąd opuścił to miejsce, nic się nie zmieniło – no, może było bardziej gorąco i duszno.

Z Oryksem też bez zmian. Gentry zaaplikował prezydentowi Sudanu strzykawkę ze środkiem uspokajającym, który miał go uspić na mniej więcej dwie godziny, a następnie spiął mu ręce jednorazowymi kajdankami za plecami, wokół wbitego pośrodku chaty pała. Po powrocie zastał dyktatora siedzącego po turecku. Jego głowa zwisała tak, jakby spał. Pomiedzy kolanami więźnia zostawił otwartą butelkę wody, choć nie wiedział, jak Abboud mógłby się z niej napić, będąc związany. Wyglądało na to, że przez całą jego nieobecność prezydent spał.

Pół godziny wcześniej Court podrzucił pozostałych przy życiu członków Whiskey Sierra oraz ciało Brada jakieś 20 kilometrów na północ od Sawakinu, niedaleko miejsca, z którego mieli być odebrani i przetransportowani na agencyjny jacht. Oddział Zacka ukrył się, zabierając ciało kolegi, w gęstwinie namorzyn. Hightower wręczył Courtowi mały nadajnik, który odbierał sygnał z pokładu „Hannah”, żeby wiedział, gdzie jest jacht, nawet gdyby z jakiegoś powodu nie byli się w stanie skontaktować.

Pierwotny plan zakładał, że Whiskey Sierra zostanie odebrana pontonem z „Hannah”, ale w tej sytuacji nie było mowy, aby udało się to za dnia. Postanowiono więc, że załoga statku CIA wyśle kogoś w jednoosobowej łodzi podwodnej, która odbierze ich z bagien przy lesie namorzynowym pojedynczo. W ten sposób mogło to zająć cały dzień, ale lepsze to, niż żeby mieli ranni siedzieć zanurzeni po klatkę piersiową w słonej wodzie przez osiem godzin w oczekiwaniu, aż zapadnie noc i przyplynie Zodiac.

Courtowi polecono wrócić do kryjówki i przygotować Oryksa, aby na dany znak natychmiast wyruszyć. Gray Man i prezydent Sudanu mogli dostać się do łodzi podwodnej dopiero późnym wieczorem, ale gdyby z jakiegoś powodu miejsce eksfiltracji przestało być bezpieczne, Gentry miał być gotowy, żeby sam znaleźć nowy punkt odbioru.

Court odwiązał Oryksa od pała, położył go na plecach, a następnie wyciągnął z plecaka butelkę wody i rodzynki i położył obok więźnia.

– Jedz – nakazał.

Oryks się nie poruszył.

– Wiem, że jesteś przytomny, dupku. Środek nasenny już przestał działać.

Prezydent wciąż leżał bez ruchu.

– Ej, no! Naprawdę nie jestem w nastroju do zabawy.

Wciąż nic.

Court uklęknął nad więźniem i podniósł ciężkie lewe łapsko za nadgarstek. Udawał, że sprawdza puls, ale tak naprawdę podniósł rękę nad twarz leżącego, po czym ją puścił. Gdyby prezydent rzeczywiście był nieprzytomny, łapa walnęłaby go w nos. Tymczasem opadła powoli, po czym teatralnie zsunęła się na bok.

– Wstawaj pan – wkurzył się Court.

Prezydent nadal nie reagował. Gentry wyciągnął z plecaka multitool, otworzył go szczypczykami do drutu, po czym położył mały palec prezydenta pomiędzy dwoma metalowymi ostrzami. Abboud natychmiast otworzył oczy. Uśmiechnął się chytrze. Jego białe zęby świeciły w czarnej jak węgiel twarzy.

– To trzymanie ręki pacjenta nad twarzą i puszczenie to całkiem niezła sztuczka!

– Cieszę się, że ci się spodobała. No dobra, ruszaj tyłek, bo ci palec obetnę. Moim zdaniem MTK nie będzie mieć nic przeciwko dostaniu dziewięciopalczystego Abbouda.

Oryks się wyprostował. Wziął butelkę i wypił połowę jej zawartości, po czym ją odstawił.

– Mam nudności.

– To tylko od leków. Zaraz minie. Plus możesz mieć lekkie wstrząśnienie mózgu od porannego wielkiego wybuchu.

Oryks pokiwał głową, po czym zapytał:

– Jak plecy?

– Czuję się tak, jakby jakiś dupek strzelił we mnie z łuku. Jak sobie wyobrażasz, że się czuję?

– Udało się wam uratować waszych ludzi od moich ludzi?

Court spojrzał na więźnia:

– Część tak.

Oryks pokiwał powoli głową.

– Niezmiernie przykro mi z powodu utraty życia po obu stronach dzisiejszej bitwy.

– Jakże szlachetnie z twojej strony, dupku.

Na twarzy Abbouda pojawiło się szczere oburzenie.

– To co teraz? – spytał.

– Teraz czekamy.

– Jak długo?

– Tego nie wiem.

– Jak to?

– Nikt mi nic nie mówi – odparł Court, wyciągając coś z plecaka. – Na razie jedź i przestań zadawać pytania.

Oryks wzruszył ramionami i otworzył paczkę rodzyneków. Zdawał się bardziej wyluzowany, niż Gentry się tego spodziewał. Biorąc suszone owoce, powiedział:

– Panie Sześć, musisz przyznać, że nie sprawiam żadnych problemów. Naprawdę nie wiem, skąd w tobie tyle gniewu wobec mnie.

Court zaczął ściągać koszulkę. Pałący ból głęboko w łopatce był istną męczarnią.

– Pamiętaj, że pierwotnie miałem cię zabić, więc naprawdę nie wiem, na co narzekasz.

– Chodzi mi o to, jak się do mnie zwracasz. Jak mnie uderzyłeś w Sawakinie. Nie jesteś jednym z przykładowych, szlachetnych amerykańskich żołnierzy, którymi tak chwali się twój kraj.

– Bo nie jestem przykładowym, szlachetnym amerykańskim żołnierzem.

– Tylko kim?

– Kolesiem, którego wysyła się po dupka, który nie zasługuje na przykładowe traktowanie.

Oryks powoli żuł rodzynek, patrząc w ciemności na Gentry'ego.

– Ale przecież to twój zawód. Jesteś tu z powodu tego, co na Zachodzie uznaje się za zbrodnie wojenne w Darfurze. Nie jesteś w to osobiście zaangażowany ani nie dotyczy to twojej rodziny. Nie masz powodu, aby traktować mnie jak obiekt jakiejś osobistej wendety. Czy więc nie możemy traktować się bardziej profesjonalnie, póki przychodzi nam przebywać w swoim towarzystwie?

Court nie odpowiedział, otworzył buteleczkę środka odkażającego wyciągniętą z torby. Pochylił się do przodu, sięgnął ręką za siebie i próbował polać ranę. Oryks nie przestawał mówić:

– W samochodzie uderzyłeś mnie w chwili wściekłości tylko dlatego, że nie jesteś w stanie nad sobą panować. Twój gniew jest podlejszy, bardziej zwyrodniały niż spokojne wyrachowanie i logika, którymi ja się posługuję

w moim podejściu do wojny w Darfurze, za co zostałem zresztą oskarżony przez ten wasz sąd kapturowy.

Gentry skrzywił się, kiedy środek odkażający dostał się do napuchniętej na plecach rany. Spojrzał jednak na Abbouda, od którego dzielił go metr ciemnej przestrzeni.

– Myślisz, że uderzyłem cię, bo nad sobą nie panowałem?

– Oczywiście, że tak. Poznałem to po twoich oczach. Strach, złość, porwanie, wszystko z emocji. Poniosło...

– Popatrz mi prosto w oczy! Czy panuję nad sobą?

– Tak. W tej chwili, owszem. Natomiast...

Court raz jeszcze walnął Abbouda w twarz. Głowa prezydenta odskoczyła, a on pochylił się do przodu. Gruba warga od razu poczerwieniała.

– Co z tobą? – Oryks krzyczał, zakrywając twarz.

Gentry wrzucił do plecaka pustą butelkę po środku odkażającym.

– Oj, długo by gadać.

– Wariat.

– A i owszem. Nie zapominaj o tym.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Następne półtorej godziny Gentry spędził, błagając Abbouda, aby się zamknął, zwijając się z przerażającego bólu pleców. Żar i wilgoć dodawały swoje do jego fatalnego samopoczucia i okropności tego popołudnia. Court dwa razy wyjmował z plecaka pudełko z hydrokodonem, powstrzymując się od jego zażycia. Tym razem ból był prawdziwy, a jego ciało usilnie domagało się wytchnienia, ale wiedział, że powinien czekać z zażywaniem czegokolwiek, aż nadejdą wieści od Zacka.

Hightower w końcu zadzwonił koło czwartej po południu. Wraz z Milo już byli na pokładzie jachtu, Dan miał dopłynąć w ciągu godziny. Przekazał Courtowi, że zamierzają wydostać go z tego samego punktu wśród namorzyn, jako że nie zostali namierzeni. Czas odbioru wyznaczono o północy, co oznaczało, że Gentry miał jeszcze przed sobą jakieś siedem godzin, zanim będzie mógł zawieźć Oryksa nad wodę.

Court się rozłączył i spojrzał na więźnia.

Prezydent też się na niego gapił. Jego czarny łysy czerep pokryty był kropelkami potu niczym jakimś zdobieniem. Gdy przez podartą tkaninę w oknie przedostawał się ciepły wiatr, lekko drżały, a gdy przenikał przez nią promień słońca, lśniły wręcz magicznie. Jego ręce już nie były związane.

Court zajrzał do plecaka. Siedem godzin siedzenia i cierpienia... Pomyślał o bólu, o skurczu mięśni wokół rany. Musi coś zrobić, żeby w chwili, gdy przyjdzie czas, by się stąd ruszyć, był jak najbardziej sprawny, zwinny i gotowy na wszystko, co się może przydarzyć. Tłumaczył sobie, że aby osiągnąć ten cel, teraz powinien wszelkimi sposobami uśmierzyć ból. Nie potrzebował długo się namawiać.

Po minucie Oryks znów siedział przy słupie pośrodku chaty, przytwierdzony do niej prawym nadgarstkiem. Lewą rękę miał wolną, aby mógł w razie potrzeby pić, jeść albo wystawić przyrodzenie i odlać się na ziemię. Gentry upewnił się, że nie ma w zasięgu niczego, czego mógłby

użyć jako broni czy narzędzia. Tłumaczył sobie, że Oryks jest bezpieczny, a on może sam się przez chwilę poniańczyć. Otworzył plecak. Nawet nie spojrzał na tabletki z hydrokodonem, tylko wyciągnął strzykawkę z najmocniejszą dawką morfiny, jaką dostał od CIA. Wyszarpnął napełnioną strzykawkę ze sterylnej opakowania, po czym zerwał plastikową nakładkę i odsłonił igłę.

Oryks aż się cofnął, przerażony.

– Nie martw się – uspokoił go Gentry. – To dla mnie.

Wstrzyknął sobie w lewą rękę dwadzieścia miligramów mocnego opiatu. Natychmiast usiadł i oparł się o ścianę chaty, poza zasięgiem więźnia. Po półtorej minuty powieki zaczęły mu drżeć, jego źrenice zrobiły się mniejsze i, co najważniejsze, ból zaczynał ustawać.

Oryks doskonale widział, jak jego porywacz reaguje na zastrzyk.

– Toż to istne szaleństwo. Co za żołnierz czy szpieg narkotyzuje się podczas misji?

– Zamknij się – burknął Gentry. Zdawało mu się, że pomieszczenie wokół niego rozmywa się delikatnie. Po chwili dodał: – Jeśli teraz nie uśmierzę bólu, to później mnie on spowolni.

– A ta heroinka nie spowolni?

– To nie heroina, dupku – warknął Court, choć doskonale wiedział, że to, co sobie wstrzyknął, miało działanie bardzo podobne, choć trzymało krócej.

– Jesteś narkomanem – stwierdził Abboud.

– A ty dyktatorem i ludobójcą. Odczep się ode mnie.

Jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu narkotyzowania się w trakcie misji zniknęły w kilka sekund, kiedy ustała pierwsza fala działania środka, i Gentry'ego ogarnęło nad wyraz dobre samopoczucie. Dziesięć minut od wstrzyknięcia morfiny jego zachowanie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni i pogrążył się w rozmowie z Abboudem.

Court jednak nie był całkiem nieświadomy tego, co się dzieje. Podczas kolejnej pół godziny konwersacji Oryks próbował wydobyć z niego jego prawdziwe imię, nazwisko i adres i przekonać go, aby pozwolił mu skorzystać z telefonu, a następnie obejrzeć ten przepiękny pistolet. Ale Gray Man – choć był pod wpływem mocnego środka opioidowego – jeszcze nie oszalał. Na każde pytanie Abbouda odpowiadał szczerym uśmiechem. Kiedy ten poprosił go o pokazanie pistoletu, zaśmiał się nawet i zażartował, że to świetny pomysł.

Za kwadrans siedemnasta Court był wciąż w doskonałym nastroju i czuł ogarniający go spokój. Uczucie to wywołane środkami farmakologicznymi nastąpiło jednak w zdecydowanie niefortunnym momencie dla wojownika, którym był Gentry.

Rozmawiając z Oryksem i gadając do siebie, czuł się niezmiernie dumny z tego, że wysłano go na tę misję, dumny, że mógł pracować ramię z ramię z dzielnymi członkami Whiskey Sierra – wieczne odpoczywanie racz dać dwóm z nich, Panie – oraz że zaufał mu ktoś taki jak legendarny Denny Carmichael.

Zamknął oczy, ogarnął go błogi spokój. Zaczął zasypiać. Swoboda i rozmowność zaczęły ustępować mocnemu odurzeniu i senności. Akurat gdy odpłynął, przechylając głowę, zapiszczał jego telefon. Court gapił się w aparat z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Spojrzał na Oryksa, uśmiechnął się, po czym powiedział:

– Oj, kurwa. Wtopiłem się. Halo? – odebrał.

Usłyszał głos Hightowera:

– Dobra, Sześć. Trzeba będzie deczko przyspieszyć odbiór.

– Hmm... Sam nie wiem. Jak tam na łódce?

– Na łódce świetnie. Ale będziesz musiał znaleźć inny punkt. Wydaje mi się, że na północnym skraju mangrowców będzie lepiej przy odpływie. Rusz się i wybadaj, czy nie ma tam jakichś cywili. Kręcą się w okolicy Beduini, którzy mogli...

– Ale że... Że zaraz-teraz?

– Nie, młody. Jak tylko, kurwa, będzie ci się chciało. Oczywiście, że zaraz-teraz!

– Okej... To jest... Nie okej... Nie gniewaj się, stary... Ale ja sobie tu muszę jeszcze chwilkę pobyc.

– Po co?

Court spojrział na sufit. Zobaczył, jak pięknie utkane jest jego sklepienie. Nawet po ciemku widać było, że każde źdźbło słomy miało własną osobowość, własny cel, że biegło, przeplatając się z innymi, niczym niesamowity...

– Co jest, Sześć?

– Słuchaj, Zack... Nie wkurwiał się... Potrzebuję jeszcze... – Głos Courta trochę odpłynął.

– Co z tobą, do diabła?

– Nic. Szkoda, że nie widzisz tego sufitu... w tej... no wiesz, chacie... Jest po prostu zajebicie przepiękny. Czy ty wiesz, że oni suszą źdźbła trawy, potem je suszą w takich wiązkach, które potem związują w większe, a te z kolei...

– Jezusie brodaty! Court, czy ty jesteś na haju?

Court zaśmiał się do słuchawki.

– Gdzie Oryks?

– A siedzi tutaj. Chcesz sobie z nim pogadać?

– Nie, do kurwy nędzy, oczywiście, że nie chcę sobie z nim...

– Już go daję.

Court wstał i zaniósł telefon Abboudowi, który wyciągnął powoli lewą, niezwiązaną rękę i wziął słuchawkę.

– Przy telefonie prezydent Bakri Ali Abboud. Z kim mam przyjemność?

Hightower z początku milczał. W końcu odpowiedział powoli i ostrożnie:

– Co się stało z moim człowiekiem?

– Pański człowiek wstrzyknął sobie jakiś otumaniający specyfik.

– To znaczy przypadkiem?

Oryks spojrzał na Gentry'ego, który wrócił pod swoją ścianę. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sklepienie chaty, opierając głowę o deski i tkaninę jutową.

– A właśnie, że celowo. Tak się składa, że bardzo celowo.

Zack Hightower zapomniał języka w gębie. W końcu wycedził:

– Dobra... Czyli... słuchaj pan, mam w rejonie jeszcze wielu agentów. Niech pan nie próbuje wykorzystać sytuacji i...

– Niech się szanowny pan CIA nie martwi. Zanim pański człowiek postanowił sobie dogodzić, upewnił się, że jestem dobrze unieruchomiony. Owszem, wasza operacja została opóźniona, ale zapewniam, że nie jestem w stanie zwiać.

– Proszę mi go dać.

Oryks spojrzał na thurayę i się uśmiechnął. Przycisnął czerwony przycisk, przerywając połączenie. Sześć wciąż gapił się w sufit. Jego wzrok nie był skupiony, powieki miał lekko przymknięte. Prezydent Sudanu próbował gorączkowo przypomnieć sobie numer telefonu do swojej kancelarii, do ochrony... do kogokolwiek. Ach, tak! Sekretarz pałacu prezydenckiego w Chartumie! Ten numer pamiętał. Nie był wprawdzie pewien, gdzie dokładnie się znajduje, ale był w stanie sprowadzić całą armię na północ od Sawakinu, na południe od Port Sudanu, na zachód od

wybrzeża i na wschód od Gór Czerwonomorskich za ledwie jednym rozkazem. Wciąż uważał za prawdopodobne, że Szóstka go zabije, jeśli uzna, że porwanie stało się niewykonalne. Ale jeśli porywacz będzie jeszcze przez chwilę tak osłabiony, może uda się wezwać pomoc!

Zaczął przyciskać guziki na telefonie.

Przyłożył aparat do ucha i spojrzał na Amerykanina. Zobaczył mały czarny pistolet z bardzo długim tłumikiem wymierzony pomiędzy swoje oczy.

– A teraz mi to oddaj.

– Dobrze.

– Ale na twoim miejscu też bym próbował.

* * *

Gentry spał przez dwie godziny i obudził się o zmroku. Wciąż był pod silnym działaniem morfiny, nadal prawie nie czuł bólu łopatki, ale cała euforia gdzieś z niego wyparowała i ogarnął go lęk przed następną rozmową z Hightowerem. Oryks zdrzemnął się w upale, więc Court wykorzystał chwilę, by napić się wody i zjeść wojskowy batonik energetyczny. Żując, podniósł telefon i zobaczył, że w ciągu ostatnich dwóch godzin Sierra Jeden dzwonił aż sześć razy.

Court odłożył thurayę i dokończył posiłek. Następnie ze znalezionych w pobliżu gałązek, suchej trawy i większych kawałków drewna rozpałił niewielkie ognisko. Nie potrzebował ciepła, ale teraz, kiedy wybrzeże Sudanu ogarnął zmrok, przydałoby się trochę światła.

– Jak się czujesz? – zapytał ze środka pomieszczenia Oryks. Gentry podniósł wzrok i zobaczył, że prezydent stoi odwrócony od niego i korzystając z wolnej ręki, oddaje mocz.

– Plecy lepiej. Reszta cudownie. – Court uśmiechnął się, podziwiając własne poczucie humoru.

– Telefon ciągle dzwonił.

– Wiem – odparł Court. – Zaraz będę musiał oddzwonić. Za parę godzin będę cię targał na wybrzeże. Za dzień czy dwa cię zamkną – uśmiechnął się. – Wydawało ci się, że zabicie czterystu tysięcy swoich obywateli ujdzie ci płazem, co nie?

– Dziś zabiłeś więcej osób niż ja, przyjacielu.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

Oryks usiadł i przetarł twarz, rozmazując lśniący pot na czole. Płomienie ogniska odbijały się i tańczyły na jego hebanowej wilgotnej twarzy.

– Owszem. Według mnie jesteśmy kimś więcej niż przyjaciółmi. Jesteśmy prawie braćmi.

– Patrzyłeś ty kiedyś w lustro?

– Chodzi mi o to, że mamy podobną wrażliwość. I obrany modus operandi. Obaj zabijamy, obaj twierdzimy, że nie stanowi to dla nas problemu.

– Ty praktycznie wymazałeś z powierzchni ziemi setki tysięcy istnień. Wcale nie jesteśmy...

– A więc nie obchodzi cię sam czyn, samo zabijanie. Obchodzi cię skala. Ale ja na to mogę odpowiedzieć, że to, co robię, wykonuję poprzez ustawodawstwo, nie własnymi rękami. Według mnie zabijanie człowieka, gdy się z nim spotykasz twarzą w twarz, wymaga większego okrucieństwa niż zabijanie za pomocą prawa i wypowiedzenia wojny. A więc to ty jesteś bardziej niebezpiecznym człowiekiem. Tylko pomyśl, ilu ludzi byś zabił, gdybyś stał na czele państwa czy agencji wywiadowczej. Wymordowałbyś wszystkich przeciwników.

Bakri Ali Abboud, prezydent Sudanu, pochylił się tak nisko, że jego głowa ledwo wystawała zza płonącego drewna. Na jego twarz padało blade światło ogniska.

– Zupełnie jak ja... bracie – uśmiechnął się. – Ja i ty, szanowny panie Sześć, jesteśmy zupełnie tacy sami. Jesteśmy tępicielami tych, którzy stali się chwastami ludzkości... – Oryks urwał i pozwolił, by jego słowa wybrzmiały w ciemności. – Tyle że mnie to lepiej wychodzi. To mnie uważa się za najgorszego. To ciekawe, jak punkt siedzenia decyduje o tym, co uważa się za zło, a co za dobro, czyż nie?

Gentry wzniecił ogień długim kijem. Miał świadomość, że to wstrzyknięty środek sprawia, że ciągnie tę rozmowę.

– Owszem, byłeś w tym lepszy ode mnie, ale już po wszystkim. Resztę życia spędzisz za kratkami.

Oryks znów się uśmiechnął.

Court przyglądał mu się w świetle ogniska.

– Nie wydajesz się przejęty wizją dożycia ostatnich dni w więzieniu.

– Oj, gdyby naprawdę taki los mnie czekał, byłbym zdecydowanie bardziej przejęty. Ale wiem, że nie spędzę reszty życia za kratkami.

– Zwłaszcza jeśli zmienię zdanie i jednak cię tu zastrzelę.

Prezydent Abboud zaśmiał się nisko i rytmicznie.

– Wątpię, abyś w tym stanie sprawnie władał bronią.

– Mam spróbować?

– Ależ nie. – Oryks machnął ręką. – Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że mnie odeskortujesz do Europy.

– Do więzienia – uściślił Court.

– Nie wątpię, ale to zaledwie na parę miesięcy. Wielokrotnie już proponowano mi układy, dotychczas oczywiście je odrzucałem, na mocy których mógłbym się starać o azyl w wielu neutralnych krajach. Muszę się tylko zdecydować, co wybrać. Wybrzeże Kości Słoniowej jest blisko domu, ale obecnie skłaniam się raczej ku pewnej wyspie na Morzu Karaibskim, która już się oferowała. Nie mów tego moim żonom, ale raz na jakiś czas lubię uraczyć się kubańskim cygarem.

Court wyprostował się, wciąż siedząc po turecku, i oparł o ścianę.

– Gównu prawda.

– Cóż, zwykła dyplomacja – uśmiechnął się prezydent Bakri Ali Abboud.

– Że niby Europa cię wypuści?

Prezydent powoli pokręcił głową i odsłonił białe zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie tylko Europa, ale i twoja Ameryka.

Gentry'ego zatkało. Wiedział, że jest zbyt zjarany, żeby analizować wszystkie sygnały wysyłane przez układ limbiczny prezydenta, by wyczuwać, które z nich świadczą o tym, że kłamię. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten łysy sukinsyn czuje się niezwykle pewnie siebie.

Uśmiech nie schodził z ust Abbouda, ale mimo to wycedził, przesadnie naśladowując amerykański akcent:

– Sam powiedziałaś, że nigdy nie znasz szczegółów operacji, co nie?

– Dlaczego? – zaskrzeczał Gentry.

– Dla dobra ludzkości – zarechotał Abboud. – A co myślisz, że by się stało, gdyby w mojej rodzinnej miejscowości zabiła mnie partyzantka z Ruchu Wyzwolenia Sudanu? Rozpętałaby się wojna domowa dziesięciokrotnie większa niż ta, co teraz, i znacznie, znacznie gorsza. Chińczycy chcą ropy, więc poprą mojego następcę, tak jak wspierają mnie. Rosja natomiast poprze wojskowy zamach stanu przeciwko moim następcom, a do tego pomoże naszym zachodnim sąsiadom. Obozy osób wewnętrznie przesiedlonych mogą przestać istnieć, UNAMID zostanie wypchnięty, jako że umowa została zawarta ze mną, a nie z władzami

Czadu. Chiny popchną mojego następcę w objęcia totalnej wojny z Czadem w celu zachowania Traktu 12A, bo mój następca to w gruncie rzeczy wyjątkowy miększon. Podda się im i zgodzi się na rzeczy, na które ja nigdy nie pozwalałem. Stanie się marionetką Chin, straszony bronią, przekupiony władzą i mamoną. Zapewniam, że rok po mojej śmierci Afryka Wschodnia będzie sercem wielkiego konfliktu superpotęg, zginą setki tysięcy ludzi, kolejny milion zostanie przesiedlony.

– Ale czy porwanie nie wywoła tych samych skutków?

– Na krótką skalę owszem, zapanuje chaos, ale ja zgodzę się na wszystkie tajne układy, które proponuje mi się od trzech lat. Jeśli odsłonię przed światem szczegóły podłych, nielegalnych działań Rosji w Sudanie, jeśli oznajmię moim zwolennikom, bezpośrednio i dobitnie, że Rosjanie są gotowi dolewać oliwy do ognia wojny z nami, wtedy koniec z wpływami rosyjskimi na moich obywateli, a co za tym idzie, nie będzie wojny domowej. A bez wojny domowej wątpię, aby Czad zechciał nas zaatakować. Z chęcią nawet ogłoszę, że Chiny maczały palce w moim porwaniu. Zaszkodzi to w ich interesach w rejonie, a przy okazji zwróci kontrolę nad minerałami Sudanu Sudańczykom.

– Ale Chiny nie maczają palców w tym porwaniu.

Abboud wzruszył ramionami.

– Moi zwolennicy mi uwierzą. Mam nawet odpowiednie dowody. Chińskie Służby Specjalne potajemnie prowadzą szkolenia moich oddziałów w Port Sudanie, aby mogły zajmować się ochroną Traktu 12A wzdłuż granicy z Czadem. A Chiny doskonale wiedzą, że Rosja ślini się na tę ropę, że Kreml chce mnie zgładzić. Jestem w stanie przekonać Sudańczyków, że pokłóciłem się z Chinami, tak więc Pekin postanowił się mnie pozbyć i użyć jako karty przetargowej.

– To genialne – przyznał wbrew sobie Court.

– Podziękuj swoim kolegom. To wszystko to był spisek CIA. Chcieli mnie przekonać, żebym z własnej, nieprzymuszonej woli oddał się Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu. Jak już powiedziałem, odrzuciłem ich propozycję azylu. – To mówiąc, dyktator wzruszył wesoło ramionami. – Twoją obecność odczytuję jako próbę przekonania mnie do jej przemyślenia.

– A więc jesteś wart więcej żywy niż martwy.

Abboud wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że tak. Jak mnie stąd wyciągniesz żywego, zrobię to, co do mnie należy. Prawdą jest to, co mi powiedziałeś dziś rano w Sawakinie: gramy po tej samej stronie. Tylko ty nie wiedziałeś, jak bardzo jest to prawdziwe.

Jego wywód przerwał telefon satelitarny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

– Cześć, Zack.

– Ogarniasz już, czy dalej jesteś nastukany jak jebany dzieciół w zagajniku?

– Już w porządku. Przepraszam za tamto. Powalił mnie ból i z tego wszystkiego pomyliłem dawkę...

– Nieważne. Mamy większy problem. Cała opka nam się zdupcyła.

– Co się stało?

– Centrala twierdzi, że ukatrupiliśmy kilku Kitajców.

– Proszę?

– Że zabiliśmy kilku Chińczyków.

Court pomyślał o tym, czego właśnie dowiedział się od Oryksa.

– To musieli być wojskowi.

– Z pewnością, ale wygląda na to, że to też nieładnie.

Court wiedział, co to za jedni.

– To chińskie Służby Specjalne, szkolą Sudańczyków w Port Sudanie.

– Denny też tak uważa. Pewnie Latające Smoki. Rezydentura w Sudanie nawet nie wiedziała, że tu są.

– Kurde, Zack. Jak jest źle?

– Z tego, co słyszę, to dobrze nie jest. Langley właśnie zajmuje się Białym Domem. Biały Dom nie pisał się na niesnaski z Chinami.

Court przetarł pot z oczu. Leki zdołały zmniejszyć ból w plecach, ale nadal czuł pieczenie.

– Ilu Chińczyków zabiliście?

– Wygląda na to, że ze trzy dyszki. Podejrzewamy, że ten Mi-17, którego zestrzelił Dan, był pełen żołnierzy i załogi. To by tłumaczyło tak wysoką liczbę ofiar. Ale tak serio, to nie rozumiem, o co, kurwa, tyle szumu. Przecież Chinoli jest tak ze dwa miliardy podobno. Trzydziestu chłopca w tę czy we w tę, co za różnica?

– Dan też doszedł do tego wniosku.

- No nie gadaj.
- No to co w związku z tym? Jakie zmiany?
- Naprawdę nie mam pojęcia. Jestem umówiony na telefon z Dennyem za pół godziny. W najgorszym wypadku spieprzamy stąd.
- Ale z Abboudem?
- Poczekajmy na wieści od Denny'ego.
- Przyjąłem. Bez odbioru.

* * *

Zack oddzwonił tuż po dziewiątej wieczorem. Court akurat od czterdziestu pięciu minut rozmawiał z Oryksem o propozycji, którą ten otrzymał z Zachodu. Wyglądało na to, że prezydent Sudanu był skłonny zrobić wszystko, żeby tylko nie skończyć w więzieniu i dostać się na Kubę jako wolny człowiek.

Było to okropne, ale Court zrozumiał, że to wyjście było zdecydowanie najlepsze ze wszystkich możliwych.

– Słuchaj, Sześć. Na tę rozmowę idź jak najdalej od Oryksa – powiedział Zack. – Tak, żeby nie mógł usłyszeć twoich odpowiedzi.

– Rozumiem. Czekaj chwilę. – Court spojrział na Oryksa, wciąż przykutego do słupa na środku chaty. Obrócił się na pięcie, wyszedł na zewnątrz i usiadł na tylnym zderzaku škody. Było już trochę chłodniej. – Dobra, teraz jestem sam.

– Mam wielką zmianę co do twoich rozkazów, Sześć. Gotowy?

– Tak. Możesz mówić.

Zack złapał oddech, po czym zaczął:

– Chińczycy twierdzą, że dziś rano w Sawakinie zginęło dwudziestu sześciu cywili, doradców i konsultantów do spraw ekonomii.

– Gówno prawda. To na pewno nie byli cywile.

– Wiadomo, że nie. Ryżojady jebane łąą jak z nut, ale wolno im, wszyscy i tak im uwierzą.

– I co dalej?

– Biały Dom już oficjalnie sra pod siebie. Nie chcą mieć nic do czynienia z tą operacją. Wygląda na to, że równocześnie cichaczem dogadywali jakąś zajebistą umowę handlową z Kitajcami, mieli ją ogłosić za miesiąc w Pekinie.

– I co z tego?

– To z tego, że teraz Biały Dom kazał dyrektorowi wywiadu narodowego rozkazać Denny’emu, żeby ten z kolei nam rozkazał dokonać natychmiastowej ekfiltracji. Mamy rzucić wszystko w pierdu i spieprzać. Nie chcą śladów CIA nigdzie wokół tej operacji z obawy, że narazi to podpisanie umowy.

– A co ze mną?

– Ja cię odbiorę łodzią podwodną. Będę na namorzynach o północy. Wyrobisz się czy masz w planach kolejną ostrą wiknę na dragach?

– Dam radę się stawić. Ale w takim razie co z Szafirem Nocy?

– Jakim Szafirem Nocy? Nie ma niczego takiego i musimy zapomnieć, że w ogóle była taka opka. Nie mamy wyjścia, zostawili nas na lodzie. Musimy się wydostać z wód Sudanu do Erytrei i nie dać się zauważyć. Rezydentura zwali winę na RWS.

Court spojrział na trawy poruszane wieczorną bryzą.

– Ale... To co ja mam teraz zrobić z Abboudem?

– Poślij skurwysyna do piachu – odparł Zack.

Court się zawahał.

– Ale... Ale on jeden jest w stanie przekonać swoich o tym, co knują Rosjanie.

– Nas ma tu nie być. Nie ma mowy, żebyśmy teraz wręczyli Abbouda Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu. Rusz głową! Jeśli sprezentujemy Abbouda euraskom, chińskie komuszki się o tym dowiedzą i z całej umowy nici!

– Ale Abboud jest ważniejszy żywy niż martwy. Czy nie taki był tok rozumowania Białego Domu?

– A i owszem, ale wybuch chińskiego helikoptera to zmienił.

Court pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Przecież to tylko umowa handlowa! Jakie to ma znaczenie na większą skalę?

– Sprawia, że politycy mogą się pogłaskać po wzdętych brzuskach.

– A się nie pogłaszczą, jak zapobiegają ludobójstwu w Afryce?

– Ale nie mogą ryzykować wojny z Chinami. Przeciętny obywatel USA nie chce słuchać, że strzelamy się z Kitajcami przez jakichś tępych dzikusów z lepianki.

– Chińczycy nie będą się o to bić.

– A ty co? Zrobiłeś se doktorat z politologii w ukryciu? Jesteś agentem, nie dyplomatą. Dyplomaci robią swoje, ty rób swoje. Abboud musi zginać.

Zabij dziada! To rozkaz!

– Ale jedynym sposobem, aby skończyć z tym, co się dzieje w Darfurze, jest utrzymanie go przy życiu, posadzenie przed kamerą i niech powie swoim, co Rusczy i Chińczycy robią z jego polityką wewnętrzną. – Gentry nie dawał za wygraną. – Przecież dlatego opracowano Szafir Nocy, bo to jedyne rozwiązanie! Inaczej się nie da!

– Cóż, już tak się nie stanie. Usuniesz go i ruszysz dupsko na północną część namorzyn na eksfiltrację. Co ci, kurwa, odpierdoliło? Myślałem, że kto jak to, ale ty z radością wsadzisz trochę ołowiu w zasrany łeb tego pierdolonego skurwysyna.

– Ale słuchaj, Zack! Jeśli uda nam się stąd wydostać Abbouda, przetransportować do Hagi, to wtedy zatrzymamy wojnę!

– Powstrzymywanie wojen to nie twoja działka! Twoja robota to wykonywanie naszej roboty, a naszą robotą jest teraz sprzątnięcie Abbouda, porzucenie jego truchła przy drodze, a potem spierdzelanie stąd!

Court zacisnął szczęki, po czym oparł głowę o tylny zderzak škody.

– Muszę to przemyśleć.

– Przemyśleć? Za kogo ty się, kurwa, masz? Masz robić to, co...

– Oddzwonię. Brak odbioru. – Court się rozłączył. Rzucił telefon w trawę, po czym zakrył twarz dłońmi. Cholera jasna. Doskonale wiedział, że mógłby wstać, wrócić do chaty i umieścić dziewięćmilimetrową kulę w głowie prezydenta Republiki Sudanu bez żadnych wyrzutów sumienia. W końcu to był potwór. Prawdziwy, potężny i niebezpieczny.

No, zabij go. Wstań i go zabij.

Wiedział jednak, że najlepiej wykorzystać siłę polityczną Oryksa przeciwko jego okrucieństwom i w celu czynienia dobra. Jasne, krew go zalewała na myśl o tym, że wtedy Abboud wyszedłby na tym wszystkim najlepiej. Po całym życiu pełnym morderstw i korupcji na emeryturze zabawiałby się w domu publicznym w Hawanie. Ale Court wiedział, że to był problem na inne czasy. Sam chętnie poleciałby na Kubę i wyrównał rachunki. Chciał wymierzyć karę śmierci za zbrodnie Abbouda, ale dopiero po zniwelowaniu ryzyka rozpętania się przerażającego chaosu w poabbudowskim Sudanie. A do tego Abboud musiał jeszcze chwilę pożyć.

Court wiedział już, że został wystrychnięty przez Rosjan, którzy okłamali go i zmanipulowali tak, że prawie pomógł im rozpętać wojnę. Teraz zdał

sobie sprawę, że zabijając Oryksa, dałby się zrobić przez Langley w to samo.

Nie. Zdecydował, że nie zabije Abbouda. Nie mógł tego zrobić. Postanowił sam doprowadzić go przed Międzynarodowy Trybunał Karny, żeby przerwać jedną wojnę i zapobiec następnej.

Wiedział, że ściągnie na siebie kolejny nakaz strzelania bez ostrzeżenia, ale była to ostatnia nadzieja na ocalenie tysięcy niewinnych Sudańczyków. Court włożył głowę między kolana i zasłonił ją dłońmi. Tak naprawdę to najbardziej pragnął pobiec do chaty nie po to, by zabić Abbouda, ale po kolejną dawkę morfiny. Skutki narkotyku szybko ustępowały. Wydarzenia ostatnich dziesięciu minut zlikwidowały jego problemy z koncentracją.

Court podniósł thurayę z trawy i oddzwonił do Zacka.

* * *

Hightower odebrał natychmiast. Court zdawał sobie sprawę, że jest wściekły, choć dobrze to ukrywał.

– I co, podjąłeś dobrą decyzję, młody?

Nastąpiła długa przerwa.

– Nie mogę tego zrobić, Zack.

Court czuł napięcie po drugiej stronie połączenia. Przez pięć lat pracy w Bandzie Zbirów ani razu nie przeciwstawił się Zackowi, to jest do dnia, w którym wszystko diabli wzięli. Zack w końcu przerwał milczenie. Mówił z udawaną lekkością, ale czuć było, że tak naprawdę mu grozi.

– Słuchaj, młody. Straciłem już dziś dwóch świetnych ludzi. Nie chcę stracić i ciebie. W tej fatalnej sytuacji trzeba zrobić coś, co ją zmieni na dobrą. Zabij tego chuja. Staw się gdzieś, skąd mogę cię odebrać, i odpłyniemy w lepszą przyszłość. Langley odwoła nakaz strzelania, zostaniemy odprawieni, wysramy się, ogolimy i pójdziemy pod prysznic. Za mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny będziemy pić precenione budweisery w barze w Bethesdzie. Wypijemy zdrowie nasze i zmarłych kolegów. Co ty na to?

– To brzmi wspaniale, Zack. Ale tak nie będzie. Zrobię to sam, jeśli będę musiał, ale doprowadzę Abbouda żywego przed Międzynarodowy Trybunał Karny.

Teraz Zack nie był w stanie ukryć gniewu. Z każdym słowem słyhać było, jak jego wściekłość rośnie.

– I jak zamierzasz tego dokonać? Masz łódź? Samolot? Armię?

Nastąpiła pełna napięcia pauza, po czym zabrzmiało ciche:

– Nie.

– No właśnie. Powiem ci natomiast, co masz. Masz w plecach dziurę, z której capi tak straszliwie, że myszołów jadący na wozie z gównem by się skrzywił. To właśnie masz! Potrzebujesz lekarza, a nie porywania się na popierdoloną misję ratowania jednego z najbardziej znienawidzonych ludzi na tym świecie. Wiem, że ty uważasz się za popierdolonego Samotnego Jeźdźca, ale to akurat istny debilizm, daremny trud. Z mojego punktu siedzenia wygląda to tak, że twój cel wymaga czterech niezbędnych elementów. Potrzebujesz ludzi, broni, sprzętu i jaj. Nie zaprzeczę, że jajca to ty masz. Ale jeśli chodzi o pozostałe rzeczy, to masz żałosne braki. Żaden samotny strzelec nie wydobędzie tego skurwysyna z Sudanu! Goni cię Armia Sudanu, NSB i wszyscy Abdule Kowalscy. Wszyscy szukają swojego prezydenta i chcą ukatrupić gościa, który go porwał... Czy naprawdę chcesz jeszcze musieć martwić się mną?

– Ruszysz za mną?

Hightower nawet się nie wahał.

– Oczywiście, że tak. Jak mi Bozia miła, jeśli natychmiast nie ukatrupisz Oryksa, to doniosę na ciebie Denny'emu. Obaj wiemy, że on mnie wtedy za tobą wyśle. A żaden z nas tego nie chce, Court.

Po kolejnej chwili milczenia Gentry odparł:

– To do zobaczenia, Zack.

Hightower przez chwilę nic nie mówił, potem rzekł:

– Ty mnie nie zobaczysz, Gentry. To ja będę na ciebie patrzył przez celownik Remingtona model siedemset. Zobaczę, jak twoja głowa zamienia się w różową mgiełkę. Tak bardzo nam zależało, żebyś wrócił do ekipy, ale wiesz co? Zbyt długo pracowałeś sam. Nie ma mowy, żebyś kiedykolwiek mógł znaleźć się w zespole. To chyba musiało się tak skończyć.

Zack się rozłączył.

Po godzinie siedzenia na zderzaku Court wstał. Powoli wrócił do chaty. Oryks, rzecz jasna, tam był. Stał pośrodku ciemnego pomieszczenia. Z pewnością nie usłyszał szczegółów rozmowy, ale musiał wyłapać jej ton.

– Co się dzieje?

– Nic. Musimy się ruszyć – odparł Court. Sam dał namiary na tę kryjówkę agentom na pokładzie jachtu „Hannah”. Wiedział, że trzeba było zwiewać, póki Zack czy ktoś inny po nich przyjdzie.

– Powiedz mi, Sześć, o co była ta kłótnia?

Court rozciął małym scyzorykiem więzy, którymi przywiązał prezydenta do słupa. Nic nie odpowiedział, tylko zamknął nóż i wsunął go do kieszeni.

– Co się dzieje? – Abboud był zaniepokojony.

Court stwierdził, że gdyby nie pozostałości morfiny w jego organizmie, byłby jeszcze bardziej przerażony. Ciekawe, ile jeszcze miał tego we krwi? Czy będzie w stanie prowadzić? Czy uda mu się znaleźć nową kryjówkę bez napotkania po drodze tych wszystkich, którzy w tej chwili szukają jego i jego więźnia?

Oryks znów zaczął dopytywać się, z kim rozmawiał. Court stanął przed nim, wyciągnął dwie nowe trytytki z plecaka i przymierzał się związać nimi ręce prezydenta. Jednak zanim to zrobił, wzruszył ramionami, jak gdyby od niechcienia.

– Kazali mi cię zabić.

– Amerykańscy aktorzy. – Wielki Afrykańczyk nie zaintonował tych słów jak pytania, ale widać było, że chce się upewnić, czy Court mówi prawdę. Odsunął od niego wielkie łapska.

– Nie. Teraz CIA też chce twojej śmierci. Obecnie wszyscy się co do tego zgadzają. Daj łapy.

Twarz Oryksa skrzywiła się w pełnym zdziwienia grymasie. Słowa Courta podziały na niego jak zimny prysznic.

– Ale nie! Mieliśmy umowę! Potrzebują mnie żywego! Europejczycy...

– Zamknij się! Musimy się stąd wydostać, żebyś mógł się namyślić i nie martwić o...

– Mogę im pomóc...

– Uspokój się! Dawaj łapy!

– Jak to tak nagle zmieniać umowę...

Court wyciągnął glocka. Narkotyki go spowolniły. Jego zdrętwiała ręka zadrżała. Przycisnął splotę Abboudowi do gardła.

– Mówiłem ci, żebyś się, kurwa, uspokoił!

Oryks podniósł ręce, jakby się chciał poddać, ale tak naprawdę sięgnął po pistolet.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Prezydent Abboud był człowiekiem potężnym, o wiele wyższym, postawniejszym i grubszym od Gentry'ego, jednak nie był tak doskonale wyszkolony, jeśli chodzi o umysł, mięśnie i ducha, jak amerykański wojownik. Pod tym względem nie było mowy o żadnej przewadze. Gdyby nie morfina.

Abboudowi udało się już pierwszym uderzeniem wytrącić glocka z ręki Courta. Potem chwycił tłustymi łapskami Amerykanina za nadgarstki i przyciągnął go do siebie. Szóstka poruszał się powoli i ospale. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że został zaatakowany. Myślał, że Oryks po prostu panikuje z powodu utraty wsparcia CIA i że tak tylko uderza Courta jak rozgniewany bachor. Kiedy jednak Gentry padł na ziemię na zranione plecy i został przyciśnięty ciężkim cielskiem prezydenta Sudanu, w końcu dotarło do jego naćpanej łepetyny, co się dzieje.

Narkotyki nie wystarczyły, aby uśmierzyć płomień niesamowitego bólu, który znów pojawił się w ramieniu. Court krzyknął, po czym oberwał kilka ciosów z góry. Zasłonił twarz i skupił się na bólu łopatki, licząc, że poziom adrenaliny wzrośnie i uruchomi pamięć mięśniową, by był w stanie zrzucić z siebie tego wielkiego sukinsyna. W świetle gasnącego ogniska zmrużone oczy Courta zarejestrowały kolejny nadciągający cios, prawy sierpowy, który przeciwnik właśnie miał mu wymierzyć. Odepchnął atak, uderzając Abbouda z całej siły w nos. Prezydencki sierpowy dotarł ćwierć sekundy później, ale był słaby i źle wycelowany, tak też pięść Gentry'ego szybko się otworzyła i dotknęła twarzy upadającego na plecy napastnika, który trzymał się za nos i ocierał spod napuchniętych dziurek wypływającą obficie krew.

Gentry już całkiem skopał z siebie Oryksa, przeturlał się i zaczął na czworakach wymacywać pistolet. Znalazł go pod ścianą. Odetchnął z ulgą i wstał. Następnie chwycił Oryksa za kołnierz i podniósł go do pozycji stojącej. Już po kilku sekundach jęczący dryblas miał związane za plecami

ręce, a po minucie siedział wraz z Courtem w škodzie, która przedzierała się przez wysokie trawy do głównej drogi.

* * *

Gentry przemyślał wszystkie opcje. Jako że nie było ich dużo, zajęło mu to niewiele czasu. Nie miał pojęcia nawet, dokąd jedzie, poza tym, że celem jest znalezienie nowej kryjówki, w której mógłby opracować plan. Oryks ocierał twarz o tapicerkę tylnego siedzenia, ponieważ nie był w stanie inaczej zetrzeć z siebie krwi. Jęczał przy tym i przeklinał pod nosem po arabsku.

Zadzwoił telefon. Gentry nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnych argumentów Zacka, ale i tak odebrał. Wściekłość i adrenalina po bójkę w chacie wciąż miotała jego emocjami.

Court zaczął:

– Czas na rozmowy minął, dupku. Jak chcesz mnie gonić, to się pospiesz! Im szybciej uda mi się w końcu ciebie zabić, tym szybciej będę mógł stąd zwać i dokończyć zadanie!

Okazało się jednak, że to nie dzwonił Zack, tylko Denny Carmichael.

– Młody człowieku... Sierra Jeden wyjaśnił mi zaistniały problem i dzwonię, żeby się przekonać, co mogę zrobić, abyśmy doszli do porozumienia.

Nie ulegało wątpliwości, że Carmichael był przerażony i zdenerwowany tym, że jeden z jego ludzi właśnie oddawał się samowolce. Court słyszał to w jego głosie.

– Najmocniej przepraszam, psze pana. Zabicie Oryksa spowoduje ogromne nieszczęście. Nie chcę stać się jego udziałem.

– Doskonale rozumiem twoje uczucia. W końcu sam jestem jednym z architektów operacji Szafir Nocy. Od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli uda nam się go pojmać żywcem, będzie to niezwykle przydatne i dla nas, i dla jego obywateli. Niestety nie możemy zostawić żadnych śladów świadczących o tym, jakoby wczoraj w Sawakinie było CIA czy jakikolwiek inny agent Stanów Zjednoczonych. Gdyby to wyszło na jaw, nastąpiłby olbrzymi kryzys na skalę międzynarodową, a to, umówmy się, jest znacznie ważniejsze niż jakaś wojna domowa w kraju Trzeciego Świata.

– A więc zgadza się pan ze mną, że wybuchnie wojna? Wojna domowa przy wsparciu Chin i Rosji?

– Na małą skalę, owszem, prawdopodobny jest wybuch kolejnej wojny domowej. Ale nie przewidujemy, aby te superpotęgi odgrywały w niej aktywną rolę.

– Może nie macie źródeł, które mogą to potwierdzić.

– Zapewniam, że mamy dostęp do osób wysoko postawionych w rządzie sudańskim.

– Jak bliskie jest pańskie źródło?

– Niezwykłe.

– Jak wysoce postawieni są ci urzędnicy?

– Niezwykłe wysoko.

– No cóż, ja tu mam na tylnym siedzeniu, kurwa, samego prezydenta. Jeśli uda się panu znaleźć jakieś bardziej wiarygodne źródło informacji, to może uda się panu zrobić na mnie wrażenie.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Tu chodzi o niezwykle ważną umowę handlową.

Gentry miał to gdzieś.

– Cóż, może trzeba będzie przyjąć na klątę gniew Chińczyków. Trudno. Ale poradzimy sobie.

– Nie do pana należy ta decyzja.

– A właśnie, że do mnie. To ja mam prezydenta. I zamierzam przekazać go żywego Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu. Zrobię to, co należy. Od tego zależy życie wielu ludzi w tym kraju. Wpadliście na świetny pomysł. Operacja Szafir Nocy to była naprawdę dobra misja. Jasne, została niesamowicie spierdolona, bo rezydentura w Sudanie nie odróżnia własnego odbytu od dziury w ziemi, a tak mało brakowało, żeby się udało. Zamierzam ją skończyć. Wy w Langley musicie zdać sobie sprawę, że to, co robię, to dobre rozwiązanie, musicie przemyśleć...

Spokojny, choć zirytowany ton Denny'ego, jakim prowadził tę i poprzednie rozmowy, natychmiast wyparował. Jego miejsce zajęły siarczyste krzyki.

– Nie mam czasu na wysłuchiwanie kazań jakiegoś zasrańca! Pozwól, że coś wyjaśnię. Myślałeś, że miałeś ciężko przez ostatnie cztery lata? To było nic! Są tu, w Langley, ludzie, którzy mają słabość do Courta Gentry'ego. Owszem, długo wykonywałeś kawał dobrej roboty, nie oczekując niczego w zamian, tym zasłużyłeś sobie na szacunek ludzi z sekcji Operacji Specjalnych. Kiedy wydano nakaz strzelania do ciebie bez ostrzeżenia, znaleźli się tacy, którzy mieli czelność się stawiać, przez co niestety mocno

ucierpiała operacja mająca na celu wyeliminowanie ciebie. – Przełknął wściekle ślinę i ciągnął: – Teraz jednak nie ma w Agencji już nikogo, kto byłby po twojej stronie. Zapewniam, że nie tylko wskrzeszę ten nakaz, ale wręcz pchnę go na sam szczyt listy priorytetów. To już nie będzie śledzenie na pół gwizdka przez Echelon, wysyłanie okólników i próśb do Interpolu. Teraz zajmą się tobą skoordynowane zastępy najlepszych zabójców. Paramilitarne oddziały od operacji specjalnych, najemnicy, sam osobiście wszystkiego dopilnuję. Nie znajdziesz szczeliny, do której mógłbyś wypełznąć, nikt nie odważy się ciebie zatrudnić czy prowadzić jako agenta, żadne państwo nie przepuści cię przez swoje granice. Zresztą Zack cię znajdzie. Powstrzyma cię i zabije. Może przez chwilę jeszcze da się wyczuć twój puls, ale od tej chwili jesteś już trupem!

Ani Carmichael, ani Court już nic nie powiedzieli. Gentry uwielbiał mieć ostatnie słowo, ale wyglądało na to, że zostało ono wypowiedziane. Żadna błyskotliwa odzywka nie mogła zmniejszyć grozy bluzgu Carmichaela. Ten człowiek nie miał w zwyczaju grozić czymś, czego nie był w stanie wprowadzić w życie.

Po bardzo długiej przerwie szycha z Langley odezwał się już cicho, chyba odkładając słuchawkę:

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wtorek był pierwszym dniem Ellen Walsh w pracy, w jej małym gabinecie w Hadze, odkąd pięć tygodni wcześniej wyjechała do Sudanu. Przełożeni w prokuraturze Międzynarodowego Trybunału Karnego zaproponowali jej tydzień wolnego po powrocie z Afryki, ale Kanadyjka wzięła tylko dzień zwolnienia lekarskiego, żeby skonsultować się z dermatologką w sprawie poparzonej słońcem twarzy i zgłosić się do lekarza rodzinnego po receptę na migrenę, na którą cierpiała od dnia wybuchu ciężarówki na drodze do Dirry.

Kiedy wyszła z windy na piętrze, na którym pracowała, jej współpracownicy oniemieli ze zdziwienia. Dotarły do nich słuchy o jej przygodach. Media z całego świata zdawały relację z ataku na konwój Speranza Internazionale i zamordowaniu przez Dżandżawidów gwiazdy opieki humanitarnej Maria Bianchiego oraz dwóch jego pracowników. Nie wspomiano co prawda o dwóch innych ludziach z Zachodu, którzy brali w tym udział, ale Ellen rozmawiała z kierownikami w biurze prokuratora, tak więc historia skapała na niższe piętra niczym woda przeciekająca przez dziury w podłodze. Zatrudnieni tam asystenci grubych ryb opowiedzieli co nieco znajomym i znajomym znajomych, którzy pracowali w tym samym budynku. Poparzona twarz i smutny, wycofany wzrok Ellen zdawały się tylko potwierdzać plotki. Walsh wiedziała, że niedługo będzie musiała rozesłać maile, dziękując wszystkim za troskę i prosząc, by poszanowali jej prywatność i wykazali zrozumienie, że nie jest jeszcze gotowa rozmawiać o tym, co widziała w Darfurze.

Na komputerze miała otwarte dwa raporty, z których nie dokończyła żadnego. Jeden to było sprawozdanie, w którym spisała wszystko, co zdołała zapamiętać na temat związku z samolotem Rosoboronexportu w Darfurze i członkami rosyjskiej załogi, a także to, co wiązało się jakimikolwiek nazwiskami, świadkami itd., itp. Na razie jednak otworzyła wzór sprawozdania i opisała, jak dostała się do Darfuru zaopatrzona

w fałszywe papiery. Nawet to sprawiło jej trudność. Tyle się wydarzyło, odkąd była w Chartumie, kręcąc się po biurach różnych organizacji pozarządowych i próbując się dostać do Darfuru, że odnosiła wrażenie, jakby jej mózg zepchnął te wspomnienia w najbardziej odległe obszary.

Drugi raport dotyczył morderstwa dwóch rannych, bezbronnych strzelców dokonanego przez nieznanego Amerykanina, który przyleciał do Al-Fasziru na pokładzie rosyjskiego samolotu. Ten dokument w zasadzie był prawie gotowy. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Nie była pewna, czy pisała go po to, aby oczyścić umysł po tych okropieństwach, czy rzeczywiście zamierzała go wysłać i otworzyć śledztwo w sprawie tego człowieka. Była rozdarta pomiędzy poczuciem zawodowego obowiązku a uczuciem wobec nieznanego. Owszem, uratował ją i zdołał przekonać, że nie jest wcielonym złem, dręczyło ją jednak, że jest kimś, kto balansuje na krawędzi dobra i zła, i że trzeba go powstrzymać przed dokonaniem dalszych okropności.

Nie wiedziała też, co sądzić o informacjach, jakoby prezydent Sudanu został porwany podczas bójki z miejscową partyzantką na wybrzeżu kraju. Czy Szóstka mógł mieć z tym coś wspólnego? Jeśli chodzi o czas, to wszystko by się zgadzało, ale Amerykanin nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie zapanować nad siłą sudańskiej partyzantki.

Przecież ledwo panował nad sobą!

Nagle na jej biurku zadzwonił telefon.

– Cześć, Ellen. Telefon do ciebie. Przedstawił się jako „Szóstka”.

– Przełącz, proszę – powiedziała. – Halo?

– Trzy dni minęły. Naprawdę myślałem, że mnie przez ten czas złapiesz.

– Gdzie jesteś?

Zamiast odpowiedzi usłyszała:

– Musimy pogadać.

– To... To co się teraz dzieje w Sudanie? Nie ma zbyt wiele informacji...

Wiem, że była jakaś bitwa. Że nikt nie wie, gdzie jest prezydent. Stało się to dokładnie wtedy, kiedy zapowiadałeś, że coś się wydarzy, tak więc najpierw założyłam, że w jakiś sposób byłeś w to...

– Mam Abbouda. Mam go przy sobie teraz.

Odpowiedziała cicho, ale głosem pełnym napięcia.

– O, mój Boże...

– Istne szaleństwo, co nie?

Ellen nerwowo odetchnęła do słuchawki. Spojrzała na otwarte drzwi gabinetu, po czym wstała i zamknęła je, prawie strącając telefon z biurka.

– Co... Kim ty jesteś? Co ty zamierzasz... Czemu akurat do mnie dzwonisz?

Na początku nie było odpowiedzi. Słyszała tylko bicie własnego serca.

– Chcesz go?

– Proszę?

– Abbouda. Jeśli tylko chcesz, jest twój.

– Mój?

– Tak. I żeby było jasne, ja nie zabiłem żadnych Chińczyków. Podobno o tym się teraz mówi w wiadomościach.

– Tak, to prawda.

– To nie ja. Ja tylko porwałem Abbouda. Tyle że teraz nie do końca wiem, co z nim zrobić.

Ellen wciąż prawie szeptała.

– Czy ty... Nie pomyślałeś o tym wcześniej?

– Mhm... Plany się zmieniają. Układy nie wypalają. Wiesz, jak jest.

– Jasne – odpowiedziała. Nie miała pojęcia, o czym mówił.

– Słuchaj, on ma informacje o Rosji i Chinach. Twierdzi, że jeśli temu nie zapobiegnie, to rozpętają w Sudanie wojnę zastępczą.

– Owszem, krążą takie plotki.

– Co o tym myślisz?

– Cóż... Ja nie jestem ekspertką w tej dziedzinie. Zajmuję się bardziej zbrojeniem...

– Jestem pewny, że jesteś najlepszą ekspertką w tej dziedzinie, z którą mogę w tej chwili rozmawiać przez telefon. Pytam, co ty o tym myślisz.

– Według mnie prezydent Abboud ma rację.

Court opowiedział jej, czego się dowiedział. Przyznała, że część z tego już wiedziała, mimo to była pod wrażeniem, że Court usłyszał to z ust samego prezydenta Sudanu.

– Twierdzi, że była mowa o układzie, w ramach którego miał oddać się w ręce MTK.

Ellen odchrząknęła, po czym powiedziała już normalnym tonem.

– To już jest rozmowa wykraczająca poza moje kompetencje.

– A co powiesz na to, żebyś przekazała grubym rybom w swojej organizacji, że jeśli wpadną na pomysł, jak odebrać mnie i Abbouda

z brzegu Morza Czerwonego, to go mogą sobie wziąć? To powinno wpłynąć na zwiększenie zakresu twoich kompetencji. I na wynagrodzenie.

– Ja tego nie robię dla pieniędzy – oburzyła się Ellen.

– No to możesz je oddać na cele charytatywne. Mam to gdzieś. Ja tylko próbuję sprawić, żeby ta sytuacja nie eskalowała.

– Tylko tym się kierujesz?

– Tak.

– I ja ci mam uwierzyć?

– Dostałem rozkaz, żeby zabić skurwysyna. I marzę o tym. Wiem, że w to akurat mi uwierzysz. Ale tego nie zamierzam zrobić, bo naprawdę myślę, że on jest w stanie ocalić kilkaset tysięcy istnień.

Gentry podejrzewał, że Ellen wciąż była przynajmniej częściowo w szoku po tym, co wydarzyło się w Darfurze. Wiedział, że pewnie niezbyt mu ufa i że ta rozmowa telefoniczna była zapewne kolejnym surrealistycznym wydarzeniem, którego jej mózg nie do końca był w stanie przetrwać, więc nie zdziwiła go dłuższa chwila ciszy. W końcu Kanadyjka odchrząknęła.

– Idę w tej chwili na górę i porozmawiam z prokuratorem. Znajdziemy sposób, żeby odebrać Abbouda.

– Świetnie.

– Przyjedziesz z nim do Hagi?

Court pociągnął nosem.

– Miałbym oszczędzić Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu kolejnego bezużytecznego pościgu?

Ellen się zaśmiała. Miała ładny śmiech, lekko chrapliwy i naturalny. Court był prawie pewien, że pierwszy raz go usłyszał. W końcu odpowiedziała:

– Nie rozpoczęłam przygotowywania śledztwa w twojej sprawie.

– Jeszcze?

Nastąpiła kolejna przerwa. Gentry poznał, że bije się z myślami.

– Wiem, Sześć, że jest w tobie dobry człowiek. Widzę go przez pęknięcia w twoim pancerzu.

– Czyżbyś była na domiar złego psychoterapeutką?

– Nie chcę cię martwić, ale naprawdę nie trzeba być psychoterapeutką, żeby je zobaczyć.

– Nie znasz mnie.

– Ale wiem, że nie jesteś z CIA. Podzwoniłam. Źródła mi mówią, że nie mają nikogo w Darfurze.

- To ci już mówiłem.
 - Ale jeśli nie jesteś z CIA, to kim ty właściwie jesteś?
 - Nieważne.
 - To bardzo, bardzo ważne, Sześć. MTK ci nie pomoże, jeśli nie będzie wiedzieć, z kim ma do czynienia.
 - Pracuję na prywatne zlecenie.
 - Osoba prywatna zatrudniła cię, żebyś porwał prezydenta i przekazał go do nas?
 - Tak.
 - A potem kazali ci go zabić?
 - Nie inaczej.
- Zamilkła na dłuższą chwilę, być może tracąc wiarę. W końcu spytała:
- Kim jest ta osoba prywatna?
 - Nie mogę powiedzieć.
 - Musisz.
- Court wiedział, że do tego dojdzie. Próbował to sprzedać na poważnie, zrobił odpowiednią minę, mimo że mówił przez telefon satelitarny.
- No dobra. Zostałem zatrudniony przez prywatnych obywateli Stanów Zjednoczonych. Głównie związanych ze sztuką i przemysłem rozrywkowym
 - powiedział natchnięty paranoją Oryksa.
 - Sztuką... Co? A więc twierdzisz, że wynajęli cię celebryci?
 - Tak. Zdaje się, że właśnie tak twierdzą.
 - To jest twoja wersja?
- Uśmiechnął się. Bystra babka. Zbyt bystra, by to kupić, ale na tyle mądra, żeby nie odmówić propozycji otrzymania dla swojej organizacji prezydenta z kokardką na szyi. Wiedział, że wejdzie w to.
- I upieram się przy niej – podkreślił.
 - No dobra – odparła zatroskana. Chyba zastanawiała się, czy uda jej się sprzedać tę wersję swoim przełożonym lepiej, niż próbował to zrobić Sześć.
 - Oddzwonię. Jesteś bezpieczny?
- Court odetchnął.
- Oj, tak. Jak pączek w maśle, Ellen.
 - Pospiesz się...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Słońce wschodziło ponad nieruchomymi wodami Morza Czerwonego. Court jechał škodą na północ autostradą nad brzegiem morza, prowadzącą od Port Sudanu do granicy z Egiptem. Po lewej widział zarys Gór Czerwonomorskich, a gdy spoglądał przez okno po stronie pasażera, na widok rozciągający się za posiniaczoną i beznamiętną twarzą Oryksa, ukazywała mu się woda – ciepła czerń ogrzewana łagodnością przedświt.

Godzinę wcześniej udało im się pod osłoną nocy czmychnąć na zachód od Port Sudanu. Teraz škoda była jedynym autem na szosie. Court obawiał się, że natkną się na jakieś patrole wojskowe, ale niepotrzebnie. Owszem, kilka godzin wcześniej mijali parę samochodów policyjnych, ale ciemna czeska strzała płynnie wtapiała się w noc.

Nadbrzeżna droga w pewnym odcinku wjeżdżała w głąb lądu, w stronę wzgórz, po czym skręcała z powrotem na północ. O siódmej rano Court zjechał z autostrady na bitą drogę, która prowadziła nad wodę. Mijał małe miejscowości leżące wzdłuż ciągnących się po obu stronach drogi skalistych płaskowzgórzach aż do wybrzeża.

Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu całą dobę zajęło przygotowanie planu na odebranie Oryksa, ale Court nie znał wielu szczegółów. Wiedział tylko, że ma pojechać z więźniem do prowadzonego przez Holendrów centrum nauki nurkowania, nieco ponad trzydzieści kilometrów od granicy z Egiptem, i tam czekać na ekipę śledczych MTK, którzy mieli przybyć aż z Grecji. Wiedział też, że nie będzie wśród nich Ellen Walsh. Court nie był zadowolony, kiedy się o tym dowiedział, ale poczuł ulgę, że nie będzie narażona na jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

Gentry nie miał najmniejszego zamiaru towarzyszyć ekipie MTK aż do Hagi. Chciał wsadzić Oryksa do motorówki, helikoptera czy samochodu – w cokolwiek, czym prezydent zostanie wywieziony – a następnie zwiewać w przeciwnym kierunku. Stwierdził, że powinno mu się udać dostać jakąś małą łódkę w ośrodku nurkowania, a następnie popłynąć nią do Egiptu.

Wiedział, że przed granicą pewnie skończy mu się paliwo, mógłby więc przybić do brzegu i dalej jechać autostopem, a pustynną granicę przejść w nocy z jakimiś przyjaznymi Beduinami.

Niestety wszystko to musiał zrobić z paskudnym zakażeniem na plecach, nie mając żadnych antybiotyków ani leków przeciwbólowych. Resztki odkażaczy wylał na ranę poprzedniego wieczora tuż przed opuszczeniem drugiej kryjówki, a wszystkie narkotyki wyrzucił kwadrans później do rowu, wiedząc, że nie opanuje chęci, by się naćpać. Musiał poradzić sobie bez uśmierzania przeszywającego go bólu. Wmawiał sobie, że dzięki temu stanie się mocniejszy, bardziej czujny, lepiej przygotowany na każde niebezpieczeństwo, jakie może czyhać na drodze.

Mimo to z każdą chwilą czuł się coraz gorzej.

Wciąż miał odbiornik, który wskazywał mu namiary GPS na jacht „Hannah”. Profilaktycznie rozkręcił go multitoolem, aby upewnić się, że nie ma w nim żadnego nadajnika, który zdradziłby Hightowerowi jego położenie. Widział, że agencyjna łajba wciąż unosi się na południowy wschód od niego, na wodach międzynarodowych. Od półtorej doby nic nie nadeszło od Sierry Jeden. Ta długa cisza była niepokojąca. Zack mógł być dosłownie wszędzie: na pokładzie „Hannah”, w Stanach albo za kolejnym zakrętem z karabinem przeciwpancernym w dłoniach. Był bardziej przerażający niż cała Armia Sudanu i Narodowa Służba Bezpieczeństwa razem wzięte, a na pewno znacznie groźniejszy niż Międzynarodowy Trybunał Karny.

Niebrukowana droga skręciła i prowadziła dalej na północ. Oczom Courta ukazał się podjazd prowadzący w stronę morza i ośrodka. W coraz jaśniejszym świetle poranka Gentry dostrzegł średniej wielkości budynek główny, po którego obu stronach na plaży ciągnęły się bungalowy oświetlone pomarańczowymi promieniami słońca wynurzonego w jednej trzeciej zza horyzontu na Morzu Czerwonym. Niestety metr od zjazdu drogę zagradzał ciężki łańcuch rozpięty pomiędzy dwoma betonowymi słupkami. Przeszkoda ta nie była szczególnie groźna, ale nie było szansy, żeby mała czarna škoda była w stanie staranować ją, wychodząc z tego bez szwanku.

Do brzegu zostało dwieście metrów. Po obu stronach drogi rozciągały się wydmy. Ciepła bryza poruszała brązowymi nadmorskimi trawami. Resztę drogi przyjdzie im odbyć pieszo.

Court zaparkował na skraju drogi.

– Wychodzimy – rozkazał Abboudowi.

– Nigdy tu nie byłem – powiedział prezydent. – Ale doskonale wiem, co to za miejsce. To zagłębienie dekadencji i rozpusty. Pięć lat temu znaleziono tu alkohol. Jedynym sposobem, żeby ukarać właścicieli, parę Europejczyków, były grzywny. Choć chyba jeszcze udało się ich zamknąć na sezon. – Następnie pociągnął pogardliwie napuchniętym nosem. – Niewierni...

– Wychodź – powtórzył Court. Wysiadł zza kierownicy i szybko przeszedł na stronę pasażera, otworzył drzwi, chwycił prezydenta za koszulę i wyciągnął go z auta.

– Kiedy przyjedzie mój transport?

– Nie wiem.

– Jak się przedostanie przez straż przybrzeżną?

Court pchnął go w stronę bungalowów.

– Nie wiem.

– A jeśli stąd wypłyniemy, to jaką trasą? Bezpośrednio na zachód czy po drodze...

– Nie wiem.

– Coś mi mówi, panie Sześć, że tak naprawdę to ty wcale nie masz żadnego planu. Pozwól mi porozumieć się z moimi przyjaciółmi z Zachodu. Na pewno uda nam się ustalić rozwiązanie, które usatysfakcjonuje wszystkie strony.

– Nie ma mowy.

– Ależ, drogi przyjacielu, nie zapominaj, że jesteśmy po jednej stronie. Teraz chyba to rozumiesz? Zadzwoń do kilku osób, z którymi od wielu lat robię doskonałe interesy. Są niezwykle lojalni...

– Właśnie tego się obawiam – mruknął rozkojarzony Court. Kolejny raz pchnął prezydenta po piaszczystej drodze. Minęli jakiś znak z napisem po arabsku, ale Gentry patrzył na prawo, w stronę niskich porannych cieni. Jakies pół kilometra na południe od wybrzeża wznosił się ostry kamienisty płaskowyż. Tam też wśród cieni poranka słońce odbijało się od okien i blaszanych dachów niskich, sześciennych budynków. Gentry nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnego znaku życia. Mimo to czuł się nieswojo. Udało im się przejść połowę drogi w stronę bungalowów bez dalszych protestów Abbouda. Nagle prezydent się odwrócił. Wzrok Courta powędrował na południe, ale szybko skierował go ponownie na więźnia.

– Obiecaj mi pan coś. Jeśli jutro wciąż tu będziemy, to będzie oznaczało, że obaj jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Zwłaszcza ty, bo ja tu jeszcze mam jakichś przyjaciół, kogoś, kto mnie szuka i pragnie mi pomóc. Jeśli zostaniemy tu jeszcze dobrą, to możemy mieć pewność, że ktoś, czy to obsługa, czy właściciele tego ośrodka, czy kto inny, zauważy auto... W każdym razie ktoś to zgłosi. I wtedy po nas przyjadą. I to wszyscy. Zjawią się tu i nasi przyjaciele, i wrogowie. Zanim zostałem prezydentem, bardzo długo byłem generałem. Wiem, że to miejsce, które nam teraz wybrałeś, jest nie do obrony. Plecami do morza, otoczone dziesiątkami tysięcy metrów kwadratowych wydm. To fatalne miejsce na walkę...

– Zamknij się.

– A ty nawet nie wiesz, kiedy zjawi się pomoc! Nawet pod jaką postacią! Spodziewałem się, że wybrałbyś lepsze...

– Zamknij się wreszcie! – powtórzył Court, popychając Abbouda do przodu. Był na niego wściekły głównie dlatego, że tym razem dyktator miał absolutną rację.

To był istny bajzel, istna porażka: jednoosobowa misja eksfiltracyjna, przeprowadzana na szczególnie niebezpiecznym terenie, polega w tej chwili na oczekiwaniu na pojawienie się nieznanymi sił. Court znów pchnął prezydenta. Przyjemnie było skierować trochę złości na kogoś poza sobą.

Wtem zadzwonił telefon.

Zostało siedemdziesiąt metrów.

Odpowiedział. Miał nadzieję, że to Ellen ze szczegółami, które poprawią mu humor.

– Tak?

– Siema, Courtuś! Jak życie?

Kurwa. To był Zack. Co jak co, ale w chwili obecnej rozmowa z Zackiem zdecydowanie nie mogła poprawić Gentry'emu samopoczucia.

Pomyślał jednak, że może uda się od niego czegoś dowiedzieć. Skoro dzwonił, to przynajmniej w tej chwili raczej nie skradał się za nimi.

– Po prostu nie da się lepiej, Hightower. Dzięki za troskę.

Sześćdziesiąt metrów.

– Ach, tak? Czyżbyś się ogarnął i zdążył poderżnąć gardziółko łysemu kochasiowi?

– Nie inaczej.

– Powiedz mi, dlaczego mam wrażenie, że łżesz?

– Bo na tym podłym, cynicznym świecie nikt już nikomu nie potrafi zaufać.

– Święta prawda. Straszna szkoda, co nie? Słuchaj, młody. Dzwonię, bo mam dla ciebie dobrą wiadomość. Mimo tego, co nam odpierdoliłeś, chcę cię podnieść na duchu.

Abboud odwrócił się, chciał się dopytać, z kim Court rozmawia, ale Gentry tylko pchnął go dalej.

– Masz dobrą wiadomość? No dobra, w takim razie słucham.

– Wiedziałem. Oto ona: mianowicie dziś, młody, ci się poszczęściło.

Pięćdziesiąt metrów.

– No dobra, złapię przynętę. Dlaczego mi się poszczęściło, Zack?

Nastąpiła długa przerwa. Court odniósł wrażenie, że słyszy, jak mikrofon Zacka ociera się o jego twarz i słyszy szelest jego zarostu. W końcu Sierra Jeden odpowiedział:

– Dziś ci się poszczęściło, ponieważ jesteś tylko moim drugorzędnym celem i jestem prawie pewien, że nie starczy mi czasu, by cię sprzątnąć.

Czterdzieści metrów... „Ale że co?”

Court się zatrzymał. Obejrzał się na południe. Popatrzył na budynki leżące w odległości jakichś siedmiuset metrów od niego. Na dachu najwyższej budowli usytuowanej na płaskowyżu coś błysnęło. W mniej niż pół sekundy Gentry spojrział na Abbouda, chciał złapać idącego mężczyznę, wyciągnął obie ręce i puścił słuchawkę. W tym samym momencie krzyknął jedno słowo:

– Padnij!

Przestraszony krzykiem zza pleców prezydent Bakri Ali Abboud podniósł ramiona. Nagle prawa strona jego szyi zaczęła drżeć, jakby czymś mocno oberwał. Lewa natomiast eksplodowała krwią i kawałkami ciała, które poleciały na piach po północnej stronie drogi. Oryks został w jednej chwili pozbawiony głowy, która trzymała się już tylko na cienkim pasku skóry i mięśni, po czym obróciła się dookoła własnej osi i legła w piachu wraz z flaczącym torsem.

Court wylądował na nim w fontannie krwi. Widział, że Abboud nie żyje. Szybko sturlał się z jego ciała i przywarł do podłoża.

– Neeeeee! – krzyknął. Ponad diunami przetoczył się huk wystrzału z karabinu snajperskiego. Court, uderzając w martwego prezydenta i o ziemię, wywołał falę rozdzierającego bólu w łopatce. Jednak bardziej bolało go to, że stracił więźnia, a co za tym idzie, nie wypełnił celu misji:

nie udało mu się powstrzymać wybuchu wojny domowej i nadciągającej inwazji mającej na celu zdobycie złóż naturalnych tego kraju.

Leżał na ziemi. Spojrzał na budynki. Dach, z którego został wystrzelony pocisk, wylaniał się zza spiczastej wydmy wznoszącej się tuż przy drodze. Court wiedział jednak, że po strzale Zack zmieni pozycję. Gdyby udało mu się wejść jeszcze wyżej, być może dostrzegłby leżącego na podejździe Gentry'ego. Court podniósł się na kolana i ruszył w stronę diun, podnosząc po drodze telefon. Wskoczył do małego rowu koło drogi, przeczołgał się na prawo, na wschód w stronę auta, po czym znów rozłożył się płasko na ziemi. Raz po raz z gniewu, frustracji i załamania uderzał zakrwawioną pięścią w piach. Poranny upał sprawiał, że ubranie lepilo się do ciała, a w miejscach, w których był poplamiony krwią Abbouda, utworzyła się lepka warstwa piasku i kurzu.

– Cud-miód! – w słuchawce odezwał się głos Zacka. Gentry szybko podniósł aparat do ucha. – Sześćset dziewięćdziesiąt metrów, świt, a do tego wiatr boczny osiem mil na godzinę, z poprawką – sto osiem centymetrów. Musisz przyznać, że to strzał godny Sierry Sześć!

Court przycisnął czoło do piachu. Zmęczenie, infekcja, ta cała sytuacja wysysała z niego resztki życia. Zaczął trząść się i szlochać.

Z głośnika wciąż wylewał się donośny głos Hightowera.

– Wiem, że szybki z ciebie skurwysyn. Gdybyś nie był tak chory od tych gnijących pleców, założę się, że zdążyłbyś uprzedzić mój BT kaliber. 308 i sam byś nim dostał zamiast łysego kochasia. Zajebicie czaderskie, Court, co nie? W poprzednie Boże Narodzenie zlikwidowałeś byłego prezydenta Nigerii, a ja właśnie rąbnąłem urzędującego prezydenta Sudanu. Potrzebujemy trochę czasu, a jeszcze oczyścimy z kanalii cały ten zasrany kontynent, co ty na to? Ale wróć! Ty przecież nie dożyjesz dobiecia kogokolwiek. Albo ukatrupi cię ta zgnilizna, albo tysiące bałwanów Armii Sudanu, co cię gonia, albo ja cię pierwszy dopadnę!

Court wciąż leżał i drżał, jak gdyby było mu cholernie zimno. Był na skraju załamania fizycznego i psychicznego. Jego ciało i ubranie były oblepione matowym, krwistoczerwonym piaskiem. Długo nie mógł złapać powietrza, ale w końcu wycedził:

– Miałeś... jedną, jedyną okazję, żeby mnie powstrzymać przed zabiciem ciebie. Widziałeś mnie, miałeś mnie na celowniku, ale podjąłeś inną decyzję. To była fatalna decyzja, Zack.

Na linii nastąpiła długa pauza. Court wyczuł po drugiej stronie słuchawki niepokój.

– To nieważne, młody. Siedź sobie w tej dziurze i gnij. Kiedy w końcu uda ci się wygrzebać resztki mózgu Abbouda spomiędzy zębów, mnie już nie będzie w tym kraju. A nawet jeśli uda ci się wydostać z Sudanu, to wiedz, że Denny już mi oznajmił, że to ja będę przewodził polowaniu.

– A wiesz, oszczędzę ci trochę czasu. Zejdź tu teraz. Poczekam.

– Naprawdę bym chciał, młody, ale wolę się zmyć, zanim przyjadą gliny w poszukiwaniu prezydenta, którym jesteś umazany jak sosem do pizzy. Ale nie będę daleko. Milo, Dan i reszta ziomków z jachtu zdążyli już polecieć do domu. Zostaliśmy we dwóch – zaśmiał się. – To znaczy, nie licząc pięciuset tysięcy żołnierzy Sił Zbrojnych Sudanu.

– Zastrzelę każdego, kto stanie mi na drodze do ciebie, Zack. Szóstka się rozłącza.

Gentry już miał zakończyć połączenie, gdy Hightower dodał:

– Court, Sierra Sześć był jednym z nas. Ty już nie jesteś z nami. Już nie jesteś Sierra Sześć. Twój kryptonim to znowu Profanator. Znowu jesteś wrogiem. To tak, żebyś się nie pogubił. Koniec odbioru. – Zack się rozłączył.

Court był chory, leżał w pełnym piachu rowie w malignie, z gnijącą raną i prawie dogorywał. Nie miał ludzi, nie miał broni, nie miał szans. Przegrał. Poniósł klęskę. Za bungalowami, nad wodą ukazało się słońce w całej złocistej okazałości. Gray Man powoli podniósł się na kolana i zaczął pełzać w stronę ośrodka, trzymając głowę nisko przy ziemi w obawie, że gdzieś tam, na płaskowyżu, Zack patrzy na niego przez celownik.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Księżyc był w nowiu. Morze Czerwone przyciągało i odbijało światło miliona gwiazd, ale to nie wystarczało, aby Gentry mógł dostrzec w oddali zarys jachtu „Hannah”. Zmrużył oczy, gapiąc się na południowy wschód, tam, gdzie wskazywał odbiornik GPS. Do źródła sygnału zostało około półtora kilometra, więc wyłączył silnik czteroosobowego pontonu.

GPS podawał, że znajduje się sześć i pół kilometra od brzegu, jednak w ciemności nie widział lądu. Wyłączył silnik. Ze wszystkich stron otaczała go nicość i ciemność, tylko na niebie rozciągała się nieuchwytna nieskończoność. Woda nie była spokojna. Bezszelestnie podnosiła się i opadała. Nie było żadnych kipieli czy bałwanów, tylko lekkie falowanie, które unosiło Gray Mana i jego łajbę to kilka metrów w górę, to w dół. W tej ciemności bardziej czuł, niż widział ten ruch, ale raz na jakiś czas odbicie w tafli wody ukazywało mu wzniesienia i doliny ciemnej toni, poruszające się wraz z prądami na Morzu Czerwonym.

To był długi, męczący dzień. Po przedostaniu się do ośrodka nurkowania zastał w nim wyłącznie małżeństwo, do którego należał ten przybytek. Nielicznych gości z Zachodu władze zdążyły już wywieźć do Port Sudanu na długie przesłuchania, widać NSB włączało każdego obcokrajowca do bezowocnego śledztwa w sprawie porywaczy prezydenta. Court więc zrobił holenderskiej parze największą możliwą przysługę, mianowicie pogroził im glockiem i związał w jadalni. Wiedział, że ciało Abbouda zostanie znalezione nieopodal, a dwójkę starszków z pewnością czeka w tej sprawie przesłuchanie. Court chciał, by uniknęli wpłątania ich w tę sprawę i zrobienia z nich w jakikolwiek sposób zaangażowanych pomocników, postanowił więc ich nie wtajemniczać w swoje niegroźne wobec nich zamiary w obawie, że pokręcą się w zeznaniach lub bezwiednie narażą na jakąś karę. Było też prawdopodobne, że służba bezpieczeństwa i tak na wszelki wypadek zamontowała podsłuchy w ośrodku.

Tak więc Gentry mistrzowsko odegrał rolę zbryzganego krwią wariata: krzyczał i rozstawiał po kątach przerażonych Europejczyków. Zabrał im jedzenie, wodę, sprzęt medyczny oraz pikapa i łódź hybrydową z silnikiem zaburtowym i sprzętem do nurkowania. Celowo im nawet nie podziękował. Pojechał samochodem ponad szesnaście kilometrów na południe, przeczekał w namorzynach do zmroku, a następnie ruszył ku „Hannah”, korzystając ze współrzędnych wysyłanych przez nadajnik GPS.

Wiedział, że dwóch poza Zackiem pozostałych przy życiu członków Whiskey Sierra zostało już ewakuowanych wraz z resztą załogi jachtu. Miał nadzieję, że Hightower wciąż poszukuje go na lądzie, ale zdawał sobie sprawę, że mógł wrócić na pokład. W końcu miał miniaturową łódź podwodną, więc mógł robić, co mu się żywnie podoba. Court chciał uciec z Sudanu na pokładzie „Hannah”. Jego wcześniejszy plan na przekroczenie granicy był już niewykonalny. Jak tylko ciało prezydenta zostanie znalezione, swobodne opuszczenie tej części kraju stanie się niemożliwe.

Tak więc Gentry wpatrywał się w czarną przestrzeń nocnego morza w poszukiwaniu jachtu, zamierzając ukraść go i wypłynąć nim w bezpieczne miejsce, choć tak naprawdę nie znał się na żeglowaniu. Łajba Courta poruszała się wraz z łagodnymi falami. GPS podawał, że „Hannah” znajduje się całkiem blisko, tak więc z każdym podniesieniem fali Gentry miał nadzieję, że w końcu ją dostrzeże. Nagle około czterystu metrów od niego, na ciemnoszarym morzu ukazała się jakaś ciemniejsza sylwetka. Na pokładzie nie świeciła się żadna lampa.

Czyżby jacht był pusty?

Court przypiął do pasa saszetkę. W środku były glock 19, ostatnie siedem nabojów, scyzoryk i telefon satelitarny, a wszystko w plastikowym wodoodpornym worku. Włożył kamizelkę ratowniczo-wypornościową z doczepioną butlą z tlenem. Potem założył maskę, rurkę i płetwy. Wziął kilka próbnych oddechów, upewnił się, że wszystko działa, po czym bezszelestnie zsunął się do ciepłej wody. Płynąc, skupiał się na zadaniu, aby nie myśleć o przejmującym bólu rozdzierającym jego lewe ramię. Towarzyszył mu bezustannie, ale z każdym ruchem rąk w wodzie przybierał na sile. Zaczął myśleć o czymś innym, przychodziły mu do głowy strzępki informacji o terenie, w którym się znajdował, wyczytane z materiałów Sida czy Zacka. Skupił się na konkretnym temacie, który podczas przygotowań do misji nie wydawał się mu istotny, a teraz był niesamowicie ważny.

„Wąsaty, żarłacz białopłetwy, szary rafowy, młotowaty” – wymieniał w myślach cztery najczęstsze gatunki rekina występujące w Morzu Czerwonym.

Court płynął, wściekły na siebie, że nie jest w stanie pozbyć się lęku przed pożarciem przez olbrzymią rybę. Trzymał się tuż pod powierzchnią wody i od czasu do czasu sprawdzał kompas w zegarku, aby upewnić się, że zmierza we właściwym kierunku. Po dziesięciu minutach wynurzył się lekko, po czym poczekał, aż fala wyniesie go w górę, żeby mógł widzieć większy obszar. Wkrótce przed sobą, w odległości jakichś sześćdziesięciu metrów, zobaczył łódź. Kiedy wraz z falą zaczął opadać, zwrócił uwagę na dziób jachtu. Na czarnym kadłubie, białymi bądź żółtymi literami, było coś napisane.

Arabskimi literami.

Co, do diabła?

Nigdy nie widział jachtu „Hannah”, ale był prawie pewien, że nie został przebrany za arabską łajbę. Nawet nie prawie, ale całkiem pewien. W końcu Zack mówił, że przed Sudańczykami udawali Australijczyków. Zatem raczej nie płynęli jachtem z nazwą wymalowaną po arabsku.

Gentry podpłynął pieskiem trochę bliżej, wysilając wzrok, żeby przeczytać napisy na łodzi. Z czterdziestu metrów widział znaki, ale po arabsku czytał jeszcze gorzej, niż mówił.

Przeliterował na głos.

– F-a-ti-ma? – Fatima.

Na pewno nie „Hannah”.

Jednak to ten jacht wysyłał sygnał naprowadzający. To oznaczało, że ktoś musiał przełożyć nadajnik z „Hannah” na „Fatimę”.

Ktoś? Nie, nie byle ktoś. Tylko Zack Hightower. Court zrozumiał jeszcze coś.

– Cholera jasna – mruknął pod nosem.

Zdał sobie sprawę, że to zasadzka. Obejrzał się za siebie. Nie było mowy, żeby znalazł łódkę, którą porzucił dziesięć minut wcześniej na otwartym morzu.

Nie miał wyboru, musiał brnąć dalej.

Opuścił z powrotem maskę na oczy. Już miał się zanurzać, ale w ostatniej chwili się zawahał. Chyba coś usłyszał. Wytrącił wodę z uszu i przechylił głowę.

Jakiś mężczyzna krzyczał.

Bum! Rozległ się strzał, przesywając cichą nadmorską noc. To nie mogło być nic innego. W obawie, że został zauważony, Court się zanurzył. Ale pod wodą wciąż słyszał strzały. Wymiana ognia. Jeden strzał odpowiadał na inny, a potem kolejny. Wprawne ucho Courta rozróżniło kilka rodzajów broni, w tym jakąś strzelbę. Słysząc też było pistolet. Szybkie, zdecydowane wystrzały. Kolejny krzyk.

Court wystawił głowę i próbował zorientować się w sytuacji. Czuł, jak wynurza się z ciepłej wody ku gwiazdom. Zobaczył, że od strony jachtu coś błyska, prawie na poziomie jego oczu. W końcu wyraźnie ujrzał jacht, ale nie dostrzegł nikogo na pokładzie. W bulajach widać było błyski, rozległa się kolejna wymiana ognia. Gentry zorientował się, że bitwa toczy się na którymś z dolnych pokładów potężnej, długiej na dwadzieścia pięć metrów, jednostki. Na chwilę zapanowała cisza, ale przerwał ją odgłos uruchamianego niewielkiego silnika zaburtowego. Po chwili zza rufy „Fatimy” wypłynęła niewielka łódka. Na jej pokładzie był jakiś człowiek, który majstrował przy silniku. Ruszył pełną parą i zniknął w ciemności.

Co to, do diabła, miało być? Court pomyślał, że na pokładzie „Fatimy” był Zack i być może został zaskoczony przez grupę żołnierzy.

Dalej płynął już wynurzony, ostrożnie łypiąc na górny pokład i wyższe poziomy jachtu. Nasłuchiwał, ale do jego uszu docierały wyłącznie delikatne uderzenia o kadłub ze szklanego włókna fal wzburzonych przez odpływającą łódkę. Poza tym panowała cisza do czasu, aż dotarł do drabinki przy rufie. W tej samej chwili spod pokładu rozległ się pojedynczy wystrzał z pistoletu małego kalibru. Prawie natychmiast odpowiedział mu strzał z czegoś większego.

Znowu cisza, nie licząc szumu fal.

Court ściągnął płetwy, rozpiął sprzęt do nurkowania i zostawił go na wodzie. Następnie chwycił się drabinki i wspiął po niej powoli, ostrożnie i w miarę możliwości bezgłośnie. Przeszedł przez barierkę i wskoczył na pokład z tekowego drewna. Skrzywił się, czując kolejne uderzenie bólu w ramieniu, po czym wyciągnął mokrego niezastąpionego glocka. Ostrożnie ruszył zejściówką na niższe pokłady zaciemnionego jachtu. Pierwsze dwa ciała leżały u szczytu schodów. Dwóch czarnoskórych mężczyzn w mundurach bojowych, rany postrzałowe w klatkę piersiową. Nie wyglądali na marynarke wojenną Sudanu, ale nic dziwnego – była to bardzo mała jednostka, a dzisiejsza misja polegająca na konieczności sprawdzania każdej jednostki pływającej wzdłuż ich wybrzeża była

zakrojona na taką skalę, że bardzo możliwe, iż Armia Sudanu wysłała swoich żołnierzy do przeszukiwania jachtów, frachtowców i kutrów rybackich.

Koło trupów leżały kałasznikowy ze szkieletową kolbą. Court chciał któryś z nich zabrać, ale bał się, że narobi za dużo hałasu.

Mahoniowe schody umazane były krwią. Court szedł jej śladem, trzymając pistolet w gotowości. Dotarł do niższego salonu. W zielonkawym świetle dochodzącym z akwarium zobaczył scenę niczym z horroru. Pośrodku podłogi leżały trzy postaci, dwie czarne, jedna biała. Ta ostatnia stopami w stronę klatki schodowej i Gentry'ego. Mężczyzna był nieuzbrojony. Miał zakrwawioną klatkę piersiową, ale żył.

Court włączył światło, wciąż mierząc do rannego z pistoletu.

Krzyknął do niego przez pokój:

– Zack?

– Wiesz, jak się dostaje zapadnięte płuco? – zapytał Hightower, nie patrząc nawet w stronę Gentry'ego. Jego głos był słaby.

Court pokiwał powoli głową i odparł:

– Spadając na dupę ze schodów?

Zack pokiwał głową sennie. Jego prawa ręka była ciasno owinięta bandażem zarówno powyżej, jak i poniżej łokcia. To po ranie postrzałowej sprzed dwóch dni.

– Co się stało? – zapytał Gentry.

– Pierdolony pistolet zapasowy. A myślałby kto, że powinienem być na to przygotowany, po tym jak w dwa tysiące szóstym strzeleń we mnie z derringera.

Court spojrzał na dwójkę pod schodami. Obok nich leżały strzelby, a koło dłoni jednego z nich mały pistolet automatyczny. Mężczyzna wydawał się już martwy, ale na wszelki wypadek Court strzelił mu w szyję, po czym wsunął glocka z powrotem do torby.

– Czyja to łódź?

– A bo ja wiem? Armia Sudanu włązi na pokład wszystkiego, co się rusza wzdłuż wybrzeża. Zaciągnęła do Port Sudanu mnóstwo ludzi, szukając kogoś, kto by wiedział cokolwiek o porwaniu prezydenta. Uznałem, że zbirom nie będzie się chciało sprawdzać dwa razy tych samych jednostek, więc wybrałem pokład jednego z pustych jachtów. Nie mieli powodu, żeby tu być. Pewnie wybrali się na szaber i po prostu wszyscy mieliśmy pecha, że się na siebie natknęliśmy.

– A co z łodzią podwodną?

Hightower patrzył na Gentry'ego przez kilka sekund przymrużonymi oczami.

– Zatopiona. Na rozkaz Denny'ego. Tą łajbą chciałem się dostać do Erytrei.

Court przez chwilę przyglądał się swojemu byłemu dowódcy, po czym powiedział:

– Mogę zatamować to krwawienie, żebyś był w stabilnym stanie. Wtedy możemy zwiać.

– Dzięki, ale nie.

– Jak wolisz. Jeśli ci nie pomogę, umrzesz.

– I tak lada moment dopadnie nas kanonierka Armii Sudanu. Ten, co uciekł łódką, którą tu przyplłynęli, pewnie już dzwoni do marynarki.

– No to muszę się pospieszyć. Oporządzę cię, ale najpierw potrzebuję kilku odpowiedzi.

– Odpuść sobie, Court.

– Dlaczego mnie spalono? Kto wydał nakaz strzelania bez ostrzeżenia? Co ja, do diabła, takiego zrobiłem?

– Kiedy nas tu dopadną, to nie wejdą na pokład, tylko rozpierdolą ten pieprzony jacht. Naprawdę, całe to seksi-fleksi Court Gentry'owe, Graymanowe, cioto-ninja przedstawienie na nic ci się nie zda, jak otworzą ogień z dział pokładowych.

– Myślałem, że zależy ci, żebym zginął.

– Ej, dobrze wiesz, że nie tyle chcę, żebyś zginął. Ale to moje zadanie. Jak mi teraz podasz pistolet, to cię zabiję, ale pewnie mi go nie dasz. Tak więc posłuchaj mej profesjonalnej rady, jako od byłego pryncypała, i idź, do cholery, se popływaj. Ta łajba wyciągnie może dwadzieścia pięć węzłów, ale sudańska patrolówka wyciąga trzydzieści pięć. Lada moment nas dogonią.

Court nie słuchał. Chciał wiedzieć.

– No, kto mnie spalił. Matt Hanley?

Zack wywrócił oczami. Były całe załamane.

– Nie wiem.

– Czy to Lloyd?

Zack zmarszczył brwi i spojrzał na Gentry'ego.

– A kto to, do kurwy nędzy, ten Lloyd?

Court załamał ręce, po czym odparł:

– Sam zadałem to pytanie...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

– Słuchaj, Zack. Nie jest z tobą aż tak źle. Naprawdę mogę ci pomóc. Wyjdiesz stąd cało. Tylko powiedz mi, kto kazał mnie zabić i dlaczego.

– Pierdol się, Sześć. Nie wyjdę z tego i nie będę śpiewać.

– Ocipiałeś?

– Po prostu jestem dobrym wojakiem, Court. Mam rozkaz cię ukatrupić. Nie „ukatrupić, no chyba że ty mi ocalisz dupę”, to nie unieważnia mojej misji. Słuchaj, młody... Wiem, że dobry z ciebie facet. Tak czysto prywatnie, to naprawdę ci kibicuję. Ale nie mogę ci pomóc. Naprawdę nie mogę. Nie mogę przeciwstawić się rozkazom.

– Odjebało ci.

Zack się uśmiechnął. Gentry widział, że cierpi z bólu.

– Ja tylko wykonuję swoją robotę. Naprawdę więcej sukinsynów powinno brać ze mnie przykład. Bez urazy, Profanatorze.

– Kurde, Zack! – Court krzyknął, sfrustrowany. Stał nad byłym przełożonym. Dłuższą chwilę się zastanawiał, po czym pobiegł dwa poziomy wyżej do kokpitu. Tam znalazł apteczkę. Po kilku sekundach wrócił i uklęknął przy Sierrze Jeden.

Zack powoli obrócił ku niemu głowę.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Doskonale wiesz, co robię. Wiem, że straszny z ciebie dupek, ale nie mogę tak po prostu pozwolić ci skonać.

Gentry rozdarł koszulę Zacka i odsłonił ranę. Była niewielka, ze dwa centymetry pod prawym sutkiem. Court wiedział, że kula musiała przejść przez płuca. Wsunął rękę pod plecy, żeby sprawdzić, czy jest rana wylotowa.

– Opatrzysz mnie, to cię zabiję.

– Chciałbyś.

Hightower spojrział na sufit przymkniętymi oczami, po czym powoli kręcił z niedowierzaniem głową.

- Oj, Court. Ty zawsze byłeś zbyt ufny.
- No co ty nie powiesz?

* * *

Pięć minut później Hightower był już w dość stabilnym stanie, przynajmniej chwilowo. Nie było rany wylotowej, co oznaczało, że w jego klatce piersiowej znajdowała się kula albo jej odłamki. Z okładki znalezionej na regale czasopisma i szarej taśmy z przybornika Court zrobił dren, który pozwalał, by powietrze mogło ulecieć z płuc Zacka przy wydechu, a jednocześnie zapobiegał wpływaniu powietrza do rany podczas wdechu.

Na razie tylko tyle mógł zrobić. Zostawił rannego i wrócił na mostek. W kilka minut udało mu się włączyć wszystkie systemy poza silnikami, kompasem, kołem i autopilotem. Wtedy zbiegł pod pokład, aby sprawdzić, czy nie spuszczone kotwicy. Wiedział, że pewnie dałoby się to zrobić w kabinie, ale stwierdził, że łatwiej spojrzeć, niż próbować rozkminić, który monitor od tego jest. Nie włączał więcej świateł. Chciał dostać się niepostrzeżenie na wody międzynarodowe, na ile to było możliwe w przypadku tej wielkości luksusowego jachtu. Wiedział, że znajdowali się daleko od szlaków wodnych, ale i tak modlił się w duchu, żeby ewentualne statki cywilne w okolicy miały radary, bo on nie miał pojęcia, jak go włączyć na wielkim, wielofunkcyjnym ekranie na środku mahoniowo-miedzianej deski sterownej, a naprawdę nie chciał wpakować się na inną łajbę.

Court delikatnie włączył przepustnicę. Wielka łódź ruszyła do przodu. Kiedy osiągnęła prędkość dwudziestu węzłów, ustawił autopilota na wybrany kurs, po czym pobiegł na dół. Kiedy wszedł do dolnego salonu, zastał Hightowera czołgającego się na boku, częściowo pod stolikiem wystającym ze ściany. Court spojrział tam, gdzie kierował się ranny. Pod ścianą leżał tytanowy rewolwer z krótką lufą, prawie w zasięgu Sierry Jeden. Ten sam, który Zack przycisnął mu do czoła w Petersburgu. Hightower, przesuwając powoli lewą rękę po podłodze, sięgał po splotkę.

Court nawet nie musiał się spieszyć. Wystarczyło, że podszedł do rewolweru i go kopnął.

- Mało serca włożyłeś w tę próbę – zauważył.
- Zack pokiwał głową, po czym zamknął oczy.

– Moje serce obecnie zajmuje się innymi sprawami – powiedział, skręcając się z bólu. – Odma opłucnowa. Ciśnienie powietrza w klatce piersiowej chce zatrzymać pikawę.

– Jak obiecasz, że na chwilę przestaniesz próbować mnie zabić, to ci pomogę.

– Nic nie obiecuję – odparł Zack, obracając się na plecy. Krzyknął z bólu. Oddychał płytko i z trudem. Court szybko otworzył nóż, znalazł miejsce pomiędzy drugim a trzecim żebrzem po prawej stronie, po czym zrobił płytkie nacięcie przez skórę i mięśnie. Zack kwilił. Rozległ się świst, przez otwór uleciało powietrze. Court podszedł do stojącego w rogu akwarium, wyciągnął gumowe rurki i filtr, po czym wrócił do pacjenta. Wsunął rurkę do świeższej z dwóch ran, do drugiego jej końca przyłożył filtr i położył go na podłodze koło ręki Zacka. – Jak z tego wyjdziemy, to obaj będziemy potrzebowali większości antybiotyków znanych ludzkości.

Zack kaszlnął. Na jego ustach pojawiło się trochę krwi.

– Serio, młody... Lada moment pojawi się tu kanonierka. Nadal myślisz, że z tego wyjdziemy?

Court usiadł obok Zacka. Był wyczerpany, a do tego, od zakażonej rany na plecach był obolały i chciało mu się wymiotować. Wyciągnął telefon satelitarny.

– Czas się podlizać ruskiemu dupkowi.

* * *

Courtowi dopiero za trzecim razem udało się połączyć z Sidorenką.

– Serwus, Sid. Tu Gray. Gotowe.

– Wiem, mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Prezydent Abboud nie żyje. Cała Moskwa świętuje.

– Znaleziono ciało?

– Owszem. Koło jakiegoś ośrodka wczasowego, niecałe sto kilometrów na północ od Sawakinu. Bardzo dziwne.

Court ostrożnie odetchnął z ulgą.

– Wiem, wyjaśnię wszystko, jak się zobaczymy. Ale musimy przyspieszyć ekfiltrację. Muszę się stąd natychmiast wydostać.

– Czyżby?

– Tak. Za dużo się dzieje, żebym mógł się dłużej ukrywać, tak jak pierwotnie zakładałem.

– Czyżby? – W głosie Sida nie było śladu wcześniejszej ekscytacji.

Gentry wyczuł, że coś jest nie tak.

– Tak. Jestem ranny.

– Ranny?

– Hej! Sid! Dość z tymi pytaniami! Właśnie tak, ranny. I potrzebuję pomocy.

– Obawiam się, panie Gray, że nasza umowa nie obejmowała ubezpieczenia zdrowotnego.

Court nic nie odpowiedział. Mięśnie w jego zuchwie zadrżały.

Rosyjski gangster ciągnął:

– Wiem, że Abboud nie żyje. Wiem też, że to nie pan go zabił. Że dokonał tego snajper, a pan próbował go chronić, wydostać z kraju i przekazać przed Międzynarodowy Trybunał Karny. Wykorzystał pan moją operację, aby uzyskać dostęp do prezydenta i pojmać go żywcem na zlecenie kogoś innego.

Kurwa.

– Skąd te wierutne bzdury?

Sid odpowiedział nagłym krzykiem, w którym jego petersburski akcent był bardziej wyraźny, a słowa mniej zrozumiałe:

– Pan ma mnie za głupca! Zapewniam pana, szanowny Courtlandzie Gentry, Sieryj Czełowieku od siedmiu boleści, że nim nie jestem. A zdychaj pan za tę podłą zdradę!

– Zabiję cię, Sid!

– Przed chwilą mówiłeś pan, że zginiesz beze mnie, a teraz masz pan czelność mi grozić? Phi! Kiedyś to byłeś niebezpieczny, Gentry. Dlatego tak pana lubiłem. Ale widzę, że tak już nie jest. Jesteś pan sam, ranny, przerażony. I powiedzmy sobie szczerze, już wcale nie tak interesujący. Miałem człowieka z problemem. Wkrótce nie będzie ani człowieka, ani problemu! – zaśmiał się Sid, odkładając słuchawkę.

– Cholera jasna – przeklął Court. Rzucił telefon na podłogę, po czym oparł się o ścianę salonu. Infekcja wysysała z niego resztki energii.

Myślał, że Hightower jest nieprzytomny, ale ten powoli obrócił ku niemu głowę. Wciąż miał zamknięte oczy.

– Co powiedział Sid? – zapytał.

– Cóż, powiedział mi pokrótce, żebym się pierdolił.

Na wyschniętych, popękanych ustach Zacka zagościł łagodny uśmiech.

– Kurde, młody. To twój szef jest zbolałym kutasem.

– Uhm. Kto by przypuszczał?

– Spójrz prawdzie w oczy: nikt nas nie uratuje. Oficjalnie mnie tu ma nie być, a ty jesteś wrogiem. Nasza sytuacja to podręcznikowy przypadek przejebania. Tylko wtedy będziesz miał jakąś szansę, jak popłyniesz sobie na plecach z powrotem na plażę.

Court sięgnął nad głowę do niewielkiego baru i chwycił butelkę wody. Plecy zaboląły go niesamowicie. Odkręcił zakrętkę i wziął kilka łyków. Następnie polał sobie głowę. Z roztargnieniem pukał w butelkę, ochlapując przy tym lekko nogi. Przez minutę siedzieli w ciszy.

Z każdą sekundą Court coraz wyraźniej słyszał jakby tykanie zegara. Wydawało mu się, że czuje, jakby łódź znosiło trochę na prawo, ale próbował się tym nie przejmować. W końcu nastawił autopilota, powinni płynąć zgodnie z wytyczonym kursem.

– Jestem otwarty na propozycje, Jeden – mruknął Gentry. Nie usłyszał odpowiedzi.

Sierra Jeden leżał nieprzytomny, choć dzięki rurce oddychał lepiej niż poprzednio. Zapewne i tak, jeśli szybko nie trafi do szpitala, czeka go rychła śmierć. Court sięgnął po apteczkę pierwszej pomocy, aby sprawdzić, czy są w niej jakieś leki przeciwbólowe. Ciekawe czy arabscy właściciele tego wypasionego jachtu należeli do tych, co powstrzymywali się od tego typu grzeszków, jak sięganie po prochy.

Court uniósł brew. Wpadł na pewien pomysł. W sumie... dlaczego by nie?

Znów sięgnął po telefon i oparł głowę o tekową ścianę. Wybrał kciukiem numer, po czym przyłożył telefon do ucha.

Jeden sygnał. Dwa. Pięć. Court spojrział na zegarek.

Telefon zapiszczał akurat, gdy ktoś odebrał. Wskaźnik poziomu naładowania baterii wskazywał, że urządzenie działa na rezerwie energii.

Odezwał się kobiecy głos:

– Cheltenham Security Services, słucham.

– Z Donem Fitzroyem, poproszę.

– A z kim mam przyjemność?

– Tu Court.

– Oczywiście. Chwileczkę, już łączę.

Nie mógł długo czekać. Telefon ledwo zipsał. Być może Zack miał tu gdzie swoją thurayę, ale Court był zbyt wyczerpany, żeby jej szukać.

Don Fitzroy, a właściwie sir Donald Fitzroy, był pracodawcą Courta Gentry'ego, zanim ten zaczął współpracę z Grigorijem Sidorenką.

W grudniu ubiegłego roku doszło do zerwania ich kontaktów, a Court przysięgał sobie, że do końca życia będzie się trzymał z dala od angielskiego superszpiega, nawet w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach.

No ale Court zrozumiał, że tonący rzeczywiście brzytwy się chwyta.

Na linii odezwał się niski, szorstki głos Fitzroya.

– Witaj, chłopcze. Co słychać?

– Prawdę mówiąc, bywało lepiej.

– Bardzo mi przykro to słyszeć. Co się stało?

– Oglądałeś wiadomości?

Staruszek zaśmiał się nerwowo.

– Jedyne ciekawe wieści dla osoby w moim fachu to to, co się dzieje na zachodnim brzegu Morza Czerwonego. Naprawdę mam nadzieję, że nie jesteś zamieszany w tę awanturę...

Court westchnął.

– Cóż, chyba jestem epicentrum tej całej „awantury”.

Kolejna pauza.

– Na Boga! – odezwał się Anglik. – Chodzą słuchy, że CIA macza w tym palce. Czy więc mam rozumieć, że wróciłeś na łono Agencji?

– Nieoficjalnie...

– W jakim stopniu „nieoficjalnie”?

– Cóż... Prawdę mówiąc, właśnie usiłują mnie zabić.

– W rzeczy samej, cholernie nieoficjalna współpraca. Czy nie prościej byłoby powiedzieć, że to przeciwieństwo bycia na ich łonie?

– Owszem, sprawa jest ciut popierdolona.

Anglik bez wahania zapytał:

– Jak mogę pomóc?

– Tak po prostu? Jestem w ciemnej dupie, Don. Możesz to wykorzystać. Nie mam żadnej karty przetargowej.

– Co do tego to się dogadamy po wszystkim. Wiem, że honorowy z ciebie człowiek. Najpierw postarajmy się cię stamtąd wydostać.

Court zawahał się, po czym zapytał:

– Masz jakichś ludzi w okolicy?

– Będę musiał trochę podzwonić. Nikogo z siatki, ale mam znajomych w Erytrei i w Egipcie. Może jutro po południu...

– Nie, nie mogę tak długo czekać. Potrzebuję pomocy szybciej.

Don wydał się nagle zakłopotany. Court, lekko podniesiony na duchu, znów stracił nadzieję. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Po chwili

szybko je otworzył.

– Ale mam łódź. Poruszam się z prędkością dwudziestu węzłów w stronę wód międzynarodowych.

– Łódź, to już coś.

– Tak, ale Marynarka Wojenna Sudanu już za mną płynie. A im nie ucieknę – powiedział, po czym podał swoje ogólne współrzędne Fitzroyowi, który pospiesznie je zanotował.

– Po pierwsze musisz spróbować się wymknąć Sudańczykom.

– Gdybym miał jakiś dodatkowy cel, inny statek, drugą łódź, nawet cholerną boję, to czułbym się pewniej.

– Na pokładzie powinien się znajdować przenośny nadajnik awaryjny EPIRB. Znajdź go natychmiast. Zadzwoń do przyjaciela, który jest ubezpieczycielem morskim w Lloydsie. Zdobęde listę każdej łódki, statku, okrętu i jachtu w odległości trzech godziny rejsu od ciebie. Jeśli okaże się, że nie znam żadnego z właścicieli czy kapitanów tych łajb, to możesz być pewien, że znajdę kogoś, kto ich zna. Ty się poruszaj na wschód od swego położenia, wydostań się na pełne morze jak najszybciej i jak najdalej dasz radę. Kiedy wypłyniesz na wody międzynarodowe i uwolnisz się od Sudańczyków, włącz sygnał alarmowy.

– Zrozumiałem. Dzięki, Don.

– Podziękujesz po wszystkim. Na razie skup się, by uciec przed Marynarką Wojenną – odparł Don.

Court odłożył słuchawkę, po czym pobiegł z powrotem do kokpitu, aby przyspieszyć pracę silnika.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Court znalazł nadajnik awaryjny EPIRB w kokpicie i wsunął go do przybornika na biodrze. Następnie wrócił do sterów. Włączył pełen gaz. Do wschodu została godzina. Gentry skierował dziób tam, gdzie powinno pojawić się pomarańczowe słońce. Miał tylko nadzieję, że dożyje tego, żeby je zobaczyć.

Nagle kokpit wypełniło mocne, jaskrawe światło. Court instynktownie kucnął, po czym rozejrzał się we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu jego źródła. Zauważył, że dobiegało od strony rufy po prawej stronie. Był to reflektor, nie dalej niż dziewięćdziesiąt metrów od niego. Podwójne 12,7-milimetrowe działko maszynowe kanonierki straży przybrzeżnej wystrzeliło po sekundzie. Trafiło w kokpit i rozwaliło mahoń, miedź i szkło.

Gentry rzucił się na burtę tuż przy sterze, po czym prześlizgnął się niczym wąż po wywoskowanej tekowej podłodze w stronę schodów prowadzących na niższe pokłady. Po chwili zsuwał się z nich twarzą do przodu. Plecy bolały go jak diabli, ale bardziej przejmował się tym, że zaraz może dostać metalowym pociskiem.

Na głównym pokładzie musiał się zatrzymać, by zaczekać na krótką przerwę w prawie nieustającej strzelaninie, po czym chwycił dwa leżące przy ciałach zabitych przeciwników stare zaniedbane kałasznikowy. Court wiedział, że strzelanie do kanonierki byłoby zwyczajną bezmyślnością. Sęk w tym, że powstrzymanie się przed oddaniem jakichkolwiek strzałów było jeszcze bardziej ryzykowne: kanonierka już po chwili znalazłaby się blisko, oświetliła jacht i podziurawiła łajbę jak ser szwajcarski, zatrzymując pracę silników i zatapiając ją w ciemnych morskich falach.

A Court nie zamierzał aż tak ułatwiać komukolwiek roboty. Przeczółgał się do dziobu, wciąż znajdując się poza zasięgiem światła. Kanonada z działek skupiała się na sterówkach najprawdopodobniej po to, aby zniszczyć najistotniejsze elementy konstrukcji i powstrzymać jacht przed

wpłynięciem na wody międzynarodowe, a przy okazji pozabijać wszystkich ukrywających się pod pokładem. Zarówno na dziobie, jak i w górnym salonie i w kokpicie panowała ciemność, z czego skorzystał Gentry.

Przełączył karabin na tryb w pełni automatyczny, wycelował z chińskiej podróbki kałacha prosto w reflektor, po czym zsunął palec na spust. Po krótkiej chwili koncentracji zobaczył, że pokład pod nim nie płynie prosto. Czuł, jak potężny jacht ciągnie zdecydowanie na prawo. Nie miał pojęcia, co było tego powodem. Założył, że kanonierka uszkodziła ster.

Starał się o tym nie myśleć i przycisnął spust. W górę, sycząc, wystrzeliły iskry. Nagle „Fatimę” znów ogarnęła ciemność. Teraz to kanonierka była jasnym punktem. Światło przebijające się przez okna oświetlało mężczyzn stojących na pokładzie.

Court wystrzelał pierwszy magazynek w ich kierunku na pełnym automacie. Zabił dwóch, a reszta załogi trzydziestometrowej łajby pospiesznie uciekła pod pokład. Kiedy skończyła się mu amunicja, Court rzucił karabin i przebiegł na lewą burtę. Wiedział, że błyski z chińskiego kałacha musiały przyciągnąć uwagę wroga, musiał więc oddalić się od dziobu. Zszedł pod pokład akurat w chwili, gdy karabiny maszynowe wznowiły bezlitosną salwę. Na schodach zorientował się, że jacht tonie, przechylając się na lewą burtę, mimo że jego przedni napęd był wciąż ustawiony na prawą.

Court wrócił do dolnego salonu i padł na czworaka. Znajdował się już pod poziomem wody, a więc poza linią bezpośredniego ostrzału. Zastał Zacka tam, gdzie go zostawił. Jego naga klatka była obwiązana prowizorycznymi bandażami i pokryta świecąca warstwą potu. Oczy miał otwarte. Mrugał.

– Pieprzona marynarka – mruknął Hightower, kiedy Court się do niego przeczołgał. Tuż nad ich głowami buchnęły drzazgi, drobinki szkła i trochę wody morskiej, skutki kolejnej serii. Po chwili silniki się zatrzymały, a „Fatima” zaczęła dryfować. Jednak strzały nie ustały. Court musiał krzyczeć z całej siły, żeby Zack go usłyszał:

– Idziemy na górę!

– Nie zapomnij kremu z filtrem.

– Toniemy. Musimy się przedostać na lewą burtę. Może uda nam się chwilę przeczekać, nadać sygnał alarmowy przez VHF, kiedy odpłyną.

– Nic z tego. Jesteśmy daleko od wód międzynarodowych. Sudańczycy usłyszą sygnał, wrócą i dokończą robotę.

– Nie dam rady zatopić tej kanonierki. Nie mamy innego wyjścia.

Zack położył głowę na ziemi.

– Rób to, co do ciebie należy, brachu. Ja się nie ruszam.

Nagle ostrzał ustał. Court się rozejrzał. Zauważył, że butelka z wodą, którą zostawił na podłodze, przetoczyła się na lewo. Po chwili inne przedmioty zaczęły ślizgać się po gładkiej, prawie lustrzanej podłodze salonu.

– Lecimy jak kamień w wodę – mruknął Court. – Maszynownia musi już być pod wodą. Ale dlaczego nie strzelają?

Zack milczał.

– Zaraz wracam – powiedział Court, po czym na czworakach wdrapał się po schodach. Jacht tonął z zawrotną prędkością. Już był przechylony na lewo pod kątem dziesięciu stopni. Na pokładzie Gentry położył się i wykorzystał nachylenie, by się osłonić. Przeczółgał się do balustrady i ostrożnie się wychylił w poszukiwaniu kanonierki. Okręt wycofywał się, płynął z dala od jachtu. Court nie miał pojęcia dlaczego. Spojrzał na niebo w obawie, że może nadlatuje myśliwiec, bombowiec czy coś innego, co mogło sprawić, że patrolówka zrejterowała. Ale na niebie były tylko gwiazdy.

Już miał zsunąć się z powrotem na dół, kiedy ją zauważył. Nad poziomem wody, tuż pod nim, przy barierkach, w ciemności lśniła i zwisła niczym wielka, mokra narośl.

Miniaturowa łódź podwodna.

Była przyczepiona do podwodzia, zanurzonej części kadłuba, za pomocą kabli i przyssawek. Zanim jacht zaczął się przechylać w przeciwną stronę, znajdowała się pod wodą. Miała kształt cygara, barwę onyksu i sześć metrów długości, z tyłu zaś dyszę Korta i ster. Na górze przejrzystą plastikową kopułę.

Court pokręcił z niedowierzaniem głową. Uśmiechnął się.

– Zack, ty skubany skurwysynie – mruknął pod nosem.

Teraz zrozumiał, dlaczego łajbę tak niosło na prawo po przyspieszeniu. Hightower nie raczył wspomnieć o łodzi podwodnej, ponieważ jego głównym celem było go zabić. Ratowanie własnej skóry było celem drugorzędym. Choć Court był wkurzony na Sierrę Jeden, szanował jego oddanie misji. Spojrzał na odpływającą patrolówkę i zorientował się, że musiała wypatrzeć łódź podwodną. Widać wzięli ją za pokaźną torpedę i postanowili wycofać się w obawie, że ją trafią z działka.

Gray Man obrócił się, zjechał po mocno nachylnym brzegu do zejściówki, po czym wrócił do salonu. Zack wciąż leżał na plecach.

– Naprawdę zabiłoby cię, gdybyś mi powiedział o łodzi podwodnej?

– Liczyłem na to, że niepoinformowanie cię o niej zabije ciebie.

– A powiesz mi, jak nią sterować?

– Nigdy nie pływałeś miniłodzią podwodną?

– Kto, do kurwy nędzy, kiedykolwiek pływał miniłodzią podwodną?

Zack uśmiechnął się i milczał.

– Wątpię, żeby gdzieś się wałała instrukcja...

Brak odpowiedzi.

– Wiesz, Zack, naprawdę mam ochotę wyrwać ci tę rurkę...

Brak odpowiedzi.

– Jezusie brodaty! Kiedy uda mi się cię uratować, przysięgam, że cię zabiję! – Court klęknął i przerzucił Zacka przez zranione ramię. Aż krzyknął z bólu.

Zack też wydał z siebie okrzyk bólu podniesiony za obandażowane ramię. Gentry jednak nie zrobił nic, aby uśmierzyć jego ból, tylko poszedł z nim w kierunku przytwierdzonej kablami do podwodzia miniłodzi podwodnej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Court zamknął niewielką klapę łodzi podwodnej. Z tego, jak ciężko to poszło, oraz po braku klamki wewnątrz pleksiglasowej kopuły wywnioskował, że gdzieś musi być jakiś przycisk czy inna gałka do automatycznego zamykania kopuły. Sęk w tym, że w ciemnościach nie widział niczego, nawet deski rozdzielczej, więc nie pozostało mu nic innego, jak ręcznie szamotać się z zamkiem.

Szczęście, że w ogóle udało mu się wpakować Hightowera do łajby, choć bynajmniej nie był on w całym tym przedsięwzięciu pomocny. Gdy wygramolili się na główny pokład jachtu, jego kąt nachylenia wynosił już dwadzieścia pięć stopni. Court wykorzystał resztki sił w sprawnej ręce, żeby przesunąć Zacka nad balustradą. Kiedy prześlizgiwali się razem przez mokry kadłub prosto do łodzi, telefon satelitarny Gentry'ego wysunął się z kieszeni i wpadł do wody. Court znalazł uchwyt na zewnętrznej stronie klapy i dzięki temu ją otworzył. Z trudem położył praktycznie bezwładnego Hightowera na tylnym siedzeniu. Przypiął go pasem bezpieczeństwa, niczym dziecko w foteliku, po czym sam przeczółgał się na przednie.

Wreszcie byli zamknięci w tym wręcz mikroskopijnym kokpicie. Gentry był wyczerpany. Potrzebował kilku sekund, by złapać oddech. Po chwili zawołał do nieskłonno do współpracy pasażera:

– No, stary! Dajże mi jakąś wskazówkę! Co teraz?

– Naprawdę chciałbym ci pomóc, brachu. Ale mam rozkaz: zabić cię. Wiem, że to ciut okrężna droga do osiągnięcia celu, ale... – Po męczącej przeprawie przez pokład jego głos brzmiał jeszcze słabiej, ale nastawienie do całej sytuacji się nie zmieniło.

– Pierdol rozkaz! Popływajmy sobie!

Zack milczał.

Court wrócił do obmacywania pulpitu sterowniczego. Nagleabinę wypełnił rozdzierający pisk. W wodzie, jakieś dwadzieścia metrów przed łodzią podwodną, wylądował pocisk. Maleńka łajba zadrżała, a nad

pleksiglasową pokrywą woda wzburzyła się, jakby przelatywało nad nimi tornado.

– Widać wypalili fajki – mruknął z tyłu Hightower.

– Kurwa! – Court zaczął dotykać wszystkich przycisków przed sobą, ale żaden z nich nie dał się włączyć, przekreślić czy wcisnąć. Miał nadzieję, że w końcu może uda mu się włączyć cokolwiek, ale wciąż się bał, że sobie nie poradzi. Naprawdę nie miał pojęcia, co robił. Wiedział tylko, że jeśli nie chce zostać pod topiącym się jachtem, musi uruchomić to cholerstwo.

Coraz szybciej macał pulpit. Wreszcie wyczuł pod palcami coś, co mogło być włącznikiem, a wydało mu się większe, bardziej wyróżniające się od reszty pogrążonych w ciemności przycisków. Następnie dotknął winylowych podłokietników. Na lewym wyczuł zakończoną kulką prostą dźwignię, wystającą poziomo na nieco ponad siedem centymetrów ze ściany. Niewątpliwie była ustawiona na górną pozycję.

Nie miał innych opcji – pociągnął dźwignię. Łódź natychmiast uwolniła się z oplatających ją kabli i przyssawek przyczepionych do kadłuba jachtu. Dziób zanurzył się w wodzie, a Gentry padł na pulpit. Na początku przypiął Zacka do siedzenia, ale nie pomyślał, żeby zapiąć też swoje pasy. Court zawył z bólu. Z całej siły odchylił się, ponownie wymacał nad głową dźwignię, po czym dopchnął ją w dół. Tylne kable puściły. Karłowata łódź podwodna ześlizgnęła się z podwodzia „Fatimy” i poleciała nosem do przodu półtora metra niżej, w czarne odmęty wody. Łódź uderzyła w taflę morza i po chwili była już wypoziomowana. W tym czasie Court wrócił na miejsce w kokpicie. Nie było to łatwe, ale mu się udało. Ledwo zapiął pasy, poczuł, że ciągnie go na prawo. Woda nad pleksiglasową kopułą była nieprzejrzyście zielona. Gentry musiał więc poczekać, aż łódź wypłynie na powierzchnię, żeby zorientować się w położeniu. Podczas krótkiego oczekiwania czuł, że coraz bardziej przechylają się na prawo, jak gdyby łódź szykowała się do turlania. Po dziesięciu sekundach zorientował się, że rzeczywiście się toczą, ale nachylenie w prawo chyba ustało. Wciąż znajdowali się pod wodą.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk, położył go na kolanie i puścił. Nóż poszybował do góry i przeleciał mu tuż przed brodą i nosem. Następnie odbił się od plastikowej klapy i zsunął do przodu. Court zdał sobie sprawę, że są obrócenii do góry nogami. I toną.

– Zack! Zack! – Gentry’emu zatykały się uszy, ale próbował opanować narastającą falę. Nie orientował się w terenie i był uwięziony w nieczynnej

łajbie w ciemnych głębinach morza.

Hightower nie odpowiedział.

Court usłyszał, jak jacht został trafiony przez pocisk, co wywołało dwuetapową eksplozję. Najpierw głowica, potem z pewnością zbiorniki paliwa. Poczłwał falę uderzeniową. Nie mógł dłużej czekać. Wyciągnął przed siebie ręce. Prawym palcem wskazującym trafił na jakiś przycisk, jeden z wielu. Nie widział nawet, jaki ma kolor, a tym bardziej nie dostrzegał ewentualnych napisów.

Pieprzyć to. Przycisnął. Nic się nie stało. Znów poczuł ból w uszach od nagłej zmiany ciśnienia. Nie miał pojęcia, jak są głęboko, ale nie miał zamiaru ani zanurzać się, ani uderzyć o dno, zwłaszcza pleksiglasową kopułą. Wymacał kolejny przycisk i wcisnął go. Potem następny. I jeszcze jeden. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie wypuszczał paliwa, otwierał cargo albo uruchomił proces autodestrukcji.

Court nie miał zielonego pojęcia o okrętach podwodnych.

Kiedy przycisnął piąty guzik, kabinę rozświetliło ciepłe podczerwone światło. Pękała mu głowa. Przez jego ciało przebiegła fala nudności od jelit do gardła. Korzystając z oświetlenia, przyjrzał się kilkudziesięciu guzikom w poszukiwaniu kolejnego, który by się dało włączyć. Zatrzymał palec na przycisku podpisanym „HUD” i bez wahania go wcisnął. Włączył się laserowy wyświetlacz na szybie, pokazując wszelkiego rodzaju dane. Wskaźniki prędkości i głębokości podnosiły się z każdą sekundą. Sztuczny horyzont obracał się powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a igła kompasu kręciła się wokół tarczy. Cóż, chciał się zorientować w położeniu łodzi, to się zorientował. Teraz, kiedy komputer pokładowy pokazywał, że właśnie wykonują korkociąg w objęcia śmierci, stwierdził, że w sumie wolałby pozostać w błogiej nieświadomości.

Ból głowy stał się jeszcze większy. Zwymiotował wodą i żółcią. Część wypłynęła mu nosem i zgodnie z siłą grawitacji wlała się do oczu. Wytarł piekącą maż spotniałą ręką, położył dłoń na dżojstiku po prawej i próbował wyrównać łódź, ale bez powodzenia. Następnie lewą ręką pchnął dźwignię, którą wcześniej wziął za przepustnicę. Znów nic się nie zmieniło. Tupał raz po raz bosymi stopami, kopiąc nieistniejące pedały.

Prawie dwadzieścia metrów pod wodą.

Court walczył z kolejną falą mdłości i kolejnym atakiem paniki. W końcu przestał majstrować przy pulpicie i położył dłonie na kolanach.

– Zack, śpisz? – powiedział spokojnym głosem, w którym nie było ani paniki, ani groźby skierowanej do drugiego pasażera tej przeklętej łodzi.

– Nie. Delektuję się rejsem, brachu – odparł Zack słabym głosem. Court zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, co się z nimi stanie, Zack i tak pewnie lada moment umrze. Mimo to dobrze znał byłego przywódcę. Wiedział, że jego spokój i zrezygnowanie to pic na wodę. Wiedział, że Zackowi Hightowerowi też niespieszno było umierać.

– Może nie potrafię obsłużyć tej maszyny – powiedział Gentry, wyciągając glocka, po czym w czerwonym świetle wystawił go tak, żeby jego pasażer go widział – ale wiem, że tą władam całkiem, całkiem.

– Serio? A więc teraz mi grozisz, że mnie zastrzelisz? Tylko na tyle cię stać? Powiem ci, że to całkiem cholernie żałosne.

Court, nie zważając na jego słowa, odparł:

– Mam doświadczenie w wytrzymywaniu bez tlenu na głębokości dziewięćdziesięciu metrów. Jeśli zaraz przetrzele zatrzask klapy, zaleję kabinę i wypłynę na powierzchnię, to zapewne uda mi się chwycić jakiś dryfujący kawałek jachtu. Przy odrobinie szczęścia dopłynę do brzegu jeszcze przed zachodem słońca.

– I co dalej?

– Wydostanę się z Sudanu.

– Jasne. Już to widzę.

Court zastanowił się, po czym wrzasnął:

– Jestem, do cholery, Gray Manem! Dam radę!

Z tyłu panowała cisza.

– Ale na tę przygodę nie mogę cię zabrać. Chyba to rozumiesz, co nie, brachu? – zapytał, naśladowując ton i sposób mówienia Sierry Jeden.

Zack wciąż milczał. Court uznał to za dobry znak. Hightower nie miał w zwyczaju zapominać języka w gębie.

– Tak więc ja przeżyję, a ty zginiesz. A to będzie znaczyło, że spieprzyłeś sprawę. Gdybyś mi pomógł w obsłudze tego cacka, przeżylibyśmy obaj. A to oznaczałoby, że miałbyś jeszcze kiedyś okazję, żeby mnie zabić. Powodzenie misji przez chwilowe odroczenie osiągnięcia celu. Nawet Denny Carmichael przyznałby, że to prawidłowa strategia dla takiego dobrego wojaka jak ty. Ale ty po prostu jesteś za głupi, żeby łapać okazję, kiedy się da.

Wciąż cisza.

– Jestem pewien, że jest lepszy sposób na otwarcie tej kapsuły, ale potrafię obsługiwać tylko cyngiel pistoletu. Chciałbym zostawić ci glocka, byś mógł się zastrzelić przed utonięciem, ale chyba rozumiesz, że może mi się przydać na lądzie.

Zack wciąż milczał. Court miał nadzieję, że tylko myślał, a nie zasnął. Ból rozsadzał mu czaszkę. Miał wrażenie, że zatoki zaraz wybuchną mu od ciśnienia i mnóstwa kwaśnych rzygowin w nosie.

– O! Trzydzieści trzy i pół metra! – Court zaczął nabierać powietrza w płuca. Szybkie głębokie wdechy zwiększają sprawność płuc. Pomiedzy oddechami wycedził: – Przez większość czasu super było pod tobą służyć, Zack. Wyślę list do Langley i poinformuję ich, że zatonąłeś wraz z tą łajbą.

Kolejne kilka oddechów. Court przyłożył lufę do pleksiglasowej klapy, po czym się odsunął. Zack zakasłał słabowicie.

„Kurna, nie kupuje tego” – pomyślał Court.

– No to nara – mruknął Gentry, grając na zwłokę, po czym położył palec na spuście i wciągnął pełny haust powietrza. No to jazda...

– Pod prawym kolanem. Tarcza podpisana BAL. Obróć ją w lewo, do końca. Tak zneutralizujesz balast. Obok jest kwadratowy przycisk PROCON. To kontrola napędu. Wciśnij go. Teraz! – Głos Zacka był słabowity, ale mówił szybko.

Gentry opuścił pistolet, znalazł pokrętło, obrócił. Zlokalizował guzik i go wcisnął.

Jego bolące uszy wypełnił głośny, metaliczny dźwięk. Na szybie wyświetlił się dwuwymiarowy schemat łodzi podwodnej. Najpierw miał kształt cygara, ale kiedy dźwięk ustał, wyrosły mu skrzydła i płetwy na ogonie, teraz przypominał jednosilnikowy myśliwiec.

– No, pchnij. Odrobinę.

Court przechylił przepustnicę i poczuł, że silnik zaczyna wydawać obiecujące odgłosy. Lekki ruch do przodu. Wskaźnik, który wcześniej pokazywał zero, teraz się wspinał. Pięć procent, dziesięć, dwadzieścia. Z każdym pchnięciem coraz więcej.

– A teraz wyrównaj dżojstikiem. To dokładnie jak FBW w samolocie. Pitch, yaw, roll, wszystko za pomocą dżojstika. Mówię, że prawie jak w samolocie. – Zack zakasłał. – Wydaje mi się, że zdarzyło ci się rozbić samolot, co nie?

– Najpierw wylądowałem, a potem się rozbił – doprecyzował Court. Ze stanu zrezygnowania i pogodzenia z nadciągającą śmiercią, który przyszedł

po panice, przeszedł w stan prawie radosnej euforii, ciesząc się z powodu wzrastających, jak mu się zdawało, szans na przeżycie. Ta huśtawka nastroju zajęła może pół minuty.

– To było w Kijowie, prawda?

– W Tanzanii, Zack. Sam byłeś tego świadkiem.

– Ale później, w Kijowie... Tam też się rozbiłeś, co nie?

– To pozostawiam bez komentarza.

Szybko udało mu się opanować spadek i wypoziomować maszynę. Po kilku sekundach kompas wskazywał już wschód.

– Włącz światła – przykazał z tyłu Zack.

– Gdzie?

– A prowadziłeś ty kiedyś samochód, debilu? Tam gdzie w aucie.

Court wyciągnął rękę na lewo i znalazł włącznik prawie taki, jak w każdym prowadzonym przez niego pojeździe.

Włączył.

Nagle krzyknął.

– Ja jebie!

Łódź podwodna mknęła tuż nad piaszczystym dnem, znajdującym się zaledwie trzy metry pod nimi. Court zaczął mocniej oddychać. Pociągnął dźwostkę i pchnął wajchę do przodu o czterdzieści procent.

– Dobra. To teraz ustaw czwórkę na pokrętło po lewej, tak koło jedenastej.

W czerwonym świetle niełatwo było go znaleźć, ale w końcu Court wymacał pokrętło.

– No i do końca. Skruber tlenu. Właśnie oddychamy naszym dwutlenkiem węgla. To oczyści trochę powietrze.

– Przyjąłem.

Po tym, jak Zack zmęczonym głosem poinstruował Courta, jak włączyć tlen i aktywować laserowe czujniki antykolizyjne, Gentry prowadził łódź jeszcze przez minutę na wschód, próbując wyczuć maszynę. Kiedy uznał, że już nią włada, zawołał znów do Hightowera:

– I jak mi idzie?

– Do dupy. Gównianie prowadzisz samochód, rozbijasz każdy samolot, w który wsiądziesz, założę się, że zaraz nas wmanewrujesz prosto w obsrane dupsko jakiegoś pierdolonego wieloryba.

W głosie wyzywającego go rannego Court usłyszał ulgę.

Dwie godziny później Court był już pewien, że udało im się wpłynąć daleko na wody międzynarodowe. Z tyłu dochodziły go ciche jęki, a czasem świstanie. W pewnym momencie Zack zaczął gadać od rzeczy. Gentry zdawał sobie sprawę, że życie Hightowera wciąż jest zagrożone, że może umrzeć czy to od ran, czy od zakażenia, nawet jeśli w kilka godzin uda im się dostać pod doskonałą opiekę medyczną. Pozostawała nadzieja, że sir Donald przyłożył się do akcji ratunkowej.

Gray Man dostrzegał ironię tej sytuacji. Kilka miesięcy wcześniej to on uratował życie sir Donalda i jego rodziny, po czym poprzysiągł sobie, że nigdy więcej mu nie zaufa. A teraz korpulentny rycerz był jego ostatnią deską ratunku.

W końcu koło ósmej piętnaście rano łódź się wynurzyła. Słońce już było wysoko, prosto nad dziobem łajby, co pozwoliło Gentry'emu zorientować się w położeniu, bo w jasnych promieniach trudno było odczytać wskaźniki na szybie. Włączył nadajnik awaryjny i czekał. Dryfowali na otwartym morzu.

Chwilę po dziesiątej koło nich pojawił się statek. Był to ogromny tankowiec, który dostojnie unosił się ponad łodzią, a w tej chwili też ponad głową Gentry'ego. Wydawał się wysoki niczym drapacz chmur. Jego czarny jak smoła kadłub sprawiał złowrogie wrażenie. Od momentu, kiedy go zobaczył, do chwili, kiedy spuszczone po nich drabinki, minęło pół godziny. Court podniósł klapę. Zawołał po pomoc, na co – po dwóch osobnych drabinkach – zeszło dwóch mężczyzn, którzy zabezpieczyli Hightowera na uprzęży i wyciągnęli go trzy kondygnacje wyżej, aż na balustradę tankowca.

Court wspinał się o własnych siłach, choć ramię wciąż niemiłosiernie go bolało. Po drodze wymiotował od upału i kołysania olbrzymiego statku. Już prawie był na samej górze, kiedy minął napis wymalowany wielkimi literami na dziobie od strony lewej burty.

Żeby przeczytać, komu zawdzięcza ocalenie, musiał się trochę odchylić.

– LaurentGroup Cherbourg – przeczytał. – No pięknie... – mruknął pod nosem. Court miał już do czynienia z LaurentGroup, wielką międzynarodową korporacją, która w ubiegłym roku przez kilka dni próbowała go zabić. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek przyjdzie mu dobrowolnie wejść na pokład któregoś z jej statków, ale nie pierwszy już raz poznał znaczenie powiedzenia, że tonący brzytwy się chwyta. Court wspinał się. W końcu indonezyjska załoga pomogła mu się wygramolić.

Zack został położony na noszach i pospiesznie wyniesiony. Court padł na pokład. Podniesiono go za ręce i nogi, a następnie przeniesiono czy raczej zaciągnięto do chłodnego korytarza w ogromnej nadbudówce na statku. Po kilku minutach poprosił o morfinę. Błysnęła strzykawka. Po chwili odpłynął. Kiedy się przebudził, zauważył, że znajduje się na pokładzie innego statku, wysokiego żaglowca należącego do pewnego potentata medialnego z Walii, który, jak się okazało, był serdecznym przyjacielem przyjaciela sir Donalda Fitzroya. Court zapytał o stan zdrowia drugiego wyciągniętego na pokład tankowca mężczyzny, ale załoga tej łajby nie miała na ten temat żadnych informacji.

Cztery dni później przybili do portu w Aleksandrii, gdzie Court Gentry wymknął się, a stamtąd poszedł dalej. Nikt z załogi żaglowca nawet nie zauważył, jak schodził z pokładu.

Pewnego poranka obudzili się, a jego już nie było.

EPILOG

Rosoboronexport sprzedawał broń do osiemdziesięciu krajów, jednak starszy pilot iljuszyna, Giennadij Orłow, najbardziej wyczekiwał momentu, kiedy praca zawiedzie go do Wenezueli. Powodem podszytego ekscytacją zniecierpliwienia bynajmniej nie było bujne niegdyś w Caracas życie nocne, które zresztą w ostatnich latach ucierpiało pod rządami ponurej komunistycznej demagogii prezydenta Hugo Chaveza. Nie wynikało też ono z chęci napawania się pięknem dzikiej przyrody tego kraju – zresztą Giennadij rzadko spędzał tam więcej niż dobę przed powrotem do Rosji, nie miał więc czasu, aby wymykać się poza granice liczącej pięć milionów mieszkańców, spowitej smogiem miejskiej dżungli stolicy.

Oj, nie, Giennadij uwielbiał Wenezuelę wyłącznie z powodu pewnej kobiety. Jednej, jedynej, co w życiu tego bon vivanta było prawdziwym ewenementem. Dla porównania, za każdym razem, kiedy przebywał w Boliwii, wybierał na chwilową przyjaciółkę jedną spośród trzech kobiet. Na Kubie miał aż siedem kochanek, nieważne, że część z nich robiła się już trochę starawa jak na gust kapitana Orłowa. W Wietnamie miał do wyboru około tuzina towarzyszek na jedną noc, co prawda w tym wypadku połowa z nich musiała być opłacana w dongach bądź kartą kredytową. Jednak żadna z nich nie była w stanie utrzymać jego wzroku i różnych niecierpliwych części jego ciała przy sobie na dłużej niż na dobę, tak więc podczas każdego dwudniowego pobytu w Ho Chi Minh zawsze dzwonił do kilku wybranek.

Wyjątek stanowiła Miss Wenezueli. W całym kraju tylko ona się liczyła. Poznał ją przez internet, czyli tak jak ten czterdziestoczteroletni rosyjski mąż i ojciec zwykle znajdował koleżanki. Od osiemnastu miesięcy zazwyczaj raz na miesiąc latał do Caracas, wioząc rakiety, części okrętów wojennych i praktycznie wszystko, co można było znaleźć w katalogu rosyjskiej zbrojeniówki, z wyjątkiem kałasznikowów, jako że Kreml sprzedał Wenezueli licencję na produkcję karabinów AK-103 w fabryce

w Maracay. Praktycznie za każdym razem, kiedy zjawiał się w Caracas, w apartamencie typu junior w hotelu Gran Melia Caracas – czyli w najbardziej ekskluzywnym pięciogwiazdkowym przybytku w tym kraju – czekała na niego dwudziestodziewięcioletnia Tanya del Cid. Piękność ta pracowała przy kasie w salonie Lexusa, a jej przyjaciółka była konsjerżką w tymże hotelu. Obie kobiety nocami potajemnie korzystały z dóbr i usług swoich pracodawców, wymieniając się nimi nawzajem. Kiedy Tanya zabawiała się ze swoim czarującym rosyjskim pilotem w apartamencie typu junior, Maria jeździła po Avenida Principal de las Mercedes w kabriolecie SC10 „pożyczonym” sprzed salonu koleżanki.

Dokładnie dwa tygodnie po pamiętnym locie do Al-Fasziru Giennadij Orłow pożegnał się z załogą przed lotniskiem imienia Simóna Bolívara i obwieścił im, że zobaczą się następnego popołudnia podczas lotu powrotnego. Pozostali czterej Rosjanie przebiegli w wieczornym deszczu do busa, który miał ich zawieźć do hotelu przy lotnisku, Giennadij natomiast wsiadł do taksówki i przykazał kierowcy, aby jak najszybciej zawiózł go do hotelu Gran Melia.

Po trzydziestu pięciu minutach przemoczone ulewą buty Orłowa skrzypiały już na przepięknym korytarzu na siódmym piętrze hotelu. Giennadij ciągnął za sobą sfatygowaną płócienną walizeczkę, a przez ramię miał przewieszoną nylonową torbę. Był bardzo podekscytowany – czuł zarówno zdenerwowanie, jak i seksualne napięcie – wydawało mu się, że znów jest niewyżytym uczniakiem. W końcu dotarł pod drzwi z numerem 709. Były uchylone. Nie zaniepokoiło go to, lecz zaintrygowało. Delikatnie je popchnął.

Na podłodze rozsypane były płatki róż prowadzące przez korytarz, salonik, aż do oświetlonego świecami przedsionka przed sypialnią. Z głośników sączyła się romantyczna latynoamerykańska ballada w wykonaniu Marii Teresy Chacín. Giennadij się uśmiechnął. Dobrze wiedział, co będzie dalej. Wszedł do środka. Zostawił bagaże przy drzwiach i je zamknął. Przekręcił zamek. Ściągnął pospiesznie mokre buty i przemoczone skarpetki, a następnie wyjął długą białą różę z bukietu na stoliku i ruszył w stronę sypialni. Przed jej drzwiami przystanął, rozkoszując się chwilą: lawendowym zapachem świeczek, miękkością różanych płatków pod bosymi stopami oraz perfumami Tanyi, których ponętna woń zdążyła wypełnić całe pomieszczenie.

Giennadij otworzył drzwi. Jego wzrok wędrował po ścieżce z płatków aż do łóżka, na którym siedziała Tanya. Była ubrana. Ręce miała związane z tyłu. Usta zakneblowane rajstopami. Oczy miała szeroko otwarte, pełne strachu, a do tego czerwone i napuchnięte. Płynęły z nich łzy. Za uchem usłyszał trzask kurka pistoletu. Upuścił różę.

– Ręce do góry! Wyjdź tyłem do salonu. Tylko pomału – powiedział ktoś po angielsku.

Giennadij Orłow wykonał polecenie. Przerazonym wzrokiem spojrzął na Tanyę. Kobieta próbowała coś powiedzieć, ale przez knebel z rajstop przedostało się tylko kilka jęków i trochę śliny.

Kiedy znalazł się w salonie, muzyka została przyciszona. Czekał kilkanaście sekund na dalsze polecenia, ale nie padło żadne słowo, więc powiedział, starając się, aby jego głos brzmiał tak męsko, jak to tylko było możliwe:

– Powoli się odwracam.

W skórzanym fotelu siedział mężczyzna plecami zwrócony do ściany. Obok niego leżał złożony płaszcz przeciwdeszczowy. Obie dłonie spoczywały na jego kolanach, nic w nich nie trzymał. Po jego lewej stronie, za oknem, widać było szalejącą burzę. Z zewnątrz dochodziły błyski piorunów, oświetlając tajemniczego nieznajomego. Światło błyskawic przenikało przez krople spływające po szybie, przez co jego twarz zdawała się kapitanowi Orłowowi rozpływać. Ta twarz... Giennadij skądś ją znał.

Ach tak – to był ten amerykański zabójca, którego dwa tygodnie wcześniej przerzucił do Sudanu. Ten, który sprawił mu tyle kłopotów.

Rosjanin próbował ukryć zdenerwowanie.

– Czto nowego? – Co nowego?

– Niczego... – Nic.

– Czto ty chcesz? – Czego chcesz?

– Po pierwsze, chcę mówić po angielsku. Siadaj.

Giennadij usiadł na sofie naprzeciw Amerykanina. Poruszał się powoli, ostrożnie, chociaż siedzący w fotelu brodacze nie wydawał się groźny. Zdawał się trochę chudszy niż wtedy, gdy się widzieli w Sudanie. Jego twarz była zmizerowana, choć może to tylko przez to oświetlenie zniekształcone przez deszcz.

Pilot przeszedł na angielski.

– No dobra. Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– Wydarzeniami w Al-Faszirze przysporzyłeś mi mnóstwo problemów.
Amerykanin wzruszył ramionami i odparł:

– To nie mogło być nic takiego, skoro dalej wozisz broń dla Rosoboronexportu.

– A jak że? Dlaczego miałbym nie latać? Ja nic złego nie zrobiłem!

– Nic poza naruszeniem sankcji.

Giennadij się nieco odprężył. Machnął ręką, jakby odganiał muchę sprzed twarzy.

– To polityka. Mnie nic do odgórnych decyzji. Ja jestem tylko pilotem.

– Każdy z nas w czymś się specjalizuje – mruknął Amerykanin.

Giennadij przełknął nerwowo ślinę. Chciał dopytać, w czym dokładnie specjalizował się Amerykanin, ale się powstrzymał. Wiedział, że jest zawodowym zabójcą i nie chciał poruszać tego tematu.

– Zrobiłeś coś Tanyi?

– Zależy, co rozumiesz przez „coś”. Pogroziłem jej spluwą. Związałem. Wystraszyłem ją tak, że się posikała, i to dosłownie. Takie „coś” jej zrobiłem. – Mężczyzna błędził myślami daleko stąd. Po chwili jednak znów spojrzał na Giennadija. – A tak przy okazji, to agentka – rzucił nonszalancko.

– Że co?

– Nie inaczej. SEBIN.

Giennadij gapił się na niego tępo. Nic nie rozumiał.

– Tutejszy kontrwywiad.

Rosjanin nadal zdawał się niczego nie rozumieć.

Amerykanin westchnął z irytacją.

– Szpieguje cię. Ściągnąłem z niej podsłuch. – To mówiąc, pomachał mu przed oczami maleńkim urządzeniem z antenką, nie szerszym niż nitka rozmokniętego spaghetti, po czym rzucił kabelkiem w stronę Orłowa.

Giennadij złapał i obejrzał nadajnik. Odłożył na stół.

– Łzesz.

– Nie. Owszem, zabijam, ale nie kłamię.

Orłow uwierzył. Przez kilka sekund prawie zapomniał o Amerykaninie. Chciał wstać, wrócić do sypialni i złożyć na kwaśne jabłko tę małą, obłudną, latynoską kurwę, korzystając z tego, że miała związane ręce. No dobra, ale co z tym Amerykaninem? Co on tu właściwie robi?

– Wiem, że pracujesz dla Grigorija Sidorenki. Wiem to od FSB, dowiedziałem się na przesłuchaniu po twoim zniknięciu. Przyjechałeś

bronić mnie przed wenezuelskim wywiadem?

– Nie.

– No to co tu robisz?

– Czy twoja żona wie o tym romansie?

Giennadij zmrużył oczy.

– O tym konkretnie nie. Ale jestem pewny, że to zrozumie. Zdaje sobie sprawę, że jestem mężczyzną kochanym przez wiele niewiast.

– Jasne. Zwłaszcza przez te, którym płacą, żeby z tobą sypiały.

Rosjanin westchnął i odparł:

– Ja bardzo kocham moją żonę.

– Czy ja, do kurwy nędzy, wyglądam na kogoś, kogo obchodzi twoje małżeństwo?

– No to o co chodzi?

– Nie mam pojęcia, co Wenezuelczycy planują zrobić z informacjami, które udało im się z ciebie wyciągnąć, ale powinieneś zrobić rachunek sumienia. Czy przypadkiem nie palnąłeś czegoś w łóżku przy pięknej pannie del Cid, czego wolałbyś, aby FSB się nie dowiedziało? Żadnej krytyki ojczyzny? Nic o pracy? Nic na tyle istotnego, że nie dotarło to do rosyjskich służb?

Giennadij wzruszył ramionami.

– Ja jestem tylko pilotem. A do tego dumnym rosyjskim patriotą. Nie powiedziałem nic, czego mógłbym się wstydzić.

– Czy aby na pewno?

Dumny rosyjski patriota pokiwał powoli głową. Niezbyt pewnie, ale wciąż nie chciał nic wyjawiać Amerykaninowi.

Ten jednak nie dał się zwieść.

– Potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobił. Jestem gotowy cię sowicie wynagrodzić.

– Mianowicie co?

– Mianowicie to, co ci tak dobrze wychodzi. Masz gadać.

– A niby o czym?

– O tym, jak lataasz do Darfuru. O tym, jak przewiozłeś na pokładzie swojego samolotu zabójcę na usługach rosyjskiej mafii, i to na zlecenie Federalnej Służby Bezpieczeństwa. O tym, ile i jaką broń i amunicję przywiozłeś do tego kraju bez faktur. Pokaż Zachodowi zbrodnie Rosji, przekonaj Sudańczyków, że to Rosja zabiła im prezydenta.

– Czego to niby ma dowieść?

– Tego, co wiele osób już i tak podejrzewa. Ale to przyciśnie do muru Rosję, sprawi, że jej ludzie zostaną wykopani z Sudanu. Zaszkożdzi wpływom. A do tego może zapobiec wojnie.

– Dlaczego, do diabła, miałbym zrobić coś tak szalonego? Przecież FSB mnie za to zabije.

– Nie, jeśli cię nie znajdzie.

Giennadij pokręcił głową. Cała ta rozmowa to było istne szaleństwo. To w ogóle nie wchodziło w rachubę!

– Ale ja mam rodzinę. Ją znajdą. Mam żonę, trójkę dzieci...

– Piątkę, tak dla dokładności – uściślił Amerykanin złowieszczo. – W takich rzeczach łatwo się pogubić, co nie? Trójkę z małżonką Mariną w Moskwie, a do tego sześciolletnią córeczkę z Miną, robotnicą z Tajlandii, oraz dwunastoletniego syna z Elmeerą, stewardesą z Tunezji.

– To prawda – przyznał powoli Giennadij. To, że ten niebezpieczny człowiek wiedział tyle o nim i jego rodzinie, mocno go zatrwożyło. – Ale właśnie, mam rodzinę w Moskwie. Jeśli mnie nie znajdą, to ją dorwą. Jeśli będę śpiewał o Sudanie, to zostaną zabici albo przez Sidorenkę, albo przez FSB.

– W tej chwili w Moskwie jest ekipa z Międzynarodowego Trybunału Karnego. Zadzwoń do żony i powiedz jej, co ma robić, a ja zadzwonię do ekipy. W ciągu godziny zostaną bezpiecznie wywiezieni z Rosji.

Giennadij bez wahania pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Jak teraz dasz mi spokój, panie Amerykaninie, to tego nie zgłoszę. Ale nie życzę sobie...

– Twoja rodzina będzie bezpieczna tylko wtedy, kiedy przystaniesz na moją propozycję. Do tego staniesz się doprawdy zamożnym człowiekiem. Dostaniesz nowe życie na Zachodzie. Dobre życie. Natomiast jeśli odmówisz... – Amerykanin przechylił się do niego. Jego twarz przesunęła się poza miejsce, w którym padało światło odbijające się w kroplach, i spowiła ją ciemność. – Wtedy nie będziesz miał żadnego życia.

– Grozisz, że mnie zabijesz?

Amerykanin pokręcił głową.

– Bardzo bym chciał, aby to było takie proste. Ale cię potrzebujemy. Jesteś dla nas ważny. Jesteś w posiadaniu istotnych informacji. Musimy sprawić, żebyś powstrzymał wybuch wojny.

– No to co w takim razie tutaj ro...

– Albo wyśpiewasz wszystko, co wiesz, przed MTK, albo zabiorę ci to, co dla ciebie najważniejsze.

Giennadijowi Orłowowi zrzędała mina. Poczuł burczenie w brzuchu. Bał się, że zaraz straci panowanie nad zwieraczami. W końcu stojący przed nim mężczyzna był pozbawionym skrupułów zabójcą.

– Moje dzieci?

Przez pół minuty w pomieszczeniu panowała cisza. W końcu Amerykanin wyprostował się, rozchmurzył i odparł:

– Ale jakoś wątpię, by do tego doszło.

– Zabiję cię!

Zabójca pokręcił powoli głową.

– A wcale że nie.

Giennadij kipiał ze złości. Jednak strach przed siedzącym w fotelu mężczyzną był równie wielki jak wściekłość. Nie odważył się na niego rzucić. Był w końcu tylko pilotem, nie zabójcą. Pomyślał o swoich dzieciach, o fatalnym położeniu, w jakim się znalazł. W końcu zaczął się łamać. Przez dłuższy czas łkał na sofie w zaciemnionym pokoju. Ciszę przerywały odgłosy jego płaczu i deszczu. Amerykanin siedział w milczeniu.

* * *

Dwadzieścia minut później Court stał w budce telefonicznej przy Avenida el Recero, przecnicę od hotelu Gran Melia. Lało jak z cebra, nawet jego płaszcz przeciwdeszczowy był całkowicie przemoknięty, a okna w małej przestrzeni kabiny były zaparowane.

Na zewnątrz tłoczno było od przechodniów pod parasolami zmierzających do kawiarni, na koncerty, do hoteli i barów. Poruszali się z prędkością mknącej rynsztokami wzdłuż chodnika deszczówki.

Gentry gapił się w wodę. Patrzył na płynące wzdłuż budki śmieci. Wiedział, że powinien przyglądać się przechodniom, by uniknąć potencjalnych zagrożeń – w końcu był na misji – ale znajdujące się w jego organizmie narkotyki raz po raz wysyłały jego mózg na krótkie, bezsensowne wycieczki. Na przykład teraz śledził trasę zgniecionej puszki po soku aż do metalowej kratki, nad którą, kręcąc się, utknęła. Patrząc na potop, szukał właśnie kolejnego śmiecia, kiedy nagle...

– Halo, tu Ellen Walsh.

Court zdążył zapomnieć, że trzyma przy uchu słuchawkę telefonu. Szybko zmusił się do powrotu na ziemię i powiedział:

– Zgodził się. Przeniosłem go do mojego pokoju, numer czterysta dwadzieścia dwa. Nie chciałem go zostawiać sam na sam z dziewczyną.

– Zaraz przekażę, żeby natychmiast odebrano jego rodzinę. Pogadamy z nim jeszcze dziś, w hotelu.

– Jesteś tu? W Caracas?

– Przyleciałam godzinę temu.

Court patrzył, jak maleńka rzeka spływa ulicą. Kolejne słowa wypowiadał z wielką ostrożnością:

– Przyjechałaś tu po Giennadija Orłowa czy po mnie?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Po Orłowa. Postanowiłam zostawić wydarzenia z drogi do Dirry... na drodze do Dirry. Nie będzie żadnego śledztwa w sprawie tego, co tam zaszło.

– Dzięki.

– Słuchaj, Sześć. Ja naprawdę się o ciebie martwię. Nie mam pojęcia, co powiedziałaś Orłowowi, żeby się zgodził zeznawać przed MTK, ale zakładam, że nie poparłabym tej strategii.

– Prawdę mówiąc, nawet ja nie popieram tej strategii. Ale cóż, cel uświęca środki.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście w to wierzysz. Mówiłam już, że boję się, byś nie stał się tym, czego nienawidzisz najbardziej.

– Ze mną wszystko w porządku – powiedział, ale takim tonem, że nie zdołał przekonać ani Ellen, ani siebie.

– Słuchaj, a co powiesz, żebyśmy się teraz spotkali? W lobby. Orłow może sobie trochę poczekać i pocić się pod okiem mojej ekipy. Napijemy się jakiegoś drinka, przekonasz się, że nie przyjechałam skuć cię w kajdany, a ja ci się przyjrzę i zobaczę, czy te pęknięcia w twojej skorupie aby przypadkiem się nie powiększyły.

Court się uśmiechnął. Bynajmniej nie był w chwili szczęśliwy, ale jej słowa sprawiły mu przyjemność.

– Proszę – nalegała.

– Daj mi dziesięć minut. Jeszcze muszę gdzieś zadzwonić.

– Super. Po prysznicu i w czystych ciuchach pewnie mnie nie poznasz.

Court znów się uśmiechnął.

– Obawiam się, że ja wyglądam mniej więcej tak samo jak wtedy.

– No to do zobaczenia za dziesięć minut! – zachichotała i się rozłączyła.

Court rozumiał ton jej głosu. Ellen była podekscytowana i szczęśliwa. Jeden drink przecież nie zaszkodzi. Wrzucił więcej monet do aparatu, po czym wyciągnął z kieszeni skrawek papieru, na którym widniał numer, który wykrcił. Kiedy odebrano, wsadził karteczkę do ust i ją połknął.

– Cześć, Don. Załatwione.

– Kupił to, jakoby ta kobieta była agentką? – zapytał sir Donald Fitzroy.

– Kupił.

– To był genialny pomysł, chłopcze. Zasiał w nim lęk przed FSB, prawda?

– A właśnie, że nie. Nawet się nie spocił. Widać nie ma nic do ukrycia.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Rozumiem. A więc użyłeś innego środka perswazji.

– Owszem.

Głos Fitzroya był mocny, bardziej poważny niż zazwyczaj.

– Nie wydajesz się zbyt zadowolony.

– Bo nie jestem. Powiedziałem, że znajdę jego dzieci.

Nastąpiła kolejna dłuższa chwila milczenia. Gentry'emu zdawało się, że jego rozmówca surowo go ocenia. Don wreszcie przemówił:

– Wiesz przecież, Court, że właśnie zapobiegłeś wybuchowi wojny.

Gentry nic nie odpowiedział.

– Wiesz, że wszyscy uwielbiają kiełbasę, choć nikt nie chce wiedzieć, jak się ją robi. Grożenie rodzinie to paskudna sprawa. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Ale to jest cholernie skuteczna metoda. Trzeba było się do tego posunąć – kontynuował.

– Wiem – odparł Court, dalej co do tego nieprzekonany.

Oparł czoło o szybę budki i wpatrywał się w coraz bardziej wartką wodę w rynsztoku. Lunęło jeszcze mocniej. Najbardziej pragnął odłożyć wreszcie tę słuchawkę i iść na spotkanie z Ellen. Pomyślał, że fajnie byłoby wypić dwa drinki. Może potem złapią taksówkę, pojedą gdzieś daleko od tego hotelu, znajdą jakąś przytulną lokalną knajpkę i zjedzą kolację, ona mogłaby się oderwać od pracy, on od trosk. Bardzo tego chciał. Bardzo tego potrzebował.

– Potrzebne mi są wakacje – powiedział bardziej do siebie niż do telefonu.

– Oj, chłopcze, potrzebujesz czegoś więcej niż wakacji. Słuchaj uważnie, co ci teraz powiem. Szukają cię na całej kuli ziemskiej.

– Kto? – Court oderwał czoło od szyby.

– Wszyscy. Ściga cię Kreml, Waszyngton, a do tego jeszcze naziolę Sidorenki. I to nie tak jak dotychczas. Teraz to pełną parą. CIA węszy za tobą na całym świecie. Żeby cię złapać, są skłonni pracować z każdym, zapłacą każdą cenę. Błagam, posłuchaj tego, co ci poradzę. Gdziekolwiek jesteś, cokolwiek robisz... uciekaj. Wstań i biegnij przed siebie jak najdalej. I, na miłość boską, nie mów mi gdzie! Nie zawahają się dorwać mnie, żeby się dostać do ciebie. Nikomu nie mów. Są naprawdę bardzo blisko. Jeśli nie uciekniesz natychmiast, na pewno cię znajdą.

– A Międzynarodowy Trybunał Karny?

– Międzynarodowy Trybunał Karny? Nic mi nie wiadomo, aby i oni na ciebie polowali. A to bym, do jasnej ciasnej, wiedział. Organizacje międzynarodowe to raj dla szpiega. Nie, z tego, co mi wiadomo, to ta konkretna instytucja wydaje się jedyną, która nie usiłuje cię dorwać.

Court spojrział przez mokrą szybę na świecące w oddali światła hotelu Gran Melia.

– Rozumiem.

Fitzroy gadał dalej. Mówił szybko i nerwowo. Brzmiał, jakby to on, a nie Gentry, był właśnie ścigany.

– I zapomnij o wszystkich swoich zaskórniakach. Nie korzystaj z kont bankowych. Zapomnij nawet o gotówce poza tą, którą akurat masz w kieszeni. W tej chwili naciskają na Szwajcarów w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na temat twoich finansów. Wiadomo, Szwajcarzy będą się stawiać, taka ich natura. Ale i oni w końcu się ugną, to też mają we krwi. Zdobywaj pieniądze, jak chcesz, ale musisz być bardzo, bardzo ostrożny. Uciekaj i nigdzie się nie zatrzymuj. Jeśli chcesz mieć jakąkolwiek szansę na przeżycie, to musisz traktować kwestię bezpieczeństwa tak poważnie, jakbyś miał na jej punkcie paranoję.

– Rozumiem. – Gray Man już nerwowo rozglądał się po ulicy. Wydawało mu się, że z nagłym skokiem adrenaliny wszystkie zażyte wcześniej prochy przestały działać.

– Pół roku, dziewięć miesięcy... Jeśli przyjdzie taka potrzeba, to nie dzwoń do mnie, tylko do kogoś, kto mnie zna. Znajdź jakiś sposób, żeby się porozumieć, a ja się jakoś z tobą skontaktuję. Jeśli będziesz potrzebował roboty, dam ci ją. Jeśli tylko forsy, to znajdę sposób, żeby jakoś ci pomóc.

– Dzięki, Don.

– Przecież ja nic jeszcze nie zrobiłem, Court. Jeszcze nie spłaciłem długu wdzięczności. No dobra, a teraz w nogi! Leć i nie oglądaj się za siebie!

- Mówię serio, jestem naprawdę wdzię...
- Uciekaj, chłopcze! Odłóż słuchawkę i zwiewaj!
- Już mnie nie ma – odparł Court i się rozłączył.

Wyszedł z budki telefonicznej. Rzucił okiem na kuszące światła hotelu, ale szybko odwrócił wzrok. Spojrzał w ciemność.

Wtopił się w tłum, znikając niczym ciepła deszczówka w studziencie kanalizacyjnej.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym przekazać gorące podziękowania i wyrazy wielkiego uznania Karen Mayer, Johnowi i Wandzie Andersonom, Devinowi Greaneyowi, Mirei Ledezmie, Treyowi i Kristinie Greaneyom, Johnowi i Carrie Echolsom, Nichole Roberts, Davidowi i Suzanne Leslie, Chrisowi i Michelle Burcky, Bobowi Hetheringtonowi, April Adams, Danie i Nancy Adamsom, Jeffowi i Stephanie Stovallom, Keithowi Gleghornowi oraz Jenny Kraft.

Dziękuję też Svetlanie Ganei, Gavinowi Smithowi, Jamesowi i Rebecce Yeagerom, Jayowi Gibsonowi, Alanowi Webbowi, Paulowi Gomezowi, pozostałej kadrze i pracownikom wspierającym oddziału Tactical Response w Camden w stanie Tennessee. Gorąco dziękuję wszystkim chłopakom i dziewczynom z getoffthex: nawet sobie nie zdajecie sprawy, ile się od was nauczyłem. Pomogliście mi bardziej, niż gotowy jestem przyznać.

Chciałbym podziękować również mojemu zarąbystemu redaktorowi Tomowi Colganowi i zajefajnemu agentowi Scottowi Millerowi. Chłopaki, jesteście najlepsi!

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

EPILOG

PODZIĘKOWANIA